

A movie poster for the film 'Krzyucz, jeśli żyjesz'. The top half features a close-up of a woman's face with her eyes closed, appearing to be in a state of unconsciousness or death. The bottom half shows an industrial scene at night with several large cranes and a red structure, possibly a ship's hull, illuminated by a red light. The title 'KRZYCZ, JEŚLI ŻYJESZ' is written in large, white, bold letters across the center. At the bottom, the text 'SERIA KRYMINAŁÓW O PROKURATORZE KONRADZIE KROONIE' is written in smaller white letters.

CYRYL SONE

**KRZYCZ,
JEŚLI
ŻYJESZ**

SERIA KRYMINAŁÓW
O PROKURATORZE KONRADZIE KROONIE

CYRYL SONE

**KRZYCZ,
JEŚLI
ŻYJESZ**

znak
koncept

Kraków 2022

CZĘŚĆ PIERWSZA

DWUDZIESTOLATKI

ROZDZIAŁ 1 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Wrzeszczański Garnizon był jednym z tych modnych osiedli, na których chciał mieszkać prawie każdy. Nowoczesna prawie dzielnica położona nie gdzieś tam hen za obwodnicą koło wysypiska śmieci całe życie w korkach ale nie jest przecież to znowu tak daleko od centrum tylko dwadzieścia minut jak nie ma korków ale one kurwa zawsze są, tylko w samym sercu tysiącletniego miasta. Blisko tramwaju i kolejki, rzut beretem od centrów handlowych, biur, teatru i kina. Nieopodal lasu.

Garnizon wypełniały liczne restauracyjki i kawiarnie, było tam całkiem sporo zwykłych sklepów z jedzeniem, ale takim bardziej bio, kwaciarnia, cukiernia, piekarnia, gabinety lekarskie, fryzjer (czytaj: barber), a nawet księgarnia i sala koncertowa.

Idealnie skomunikowane osiedle, estetyczna architektura i fajni sąsiedzi, którzy wyglądali dokładnie tak samo: jak ludzie sukcesu, jak ci, którym się powiodło. Mieli pieniądze, umieli je wydawać, jadali wege, nosili *eco fashion*, pili tylko wodę z kranu, a wszystkich dookoła mieli głęboko w dupie.

Wrzesień tego roku należał do wyjątkowo wiosennych. Nie trzeba było kryć się przed słońcem i zajeżdzać klimatyzatora jak w czerwcu ani grzać

na maksa jak w listopadzie. Dało się po prostu wyjść na miasto w samej koszulce, usiąść gdzieś przy stoliku, zamówić caffè latte i powiedzieć głośno do kelnerki: „Czemu nie mogłoby tak być przez cały rok?”.

W taki właśnie piękny dzień, około godziny czternastej, wydarzyła się rzecz, która zapewne zbulwersowałaby cały kraj. Rzecz tak okropna, że sprawa małej Madzi z Sosnowca i jej niesławnej matki to przy niej tylko niewinna zabawa przedszkolaka kryminalisty. Widzowie *Faktów* i *Wiadomości*, czytelnicy „Wyborczej” i „Rzepy” byliby zdruzgotani, gdyby tylko wiedzieli. Ale nie wiedzieli. I mieli się nigdy nie dowiedzieć.

Przez wrzeszczański Garnizon szła Weronika. Była zwyczajną dziewczyną – raczej ładną niż brzydką, raczej cichą niż głośną. Była przechodniem, czyli przypadkową osobą, która akurat znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Miała przejebane.

Kilkanaście metrów od Weroniki stała para dwudziestokilkulatków. Trzymali się za ręce, więc pewnie byli parą. On wysoki, dobrze uczesany. Ona metr sześćdziesiąt osiem, blond włosy, zielone oczy, kolczyk w nosie. Hipsterzy. Zwracali na siebie uwagę ubiorem, urodą, nonszalancją.

– Hej, przepraszam – zaczął chłopak, podchodząc do Weroniki.

Najpierw zobaczyła jego buty, beżowe adidasy na grubej podeszwie. Z tym że to nie były adidasy, kosztowały sześć czy siedem razy tyle co adidasy i były brzydkie. Takie pozdro–dla–kumatych: mam pieniądze, ale nic dla mnie nie znaczą; obczaj metkę i spierdalaj.

– Hej – odparła lekko speszona (tak jak peszą się ludzie nijacy przy ludziach przebojowych; tak jak powiedziała by kujonka w liceum, gdyby koleś ze szkolnej drużyny spytał ją, w której sali jest matma).

– Słuchaj, tak się zastanawialiśmy z moją dziewczyną, czy moglibyśmy cię o coś spytać. To taki mały zakład.

– No... spoko.

– Spójrz. Tu jest mnóstwo ludzi. Środek dnia. Bezpieczna dzielnica.

Weronika mimowolnie rozejrzała się dookoła. Nieznajomy miał rację. Ludzie siedzieli przy stolikach, żartowali, śmiali się, jedli. Żadnej nieprzyjemnej twarzy. Żadnych meneli, żadnej patologii.

– No tak. A o co chcieliście spytać? Jak się tu mieszka? Ja tu nie mieszkam, tylko...

– Nie, nie o to – przerwał jej chłopak, lekko mrużąc oczy. – Wiesz, chcielibyśmy się z tobą o coś założyć. Złapiemy cię teraz pod rękę, zaciągniemy do auta, zwiążemy i zawieziemy do naszej meliny. Tam będziemy ci bić, gwałcić i torturować. I chociaż jest południe i pełno ludzi, absolutnie nikt ci nie pomoże.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Przez chwilę analizowała słowa nieznajomego, myśląc, że jest to jakiś pojechany prank. Wkręcali ją.

– Muszę już lecieć – rzuciła, nie mając ochoty wdawać się w jałowe dyskusje.

– Niestety, mamy co do ciebie inne plany. Zresztą wiesz już jakie – odpowiedział chłopak.

Weronika ruszyła przed siebie. Deptakiem spacerowało kilkanaście osób. Mijała je w pośpiechu, chcąc jak najszybciej uciec od pokręconej pary. Czuła rosnący niepokój, choć cały czas myślała, że to tylko jakiś chory żart. Każdy by tak pomyślał.

Chwycili ją pod rękę, tak jak zapowiadali. Weronika krzyczała i próbowała się wyrwać. Oni jednak mieli więcej siły. Zaciągnęli ją do czarnego vana, wrzucili na pakę, a tam zakleili jej usta taśmą klejącą, związali ręce i przykuli kajdankami do podłogi.

To zdarzenie widziało przynajmniej kilkadziesiąt osób. Weronika wrzeszczała ile sił w płucach, obudziła jakiegoś śpiącego noworodka. „Nienormalne dzieciaki. Gnojki” – pomyślała jego matka.

Był środek dnia, wrzeszczański Garnizon, nowoczesna, bezpieczna dzielnica pełna wykształconych i odpowiedzialnych ludzi. Nikt się nie przejął, nikt jej nie pomógł, nikt nie wziął tego na serio.

– Debile... – zaklął pan z teczką.

ROZDZIAŁ 2 | CZERWIEC

GUSTAW

Studenci ustawiali się przed tablicą, na której wywieszono wyniki ostatniego z egzaminów.

- Serio już mogliby to po kolei dać...
- Albo nazwiskami.
- Pierdolone RODO...

Od gabloty odbijał się blask jarzeniówki, która oświetlała korytarz. Światło skakało po powierzchni szyby.

- Nic nie widzę, sprawdzisz mi?
- Jak tylko się dopchnę.
- Ja jebię, no i chuj.
- Nie gadaj!

Dziewczyna przepchnęła się przez tłum.

- Sorry...
- Ej, Kaśka, nie zdałaś?
- Twoja stara nie zdała.

Wyniki były zanonimizowane. Na kilku arkuszach papieru wydrukowano numery indeksów, obok nich zaś wpisano oceny z egzaminu. Nikt z katedry się nie pofatygował, żeby w jakikolwiek sposób je

uporządkować. Odszukanie swojego numeru pośród trzystu pozycji nastęczało sporo trudności.

Co chwilę na schodach pojawiała się kolejna grupka studentów. Widząc tłum przed gablotą, błyskawicznie przyspieszali i biegli sprawdzić wyniki.

– Ej, Łaga, chyba są! – krzyknął Gustaw do przyjaciela, gdy znaleźli się na korytarzu.

– No nie pierdol...

Koledzy podeszli do gabloty.

– Sorry, możemy? – spytał Gustaw znajomej z grupy.

– Nie widzisz, że też próbuję sprawdzić?

– Wyluzuj, Ruda, stoisz tu pewnie od rana – rzucił Łaga. – Zdałaś?

– No chyba tak...

– Jak to chyba? Wpisali ci znak zapytania zamiast oceny?

– Spierdalaj...

– Ej, młody, widzisz coś?! – krzyknął do Gustawa.

– Czeka, zaraz...

Łaga podszedł bliżej. Dotknął palcem szyby.

– No i mamy to! Zajebicie! Ha! – zawołał głośno. – Słyszysz, Ruda?

Mocne trzy!

Dziewczyna stała z grobową miną.

– No super, dzięki za cynk.

– A ty jak? – spytał jeszcze raz koleżankę, a zaraz potem przyjaciela: – Gustaw, masz?

Gustaw ponownie sprawdzał każdą z cyfr numeru indeksu. „A jeśli się pomylili? Może źle wpisali?” – pomyślał.

– Tróję dostałam – powiedziała w końcu Ruda.

– No i prawidłowo. Gustaw! Halo!

– Już, już...

– Mordo, dawaj! – ponaglał go Łaga.

– Czwórkę mam...

– O ja jebię, u Kamińskiej?! Z cywila? No to się nie dziwię, że jesteś takim nolife'em!

Gustaw odszedł kilka metrów na bok. Wciąż nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Egzamin z prawa cywilnego był jednym z trudniejszych przedmiotów na drugim roku. Sporo studentów szykowało się na poprawkę.

– No zdałem, Łaga, zdałem – wymamrotał, oswajając się z sukcesem.

– W chuj dobrze, mordo! – powiedział Łaga. Podszedł do kolegi. – Wiesz, co to znaczy?

– Żadnych poprawek, trzy i pół miesiąca wakacji...

– Mordo, to znaczy, że dziś pijemy! – Łaga klepnął go lekko w twarz.

– Nie no, ja muszę odpocząć...

– Czy ciebie pojebało?

– Dopiero to ze mnie schodzi. Skoczmy na browarka, ale nie dziś.

Łaga chwycił twarz Gustawa obiema dłońmi. Spojrzał mu głęboko w oczy.

– Żadnego browarka, mordo. Idziemy na Elektryków, najebimy się jak świnię i wyrwiemy jakieś laski.

Gustaw tylko się zaśmiał.

– Chyba dziś nie mam ochoty na imprezę...

– Ja pierdołę, nigdy nie masz! – skwitował Łaga. – Ale ja ci obiecałem, że jak zdamy sesję, to pójdziemy w melo.

– No spoko...

– Co spoko? Co robiłeś w zeszłe wakacje?! – krzyknął poirytowany.

– Pracowałem, siedziałem trochę na wsi...

– Słuchaj, jak chcesz być takim nudziarzem jak śmierdziele w polarach – wskazał palcem na grupę kujonów – to zajebicie. Ale jak chcesz być człowiekiem – złapał się za brzeg koszuli – jak chcesz być spoko ziomkiem, to przestań pierdolić i raz w życiu wrzuć na luz.

Gustaw analizował wszystko w myślach. Nigdy nie był typem imprezowicza, a po kilku tygodniach nauki rzeczywiście czuł się zmęczony. Najbardziej na świecie chciał zaszyć się w domu, w swojej jaskini, w swojej twierdzy, i pooglądać seriale.

Z drugiej strony bał się jednak tego, co pomyślą inni. Faktycznie, raczej nie miał opinii luzaka i często brali go za kujona. Robił wtedy dobrą minę do złej gry. Przez całe liceum i dwa lata studiów balansował na cienkiej granicy, która oddzielała ludzi nijakich od nerdów.

Popatrzył na Łagę. Imprezowy kolega był jego tarczą ochronną, która dodawała mu punktów do fajności. Gdyby nie on, już dawno byłby w dupie.

– No dobra, Łaga... To gdzie pijemy?

– Mordo! – zawołał z szarmanckim uśmiechem Marek Łagocki. – Lepiej spytaj, gdzie nie pijemy!

*

– Jesteśmy z ciebie naprawdę dumni, synu!

– No, pokaż indeks!

Gustaw spojrzał na matkę.

– Został w dziekanacie, profesor musi wpisać oceny...

– Ach, tak. Oby tylko szybko się z tym uporał! Babcia nie może się już doczekać! – Kobieta ustawiła na stole talerze. – Zosiu, obiad!

– To chyba chwilę potrwa. Nie wpisali mi jeszcze z żadnego pisemnego, więc pewnie indeksy będą tak krążyć między katedrami...

– Zosiu, obiad!

– Jak nie chce, to niech nie je.

– Tadziu! – Kobieta skarciła męża. – Chodź, zupa wystygnie!

W talerzach zagościła gęsta pomidorówka.

– Co masz? Zupę? Nie chcę. Za gorąco – bąknęła nastolatka, zaglądając do kuchni.

– Jak zaczniesz sobie sama gotować, będziesz decydować – orzekł ojciec. – A teraz siadaj i jedz, co matka przygotowała!

– Przed chwilą mówiłeś, żebym nie jadła. Zresztą mogę sobie sama gotować...

– Chciałabym to zobaczyć – westchnęła matka.

– No chodź tu do nas! – polecił córce Tadeusz. Spojrzał na nią surowo spod swoich ciemnych brwi. – Twój brat zdał ostatni egzamin, możemy razem poświętować.

– Pomidorową? – spytała z dziwną manierą w głosie Zosia.

– U babci będzie ciasto. Zapraszała na dziewiętnastą.

– Jedziemy dziś do babci? – zdziwił się Gustaw.

– Wybacz. Pewnie chciałeś jej sam powiedzieć, ale nie mogłam się doczekać. Jak tylko wysłałeś mi SMS-a, zaraz do niej zadzwoniłam.

– Kurczę, chyba dziś nie mogę...

– Znowu będziesz wkuwał? – Zosia popatrzyła z niesmakiem na brata.

– No przecież zdałem sesję. Trzy i pół miesiąca wakacji, czaisz?

Dziewczyna przyłożyła do policzka środkowy palec.

– Widziałem to, Zofio! – krzyknął ojciec.

– To tylko dla beki – odparła.

– W tym domu się tak nie zachowujemy.

– Dobra, tato, ona tylko żartowała – powiedział Gustaw, nie mając ochoty na niepotrzebne dyskusje.

– Dzięki, brat.

Ojciec wskazał dłonią na swój pusty talerz.

– Czy mogę prosić o dokładkę, Elżbieto?

– Jeszcze będzie drugie... – powiedziała matka.

– Pół chochelki. Taką większą połowę...

– Zawsze mówiłeś, że nie ma czegoś takiego jak większa połowa! – Zosia była dumna ze swojej uwagi. Ojciec uczył matematyki; wiecznie ich strofował.

– Punkt dla czarnego fortepianu! – odpowiedział mężczyzna i siorbnął zupę.

Gustaw spojrział na telefon. Łąga dołączył go do jakiegoś zbiorowego czatu, gdzie dyskutowano o wieczornej imprezie.

– Nie dam rady jechać dzisiaj do babci. Oblewamy koniec sesji.

– Ty oblewasz? – spytała zdziwiona Zosia. – Chyba mlekiem...

– A ty tylko z imprezy na imprezę?

– Więcej melanzuję od ciebie, nudziarzu...

Ojciec spojrział na nią znad talerza.

– Ciekawe kiedy? Podstawówka to na pewno jest odpowiedni czas na imprezy? Skończyłaś już szkołę? Wszystkie oceny wystawione?

– Prawie, panie profesorze – fuknęła dziewczyna.

Matka przytuliła Gustawa.

– Cieszę się, że w końcu gdzieś wyjdiesz. Należy ci się. Tyle ostatnio ślęczałeś nad podręcznikami...

– No ale chyba mógłby odwiedzić babcię? – Pan Kolasa miał własną wizję świata: „Fajnie, że zdałeś, ale teraz umyj okna”. – Starej kobiecie też należy się trochę szacunku.

Elżbieta wstała od stołu. Sprawdziła widelcem gotujące się ziemniaki.

– A od kiedy to zależy ci na teściowej?

– Od nigdy. Ale są zasady.

W kuchni robiło się coraz goręcej.

– Idź z kolegami i wyszalej się za te wszystkie miesiące! – Matka pocałowała syna w czoło. – Może i jesteś mądry po ojcu, ale piękną buźkę masz po mnie. Będą z wami jakieś dziewczyny? A nie! – Zrobiła głupią minę. – O nic nie pytam!

– Ha, Gustaw i dziewczyny! Przecież on jest gejem! – ryknęła Zosia.

– Zocha!

– A ty masz coś do homoseksualistów? – spytała matka. – Przecież chodzisz na te parady.

– Chodzisz na jakieś parady? – zdziwił się ojciec. – Zresztą nic mi do tego. Możesz manifestować swoje poglądy. Każdy może. O to walczyliśmy.

– Widzisz, starzy nic do tego nie mają – powiedziała Zosia, patrząc bratu prosto w oczy.

– Przecież nie jestem gejem, głupia małpo!

– Seksualność to spektrum, może stoisz gdzieś pośrodku...

– Dobra, ja wychodzę. – Gustaw wstał od stołu. – Nie chcę już tego dłużej słuchać.

– Zosia, weź się czasem ugryź w język – powiedziała matka, rozkładając ręce.

– Dobre te mielone, wilgotne – zauważył ojciec.

– Idę się położyć. Wieczorem wychodzę z Łagą.

Zadzwonil telefon.

– To pewnie babcia. – Elzbieta szukała wzrokiem słuchawki.

– Łaga, przystojniaczek. Fajna z was parka – rzuciła z przekąsem Zosia.

– Nawet tego nie skomentuję. – Gustaw ostentacyjnie trzasnął drzwiami swojego pokoju.

KONRAD KROON

Prokurator Konrad Kroon siedział w barze nieopodal dworca i czekał na dziewczynę. Poza nim w knajpie był tylko właściciel. Znali się jeszcze ze studiów.

– Prowadzisz?

– Jeden browarek wjedzie – odparł z uśmiechem prokurator.

– *Well done* z czosnkowym?

– A jak!

Właściciel knajpy założył gumową rękawiczkę. Wyciągnął z lodówki gotowy kotlet i wrzucił na płytę. Potem zajął się robieniem kanapki.

– Co tam ciekawego w robocie? Jakies fajne sprawy? – spytał zza winkla.

– Boże, broń nas od ciekawych spraw. Jakbym chciał robic ciekawe sprawy, to już dawno poszedłbym do okręgowej – wyjaśnił Kroon.

– Musisz się jeszcze wykazać?

– Wykazać? Proszę cię! Czy wyglądam na samobójcę?

– W telewizji pokazywali tego, tego... no, taki prokurator, co mówił o sprawie Hoffera, tego polityka. Ciagle go tam pokazują.

– Bo to rzecznik prasowy – wyjaśnił Kroon.

– Nie chciałbyś być takim rzecznikiem? Bużkę masz ładną.

– Wiesz, co bym chciał? Mieć trochę mniej roboty. Mam teraz dwieście spraw w referacie. Myślisz, że to się da jakoś ogarnąć?

Właściciel wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To dużo czy mało?

– To w chuj dużo. – Wziął łyk piwa. – Normalnie w rejonie można robić jakieś pięćdziesiąt spraw. Wtedy ogarniasz, co się dzieje. My mamy po dwieście.

– Ale że same zabójstwa? Czy co to są w ogóle za sprawy?

– Oglądaj więcej telewizji, Mirek, to będziesz mądrzejszy – rzucił z przekąsem. – Dwieście zabójstw. Czy ciebie pogrzało?

– No faktycznie... Czyli co to są za sprawy?

– Alimenciarze, pijani kierowcy, oszuści internetowi, złodzieje. Trochę grubszych spraw. Chodzi o to, że jak masz tego tak dużo, to po prostu tracisz panowanie.

– Chcesz tylko ten czosnkowy?

– Tak.

Ktoś wszedł do baru z burgerami. Dziewczyna. Konrad Kroon szybko zmierzył ją wzrokiem, jak miał to w zwyczaju. Buty na koturnie, rogowe okulary, torba w tęczę.

– Czy są jakieś wegańskie?

– Sorry, niestety – odparł Mirek.

Niedoszła klientka zrobiła zniesmaczoną minę i wyszła.

– Mógłbyś trochę rozszerzyć ofertę. Jesteś jebanym dinozaurem.

– Kto by jadł to gównno?

– Na przykład ja – powiedział Kroon, wskazując frytką na swoje czoło.

– No nie wiem. Weganie i tak idą do tych pedalskich knajpek na Wajdeloty. To nie moi ludzie.

– Sam tam chodzę – zauważył prokurator.

– To przez Zuzę...

Konrad tylko się zaśmiał. Chciał coś odpowiedzieć, ale akurat miał pełne usta.

– Odbieram ją zaraz z pendolino.

– Warszawa?

– Jo...

Właściciel przetarł szmatą blat.

– Pamiętam, jak jeździło się do Wawy tym Polskim Busem. Ja pierdołę, co to był za sajgon.

– Wagon bydłęcy. – Kroon zarechotał. – A potem nogi miałeś w dupie. Kto by to przeżył na trzeźwo?

– Jeszcze jednego? – spytał Mirek.

– Nie, prowadzę.

*

Pociąg wjechał na stację. Przypominał srebrną czapkę i dla wielu ludzi wciąż stanowił symbol luksusu i elegancji. Kawa lub herbata na powitanie, bo lubimy mieć wybór. *Nokturn Es-dur* Chopina grany na każdej stacji.

Dlaczego? Bo przecież każdy z nas kocha muzykę klasyczną, a Chopina, Szopena (romantycznego gruźlika ze Stalowej, wróc, Żelazowej Woli) to ciśniemy na Spotify przez cały rok, od stycznia do listopada, robiąc tylko mały wyjątek w grudniu dla *Last Christmas* i George'a Michaela z czasów, kiedy jeszcze wolał dziewczyny.

Pociąg wjechał na stację.

– Ja pierdołę, znowu to zrobili. – Konrad zaśmiał się pod nosem, gdy zobaczył, jak pendolino wjeżdża na zupełnie inny peron, niż zapowiadała

dyspozytorka. Zdezorientowani podróżni ruszyli tłumnie w stronę schodów. Niektórzy, ci mniej zaradni życiowo, wybrali windy. Windy nie działały.

Otworzyły się drzwi. Na schodach wagonu czwartego stanęła blondynka koło czterdziestki, z dużym plecakiem i torbą na laptopa. Rozejrzała się, po czym sięgnęła po telefon.

– Już idę. Wjechał na inny peron.

Kroon poczekał, aż minie go tłum pasażerów, po czym ze stoickim spokojem podreptał w stronę tunelu.

– Cześć. – Zuza dała mu buziaka na powitanie. – Weźmiesz to ode mnie?

Prokurator założył na ramię plecak.

– Czasem mam wrażenie, że oni to robią specjalnie. Ktoś siedzi w tej betonowej budce, patrzy na tych biednych ludzi i mówi: „Teraz was, чује, urządzę”. No i nadaje do maszynisty: „Macie wolny drugi”. A potem ściąga gacie i przyciskając dupę do mikrofonu, stęka: „Opóźniony pociąg InterCity Premium z Katowic do Kołobrzegu wjedzie na tor przy peronie trzecim, prosimy zachować ostrożność i nie zbliżać się do krawędzi peronu”.

– Ty to jesteś pojebany – podsumowała Zuza, szukając wzrokiem samochodu. – Ciężki dzień w pracy?

– Każdy dzień w pracy jest ciężki. Cieszę się, że dziś piątek.

– Ja też muszę odpocząć. Trochę zresetować mózg.

Weszli na parking. Kilku bezdomnych szukało kolejnej ofiary.

– Pilnowałem samochodu, wszystko jest idealnie, kierowniku! – zakomunikował lekko śmierzący żul.

– No i prawidłowo. Mówiłem: jakby coś było nie tak, tobym cię wpierdolił na dołek. A oni na Białej bardzo cię nie lubią.

- Nie no, panie prokuratorze...
- Dobra, spierdalaj już.
- Ale jakby pan prokurator znalazł jakieś dwa złote...

Kroon popatrzył na pijaka bez krztyny litości.

- Ty chyba naprawdę chcesz, żeby ci psy wpierdoliły, co?
- Dobra, Konrad, nie popisuj się – powiedziała Zuza, wsiadając do auta. „Parkingowy” odszedł kilka kroków dalej i uniósł ręce.
- Nie chcę mieć żadnych problemów, kierowniku...

Kroon trzasnął drzwiami. Nowoczesne audi TT, niskie zawieszenie, czarna karoseria. Auto dla bogatego singla, sześć sekund do setki.

Włączył silnik. Zobaczył w kamerce, że mężczyzna wrócił do swoich kumpli. Pewnie go teraz przeklinali.

- Serio mogłeś mu dać te dwa złote.
- Nie znoszę takiego ścierwa.

*

Jechali autem przez miasto. Właściwie to trochę jechali, a trochę stali w korku. Paradoksalnie w Trójmieście latem był zazwyczaj większy ruch niż przez resztę roku. Turyści.

- Serial, browarek, ruchanko?
- Boże, jak ty mnie dziś denerwujesz! – fuknęła Zuza.
- Dobra, co powiedziałem nie tak?
- Musisz być cały czas taki prymitywny?

Kroon spojrzał nonszalancko na swoją dziewczynę.

- Opera, wino, ruchanko?
- Zuza się zaśmiała. Byli razem już dziesięć lat.
- Dziś wieczorem wychodzimy z domu.

– Jeszcze nawet do niego nie wróciliśmy...

Zuza wyjęła z plecaka aparat. Była zawodową fotografką. Przeglądała pospiesznie pliki.

– Dzisiaj na Elektryków gra taki mój znajomy z Łodzi. Robił kiedyś muzykę do pokazów, jest didżejem. Będą Kaśka i Tymon.

Minęli kolejne skrzyżowanie.

– Bardzo musimy?

– Przecież ich lubisz.

Prokurator kiwnął głową.

– Są spoko, ale jakoś tak mi się dzisiaj nic nie chce.

– Zobaczysz, będzie fajnie.

ROZDZIAŁ 3 | CZERWIEC

GUSTAW

– O, Rossmann. Widzisz, jaki tu jest numer? Ja pierdołę, czy oni muszą to tak chujowo oznaczać?

– Czterdzieści. Czyje to mieszkanie?

Łaga pokręcił głową.

– Jakichś typiar od Wiktora Duchnowskiego.

– To ten twój ziomek z dzieciństwa?

– Jo. Mieszkaliśmy kiedyś na jednym osiedlu, ale potem się wyprowadzili.

– Chyba jest megadziany, co? – spytał Gustaw.

– No w chuj dziany. Jego stary kręci niezłe wałki.

Weszli w bramę. Łaga w hawajskiej koszuli, którą zamiast hibiskusów zdobiły drapieżne pantery. Włosy przycięte „na grzybka”, na nosie kolorowe lenonki. Obok niego dreptał nieco wystraszony kolega z roku. Białe polo, zwykłe jeansy, nic specjalnego.

– W sensie, że pierze pieniądze? – zgadywał Gustaw.

– Ej, ty to serio się z choinki urwałeś. Niby kujon, a jesteś taki tępy...

– Pytam tylko...

Łaga wyciągnął telefon, żeby sprawdzić wiadomość od kolegi. Wbił kod na domofonie.

– Słuchaj, na pewno trochę musiał posmarować. Tak się robi interesy w tym kraju.

Weszli do środka. Mieszkanie znajdowało się w samym środku Głównego Miasta, jakieś pięćset metrów w linii prostej od fontanny Neptuna. Turyści mylnie nazywali to miejsce starówką.

W Gdańsku nie ma starówki od dobrych osiemdziesięciu lat. W trakcie wojny miasto rozwalili Ruscy. W miejscu starówki wybudowano komunistyczne bloki. Na Głównym Mieście, czyli tam, gdzie znajdują się Neptun, Żuraw, Złota Brama i inne seksowne zabytki, non stop oblegane przez stada mocno opalonych niemieckich emerytów, też właściwie postawiono bloki, ale ukryto je za eleganckimi fasadami przedwojennych kamieniczek.

– Trzymaj to. – Łaga podał Gustawowi siatkę z browarami.

Klatka schodowa wyglądała dokładnie tak samo jak w każdym innym PRL-owskim budynku. Metalowe bariery, olejna lamperia na ścianie i schody z biedackiego lastryka.

– Które piętro?

– Chyba drugie...

Już z parteru słyszeli odgłosy imprezy. Latem był to naturalny element akustycznego krajobrazu. Sąsiedzi najpierw protestowali, a potem się grzecznie wyprowadzili. Mieszkało się tu głównie na wynajem.

Drzwi były uchylone. Łaga wszedł pewnym krokiem. Za nim dreptał Gustaw.

– Jest i on, największy sopocki ruchacz! – zawołał przystojny, wysoki chłopak.

– Elo, mordo! – Łaga zbił piątkę z Wiktorem.

W salonie kręciło się kilkanaście osób. Przy oknie stały dwie modnie ubrane dziewczyny. Gustaw poczuł się nieswojo.

– Ziom, co za kicie! – krzyknął Łaga, opierając się o ramię Wiktora Duchnowskiego. – Czy ty coś z nimi ten?

– Te jeszcze czekają grzecznie w kolejce – odparł młody Duchnowski. – Ale nie bój żaby, ja codziennie zaczynam od jebanka. Taka poranna gimnastyka...

Dziewczyny się tylko zaśmiały. Jedna z nich otworzyła okno i odpaliła papierosa.

– Wiesz, Wikuś, że z własną ręką to się nie liczy? – Zaciągnęła się dymem. Miała mocno wytatuowane ręce i kilka kolczyków w różnych dziwnych miejscach.

– Uuu! – zawołał Łaga.

– Punkt dla ciebie, świnka. Dziewczyny, to jest Marek Łagocki, mój człowiek na prawie. Za kilka lat, jak zostanie papugą, zrobimy taki hajs, że będziemy jagodziankami podcierać sobie dupy.

– Piona, laski.

– Jestem Sonia.

– Natalia... – Druga z dziewczyn wyciągnęła rękę na przywitanie, ale Łaga i tak dał obu po buziaku w policzek.

– A to mój ziomo Gustaw. Wybaczcie mu, że jest trochę sztywny, ale w dzieciństwie wyjechał go ksiądz i odtąd ma traumę...

Gustaw spłonął rumieńcem.

– Daj spokój...

– No ej! Byłeś przecież ministrantem, co nie?

– Kurwa, Łaga, proszę cię, stary.

Dziewczyny tylko się śmiały.

– Jak go wyruchał ksiądz, to przynajmniej nie jest prawiczkim – rzuciła Sonia. – Nie to co Wik.

– Ale ty mnie dziś ciśniesz, kobieto... – powiedział Wiktor i wziął kolejny łyk piwa. – Co pijecie?

– Dawaj, co masz, mordo! – Łaga złapał się za klatę. – Jestem niezniszczalny!

– No i prawidłowo. To dajemy na wódeczkę! Lecę po kieliszki.

Wiktor pobiegł do kuchni, zostawiając Łagę i Gustawa w towarzystwie Soni oraz Natalii.

– Wiecie, czyj to kwadrat? – spytał Łaga.

– Mój – odpowiedziała wytatuowana dziewczyna. – Wynajmuję go z jeszcze jedną kumpelą i takim ziomeczkiem. Widzicie, stoi tam, koło kibla. To Kubson.

– Spoko melina. Taka dla emerytów, he, he.

– A ty gdzie mieszkasz? – Sonia wzięła kolejnego bucha.

– Na Przymorzu, bo blisko na uniwersytet, ale muszę ogarnąć coś bardziej *fancy*.

– A ty? – spytała, patrząc się na Gustawa.

– Żabianka. Gdańsk-Żabianka – wydukał.

– No przecież nie Gdynia-Żabianka, mordo? – Łaga klepnął go po plecach. – Długo znacie Wiktora?

– A to jego da się długo znać? – Natalia zachichotała.

– W sumie...

Sonia wyrzuciła niedopałek przez okno.

– Przykleił się do nas na otwarciu Elektryków i nie chce się odczepić.

– Cały Wiktor. – Łaga pokiwał ze zrozumieniem głową. – O wilku mowa!

– Auuuu! – zawył Wiktor, rozstawiając na parapecie kieliszki. Szybko nalał każdemu po setce. – No to dajemy, za dobre melo!

– Ja chyba podziękuję, napiję się browarka – powiedział Gustaw.

– Prawilniak, nie pierdol, tylko pij!

Łaga wcisnął mu kieliszek do ręki. Gustaw wstydził się odmówić.

Wychylili kolejkę.

– Masz popitę? – spytała Natalia.

– Nie mam popity, złotko, bo zaraz walimy drugą kolejkę!

– *O fuck...* – zaklęła dziewczyna.

Sonia wychyliła kieliszek bez mrugnięcia. Gustawowi było trochę niedobrze.

– Skoczę po popitę – zaproponował.

W kuchni czuć było charakterystyczny zapach marihuany. Kilka osób stało w kółeczku, przekazując sobie z ręki do ręki grubego blanta.

– Chcesz bucha, ziom? – spytała jakaś nieznajoma.

– Nie, ja szukam tylko... – wziął do ręki karton soku pomarańczowego – o, tego!

Wrócił do salonu.

– No to powiedz, Wik, jak tam ta twoja nowa laseczka? – zagaiła Sonia.

– Julia? Ma być dzisiaj.

– Fajna kotka – podsumowała Sonia. – Ruchałabym.

– Uuu, koleżanko! – Łaga objął ją ramieniem. – Widzę, że jesteś *naughty*. Kończymy dziś wieczorem u mnie na kwadracie?

– Spróbuj – odpowiedziała, trzymając usta ledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

– O kurwa, to mój bit! – Łaga poczuł nagle podniecenie. – Dzięki, Kubson! Dajemy na parkiet.

Podkręcili muzykę. Mocny bas sprawiał, że wszystkie meble, od meblościanki aż po żyrandol, zaczęły lekko drżeć.

– Jak ja to, kurwa, Kocham! – wrzasnęła Sonia.

Skakali po drewnianej podłodze. Gustaw nie mógł nadążyć za wszystkimi nowymi twarzami. Widział sporo fajnych dziewczyn. Wydawało mu się, że wciąż ktoś dołącza do tej imprezy. W malutkim mieszkaniu musiało być ze trzydzieści osób.

– No dobra, a teraz na szocika!

*

Na dworze wciąż było jasno, mimo że zegar wskazywał prawie dwudziestą drugą. Gustawowi kręciło się lekko w głowie. Postanowił pić trochę mniej, żeby całkiem nie odlecieć.

Znow zablądził w okolice kuchni.

– Palisz? – spytała Natalia, podając mu zioło.

– Nie, ja...

Obok dziewczyny stał Kubson, współlokator Soni. Szepnął coś Natalii na ucho, po czym ruszył w stronę swojego pokoju.

– Dbasz o płuca?

Gustaw wciągnął głęboko powietrze. Był konkretnie speszony. Natalia mu się podobała.

– Wiesz co, w sumie ... – Alkohol wyłączył mu znaczną część mechanizmu samokontroli. – Daj bucha.

Nie chciał wyjść na sztywniaka i pragnął w końcu spotkać jakąś dziewczynę. W końcu. Wreszcie.

Tak naprawdę przez całe życie był sam. Kilka razy miał szansę kogoś poznać, ale po pierwszej randce zawsze dostawał kosza. Wraciał wtedy do domu, zamykał się w łazience i patrząc w lustro, pytał: „Czemu ja zawsze

muszę wszystko spierdolić? Przecież nie jestem brzydki. Dobrze wyglądam. Tylko jak otworzę ryj...”.

Natalia nie była taka wyszczekana jak inne laski na imprezie. Sprawiała wrażenie miłej dziewczyny. Kogoś bardziej z jego ligi.

Podawała mu blanta. Mocno się zaciągnął. Gryzący dym wypełnił mu płuca. Zadrapało go w gardle. Dostał ataku kaszlu.

– Chyba nigdy nie paliłeś, co? – spytała Natalia, wciąż bardzo serdecznym tonem.

Gustaw nie mógł odzyskać głosu.

– Neeee – wychrypiał. Oddał dziewczynie skręta i kaszlał dalej.

– Napij się wody – powiedziała Natalia, podając mu butelkę.

Poczuł, że jest lepiej. W końcu odzyskał głos.

– Dzięki.

– Spoko. Nie możesz tak tego trzymać w gardle. Musisz wciągnąć głęboko i powoli wypuścić.

– To chyba nie dla mnie – odparł zrezygnowany.

– Ministranci nie jarają? – rzuciła z uśmiechem na ustach.

Gustawowi brakowało dystansu do samego siebie.

– Nie jestem ministrantem. Kiedyś, za dzieciaka, służyłem do mszy...

– Hej. – Złapała go za rękę. – To nic złego. Ja też chodzę do kościoła.

Gustaw spojrzał jej w oczy. Myślał, że go wkręca.

– No dobra, gołąbeczki, zbieramy się! Uberki zamówione, zaraz wbijamy na Ele! – wrzasnął Wiktor, gdy wpadł do kuchni.

– Pij dużo wody – powiedziała Natalia, wciąż nie puszczając ręki Gustawa. – A teraz chodź!

KONRAD KROON

Stocznia była tu właściwie od zawsze. Najpierw robili statki, było brudno i szaro. Za komuny ktoś się poważnie wkurwił, pokazał władzy środkowy palec, pociągnął za sobą innych. Pierwsza pokojowa rewolucja w dziejach Polski. Solidarność, Nobel dla Wałęsy, wizyta papieża, potem wolne wybory.

W międzyczasie przestali robić statki, robotnicy znów zaczęli strajkować. Politycy obiecywali, stocznia upadała; potem ją sprzedawali, restrukturyzowali, ale z każdym rokiem coraz bardziej oczywiste stawało się to, że czasy świetności nigdy nie wrócą.

Najpierw, kiedy jeszcze wokół całej stoczni stał płot i wchodziło się na przepustki, imprezowali tu jedynie artyści. Potem otworzyli klub Buffet i zjechali się hipsterzy.

Potem było kilka lat nie wiadomo czego. Miasto wyburzyło fajne loftowe budynki, zbudowało nikomu niepotrzebną drogę, która była solą w oku wszystkich nowoczesnych urbanistów. Wtedy jednak ktoś wpadł na pomysł, że można tu zrobić imprezownię. Nie klubokawiarnię, nie dyskotekę, nie salę koncertową, ale coś, czego w Europie jeszcze nie było. I wtedy narodziła się Ulica Elektryków.

Pośród dawnych stoczniowych hal, z widokiem na dźwigi, statki i doki, ustawiono bary i *dancefloor*. Wstawiono ogromny, designerski neon, rozwieszono lampki. Tańczono na dworze. Muzyka odbijała się od starych cegieł, nie przeszkadzając mieszkańcom i ryjąc mózgi imprezowiczom. Była miłość, były narkotyki i była wolność. To była prawdziwa młodość, ta sama co zawsze, od setek lat, ale w nowej odsłonie, szytej na lata dwudzieste trzeciego tysiąclecia. Taka, za którą się tęskni. Nieposkromiona, dzika i najpiękniejsza.

Konrad gadał właśnie z jakimś kumplem, popijając piwo. Jednak dał się zaciągnąć na stocznię.

– Marcin, mówię ci, kicha z tym twoim radiem.

– Stary, a gdzie indziej mam pracować w Trójmieście? To nie Warszawa, że możesz sobie wybrać.

– Ale tak się zeszmacić...

– Ja pierdolę, Konrad! Sam jesteś prokuratorem, robisz u Zdziśka, a mi masz za złe, że tyram w państwowym radiu!

Kroon spojrział przed siebie. Zuza stała kawałek dalej i gadała z jakimiś artystami.

– Ja nie prowadziłem żadnej politycznej sprawy, a ty robiłeś nagonkę na Hoffera.

– Koleś ma sporo na sumieniu. Podobnie jak ten Duchnowski, którego co chwila o coś oskarżacie.

– Słuchaj, ja go nigdy o nic nie oskarżyłem. To po pierwsze. A po drugie Duchnowski nie jest politykiem opozycji. To duża różnica.

– Różnica jest taka, że ciebie nie boli branie państwowej kasy, ale nie lubisz, jak robią to inni.

– Marcinku. – Kroon spojrział serdecznie na kolegę. – Przecież wiesz, że ja mam tak naprawdę w to wszystko wyjebane. Dlatego wciąż nie mam żadnych siwych włosów i staje mi jak piętnastolatkowi.

– To, kurwa, pojechałeś...

Podszedł do nich jakiś koleś. Usiadł przy barze i słuchał, o czym gadają.

– Musisz się odpiąć, Marcinku, wyluzować. Świata nie zmienisz.

– Zawsze obracasz kota ogonem.

Nieznajomy przysunął się bliżej.

– Jak się chcecie wyluzować, to znam kogoś, kto ma kilka fajnych rzeczy. Potrzebujecie czegoś?

Kroon popatrzył litościwie na dilerka.

– Ty chyba, synu, całe życie masz pecha, co? Urodziłeś się w piątek trzynastego, a potem było już tylko gorzej?

– Hę? Nie kumam...

– Wiesz co... udam, że tego nie słyszałem. – Konrad spojrzał na niego z wściekłością. – Nie jestem już w pracy. A ty... spierdalaj stąd. I jak zobaczą, że sprzedajesz to gówno jakimś dzieciakom na imprezie, to cię, kurwa, zawinę na dołek, przyczepię akumulator do jaj i będę tak długo przesłuchiwać, aż mi podasz numer do swojego Escobara w Kolumbii, Wenezueli, Hondurasie czy skąd tam ciągniesz ten szajs.

– Człowieku, wyluzuj... Żartowałem – bąknął diler i ruszył w kierunku bramek.

– Masz wypierdalać. Rozumiesz? – powtórzył głośniejszym głosem Kroon.

Diler szybko minął ochroniarza i zniknął gdzieś za winklem.

– Nigdy nie jarałeś? – spytał Marcin.

– Pewnie, że jarałem. Ale teraz jestem szeryfem. Kumasz?

GUSTAW

Kręciło mu się w głowie. Obrazy przelatowały przez jego świadomość w dziwnym, kalejdoskopowym porządku. Szedł gdzieś za Wiktorem, obok maszerowała Natalia. Trzymali się za rękę.

– Dajemy do baru! – zawołał Łaga.

– Wszyscy są? – spytała Sonia. – Kubson, gdzie leziesz?

Współlokator Soni podbiegł do jakiegoś kolegi. Pocałowali się na przywitanie.

– No i po nim – podsumowała Natalia.

– Dobra, kochanie, będzie... – Wiktor policzył, ilu znajomych jest teraz przy barze – ...pięć szotów!

Gustaw się rozejrzył. Większość ludzi z domówki rozeszła się gdzieś po Ulicy Elektryków. Część wbiła od razu na parkiet, inni skoczyli do sąsiednich imprezowni.

– Wasze zdrówko, ziomeczki! – zawołał Łaga i wychylił pierwszy kieliszek.

– A teraz idziemy tańczyć! – zarządziła Sonia.

Stanęli kawałek od didżejki. Kubson ścisnął się koło głośnika za swoim chłopakiem.

– Ooo, gołąbeczki – pisnęła Natalia.

Elektroniczna muzyka przeplatała mocny bit z jakimś starym polskim hitem z lat osiemdziesiątych. Rytmiczne brzmienie wprowadzało w lekki trans, nawet jeśli nie było się po narkotykach.

Sonia zamknęła oczy. Nie myślała o tym, gdzie jest, nie myślała o tym, gdzie będzie. Płynęła z prądem.

Wiktor co chwila sprawdzał telefon.

– No i gdzie ta twoja ciapcia? – szepnął mu do ucha Łaga.

– Zaraz ma być...

Gustaw starał się nie tracić tempa. Bał się, że tańczy zbyt pokracznie. Co chwila zerkał to na Łagę, to na Wiktora i starał się ruszać tak jak oni. Nagle ktoś go szturchnął.

– Sorry – powiedziała obca dziewczyna.

Gustaw nie odpowiedział.

– Ej, wszystko w porządku? – spytała Natalia.

– Tak, jest okej.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Chyba nie za bardzo. Chodź wyczilować. – Złapała go za rękę i wyciągnęła z tłumu. Gustaw nie wiedział, co się dzieje. Stanęli przy

barze. – Red bulla i wodę!

– Dwie dyszki.

Natalia przyłożyła telefon do terminala. Piknęło.

– Pij. – Podała Gustawowi energetyka. – Najpierw to, a potem woda.

Gustaw wziął puszkę.

– Ja...

– Chodź, przycupniemy gdzieś! – postanowiła dziewczyna.

Usiedli na drewnianych paletach ustawionych wzdłuż ściany dawnego magazynu. Sporo osób odpoczywało tu od tańca, inni sączyli driny. Niektórzy po prostu próbowali nie odlecieć.

Gustawowi zrobiło się trochę lepiej. Skumał, że Natalia cały czas go lekko podtrzymuje. Była bardzo ładna. Właściwie to w jego typie. Delikatna uroda, ciepłe oczy, serdeczny uśmiech. Niezbyt wysoka.

– Dzięki – powiedział łamiącym się głosem. Wtedy też poczuł, jak pocałował mu się dłoń. Fajna laska i on. – Uratowałaś mnie.

– Taka ze mnie siostra miłosierdzia. – Zachichotała. – Włączył mi się opiekun.

– To przez ten kościół – powiedział. Pierwszy raz tego wieczoru sklecił jakiś żart. W dodatku śmieszny.

– Ty byłeś ministrantem, a ja chodziłam na scholę.

– Serio? – spytał z poważną miną.

– Serio to nie. – Wzięła od niego wodę. – Ale do kościoła czasem chodzę. – Mrugnęła.

– Uff. Bałem się, że wyszedłem na katolickiego taliba.

– Bo wyszedłeś. – Natalia była zadziorna.

Siedzieli chwilę w ciszy.

– Nie wiedziałem, że przyjdzie tu tyle ludzi.

Niemal na całej ulicy i po wszystkich okolicznych dyskotekach kręciły się prawdziwe tłumy. Kolejka tych, którzy chcieli wejść, miała dobre dwieście metrów.

– Zawsze tak tu jest latem.

– Tak słyszałem.

Natalia spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie mów, że jesteś tu pierwszy raz.

– Dobra, nie powiem. – Udał, że zamyka usta na klucz.

Zaśmiała się.

– Ministrant prawiczek...

– Rozgryzłaś mnie. – Mrugnął do niej.

„Ja pierdzielę, chyba mi wychodzi” – pomyślał. „Czy mam ją objąć? Złapać za rękę?”

Siedzieli tak jeszcze chwilę, obserwując ludzi. Gustaw czekał, aż coś się wydarzy. Liczył, że Natalia zadecyduje za niego.

– Chyba już wydobrzałeś – oznajmiła. – Chodźmy do innych!

WIKTOR

Łaga bajerował jakieś dziewczyny przy barze.

– Skąd jesteście? Warszawa?

– Z Iławy! – krzyknęła drobna blondynka.

– Skąd? – Łaga nie dosłyszał.

– Z Iławy! – pisnęła nieco głośniej.

– O kurczę, a wyglądacie jak z Warszawy.

Dziewczyny się zaśmiały.

– Dlaczego?

– Bo macie światowe twarze – wtrącił Wiktor, chowając telefon do kieszeni. – Co pijecie?

– Spoko, mamy piwko – odparła nieznajoma.

– Piwko... Ej! – krzyknął do barmana. – Dwa aperolki dla moich przyjaciółek. – Położył na blacie stówkę. – Zrób od razu i reszty nie trzeba!

Dziewczyny były wyraźnie podjarane.

– A wy? – zagała blondynka.

– My jesteśmy stąd... – wyjaśnił Łagocki. – To jest Wiktor Duchnowski, a ja...

– Łaga – wtrącił Wiktor. – Studiuję prawo!

– Uuu. – Dziewczyna spojrzała z uznaniem. – Ja jestem Karolina, a to Ola. – Wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Tu, nad morzem, witamy się buziakiem – powiedział Łaga. Pocałował każdą z dziewczyn w policzek.

– A w Sopocie dajemy sobie zwykle trzy – dodał Wiktor i wymienił grzecznościowe buziaki.

– Ej, ale przecież nie jesteśmy w Sopocie – zauważyła Karolina.

Wiktor objął obie dziewczyny.

– A to wtedy należy się tylko jeden – rzucił, całując każdą kolejny raz.

Nieznajome zachichotały.

– I oto wjechały wasze drineczki! – zawołał Łaga, zabierając z baru kieliszki.

– Dzięki! – powiedziały niemal jednocześnie.

– Na ile tu przyjechałyście?

– Tylko na weekend – wyjaśniła Karolina. Była tą bardziej rozmowną.

– Impreza? – spytał Wiktor, przysuwając się do Olki. Wybrał ładniejszą.

– No... słyszałyśmy o Ulicy Elektryków...

– Czyli trzy dni melanzu – podsumował Wiktor i dość jednoznacznie wypchnął językiem policzek. Tę ukrytą wiadomość dostrzegł jedynie Łaga.

– Tak jakby. – Karolina zaśmiała się niezbyt inteligentnie.

– Idziemy baunsić! – zarządził Wiktor, biorąc Olkę za rękę.

Łaga chwycił dłoń Karoliny. Tańczyli w niewielkim kółeczku. Chwilę później dobiła do nich Natalia z Gustawem.

– O, są i nasze ziomeczki! – zawołał Wiktor, trzymając Olkę za biodro. Byli bardzo blisko.

– To jest największy mózg na prawie – powiedział Łaga, wskazując palcem na Gustawa. Ten odetchnął z ulgą. Bał się, że Łaga znów będzie miał z niego polewkę. Dziewczyny pokiwały głowami. – A to jest moja zaginiona druga połówka! Szukałem jej całe życie!

Karolina położyła dłoń na policzku Łagi.

– Słodki jesteś, ale nie tak szybko!

Olka nie miała takich oporów. Właśnie całowała się z Wiktorem.

– Co za agent. – Natalia pokręciła głową. Tańczyła obok Gustawa. – A gdzie Sonia?

– Poszła gdzieś z tym swoim pedziem – rzucił Wiktor, głaszcząc brzuch Olki.

– Wik, ty homofobie... – zbesztła go Natalia.

– Chyba tam jest – zauważył Gustaw, wskazując na drugi parkiet.

– O kurwa...

SONIA

Sonia weszła do kabiny z Kubsonem. Położyła torebkę na kiblu.

– Znasz go? Co to za ziomek?

- Jest kumplem Velosa. Sprawdzone źródło.
- To ten didżej? – spytał Kubson.
- Velos rozkręcił Elektryków. Czasem gra, ale teraz głównie ogarnia – wyjaśniła współlokatorka. Wyciągnęła z kieszeni foliowy woreczek.
Ktoś zastukał pięścią w drzwi toalety.
- Jak chcecie się jebać, to idźcie w krzaki! Ludzie czekają!
- Spokój, laska! – odkrzyknęła Sonia. Podała Kubsonowi tabletkę. Wyglądała jak pudrowy cukierek, z malutką, niezbyt równą gwiazdką.
- Nie odjadę przez to?
- Odjedziesz. O to chodzi. – Uśmiechnęła się, trzymając pigułkę między zębami.
- Ale nie wyląduję na OIOM-ie?
- Sonia połknęła narkotyk.
- To tylko ecstasy, a nie żadne jebane dopalacze. MDMA, kofeina i trochę śmieci.
- No dobra...

*

Tańczyli na parkiecie, kręcąc mocno biodrami. Na Kubsona zerkała pływająca obok, niezbyt przytomna brunetka. Sonia zbliżyła się do nieznajomej.

- Jak masz na imię?
- Paulina. A ty? To twój chłopak?
- Sonia. A to Kubuś. Ale raczej nie będziesz go mieć.
- Jesteście parą? Mnie to nie przeszkadza – wyjaśniła, kiwając głową w rytm muzyki. Perkusja wybijała jednostajne tempo. Sto osiemdziesiąt uderzeń na minutę, chrupiący bas.

- Po prostu nie lubi lasek – wyjaśniła Sonia.
- Jak można nie lubić lasek? – zdziwiła się nieznajoma.
- Nie wiem, kochanie – odparła i polizała Paulinę po krawędzi ucha.

Przytuliły się do siebie.

JULIA

Wiktor tańczył z Olą. Wyciągnął telefon i spojrzął na Instagram. Brak powiadomień. Żadnej nowej wiadomości.

– Nie wiedziałem, że Sonia jest lesbijką. – Gustaw się zmieszał. – Nie wygląda na lesbę.

– A jak wygląda lesba? – spytała Natalia.

– No, taka bardziej ostrzyżona na krótko, bez makijażu, brzydka...

Natalia parsknęła śmiechem.

– Ty chyba serio oglądasz tylko TVP.

Gustawowi nagle zrobiło się strasznie głupio.

– Nie no, ja nic nie mam do homo, ale... po prostu myślałem...

– Nie kompromituj się już lepiej – powiedziała bez troski Natalia.

Łaga zaciągnął swoją zdobycz do baru. Miał co do niej dużo planów, ale dziewczyna w pewnym momencie zaczęła trzymać dystans. Łagocki stwierdził, że winne temu jest zbyt niskie stężenie alkoholu.

Gustaw za to bał się, że znowu spalił.

– O, tu jesteście! – Sonia wbiła się do kółka wraz ze swoją nową zdobyczą. – Widzę, że Wiktor radzi sobie lepiej od Łagi.

Wydarzenia następowały po sobie bardzo szybko. Marek Łagocki trochę za bardzo zaszarżował i fajna laska z Ławy przestraszyła się, że bogaty dzieciak znad morza chce ją po prostu przelecieć, zrobić zdjęcie,

wysłać kumplom i pożegnać czułymi słowami: „O kurwa, ale już późno, muszę lecieć do starych, umówiliśmy się na sobotni obiadek, napiszę do ciebie, idź już, majtki możesz zostawić na pamiątkę”.

– Karolinka, o co chodzi? Co ty tak nagle spoważniałaś?

– Po prostu potrzebujemy trochę ochłonać, Mareczku.

– Ale ja nie chcę ochłonać! Jestem gorący jak jakaś jebana Etna, gorący i sztywny. – Raz jeszcze zagrał twardziela. To nie była właściwa taktyka.

– Widzę, Łaga. Wiem, do czego zmierzasz, ale to się nie skończy tak, jak planowałeś.

„Kurwa, dama się znalazła. Wieśniara z Iławy” – pomyślał Łagocki.

– Karolinko, serio, naprawdę mi się podobasz. Myślę, że coś z tego może być. Coś naprawdę wspaniałego.

Skrzyżowała ręce na piersiach. Szukała pomocy przyjaciółki. Niestety, Olka była w tej chwili bardzo zajęta. Kilka metrów na lewo rozgrywała się niemalże lustrzana sytuacja.

– Ej, Wiktor. Idziemy tańczyć? – spytała młodego Duchnowskiego Olka. Ten wpatrywał się w telefon, przeglądając po kolei wszystkie portale społecznościowe.

– Czekaj chwilę, nie widzisz, że coś robię? – Nagle zmienił mu się nastrój.

Olka posłusznie stanęła koło baru. Podobał jej się Wiktor, szybko się zorientowała, że ma kupę kasy. Przystojny, z dobrego domu, bogaty. Czego więcej może chcieć kosmetyczka z Iławy?

– Olcia, chodź się na chwilę przewietrzyć – zaczepiła ją Karolina.

– Przecież jesteśmy na powietrzu...

– Chodź na chwilę – prosiła koleżanka.

– Daj spokój. Baw się. – Przytuliła się do Wiktora. Ten ją całkowicie zignorował.

Sonia tańczyła z nowo poznaną Pauliną. *One-night stand*. Gustaw zerkał na Natalię. Dziewczyna dobrze się bawiła, ale nie szukała bliskości. Po prostu skakała w rytm muzyki. Rozejrzał się wokół. Ludzie oddani zabawie. Raczej w jego wieku, niektórzy trochę starsi. Patrzył na ich twarze, na ubiór, na gesty. I wtedy ją zobaczył.

Julia szła wolno przez tłum, nigdzie się nie spiesząc. Ludzie schodzili jej z drogi, rozstępując się na boki niczym Morze Czerwone. Miała biały top i jasne, szerokie spodnie. Długie brązowe włosy opadały na nagie ramiona.

Choć Gustaw był już wstawiony, mógł przysiąc, że dziewczyna emanuje delikatnym blaskiem. Otaczała ją jakaś niezwykła łuna, świetlista poświata. Do takich kobiet wzdychali poeci. O takie jak ona wszczynano wojny; dla takiej laski Parys podpalił Troję, a Bohun utopił Ukrainę we krwi.

– Julka! – zawołała Natalia, biegnąc przywitać się z nowo przybyłą. Dziewczyny padły sobie w ramiona.

– Cześć, laska! – krzyknęła Sonia i posłała jej buziaka.

Wiktor wciąż siedział z nosem w telefonie. Olka nie odstępowała go na krok. Spojrzał na parkiet i zaniemówił.

– To jest Paulina, to Gustaw – wyjaśniła Natalia. Wzięła Julię za rękę i wprowadziła do kółeczka. Dziewczyna przyłączyła się do zabawy.

Gustaw obserwował jej każdy ruch. Miała duże, ciemne oczy i delikatny uśmiech. „Gdzieś już go widziałem” – pomyślał. Nigdy nie był w Luwrze, właściwie to prawie w ogóle nie podróżował. W domu nigdy nie było na to kasy, ojciec mówił, że Polska jest najpiękniejsza. Widział ten obraz na reprodukcjach, słuchał Grechuty. Cholerny romantyk. „Kobieta

ubrana z tamtych lat żywotnych, lekko się uśmiecha niepewna przybysza. Wykrzykujesz nagle imię jej gwałtownie – Gioconda! Lecz w oknie pustka, wokół cisza. Gioconda, to ona przemyka...”^[1]

Śnił o takiej dziewczynie jak ona. Wiedział, że jest to istota, która stąpa po cienkiej linii oddzielającej to, co realne, od nieskończoności. Odsunął się kilka kroków w tył. Bardzo się bał.

Wiktor ruszył wolno w stronę Julii. Olka została przy barze, nie wiedząc, co ma robić.

– Kto to jest? – spytała Łagę Karolina. – Wygląda jak gwiazda...

Łagocki milczał. Sam chciał znać odpowiedź na to pytanie.

– Cześć, Julka. Myślałem, że już nie przyjdiesz – zaczął Wiktor, nachylając się do dziewczyny. Julia dała się pocałować w policzek.

– Jednak przyszłam – rzuciła zdawkowo.

Julia nigdy nie mówiła dużo. Świat kręcił się wokół niej, niczym wokół jakiegoś absolutu, a ona – zgodnie ze starym zwyczajem bogów – głównie milczała. Nie musiała nic mówić.

[1] M. Grechuta, *Tajemniczy uśmiech* (piosenka), *Ocalić od zapomnienia*, 1990.

ROZDZIAŁ 4 | PAŹDZIERNIK

WERONIKA

Strzyża to niewielka rzeczka przepływająca przez środek Gdańska. Wypływa gdzieś z Kokoszek lub Matarni, krąży figlarnie między secesyjnymi kamienicami Wrzeszcza, by w końcu, całkiem anonimowo, wpaść do Martwej Wisły. Sto lat temu zasilala w wodę okoliczny browar. Dziś jednak nikt nie pamięta już, jak smakuje piwo Hevelius ani jak wyglądał przykryty żelbetową płytą Staw Browarny. Gdyby dać deweloperom wolną rękę, to z pewnością zabetonowaliby całą biedną Strzyżę, ukryli, wyprostowali, wymazali z mapy miasta i postawili jeszcze kilka nikomu niepotrzebnych galerii handlowych. Bo lubią.

Strzyża jest dziś całkiem nieistotna. Gdyby była bardziej dostojna, przyjemnie byłoby na nią patrzeć. Niestety przypomina raczej płytki ściek. Zerkasz na nią i widzisz brzydką nastolatkę z problemami: za chudą, za pryszczatą, za cichą. Coś jest w tym porównaniu. Strzyża, jak każda laska ze zrytą banią, dostaje czasem ataku szału. I nie mówimy tu o zwykłym rzucaniu talerzami, tylko o konkretnym rozpierzdołu.

Raz na kilka lat, zwykle na przełomie czerwca i lipca, malutka, śmierdząca Strzyża zamienia się w rwący, górski potok. Aktywiści mówią,

że to przez zabetonowanie górnego tarasu. Ale kto by tam słuchał aktywistów.

Kiedy Strzyża wpada w furję, cały Wrzeszcz zamienia się w pola ryżowe. Woda zalewa piwnice, mieszkania i sklepy. Topi samochody. Nie bierze jeńców, nie zna litości. Przez Galerię Bałtycką można wtedy płynąć kajakiem, po Grunwaldzkiej (głównej arterii Gdańska) śmigają motorówki. Jest wtedy całkiem wesoło. Tylko patrzeć i wpierdalać popcorn, jak Jackson z tego śmiesznego GIF-a.

Była końcówka października, miasto pogodziło się z jesienią, Strzyża wyglądała tak jak zwykle. Zaspany spacerowicz szedł wzdłuż ulicy Kilińskiego prowadzony na smyczy przez brązowego beagle'a. Przystanął, pozwalając zwierzęciu zrobić to, co trzeba. Zerknął na telefon, rzucił okiem na nowe bloki. Potem spojrzał na rzeczkę.

– Hę? – szepnął.

W płyciźnie coś się ruszało. Mężczyzna podszedł bliżej. Pod przerzuconym nad Strzyżą ceglany mostkiem na wodzie unosiło się ciało.

– Matko Boska...! – zawołała starsza kobiecina, przystając obok.

*

Najpierw przyjechał radiowóz. Pechowcy z prewencji zawsze musieli brać na siebie pierwszy cios. Chwilę później zjawiono się pogotowie. Wspólnymi siłami wyciągnęli Weronikę na brzeg.

– Nie ma sensu robić reanimacji – powiedziała ratowniczką w pomarańczowym kombinezonie. – Cała zimna. Możecie od razu dzwonić po „Zieleń”.

Prokurator Borucki miał szczęście. Telefon od dyżurnego zastał go w chwili, kiedy i tak szykował się do wyjścia.

– Kilińskiego? Ale jakaś melina czy co? – dopytał przez słuchawkę. – Strzyża? No dobra. To będzie szybka akcja. Macie wydzwonionego lekarza? Doktor Storek? No i super.

Wokół Weroniki rozstawiono tymczasowy parawan. Najpierw ją rozebrano, później dokładnie obejrzano.

– ...śladów działania osób trzecich nie stwierdzono. – Lekarz skończył dyktować.

Policjantka z dochodzeniówki zapisała ostatni fragment protokołu. Wręczyła go wszystkim uczestnikom oględzin. Pracownik zakładu pogrzebowego przygotował czarny worek. Zimne ciało Weroniki zniknęło pod plastikowym woalem. To było jej pożegnanie z Wrzeszczem.

KONRAD KROON

Kroon dopijał właśnie poranną kawę. Prokuratura Rejonowa Gdańsk-Wrzeszcz powoli witała kolejny dzień pracy. Kilku prokuratorów stało we wspólnej kuchni i szykowało się do roboty, omawiając bieżące problemy.

– Czyli, Krzysiu, jesteś w dupie – powiedział do kolegi Kroon, klepiąc go po plecach. – Ale jak to mówią: masz pieczętkę? No to wiesz, co robić.

Rozeszli się po pokojach. Konrad pobieżnie przejrzał świeżą stertę dokumentów zabraną z sekretariatu.

„Nic takiego, co by nie mogło poczekać” – pomyślał. Ściągnął z wieszaka togę i wziął torbę z aktami.

– Baśka! – zawołał jeszcze z korytarza. – Ty masz tam dziś tego swojego aplikanta? – Staął w drzwiach do pokoju koleżanki.

– No mam – odpowiedziała z za komputera. – Siedzi w pokoju po Kowalkowskiej.

– Pożyczysz mi go na chwilę?

– Okej, ale musi mi zrobić parę zwolnień z tajemnic.

– No to w pięć minut to ogarnie.

Prokurator Barbara Nowicka zrobiła skwaszoną minę.

– Co ty... To nie jest aplikant prokuratorski, tylko praktykant z uniwerku. Nic nie umie.

– Dam mu rachunki do płacenia. To nawet mała potrafi – odpowiedział Kroon.

Z sekretariatu wyszła młoda urzędniczka.

– Panie prokuratorze, dostał pan zgon. – Wręczyła mu akta podręczne.

– Nie ma mowy. Robiłem trupa w zeszłym tygodniu.

– Szefowa zadekretowała to na pana.

– Zaraz idę do sądu na cały dzień. Mam dziś Duchnowskiego, końcówka. Nie da rady.

Pracownica wcisnęła mu akta siłą.

– No to musi pan gadać z szefową... – Wróciła do sekretariatu.

Kroon zaklął. Ruszył prosto do gabinetu Rejonowej.

– Kurde, Magda, czy ty się na mnie uwzięłaś? Wiesz, że mam dziś Duchnowskiego!

– No i co z tego? Wolęś dostać kolejną gospodarczą? Może jakaś trzysetka albo znęty na dzieciach z zawiadomienia MOPS-u? Wiesz, ile dziś takich przyszło w poczcie?

– Nie wyrabiam. Za dużo tego – warknął Kroon.

– Będzie jeszcze więcej. – Wskazała porozumiewawczo na korytarz.

Kroon trzasnął drzwiami.

– O co chodzi?

– Krzysiek odchodzi do okręgu. Będziemy dzielić jego referat – oznajmiła ze smutkiem szefowa.

- Pierdzielisz! Przecież nas tu prawie już nie ma!
- Powiedzieli, że mam kogoś wybrać. Nie było ochotników.
- Trzeba było im dać Boruckiego.
- Chciałbyś dostać sprawy po Boruckim? – Napila się herbaty. – Niech sam kończy ten syf.

Kroon podszedł do okna. Spojrzał na dziki parking, później otworzył akta nowej sprawy. Wewnątrz znajdowała się jedynie cienka notatka urzędowa sporządzona przez prokuratora Boruckiego. To on był na miejscu ujawnienia zwłok.

- Ech... – westchnął.
- Prosta sprawa. Zrobisz sekcję, wydasz zwłoki, umorzysz.
- Lecę teraz do sądu na jakąś pomoc prawną. Potem mam chwilę do Duchnowskiego. Wtedy to ogarnę.
- Pewnie... Zamknij za sobą, dobra? – odpowiedziała szefowa, wracając do wertowania papierzyk.

ZUZA

Zza okien pracowni widać było dawne stoczniove hale. Żeliwne kaloryfery grzały z całą mocą, próbując za wszelką cenę pokonać chłód wysokiego, białego pomieszczenia.

Łóżko stukotało na betonowej podłodze. Niektórzy zastanawiali się, po co w studiu fotograficznym łóżko. Zuza dobrze wiedziała po co.

- O ja pierdołę, jakie to było dobre – powiedziała, nakrywając się kołdrą. Wzięła ze stolika paczkę papierosów.

Kochanek powoli dochodził do siebie.

- Ja tylko czekam, kiedy ten twój stary mnie zapudłuje.

Fotografka jedynie się zaśmiała.

– Konrad? On jest całkiem nieszkodliwy.

– Wie, że się puszczasz na boku?

– Nie zna szczegółów, ale...

Pojedynczy snop światła zatańczył w smudze papierosowego dymu. Zajączek odbił się od źrenicy ustawionego na statywie obiektywu.

– Macie otwarty związek? – dopytywał mężczyzna.

Zuza zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Znamy realnie nasze możliwości – wyjaśniła. – Wie, że lubię się jebać.

Leżeli w ciszy.

– Teraz to czuję się wykorzystany – powiedział pół żartem, pół serio przygodny kochanek. Zuza się zamyśliła.

– Muszę jeszcze trochę popracować. Nie krępuj się.

Wstała z łóżka i podeszła do wysokiego stołu z komputerem. „Jeżeli zabałaganione biurko jest oznaką zabałaganionego umysłu, to czego oznaką jest puste biurko?” – pytał retorycznie Albert Einstein. Pośród sterty książek i papierzysek trudno było cokolwiek znaleźć. W umyśle Zuzy działało się tak wiele.

Zamaszystym ruchem ręki oczyściła blat ze zbędnych przedmiotów. Błękitna okładka kultowej książki Milana Kundery z nieznośną lekkością uderzyła o podłogę.

– Posprzątane – mruknęła.

Mężczyzna wciągnął spodnie i zapinając koszulę, podszedł do Zuzy. Ta zdawała się go już nie zauważać.

– Jak na żonę prokuratora bardzo wyluzowana z ciebie babka.

– Nie jesteśmy małżeństwem... – bąknęła.

Kochanek założył buty. Miał ochotę porozmawiać, ale najwyraźniej rozmowa była już skończona.

Jeszcze przez chwilę podziwiał nagie ciało dziewczyny przemykającej po wnętrzu pracowni. Na ścianie wisiała reprodukcja *Sądu ostatecznego* Memlinga. Jej ulubiony malarz.

– Za trzy tygodnie będę miał taką miniwystawę w Żaku. Może wpadniesz?

– Może...

GUSTAW

Na praktyki w prokuraturze Gustaw zapisał się jeszcze w zeszłym roku akademickim. Wiedział, że teraz na rynku pracy nie jest łatwo. Odkąd kilkanaście lat temu otwarto zawody prawnicze, po studiach można było łatwiej się utrzymać, jeżdżąc na taksówce, niż pracując w kancelarii.

Konkurencja była ostra. Jeśli nie tyrałeś w jakiejś renomowanej spółce starych, zepsutych adwokatów, mogłeś zapierdalać w korpo jako zwykły szczur albo z trudem wiązać koniec z końcem, prowadząc własną praktykę.

Gustaw nie miał żadnych znajomości, ale był zdolny i pracowity. Postanowił, że jeszcze na studiach wyrobi sobie dobre portfolio, które pozwoli mu dostać na aplikacji robotę w jakiejś porządnej kancelarii.

Per aspera ad astra – głosiła maksyma, którą ustawił sobie na tapecie telefonu. Przez trudy do gwiazd. Ten zapał wpojono mu w domu. „My ci, synku, nie pomożemy. Jeśli chcesz być kimś, musisz się uczyć i ciężko pracować. Zasługujesz na sukces” – mówiła mu matka. „Zawsze możesz robić łopatą” – przyganiał ojciec.

– Dzień dobry – powiedział Konrad Kroon, stając w drzwiach. Gustaw oderwał się od komputera. – Mam tu dla pana kilka spraw, ustaliłem z

prokurator Nowicką, że mi pana na chwilę wypożyczy.

– Dzień dobry. Oczywiście, chętnie pomogę – odpowiedział Gustaw i grzecznie wstał.

– Tu ma pan akta, tu wzorki. – Kroon rzucił papiery i pendrive na blat. – Na karteczce zapisałem panu kod. Najpierw proszę wszcząć śledztwo w sprawie tego zgonu, powołać biegłych. Zadzwoni pan do ZMS-u i spyta o numery próbek do badań krwi.

– ZMS-u...? – powtórzył Gustaw.

– Zakładu Medycyny Sądowej. Weźmie pan z sekretariatu numer.

– Tak jest, panie prokuratorze.

– Śledztwo oczywiście w kierunku sto pięćdziesiąt jeden. Wie pan, co to za przestępstwo?

– Nieumyślne spowodowanie śmierci? – strzelił student.

– Słabiutko – prychnął Kroon. – Pomoc do samobójstwa. Zawsze w wypadku samobójstwa wszczynamy postępowanie z tego artykułu. I szybkie pytanko: dlaczego jest to osobny typ przestępstwa, skoro prawo karne operuje pojęciem form współsprawczych popełnienia czynu?

Niespodziewana odpytka. Gustaw czuł się jak na egzaminie. Czterdziestoletni prokurator miał coś takiego w oczach, co odbierało śmiałość najbardziej pewnym siebie osobom. Gustaw nigdy nie był pewny siebie.

– No, panie Kolasa? – ponaglił go Kroon.

– ...bo samobójstwo jako takie nie jest karalne? – odparł praktykant.

– Więcej pewności siebie, kolego. Dobrze. Jest jeden do jednego. Przygotuj się na więcej pytań. Jak chcesz się dostać na prokuratorowską, musisz być ostry jak brzytwa.

– Rozumiem. Tak, będę się miał na baczności – wydukał Gustaw. Cieszył się, że udało mu się jakoś wybronić z tego niespodziewanego kolokwium.

Kroon miał już zamknąć drzwi, ale powiedział jeszcze:

– Jeśli znajdujemy martwe ciało, przyczyna zgonu jest nieznana, ale nie ma śladu działania osób trzecich, to wszczynamy śledztwo w kierunku sto pięćdziesiąt jeden albo sto pięćdziesiąt pięć. Tu bardziej pasuje sto pięćdziesiąt jeden, ale nie pytaj dlaczego. Taka jest praktyka. Teraz lecę do sądu, jak wrócę, to ma być zrobione. Na *cito*, kolego! Do roboty!

KONRAD KROON

– ...w ocenie Prokuratury zgromadzone w postępowaniu przygotowawczym dowody, ujawnione następnie podczas przewodu sądowego, świadczą w sposób niezbity o tym, że oskarżony dopuścił się wszystkich zarzuconych mu aktem oskarżenia czynów. Wobec powyższego wnoszę o uznanie winy oskarżonego i ustalenie, że wskazane w akcie oskarżenia czyny zostały popełnione w ramach ciągu przestępstw. Działając w oparciu o przepis artykułu dwieście siedemdziesiąt paragraf jeden Kodeksu karnego w związku z artykułem dziewięćdziesiąt jeden paragraf jeden Kodeksu karnego, wnoszę o wymierzenie kary...

Kroon recytował niemal z pamięci wyuczoną formułkę. Nie przykładał się za bardzo do mowy końcowej. Po pierwsze, nie chciało mu się tracić czasu na jej przygotowanie. Po drugie, nie musiał się przed nikim popisywać: na sali poza sędzią, protokolantką i obrońcą nie było nikogo. Po trzecie, wiedział, że bez względu na to, co powie, Duchnowski zostanie uniewinniony. Sprawa prowadzona przez kilku prokuratorów z rzędu była po prostu niedorobiona. Wysłanie aktu oskarżenia w takiej postaci było co

najmniej nierozsądne. Przed sądem wątpliwej jakości konstrukcja dowodowa już całkiem się posypała. Kolejni prokuratorzy grali na zwłokę. Po tylu latach procesu gol nie bolał tak bardzo.

– ...stosując przepisy intertemporalne kary dwóch lat pozbawienia wolności, z warunkowym zawieszeniem jej wykonania na okres pięciu lat próby. – Uniewinnienie, kiedy żądało się bezwzględnego więzienia, było większą porażką, niż gdy wnioskowało się o zawiasy. Stara sztuczka dla przełożonych z nadzoru.

Protokolantka odpływała gdzieś w myślach. Z uspienia wybudziło ją dopiero pytanie przewodniczącej składu:

– Czyli dwa na pięć, grzywna...?

Prokurator raz jeszcze powtórzył to, co jego szefowa zanotowała na okładce akt podręcznych. Sekretarka uzupełniła protokół.

– ...obciążenie oskarżonego kosztami procesu – dokończył Kroon.

– Opłaty i koszty. Dobrze. Proszę o zabranie głosu obrońcę.

Stary mecenas, opierając się o ławę, stanął ciężko na nogach. Poprawił zielony krawat, wypiął dumnie pierś. Zdjął z nosa okulary korekcyjne – w pewnym wieku wszystkim nas to czeka – i ściskając w dłoni drucianą oprawę szkieł, zaczął swój wywód.

– Wysoki Sądzie – zadudnił uroczysty, niski głos. Taki, co kosztuje pięć stów za godzinę pracy. – Przez ostatnich kilka lat byliśmy świadkami rzeczy niebywalej. Rzeczy, która w demokratycznym państwie prawa nie powinna mieć miejsca...

„Jebany Cynceron” – pomyślał Kroon. „Jak on, kurwa, otworzy japę, to będzie tak pierdolił przez trzy godziny. Umrzemy tu”.

– ...nie mogła mieć miejsca. *Leges ab omnibus intellegi debent*. Ustawy powinny być zrozumiałe dla wszystkich...

„Wykład z prawa rzymskiego. Sam, kurwa, nic z tego nie rozumie, ale musi się pomasturbować łaciną. Debil” – zaklął w myślach prokurator.

– ...tajemnicą poliszynela jest, jak system podatkowy traktuje przedsiębiorców. Nowelizacje ustaw VAT-owskich przekroczyły magiczną liczbę stu. Ustawy o PIT i CIT nowelizowane były kolejno trzysta czterdzieści dziewięć razy i dwieście czterdzieści dwa razy... – kontynuował adwokat.

„Czy on, kurwa, pracuje w GUS-ie?” Kroon spojrział na telefon. Na tej sali zasięg był wyjątkowo słaby.

– ...w takich właśnie warunkach, w takim stanie faktycznym, Jan Duchnowski, mój klient, prezes zarządu spółki Ghost, operował niemal od początku transformacji...

„Chyba od początku reformacji. No co jest z tym netem?” Strona w dalszym ciągu nie chciała się odświeżyć.

– ...Prokuratura, nie mogąc dopatrzeć się żadnej winy mojego mandanta, sięgnęła po kontrowersyjny przepis artykułu dwieście siedemdziesiąt Kodeksu karnego. Przepis, który budził poważne wątpliwości doktryny już wiele lat temu. Przepis, który był niejasny w chwili, kiedy oskarżonemu ogłaszano zarzuty i kiedy sporządzano akt oskarżenia. Czy coś się jednak zdarzyło od tego momentu? Czy coś się zdarzyło? – obrońca zamarł, spoglądając wymownie na pustą salę. Nie wiadomo, czy oczekiwał odpowiedzi, czy oklasków. Sędzia patrzyła na niego zza biurka. Kroon miał go w dupie. – Otóż tak! – wykrzyknął stary adwokat. – Tak, tak i tak! Po trzykroć tak!

„O, jest...” Kroonowi załadowała się w końcu internetowa gazeta. Wiadomości sportowe. „No, to nie zginę” – pomyślał.

– ...ustawodawca, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom praktyków, odpowiadając na niejednolite orzecznictwo sądów, w tym samego Sądu

Najwyższego, dokonał nowelizacji istniejącego prawa. Jak mamy to rozumieć? – obrońca znów zamarł. – Jak mamy to odebrać? Jak interpretować takie działanie? Z pomocą, jak zawsze w takich momentach, przychodzą nam reguły wykładni norm prawnych. Wykładni językowej, funkcjonalnej, systemowej i historycznej. *Clara non sunt interpretanda*. Jasne przepisy nie wymagają interpretacji. Ale czy aby na pewno?

„O kurwa, przerznięli” – pomyślał Kroon, odczytując na telefonie wyniki wczorajszego meczu hokeja. To zdanie stanowiło również świetne podsumowanie kilkuletniego procesu przeciwko znanemu biznesmenowi Janowi Duchnowskiemu. O tym jednak prokurator dowiedział się dopiero półtorej godziny później.

*

– No i jest tak, jak mówiłem, Madzia. Mamy gola w Duchnowskim.

– No to napiszesz apelację... – rzuciła znad akt.

– Nie ma mowy. Sam nie rozumiem tej sprawy.

– Nikt nigdy nie rozumiał, ale byłeś na końcówce. Janicka jest już dawno w stanie spoczynku, i to wiecznego. – U prokuratorce, która prowadziła sprawę znanego biznesmena, krótko po przejściu na emeryturę zdiagnozowano nowotwór trzustki. Cieszyła się wolnym przez jakieś pół roku.

– Magda, ty chcesz mnie zajechać...

Zadzwoił telefon.

– Dobra, skończmy już to. Przyszła rodzina od tej twojej samobójczynie. Są trochę rozżaleni, więc przygotuj się na pyskówkę.

– Co? Nie, nie chce mi się teraz z nikim użerać. Nie mam na to głowy...

Prokurator Rejonowa podniosła słuchawkę.

– Są pod twoimi drzwiami, idź już... Tak, słucham?

*

– To nie jest mój dzień – szepnął Konrad.

Na ławce siedziało zapłakane małżeństwo koło pięćdziesiątki. Podnieśli się z miejsca, jak tylko go zobaczyli.

– Czy pan prokurator Kroon? – spytał mężczyzna. Kobieta trzymała się go z całej siły, ledwo stojąc na nogach.

– Zgadza się. W czym mogę pomóc?

– Jesteśmy rodzicami... Weroniki... – Kobieta załkała. Mąż chwycił ją mocniej pod ramię.

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

– Czy wiemy, czy wiemy już... kto to zrobił? – spytał ojciec.

– Dopiero dziś rano zostaliśmy poinformowani o fakcie odnalezienia ciała. Natychmiast wszcząłem śledztwo oraz poleciłem przeprowadzić postępowanie przygotowawcze. Jutro odbędzie się sekcja zwłok.

– Jak to jutro? Przecież szukaliście jej od ponad miesiąca!

Kroon zrobił zdziwioną minę.

– Informacja o ujawnieniu zwłok wpłynęła do Prokuratury dzisiaj w godzinach porannych.

– Zwłok... – jęknęła kobieta.

– Zwłok naszej córki! Przecież ją porwano! Prowadzono poszukiwania! Operacja się udała, ale pacjent zmarł! – krzyknął zbulwersowany rodzic.

– Proszę państwa. Rozumiem, że sytuacja jest dla państwa ekstremalnie trudna. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co teraz muszą państwo czuć. – Kroon potrafił zachowywać się jak profesjonalista, jeśli tylko chciał. – Jednakże muszę państwu coś wytłumaczyć. W wypadku zaginięcia osoby, a jak się domyślam z państwa wypowiedzi mieliśmy tu do czynienia z zaginięciem, prokuratura zwykle nie jest informowana o takim fakcie. Tutaj

wszelkie czynności prowadzi policja i dzieje się to poza postępowaniem przygotowawczym.

– Co to znaczy, Wiesiu? – spytała matka zmarłej.

– To znaczy, że jak zwykle mają wszystko w dupie. Nikt nic nie wie, nikt nic nie może, a dziecko nie żyje! – krzyknął mężczyzna.

– Tak wyglądają procedury, nie ja je wymyśliłem. Ze swojej strony mogę zapewnić, że sprawa zostanie poprowadzona w sposób należyty.

– Co mi po sprawie, jak dziecko nie żyje?! Dajcie mi tego chuja, co ją zamordował! – wrzasnął zrozpaczony ojciec.

Kroon zwykle nie pozwalał petentom na takie agresywne zachowanie. Rozumiał jednak ból rodzica.

– Proszę państwa, w tej chwili wróciłem z sądu. Jutro w godzinach rannych odbędzie się sekcja zwłok...

– Dlaczego nie dziś? Dlaczego nie teraz?! Przecież sprawca ucieknie! – pieklił się ojciec.

– To już niestety leży w gestii Zakładu Medycyny Sądowej. Jeśli w zakładzie nie ma lekarza... – Kroon był niezwykle opanowany. Na sekcje często czekało się kilka dni. Prokurator nie wiedział jeszcze, kiedy biegli z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego będą mogli otworzyć ciało, ale wiedział, że będzie musiał ich pospieszyć. Rodzice zmarłej byli pieniaczami.

– Musimy złożyć ją do grobu! Zorganizować godny pochówek, pożegnać, opłacić księdza!

– Proszę państwa, zgodę na pochowanie zwłok wydam państwu od ręki. Jeszcze dziś będzie można zadzwonić do zakładu pogrzebowego i dopełnić wszelkich formalności. Kartę zgonu lekarz wypisze jutro do południa, następnie trzeba będzie udać się do Urzędu Miasta, na ulicę Partyzantów...

– Pokroicie ją, wrzucicie do ziemi, a sprawca będzie hasał na wolności i śmiał się nam w twarz. Potem przyjdzie czas na kolejną ofiarę! Wtedy też nic nie zrobicie!

„Jaki znowu sprawca? Co oni pierdolą? Dziewczyna się pewnie zaćpała”. Kroon nie wiedział, o co im chodzi. „No dobra, ta rozmowa do niczego już nie doprowadzi”.

– Proszę państwa, o wszystkich decyzjach procesowych będziecie informowani niezwłocznie. Proszę teraz udać się tu, do tego pokoju – wskazał na jeden z sekretariatów – a tam panie wydadzą zezwolenie na pochowanie zwłok.

– Ona miała dopiero dwadzieścia lat... – zapłakała kobieta.

– Ogromna tragedia. – Prokurator otworzył kluczem drzwi do swojego pokoju. – Wyjaśnimy tę sprawę, proszę się o nic nie martwić.

– Tak jak wyjaśniliście sprawę Olewnika! Wszystko pierdolicie! – krzyczał ojciec zmarłej.

Kroon zamknął drzwi. Wrzucił togę do szafy i ciężko opadł na fotel. Musiał chwilę odsapnąć.

Kilka minut później do pokoju weszła sekretarka.

– Panie prokuratorze, podpisze pan mi tu zgodę na pochowanie zwłok?

– Pewnie. – Przystawił pieczętkę i skreślił zgrabne inicjały. Dwie litery „K” połączone jedną z nóżek. Długo nad tym pracował, ale już jako licealista wiedział, że musi mieć fajny podpis.

– Przedzwoni mi pani, kiedy stąd wyjdą? Nie chcę już na nich trafić.

– Dobrze. Pieniacze?

– Zmarło im dziecko, to zrozumiałe, ale... tak. Pieniacze. Uważają, że została zamordowana. A na ciele żadnych śladów.

Sekretarka tylko westchnęła.

– Co pan zrobi... Na wariatów na ma rady. – Wyszła z gabinetu. Jakiś czas później zadzwonił obiecany telefon.

– Droga wolna.

Kroon ostrożnie wyszedł na korytarz i udał się do pokoju praktykanta.

GUSTAW

Siedział przy komputerze i próbował sklecić kilka zgrabnych postanowień. Dostał za dużo pracy.

Na studiach nie umiesz nic. Kiedy w końcu po pięciu latach obronisz magisterkę, dalej jesteś żółty jak kurkuma z indyjskiej knajpy, tikka masala i jeszcze dwa chlebki naan do tego poproszę. Potem aplikacja: trzy i pół roku. Wtedy zaczynasz wdrażać się w pracę. Jak jesteś dobry, to po roku śmigasz ze wszystkim. Jak jesteś wolny, to toniesz, topisz się i idziesz na dno.

Gustaw był pracowity, zdolny, ale był dopiero na trzecim roku dziennych. Prokurator Nowicka zawałiła go robotą, potem przyszedł Kroon i dorzucił do pieca.

– No i jak tam, zrobił pan? Kiedy ta sekcja? – spytał Kroon, wchodząc do pokoju.

– Powiedzieli, że dadzą radę na czwartek.

– Słucham?! – wrzasnął Kroon. – Na czwartek?!

– Pan doktor powiedział, że nie ma terminów.

Kroon wyciągnął komórkę. Z pamięci wstukał numer do ZMS-u.

– Dzień dobry, doktor Jaworski? Kroon z tej strony. Panie doktorze, ja w sprawie tej młodej dziewczyny... Tak, wiem, że jesteście zawałeni robotą. Wiem. Ale to będzie śmierdząca sprawa. Już to czuję. Narobią dymu. – Zagryzł wargi. – No ja wiem, jak jest. Ale pamięta pan

Kwiatkowskich? Dzieciaka, co mu dopalacze rozwaliły mózg. No? Co wtedy było? No to będzie powtórka z rozrywki. Czuję to w kościach. No, no. Tak. Dokładnie. Mhm, poczekam. Jutro rano? Idealnie. Wiem, że toksykologia, ale chociaż ją otworzymy. Nie, no nic nie było. Prokurator Borucki był na miejscu z doktorem Storkiem. Niczego nie ujawnili. No... Rano? Zróbmy na ósmą. Przyjadę przed robotą. Idealnie. Dziękuję, panie doktorze! – Odłożył telefon.

Gustaw patrzył na Kroona z podziwem. Czterdziestoletni prawnik wyglądał w tej chwili jak prawdziwy profesjonalista. Zresztą potrafił takim być. Skończył aplikację z jednym z lepszych wyników. Celująco. Miał łeb nie od parady, był bystry, potrafił pracować szybko, oddzielać rzeczy istotne od błahych.

Na początku się go bali. Jeszcze na asesurze punktował swoich szefów, wiedział więcej od nich i miał mnóstwo zapалу. Kilka razy zaangażował się w „ciekawe sprawy”. Sparzył się. O biurokrację, o nieudolność, o bezład systemu. Potem stwierdził, że nie warto. Lubił tę pracę, ale chciał dobrze przeżyć swoje życie. Jeździć na wakacje, wychodzić przed zmrokiem, nie zwariować.

– Ale pan to szybko załatwił – powiedział Gustaw.

– Masz te postanowienia?

Praktykant wręczył mu sporządzone przez siebie projekty dokumentów.

– Co to ma być? Patrzył pan w ogóle na wzorki, które panu dałem?

– Chciałem wszystko napisać od zera, żeby lepiej się nauczyć – wyjaśnił Gustaw.

– Zajebicie. Zejdź stąd!

Kroon siadł za biurkiem, podpiął pendrive do komputera. Pisał jak tornado. W kilka minut sporządził wszystkie decyzje procesowe. Wszczął

śledztwo, powierzył jego prowadzenie policji, powołał biegłych, skreślił wytyczne dla dochodzeniowców.

– Przepraszam, następnym razem się bardziej postaram.

– Na korytarzu jest drukarka, przyniesiesz mi to do pokoju. Na jednej nodze.

KONRAD KROON

Nie przepadał za sekcjami zwłok. Nie dlatego, że brzydził się trupów, nie dlatego, że śmierdziało. Wycieczka do Zakładu Medycyny Sądowej dezorganizowała dzień. I tyle.

Zaparkował tuż przed wejściem, wrzucił za szybę własnoręcznie skreśloną karteczkę z napisem „prokurator”. Chyba w tym miejscu był zakaz, ale on nie miał czasu szukać miejsca pośród wąskich, jednokierunkowych uliczek.

Sportowe audi. Kierowcy takich aut nie dostają mandatów. Zresztą chronił go immunitet.

Przy wejściu machnął legitymacją. Ochroniarz zadzwonił do lekarza i chwilę później po Kroona przyszedł jakiś młody stażysta.

– Panie prokuratorze...

– Dzień dobry, dzień dobry.

Najpierw prosto, potem w lewo. Schodami na dół.

Prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego wyglądało trochę jak z amerykańskiego filmu. Ściany były gładkie, podłoga czysta. Nad jednym z pomieszczeń wzniesiono podest, taką widownię dla studentów: teatr mój widzę ogromny, *ecce homo*, to jest człowiek, oto był człowiek, a teraz go pokroimy i spalimy w krematoryjnym piecu.

– No i co my tam mamy, panie prokuratorze? – zaczął doktor Jaworski. Siwe włosy, pięć dych na karku, prawdziwy profesjonalista. Kroon bardzo go lubił. Można z nim było prowadzić inteligentną rozmowę, znał się na wielu rzeczach, podróżował po świecie.

– Młoda dziewczyna, Weronika Zatorska, rocznik 2002...

– Wtedy wyszedł *Atak klonów* – zauważył doktor.

– Taa, R2D2 latający na silniczkach. Co to w ogóle miało być? Nie lubię piasku...

Zarechotali. Jak widać, cenili podobne kino.

– No dobrze. Znaleziona w rzece, tak?

– W Strzyży, koło dawnego browaru...

– Zewnętrznie niczego nie widać. Jedynie tu na rękach, nad tatuażem... widzi pan? Ślady wkłucia.

– Jak już bawiła się heroiną, to grubo.

Doktor zanotował coś w swoim kajecie.

– Tak, to raczej niemodny narkotyk. Ale może słuchała Doorsów... – Skinął ręką na swojego laboranta. Był to niezbyt urodziwy mężczyzna, w dziurawym, znoszonym swetrze. Kroonowi kojarzył się zawsze z pomocnikiem doktora Frankenstein'a albo innym wykrętem z przedwojennych horrorów. „Pewnie ma na imię Igor” – zaśmiał się w głosie.

– Panie Sławku, otwieramy – polecił lekarz.

Wyznajemy kult ciała. Od zawsze, od wieków. Jest dla nas świątynią czegoś niepojętego. Myjemy je, ubieramy, ozdabiamy. Czy chodzimy trzy razy w tygodniu na siłownię, czy może mamy dwadzieścia kilo nadwagi i wyjebane w dietę, to mimowolnie, podświadomie, szanujemy ciało. Bo czymże jest człowiek? Czym jesteśmy „my” bez ciała?

Odpowiedzi udzielono już wiele. Bez względu jednak na to, jaki światopogląd wyznajemy, niemalże każdy z nas odczuwa lekki dysonans, kiedy to pozbawione życia ciało, ta pusta skorupa, spotyka się z metalowym ostrzem szlifierki.

Oczywiście, przez chwilę można bawić się skalpelem. Na przykład wtedy, kiedy ściąga się włosy, a skórę twarzy zawija do środka. Człowiek wygląda wtedy jak Popeye, ma taką śmieszoną brodę, taki nienaturalny grymas, jakby zgubił zęby i seplenił.

W końcu jednak trzeba się przestać pierdolić. Otwieramy czaszkę i zaglądamy do mózgu. Odgłos cięcia jest wyjątkowo głośny, zapach palonej kości przenika wszystko, a krew? Tej wbrew pozorom nie ma wcale tak dużo.

– Żadnych obrażeń, żadnych wybroczyn – ocenił doktor, zerkając przez ramię laboranta. – Żadnych zmian o charakterze przyżyciowym.

Weronika była młoda i zadbana. Nie była bezdomnym, zawszonym menezsem, nadgnitym i znalezionym na śmietniku jakieś dwa tygodnie po zatrzymaniu akcji serca. Była pacjentem *premium*, takim, którego każdy chciałby kroić. Mimo tego pięknego opakowania smród, jaki wydobył się po otwarciu otrzewnej, mdlił tak samo jak zawsze.

– Wątroba niepowiększona, żołądek czysty... – Kolejne organy lądowały na metalowej wadze. Kroon pamiętał z dzieciństwa sekcje, które w piętnastocalowym telewizorze przeprowadzała agentka Scully. Ona też wrzucała te wszystkie podroby na wagę, jakby liczyła sobie od kilograma.

– Brak jakichkolwiek zmian, panie prokuratorze. Będziemy musieli poczekać na toksykologię.

– Pewnie dopalacze, no bo co innego.

– Prawdziwa plaga – odparł doktor Jaworski. – No ale jak mówi poeta: „że z tyłu różnych dróg przez życie każdy ma prawo wybrać źle”[2].

*

Kroon zajechał do budynku prokuratury. Wjechał za szlaban, zaparkował na swoim stałym, zwyczajowym miejscu. Jeszcze na korytarzu zawołała go sekretarka.

– Szefowa prosiła, żeby pan pilnie do niej przyszedł.

– Przecież nawet nie zdążyłem zdjąć płaszcza... – mruknął.

Wszedł do narożnego gabinetu.

– Jak tam sekcja?

– Nijak. Nic nie wyszło.

– Słuchaj... – Kobieta wolno cedziła słowa, nie przestając czytać jakiegoś dziwnego pisma. – Dziennikarze się tym zainteresowali. Dzwonili rano, czy coś wiadomo o dziewczynie znalezionej w Strzyży.

– Ja pierdołę...

– Tylko cię uczulam. Nie zbabraj tego, bo chyba nagle się nam zrobił sezon ogórkowy.

– Nie kumam ludzi, którzy interesują się takimi sprawami. Dziecko wypadło z okna, kobieta zasłała w autobusie...

– Powiedziałam, że postępowanie jest w toku i niczego nie ujawniamy dla dobra śledztwa. Ale pewnie będą jeszcze dzwonić, więc weź tam pogoń policję.

*

Okolo czternastej Kroon planował już, gdzie zje obiad. Zuza nie miała czasu, on nie lubił gotować. „Chińczyk czy tajskie? W sumie jeden pies” – analizował.

– Szefowa pana pilnie prosi – powiedziała spocona sekretarka, stając w drzwiach.

– Znowu?

Podniósł się z fotela, przekręcił klucz.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu?! – zawołała Prokurator Rejonowa.

– Nikt nie dzwonił... – Około południa Kroon wyjął kabel z aparatu, żeby móc w spokoju popracować.

– Nie dzwonił? Od godziny mam tu armagedon! Przyszli rodzice tej twojej Weroniki. Zrobili aferę, powiedzieli, że będą pisać do RPO, do Krajowej, do wszystkich świętych. Potem dzwoniли z radia, że podobno mamy bezczynność w śledztwie i nic nie robimy.

Kroon przysiadł ciężko za stołem szefowej.

– Ja pierdzielę, Magda, jaką bezczynność? Wczoraj znaleźli ciało, wszcząłem postępowanie, dałem wytyczne, dziś była sekcja... idziemy jak burza.

– Konrad, ja nie chcę, żeby mi to siedziało na głowie! – krzyczała przełożona. – Nie chcę, żeby dzwoniли, nie chcę, żeby mi zawracali gitarę, mam inne problemy! Wiesz, co Borucki nawyrabiał w sprawie Gogo Finance? Nowe Amber Gold mi się tu szykuje!

– Ale co ja ci poradzę, że to wariaci?! Ubzdurali sobie, że ich córkę zamordowano!

– Podobno była jakaś akcja poszukiwawcza, księża z ambony mówili, żeby jej szukać, plakaty wisiały na drzewach...

– No i co z tego? Przecież to nie nasza działka. Prokuratura nie prowadzi akcji poszukiwawczych. A na sekcji nic nie wyszło! Zwykły zgon, pewnie się zaćpała...

Prokurator Rejonowa nieco ochłonęła.

– Kiedy będziesz miał toksykologię?

– A bo ja wiem? Za trzy tygodnie, za miesiąc?

– Konrad, proszę cię! – Walnęła pięścią w stół.

– Ty wiesz w ogóle, jak się prowadzi takie postępowania? Ile się teraz na wszystko czeka? – uniósł się Kroon.

– Jak ty mnie dzisiaj denerwujesz! Serio. Wydzwoń ich, że mają ci to zrobić na wczoraj.

– Sama ich wydzwoń...

– Konrad! – Znów uderzyła pięścią w stół.

– Pierdolną kwitem i tyle mnie będziesz widziała – warknął podwładny. Magda oprzytomniała. Zmieniła ton.

– Konrad, proszę cię. Czuję, że będzie afera. Zadzwoń do komendy, czy kto ci tam to prowadzi, wyblągaj GUMed o te wyniki. Mówię ci. Lepiej dmuchać na zimne.

Kroon lubił swoją szefową. Była lojalną koleżanką, nigdy nie robiła mu problemów, przymykała oko na to, że się notorycznie spóźniał.

– Spoko. Zrobię to.

GUSTAW

Gustaw pojawił się w prokuraturze dopiero w piątek. Studiował w trybie stacjonarnym, a w ciągu tygodnia miał całkiem sporo planowych zajęć.

Prokurator Nowickiej nie było dziś w pracy. Od rana siedziała na trudnej rozprawie toczonej przed sądem okręgowym. W sekretariacie powiedziano Gustawowi, że dziś zajmie się nim prokurator Kroon.

– Zajebiecie... – zaklął pod nosem. Od poprzedniej praktyki Gustaw się go okropnie bał. Nie lubił ludzi, którzy go tak besztali.

– O, pan Kolasa, dzień dobry. Gotowy do pracy?

– Tak jest, panie prokuratorze.

– To co? Może jakiś kazusik na rozgrzewkę?

Gustaw przełknął głośno ślinę.

– Z chęcią...

– Dobra, nie cykaj się. Nie mam dziś czasu na zabawę w belfra. Tu leży kupka akt, którą dla ciebie przygotowałem. Tylko proszę, tym razem jedź ze wzorków. Chcę, żebyś mi pomógł, a nie żebym wszystko musiał robić drugi raz. Tak jak ostatnio... Nie o to w tym chodzi. Kumasz?

– Tak jest, panie prokuratorze.

– No dobra. Weź klucz do pokoju, zabierz akta, a jak wszystko napiszesz, to możesz iść do domu.

– Dobrze. – Gustaw chwycił stertę dokumentów i poszedł w stronę sekretariatu.

– Ale pana zawałił robotą – westchnęła starsza referendarz. – Pan się dobrze zastanowi, czy chce pracować w prokuraturze...

– Heh – zaśmiał się z grzeczności. Wyjął z metalowej szafki klucz do pokoju po emerytowanej prokuratorce i zniknął za drzwiami.

Wziął z kupki akt pierwszą sprawę. Szarawa okładka, akta podręczne, a wewnątrz nich ukryte akta główne. Wyciągnął teczkę i otworzył na pierwszej stronie. Notatka policyjna, później protokół oględzin miejsca ujawnienia zwłok.

„To ta dziewczyna, co ją znaleźli w Strzyży. Weronika Zatorska” – zauważył. Kilka stron dalej znajdowała się dokumentacja fotograficzna. „W końcu coś ciekawego”. Obejrzał zdjęcie. „Nawet niebrzydka”. Zdjęcie z daleka, zdjęcie z bliska, potem detale. Zbliżenia na poszczególne części ciała. Nagle zamarł.

W jednej chwili Gustaw poczuł, jak cały świat wali mu się na głowę. Jak kosmos chwieje się w posadach i zrzuca z góry ostre kawałki szklanego nieboskłonu.

– Ja pierdolę... – wyszeptał. Chwycił kartę ze zdjęciem. Na fotografii widać było lewe przedramię z wytatuowanym napisem: KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ.

Dostał ataku paniki. Ręce drżały mu niczym narkomanowi na głodzie.

„Ja pierdolę, ona to zrobiła...” – pomyślał. „W końcu kogoś zamordowała”.

Wciąż dygocąc, odsłonił rękaw koszuli. Spojrzał na napis na swoim lewym przedramieniu: KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ.

– O kurwa... – powiedział, cedząc każdą sylabę. – Julia, to ty... Ty ją zabiłaś...

[2] Kult, *Bal kreślarzy* (piosenka), *Tata Kazika*, 1993. Autorem tekstu jest Stanisław Staszewski.

ROZDZIAŁ 5 | CZERWIEC

JULIA

To było piękne lato. Każdy z nas przeżył kiedyś takie wakacje: beztroskie, szalone, bez sztucznych reguł dorosłego świata. Każdy z nas przeżył kiedyś taką miłość. Taką, która zostawia ślad na całe życie, zalega gdzieś w sercu i choć się zablizni, pokryje grubą warstwą skóry, problemów i błahej codzienności, to wciąż tli się delikatnym żarem. I nigdy nie potrafi do końca zgasnąć.

Była druga połowa czerwca. Rok szkolny dobiegł końca, rodziny z dziećmi tłumnie ruszyły nad Bałtyk. Uliczki Głównego Miasta po kilku dekadach uśpienia przypominały sobie powoli o latach dawnej świetności, nieśmiało szeptaając między sobą, że może te piękne czasy jeszcze kiedyś wrócą.

Gdańsk był od wieków poważnym graczem pośród europejskich miast: członkiem Hanzy, bogatym wujkiem, któremu zawsze na rodzinnej imprezie należało dać mokrego buziaka. Potem przyszła komuna, wujek stał się *persona non grata*, ale i tak nie pozwolił o sobie zapomnieć. Zadyma w stoczni, Nobel dla Wałęsy, wizyta papieża – mówiliśmy już o tym, pierwsze wolne wybory i huczne obchody tysiąclecia miasta.

Gdańszczanie przypomnieli sobie, kim są, i zdali sobie sprawę z tego, kim chcą być.

Tu, nad morzem, ludzie zawsze bardzo cenili wolność. Mieli wyższe aspiracje, nie wkładali skarpetek do sandałów, czuli się częścią Europy i co tydzień wysyłali jej pocztówkę z napisem „Pamiętaj o mnie”.

Potem przyszło Euro 2012. Pamiętne mistrzostwa w piłce nożnej, z okazji których wybudowano „bursztynowy stadion”, postawiono na nogi lotnisko, zainwestowano w infrastrukturę drogową. Do miasta przyjechali Niemcy (ci akurat wpadali tu już wcześniej), Anglicy, Szwedzi, Irlandczycy i cała armia Hiszpanów. Przyjechali, zakochali się, zostali.

Latem w Trójmieście masz poczucie, że żyjesz za granicą. Ulice szturmują tłumy obcojęzycznych turystów, znalezienie stolika w knajpie to prawdziwa sztuka. Ludzie zagadują cię po angielsku, wszyscy są uśmiechnięci, życzliwi, pomocni. Pogoda też zazwyczaj czuje ten *vibe* i raczej stara się nie dać ciała.

Gustaw lubił wakacje w mieście, cieszył się, że Gdańsk jest taki międzynarodowy. Za granicę wyjeżdżał raz na... nie wyjeżdżał wcale. Ale jak to mówią, Mahomet nie przyszedł do góry, przyszła góra do Mahometa. Czy jakoś tak.

Mknął białym meleksem przez ulicę Piwną. Wjechał w Chlebnicką, skręcił w Dzianą.

– *Einen Moment, bitte!*^[3] – powiedział starszy Niemiec, klepiąc kierowcę po ramieniu. Gustaw przystanął.

– *Doch! Das ist die schönste Ecke der Stadt!*^[4] – zachwyciła się żona mężczyzny. Turyści wysiedli i przygotowali aparaty.

Kierowca miał chwilę dla siebie. Wyjął telefon i sprawdził powiadomienia. Żadnych wiadomości.

– *Weiter, junger Mann!*^[5] – polecił pasażer, ponownie ładując się na miękkie siedzisko.

Zajechali na Targ Rybny. Podziękowali kierowcy, zapłacili za przejazd i pomaszrowali w stronę znanej restauracji.

– Serio dwa euro? – zdenerwował się student. Stawka godzinowa nie była wysoka, ale właściciel firmy obiecywał solidne tipy.

– *Schnell, polnisches Schwein!* – krzyknął młody człowiek, wskakując nagle na tylne siedzenie. Rzucił na kierownicę kilka stułotowych banknotów. – *Fahr schnell oder du bekommst nichts! Fahr! Weiter!* ^[6] – wrzeszczał, klepiąc Gustawa po plecach. Domagał się szybkiej jazdy.

– *Wohin gehen wir?*^[7] – spytał kierowca, lekko kalecząc obcy język.

– *Mach weiter, sei schnell!* ^[8] – polecił władczy tonem mężczyzna. Obok niego usiadła młoda dziewczyna. Tak przynajmniej można było wnosić po głosie. Zaskoczony niespodziewanym obrotem spraw Gustaw nawet nie spojrzał za siebie. Towarzyszka turysty była wyraźnie rozbawiona.

Gustaw ruszył szybko, zbierając jedną ręką luźne banknoty. „To chyba ze cztery stówy” – pomyślał.

Zakochani bawili się w najlepsze. Mężczyzna co chwila klepał Gustawa po plecach, nakazując mu podkręcić tempo.

– *Schneller geht's hier nicht*^[9] – oznajmił kierowca, tłumacząc, że nie może już bardziej zwiększyć prędkości.

– *Sie können alles tun, wenn Sie Geld haben*^[10] – odpowiedział mężczyzna, szybko wtrącając angielskie tłumaczenie: – *Money makes the world go round!*^[11]

Gustaw w dalszym ciągu nie oglądał się za siebie, nie miał nawet czasu spojrzeć w lusterko. Był skoncentrowany na drodze, którą zgodnie z poleceniem rozrzutnego pasażera pokonywał ze zbyt wielką prędkością.

Meleks mknął ulicami miasta. Przeciął Podwale Staromiejskie i wjechał na tereny, na których niegdyś wznosiła się starówka. Koło budynku Poczty Polskiej turysta kazał skręcić w lewo.

– Zaraz się porzygam... – powiedziała dziewczyna.

„A więc wyrwał sobie Polkę” – pomyślał Gustaw.

– Obiecałem ci lunapark, a ja nie rzucam słów na wiatr! – odparł towarzysz nienaganną polszczyzną. W tym momencie kierowca zorientował się, że wiezie dwójkę rodaków.

Od pasażerów czuć było dobre perfumy i całkiem sporo alkoholu.

– *Links, rechts, geradeaus!*^[12] – darł się chłopak, jakby zapominając, że przed chwilą porzucił język sąsiadów z za zachodniej granicy na rzecz ojczystej mowy.

– Tutaj jest zakaz – odparł student.

– Jak ci mówię, że masz jechać, to masz jechać! – polecił pijany pasażer.

Meleks podskoczył na wyboju.

– *O fuck!* – zaklęła dziewczyna.

– Patrz na drogę, Andrzej! – krzyknął młodzieniec do Gustawa.

– Słuchajcie, to chyba za dużo...

– Jedź w lewo!

– Tam często stoi policja...

Turysta wsadził Gustawowi za koszulę kolejny dwustuzłotowy banknot.

– Dawaj, dziwko!

– Serio, nie mogę...

Pasażer nachylił się nad Gustawem i sam złapał kierownicę.

– Pokażę ci, jak to się robi, maluszku!

– Człowieku, zostaw to! – wrzasnął Gustaw. Wtedy też kątem oka dojrzał twarz młodzieńca. To był Wiktor, kolega Łagi, którego tydzień temu poznał na Ulicy Elektryków.

Dziewczyna tylko się śmiała.

– Zaraz się rozbijemy!

Wiktor okazał się silniejszy od Gustawa. Był od niego wyższy, lepiej zbudowany, w dodatku regularnie chodził na siłownię. Wyrwał mu kierownicę.

– Tak to robią chłopaki znad morza! Auuu! – zawył Wiktor.

Gustaw widział już nadchodzącą kraksę. Jedyne, co mógł zrobić, to puścić pedał gazu i wcisnąć hamulec. Pasażer gwałtownie skręcił kierownicą.

– Co ty robisz?! Uważaj! – krzyknął Gustaw.

Meleks wjechał na podwórko kwartału kamienic i siłą rozpędu wszedł w ostry zakręt. Golfowy pojazd nie nadawał się jednak do wykonywania takich gwałtownych manewrów. Koła straciły przyczepność, a elektryczny wózek wbił się w kolumnę plastikowych śmietników.

– Ja pierdołę, co to była za jazda! – zarechotał Wiktor, powoli wygrzebując się z pojazdu. Julia leżała na trawie i śmiała się w najlepsze.

– Mogłeś nas zabić! – zawołał Gustaw.

Wiktor ściągnął okrągłe ray-bany. Jeden z zauszników się nieco wygiął.

– A chuj, i tak chciałem kupić nowe – zaklął, wrzucając okulary do żółtego pojemnika. – Segregacja, recykling, mniejszy ślad węglowy. Ej, ty nie jesteś tym sztywnym ziomkiem od Łagi?

Julia spojrzała na Gustawa niewidzącym wzrokiem. Jakby obserwowała kogoś przezroczystego. Patrzyła na jego ciało, ale widziała jedynie brudną kamienicę stojącą kilka metrów dalej.

– No jestem... – odpowiedział ze wstydem.

– Beka, że robisz w meleksach. – Wiktor niedbale dotknął uszkodzonego pojazdu. – Dobrze ci chociaż płacą?

– Nie jest najgorzej...

W tej chwili miał ochotę zapaść się pod ziemię. Czuł się jak robak, który przez pomyłkę wygrzebał się z gówna na imprezie pełnej pięknych motyli.

– No, śmieszny wózeczek, ale myślałem, że więcej wyciągnie. – Wiktor przysiadł na ziemi obok Julii. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. – Palisz? – Gustaw pokręcił głową. – No i dobrze. Przynajmniej nie umrzesz na raka.

Kierowca stał obok meleksa. Spojrzał na rozbity reflektor.

– Będzie przypał...

Wiktor odpalił papierosa Julii. Dziewczyna zaciągnęła się dymem. Gustaw nigdy nie widział, by ktoś z taką gracją trzymał fajkę.

– Nic nie będzie – rzucił nonszalancko Wiktor. – Jak chcesz, to go od ciebie kupię.

Gustaw zerknął mimowolnie na Julię. Poczuł, że los się do niego uśmiechnął. Był śmiertelnikiem, który miał szczęście obcować z bogami. Dwóch nieśmiertelnych zstąpiło na chwilę z Olimpu, by gdzieś pośród górzystych wyżyn Hellady porozmawiać z prostym greckim chłopem.

– Jakoś to załatwię – odparł, udając bardziej wyluzowanego, niż był w rzeczywistości. – Powiem, że jacyś pijani Angole we mnie wjechali i uciekli...

– No i prawidłowo – odparł Wiktor. – Gdzie dziś melanzujesz?

– W sumie to nie mam planów...

– Wieczorem jest koncert Kizo na stoczni. Idziesz?

Gustaw nie wiedział, o kogo chodzi. Słuchał bardziej radia niż muzyki, ojciec puszczał mu głównie stare kawałki w stylu Led Zeppelin czy Pink Floyd. Zdecydowanie nie był na czasie.

– A można jeszcze dostać bilety?

Wiktor zaciągnął się dymem.

– Oczywiście, że nie można. – Odwrócił się w stronę Julii. Dziewczyna dotykała paznokciem koniuszka nosa. – Ale jak chcesz iść, to się znajdą...

– Nie wiedziałem... Chociaż jeśli tak...

– To idziesz czy nie? – spytał władczo bananowy młodzieniec. Zerknął na zegarek.

– No idę... tak, z chęcią...

– Napisz do mnie na esa, ta pizda Łaga da ci numer – rzucił Wiktor i wstał. Podał Julii rękę. Dziewczyna pozwoliła sobie pomóc. – Chyba pójdziemy coś teraz wszamać, nie?

– Jeśli mi ugotujesz...

– Myślałem o pierogarni, dość już mam amerykańskiego żarcia...

Julia przygryzła usta.

– Nie. Dziś ty będziesz gotował – oznajmiła.

Wiktor wzruszył ramionami. Spojrzał na Gustawa, udając bezradnego.

– No i co zrobisz, jak kocica prosi?

SONIA

Dziewczyny skończyły robotę w pizzerii. Zmiany wyglądały różnie, czasem pracowały po dwanaście godzin, a czasem, tak jak dziś, jedynie po osiem. Miały wolny wieczór.

– Coś czuję, że dziś się odepniemy, Nati – powiedziała Sonia.

Po drodze wstąpiły do Żabki, żeby kupić trochę wysokoprocentowego alkoholu. Stały grzecznie w kolejce, wzięły wódkę, pokazały dowód. Płatność zbliżeniowa... A, jeszcze jakaś popita. Głupio się potem wracać.

Na klatce schodowej spotkały Kubsona. Zbiegał na dół, przeskakując co któryś stopień.

– Hej, laski!

– Dokąd tak pędzisz, Kubuś? – zagaiła współlokatorka.

– Mam randkę! Z taaaakim typem. Ma ksywę Ptasznik.

– Jak ten pajak? – spytała Natalia.

– Dokładnie. Jest megamodnym rzeźbiarzem. Tworzy takie pojechane figury, krzyżówki zwierząt i ludzi.

– Jakoś nigdy o nim nie słyszałam... – mruknęła Sonia, która ze sztuką była raczej za pan brat.

– Jeszcze usłyszysz. Niedługo będzie o nim w chuj głośno. Zobaczysz! – Kubson wyjął telefon. Odpalił popularną aplikację. – Spotkaliśmy się na Grindrze. Zobaczcie, jakie ciacho!

– No faktycznie, *hot!* – przyznała Natalia.

– *Too hot to handle!* – zapiszczał Kubson. – No dobra, leczę już, nie chcę się spóźnić. – Złożył dłonie jak do modlitwy. – Idziemy na romantyczny spaceeeeer... – nienaturalnie przeciągał ostatnią sylabę.

– To pa, przystojniaku! – Sonia dała mu buziaka w policzek. Natalia zrobiła to samo.

– *Ciao!*

Weszły do mieszkania.

– No dobra, chyba muszę pod prysznic – powiedziała Natalia. – Cała walę tłuszczem. Skombinujesz mi jakiś ręcznik?

– Ooo... no dobra. Idź, zaraz ci poszukam.

Kamienica była stara, miała nie najlepsze rury i nawet latem trzeba było chwilę poczekać na gorącą wodę.

Sonia wygrzebała z szafy jakiś zapasowy ręcznik. Szła powoli do łazienki, gdy nagle zawibrował jej telefon. Kubson. Wysłał zdjęcie swojego nowego chłopaka. Całowali się. „Szybka akcja” – stwierdziła.

– Dasz mi ten ręcznik? – zawołała Natalia, wciąż nie wyłączając wody.

– Aaa, sorki. Już idę.

Weszła do łazienki. W ciasnym pomieszczeniu było pełno pary. Natalia zakręciła kurek. Odsunęła zasłonkę.

Sonia stała bez ruchu, obserwując nagie ciało przyjaciółki. Była naprawdę ładna.

– No dawaj! – pisnęła z uśmiechem Natalia. Okryła się ręcznikiem i weszła na dywanik. – Zboczuchu!

*

Przed wejściem na Ulicę Elektryków zebrał się już spory tłum. Scenę rozstawiono na sąsiedniej działce, ale wiele osób miało ochotę się czegoś wcześniej napić. Zgodnie z przepisami na terenie imprezy nie można było sprzedawać niczego poza słabym piwem.

– No i gdzie ten Wiktor? – spytała Natalia.

– Spoko, zadzwonię do niego.

W ciągu kilku lat od powstania Ulicy Elektryków dzielnica zwana Młodym Miastem stała się prawdziwą europejską stolicą nocnego życia. Otwarto kilka nowych dyskotek. Wszystkie wyglądały dość niecodziennie i czerpały pełnymi garściami ze stocznioowego klimatu. Rejwy w starej fabryce? Proszę. Didżejka na zdezelowanym autobusie? Proszę. Minimiasteczko z kontenerów i palet? Mówisz, masz.

Podczas długich letnich nocy imprezowicze krążyli pomiędzy jednym miejscem a drugim, gubiąc starych znajomych, spotykając nowych, witając się głośnymi okrzykami i tańcząc, tańcząc, tańcząc.

– No co tam, dziewczynki?

– Gdzie jesteś, Wiktor?

– Jedziemy z Julią taryfą. Nie mogliśmy niczego zamówić.

– Myślałam, że jeździsz tylko blackiem – stwierdziła ironicznie Sonia. Taksówki premium miały też premium cenę.

– No raczej, że tak! Ale też nie było żadnych fur. Dobra, jesteśmy koło Manhattanu, za niedługo powinniśmy być.

– Elo!

– Elo! – Sonia nacisnęła czerwony guzik. – Będzie za jakiś kwadrans. To co? Idziemy na jednego?

– Spoko.

Stały grzecznie w kolejce. O tej godzinie wstęp był jeszcze darmowy.

– Ej, sorki... – Trzy licealistki wyciągnęły w stronę Natalii telefon. – Zrobisz nam fotkę?

– Pewnie... – Dziewczyna przymierzyła się i kliknęła kilka razy. – Może być?

– Megadziękowa!

Selekcjonerka poprosiła o dokumenty. Dziewczyny pokazały dowody.

– Bawcie się dobrze! – wypowiedziała grzecznościową formułkę.

– Dzięk.

Wielki neon przyciągał wzrok już z oddali. Litery skreślono jakby odręcznym pismem. Niebieskawe światło informowało wszystkich strudzonych podróżnych, że dotarli na miejsce. Oto wasza mekka. Oto Ulica Elektryków. Elo, mordy! Wejdźcie i odepnijcie wrotki.

– Piweczko? – zaproponowała Natalia.

– No chyba nie będziemy mieszać...

– Burgerek i browar? – Wskazała ręką na food truck z jedzeniem.

– No dobra – zgodziła się Sonia.

Zamówiły dwa klasyki. Dobrze wypieczone. Natalia jadła mięso tylko od święta. Sonia była wszystkożerna.

– Spójrz na tę gimbazę...

Przy bramkach licealistki próbowały przekonać selekcjonerkę, że są pełnoletnie.

– Dowodzik albo jakiś inny dokument.

– No ale czy my nie wyglądamy na osiemnaście lat?! – pisnęła nastolatka.

– Wyglądacie na piętnaście.

– Seriooo?

– Słuchajcie – selekcjonerka nie chciała się z nimi dłużej bawić – tamujecie kolejkę. Sorry, ale dziś nie wejdziecie.

– Ja pierdolę...

Natalia stuknęła się butelką z przyjaciółką.

– Widać fotka, którą im zrobiłaś, to będzie jedyny element imprezy...

– Nie poruchają, ale chociaż wrzucą se na Insta – podsumowała Sonia.

W końcu wywołano ich numerek. Dziewczyny odebrały kanapki i opierając się o stolik, zaczęły wcinać.

– Spoko. – Natalia mlasnęła.

– Ej, to nie jest ten śmieszny ziomek od Wiktora? – spytała Sonia. – I ten drugi sztywniak?

– Gustaw? Hej, Gustaw! – zawołała Nati.

Łaga od razu je wypatrzył.

– Siema, kociaki! Co tam? Poskaczemy dziś razem?! – Wymienili powitalne buziaki. Tym razem Gustaw również załapał się na cmoknięcie w policzek.

– No raczej, człowieku.

– Cześć – szepnął Gustaw. Bardzo chciał wyluzować.

– A co wy, browarki? – zdziwił się Łaga.

– Na dobry początek. Najpierw browarki, potem wódeczka, na koniec prochy...

– No i to lubię! – krzyknął Łagocki, klepiąc Sonię w rękę. Wytatuowana dziewczyna umiała grać hardą. – Dobra, to my też napijemy się piweczka. Chodź, Gustaw.

Chwilę później wszyscy trzymali po butelce. Wtedy też pojawił się Wiktor z Julią.

– Proszę, proszę! Moje dzieciaki się same znalazły! Elo, mordy!

GUSTAW

Gustaw przywitał się z Wiktorem. Szybkie cześć, cześć, przystojny student go prawie nie zauważył.

Julia stała tuż obok Gustawa, jeszcze piękniejsza niż ostatnio. Włosy zaplotła w dwa długie warkocze, lekko skośne oczy dodatkowo podkreśliła kredką.

Gustaw nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nie wiedział, co zrobić z Julią. Czy znają się na buziaka? Czy ma podejść pierwszy, czy wyjdzie na debila?

Gorąco liczył na ten pocałunek. Jeśli wszyscy witają się buziakiem, to znaczy, że tak wypada. Wiktor pocałował Sonię, potem Natalię. Łaga musnął Julię w policzek. „O kurwa, to teraz ja...” – pomyślał Gustaw.

Wiktor stanął do niego plecami. Opowiadał jakąś anegdotkę, bardziej ryczał, niż mówił. Przypadkowo odgradził nowego od swojej dziewczyny. Postawił płot, grube ogrodzenie z drutu kolczastego. Sorry, stary, to nie dla ciebie. Czas powitań dobiegł końca. Proszę opuścić teren.

– ...no i wyjechał nas z tej taksówki. Ja mówię: człowieku, kurwa! Nie po to zamawiam blacka, żeby jechać z jakimś jebanym Pakistańczykiem! A ten mi, kurwa, paralizatorem macha!

– Co za pojeb! – przyznał Łaga.

– No i musieliśmy, kurwa, czekać na drugą. Ale luźno. Nie będę się zadawał z brudasami.

Sonia i Natalia nawet tego nie skomentowały. Rasizm Wiktora był oczywiście tylko na pokaz. Pewnie w ogóle tak nie powiedział. Zachowywał się jak cham, więc kierowca mu grzecznie podziękował.

– Wszyscy są, no to walimy driny! – obwieścił Łaga.

– Po szociku. A potem jakąś łychę – doprecyzował Wiktor.

Zamówili przy barze. Wiktor stawiał. Potem przyszła kolej Łagi.

– Serio, możemy za siebie zapłacić – powiedziała Natalia.

– Maluszk! Bierz, jak dają!

Dziewczyna przystała na tę propozycję.

Pili szybko. Po kilku kolejkach kupili burbona z colą i ściskając w dłoniach papierowe kubeczki, uderzyli na parkiet. Ludzie dopiero zaczęli tańczyć, ale im to nie przeszkadzało. Byli gotowi na zabawę.

– Czuję, że dziś porucham. Może jakiś trójkącik? – gdybał Łagocki.

Tańczyli w kółku. Wiktor pilnował Julii niczym drogiego skarbu. Zresztą do filmowej pary i tak nikt nie miał śmiałości podejść. „Taka sztos

laska może być tylko z takim typem jak on” – stwierdzał każdy, kto tylko dojrzał jej długie włosy, wąską talię i zgrabne nogi.

– Dzisiaj też będę musiała cię pilnować? – spytała Natalia.

– Postaram się być grzeczny. – Gustaw zrobił minę niewiniątka.

– To może zamienimy się rolami? Masz w końcu u mnie dług wdzięczności...

Gustaw zbliżył się do niej. Tańczyli teraz w parze. Myślał nad jakimś romantycznym tekstem. Zgrabną odpowiedzią, czymś lekkim, nienachalnym. Ostatecznie tylko się zaplątał i nie powiedział w końcu nic.

– Słuchajcie, już po jedenastej. Kizo zaraz wchodzi na scenę – przypomniała Sonia.

– Luźna guma. – Wiktor spojrzał na swój apple watch. – No dobra. W sumie to możemy napierać. Zaraz przycisnę Velosa. – Wystukał numer na telefonie. – Siema, mordo. Słuchaj, ty masz jakieś bilety na tego Kizo? Nie ma... Słuchaj, a nie wkręciłbyś nas tam jakoś? No kilka ziomeczków. Mała ekipa. Fajne kicie. No nie pierdol... Jeden, dwa, trzy... sześć osób. No i prawidłowo! Zaraz będziemy.

Pożegnali Ulicę Elektryków i szybkim krokiem ruszyli w stronę sceny koncertowej. Przy bramkach stało jedynie kilka osób. Wszyscy, którzy mieli bilety, już dawno byli na miejscu.

Velos od razu rzucił się w oczy. O to chodziło. Niewysoki chłopak z wytatuowaną twarzą w przydużym dresie Kenzo. Na palcach kilka złotych sygnetów, w lewym uchu diamentowy kolczyk. Modna fryzura, pewny siebie krok.

– Siemanko – powiedział cichym głosem, zupełnie niepasującym do cokolwiek wykręconego wizerunku.

– To moja świnka. – Wiktor wskazał na Julię. – A to moja świta. Moi pretorianie.

– Władziu, weź ich wpuść – powiedział do ochroniarza Velos. Łysawy mężczyzna w garniturze skinął tylko głową. – Bawcie się dobrze. Ja muszę lecieć.

Weszli na teren imprezy. Przed sceną pokaźny tłum skandował ksywę rapera.

– Zaraz się zeszczam. – Łaga złapał się za krocze.

– Dzięki za info, ziom – zgasła go Sonia.

– A TERAZ ZRÓBCIE WIELKI HAŁAS DLA KIZO! – *Hypeman* artysty próbował rozgrzać tłum.

– Pospiesz się, mordo. Poczekamy tu na ciebie – powiedział Wiktor.

Nagle uderzył pierwszy mocny bit. Ludzie wrzeszczeli jak szaleni. Ładze nie chciało się czekać w kolejce do przenośnych toalet. Zresztą było w nich ciemno i brudno. Stanął z boku i zaczął sikać na płot.

– Ma problemy z prostatą? – zażartowała Sonia.

– Dawaj, pizdeczko! – krzyknął Wiktor.

Łaga był już z powrotem.

– No dobra, idziemy pod scenę!

O przedarciu się do pierwszego rzędu nie mogło być mowy. Najgorętsze fanki pilnowały tych miejsc już od kilku dobrych godzin. Teraz właśnie traciły przytomność, wciśnięte w metalowe barierki.

– Tu będzie chyba spoko – oceniła Natalia.

Przyjaciele z ekipy nie znali wszystkich piosenek, ale i tak bawili się wyśmienicie. Kizo umiał w koncerty. Dobry podkład, łatwy do powtórzenia refren i charakterystyczny głos rapera. Taki typowy przepis na sukces. Każdy zna recepturę, ale niewielu potrafi usmażyć gotowe danie.

Gustaw nie słuchał nigdy takiej muzyki. Widział jednak, że jest w niej prawdziwa energia. Kilkutysięczny tłum skakał, krzyczał i robił wszystko,

co polecił raper. Dowodził nimi niczym hip-hopowy generał, zamiast buławy dzierżący w dłoni srebrny mikrofon.

– A teraz robimy kółeczko... – obwieścił.

– O kurwa, młyn – zakląła Sonia. – Spierdalamy stąd!

– No co ty mała, dajemy! – podniecił się Wiktor.

– Co to jest młyn? – spytał Gustaw.

– Wbijamy! – Natalia złapała go za rękę. Pobiegli przed siebie całą paczką.

Ludzie utworzyli wielkie koło. Kolejne bity leciały z głośników. Napięcie wzrastało. Wtedy też raper wydał komendę:

– POGO, POGO, POGO!

Tłum uderzył do ataku. Ludzie wpadli na siebie z całą siłą. Skakali, objali się, tratowali wszystko na swej drodze.

– Natalia! – zawołał Gustaw. Próbował wyciągnąć ją z tłumu. Wtedy jednak nadeszła kolejna fala. Rozdzielili się, niesieni przez niespokojny ocean pobudzonej do granic możliwości publiki.

Wiktor asekurował Julię. Łaga zajął się Sonią, ale Natalia... Ona odpływała właśnie gdzieś w dal.

– Musimy ją wyciągnąć! – Gustaw panikował.

– Spokojnie, prawilniak. – Wiktor podniósł rękę. Szukał wzrokiem koleżanki. Ktoś obok jej pomógł. Wyprowadził poza obręb koła. – Natalia! – zawołał. – Krzycz, jeśli żyjesz!

JULIA

Koncert trwał dobre dwie godziny. Byli spoceni, zmęczeni i szczęśliwi. Poczekali chwilę, aż tłum się rozrzedzi, po czym ruszyli w kierunku bramek.

Gustaw zerknął na telefon, sprawdzając godziny odjazdu kolejek. Była chwila do drugiej.

– O kurde, za chwilę mam SKM-kę... – powiedział. – To ja chyba będę leciał.

– Te, prawilniak, nie wymiękaj! Melanzujemy dalej! – zbeształ go Wiktor.

Łaga popatrzył na niego z góry.

– No co ty, Kolasa...

– Serio było mega, ale rano muszę wstać do roboty... – Odwrócił się w stronę Wiktora. – Wiesz, meleksy...

Sonia i Natalia siedziały cicho.

– Jak tam chcesz... – odpowiedział młody Duchnowski.

Gustaw schował komórkę do kieszeni. Nie miał czasu na pożegnania.

– No to ten, dzięki za imprezę...

– Chyba nas tak teraz nie zostawisz? – powiedziała Julia.

To był pierwszy raz, kiedy odezwała się bezpośrednio do niego. Gustaw pamiętał dokładnie każdy wyraz, każdą sylabę, która wtedy opuściła jej pełne usta. „Chyba nas tak teraz nie zostawisz?” Była minuta po drugiej. Kolejka odjeżdżała pięć po. Powietrze miało dziewiętnaście stopni, do wschodu słońca brakowało dwóch godzin i czternastu minut.

Czas się zatrzymał. Jak w znanym filmie sióstr czy też braci Wachowskich wszystko stanęło w miejscu. Kropelki pary zawisły w powietrzu. Papierosowy dym zamienił się w gęstą watę, tak że można go było dotknąć, pomacać. Gdyby ktoś strzelał z pistoletu, kule znieruchomiałyby w locie.

Julia i Gustaw. Żyli poza terażniejszością, decydując o sprawach wagi kosmicznej. „Chyba nas tak teraz nie zostawisz?”

„Pewnie, że nie” – odpowiedział Gustaw. „Znacząco zostawię. Wszystko zostawię i rzucę. Ich wszystkich, całą ten syf, całą powszedniość, te ich głupie żarty, sztuczne pozy, oczekiwania i komentarze. Wyrwę cię stąd, zabiorę daleko, pokażę, czym jest prawdziwa miłość, prawdziwe szczęście, bo przecież dotąd mnie jeszcze nie znałaś, ale tak naprawdę zostaliśmy stworzeni tylko dla siebie i nikt inny nie da ci tego co ja. Już zawsze będziemy razem”.

– Chyba nas tak teraz nie zostawisz? – powiedziała Julia.

Gustawowi zaschło w gardle.

– No chodź, pało, jak kicia prosi! – ponaglił go Łaga.

– Potańczymy jeszcze... – zaproponowała Natalia.

– Okej... – wydukał.

Tej nocy nie zamienili już ani słowa. Julia wróciła do swego świata, on został samotny wśród zwykłych śmiertelników. „Życie to nie film”, przypomniał Bogusław Linda z reklamy OFE.

Wrócili na Ulicę Elektryków. Impreza trwała w najlepsze, choć teraz miała zupełnie inny charakter niż przed kilkoma godzinami. Wszyscy bez wyjątku byli mocno zrobieni. Mięczaki już dawno zamówiły taksówki, ładowały się do ostatniej „przyzwoitej” kolejki.

– Patrzcie na to – obwieścił Łaga i podbił do szczupłej blondynki.

– Robimy zakłady? – spytała Sonia.

– Ładna figurka, dobra torebka, przytomne spojrzenie... Przytomne spojrzenie – powtórzyła Natalia. – Przytomne spojrzenie?

– No to nie ma żadnych szans. – Sonia zachichotała.

Tańczyli do mocnego elektro. Drewniany parkiet kołysał się w rytm muzyki.

– Nic z tego – powiedział nie bez smutku Łagocki. – Ma chłopaka, są zaręczeni.

– I to jest dla ciebie jakiś problem, mordo? – Wiktor wjechał mu na ambicję.

– Nie no, nie ma opcji.

Gustaw rozglądał się wokoło. Szukał jakiejś wolnej dziewczyny. Bez skutku. Właściwie to nie wiedział, po co został. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Ej, co ty taki smutny? – spytała Natalia.

– Ano trochę mnie zamuliło – blefował.

– To musisz się napić! Chodź!

Podeszli do baru. Natalia zamówiła jägera z red bullem. Wypili jednego na spółę.

– Znowu ratujesz mi życie...

– Nie jest tak źle jak ostatnio. Ale wiesz, odsetki rosną...

– Wezmę chwilówkę. – Uśmiechnęli się do siebie, a potem, chwyciwszy się za ręce, wrócili na parkiet.

Gustaw nagle poczuł, jak wraca mu dobry humor. Tańczył ze śliczną dziewczyną, wokół niego kręciła się grupka znajomych. Nie lamusów–kujonów–nerdów–w–za–dużych–okularach–i–z–tłustymi–włosami, do których nikt nigdy nie chce podejść. Gustaw imprezował z prawdziwą ekipą. Ekipą. EKIPĄ. Bawił się z dzieciakami z dobrych domów, umiejacymi czerpać z życia pełnymi garściami. Czy był jednym z nich? W tej chwili tak.

– Dobra bibeczka, mordy! – zawołał Wiktor.

– No, w chuj dobra – przyznała Sonia.

– Idziemy oglądać wschód słońca – powiedziała Julia. – Dajemy!

Julia. Nikt nigdy z nią nie dyskutował. Może dlatego, że nie mówiła zbyt wiele? A może dlatego, że nikt nie miał śmiałości oprzeć się jej zachciankom.

Chwyciła Wiktora za rękę, ten złapał Sonię, Sonia Łagę, Łaga Natalię, Natalia Gustawa. Łańcuszek ruszył w stronę czarnego kontenera. Julia poprowadziła ich za bar, stanęła przy płocie z siatki.

– Dokąd napierasz? – spytał Łaga.

– Tam. – Julia wskazała ręką na wielki stoczniowy dźwig.

– Pierdolisz...

Jadąc ulicą Jana z Kolna, nietrudno dostrzec siedem ogromnych żurawi KONE. Słynne stoczniowe dźwigi przywędrowały do Gdańska w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku i na stałe wpisały się w panoramę miasta. Kiedy kilkanaście lat temu przyjechał tu Jean-Michel Jarre, aby zagrać koncert z okazji jubileuszu powstania Solidarności, chciał, by żurawie wzięły udział w jego monumentalnym spektaklu, odgrywając rolę futurystycznych, industrialnych tancerzy. Z planów tych ostatecznie nic nie wyszło; okazało się, że przedsięwzięcie jest technicznie awykonalne; muzykowi na osłodę zaproponowano samotną suwnicę, na której wjechał na scenę.

Koncert Jarre'a na długo pozostał w pamięci gdańszczan, a jego propozycja przypomniła im, jak wyjątkowym miejscem jest stocznia. Od tego czasu dźwigi stały się dobrem narodowym, zaś każda próba ich usunięcia napotykała silny opór społeczny. Swego czasu padł nawet pomysł, by dźwigi wykupić.

W czasach, kiedy powstała Ulica Elektryków, żurawie KONE doczekały się miana kultowych. Ich ciemne sylwetki odcinały się na tle różowego nieba, a smukłe kształty skłaniały do zadumy. Były istotami niez-tego-świata, wyrwanymi z książek Lema i Asimova, gigantycznymi

robotami, śpiącymi rycerzami, gotowymi w każdej chwili stanąć do obrony swego miasta.

– Dawaj, Gustaw – ponaglił go Łaga.

Poważny student prawa jako ostatni przeskoczył na drugą stronę płotu.

– Ja pierdołę, jak mnie to kręci! – zapiszczała Sonia.

Teren był monitorowany, ale o tej porze każdy porządny ochroniarz już dawno ułożył się na materacu i zapadł w głęboki sen. Stanęli u podstawy dźwigu. Na górę prowadziła wąska drabinka.

Julia zrobiła pierwszy krok. To był jej pomysł. Chwyciła się metalowych szczebelków i rozpoczęła długą wędrówkę na szczyt.

Mimo wspaniałej letniej pogody na tej wysokości zawsze wiał lekki wiatr.

– Kurwa, zaraz spadniemy – zaklął Łaga.

Gustaw bał się nie na żarty. Wiktor miał spocone ręce, Sonia liczyła coś w myślach. Jedynie Julia nie czuła strachu.

Usiedli koło budki operatora.

– Jak tu jest zajebiście – powiedziała Sonia.

Natalii kręciło się lekko w głowie. Wyglądała, jakby miała za chwilę stracić przytomność.

– Ej, wszystko w porządku? – spytał Wiktor.

Znad Górek Zachodnich przebiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Pomarańczowe światło zalało Stogi, Przeróbkę i wyspę Ostrów. Świat był w tej chwili piękny, a życie smakowało wyjątkowo słodko. *La dolce vita*.

– Wszystko w porządku, Nati? – powtórzyła pytanie Sonia. Jej przyjaciółka dostała ataku lekkich drgawek. Dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała:

– Tak, jest spoko.

Nagle powietrze wypełnił silny aromat perfum Julii. Dziewczyna uśmiechnęła się do Natalii.

– Krzycz, jeśli żyjesz – powiedziała, mrużąc lekko oczy.

[3] – Chwileczkę! (niem.).

[4] – Och! To najpiękniejszy zakątek miasta! (niem.).

[5] – Dalej, młody człowieku! (niem.).

[6] – Szybko, polski świniaku! (...) Jedź szybko albo nic nie dostaniesz! Jedź! Dalej! (niem.).

[7] – Dokąd jedziemy? (niem.).

[8] – Śmiało, pospiesz się! (niem.).

[9] – Tu nie można jechać szybciej (niem.).

[10] – Jak masz pieniądze, to wszystko możesz (niem.).

[11] – Pieniądz rządzi światem! (ang.).

[12] – Lewo, prawo, prosto! (niem.).

ROZDZIAŁ 6 | PAŹDZIERNIK

KONRAD KROON

Bolała go głowa. Przez ponad godzinę rozmawiał z rodzicami zmarłej. Pokazywał im wyniki sekcji zwłok, sprawozdanie z badań toksykologicznych. Tłumaczył, słuchał, raz jeszcze powtarzał wszystko od początku.

– Państwa córka zmarła najprawdopodobniej na skutek przedawkowania narkotyków...

– Przecież ona w życiu nie tykała tego świństwa! – zarzekała się matka.

– Wyniki badań krwi i moczu są jednoznaczne – odparł prokurator.

Ojciec wertował sprawozdanie z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

– Przecież tu nie pisze, że zmarła na skutek zatrucia narkotykami...

Kroon ciężko westchnął.

– Ma pan poniekąd rację. W przypadku dopalaczy, czyli nowych narkotyków, które nie są dokładnie zbadane, odnosimy ich działanie do innych podobnych substancji, gdzie znamy dawki śmiertelne. Przy braku dodatkowych czynników zakłada się zatrzymanie akcji krążeniowo-oddechowej na skutek przedawkowania...

– Czyli gównu wiecie. Weronika została porwana i zamordowana.

Tak skończyła się długa, jałowa dyskusja.

Kroon liczył, że pogrzeb pozwoli pokrzywdzonym jakoś pogodzić się ze stratą i pójść powoli naprzód. Zazwyczaj tak się działo. Po złożeniu trumny do ziemi i przysypaniu jej piaskiem bliscy uświadamiali sobie, że to już koniec. Odpuszczali. „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”.

– Panie prokuratorze. – Sekretarka weszła do pokoju. Jak zwykle była lekko spocona. – Tu przyszło takie pismo z banku, mamy blokadę.

– Do której jest czas?

– Do czternastej siedemnaście. Faks wyszedł...

Kroon spojrzął na zegarek. Trzynasta czterdzieści. Miał dokładnie trzydzieści siedem minut, aby wydać odpowiednie postanowienie. Powinien mieć siedemdziesiąt dwie godziny.

– Szlag. Da mi pani szybko te akta.

Wziął teczkę i zaczął pisać kolejne postanowienia. Wszczęcie dochodzenia, blokada środków na rachunku bankowym. Gdyby nie zdążył, bank byłby zobowiązany do zwrotu pieniędzy internetowemu przestępcy.

Przepisy nakazywały bankom blokować podejrzane transakcje. Ktoś ci się włamał na konto, przelał środki innemu Boga–ducha–winnemu frajerowi, później wysyłał je gdzieś do Afryki. Należało reagować szybko. Pieniądze udawało się przechwycić jedynie raz na jakiś czas. Zazwyczaj pokrzywdzeni dowiadywali się o wszystkim po fakcie, kiedy ich rachunki były doszczętnie wyczyszczone.

Prokurator miał dokładnie siedemdziesiąt dwie godziny, aby w sposób zgodny z prawem zabezpieczyć środki przechwycone od przestępcy. Siedemdziesiąt dwie godziny, licząc od czasu, kiedy bank założył blokadę. I nieważne, kiedy ktoś raczył prokuratora o tym poinformować. Jeśli bank wysłał pismo zbyt późno, prokurator był w dupie. Zazwyczaj tak było.

Ktoś zapukał do drzwi. Gustaw zajrzał nieśmiało do środka.

- Dzień dobry, panie prokuratorze, mam taką pilną sprawę.
- Nie teraz, Kolasa. Przyjdź jutro – spławił go śledczy.
- Obawiam się, że to coś wyjątkowo ważnego.

Kroon spojrział na Gustawa nieznoszącym sprzeciwu wzrokiem. Przybrał swój prokuratorski ton.

- Nie teraz, powiedziałem. Wyjdź!

GUSTAW

Gustaw przez cały weekend analizował to, co się stało. Wciąż miał w głowie widok ciała zmarłej oraz charakterystyczny tatuaż. Co i raz spoglądał na swoją rękę. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Pamiątka z wakacji. Jedyna namacalna pozostałość po minionym. Świadectwo szaleństwa, wolności i... strachu.

Nie wiedział na pewno. Nie miał żadnych dowodów, bazował jedynie na poszlakach. Wszystko jednak układało się w logiczną całość. Od pierwszego dnia, kiedy poznał Julię, wiedział, że jest niezwykła. Dziewczyna poruszała się w innym świecie. Celebrowała życie. Gonila za śmiercią.

*

Najgorzej chcieć czegoś od kogoś w poniedziałek. Już starożytni Rzymianie zwykli mawiać, że poniedziałek jest chujowy. Perspektywa pięciu dni zapierdolu, koniec weekendu, kac gigant, wkurwiające maile... Po prostu poniedziałek. Podobno kiedy Bóg zabrał się za stwarzanie świata, zadzwonił do niego kurier z paczką od Buddy i oderwał go od roboty. Wtedy na lapa włamał mu się Szatan, ustawił idiotyczny status na Facebooku, a potem wymyślił poniedziałek.

Gustaw miał pecha uderzyć do Kroona w poniedziałek. Nic dziwnego, że dostał kopa w dupę.

Następne podejście wykonał nazajutrz. Teraz jednak postanowił zmienić taktykę. Począł, aż prokurator wypije poranną kawę, wróci spokojnie do pokoju. Wtedy zapukał raz jeszcze.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

– Kolasa, co tam chciałeś? Dać ci coś do pisania?

– Chciałbym porozmawiać o jednej sprawie. Raczej poważnej.

Kroon obrócił się na fotelu. Student zdobył jego uwagę.

– No, słucham.

Gustaw przełknął ślinę. Zawsze, gdy się stresował, zasychało mu w gardle.

– Pamięta pan sprawę tej nastolatki, którą znaleźli w Strzyży? Ja chyba wiem, kto ją zamordował.

Prokurator zaniemówił.

– Zamordował? – powtórzył po dłuższej chwili milczenia.

– Tak. Poznałem kiedyś taką jedną dziewczynę, miała na imię Julia. To było jakoś na początku wakacji. – Nagle przed oczami przeleciały mu setki obrazów. Dzikie akcje, narkotyki, balansowanie na granicy prawa; jeśli zdradziłby Kroonowi chociaż część z tych tajemnic, mógłby zapewne pożegnać się z karierą prawnika. Musiał mówić naokoło. – To była naprawdę wspaniała dziewczyna, ale miała w sobie coś takiego... – Spojrzał na Kroona. Zaszklily mu się oczy.

– Złamała ci serce?

– Ja... – Student z trudem odzyskał spokój. Wziął głęboki oddech. – Nigdy nie spotkałem piękniejszej osoby. Bardziej niezwykłej.

Kroon słuchał go z uwagą.

– Mów dalej...

– Julia... Ona... Przepraszam, ale nie wiem, od czego zacząć. Nie chciałbym pominąć niczego ważnego.

– W takim razie zacznij od początku. Masz – prokurator spojrział na zegarek – pół godziny.

KONRAD KROON

Kroon słuchał z zainteresowaniem historii opowiedanej przez młodego studenta prawa. Prokurator umiał przesłuchiwać, znał się na ludziach. I choć prowadzili jedynie nieformalną rozmowę, wiedział, że dzieciak nie kłamie. Żaden gest, żaden mimowolny tik nerwowy nie świadczył przeciwko niemu. Gustaw Kolasa święcie wierzył w swoją opowieść.

Doświadczony śledczy wie, że komunikacja niewerbalna stanowi ponad siedemdziesiąt procent przekazu. Kroon miał w głowie coś na kształt wariografu. Rzadko kiedy komuś udawało się go oszukać. Właściwie to nikt nigdy go skutecznie nie okłamał.

Gustaw opowiedział prokuratorowi o swoich niezwykłych wakacjach. O tym, jak poznał Julię, jak się w niej zakochał. Starał się pomijać bardziej drastyczne szczegóły, umniejszyć swoją rolę w niektórych dzikich akcjach. Jak to mówią prawnicy, dokonał starannej selekcji materiału dowodowego.

Julia cierpiała na silną obsesję śmierci. Wciąż o niej mówiła; próbowała ją jakoś oswoić, dogonić, dotknąć. Zaczęło się całkiem niewinnie. Głupi żart, młodzieńczy wygłup. Julia miała głowę pełną zwariowanych pomysłów. Z czasem zaczęła coraz bardziej naginać narzucone normy. Przekraczała granice zdrowego rozsądku, balansowała na cienkiej granicy szaleństwa. Trudno było dotrzymać jej tempa.

– „Krzycz, jeśli żyjesz” – wyjaśnił Gustaw. – Z początku to było tylko zwykłe powiedzonko. Mówiliśmy tak do siebie w żartach. Zaczęło się chyba od jakiejś akcji na koncercie. Później wrzucaliśmy ten tekst co drugie zdanie. Nie miał dla nas żadnego znaczenia.

– I zrobiliście sobie te tatuaże – podsumował Kroon. – Takie braterstwo krwi.

– Tak. Ale Weronika... Ona nie była jedną z nas. Nigdy w życiu jej nie widziałem.

Prokurator bawił się wiecznym piórem.

– Dziaraliście się tylko w piątkę?

Student przytaknął.

– Julia, Natalia, Sonia, Wiktor, no i ja.

Kroon spojrzał na odsłonięte przedramię Kolasy. Litery były całkiem zgrabnie napisane, modna czcionka, dobre proporcje. Tatuator wiedział, co robił.

– Czyli tatuaż pokrzywdzonej...?

– Robił zupełnie kto inny – wyjaśnił Gustaw.

Prokurator wyjął z szafy akta główne sprawy Zatorskiej. Wciąż jeszcze nie odesłał ich na policję.

Otworzył teczkę na stronie ze zdjęciami. Przyjrzał się fotografii tatuażu.

– Faktycznie. Czyli podejrzewa pan, że napis zrobiła Julia?

– Tylko nasza piątka znała ten tekst. To było nasze motto.

Kroon raz jeszcze spojrzał na zdjęcie z akt. Litery tatuażu przypominały bardziej więzienną dziabę niż pracę doświadczonego artysty. Robota amatora.

– Ale dlaczego właśnie Julia? Dlaczego to ona miałaby zabić?

Gustaw zacisnął dłonie, wbijając paznokcie w skórę. Próbował opanować nerwy.

– Wciąż o tym mówiła. O tym, jak lekkie i nic nieznaczące jest życie. Pełne przypadku i losowości.

– Niejeden nastolatek przeżywa fascynację taką filozofią – zauważył prokurator. Mówił w tej chwili z perspektywy kogoś, kto w swoim życiu doświadczył naprawdę wiele.

– Chyba tak. Ale Julia... Ona serio mówiła, że chce kogoś zabić. Powiedziała mi to.

– A więc groźba została zwerbalizowana. – Kroon wstał zza biurka. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Kilka metrów dalej rysowała się szara ściana budynku sądu. – Ale dlaczego Weronika Zatorska? Co łączyło ją z pańską Julią?

– Nie wiem – odparł szybko Gustaw. – Będziemy musieli to dopiero wyjaśnić.

Prokurator pokiwał ze zrozumieniem głową. Podszedł do biurka.

– Widzi pan, problem w tym, że Weronika Zatorska nie została zamordowana. Ten fakt burzy pana skomplikowaną konstrukcję logiczną.

– Przecież ona nie żyje! – zaprotestował Gustaw.

Kroon się zaśmiał.

– Musi się pan jeszcze wiele nauczyć. Jaką ocenę dostał pana z prawa karnego?

– Piątkę z materialnego i czwórkę plus z procesu – odparł z dumą praktykant.

– Pięknie. A mimo to popełnił pan elementarny błąd.

– Jaki błąd? – Gustaw zrobił głupią minę.

Prokurator wziął do ręki akta.

– Możliwe, że mamy motyw. Wątpliwy, dwuznaczny, pasujący bardziej do prasy brukowej niż aktu oskarżenia. Jakiś motyw. Kiepski motyw. Brakuje nam jednak jednej rzeczy.

– Jakiej? – Kolasa totalnie nie wiedział, o co może chodzić.

– Czynu – rzekł krótko Kroon.

Gustaw patrzył na niego, nie rozumiejąc. „Jakiego znowu czynu?” Zaklął w myślach.

– Nie rozumiem. Przecież ona nie żyje...

Prokurator przysiadł na krawędzi biurka. Postanowił wygłosić studentowi szybki wykład. Krótką powtórkę z podstaw prawa karnego.

– Panie Kolasa. Czym jest przestępstwo?

– Czynem zabronionym, zawinionym – zaczął. – Społecznie szkodliwym w stopniu większym niż znikomy.

– Brawo. – Kroon zaklaskał. – A czym jest czyn?

– Znamy wiele teorii... – Student bronił się jak na egzaminie.

– Oczywiście. Mówimy jednak o pewnym zachowaniu się podmiotu prawa, rodzącym określone skutki prawne.

– Zaniechaniu lub działaniu – odpowiedział Gustaw.

Kroon bawił się piórem.

– W rzeczy samej. Proszę otworzyć Kodeks karny na artykule sto czterdzieści osiem i odczytać jego treść.

Student szybko wykonał polecenie prokuratora.

– Paragraf pierwszy. Kto zabija człowieka, podlega karze...

– STOP. Skupmy się na dwóch pierwszych wyrazach. „Kto zabija”. Na czym polega czynność sprawcza opisana przez ustawodawcę?

– No na zabijaniu... – Gustaw miał mętlik w głowie.

Konrad Kroon stanął przy drzwiach, ściskając akta w rękach. Byłby z pewnością świetnym nauczycielem. Surowym, lecz bystrym. Kiedyś nawet zastanawiał się nad karierą akademicką, wyjechał jednak w daleką podróż do Ameryki Południowej, przegapił termin rekrutacji na studia doktoranckie, a do następnej już w ogóle nie podszedł. Kontynuował swoją mowę:

– Kto zabija człowieka. Kto odbiera życie, uśmierca. Hipoteza normy prawnej zakłada istnienie zachowania człowieka polegającego na mordowaniu. Na zadawaniu śmierci. – Otworzył akta na protokole sekcyjnym. – Weronika Zatorska zmarła na skutek zatrzymania akcji krążeniowo-oddechowej wywołanej działaniem substancji szczegółowo opisanej jako – tu bezbłędnie odczytał skomplikowany wzór chemiczny narkotyku – przy czym śladów działania osób trzecich nie stwierdzono.

– Ale Julia...

– Panie Kolasa. Wierzę panu, że spotkał pan dziewczynę, która miała fioła na punkcie śmierci. Może zaraziła tym szaleństwem innych. Faktem jednak jest, że Weronika Zatorska NIE ZOSTAŁA ZAMORDOWANA. Przedawkowała narkotyki.

– Przecież ktoś mógł ją do tego namówić...

Kroon wręczył mu Kodeks karny.

– Samobójstwo i zabójstwo to dwa odmienne światy. Wyjaśniliśmy sobie już wcześniej, że samobójstwo nie jest karalne. Kogo chciałby pan ukarać? Zmarłą? Dowalić jej zawiasy za to, że wykitowała?

– Pan żartuje...

– W średniowieczu biczowano morze, w którym ktoś się utopił. Może chciałby pan aresztować narkotyki, którymi zaćpała się ta biedna dziewczyna?

Gustaw milczał. Czuł się poniżony. Doświadczony prokurator zmieszał go z błotem. Upokorzył.

– Przecież Julia mogła jej pomóc. Namówić ją jakoś do tego.

Kroon raz jeszcze otworzył Kodeks karny.

– Przeczyta pan przepis artykułu sto pięćdziesiąt jeden – polecił.

– Kto namową lub przez udzielenie pomocy doprowadza człowieka do targnięcia się na własne życie, podlega karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do lat pięciu – wyrecytował Kolasa.

– Otóż to. Doprowadza do targnięcia się na własne życie. Jeśli ta pańska Julia namówiła Weronikę Zatorską do odebrania sobie życia albo jej w tym pomogła, dopuściła się przestępstwa z artykułu sto pięćdziesiąt jeden. Doprowadzenia do samobójstwa, a nie zabójstwa. Nikt tu bowiem nikogo nie zamordował i nikt nie może odpowiadać za taki czyn.

– Rozumiem... – odparł zrezygnowany Kolasa.

– Proszę spojrzeć na okładkę akt. W jakim kierunku prowadzimy to śledztwo?

Gustaw spojrział na szarawą teczkę. Odczytał naniesione w odpowiedniej rubryce cyfry.

– Sto pięćdziesiąt jeden...

– Zatem wszystko dzieje się zgodnie z prawidłami sztuki. Czyż nie?

– Tak, panie prokuratorze. – Kolasa miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Kroon otworzył drzwi na korytarz, dając tym samym znak, że konsultacje dobiegły końca.

– Przesłuchamy tę pańską Julię, panie Kolasa. Ale zarzutu zabójstwa w tej sprawie nie będzie – rzucił na odchodne.

ROZDZIAŁ 7 | CZERWIEC

NATALIA

Śmigło helikoptera kręciło się kilkanaście centymetrów nad powierzchnią łóżka. Natalia leżała zrana potem, wciśnięta w wygnieciony materac. Błądźnik odmawiał jej posłuszeństwa.

– Natalka...

– Natalia! Wstawaj!

– Natalka... – Matka otworzyła drzwi do pokoju. Zaduch uderzył ją w nos.

– Natalia! Wychodzimy do kościoła! – Ojciec stanął w drzwiach. – Matko Boska, jak tu capi! Jak w gorzelni! Natalia, zbieraj zwłoki, idziemy do kościoła!

– Nigdzie nie idę... – wymamrotała.

– Natalia, jest niedziela! Zawijaj dupę w troki i do kościoła!

Dziewczyna nakryła głowę poduszką.

– Moja panno, są pewne obowiązki! Jak się ma siłę tak imprezować, to trzeba mieć siłę iść do kościoła!

– Nie dam rady...

– Przecież to nie może tak być. Pan Bóg jest na pierwszym miejscu, pamiętaj o tym – pouczyła matka. – Jak nie ma miejsca dla Pana Boga, to

nic nie jest po kolei!

– Po prostu nie będziesz mogła wracać tak późno. Koniec z wychodzeniem – stwierdził ojciec.

– Ja pracuję w knajpie... – mruknęła spod poduszki.

– W knajpie. W restauracji, a nie w jakimś domu lekkich obyczajów!

Ojciec wyszedł na korytarz. Matka tylko kiwała głową.

– No nic, Władziu, dziś nic już nie zrobimy. Idziemy sami.

– Pij dużo wody – poradził ojciec. – Ale nie myśl, że tak to zostawimy.

W tym domu mamy pewne zasady, a Pan Bóg jest na pierwszym miejscu!

GUSTAW

Z sobotniej imprezy wrócił na własnych nogach. Szczęśliwie zastał puste mieszkanie. Matka była u sąsiadki, ojciec poszedł na spacer z psem. Gustaw nie musiał nikomu niczego tłumaczyć. Zamknął się w pokoju i odleciał.

Komórka dzwoniła jak szalona, ale miał wyłączony dźwięk. Właściciel firmy meleksiarskiej rwał włosy z głowy. Około południa wyświetlacz telefonu informował o trzynastu nieodebranych połączeniach. Pechowa liczba.

Rodzice Gustawa wpadli na siebie pod blokiem.

– Weź ode mnie te słoiki, Tadziu, dostałam od Strehlowej – poprosiła pani Kolasa.

Wjechali windą na górę.

– O, panicz zaszczycił nas swoją obecnością – stwierdził Tadeusz, spoglądając na brudne od pyłu buty syna.

– Nie budź go, niech odeśni – poleciała matka. – Należy mu się trochę rozrywki.

Następnego dnia Gustaw wciąż miał lekkiego kaca; nieznaczny ból głowy i solidne wyrzuty sumienia. Student należał do tych prawidłowych. Jeśli czegoś się podejmował, nigdy nie nawalał. Urodzony harcerzyk, tak jest, druha drużynowy, czuj, czuj, czuwaj. Spojrzał na telefon i zaklął pod nosem. „Trzynaście nieodebranych połączeń. Co za wstyd!” – pomyślał.

Szacunek do pracy wyssał z mlekiem matki. Zakuwanie po nocach, ekstrafuszki w weekendy. Jedynie w ten sposób mógł coś w życiu osiągnąć. Zdobyć trochę grosza, zostać w końcu kimś. Podobna wtopa nie zdarzyła się mu chyba jeszcze nigdy.

Poranna kolejka zawiozła Gustawa prosto do centrum. Szedł z pochylonym czołem, pokora rysowała się mu na twarzy, rumieńce wstydu wymownie oznajmiały, że czuje się winny. Mimo to młodzieniec postanowił uciec się do kłamstwa.

– Ja pierdołę, Kolasa, co to miało być? – zaklął szef, serwując ciepłe, przyjacielskie powitanie.

– Chyba jelitówka...

– Synu, dzwoniłem do ciebie dobre kilkanaście razy! Wiesz, jaki wczoraj mieliśmy ruch?! – krzyknął poirytowany.

– Przepraszam, ale naprawdę nie miałem siły wstać z łóżka. Cały czas wymiotowałem.

– Jak się nabzdryngoliłeś, to wymiotowałeś. Prosta sprawa.

Gustaw zrobił skruszoną minę.

– Szefie, to nie tak. Musiałem coś złapać od jakichś turystów. Jechali ze mną tacy Anglicy, mówili, że kręci ich w brzuchu...

– Ci, co rozwalili mi melekse?

Student szukał dobrej wymówki.

– Wiem, że to głupio wygląda...

– Słuchaj, wyczerpałeś kredyt zaufania. Gdyby nie to, że uczył mnie twój ojciec, już dawno wychrzaniłbym cię na bruk. Ale stary Kolasa też mi kiedyś poszedł na rękę... W liceum nie byłem takim znowu aniołkiem. Słuchaj. Masz być od dziś moim topowym pracownikiem. A teraz zakasaj rękawy i śmigaj na Długą!

WIKTOR

Szedł właśnie na siłownię. Po drodze kupił karnety na Open'era dla siebie i Julii. Łaga swoje dostał od brata w prezencie na urodziny.

„Idziecie z nami na Opka? W piątek gra Billie Eilish” – wyskrobał do Soni.

„No pewka, ale jeszcze nie mam biletów. Napieram do Natki i idziemy razem” – dziewczyna wystukała odpowiedź dosłownie kilka sekund później. Musiała właśnie coś robić na telefonie.

Wszedł do szklanego biurowca. Trenował tu już od dłuższego czasu. Kiedyś ćwiczył w domu, ale odkąd przeprowadził się na Garnizon, bliżej było mu do Oliwy niż chaty rodziców.

– Te, Trójmiejski Trener! – zawołał z oddali.

Piotrek czekał na ławce.

– Pięć minut spóźnienia, miałeś być o czasie...

– Mordo, luźna guma! Robiłem kicię, wiesz, jak jest – odpowiedział z wrodzonym sobie wdziękiem.

– Słuchaj, ja mam dla ciebie godzinę. Później przyjdiesz, mniej zrobimy.

– Dobra, nie mul pizdy. Zaraz się przebiorę i jestem.

Najpierw rozgrzewka, potem chwila na maszynach. Wiktor miał kratę na brzuchu i odpowiednie proporcje. Minimalna ilość tłuszczu, dobrze

zaznaczone mięśnie. Był wciąż w tym wieku, w którym dbanie o sylwetkę przychodziło mu z łatwością. Nie jadł słodczy, pilnował kalorii. Pompował zawsze po przebudzeniu, biegał trzy razy w tygodniu. Właściwie to jedynymi niezdrowymi elementami jego diety były alkohol i narkotyki. Nie znalazł powodu, by z nich rezygnować.

– Widziałem, że nieźle melanzowaliście w weekend.

– Stary, było grubo.

– Obczajałem na stories – powiedział trener. – No, jeszcze jedno powtórzenie i idziemy na sztangę.

Wiktor wykonał ćwiczenie. Przetarł rącznikiem twarz i napił się wody.

– A wy czemu nie poszliście na Kizo?

– Kurde... no mega chcieliśmy iść, ale Elka musiała pilnie jechać do Lidzbarka. Trochę lipa – przyznał ze smutkiem Piotrek.

Stanęli przy wolnym stanowisku.

– Ej, możemy ćwiczyć na zmianę? – spytał jakiś dziwny koleś.

– Nie! – odpowiedzieli chórem.

– Spierdalaj stąd i nie przeszkadzaj ludziom. Mało masz maszyn? – dodał Trójmiejski Trener.

Zaczęli kolejną część treningu. Na ekranach w siłowni leciały jakieś kolorowe teledyski.

– O kurwa... – sapnął Wiktor.

– Dobra, minuta przerwy. Napij się.

Duchnowski łapczywie wciągał powietrze. Na zewnątrz panował straszny upał. Nowoczesny budynek przypominał szklarnię i o tej porze roku klimatyzacja ledwo dawała radę.

– No dziś to mnie ciśniesz...

– Żebyś dobrze wyglądał dla tej swojej ciapci. Co to za jedna?

– Stary! – Wiktor wyszczerzył zęby. Dwa lata noszenia stałego aparatu zrobiły swoje. – To jest strzał jeden na milion.

– Właśnie widziałem na Insta. Dobra kicia. Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Na Ele do niej podbiłem.

Trójmiejski Trener zerknął kontrolnie na zegarek. Jeszcze chwila treningu.

– Masz w ogóle o czym z nią gadać? Bo mordę ma ładną.

– No mówię ci, że to jest diament. Kryształ.

Piotrek tylko się zaśmiał z dwuznacznego porównania. Sam od czasu do czasu lubił przypierdolić kryształ.

– Ryje ci banię?

– No trochę tak. – Wiktor zmrużył oczy. – Diablica!

GUSTAW

Dostał wiadomość od Łagi, że wybierają się całą paczką na Open'era. Wstyd się przyznać, ale nigdy jeszcze nie był na festiwalu w Kossakowie. Sprawdził stan konta. Niby wszystko się zgadzało, ale szkoda mu było wydać trzy stowy na bilet jednodniowy. O kupnie karnetu na cały festiwal za siedem stów mógł zapomnieć.

– Łaga, ja chyba powiem pas – poinformował go przez telefon.

– O co chodzi, mordo? Masz węża w kieszeni?

– Słuchaj, no nie sram kasą tak jak ty. Wiesz o tym.

– Dobra już, dobra. Trzeba było zostać męską dziwką, a nie kierowcą melekxa. – Zerknął na Gustawa. – Żart! Słuchaj, Natalia i Sonia też nie kupują biletów. Wchodzimy na wałku. Wiktor, Julka i ja będziemy mieć opaski, na bank którąś da się zdjąć i was wprowadzić.

- To tak można? – zdziwił się Gustaw.
- No raczej, że nie można. O to w tym chodzi.

JULIA

Przed Open’erem nie było niczego. Przynajmniej jeśli chodzi o muzykę. Kiedy w dwa tysiące szóstym odpalono festiwal w Kossakowie, ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Nagle do zapyziałego Trójmiasta zjechały dziesiątki zagranicznych wykonawców. Grali muzykę, której dotąd można było posłuchać jedynie w radiowej Trójce; świeżą, nowoczesną, porządną. To nie była wiocha z Opoła, to nie było hippisowanie na Woodstocku. Czego słuchasz? No wiesz: indie, alternatywy. Hasło tylko dla wtajemniczonych. Dla dzieciaków w rurkach, noszących kolorowe koszulki i włosy na bok. *New rock revolution*. Placebo, Franz Ferdinand, Arctic Monkeys... Zapraszano też raperów: Kanye’ego Westa, Pharrella Williamsa, Drake’a czy Kendricka Lamara.

Co roku w Gdyni wydawano wystawną ucztę, dzięki której Polska stawała się coraz bardziej światowa. Co roku słowiańska przarność wpuszczała do swej drewnianej chaty gości, którzy umieli jeść nożem i widelcem. To dzięki Open’erowi zmieniła się muzyka w klubach, to dzięki niemu stacje radiowe skumały, że istnieje coś poza tandetnym popem. I choć sukces zazwyczaj ma wielu ojców, to w tym wypadku dziecko było zabójczo podobne tylko do jednego z nich.

Zajechali SKM-ką do Gdyni Głównej. Podczas Open’era stare, wysłużone składy kolejki przypominały pociągi krążące pomiędzy Bombajem a Kalkutą. Ludzie wystawali z okien, drzwi nie dało się domknąć.

- Z drogi, hołoto! – zawołał Wiktor, przepychając się przez tłum.

– Już wiem, czemu nie jeżdżę komunikacją – dodał Łaga. – Ja pierdolę, co za syf!

Natalia zerknęła na niego z ukosa. Codziennie wsiadała na Zaspie i tłukła się do Śródmieścia do pracy w pizzerii.

– I co dalej? – spytał Gustaw.

– Dajemy na autobus – wyjaśniła Sonia.

Podążyli za tłumem.

– Ej, tu możemy wymienić bilety na opaski! – zauważył Łaga.

– Na wejściu będą mniejsze kolejki. – Wiktor objął Julię. – Zawsze tak jest.

Kawałek dalej za rondem ustawiały się już specjalne autobusy, które wozily ludzi na teren dawnego lotniska. Festiwal odbywał się na granicy Gdyni oraz Kossakowa. Obie gminy miały pewien udział w jego organizacji.

– Dajemy do tego! – krzyknęła Sonia.

– Możemy się nie zmieścić – oponowała Natalia.

– Ciśniemy, maluszki! Do ataku! – zawołał Wiktor.

Wbili się na chama. Z tyłu kilku wesołych ziomeczków organizowało już biforka. Ostatnie miejsca zawsze zajmują najwięksi imprezowicze.

– Może wódeczki? – spytał koleś w wakacyjnej koszuli.

– Zdrowie, mordo! – odparł Łaga, stukając się z nim własnoręcznie sporządzonym bidonem. W dwulitrowej butelce po coli było równie dużo whiskey, co gazowanego napoju. Pół na pół. Idealne proporcje na szybką najebkę.

Autobus włókł się w żółtym tempie przez kolejne dzielnice Gdyni. Śródmieście, Grabówek, później estakadą na Oksywie. Ulice Unruga,

Bosmańska, Zielona... Wypełniony po brzegi solaris jechał wzdłuż ogródków działkowych. W końcu stanął przed bramą lotniska.

– *O fuck*. Jutro jedziemy uberem – zaklął Łaga, ocierając pot z czoła. Cały się lepił.

– Zabulisz ze dwie stówy... – podliczyła na szybko Natalia.

– A chuj. Jak mam jechać z tym bydłem, to mogę i tysiaka dać.

Ruszyli długą drogą ułożoną z plastikowych płyt.

Z oddali widać było tył głównej sceny. Publikę rozgrzewał już jakiś polski wykonawca. Może Brodka, a może The Dumplings.

– No dobra, to dajemy wymienić te karnety – powiedział Wiktor. – Tylko pamiętajcie, mówicie, że was ciśnie.

Julia, Wiktor i Łaga stanęli w kolejce po opaski. Chwilę później wrócili do pozostałej trójki przyjaciół.

– Ni chuja – powiedział Wiktor. – Za dużo przypakowałem...

– U mnie też lipa – stwierdził Łaga.

Julia ścisnęła palce. Jej złożona dłoń była jedynie nieznacznie większa od nadgarstka. Chwilę później trzymała opaskę w drugiej ręce.

– Jak ty to zrobiłaś, mordo?! – zawołał Wiktor.

– Trzeba było uważać – odpowiedziała tekstem ze starego filmu Machulskiego. – *Ucho od śledzia*.

Kiedy kilka miesięcy później Gustaw układał sobie to wszystko w głowie, stwierdził, że ta luźna wstążeczka to była cała Julia. Chciała móc ściągnąć opaskę. „Nie zaciskaj mi tak mocno. Za mocno. Słabiej. Okej” – rozkazała komuś z obsługi. Wypowiedziała swoje żądanie. Chłopak spojrzał na nią maślanymi oczyma. Nieważne, czy był homo, czy hetero. Julia działała tak samo na wszystkich. Miała ochotę. Miała pragnienie. Miała kaprys.

– No i pięknie. Słuchajcie. Kawalek dalej będzie taki kolorowy totem. Obok niego po prawej są tojki. Tam się spotkamy przy płocie. Julka da wam swoją opaskę. Najpierw wejdzie Sonia, Natka, potem prawidłniak. – Wiktor zdradził swój genialny plan, jak zaoszczędzić tysiąka. Wszyscy byli za.

*

Ochroniarze obszukali ich przy wejściu.

– Dobra, możecie wchodzić. – Niczego nie znaleźli. Żadnych narkotyków, alkoholu, zakazanych substancji. Śmieszna ta kontrola. Zarówno Wiktor, Łaga, jak i Julia mieli skitrane solidne zapasy różnych smakołyków dla lepszej zabawy. Mogliby tu wnieść kilo koki i nikt by nie skumał.

Szli przez łąkę w stronę charakterystycznego totemu. W oddali pięły się szpiczaste wieże niebieskiego namiotu. Tent Stage.

– Dobra, Julka, ściągaj opaskę.

Podeszli do płotu. Sonia, Natalia i Gustaw czekali w umówionym miejscu. Julia podała wstążeczkę Soni. Piętnaście minut później dziewczyna była już z nimi. Później przyszedł czas na Natalię. Poszło równie gładko.

Ostatni miał wejść Gustaw. Natalia chciała przekazać mu opaskę, ale wtedy niespodziewanie do akcji wkroczyła Julia. Zabrała dziewczynie wstążeczkę i stanęła tuż przy płocie. Machała materiałowym biletem, trzymając go ledwie kilka centymetrów od metalowej siatki.

– Myślisz, że jesteś gotowy, by się z nami bawić?

Nogi Gustawa zrobiły się niezwykle ciężkie. Jakby ktoś wyciosał je z kamienia.

– Tak... – odparł bez większego polotu.

– To bilet do lepszego świata, wiesz o tym? – spytała Julia, patrząc mu prosto w oczy.

– Wiem – wyszeptał.

Dziewczyna zbliżyła wstążkę do twarzy. Ucałowała ją.

– Oto mój dar dla ciebie. Ale uważaj. Potrafi być wyjątkowo niebezpieczny.

Gustaw przełożył dłoń pomiędzy szczelkami. Julia nałożyła na nią opaskę.

– Dziękuję.

– Tylko pamiętaj, żeby mi ją oddać.

*

Stali pod główną sceną na koncercie gwiazdy wieczoru. W powietrzu rozchodził się znajomy aromat marihuany. Był to kolejny dowód na to, że ochroniarze świetnie wykonywali swoją pracę.

– Masz lolki, Łaga? – spytał Wiktor.

Łagocki wsadził rękę do długiej białej skarpety. Wyciągnął z niej zawiniątko. Z kieszeni szortów wyjął bletki.

– Dawaj ognia.

Wypalili gram na spółę. Gustaw, nie chcąc wyjść na sztywniaka, również wziął kilka buchów, ale się nie zaciągał. Drugi, kurwa, Clinton.

Muzyka zrobiła się spokojniejsza. Do akustycznych kawałków najlepiej pasowały bujanie się i jaranie zioła.

Natalia przystanęła koło Gustawa. Tańczyli bardzo blisko siebie. Chłopak miał ochotę ją pocałować. „Zrobię to i będziemy parą. No dawaj”. Bił się z myślami. „Albo zrobię to i spalę wszystko. Wywalą mnie z ekipy. Może trzyma mnie tylko we friend zonie?”

Tego wieczoru nie miał okazji się już o tym przekonać.

– Kurwa, ale przymuła – zakląła Julia. – Zaraz umrę z nudów. Chodźcie na jakieś rejwy! W bunkrze grają chyba *silent disco*.

Królowa przemówiła. Natalia wzruszyła ramionami i poszła grzecznie za wszystkimi.

– Tam, prosto! – oznajmił młody Duchnowski.

Przed wejściem do dyskoteki rozdawali słuchawki. Przełącznikiem z boku można było zmieniać muzykę lecącą z dwóch konkurencyjnych stacji. Didżeje bili się o to, kto zgromadzi większą publikę.

– Na pierwszym zamuła, na drugim za mocna pizda – powiedział Łaga.

– Może się rozkręci... – Natalia zsunęła słuchawki z uszu.

– Idziemy w techno. Tylko trzeba sobie pomóc – zdecydował Wiktor. – Julka, dawaj cukierki.

Dziewczyna wsadziła rękę do stanika. Wyciągnęła z niego foliową torebkę.

– Lubię słodczyce – ucieszyła się Sonia.

Julka wysypała sobie na dłoń sześć różowych tabletek.

– Nie, ja chyba nie biorę... – Natalia miała lekkie obawy.

– Albo wszyscy, albo nikt – oświadczył Łaga, łykając pigułkę.

– Wszyscy! – powiedziała Sonia, wsadzając Natalii tabletkę do ust.

Dziewczyna dała się przekonać. Właściwie nie było to zbyt trudne.

– A ty? – spytała Julia, patrząc na Gustawa. Na jej dłoni została jedna samotna pastylka.

– Ja nie muszę, serio. – Kolasa się zmieszał.

– Ten pociąg za chwilę zniknie z peronu. Nie jedziesz z nami?

Chciał być teraz z Julią. Robić to, co ona. Być tu dla niej. Cholernie się jednak bał. Narkotyki. Wszyscy go zawsze przed nimi przestrzegali. Nie

wiadomo, co było w środku, nie wiadomo, jak by to na niego podziało. A jeśliby się uzależnił?

Słyszał mnóstwo historii o tych, którym zniszczyły życie. Widział ćpunów z Monaru. Co by powiedzieli rodzice? Jak zareagowałyby jego babcia? Marihuana to co innego. Mógł poudawać. Ale łykanie piguły?

– Nie, dzięki. Może następnym razem – odparł z głupią miną.

– Może nie będzie już następnego razu – powiedziała smutno Julka, chowając tabletkę z powrotem do woreczka. Odwróciła się do niego plecami, założyła słuchawki i zaczęła tańczyć.

*

Ludzie skakali zatopieni w szalonej wspólnocie bezgłośnie zabawy. Świat stawał się coraz bardziej kolorowy. Sonia ocierała się o tańczące obok dziewczyny. Natalię zarywał jakiś przystojny blondyn.

Gustaw widział, jak jego nowi przyjaciele powoli odpływają.

– Krzycz, jeśli żyjesz! – zawołał Łaga, nie zdejmując słuchawek. Sonia czytała mu z ruchu warg. Zaśmiała się.

Julia wskoczyła na stół z deckami. Zabrała didżejowi mikrofon i zaczęła nucić. Nagle kilkaset par oczu spojrzało w jej stronę. Nie umiała za bardzo śpiewać, ale nie fałszowała. Mruczała coś po swojemu, kręcąc się wokół kontrolera.

– Julka, uważaj! – ostrzegł ją Wiktor, który dojrzał idącego w jej stronę ochroniarza. Dziewczyna zerknęła za siebie.

– Niech nikt nie mówi wam, co macie robić! Niech nikt nie mówi wam, jak macie żyć ani kiedy macie umrzeć! – zawołała i zeskokczyła z podestu.

Didżej podbiegł do kontrolera i włączył mocniejszą muzykę. Niespodziewany show spotkał się z aplauzem części imprezowiczów. Inni byli zbyt zrobieni, by zauważyć, że coś jest nie tak.

– Kurwa, ale akcja – podnieciła się Natalia.

Sonia zbiła piątkę z Julią.

– Krzycz, jeśli żyjesz – szepnęła dziewczyna i namiętnie pocałowała Wiktora. – Krzycz albo jesteś trup. Krzycz albo już umarłeś!

Nagle koło nich pojawił się barczysty ochroniarz.

– Sorry, ale wy dwoje stąd wypierdalacie! – wykrzyczał.

– Jesteś trupem – powiedziała do niego Julia. – Chodzisz po ziemi, stąpasz po niej, ale nie wiesz, że żyjesz. Bo nie żyjesz naprawdę.

Mężczyzna nie miał nastroju na jałową pogawędkę z naćpaną laską. Zwrócił się wprost do jej chłopaka:

– Weź tę swoją pannę i spierdalajcie stąd. Albo was wyjebię z festiwalu.

O dziwo, to Łaga okazał się tym rozsądnym. Chwycił Wiktora za rękę i ruszył w kierunku bramek. Reszta ekipy podreptała za nimi.

Stanęli kilkadziesiąt metrów od wyjścia z bunkra.

– Dobra, ja muszę siku! – powiedziała Natalia.

– Ja też... – przyznała Sonia.

– Zamówiłbym burgerka. – Wiktor czuł, jak mrowi go w brzuchu. – Łapię gastrofazę...

– No dobra, to plan jest taki: wszyscy robią swoje i widzimy się za piętnaście minut w tym samym miejscu – zdecydował Łaga. – Dokładnie tutaj!

Rozeszli się, każdy w inną stronę. Gustaw został sam. Spojrzał na główną scenę. Wybrzmiewały na niej jakieś połamane, elektroniczne dźwięki. Zerknął na niebo. Było idealnie czyste, pełne świetlistych, jasnych punkcików. Skierował wzrok na prawo. Obrócił głowę i ją zobaczył.

Julia. Znowu ona. Okazało się, że również nie miała zamiaru nigdzie iść.

- Strasznie mi zimno – oznajmiła, patrząc na Gustawa.
- Mogę pożyczyć ci swoją koszulę – zaproponował chłopak.
- Nie chcę. Twoje perfumy strasznie cuchną. Nie lubię takiego taniego gówna.

Gustaw się spieszył.

– Sorry – wymamrotał zawstydzony. Wodę toaletową kupowała mu mama. Co roku dostawał pod choinkę taką samą niebieską buteleczkę.

– Musisz przynieść mi bluzę – oświadczyła Julia.

– No, ale nie mam żadnej...

Wskazała ręką na sklep z pamiątkami. Sprzedawali płyty, plakaty i inny *merch* grających na festiwalu zespołów.

– Widzisz tamtą czarną bluzę? Przynieś mi ją.

– Mam ci kupić bluzkę? – zaśmiał się Gustaw.

Julka zaprzeczyła.

– Nie. Masz ją dla mnie zajebać.

Chłopak zrobił wielkie oczy.

– Wkręcasz mnie...

– Zaraz zamarznę, jak nie przyniesiesz mi tej bluzy. Spójrz na moje ramiona. – Dała mu się dotknąć.

Faktycznie, miała gęsią skórkę. Gustaw gładził jej bladą skórę. Pot zrosił mu wnętrze dłoni.

Noc magii. Noc czarów. Dziewczyna go zaklęła. Opętała jego umysł, zawładnęła resztkami wolnej woli.

– Mam ją dla ciebie ukraść?

– Tak – odparła poważnie.

Gustaw bił się z myślami. Tyle razy odmawiał. Tyle razy w życiu był cykorem. Tyle razy był grzeczny, porządny, do bólu poprawny. Nudny jak

rzygi.

– Dobrze – odpowiedział. Ruszył w stronę festiwalowego sklepiku.

– Poczekaj! – powtrzymała go. – Daj mi swój portfel i telefon.

– Po co?

– Żeby nie naszły cię wyrzuty sumienia. Nie chcę, żebyś mi ją kupił.

Chcę, żebyś ją ukradł.

Gustaw dał jej to, o co prosiła. Potem ruszył do sklepu.

Zadanie okazało się o wiele łatwiejsze, niż początkowo przypuszczał. Większość obsługi bawiła się gdzieś pod sceną. W namiocie siedziała jedna samotna dziewczyna. Akurat wystukiwała coś na telefonie. Nawet nie podniosła głowy.

Gustaw udawał, że ogląda różne rzeczy. Potem chwycił jedną z bluz i ściągnął ją na ziemię. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Podniósł zdobycz i niosąc ją niczym swoją własność, ostentacyjnie wyszedł na zewnątrz.

*

Kwadrans później wszyscy zeszli się znów na miejsce. Gustaw nie rozmawiał z Julią. Dziewczyna znów go nie zauważyła.

– Słuchajcie, będziemy zawijać. Tu się już nie dzieje. – Łaga ziewnęła.

– No, spadajmy stąd – zgodziła się Sonia.

– Zamówię uberka. Pierdolę te busy – powiedział Wiktor. Pocałował Julię. – Fajna bluza, kociak.

ROZDZIAŁ 8 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Weronika odzyskała przytomność. Wciąż nie mogła otworzyć oczu, ale powoli zaczynała kontaktować. To nie było przyjemne przebudzenie.

Męczyli ją przez trzy dni i trzy noce. Trzy doby nieustannego bólu. Nieskończone cierpienie. Bezsensowne, brutalne, darmowe.

Nie bili mocno, starali się nie kaleczyć skóry. Niczego jej nie złamali, niczego nie zwichnęli. Powstałe rany były powierzchowne, mogły się stosunkowo szybko zagoić. Stanowiły bardziej wypadek przy pracy niż efekt celowego działania. Torturowali ją non stop, nie pozwalając zasnąć, nie dając jeść ani pić. Nie chcieli zniszczyć jej ciała. Chcieli zniszczyć jej umysł.

Próbowała podnieść opadłą powiekę, ale ropa trzymała ją zbyt mocno. Udało jej się dopiero za czwartym razem.

– Eeee... – wychrypiała.

Była przykuta do jakiegoś dziwnego urządzenia przyczepionego do ściany. Miała skrzyżowane ręce i zakneblowane usta. Pomieszczenie oświetlała samotna świetlówka. Pokój przypominał więzienną celę. Nie miał okien, drzwi wykonano ze stali.

Naprzeciwko Weroniki siedziało dwoje ludzi. Właściwie to należałoby powiedzieć, że dwoje istot, które dawno już straciły jakiegokolwiek przymioty człowieczeństwa. Mieli założone upiorne, ptasie maski i zachowywali się okrutniej niż najgorsze z demonów.

Dziewczyna wstała z krzesła, podeszła do Weroniki. Wyjęła jej knebel z ust.

– Trzy dni burzyliśmy świątynię twego ciała. Czy jesteś gotowe? – spytała delikatnym głosem.

Weronika milczała. Próbowwała coś odpowiedzieć, ale miała zbyt wysuszone gardło, by wydobyć z niego coś więcej niż nieartykułowany charkot. Zakaszła.

Drugi z katów podał jej kubek z wodą. Spróbowała się napić, ale tylko się zakrztusiła.

– Ostrożnie. Nie zrób sobie krzywdy – zganił ją męski głos. Pogładził ją delikatnie po policzku. – Spróbuj raz jeszcze. Tylko powoli.

Weronika podjęła kolejną próbę. Tym razem udało jej się napić.

– Widzisz? – powiedziała dziewczyna. – Tak lepiej.

– D-d-dziękuję – wychrypiała Weronika.

– Chcesz jeszcze? Woda oczyszcza ciało. Bez wody nie ma życia – rzekł mężczyzna.

– Tak, poproszę – wyjąkała.

Kat podał jej picie. Delikatnie trzymał naczynie, tak by jego ofiara się nie zakrztusiła. Wypiła całą szklanę.

– Tyle wystarczy. Nie możesz pić za dużo na raz. Mogłoby ci zaszkodzić – wytłumaczyła dziewczyna. – Zaraz dostaniesz znowu.

– Jestem taka spragniona – powiedziała Weronika.

Mężczyzna wypuścił z dłoni pusty kubek. Naczynie upadło z głuchym hukiem na podłogę.

– Niczego nie zrozumiało. Trzy dni pracy na marne – zmartwiła się dziewczyna.

– Nie, nie, ja nie chciało! – krzyknęła Weronika. – To pomyłka! Pomyliło się, pomyliło się! – wrzeszczała w rozpacz. Zaczęła się szarpać, ale ciasne więzy skutecznie krępowały jej ruchy.

Dziewczyna sięgnęła po paralizator. Zbliżyła go do twarzy ofiary, później skierowała go na jej piersi. Był wyłączony.

– Trzy dni pracy na marne. Trzy dni mozolnej harówki. Widać, że źle wykonaliśmy swoją robotę – powiedziała z prawdziwym smutkiem nieznajoma. Wycelowała paralizator w środek brzucha ofiary. – Jak to mówi Julia: krzycz, jeśli żyjesz.

Przesunęła urządzenie kilka centymetrów niżej i włączyła je. Weronika wrzasnęła. Raz jeszcze straciła przytomność.

CZĘŚĆ DRUGA

PRZESŁUCHANIE

ROZDZIAŁ 9 | LISTOPAD

KONRAD KROON

Przed budynkiem prokuratury zaparkowała policyjna furgonetka. Funkcjonariusze wyprowadzili podejrzanego. Chłopak miał nie więcej niż trzydzieści lat. Ręce skuto mu na plecach – bardziej po to, żeby było mu niewygodnie, niż żeby nie uciekł. Nie bawili się w izbę zatrzymań. Prokurator powiedział, że będzie gotowy od razu przystąpić do przesłuchania.

Wjechali windą na przedostatnie piętro. Dzieciak się cykał. Spędził równe czterdzieści godzin na komisariacie. Najpierw sympatyczna gadka z kryminalnymi. Że go zajebią, że ogólnie ma przejebane, że truje dzieci. Potem posłali go do dochodzeniowca. Dyżurująca policjantka wydawała się dość miła. Skreśliła kilka słów protokołu. „Więcej nie piszę, bo tu już i tak będzie cię przesłuchiwał prokurator. To po co robić dwa razy to samo” – stwierdziła. Ponad dwadzieścia lat służby. Nie pierdoliła się w tańcu.

Dwie noce na dołku, w tym jedna z jakimś zawszawionym menelem, który bił konkubinę. „Nigdy cię nie wypuszczą” – powiedział z miną znawcy. Miał bogatą kartotekę. „Zasłużony dla wymiaru sprawiedliwości” – żartowali funkcjonariusze.

Zadzwonili do niego o szóstej rano. Zwykle spał do południa. Właściwie to chwilę wcześniej się położył. Gleba, szybka weryfikacja tożsamości. „Po chuj sprzedajesz to gówno?” – kontrolne pytanie. Zapomnieli o „dzień dobry”. Przeszukali całą chatę, zajrzeli do auta i piwnicy. Potem odwiedzili jego rodziców. Matka była przerażona: „Ale jak to, Dawidek? Przecież on w życiu żadnych narkotyków!”. Zabrali mu pasek, wyciągnęli sznurówki z butów. Żeby się nie powiesił. Przywlekli go do prokuratury w samej bluzie. Na dworze osiem stopni Celsjusza, jak to w listopadzie. Zimny, porywisty wiatr. Taka polska jesień.

Na szczęście na korytarzu było ciepło. Prokurator odebrał akta od funkcjonariusza.

– Jeszcze pięć minut i możemy zaczynać – zarządził.

Naopowiadali mu strasznych historii. „O kurwa, trafiłeś na Kroona. Gorzej być nie mogło. To prawdziwy kutas. Zje cię na śniadanie. Lepiej od razu się przyznaj”. Nie wiedział, że to wszystko tak daleko zabrnije. Handlował od niedawna. Najpierw brał od kumpla, na własny użytek. Potem, widząc, jak tamtemu ciągle dzwoni telefon, sam postanowił trochę dorobić. Niby każdy wie, że narkotyki są nielegalne, że można wpaść, że można iść siedzieć. Każdy, kto pali fajki, też wie, że może dostać raka. I co? Palą lekarze, sportowcy, nauczyciele. Potem raz na jakiś czas ktoś słyszy złowrogą diagnozę. Taka ludzka natura. Zawsze myślimy, że uda nam się jakoś wywinąć.

– Czy już? – spytał policjant, widząc stojącego w drzwiach prokuratora. – Czy mamy wejść z nim do środka?

– Nie trzeba. Proszę, rozkujcie pana.

Kroon zawsze nakazywał zdejmować kajdanki. I zawsze przesłuchiwał bez obecności policjantów. W zasadzie tego wymagał od niego regulamin.

Prokuratorzy prowadzili przesłuchania jedynie w najpoważniejszych sprawach. Oczywiście mogli to robić, ilekroć czuli taką potrzebę. Problem w tym, że rzadko kiedy mieli na to czas. Roboty było zawsze od groma. Sprawy błahe, sprawy wagi średniej, sprawy poważne. Codziennie kilkadziesiąt stron nowych dokumentów. Codziennie pełna półka. Jeśli więc musieli już kogoś przesłuchiwać, zwykle trafiało na same grube ryby. Przestępcy winni czynów z najpoważniejszych artykułów, ludzie niebezpieczni, odklejani.

Prokuratorzy byli normalnymi ludźmi. Takimi jak ty czy ja. No dobra... bardziej takimi jak ja.

Mieli rodziny, dzieci, kredyty. Czasami trafiali im się prawdziwi zwyrodnialcy. Tacy, przed którymi spierdaliasz na drugą stronę ulicy. Dziwnie pobudzeni, z wydziaranymi mordami, szalonymi oczami. Dochodziło do przesłuchania. Wtedy ten biedny urzędnik całe-życie-za-biurkiem-nigdy-nie-byłem-na-siłowni albo częściej ta zmęczona urzędniczka jeszcze-kurwa-jeden-w-co-ja-mam-ręce-wsadzić musieli zamknąć się z takim dewiantem sam na sam w ciasnym pokoju dwa na cztery metry. Wtedy robiło się wesoło.

Prokuratora chronił immunitet. Niewidzialna, magiczna tarcza pod tytułem nie-możesz-mnie-dotknąć. I nic więcej. Wyobraź sobie: siedzisz za biurkiem, a w odległości metra od ciebie wściekły kafar, który kilkanaście godzin wcześniej gołymi rękami rozwalił głowę swojej żonie. Tłukł nią tak długo o kuchenny blat, aż zrobił z niej przecier. Kobieta krzyczała, ale on był głośniejszy. Silniejszy.

Kroon zawsze nakazywał zdejmować kajdanki i zawsze przesłuchiwał bez obecności policjantów. Czy się bał? Czasami tak. Czasami nawet bardzo.

– Tu mam usiąść? – spytał Dawid Lejczyk.

– Tak, proszę. – Prokurator wskazał miejsce i zamknął drzwi do pokoju. Usiadł za biurkiem. – Proszę pana, nazywam się Konrad Kroon, jestem prokuratorem. Dostałem do prowadzenia pańską sprawę i będę pana dziś przesłuchiwał.

Chłopak co chwila przytakiwał. Chciał dać znać, że kuma bazę. Nie wiedział, czego się spodziewać. Śledczy był dziwnie spokojny i opanowany. Kulturalny. Dawid tylko czekał, kiedy mężczyzna wybuchnie. Obawiał się najgorszego.

– T-t-tak – wyjąkał.

– Został pan zatrzymany z powodu przestępstw z ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii. Z uwagi na wagę czynów muszę panu osobiście przedstawić zarzuty. Proszę posłuchać. – Kroon odczytał z postanowienia opis zarzuconych czynów. Lejczyk nie słuchał. Do jego świadomości przedzierały się jedynie pojedyncze wyrazy. – Czy zrozumiał pan treść zarzutów? Proszę pana? Proszę pana?

– Tak, zrozumiałem – odpowiedział z kilkusekundowym opóźnieniem.

– Bardzo dobrze. Pouczam pana o prawie do składania wyjaśnień, do odmowy składania wyjaśnień lub odmowy odpowiedzi na pytania. Tu ma pan druk pouczenia, proszę się z nim zapoznać. – Wręczył Dawidowi dokument. – Proszę się nie spieszyć. Proszę przeczytać w spokoju.

Chłopak zerknął na arkusz. Kilkanaście pozycji. Przesunął wzrokiem po tekście. Nie miał teraz siły tego czytać.

– Już... – wyszeptał.

– Świetnie. Proszę pana, odbierzemy sobie teraz dane osobowe – oznajmił prokurator.

Pytania były proste. Imię, nazwisko, nazwisko rodowe matki. Z PESEL-em miał pewien problem, ale Kroon mu pomógł. I tak trzymał w ręku jego

dowód osobisty. Procedura była czystą formalnością. Numer telefonu, e-mail, faks. Dziś każdy ma, kurwa, faks.

– ...jakiś dwa tysiące na rękę – powiedział podejrzany w odpowiedzi na pytanie o stan majątkowy i źródło dochodów. – Z prac dorywczych.

Co miał powiedzieć? Że handluje? Od jakiegoś czasu to była jego jedyna robota.

– Bardzo dobrze. To teraz przejdziemy do właściwej części przesłuchania. Proszę mi powiedzieć, czy przyznaje się pan do popełnienia zarzuconych czynów.

Chwila prawdy. Na policji kazali mu się przyznać. Pewnie wpuszczali go w maliny. A co, jeśli nie było dowodów?

Jak miało nie być dowodów? Znaleźli u niego na chacie pół kilo zioła, kilkadziesiąt tabletek MDMA, trochę kokainy. Do tego waga, woreczki strunowe... Co miał powiedzieć? Że znalazł w Lidlu pomiędzy bananami?

– Tak, przyznaję się.

– Do wszystkich?

Zawahał się.

– Tak – mruknął.

– No dobrze. Co ma pan do powiedzenia?

– Ja nie muszę nic mówić. To była głupota – plątał się. – Nie chciałem tego.

– Odmawia pan składania wyjaśnień?

– Nie, nie odmawiam... To znaczy mogę mówić, jak pan chce. Ale nie muszę. Czy ja pójdę do domu?

Kroon spojrzał na podejrzanego. Twarz prokuratora nie zdradzała absolutnie żadnych emocji.

– Proszę pana, będę z panem szczery. Dopuścił się pan dwóch czynów, pierwszy zagrożony karą pozbawienia wolności od roku do dziesięciu lat. Drugi tak samo. Czyli grozi panu od roku i jednego miesiąca do dwudziestu lat.

Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat.

– Co? Ale ja chyba nie dostanę... jak dwadzieścia? Przecież nie dostanę dwudziestu lat? – jękał się Lejczyk.

– Nie dostanie pan – zgodził się Konrad. – Pewnie dostanie pan ze dwa. – Mówił prawdę. Nie blefował. Nie potrzebował go straszyć.

– Czyli... wyjdę do domu?

Kroon był w dobrym nastroju. Miał mocne dowody, jasną politykę karną przelozonych. Panowała moda na areszty. Zdzisiek lubił ludzi za kratami.

– Po przesłuchaniu złożę wnioszek o tymczasowy areszt dla pana. Waga zarzuconych czynów jest zbyt poważna.

– Areszt. – Dawid zalał się łzami. – Ale jak, panie prokuratorze, jak areszt?!

– Mamy tu sumę kilku przesłanek. Był już pan w przeszłości karany, może pan chcieć wpływać na świadków, istnieje obawa surowej kary...

– Pan mnie nie może aresztować! – zaczął krzyczeć. Był zrozpaczony. – Co powiedzą moi rodzice? Ja muszę pomagać mamie, ojciec jest po wylewie...

– Bardzo mi przykro – odparł poważnie Kroon.

– Ale ja już więcej tego nie zrobię! Obiecuję! Panie prokuratorze, ja wiem, że narkotyki są złe!

Prokurator poprawił coś w protokole. Pomylił się w kolorze oczu. Wpisał „xielone” zamiast „zielone”. Głupia literówka.

– Proszę pana, w którym momencie przesłuchania powiedziałem panu, że narkotyki są złe? – spytał Kroon.

Podejrzany zdębiał.

– Są złe, ja wiem, ja już tak nie będę robił, ja rozumiem, co pan mówi, to jest świństwo, tylko proszę mnie nie zamykać!

– Panie Lejczyk – zaczął jeszcze raz Kroon. – Po pierwsze, nigdy nie powiedziałem, że narkotyki są złe. Powiedziałem, że są nielegalne. Ich posiadanie, wytwarzanie, udzielanie itp. Ustawodawca uznał, że należy zakazać wszystkiego, co ma jakikolwiek z nimi związek. Ustawodawca, nie ja. To po pierwsze. Po drugie, jeśli ktoś decyduje się zarabiać na narkotykach, to powinien być konsekwentny aż do samego końca. Handlował pan, złapali pana, ryzyko zawodowe. Jak kontuzja piszczela u piłkarza. Taki chleb. Proszę zagryźć zęby i wziąć to na klatę.

Dawid Lejczyk nie wiedział, co powiedzieć.

– Ale ja nie mogę iść siedzieć... – zapłakał.

– Od kogo kupił pan te narkotyki?

Chłopak przypomniał sobie, co mówił mu znajomy gangster: „Jak cię złapią, to masz trzymać gębę na kłódkę. Najwyżej trafisz do pierdla. Ale jak sypniesz... to zajebimy ciebie, twoją starą, twojego kota, twojego listonosza... Nie chcesz, kurwa, sypać”.

Prawie żaden diler nie sypał. Właściwie to nigdy nie sypali.

– Nie pamiętam od kogo. Taki jakiś śniady koleś, chyba Kuba albo Wojtek – blefował.

– No właśnie. Tak myślałem... – odparł Kroon. – A komu pan jeszcze sprzedawał? Poza tymi dwoma studentami?

Czy zmierzał do tego pytania od samego początku? Czy chciał go bardziej pogłężyć, czy jednak starał się pomóc? Po co miałby pomagać? Prokurator dilerowi?

– Nie pamiętam... – wyszeptał.

– Tego się spodziewałem. Czy chciałby pan coś jeszcze wyjaśnić?

– Nie...

Skończył spisywać protokół. Wydrukował, przystawił pieczętkę, podpisał. Obaj podpisali. Potem go pożegnał. Wycieczka na dołek, jutro miało się odbyć posiedzenie aresztowe. Najbliższe święta spędził na Kurkowej. Do siego roku.

GUSTAW

Rozłożyło go. Od dwóch tygodni leżał w łóżku, miał wysoką gorączkę, katar, kaszel. Pewnie korona albo sezonowa grypa. Czort jeden wie. Rodzice przeprowadzili się do babci, siostra nie wchodziła do jego pokoju, łazienkę musiał odwiedzać w maseczce. Na wszelki wypadek. Wszyscy byli zaszczepieni, więc ryzyko nie wydawało się zbyt duże, ale i tak lepiej dmuchać na zimne.

W końcu doszedł do siebie. Miał straszne tyły na studiach. Kilka niezaliczonych kolokwiów, jakaś praca do napisania. Poczekał przepisowe dziesięć dni od ustania objawów i wrócił na uczelnię.

– Pewnie tylko ściemniałeś z tą koroną – powiedziała koleżanka z grupy. – Wyjechałeś do Łagockiego do Heidelbergu i cały czas imprezowaliście.

– Chciałbym – odpowiedział Gustaw. Na początku semestru Łaga wyjechał na Erasmusa do Niemiec. Zazwyczaj na wymianę kwalifikowano jedynie najzdolniejszych studentów. Jakim cudem Łagocki załapał się na wolne miejsce? Tego nikt nie wiedział.

W połowie miesiąca Gustaw wrócił do prokuratury. Patronka już dawno postawiła na nim kreskę, myślała, że wymiękł pod nawałem pracy. Nic z

tych rzeczy. Kolasie bardzo zależało na dobrej opinii środowiska. Pochodził z pokolenia C (albo z pokolenia Z – socjologowie mogliby w końcu ustalić wspólną nomenklaturę), lecz mentalnie był mocnym iksem. Praca, kariera, zakuwanie po nocach. Życie prywatne spychane na czwarty plan od zawsze. Z wyjątkiem kilku szalonych miesięcy zeszłego lata, kiedy pozwolił sobie na chwilę być inną osobą, zawsze ciężko pracował na swój sukces.

Prokurator Barbara Nowicka była akurat na krótkim urlopie. Trzy dni, żeby urządzić jakoś życie po śmierci matki. Poukładać wszystko na nowo. Ustawić sobie dobrze leki uspokajające.

Zapukał, wszedł do pokoju.

– O, pan Kolaso – zdziwił się Kroon. – Mówiłem już panu, tu się nie puka. Pukają tylko petenci.

– Przepraszam...

– Cieszę się, że pana widzę. Prokurator Nowickiej nie ma w pracy, zostawiła mi masę akt, a sam mam całkiem sporo roboty. Chętnie pana trochę wykorzystam.

– Z wielką chęcią – powiedział z gorliwością młodego skauta.

– Jak się pan czuje? Co to było? Korona?

– Nie robiłem testu, ale pewnie tak...

– No to mam nadzieję, że mnie pan nie zarazi. Chociaż z drugiej strony miesiąc zwolnienia... – rozmarzył się. – Dobra. Ja muszę pilnie wysmarować wniosek aresztowy i pobiec z nim do sądu. Za chwilę mija mi czterdzieści osiem godzin. Dam panu coś do napisania. Woli pan łatwiejsze czy trudniejsze?

Kolaso dobrze wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Trudniejsze... – Uśmiechnął się.

– Brawo. Będzie z pana idealny korposzczur – zażartował prokurator. Wziął akta i przesunął je w stronę Gustawa. – To ta sprawa, która pana kiedyś zainteresowała. Dziewczyna ze Strzyży. Umorzy to pan.

Wróciła mu gorączka. Dziewczyna ze Strzyży. Weronika Zatorska. Morderstwo z zimną krwią. Tatuaż na ręce. Krzycz, jeśli żyjesz. Julia.

– Przepraszam, umorzyć? Ale jak?

– Nie pisał pan nigdy umorzenia? To się pan nauczy. U góry główka jak w każdym innym postanowieniu, potem sentencja: umorzyć postępowanie w sprawie o sygnaturze... bla, bla, bla... w sprawie doprowadzenia w bliżej nieustalonym czasie, nie wcześniej niż, nie później niż, w Gdańsku, namową do targnięcia się na własne życie pokrzywdzonej... bla, bla... to jest o czyn z artykułu sto pięćdziesiąt jeden Kodeksu karnego, wobec stwierdzenia, że czynu nie popełniono. Potem krótkie uzasadnienie, opisze pan dowody, które zebraliśmy, podsumuje to zgrabnie, wklei jakąś wstawkę z komentarza.

Gustaw niczego nie rozumiał.

– Ale jak to „czynu nie popełniono”? – wydukał.

– Chodzi panu o podstawę umorzenia? Może być siedemnaście, paragraf jeden, punkt jeden lub dwa. Są dwie szkoły, otwocka i falenicka – Kroon pozwolił sobie na stary, branżowy żart – ale zasadniczo to sztuka dla sztuki. Jak pan chce, może napisać pan z dwójki.

– Jak to umorzyć? A co ze sprawcą?

– Panie Kolasa, nie było żadnego sprawcy. Czego pan nie rozumie?

– No ale Julia... – szepnął.

Kroon tracił resztki dobrego humoru. Zerknął na zegarek. Czterdzieści osiem godzin. Tyk, tyk, tyk. Miał coraz mniej czasu, aby złożyć wniosek o areszt. Pierdolił dalsze dyskusje.

– Żaden ze znajomych pokrzywdzonej nie słyszał o żadnej Julii. Rodzice, koleżanki, przyjaciele... Nikt. Nie ustaliliśmy tożsamości żadnej osoby. Pan też nie znał jej nazwiska. Wie pan, ile jest Julii w Polsce?

– Nie wiem, ale...

– A ja wiem – powiedział całkiem stanowczo. – Około trzystu tysięcy. Fajna liczba?

– No tak, ale ona mówiła, że kogoś zamorduje...

Kroon złapał się za głowę.

– Pan ma jakąś silną fiksację na tym punkcie. Dam panu skierowanie na Gospody do biegłych psychiatrów, mogą pana przebadać. Może to jakieś problemy z matką?

Gustaw zaczerwienił się na twarzy. Prokurator rugał go jak koledzy z liceum.

– Panie prokuratorze, ja nie żartuję...

– I bardzo dobrze. Bierze pan akta, czyta, a potem pisze, co panu kazałem. Ostatecznie to ja się pod tym podpisuję, nie pan.

– No, ale tak nie można...

– Pan przegina, panie Kolasa. Cieszę się, że ma pan swoje zdanie, ale trzeba wiedzieć, kiedy odpuścić. To ja prowadzę tę sprawę, nie pan. Prokuratura to struktura hierarchiczna. Szef każe, pracownik robi. *Ty poniał?*^[13] No to do roboty!

*

Gustaw włączył komputer. Uruchomił edytor tekstu, otworzył akta. Wertował je strona po stronie. Od ostatniego razu przybyło dobre kilkadziesiąt stron. Trochę makulatury, jakieś rachunki, kilka protokołów przesłuchań, notatki z policyjnych rozpytań.

Czytał od deski do deski. Dokładnie, niczym wciągający kryminał. Policjantka prowadząca śledztwo zadawała każdemu ten sam zestaw pytań. Czy Weronika miała jakieś problemy? Czy skarżyła się na coś? Czy miała myśli samobójcze? Czy ostatnimi czasy zachowywała się w nietypowy sposób? Czy zna pan/pani kogoś o imieniu Julia? Czy Weronika Zatorska miała znajomą o takim imieniu? Nie, nie wiem, nic mi nie wiadomo. Nikt nie znał żadnej Julii.

Gustaw zaczął powoli tworzyć postanowienie o umorzeniu śledztwa. Otworzył kodeks, posiłkował się jakimiś wzorkami. Wyraz po wyrazie, zdanie po zdaniu. W ciągu kilku godzin napisał prawie cały projekt decyzji procesowej. Wciąż bił się z myślami.

Zapukał do Kroona. Korytarzem szła akurat szefowa.

– Konrada już dziś nie będzie – powiedziała praktykantowi. – W czymś panu pomóc?

Gustaw toczył wewnętrzną walkę. Julia. Znów zaglądała do jego życia. Znów wywracała wszystko do góry nogami.

– Pan prokurator kazał mi napisać umorzenie w jednej sprawie – zaczął student. – Ale ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że powinniśmy kontynuować śledztwo.

Szefowa spojrzała na niego pobłaźliwie.

– Proszę pana... Prokurator Kroon to jeden z moich najlepszych pracowników. W życiu nie dostał żadnego gola, rzadko kiedy sąd mu coś uchyla... Jeśli kazał panu napisać umorzenie, to proszę napisać umorzenie.

Gustaw dostał kolejny cios. Tego się nie spodziewał.

– Ale ja naprawdę uważam, że trzeba by przesłuchać jeszcze kilka osób. – Nie dawał za wygraną.

– Ech. Wie pan co? Każdą sprawę można prowadzić w nieskończoność. Zawsze da się zrobić więcej. Ale nie o to chodzi w postępowaniu

przygotowawczym. Należy ustalić, czy mieliśmy do czynienia z przestępstwem, czy nie. Krótka piłka. Nie pchamy się do sądu ze sprawami, w których możemy przegrać. Jeśli Kroon kazał panu umorzyć, to znaczy, że tak właśnie należy zrobić.

– Ale jeśli sprawca chodzi na wolności...

– Przepraszam, nie mam za dużo czasu. Za chwilę telekonferencja z okręgiem. Jak pan ma wątpliwości, proszę rozmawiać z prokuratorem Kroonem. Ale nie radzę go zbyt mocno. To miły człowiek, ale jak się wkurzy... Lepiej niech pan napisze to umorzenie.

*

Wrócił do pokoju. Dostał jasny sygnał. Wiedział, czego od niego oczekują. Wiedział, że jego kariera wisi na włosku.

Wrócił wspomnieniami do zeszłych wakacji. Do tego, co działo się w lipcu. Wtedy historia Julii zaczęła nabierać rozpędu. Wtedy po raz pierwszy poczuł prawdziwy strach.

Otworzył akta. Zdjęcie półnagiej pokrzywdzonej robiło piorunujące wrażenie. Patrzył na martwą dziewczynę i oczyma wyobraźni widział stojącą obok niej Julię. Z tymi swoimi lekko skośnymi oczami i delikatnym, tajemniczym uśmiechem. Krzycz, jeśli żyjesz. Weronika musiała krzyczeć wyjątkowo głośno.

Z tyłu akt znajdował się załącznik adresowy. Dane przeznaczone wyłącznie dla policji, prokuratora i sądu. Dane poufne. Wyciągnął plik spiętych spinaczem kart. Otworzył je na pierwszej stronie i wykręcił numer ojca zmarłej.

[13] Rozumiesz? (ros.).

ROZDZIAŁ 10 | LIPIEC

NATALIA

Siedziała przy nabrzeżu Motławy, obserwując przepływające statki. Obok Wyspy Spichrzów urządzono całkiem sporą marinę. „Nigdy nie będę miała kasy, żeby kupić sobie taką łódkę” – pomyślała.

Kiedys w jednym starym filmie pewien udawany milioner zaprosił biedną dziewczynę na swój jacht. Poznali się na plaży, gdy ten zbierał muszelki. Lubił muszelki do tego stopnia, że jedną z nich umieścił w logo swojej firmy. Piękna, romantyczna bajka. Fajna bajera.

Natalia marzyła, by ktoś kiedyś zaprosił ją na łódkę. I mógł to być nawet zwariowany saksofonista.

Każdy z nas szuka miłości. Bo czymże jest życie w pojedynkę? Próbujemy, potykamy się, walczymy dalej. To nie to. Ten całkiem spoko, ale nie dla mnie. Ten wspaniały, ale ma mnie w dupie. Jaką część życia zajmują nam poszukiwania drugiej połówki? Na pewno całkiem sporą.

Zawibrował jej telefon. Wciąż patrząc na odpływający statek, wyjęła komórkę z kieszeni. Spojrzała na ekran. Nieznany numer.

„Hej. Tak sobie pomyślałem, że w dalszym ciągu nie odwdzieczyłem ci się za to, że mnie uratowałaś. Dwa razy. Jestem gotowy spłacić zadłużenie :) Gustaw”.

Spoko wiadomość. Trochę sztywna, ale czego oczekiwać po studencie prawa.

„Czy to randka?” – odpisała. Pewnie, że to randka. A co innego?

Zawstydzona buźka. Obok niej jeden samotny wyraz. „Tak”.

„Jeśli to randka, to jestem gotowa na spłatę należności” – wystukała w jego stylu.

*

Umówili się na kawę w przytulnym lokalu na Piwnej. Oboje pracowali na Głównym Mieście. Oboje mieli blisko.

Kawa to taka niezobowiązująca forma spotkania. „Chodź na drinka” brzmi tylko trochę łagodniej niż „chodź do łóżka”. „Chodź na kawę” brzmi podobnie do „chodź na romantyczny spacer brzegiem morza”, ale jest jednak nieco bezpieczniejsze. Wypijesz kawę i jeśli gadka się nie klei, zawsze możesz uciec do domu. Z romantycznego spaceru nie tak łatwo się ewakuować.

Gustaw długo stroił się przed lustrem. Nie wiedział, co włożyć. Koszula mogła być zbyt sztywna, ale z drugiej strony chciał pokazać, że mu zależy. Natalia nie przejmowała się takimi bzdurami. Jeśli miało im wyjść ze sobą, jeśli mieli zostać parą, to inna bluzka nie czyniła wielkiej różnicy.

Dawno nie była w związku. Kiedyś w liceum chodziła długo z jednym chłopakiem, później skończyło się na przyjaźni. Wtedy i tak nie uprawiała jeszcze seksu, więc w sumie wyszło na to samo. Potem kilka przelotnych znajomości. Na studniówkę poszła sama.

– Cześć – przywitał ją Gustaw. W ręku trzymał niewielki bukietek.

– Hej! – Pocałowała go w policzek. – Czyli jednak to oficjalna randka – zażartowała, przyjmując kwiaty.

– Musi być prawidłnie...

– Oj tak, panie prawnik!

Weszli do środka. Kawiarnię urządzono niezwykle klimatycznie. Same stare meble, regały z książkami, trochę cegieł, trochę wytartych tapet.

Kelnerka odebrała zamówienie. Ciasto i kawa. Zestaw obowiązkowy. Wuzetek nie serwowano.

– Jak ci się studiuje na UG?

Pierwsze pytanie i tak zwalić. Nie przemyślał sobie tego dobrze w domu. Postanowił iść na żywioł. Być wyluzowany. „No to zajebiście wyluzowałem” – zaklął w głowie. „Jak ci się studiuje? Ja pierdziele, co za lamerski tekst!”

– Spoczko – odparła Natalia. Chyba nie odebrała tego tak samo jako on. – W sumie to wybrałam romanistykę trochę przez przypadek. Myślałam nad filozofią albo kulturoznawstwem...

– Duży rozstrzał.

– Nom. A ty? Zawsze chciałeś być prawnikiem?

Na pewno były dziewczyny, które leciały na studentów prawa. Natalia się taką nie wydawała. Była wolnym duchem, chrzaniła konwenanse.

– Właściwie to tak. Za dzieciaka czytałem dużo kryminałów. Wiesz... Sherlock Holmes, Perry Mason.

„Kurwa, Sherlock Holmes. Podryw na detektywa. Porażka. Co ja odpierdalam?” – zbeształ się w myślach.

– No i co? Trafiłeś? Robisz jakieś ciekawe sprawy?

– Jeszcze nie miałem żadnych praktyk. Zapisalem się na nieobowiązkowe do prokuratury. Zaczynam od października.

– Uuuu, pan prokurator. Robi się niebezpiecznie. Czy mam się bać?

– Jeśli dostanę się na aplikację... wtedy będziesz miała wtyki. – Puścił do niej oczko.

Natalia spojrzała na kelnerkę. Ich zamówienie właśnie lądowało na srebrnej tacy.

– Czyli nie zamkniesz mnie za to, że jaram zioło? – zażartowała.

– Wiesz, przy niewielkich ilościach można sprawę umorzyć...

Podano ciasto i kawę. Szarlotka była gorąca, pokryta grubą warstwą bitej śmietany. Na talerzyku ułożono też dwie gałki lodów.

– Mmmm...

– Naprawdę smaczne. Słyszałem, że mają tu dobry jabłecznik, ale nie sądziłem, że jest aż tak pyszny.

– Zalewasz! Nie gadaj, że nigdy nie byłeś w Pikawie! – zdziwiła się Natalia.

– No w sumie to nie...

Dziewczyna tylko pokręciła głową. Tę kawiarnię znał prawie każdy. Była tu na co najmniej trzech randkach. Z żadnej nic nie wyszło.

– *Oh well* – odparła, biorąc kolejną porcję.

Jedli chwilę w ciszy. „Czy zrobiło się niezręcznie?” – gdybał Gustaw.

– No dobra. To gdzie widzisz siebie za dziesięć lat? – zaatakował.

– Ha. No jak to gdzie? Będę mieszkała w Paryżu, poznam jakiegoś fajnego faceta, będziemy pić wino nad Sekwaną, chodzić co tydzień do Luwru, spacerować po Montmartre...

– Właściwie to przypominasz trochę Amelię – zauważył.

– Widzisz? Odpowiednia osoba na odpowiednim miejscu! – Zachichotała.

– Ale czekaj, co ja miałbym robić we Francji? Po prawie w Polsce...

„*Fuck*. Za szybko Kolasa, za szybko!” – uprzytomnił sobie.

– Hmm, a bo ja wiem? Może pracowałbyś w ambasadzie? Tam chyba potrzebują prawników?

„Uff. Pociągnęła wątek. Czyli trochę jej zależy. No zależy. Jakby jej nie zależało, toby nie przyszła” – podsumował w myślach. „Tylko tego teraz nie spalić”.

– Byłaś kiedyś w Paryżu? – zagaił.

Natalia przytaknęła.

– W maturalnej mieliśmy wycieczkę. A ty?

– Niestety nie... – Zrobił smutną minę.

– Może pojedziemy kiedyś razem? – zaproponowała.

„Nie może być! Razem, do Paryża? Czyli jest naprawdę dobrze!”

– Choćby jutro!

Wzięła łyk kawy.

– Jutro nie mogę, mam robotę. Ale w środy nie pracuję...

– Szybka środa w Paryżu. Poranny samolot, powrót wieczorem – podliczył. – Osiem godzin we Francji!

– Naprawdę chciałbyś spędzić tam tylko osiem godzin? – Udała rozczarowaną.

– Zwaliłem?

– No raczej. Myślałam, że będziesz rezerwował *one-way ticket*.

Gustaw uderzył się w pierś.

– Wiesz, jeszcze nie mam tej roboty w ambasadzie. Czy tam w ogóle trzeba znać francuski?

– Pewnie tak – odparła. – Ale jak chcesz, mogę cię szybko nauczyć. *Je suis un vieux pain de viande puant*. Powtórz!

Gustaw wykonał polecenie dziewczyny. Wyszło mu tak sobie.

– Język mi się płacze.

– Jeszcze raz. *Je suis un vieux pain de viande puant*.

– Chyba musisz zostać moją tłumaczką. Co to w ogóle znaczy?

Natalia zamknęła oczy i w teatralnym geście rozpaczycy pochyliła głowę.

– Niestety nie mogę ci tego powiedzieć. Tę zagadkę zabiorę ze sobą do grobu. Chyba że pojedziesz kiedyś do Francji i tak się komuś przedstawisz.

Zdanie było oczywiście głupie. „Jestem starym i śmierdzącym kotлетem”. Grzeczny, niewinny żarcik. Idealny na pierwszą randkę.

Posiedzieli jeszcze chwilę w kawiarni. Gadka całkiem im się kleiła. Potem poszli na spacer.

„Przechodzimy do rundy drugiej, Gustaw” – cieszył się w myślach. „Jest dobrze. Naprawdę jest dobrze!”

Zeszli Chlebnicką nad Motławę. Przeszli koło Zielonej Bramy na drugą stronę rzeki i skręcili w prawo. Pod wiaduktem drogowym ugrzęzła ogromna ciężarówka.

– A co to ma być? – zdziwił się Gustaw.

– Serio, *you know nothing, Jon Snow?* – podsumowała go Natalia. – To taka instalacja artystyczna.

– Ooo, nie wiedziałem.

– Tylko nie wygadaj się przy Soni. Studiuje historię sztuki i ma niezłego fioła na punkcie takich rzeczy.

– Masz to u mnie jak w banku. Będę grał prawdziwego konesera!

Wędrowali po Dolnym Mieście. Niegdyś zaniedbana dzielnica przeżywała obecnie prawdziwy renesans. Wciąż można tu było spotkać nieco zawianych lokalsów, ale w porównaniu z początkiem lat dziewięćdziesiątych zrobiło się naprawdę bezpiecznie. Stuletnie kamienice zasiedlili hipsterzy i ci wszyscy, którym nie spieszyło się do mieszkania w betonie.

Usiedli na jednym z dawnych bastionów. Trawiaste wzgórze, pełniące niegdyś ważną funkcję obronną, stanowiło dziś obowiązkowy punkt na mapie romantycznych spacerów.

– Wiesz, że kiedyś całe miasto otaczała woda? – zagaił Gustaw. – Tu jest bastion Żubr. Po prawej mamy bastion Świętej Gertrudy, po lewej bastion Wilk. Wyobraź sobie, że na alei Zwycięstwa, naprzeciwko Forum, też była fosa!

Natalia zrobiła głupią minę. Potem wybuchła śmiechem.

– Jeśli chcesz mnie poderwać na ciekawostki historyczne, to nic z tego nie będzie...

– Kurczę, spaliłem. Myślałem, że odwdzięczę się czymś za tę wpadkę z ciężarówką.

– Słuchaj, nie tędy droga, chłopcze, nie tędy droga!

Rozstali się późnym wieczorem. Wrócili do domu jedną kolejką, Natalia wysiadła na Zaspie, Gustaw pojechał dalej. Początkowo upierał się, że chce ją odprowadzić, ale dziewczyna była nieugięta. „Średniowiecze już dawno się skończyło, kolego”. Na pożegnanie pocałowała go w usta.

GUSTAW

Siedzieli z Łagą na plaży w Brzeźnie i wpatrywali się w morze. Słońce zniknęło gdzieś za drzewami Gdyni, niebo zasnuło się piękną różowawą poświatą.

– Czyli mówisz, że zarwałś naszą Natalkę. Brawo, prawidłniak!

– Było naprawdę spoko. Rozmowa się kleiła, kumała moje żarty...

Łagocki złapał go za szyję.

– To może przyszła zjarana? Czuleś od niej ziolo?

– Daj spokój – odparł Kolasa. – Serio mówię...

– Stary, żeby brehtać się z twojej czerstwej gadki, to trzeba mieć naprawdę zrytą banię.

Gustaw wpatrywał się w piasek. Miał motyle w brzuchu. Na jego twarzy widniał osobliwy uśmiezek, tak charakterystyczny dla wszystkich świeżo zakochanych.

– To jest laska dla mnie. Ładna, miła, niezbyt wulgarna...

– Nie to co nasza Juleczka. Co nie, mordo?

Gustaw nagle wrócił do rzeczywistości. Kolega jednym zdaniem ściągnął go na ziemię.

– Julka? – wydukał.

– No nie mów, że byś jej nie poruchał. Kurwa! Jak ona mnie kręci! No ale Wiktor by mi nie wybaczył. Ma na jej punkcie fioła – ocenił Łagocki.

– Przestań...

– Racja! Spocznij, żołnierzu, spocznij! – Uderzył go w krocze.

– Czy ciebie pogrzało? – zapiszczał Kolasa. Nie znosił takich licealnych żartów.

– Nasza Juleczka. Auuu! Co za gorąca sunia. Myślisz, że nie widzę, jak robisz do niej maślane oczy? Oj, Gusti, Gusti. Za długo się znamy. Ale kumam. To zupełnie nie twoja liga. Ty jesteś jebaną multiplą, takim zjebanym, garbatym Quasimodo, a ona to prawdziwe ferrari. Co ja pierdołę? To jest Bugatti La Voiture Noire! Fureczka za dwadzieścia baniek.

– Dwadzieścia milionów złotych za auto?

Gustaw strzelił go w głowę.

– Dolarów, pacanie, dolarów!

Siedzieli, mocząc stopy w wodzie. Łaga spowaźniał.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytał Gustaw.

– Mordo, no cieszę się. Wiesz, że jesteś dla mnie jak brat. Jak ty będziesz brał Natalkę, to i ja po przyjacielsku wbijam do trójkąta!

– Kurwa, Łaga! – W tym momencie Kolasa naprawdę się zdenerwował.

– Stary, żartuję przecież. No fajna dziewczyna, co tu dużo mówić. Jak wytrzymała z tobą tyle czasu, to masz szansę. Ona taka odpalona artystka, weź se obczaj, czego tam słucha, żeby siary nie było. Myślę, że może coś z tego być. Tylko pamiętaj: nie możesz zjechać. Schowaj te swoje sztywne teksty do kieszeni i wrzuć trochę na luz. No bo spoko z ciebie ziomeczek, tylko trochę spięty.

SONIA

Jechała dwójką w stronę Dolnego Wrzeszcza. Nowiutka pesa nie bujała tak jak stare stopiątki, lecz brakowało jej też tego niezapomnianego klimatu.

Miała airpods w uszach, słuchała muzyki. Właściwie to zawsze słuchała muzyki. W domu, w trasie, często nawet na uczelni podczas zajęć. Ostatni rok była na dziekance. Dała sobie trochę czasu, żeby odetchnąć, przystanąć, zastanowić się. Czy historia sztuki to naprawdę to, co chciała w życiu robić? Właściwie nie potrzebowała studiów, żeby interesować się kulturą. W dzisiejszych czasach formalne wykształcenie bardzo straciło na znaczeniu. Sonia poważnie rozważała też ucieczkę za granicę. Gdyby nie brexit, pewnie wybrałaby Londyn. Anglosaska gościnność umarła jednak wraz z nastaniem rządów Davida Camerona, kilka lat później granice zamknięto. Ci, co zostali na Wyspach, mieli szczęście.

Polska ją dusiła. Małomiasteczkowością, brakiem tolerancji, zabobonem i nienawiścią wobec kobiet. Nie znosiła tej hipokryzji, wyzierającej z każdego kąta. Różaniec za nienarodzone dzieci, drut kolczasty dla dzieciaków umierających na granicy. Soni nie interesowała polityka; nie miała telewizora, nie słuchała radia, ale raz na jakiś czas

internet zmuszał ją do zapoznania się z najświeższymi newsami w kraju. Wtedy łapała wkurwa.

Chodziła na protesty, biegała na parady, ale jak często można było protestować? Co ile miesięcy można zwoływać pospolite ruszenie? Walczyć o praworządność, o prawo do decydowania o własnym ciele, prawo do wyrażania własnych poglądów, prawo do noszenia spodni, prawo do nauki, prawo do wychodzenia z domu bez obstawy męża... Jebani talibowie.

Tramwaj skręcił koło opery, przejechał pod wiaduktem kolejowym. Co kilka tygodni zawsze trafiał się jakiś pacan, który nie wymierzył z wysokością auta i przydzwonił w most, zrywając trakcję.

Na przystanku Wyspiańskiego do wagonu wtarabaniła się matka z wózkiem. Maluszek przypominał małego aniołka. Kobieta, choć zmęczona i niewyspana, patrzyła na niego z ogromną miłością. „Nikt cię nigdy nie będzie tak kochał” – pomyślała Sonia.

Jechała na obiad do mamy. Miały dobry kontakt, ale widywały się raczej rzadko. Matka Soni była lekarką, i to taką z powołania. Współczesnym doktorem Judymem w spódnicy. Jeśli nie pracowała w przychodni, to siedziała na dyżurze. Zawsze taka była. Nie umiała przejść obojętnie obok ludzkiej krzywdy, nie umiała nie pomóc.

Wysiadła na przystanku Jana Pawła. Przeszła kładką na drugą stronę i ruszyła chodnikiem w stronę morza. Matka mieszkała w nowych blokach nieopodal szpitala. Tym sposobem praktycznie nie wychodziła z roboty.

Minęła portiera i wjechała na piąte piętro.

– Hej!

– Cześć, kochanie – przywitała ją matka. – Właśnie gotuję, obiad za chwilę powinien być gotowy.

Rozłożyła talerze na stole. Kamionkowa zastawa była pamiątką po ostatnich wspólnych wakacjach. To było dobre kilka lat temu.

– Ty gotujesz? – zdziwiła się Sonia.

– No a co? Przecież zaprosiłam cię na obiad.

Przez lata Sonia jadła na mieście albo kupowała sobie gotowe dania w markecie. Zdziwiła ją ta nagle zmiana starych zwyczajów.

Zadzwoił domofon.

– Ktoś jeszcze będzie?

– Nie, to tylko piekarnik – odparła kobieta. – Tak, proszę. Piąte piętro.

– Piekarnik? – powtórzyła Sonia.

– No tak...

Kurier zapukał do drzwi. Rachunek został z góry opłacony.

– Proszę bardzo, życzę smacznego! – powiedział młody chłopak, zakładając z powrotem wielki kwadratowy plecak.

– Dziękuję.

Postawiła na stole dwa gorące pudełka. W pełni biodegradowalne.

– No dobra, teraz kumam. Tępa dzida ze mnie – zaśmiała się Sonia.

Na talerzach pojawiło się purée, sałatka i schabowe.

– Zamówiłaś kotlety? Od kiedy jesz kotlety?

– Wiem, że lubisz...

– Ej, serio, masz klimakterium? – Sonia wbiła widelec w brązową panierkę. Wzięła pierwszy kęs.

– Jeszcze nie, ale daj mi kilka lat.

Dziewczyna powoli przeżuwała zamówioną potrawę. Czuła się wkręcana.

– No dobra, to seitan^[14], prawda?

Mama się zaśmiała.

– Oczywiście, że tak.

Od dobrych dziesięciu lat matka nie jadła mięsa. Początkowo była wegetarianką, szybko jednak wykluczyła z diety również nabiał. Sonia ceniła matkę za tę konsekwencję, choć sama wcinała wszystko jak leci.

– Spoko. Wyjątkowo udana podróbka.

– Może cię kiedyś przekonam? – Matka Soni miała otwarty umysł i nigdy nie narzucała córce swojego zdania. Pozwalała jej żyć według własnych reguł.

– Skoro już McDonald’s wprowadza bezmięsne burgery...

– A daj ty mi spokój z tym nieetycznym szajsem. Wiesz, ile oni robią złego na świecie? Jak traktują wodę, lasy, zasoby naturalne?

– Zawsze na wojnie, co? – Sonia mlasnęła. Uwielbiała jeść w „złoty łukach”. – Za młoda jesteś na hipiskę, wiesz? Nie to pokolenie. Urodziłaś się za późno o jakieś dziesięć, piętnaście lat.

– Ha, ha, mogłabym się urodzić jeszcze później. Być w twoim wieku. Trochę poimprezować. Wasza generacja widzi, co się dzieje ze światem.

– Jakbyś chciała, mogłabyś imprezować. Nie jesteś jeszcze taka stara – podsumowała córka. – Myślę, że spokojnie mogłabyś wyjść czasem do ludzi. Kogoś poznać. Kiedy byłaś ostatni raz na randce?

– O kurczę... Pół, nie, czekaj – musiała się zastanowić – rok temu?

– Z tym palantem z Nowego Portu? Jak on miał na imię? Jacek... Jasiek... Jasław?

– Jarogniew. – Kobieta opluła się herbatą. – Faktycznie, rodzice mieli fantazję. Ale był całkiem miły.

Sonia wrzuciła tacki do kosza. Spojrzała za okno. Z balkonu rozciągał się widok na niewielki park, kawałek dalej widać było falowiec.

– Co za wykręt – oceniła dziewczyna.

- Fakt, miał trochę wydumane ego.
- Chciałaś powiedzieć, że miał wielkiego kutasa.

Matka udała zbulwersowaną. W rzeczywistości nigdy nie krępowała się rozmawiać otwarcie o seksie.

- A od kiedy to ciebie penisy interesują? – spytała kobieta.
- Właściwie to od nigdy. – Wyciągnęła z nerki gumę do żucia. Wzięła od razu dwie.

Matka wstała od stołu. Ściskając w ręku kubek z herbatą, podeszła do córki.

- Była u mnie Agnieszka jakiś czas temu. Martwiła się o ciebie.
- Co? Aga? Moja eks?
- Tak.

Sonia uniosła wysoko brwi.

- Przecież wy się w ogóle nie znacie!
- Spotkałyśmy się kiedyś w galerii – przypomniała.
- No fakt. Ale skąd wiedziała, gdzie mieszkasz?
- Nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Może spytała ochroniarza?

- Pojebana akcja. I co chciała?

Matka zastukała palcami o powierzchnię naczynia. Szykowała się do poważnej rozmowy.

- Pogadać. O was. O tobie.

Sonia momentalnie postawiła gardę. Przyjęła pozycję obronną.

- Sorry, ale nie jesteś moją terapeutką!
- To prawda. Ale jestem twoją matką.

Sonia skrzyżowała ręce.

– Mam dwadzieścia dwa lata, nie potrzebuję przyzwoitki. No ale dobra, mów. Czego chciała? Prosiła cię o zgodę, żeby prosić mnie o moją rękę? Chce się chajać?

– Wiesz... – Mama przeszła w stronę salonu. – Była naprawdę przejęta. Mówiła, że za dużo imprezujesz.

– Aaaa, więc o to chodzi. Zazdrosna suka. A już myślałam, że w końcu skumała.

– Zwyczajnie się martwiła.

Córka przewróciła oczami.

– Słuchaj, ona jest po prostu chorobliwie zazdrosna. No, kurwa, nie poradzisz!

– Nie przeklinaj tak.

– To pojebuska.

– Mówiła, że za dużo ćpasz – wypaliła w końcu kobieta.

Sonia przywaliła z całej siły pięścią w szybę.

– Ja pierdołę! Zastrany kapuś!

– Sonia, cholera jasna! Uspokój się!

Dziewczyna wrzasnęła:

– Aaaaaa! – Tupnęła nogą, a potem kopnęła wiklinowy kosz na gazety.

– Widzę, że coś jest nie tak.

– Mamo! Jestem dorosła! Umiem się odpowiedzialnie bawić!

Kobieta usiadła na kanapie. Była naprawdę zmartwiona.

– Jak często bierzesz?

– A bo ja wiem. – Sonia wzruszyła ramionami. – Na imprezie.

– Co to znaczy na imprezie? Marihuana? Nie mów, że coś twardego.

– Sama jarałaś blanty!

– Raz czy dwa! – oburzyła się kobieta. – I nie widzę w tym nic złego. O ile zna się umiar. Każde uzależnienie to choroba. Jak jest fajnie, to jest fajnie. Ale gdy tracisz panowanie...

– Kumam. Ale ja nie tracę panowania. – Sonia się uspokoiła.

– Co jeszcze?

– Czasem jakaś piksa...

– MDMA?

– No – przyznała bez ogródek.

Matka znów zbliżyła się do dziewczyny. Spojrzała jej głęboko w oczy.

– Jak często?

– No na imprezie...

– Co tydzień?

Przytuliła mocno córkę. Objęła ją serdecznym, matczynym uściskiem. Nie oceniała, kochała ponad wszystko. Wiedziała, że głupie wykłady, pogadanki z pozycji autorytetu i siły niczego nie załatwią.

– Zrób sobie chwilę przerwy. Odpocznij. Sprawdź, czy umiesz bez tego funkcjonować.

– Umiem... – mruknęła.

– Jeśli nie sprawdzisz, nie będziesz wiedziała.

– Okej. – Popatrzyły sobie w oczy. – Spoko babka z ciebie.

[14] Seitan – wegański substytut mięsa pozyskiwany z glutenu pszennego.

ROZDZIAŁ 11 | LISTOPAD

PATRYCJA RADKE

Patrycja obserwowała, jak metalowo-szklane drzwi z marketu, solidna chińska robota, sztandarowy artefakt wszystkich spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych, ładne-bo-nowe, otwierają się do wnętrza kancelarii. Niezbyt nachalnie, jakby ktoś bał się nimi mocniej trzasnąć. Otwarte z szacunkiem, jak drzwi świątyni, jak drzwi, które otwiera się jedynie w ostateczności.

– Dzień dobry – powiedziała Patrycja, wstając zza biurka.

– Dzień dobry, pani mecenas – odparł młodzieniec.

Trzy smutne twarze. Młody chłopak i małżeństwo koło pięćdziesiątki. Ludzie, jakich pełno na ulicy. Zwyczajni, nieistotni, przytłoczeni życiem. „Pewnie im ktoś umarł” – pomyślała Patrycja.

Sprawa spadkowa. Ten moment na osi czasu, kiedy każdy zwyczajny człowiek ma do czynienia z prawem. Nie wie, co zrobić, potrzebuje fachowej porady. Mamusia odeszła dwa miesiące temu, ale jakoś nie mogliśmy się za to zabrać. A trzeba coś zrobić z mieszkaniem. I z działką. Czy to się dziedziczy?

– Proszę, wejdźcie państwo. Tu jest wieszak, można zostawić płaszcze – zaproponowała młoda mecenas.

Nie skorzystali z jej propozycji. Ludzie często nie chcą zdejmować kurtek. Jakby w obawie, że nagle ich sprawa stanie się o wiele bardziej poważna. Nie zdejmę płaszcza, bo przecież jestem tu tylko na chwilę. Znałem kiedyś kogoś, kto rozstał się z płaszczem. Nie skończył dobrze. Proszę się rozebrać i położyć na łóżku. Zbadamy panu krew, podamy kroplówkę, za chwilę przyjdzie lekarz i powie, co z tym guzem. Jakim guzem? Ja tylko chciałem odebrać receptę! Leki na zgagę! Niestety, wykryliśmy nowotwór. Trzeba pilnie operować. Zostało panu najwyżej kilka tygodni życia. A wystarczyło nie ściągać płaszcza.

– Dziękujemy – rzekła kobieta, zwijając szalik w kłębek.

Jej mąż rozpiął kurtkę, ale czujnie zatrzymał ją przy sobie. Jedyne młody chłopak skorzystał z wieszaka. Dwadzieścia kilka lat, golf pod szyją, ciemny blondyn. Pewnie student. Przewodnik stada.

– Proszę, usiądźcie państwo. – Patrycja wskazała na dwa krzeselka. Przystawiła trzecie dla chłopaka i sama zajęła miejsca za biurkiem. – Co państwa do mnie sprowadza?

– Zamordowali nam córkę – wypalił mężczyzna. – I chcą to zamieść pod dywan.

Zadźwięczało jej w uszach. Nie tego się spodziewała. Odkąd kilka miesięcy temu zdecydowała się otworzyć własną praktykę, robiła głównie w rozwodach i spadkach. Żadnej ciekawej sprawy, prawniczy plankton.

– Państwo Zatorscy potrzebują pomocy fachowego pełnomocnika. Dwa miesiące temu zaginęła im córka, teraz odnaleziono ciało. Prokuratura nie chce prowadzić tej sprawy, a my wiemy, kto ją zamordował – wyjaśnił młody chłopak.

– Sami bez adwokata nie damy rady – dodała kobieta.

Patrycję zamurowało. Obserwowała przez chwilę ich twarze. Wszystkie skupione na niej, jakby była jakąś cholerną wyrocznią.

– Rozumiem – powiedziała po dłuższej chwili namysłu. Wyciągnęła pióro Montblanc, prezent od rodziców z okazji zakończenia aplikacji. „Pierwszy adwokat w rodzinie. Co za prestiż! Nasza Patrysia panią mecenas!” – Proszę mi opowiedzieć wszystko od początku. Będę notować.

ZUZA

Zuza smażyła coś w woku. Ogromna patelnia strzelała tłuszczem, palnik z gazem ciągle podkręcał tempo gastroimprezy. Warzywa mieszały się z ryżem, mięso dusiło z przyprawami. Prawdziwi mistrzowie kuchni gotują zawsze na gazie.

Mieszkali w eleganckim apartamencie nieopodal zatoki. Odebrali go jakieś trzy lata temu. Kazali projektantce postawić na środku kuchni ogromną wyspę. Fajny element na wspólne imprezy z przyjaciółmi. *Cook and wine*. Użyli jej dwa razy, później było już tylko samo *wine*.

Jakieś pół roku temu Zuzie nagle coś się wkręciło. Zaczęła oglądać tutoriale na YouTubie, na wielkim telewizorze non stop leciały programy kulinarne. Nikt nie narzekał. Dziewczyna naprawdę umiała nieźle gotować. Konrad nigdy nie dotykał garnków, był totalnym partaczem w tej dziedzinie. Wracał z roboty, odpalał piwko, przeskakiwał pilotem na kanał sportowy. Hokej na lodzie stanowił jedyny argument przemawiający za posiadaniem normalnej kablówki. Zuza tymczasem siedziała w kuchni i testowała kolejne potrawy. W ten sposób odreagowywała pracę.

– Hej, Zuz, dzisiaj znowu tajska? – spytał Kroon, wchodząc do mieszkania. Już od progu uderzył go charakterystyczny zapach chili.

– A co, znudziło ci się?

Pocałował ją w policzek.

– W życiu!

Rzucił teczkę na kanapę, ściągnął buty i otworzył lodówkę. Kraftowe piwko, kanapa, nogi na stole.

– O kurwa, jak mnie dziś przetyrało! – zawołał.

– Madzia dostała znów ataku paniki?

– Nie, jakoś ostatnio jest w lepszym humorze. Może Grzesiek przeczyścił jej komin. Nic tak nie poprawia nastroju jak dobre jebanko – zażartował.

Kroon rzadko kiedy rezygnował z manifestacyjnego okazywania swojej bezczelności. Chamski dowcip, błysk w oku i brak poczucia wstydu.

Maskę arogancji zaczął zakładać jeszcze w podstawówce. Była jego tarczą, osłoną przed niską samooceną, problemami w budowaniu relacji. Nikt nie nauczył go życia w normalnym związku, sam więc też nie potrafił takiego stworzyć. Złamane kości, które nigdy się dobrze nie zrosły. Konrad Kroon, wykolejeniec.

Urodził się w trudnej rodzinie. Nie pochodził z biedy, wręcz przeciwnie, matka popełniła mezalians, wdając się w związek z nisko urodzonym artystą samoukiem. Byli młodzi i zakochani. Ojciec grał na gitarze; gdyby miał nieco więcej samozaparcia, stałby się drugim Kaczmarem. Przystojny, czarujący, ze słabością do alkoholu. To jemu Konrad zawdzięczał swoją wyjątkową charyzmę.

Wczesne rodzicielstwo przerwało miesiąc miodowy beztróskich kochanków. Edmund Kroon nie miał zamiaru się ustakować, coraz częściej sięgał po kieliszek. Pewnego dnia uderzył swoją ukochaną. Wypadek przy pracy, za dużo nerwów, mały nie spał w nocy, już nigdy więcej tego nie zrobię. Oczywiście nie dotrzymał słowa.

Konrad wzrastał pośród krzyków, awantur i ciągłych kłótni. Brakowało mu poczucia bezpieczeństwa; winą za problemy rodziców obarczał samego siebie.

To, czego młody Kroon nie dostał w domu, znalazł na podwórku i w szkole. Zawsze otaczała go grupka kolegów i koleżanek. Konrad łądował ich w różne tarapaty, z których jako jedyny wychodził obronną ręką. „Ja wiem, że to ty, Kroon” – mówiła dyrektorka, kiedy młodzieniec łądował na jej dywaniku. „Do niczego się nie przyznaję” – odpowiadał z szelmowskim uśmiechem. Na zewnątrz był więc tym bezczelnym, przystojnym chłopakiem, którego nie dało się zagiąć. Idealny kandydat na gwiazdę albo narkomana. Słodki drań.

Wszystko zmieniło się wraz z tragiczną śmiercią matki. Konrad trafił pod opiekę jej brata, który obronił doktorat z teologii na Uniwersytecie Laterańskim. Wujek-ksiądz.

Konrad wciąż prezentował buntowniczą postawę, zaczął się jednak uczyć. Wykorzystywał swój niezwykły potencjał. Maturę w gdańskiej Topolówce zdał z najlepszymi wynikami. Wtedy też obudził się w nim idealista. Chciał dokonać czegoś wielkiego – książkowy przykład nastolatka ogarniętego manią wielkości. Jesteśmy młodzi, możemy zmienić świat. Na studia wybrał się aż do Krakowa. Kuratela wujka coraz bardziej mu ciążyła.

Później nastąpił niespodziewany zwrot akcji i Konrad wrócił nad Bałtyk. Aplikacja prokuratorska, asesura. „Zostanę najlepszym śledczym w Polsce” – postanowił. Łeb miał nie od parady, dodatkowo nie dało się go złamać. W 2007 dostał do prowadzenia sprawę polityczną. Czasy były burzliwe, ale Kroon za nic miał partyjne godła. Robił to, co uważał za słuszne. I niemal nie utonął.

Nowa władza również nie doceniła niezłomności ambitnego asesora. „Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu, panie Kroon” – przestrzegł ówczesny Prokurator Apelacyjny. Gdyby nie wujek, Konrad mógłby pożegnać się z pracą w wymiarze sprawiedliwości.

Nominację prokuratorską odebrał w roku 2010. Wtedy jednak był już zupełnie innym człowiekiem. Wciąż miał ten niesamowity szósty zmysł, który momentalnie pozwalał mu dotrzeć do prawdy. Wykorzystywał go jednak do prowadzenia spraw błahych i nieistotnych. Uciekał od ciężkich śledztw, rzadko angażował się w nadzorowane postępowania. Maską arogancji na trwałe przyległa mu do twarzy. Robotę wykonywał sumiennie, lecz bez emocji. Rzemieślnicza precyzja. Palił, ale się nie zaciągał.

– To co? – spytała Zuza, wciąż jeszcze mieszając makaron. – Co cię dziś przetyrało?

– A miałem taką aresztówkę. Prosty *case*, ale wiesz... kupa roboty. Przesłuchać, napisać, papiery do sądu. I taki dzień z dupy.

Wyłączyła gaz, postawiła danie na stół.

– Kumam. Chodź, gotowe już.

– Daj mi, proszę, na kanapę... – Zrobił słodkie oczka. – Tak mnie plery napierdalają...

Usiadła obok niego w siadzie skrzyżnym. Położyła talerz w zagłębieniu pomiędzy kolanami.

– Uważaj, gorące...

Kroon siorbał danie, studząc je w ustach.

– Omnomnomnom – mlasnął.

– Dobrze?

– Zajebiste!

Gapili się w telewizor.

– To Chicago Blackhawks? – zagaiła Zuza. Związek z Kroonem nauczył ją coś niecoś o hokeju.

– Nom. Grają jak łajzy. Patrz na tego...

– Wiesz, jak mnie to kręci... – rzuciła z ironią.

– Nie no, nie mogę na to patrzeć.

Przełączył na kanał informacyjny. Pijany kierowca wjechał komuś do ogródka. Rozrywka dla plebsu. Kogo obchodzi czyjś trawnik? Kroon miesięcznie dostawał jakieś piętnaście nowych spraw dotyczących jazdy po alkoholu. Sport narodowy.

– A poza tą aresztówką coś ciekawego?

– Chyba nie – mruknął i wpakował sobie do ust za dużą porcję. Często jadł jak świnia. – Pamiętasz tę laskę, co ją znaleźli w Strzyży?

– Jak przez mgłę – odparła. Konrad rzadko opowiadał Zuzce o robocie. Nie brał pracy do domu ani domu do pracy.

– Zwykle samobójstwo, zaćpała się narkotykami.

– No i co?

– Baśka ma takiego praktykanta. Kij w dupie, nic nie umie, typowy koleś z prawa.

– Też studiowałaś prawo – zauważyła.

– No ale jednak w trochę inny sposób. – Wrócił na chwilę myślami do czasów, kiedy studiował na uniwerku. Na UJ-ocie. Ciągłe imprezy, a mimo to żadnego oblanego egzaminu. Kiedyś nawet dostał komplement od samego Zolla^[15]. „Niezły ma pan mózg, proszę tego nie zmarnować”. Raczej nie posłuchał jego rady.

– Fakt – przyznała Zuzka.

Poznali się przelotnie w Krakowie, ale parą zostali dopiero kilka lat później. Wtedy zaliczyli jedynie szybki numerek.

– Laska miała tatuaż na przedramieniu. „Krzycz, jeśli żyjesz”. No i przychodzi ten praktykant od Baśki, pokazuje taki sam napis wydzierany na rękę i mówi, że zna typiarę, co ją zajebała.

– O. No to masz sprawcę.

Kroon tylko pokręcił głową.

– Druga mądra – mruknął. – No mówię ci, że się zaćpała. Żadnego sprawcy nie mam, bo nikt jej nie zajebał. Z sekcji nic nie wyszło. Brak oznak działania osób trzecich.

– No to czemu powiedział, że zna laskę, co to zrobiła?

– Nie wiem. Ma jakąś obsesję na jej punkcie. Wydawał się wiarygodny, kazałem ustalić tożsamość tej jego cizi. Ale nic. Koleś nie znał nawet nazwiska.

– Dała mu dupki i zniknęła?

– Jo. Złamała serce. Ale wiesz, wolałem to sprawdzić. Lepiej dmuchać na zimne. Zabójstwa ewidentnie tu nie ma, ale może ta jego Julia nakręciła pokrzywdzoną i namówiła ją do czegoś głupiego.

– Racja. – Zuzka skończyła jeść. Odstawiła talerz na stolik i przytuliła się do Konrada.

– Chłopak nie kłamie – stwierdził Kroon. Zawsze wiedział, czy ktoś go kituje. W tym wypadku wierzył Gustawowi. – Wątek z tatuażem megaciekawy. Dzieciaki miały dzikie lato. Praktykant opowiedział mi kilka historii, pewnie robili dużo więcej. Trochę poćpali, trochę pobalowali. Spuścili komuś wpierdol. No ale tej Julki nie znaleźliśmy.

– Szkoda. Może też byś pociupciał.

Kroon tylko się zaśmiał. Nigdy nie zdradził Zuzy.

– Na samym początku aplikacji mój patron dostał do prowadzenia sprawę takiego dziwnego gwałtu. Pokrzywdzona nie chciała wdawać się w szczegóły, potem przyszła jej matka i powiedziała, że to zwykłe nieporozumienie. Dziewczyna odmówiła składania zeznań, Kotarowski to umorzył. – Kroon sięgnął pamięcią do dawnych czasów. Rok 2003. Skończył studia i jako młody absolwent prawa rozpoczął aplikację prokuratorską. Świat stał wówczas przed nim otworem.

– Nie dawałeś mi wtedy spokoju – dodała Zuza, która nigdy nie chciała żyć w stałym związku. – Te twoje listy...

Kroon puścił jej uwagę mimo uszu. Wrócił do swojej opowieści.

– Żadne dowody nie uzasadniały kontynuowania postępowania. Wtedy sprawy o gwałt traktowano sztaampowo. Kotarbowski zrobił to, co zrobiłby każdy inny prokurator na jego miejscu.

– Domyślam się, że ty miałeś inne zdanie – wtrąciła dziewczyna. Pamiętała Konrada z dawnych lat. Młody gniewny.

– Pod skórą czułem, że coś jest nie halo. Dowody dowodami, ale głos z tyłu głowy podpowiadał mi, że Kotarbowski zgubił jakąś przesłankę.

– Ona zgubiła cnotę, on zgubił przesłankę...

Prokurator zignorował głupi żart Zuzy. W innych okolicznościach zapewne odpowiedziałby czymś jeszcze bardziej sprośnym. Wspomnienia obudziły w nim jednak dawnego Konrada: dociekliwego, pełnego pasji i niepokornego.

– Kotarbowski zrobił wszystko zgodnie z procedurą. Nie można mu było niczego zarzucić. Ja jednak wiedziałem, że coś nie gra...

Prawdziwi prokuratorzy nie przypominają postaci z seriali i książek. Nie biegają z pistoletem po mieście, nie odwalają roboty za kryminalnych, zza biurka wychodzą głównie po to, by przespacerować się do sądu. Dwudziestotrzyletni Kroon, który ledwo co skończył prawo i zaczął praktykę w prokuraturze, nie był jednak typowym śledczym. W jego żyłach buzowała niespotykana energia, głowę wypełniały setki szalonych pomysłów.

– Poprowadziłem wtedy własne śledztwo – kontynuował. – Oczywiście wszystko robiłem zupełnie nielegalnie. Nie miałem prawa przesłuchiwać świadków ani zadawać im pytań. Ludzie nie wiedzieli jednak, kim jest aplikant prokuratorski. Praktykant, aplikant, asesor, jeden pies. Machałem

im legitymacją, która niewiele różniła się od tej studenckiej. Wiesz, zwykła papierowa książeczka. Ale ludzie widzieli pieczętkę „Prokuratura” i nie zadawali więcej pytań.

– Takiego cię poznałam – przyznała Zuza. – Narwanego, zapalonego...

Kroon przypominał osiemdziesięciolatka, który snując opowieść o przygodach sprzed pół wieku, na chwilę znów odzyskał nastoletnią werwę. W jego głosie słychać było prawdziwą pasję.

– Zdobyłem masę dowodów. Wszystko na notatkę, formalnie należało to dopiero wprowadzić do procesu. Ale odkryłem prawdę. Poszedłem do Kotarbowskiego...

– A ten dał ci medal...

– Nie. – Kroon się zaśmiał. – Opierdolił mnie. Wtedy uderzyłem do jego szefowej. Opowiedziałem o sprawie, pokazałem, co udało mi się ustalić. Kazała Kotarbowskiemu wznowić śledztwo.

– To się pewni wkurwił.

– Wkurwił się. Ale jakieś dwa tygodnie później dziewczyna podjęła nieudaną próbę samobójczą. Molestowali ją w domu, nie wytrzymała. Sprawa nabrała rozgłosu, w prokuraturze zrobili kontrolę. Szefowa wezwała mnie na dywan i powiedziała: „Panie Konradzie, nie wiem, jak pan na to wpadł, ale dziękuję. Gdyby nie pan, straciłabym stołek”.

Zuza ucałowała go w czółko.

– Mój geniusz....

Kroon obrócił się na kanapie.

– Kiedy Kolasa opowiedział mi o tej całej Julii, od razu przypomniałem sobie tamtą sprawę. Wtedy też zdrowy rozsądek kazał umorzyć postępowanie, a jednak...

– No to czemu teraz chcesz to upierdolić?

Konrad się zamyślił.

– Nie chcę tego upierdolić. Wierzę dzieciakowi. Tyle tylko, że jego Julia nie ma żadnego związku ze sprawą Zatorskiej. Żadnego.

– Nie widzę analogii – odparła Zuza, która zaczęła się już nieco gubić.

– W obu sprawach rozwiązanie nasuwa się samo. Zgromadzone dowody nakazują umorzyć postępowanie – wyjaśnił Kroon. – Postępujesz zgodnie z regułami sztuki, nie można ci niczego zarzucić. Bez względu na to, ile dowodów przeprowadzisz, wynik jest zawsze taki sam. Czynu nie popełniono. Nie ma żadnego przestępstwa.

– Dalej nie kumam, w czym rzecz. To czemu dwadzieścia lat temu drążyłeś dalej, a teraz chcesz odpuścić?

Na twarzy Kroona pojawił się grymas zamyślenia.

– No właśnie. Wiesz, że zawsze mam nosa do spraw. Otwieram akta i od razu wiem, co muszę zrobić.

– Już się tym chwaliłeś, Sherlocku.

– Tak było dziewiętnaście lat temu z tamtym śledztwem. Żadnych dowodów i głos z tyłu głowy: „Drąż dalej”. Intuicja, szósty zmysł, cokolwiek.

– A teraz? – Zuza wzięła łyk piwa.

– Nic, absolutnie nic.

– Jasnowidz z Człuchowa niczego nie przepowiedział? – zażartowała. – Czy może Superman nagle stracił swoją moc?

– Nie wiem, Zuza. Po prostu nie widzę w tej sprawie drugiego dna. Wierzę Gustawowi, że spotkał niezwykłą dziewczynę, ale nie czuję, żeby to miało jakikolwiek związek z samobójstwem Weroniki Zatorskiej. Kazałem policji przesłuchać wszystkich znajomych zmarłej, jej krewnych. Odnaleźć zaginioną przesłankę. Nikt nie znał żadnej Julii.

– No i co to znaczy?

– Że student odwalił jakąś chorą projekcję. Przeniósł własne fantazje na grunt sprawy karnej – wyjaśnił prokurator.

– A tatuaż?

– W najlepszym wypadku zwykły zbieg okoliczności. Analizowałem ten scenariusz dziesiątki razy. Z dowodów nic nie wychodzi. Absolutnie nic. A w mojej głowie pustka. Instykt śpi. Żadnego alarmu, dzwonka ostrzegawczego, mrowienia na plecach. – Spojrzał dziewczynie głęboko w oczy. – Zuza, ja zawsze wiem, co należy zrobić w sprawie. Od dawna nie angażuję się w pracę, ale nigdy niczego nie zjechałem. Rozumiesz?

Pogładziła jego policzek.

– Czyli wszystko dobrze, detektywie. Odpuść sobie.

– Chyba tak będę musiał zrobić.

Siedzieli chwilę w ciszy.

– Ja wiem, że Kolasa mówi prawdę o Julii. Ale nie znał pokrzywdzonej, nie dał mi żadnej wskazówki, żeby powiązać jego pokreconą laskę z prostą skądinąd dowodowo sprawą samobójstwa Zatorskiej. Robię wszystko jak należy, prowadzę to postępowanie lepiej, niż powinienem. Wiesz, że nie mam wyjebane.

Zuza wiedziała. Choć Kroon uparcie nosił maskę olewacza, choć nie chciał awansować, to gdzieś tam pod grubą warstwą obojętności wciąż kochał być śledczym. Zasył się w prokuraturze najniższego szczebla, nie wychylał, udawał znudzonego. Ale jeśli coś go naprawdę zainteresowało, dawny niepokorny Konrad budził się do życia.

– Krzycz, jeśli żyjesz. Wygooglowałem to hasło, nic mi nie wyszło. Może to jakaś zabawa internetowa z darknetu, jak ten delfinek kilka lat temu.

– He? – Zuza podrapała się po głowie. – Chodzi ci o to gówno z Rosji?

– Nom.

– To był „niebieski wieloryb”.

– Racja – zgodził się Kroon. – Ktoś wpuszcza taki szajs do sieci, potem dzieciaki skaczą z mostów.

Gapili się w telewizor, każde zatopione w swoich myślach.

Konrad pragnął tamtych emocji sprzed dziewiętnastu lat. Chciał, by sprawa Weroniki Zatorskiej obudziła w nim dawnego idealistę. Miał ochotę zabrać Gustawa do swojego auta i przejechać się z nim po mieście, poszukać tropów, rozwiązać zagadkę tysiąclecia. Tyle tylko, że to nie była taka sprawa. Szósty zmysł uparcie milczał. Samobójstwo Weroniki Zatorskiej stanowiło proste dowodowo śledztwo. To nie ono miało wyrwać go z letargu. Konrad Kroon musiał dalej odgrywać rolę zobojętniałego, zmęczonego życiem aroganta.

„Drogi książę, dobranoc”^[16] – szepnął Horacjo.

Lecz czy tajemnicza Julia nie została posłana właśnie po to, by przerwać nazbyt długi sen? Julia. Ostatni element pozornie kompletnej układanki. Zaginiona przesłanka.

Tylko dlaczego Kroon niczego nie czuł? Dlaczego jego szósty zmysł nie dawał żadnego znaku?

Julia. A może to ona nie pozwalała Konradowi się obudzić?

KONRAD KROON

Droga z Brzeźna na Morenę zajmowała mu zazwyczaj około pół godzinki. Zawsze musiał postać chwilę w korkach, zapłacić krwawą daninę bogowi motoryzacji i ruchu drogowego. Godzina dziennie na dojazdy, pięć godzin tygodniowo, dwadzieścia godzin miesięcznie. Całe szczęście, że nie

mieszkał gdzieś na południu miasta. Wtedy mógłby równie dobrze jeździć kamperem i spać na pace.

Przywitał się z ochroniarzem, pan Gienek miał grupę inwalidzką, tylko dlatego opłacało się go zatrudniać. Potem machnął ręką dziewczynom z biura podawczego. Jak zwykle ominął windę i ruszył schodami na górę. Trzecie piętro.

– Cześć, Krzysiu... – Spotkał kolegę, który uciekł na korytarz, by pogadać z kimś przez telefon.

Wszedł do pokoju, odpalił komputer. Szybki rzut oka na kalendarz. „Wokanda, dziś? *O fuck*. Znowu zapomniałem...”

Wyciągnął z szafy akta, włożył togę i popędził do sąsiedniego budynku.

*

Zazwyczaj wszystkie nieszczęścia przydarzały mu się, kiedy był w sądzie albo na urlopie. Zawsze trafiło się wtedy jakieś zgniłe jajo, śmierdząca sprawa, która nie mogła poczekać, wredny faks, który wprawiał jego szefową w prawdziwą wściekłość. Tak było i tym razem.

Kroon wrócił do firmy. Firma. Pieszczotliwe określenie, którym prokuratorzy określają swoje miejsce pracy. Takie sezamie–otwórz–się. Mówisz „firma”, jesteś jednym z nas. Jednym z pięciu tysięcy smutnych urzędników, których nigdy nikt nie zrozumie. Właściwie to nie ma osoby spoza środowiska, która dokładnie rozumiałaby, na czym polega praca prokuratora. Nawet sędziowie i adwokaci nie kumają do końca, co między ósmą a szesnastą robi codziennie typowy „śledczy”.

Firma brzmi jak wyraz rodem z grypsery. Siedzisz z kumplem w lokalu, mówisz: „Co tam w firmie?”, i nikt dookoła nie wie, gdzie pracujesz. Ludzie boją się prokuratorów. Przedstawiasz się na imprezie, nagle wszyscy uważają na słowa, odruchowo poprawiają ubranie. Chwilę później padają

sakramentalne pytania: „Czy widziałeś kiedyś trupa? Czy byłeś na sekcji zwłok?”. No tak. Byłem.

Sekretarka Prokurator Rejonowej zobaczyła go, gdy tylko wszedł na korytarz. Łapanka jak za okupacji.

– Panie Konradzie, szefowa... – Udała, że podcina sobie gardło. – Kęsim, kęsim.

– Co tym razem, Madzia? – rzucił bezceremonialnie, wchodząc do jej pokoju.

Dała mu znać, by zamknął drzwi.

– Konrad, ta twoja Zatorska...

PATRYCJA RADKE

Weszła do gabinetu. Pokój przypominał długi, wąski korytarz. Dwa biurka: jedno zagracone aktami, jakiś tymczasowy magazyn, przy drugim siedział prokurator. Po czterdziestce, ciemne włosy, na twarzy tygodniowy zarost. Dobrze skrojony garnitur z szacunku do urzędu, brak krawata z szacunku do samego siebie. Przystojny gość.

– Pani mecenas, butelkę proszę położyć na tamtym stoliku.

– Jaką butelkę? – zdziwiła się Patrycja.

– A nie wiem, co tam mi pani przyniosła. Myślę, że co najmniej bulleita – odparł Kroon.

Kobieta nic z tego nie rozumiała.

– Przepraszam, jaką butelkę? – spytała dość mocno zmieszana.

– Zawraca mi pani gitarę, rozwała cały dzień, skarży mojej szefowej... – Długa lista żali wystrzelona jak z pepeszy. – Na pewno przyniosła mi pani coś na przeprosiny. Domyślam się, że alkohol.

Żarcik. Speszona, niepewna siebie dziewczyna i żarcik od atrakcyjnego faceta, który poprowadził kilka tysięcy spraw i mógłby być równie dobrze jej szefem, patronem czy nauczycielem. Nierówność stron. Z góry przegrana wojna.

– Panie prokuratorze... – Lekki uśmiech na jej twarzy, znak, że zrozumiała dowcip. Pierwsze koty za płoty.

– Pani usiądzie – powiedział całkiem już życzliwie, choć wciąż nieco protekcjonalnie. – Proszę powiedzieć, co panią trapi i jak bardzo chce pani namieszać w moim śledztwie.

– Działam jako pełnomocniczka pokrzywdzonych, państwa Zatorskich. – Wyciągnęła dokument z podpisami rodziców zmarłej. Prokurator rzucił na niego okiem, położył na biurku. – Moi klienci uważają, że sprawa zabójstwa nie jest prowadzona należycie.

Kroon parsknął śmiechem.

– Kolejna! – poprawił się na krześle. – Pani mecenas, nie prowadzę żadnej sprawy o zabójstwo. Mówimy o pomocy do samobójstwa. *That's it.*

– No właśnie w tym rzecz. – Patrycja starała się trzymać gardę. – Naszym zdaniem wątek tatuazu powinien zostać odpowiednio wyjaśniony...

Prokurator westchnął. Spojrzał na dziewczynę. Nigdy jej wcześniej nie widział, pewnie dopiero zaczynała.

– Jak rozumiem, rozmawiała pani z moim byłym praktykantem. – Pokiwał głową. – Słyszałem tę historię i przyznaję, że jest niezwykle ciekawa. Ja też robiłem różne głupie rzeczy za dzieciaka.

– Głupie rzeczy – powtórzyła, próbując jakoś przejąć narrację.

– A pani? Robiła pani jakieś głupie rzeczy? – spytał wyjątkowo bezpośrednio. Patrycja się speszyła. Osobiste pytanie. Co by tu odpowiedzieć?

– Tak, ale nie o to chodzi...

– Gdzie pani studiowała?

– Na Gdańskim...

Kroon mierzył ją wzrokiem. Niebrzydka, zadbana. Trochę za krótkie czoło, lekko garbaty nos. Pewnie od okularów. Noś soczewki, dziewczyno.

– Z czego pisała pani pracę?

– Z karnego.

– U dziekana czy u Herzoga?

– U Herzoga...

Czuła się jak na rozmowie o pracę. Kiedy szła na staż do swojej pierwszej kancelarii, konwersacja wyglądała podobnie. Zatrudnili ją, płacili mało, po zdanym egzaminie podziękowali za dalszą współpracę. Kariera jak z *Ally McBeal*.

– To mój kolega. Studiowaliśmy razem na UJ-ocie. Nie chcieli go przyjąć na doktoranckie.

Prokurator wrócił pamięcią do wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Rozmowa z profesorem Zollem, który namawiał Kroona, by ten został na uczelni. Kolega z grupy, Herzog, był o to cholernie zazdrosny. W końcu jednak się udało i to Herzoga zatrudnili na UJ-ocie. Dopiął swego, bo Kroon nagle zainteresował się zupełnie czymś innym. Zawsze umiał spartolić sobie życie.

– Kiedyś po egzaminie poszliśmy na kopiec Kraka, to było jakoś w okolicach Wianków, i tak się naćpaliśmy ayahuasą, że widzieliśmy duchy. Wtedy w Polsce głośno było o jednym morderstwie. Noworodki spod Lublina znalezione w beczkach. Makabryczna zbrodnia. Oglądaliśmy telewizję, czytaliśmy gazety. Wtedy każdy z nas myślał, że będzie takim zajebistym detektywem. W końcu po to poszliśmy na prawo. Wróciliśmy na stancję i wysmarowaliśmy list na policję z naszą wersją śledczą. Ja

chciałem iść osobiście na komisariat i zeznawać, ale Herzog mnie namówił, żeby to zrobić pisemnie. – Kroon wybuchł śmiechem. – Ja pierdziele, co to był za fart, że nie poszliśmy na policję. Wyobraża sobie pani? Dwóch naćpanych studentów. Mogliby nas wywalić z uczelni.

Patrycja zrobiła wielkie oczy. Kilku jej kolegów paliło na studiach marihuanę. Ona trzymała się od tego z daleka. Dwa piwka wystarczą.

– Nie wiedziałam o tym – palnęła zupełnie bez sensu. Nic dziwnego, że profesor Herzog się tym nie chwalił.

– W każdym razie pamiętam, jak to jest, gdy ma się dwadzieścia lat, studiuje prawo i myśli, że świat zbrodni to przygoda życia, jak wakacje w Disneylandzie.

– Panie prokuratorze, nam zależy jedynie na tym, by wyjaśnić wątek tatuażu. Nie sądzi pan, że to ciekawy trop? – spytała bardzo potulnie młoda mecenas.

– Wyjaśnię ten wątek. Dlatego podczas przesłuchań każdy ze świadków jest o to pytany. Zamierzam dotrzeć do wszystkich osób, które mogą mieć wiedzę na temat przedmiotowego zdarzenia.

– Ale przecież kazał pan napisać umorzenie – zauważyła celnie adwokat.

Na twarzy Kroona pojawił się szelmowski uśmiech. Nie zamierzał dzielić się z młodą mecenas swoimi osobistymi przemyśleniami. Maską arogancji: na zewnątrz chłodny profesjonalizm, w umyśle gonitwa myśli.

Wypatrywał zaginionej przesłanki. Szukał natchnienia. Podążał za Julią. W tajemnicy, po cichutku, ostrożnie niczym złodziej. I nikt poza Zużą nie musiał o tym wiedzieć.

– Projekt umorzenia – wytłumaczył Konrad. – To wielka różnica. Chciałem oszczędzić sobie pracy na przyszłość. I dać praktykantowi coś do nauki. Śledztwo trwa.

Patrycja odetchnęła z ulgą. Po rozmowie z Gustawem i rodziną państwa Zatorskich była przekonana, że prokuratura nie chce prowadzić sprawy. Kroon wyglądał na profesjonalistę.

– Czy przesłuchuje ich pan osobiście?

Kroon się zaśmiał.

– Pani mecenas, mam prawie dwieście spraw w referacie. Gdybym wszystko chciał robić osobiście, potrzebowałbym jakiegoś urządzenia do zatrzymywania czasu. Jak w tej japońskiej bajce.

– W takim razie...

– Sprawą zajmuje się aspirant Flarkowska z komisariatu na Białej. To doświadczona funkcjonariuszka.

– Chciałabym uczestniczyć w dalszych przesłuchaniach. To ważne dla rodziny.

– Nie widzę przeciwwskazań. Gdzieś tu też mam akta, gdyby chciała pani zapoznać się z wynikami sekcji zwłok.

Patrycja nawet o tym nie pomyślała. „Amatorszczyzna!” – zakłęła w myślach.

– Z wielką chęcią.

– Zaniosę papiery do sekretariatu. Tam jest takie miejsce do czytania akt. – Wstał zza biurka i odprowadził Patrycję do drzwi. – Bardzo miło mi się z panią rozmawiało – rzekł wyjątkowo życzliwie.

Przyjemniaczek.

FLARA

Komisariat Policji III w Gdańsku. Czteropiętrowy komunistyczny blok wybudowany tuż obok wrzeszczańskiego rynku. Nie zna życia, kto nie zgłaszał kradzieży samochodu czy telefonu na ulicy Białej.

Starsza aspirant Justyna Flarkowska od jakiegoś czasu przesłuchiwała świadków do sprawy Weroniki Zatorskiej. Policjantka nie lubiła pracować wolno. Wyznaczyła terminy, tak by każdego dnia słuchać kilka osób, jedną po drugiej.

– ...brała jakieś leki?

– Nie... Chyba nie. No-spę, kiedy miała silniejszy okres, a poza tym to chyba nic – zeznała przestraszona dziewczyna. Koleżanka z grupy. Trzymały się we trójkę.

– Rozumiem. Czy chciałaby pani coś dodać? Coś jeszcze przychodzi pani do głowy? – spytała funkcjonariuszka.

Świadek nieśmiało pokręciła głową. Odczuwała znaczny dyskomfort.

– W takim razie dziękuję. Wydrukujemy protokół.

Stara laserowa drukarka czasem się zacinała, ale przy tym przebiegu cud, że w ogóle jeszcze działała. Flara wyciągnęła kartki, podała dziewczynie długopis.

– Tutaj?

– Tak. Dziękuję. Odprowadzę panią na dół. – Starsza aspirant spojrzała na Patrycję. – Pani mecenas poczeka? Za chwilę mamy kolejnego świadka.

– Oczywiście – odparła Patrycja.

Flarkowska zbiegła na dół, dyżurny wypuścił nastoletnią dziewczynę na zewnątrz.

– Za chwilę, Grzesiu, będę miała kolejnego klienta... – oznajmiła koledze.

– Ty, Flara, narzucasz zawsze takie tempo, że inni wychodzą przy tobie na nierobów. Zwolnij trochę!

– Spokojnie. To się i tak zaraz wszystko rozpadnie. Robię bokami.

– Od trzydziestu lat słyszę, że się rozpadnie – odparł dyżurny i napił się kawy. – Ale jakoś, kurwa, wcale się nie chce rozpaść.

Starsza aspirant tylko machnęła ręką. Wróciła na górę.

W pokoju czekała młoda adwokatka. Sympatyczna dziewczyna. Siedziała cicho, nie pyskowała. Są takie osy, z którymi nie idzie się dogadać. Pieniaczą, zadają głupie pytania, pyskują. Mecenas Radke taka nie była. Flara mogłaby ją polubić.

– Szybko poszło – powiedziała Patrycja, uśmiechając się życzliwie do policjantki.

– Jeszcze tylko dwóch świadków i fajrant. Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję. Mam tu swój prowiant. – Wyciągnęła z torebki metalowy termos.

Flarkowska włączyła czajnik. Zielona herbata, liściasta, smak mokrej skarpety, z każdym parzeniem o nieco innym aromacie. Poprawia pracę układu trawiennego, krążenia, odpornościowego, wzroku i mózgu. Przed użyciem skonsultuj się z szamanem lub farmaceutą.

– Długo już pani działa w branży? – spytała grzecznościowo.

Patrycja spłonęła lekkim rumieńcem. Gdyby nie podkład L'Oréal, byłby wstyd.

– Zaczęłam niecałe dwa miesiące temu.

– O proszę. I jak się pracuje na swoim? Słyszałam, że jest ciężko?

Adwokat przytaknęła.

– No nie jest lekko. Trudne początki.

Trudne początki to taki eufemizm. Czynsz za lokal, składka na radę, ZUS (obniżony, ale i tak za wysoki) – jakieś trzy tysiące złotych miesięcznie. Za mieszkanie płaciła dwa. Jedzenie plus opłaty za same

niezbędne pierdoły jak telefon, internet, prąd i karta miejska... Wychodziło prawie siedem kafli. Siedem kafli, żeby przeżyć.

Patrycja Radke za poradę brała zazwyczaj coś koło stówy. Klient z ulicy nie śmierdział groszem, a konkurencja była ogromna. Co roku ponad tysiąc osób zdawało egzamin adwokacki. Prawie dwa razy tyle radcowski. Rok w rok rynek zasilały tysiące nowych członków palestry. Starzy mecenasi nie odwieszali swych tóg tak chętnie do szafy. Często pracowali aż do śmierci: z pasji, chęci zysku, bo nie umieli inaczej.

W pokoju adwokackim było zatem dosyć tłoczno. Po zdanym egzaminie zatrudniasz się w znanej kancelarii, prawie żadnych kosztów, zlecenia podawane na tacy. Tyrasz jak wół szesnaście godzin na dobę, pozdrawiamy wszystkich neoliberalnych boomerów, i masz pieniądze. Gdyby się kiedyś z kalkulatorem i podzielić pensję przez czas, wcale nie wyszłoby tak dużo. Ale siedem, osiem koła przelewu robiło wrażenie na kumplach.

Nie każdy lubił pracować pod presją, nie każdy chciał robić w korpo. Wielu młodych ludzi żyło marzeniami o byciu adwokatem starej daty. Takim najważniejszym we wsi, zaraz po proboszczu i sołtysie. Otwierali własną praktykę, licząc na klienta z ulicy. Nikt nie mówił im, co mają robić, lecz każdy dzień był walką o przetrwanie. No bo koszty, brak zleceń, kiła i mogiła.

Naturalnie każdy marzył o obsłudze firm: stały dochód, mniej użerania się z dziwnymi ludźmi, jaka taka stabilizacja. Ale jaka spółka zleci stałą obsługę noname'owi bez doświadczenia i portfolio?

Patrycja zabrała kilka nazwisk z kancelarii, w której odbywała aplikację. Małżeństwo w trakcie rozwodu, teraz walczyli o podział wspólnego majątku. Facet, który jechał kiedyś po pijaku, chował do grobu żonę. Same „grube ryby”.

– Jakoś się ułoży – rzuciła przyjaźnie Flara, odbierając telefon od dyżurnego. – Jest kolejny świadek.

Do pokoju wszedł młody chłopak. Dwadzieścia kilka lat? W tej książce występują głównie dwudziestolatkowie, więc pewnie tak.

– Dzień dobry – nieśmiało przywitanie z Patrycją. Jego pierwszy raz na komisariacie.

– To jest pani mecenas Patrycja Radke – wyjaśniła Flara. – Będzie przysłuchiwać się naszej rozmowie.

– Okej – odparł, jakby miał coś do gadania.

– Czy wie pan, w jakiej sprawie został tu wezwany? – spytała policjantka, zasiadając przed komputerem. Imię, nazwisko, dane adresowe do załącznika. Pouczenie o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań.

– Chodzi o Weronikę...

– Tak. Proszę powiedzieć wszystko, co panu wiadomo. Czy ostatnimi czasy Weronika skarżyła się na coś? Miała jakichś wrogów, jakieś problemy?

– Nie, nie miała wrogów.

– Kiedy widzieliście się ostatnio?

– Dwa dni przed tym, jak była u Karoliny na Garnizonie.

– Pamięta pan to tak dokładnie? – spytała z zainteresowaniem Patrycja.

Trochę złamała procedurę, ale Flara przymknęła na to oko. W sądzie nikt by nie pozwolił na takie zachowanie. Tam przestrzegano przepisów. Najpierw świadek zeznaje swobodnie, następnie odpowiada na pytania przesłuchującego, później na pytania stron.

– No pamiętam. Do dziś ciągle o tym gadamy. Wszyscy jej wtedy szukaliśmy, analizowaliśmy każdą wiadomość, każdy najdrobniejszy trop.

Mówiłem o tym kryminalnym.

Flara nie notowała. Omijała bardziej oczywiste fragmenty. Lubiła mieć w protokole samą esencję.

– Czy Weronika Zatorska skarżyła się na coś? Jakież problemy? W domu, w szkole?

– Trochę tak... – odparł chłopak.

Patrycja spojrzała z zainteresowaniem na aspirant Flarkowską. Ta wpatrywała się w ekran komputera.

– Proszę powiedzieć coś więcej – zachęciła policjantka.

– Weronika oblała poprawkę, nie miała kasy na warunek. Studia na polibudzie ją dojeżdżały. No i nie miała chłopaka...

– Dlaczego nie miała chłopaka? – wtrąciła znów młoda mecenas.

Świadek nieco mamrotał, Patrycja nie dosłyszała.

– No po prostu nie mogła nikogo znaleźć. Teraz dużo ludzi jest samych.

Samotność w sieci. Tinder, Facebook, portale randkowe, ale i tak prawie każdy szuka drugiej połówki. Za dużo ekranów, za mało prawdziwych relacji. Kiedyś ludziom jakoś wszystko łatwiej przychodziło. Patrycja też była sama.

– Leczyła się? – spytała Flara.

Chłopak pokręcił głową.

– Mówiłem jej, że powinna pójść na terapię, ale ona bagatelizowała problem.

– Czy rodzice wiedzieli?

Świadek prychnął.

– Starzy by ją wyśmiali od czubków. To inne pokolenie, oni niczego nie kumają.

– A brała jakieś leki?

Wzruszył ramionami.

– Nie sędę.

– Zadam teraz trudne pytanie. Czy uważa pan, że Weronika Zatorska mogła sama odebrać sobie życie?

Zaniemówił.

– Nie, chyba nie. Nie wiem. – Przygryzł wargę. – Może. Ja pierdolę... – Rozpłakał się. – Przepraszam.

Flara podała mu chusteczkę.

– Czy chce pan zrobić sobie chwilę przerwy?

– Nie, ja... Ona mówiła, że ma doła, ale dzisiaj każdy ma doła. Bagatelizowaliśmy to. Ja sam mam ochotę czasem nie wychodzić z łóżka... Tylko że nigdy bym niczego sobie nie zrobił.

– Skąd pan wie, że sobie coś zrobiła? – podchwyciła funkcjonariuszka.

– Monika, jej siostra, mówiła mi, co wyszło z sekcji. Przedawkowała jakieś dopalacze.

Flara zbierała myśli.

– A tatuaż?

– „Krzycz, jeśli żyjesz”... – wymamrotał chłopak. – Weronikę kręciły dziury, ale nie chwaliła się, że coś sobie zrobiła.

– Skąd pan wie, co było na tatuażu? – podchwyciła Patrycja.

– Proszę pani, my naprawdę wszyscy chcieliśmy ją znaleźć! O niczym innym nie gadamy, tylko o samobójstwie Weroniki. Przecież mogliśmy ją powstrzymać! – Znow się rozpłakał. – Spotykaliśmy się, oglądaliśmy seriale, a nic o sobie nie wiedzieliśmy. Nawet nie powiedziała nam o tatuażu. Dowiedzieliśmy się o nim dopiero od rodziców. Musiała go sobie wydziarać chwilę przed śmiercią.

– Czy Weronika miała jakąś koleżankę o imieniu Julia?

– Nie wiem. Chyba nie. Na pewno nie ostatnio.

– A czy wcześniej eksperymentowała z narkotykami? – kolejne pytanie od młodej mecenas.

Chłopak się zmieszał.

– Proszę odpowiedzieć – ponagliła go Flara.

– Paliliśmy kiedyś trawę w wakacje...

– A jakieś dopalacze?

Zaprzeczył.

– To jak weszła w ich posiadanie? – drążyła Patrycja.

Świadek spojrział na nią jak na idiotkę.

– Przecież to gównem sprzedają na każdym rogu...

*

Przesłuchania dobiegły końca. Wybiła szesnasta, Flara już dawno powinna być w domu. Syn przyzna jej medal dla najlepszego rodzica. Szklanka soku z cytryny, Order Uśmiechu za to, że nigdy się nie widzą.

– No i to by było na tyle, pani mecenas – podsumowała funkcjonariuszka.

– Co teraz?

– Kroon zwróci się do przychodni o dokumentację medyczną Weroniki. Lekarz pierwszego kontaktu raczej nie powinien wiele wiedzieć, ale zgodnie ze sztuką należałoby to zrobić, jeśli dziewczyna miała jakieś problemy psychiczne.

– Przecież nie chodziła na terapię – zauważyła młoda adwokat.

– Dlatego to bardziej sztuka dla sztuki. Potrzebujemy mieć tę informację w papierach, żeby nikt nam niczego nie zarzucił.

Patrycja przypomniała sobie opowieść Gustawa. Tajemnicza Julia, która popychała ludzi do złego. Opętana obsesją śmierci. Niebezpieczna. Groźna. Cudowna.

– A co z tym tatuażem?

– No co z nim?

– Musimy chyba jakoś podrażnić ten wątek. „Krzycz, jeśli żyjesz”.
Tatuaż, który nagle znajduje się na ciele ofiary.

Flara zrobiła wielkie oczy.

– Przecież to nie ma żadnego związku ze sprawą. Dziewczyna się zaćpała.

– No tak, ale nie przesłuchaliśmy Julii...

– Bo pani klient nie podał żadnych jej danych pozwalających na bliższą identyfikację.

– To nie jest mój klient. Pracuję dla państwa Zatorskich.

– Tym bardziej. Jakiś narwany studenciak – rzuciła Flarkowska, wyłączając komputer.

Radke nie dawała za wygraną.

– Ale przyzna pani, że to ciekawy motyw.

„Ja pierdołę, czy ona siedziała tu przez ten cały czas ze mną, czy tylko udawała?” – pomyślała policjantka. „Nie słyszała, co zeznali świadkowie? Zatorska nie miała wrogów, cierpiała na problemy psychiczne, nie leczyła się. Wyniki sekcji zwłok sugerują przedawkowanie dopalaczy”.

– No ciekawy, ale bez związku ze sprawą – palnęła, ładując do torby plik papierów. Oczywiście zabierała robotę do domu. Nigdy dość pracy po godzinach.

– Ale taki przypadek? Ten sam tatuaż na ciele dwóch przypadkowych osób?

Flara westchnęła.

– Nie ten sam, tylko taki sam. Z tego, co mówił Kroon, podobna treść, inne wykonanie.

– Okej, no ale dalej mamy jakąś styczną – wypunktowała Patrycja.

– Pani mecenas, pani chyba nie mówi poważnie – zawstydziła ją funkcjonariuszka. Miała czterdzieści kilka lat, przy dobrych wiatrach mogłaby być jej matką. – To pewnie jakaś głupia moda. Trik z TikToka czy inne cholerstwo.

– Ale gdybyśmy spróbowali przesłuchać tę Julię, jakoś ją zidentyfikować... Mielibyśmy pewność. Wie pani. Tak z ostrożności procesowej.

Z ostrożności procesowej. Fajne, seksowne powiedzonko ludzi po prawie.

– Jak niby mielibyśmy ustalić jej tożsamość, skoro praktykant Kroona nie zna ani jej nazwiska, ani adresu, ani numeru telefonu?

– No macie pewnie jakieś bazy...

Flara westchnęła. Jeszcze raz odpaliła komputer. Włączyła odpowiedni program, ekran zamigotał, po chwili przestał odpowiadać. Windows się zaciął.

– W systemie PESEL widnieje prawie trzysta tysięcy rekordów – oznajmiła po dłuższej chwili Flarkowska. – To pani jedyny trop w sprawie, która jest jasna jak słońce. Tu wszystko do siebie pasuje, nie brakuje żadnego elementu układanki.

Patrycja właściwie była gotowa przyznać jej rację.

– No niby tak...

– Mamy przesłuchać trzysta tysięcy osób, bo chłopakowi coś się wydaje?

– Nie, ale...

Policjantka raz jeszcze wyłączyła komputer.

– Pani klient się zakochał. Ale nie może pani przenosić jego obsesji na grunt naszej sprawy. Czasami ludzie potrafią namącić nam w głowach. My jednak musimy zachować profesjonalizm. Inaczej pójdziemy na dno.

Celna uwaga. Zaboląło.

[15] Andrzej Zoll – polski prawnik, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

[16] W. Shakespeare, *Hamlet*, w: tegoż, *Tragedie i kroniki*, Kraków 2013, s. 395.

ROZDZIAŁ 12 | LISTOPAD

SZYMON I ELIZA

Dyrektorka Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia” przymilała się do dwudziestoletniego przystojnego bruneta.

– Panie Szymonie, gdyby każda gdańska placówka kultury mogła pochwalić się takim mecenatem, to stalibyśmy się drugim Berlinem!

– *Geil*^[17]... – mruknął młodzieniec.

Helena Szczepańska była starszą, nieco zwariowaną kobietą. Burza loków, czarna garsonka, wysokie buty o wymyślnym kształcie obcasa. Na szyi kolorowy łańcuszek, strażnik okularów do czytania.

– Ta wystawa przejdzie do historii – rzekła uradowana dyrektor Szczepańska. Niespecjalnie starała się ukryć entuzjazm; Łaźnię traktowała jak własne dziecko.

Na wernisażu pojawiły się niemal wszystkie osobistości trójmiejskiej socjety. Kilku aktorów, celebrytki z Instagrama, sporo biznesmenów. Był Jan Duchnowski, Oskar Wójcicki, mecenas Wykopkowski. Prezydent Dulkiwicz właśnie udzielała jakiegoś wywiadu.

– Pani dyrektor – powiedziała asystentka – dziennikarze z telewizji chcieliby nagrać setkę.

– Zaraz, zaraz – odparła dyrektorka, wciąż przyklejona do dwudziestolatka. – Szkoda, że pański ojciec nie mógł przyjść osobiście...

– Siedzi w Stanach – rzucił zdawkowo chłopak.

Szczepańska złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Naturalnie. Przy najbliższej okazji proszę mu koniecznie podziękować!

Kawałek dalej kręciła się zielonooka blondynka z kolczykiem w nosie. Obserwowała ludzi, robiła zdjęcia.

– Spoko.

Asystentka dyrektorki kolejny raz przypomniała swojej szefowej o nagraniu.

– Oni muszą za chwilę lecieć na Ergo Arenę, jakiś mecz mają...

– No już, już! – fuknęła lekko poirytowana dyrektorka. – Panie Szymku, proszę tylko powiedzieć, jak się panu podoba wystawa?

Ojciec Szymona, Marcin Krukowski, szczycił się sporą kolekcją dzieł sztuki. Regularnie dotował Łażnię, zgodził się też wypożyczyć jej kilka rzeźb. Na ekspozycji pojawiły się prace Nauma Gabo, Jeffa Koonsa czy Ai Weiweia.

– Nie mój styl – opowiedział młodzieniec, wpatrując się w geometryczny, przestrzenny wzór. – Wolę sztukę figuratywną. Ludzkie postacie, coś bardziej klasycznego.

– Och, stara dusza! Stara dusza, panie Szymonie! – zawołała dyrektor Szczepańska. – A tu trzeba iść z duchem czasu! Wszak „nowa epoka nie chce zeszłego natchnienia”^[18]!

[17] – Zajebicie (niem.).

[18] I. Sławińska, *O komediach Norwida*, Lublin 1953, s. 80.

ROZDZIAŁ 13 | LIPIEC

JULIA

Latem na stocznę przychodziło tyle ludzi, że policja zamykała okoliczne ulice, aby umożliwić płynny ruch tłumów imprezowiczów. Największe zamieszanie było oczywiście w piątki i soboty.

Julia całą noc bawiła się z Wiktorem. Pozwalała mu się dotykać, adorować. Całowali się długo i często; tańczyli do upadłego. Duchnowski był w siódmym niebie. Wiele rzeczy przychodziło mu w życiu łatwo. Dziewczyny leciały na niego bez wyjątku, bo był wysoki i przystojny. Pochodził z bogatej rodziny, nazwisko jego ojca znał każdy w Trójmieście. Jeździł drogim samochodem, mieszkał w swoim własnym apartamencie. Wakacje kilka razy do roku, oczywiście rzadko kiedy w Europie.

Dopóki nie poznał Julii, nie wiedział, jak puste jest jego życie. Nie wiedział, że przez ostatnie dwadzieścia jeden lat jedynie przemykał przez codzienność, nie dostrzegając tego, co najważniejsze. Julia była wyjątkowo piękna. Prawdziwe trofeum dla konesera; kobieta, której każdy ci zazdrości. Kręciła go, stymulowała, nie dawała się sobą znudzić.

Kiedy kilka miesięcy później przyszło zmierzyć się z mrocznym sekretem Julii, nikt z przyjaciół nie potrafił powiedzieć, na czym polegał jej czar. Wszyscy jednak zgodnie przyznawali, że była jedną na milion.

– Zaraz wracam – zakomunikował Wiktor, kierując się w stronę toalety. – Poczekasz tu?

– Spoko – odparła Julia.

Poszukał wolnego pisuaru, umył ręce, przejrzał się w lustrze. Poprawił trochę fryzurę. Jego włosy zawsze wyglądały dobrze, ale odrobina troski przecież nigdy nie zaszkodzi.

Wyszedł na zewnątrz, rozglądając się za dziewczyną. Zniknęła. Wiktor chciał wyjąć telefon i spytać, gdzie jest. Nagle ją zobaczył.

Julia stała przy barze i pozwalała się dotykać jakimś obcemu facetowi. Siedziało ich tam trzech, wyraźnie podpitych i rozbawionych. Byli zajarani, że udało im się wyrwać taką gorącą laskę.

Wiktor najpierw nie wiedział, o co chodzi, później się przestraszył. Jego idealny świat chwiał się właśnie w posadach.

Zobaczył, że na niego patrzy. Julia przytulała się do nieznanego faceta i szeptała mu coś czule do ucha, spoglądając prosto w oczy Wiktora.

Strach powoli zamienił się w złość. Emocje napływały wartkim strumieniem, buzując w żyłach, rozrywając tętnice.

Wiktor ruszył wolno naprzód. Oceniał przeciwnika. Włosy wygolone po bokach, modna kilka lat temu broda, metr osiemdziesiąt, zwykła postura. Niczego się nie spodziewał.

Podszedł szybko, nie powiedział „dzień dobry”, nie spytał, jak im minął dzień; lewą ręką zgarnął Julię, a prawą wbił z całej siły w szczękę mężczyzny. Uderzył od dołu, dwa kolejne ciosy posypały się prosto na twarz. Nieznajomy stracił równowagę, momentalnie przewrócił się na ziemię. Jego kumple krzyknęli na Wiktora: „Ej, co ty wyprawiasz? Zostaw go!”, ale żaden nie miał odwagi podejść. Ktoś pobiegł po ochronę. W tym czasie urażony kochanek masakrował adwersarza. Przygniótł mu kolaniem krtań i bez opamiętania tłukł po ryju.

– Złaż z niego, pojebie! – warknął barczysty ochroniarz. Razem z kumplem odciągnęli Wiktora do tyłu.

– Zabierzcie go stąd! – krzyknął kolega poszkodowanego.

Pobity mężczyzna był w szoku. Ktoś pomógł mu się podnieść.

– Wypierdalasz z tej imprezy, lamusie, kumasz?! – wrzasnął bramkarz.

Wiktor stał w bezruchu. Powoli dochodził do siebie. Rozejrzył się wokoło. Julia stała przy barze i lekko mrużyła oczy. Miała ten charakterystyczny, trudny do opisanego wyraz twarzy, dla którego mógłby zrobić wszystko. Dla którego mógłby zabić.

Spoglądała na zakrwawione ręce Wiktora i autentycznie się cieszyła.

– Wypierdalasz stąd! – rozkazał ochroniarz.

Wtedy pojawił się też Velos. Właściciel Ulicy Elektryków wyrósł jak spod ziemi. Porozmawiał z pracownikami, zamienił słowo z Wiktorem. A potem kazał wyprowadzić pobitego.

– Nie będziesz, kurwo, więcej prowokował ludzi. Burdy wszczytaj se u siebie na Śląsku, wieśniaku! – warknął umięśniony bramkarz, wyprowadzając zszokowanego mężczyznę na zewnątrz. Koledzy pobitego również musieli opuścić teren imprezy.

Tak sprawy w mieście załatwiała rodzina Duchnowskich.

ROZDZIAŁ 14 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Weronika powoli leczyła rany. Drobne siniaki i otarcia miały się wchłonać, niewielkie rany i zadrapania szybko zagoić. Po fizycznych obrażeniach w ciągu tygodnia–dwóch nie zostałyby żaden ślad. Zmiany w psychice... tych niestety nie dało się wyleczyć.

Po kilku dniach tortur Weronika zrozumiała, na czym polega pokręcona gra porywaczy. Oczywiście, rozgryzła jedynie podstawowe reguły. Prawdziwego sensu bezinteresownego okrucieństwa nie dało się pojąć.

Kiedy kaźń dobiegła końca, pozwolono jej przejść do drugiego pomieszczenia. Był to przytulny pokój, z wygodną kanapą, nocną lampką i niewielką toaletą. Oczywiście również bez okien.

Weronika siedziała na krześle, naprzeciwko niej usadowili się porywacze. Chłopak i dziewczyna. Król i królowa. Bóg i bogini. Od momentu przebudzenia w podziemnej twierdzy nie pokazywali się jej bez masek. Pamiętała ich twarze jak przez mgłę z krótkiego spotkania na Garnizonie. Jeśli o nich myślała, widziała jedynie dwa białe ptasie dzioby.

– Jedz. Musisz mieć siły, musisz się rozwijać – powiedział mężczyzna.

Pomiędzy nim a Weroniką stał talerz z obiadem. Kotlet, ziemniaki, trochę surówki. Smaczne, zwyczajne danie.

– Dobrze... – odparła i wzięła niewielki kęs. Bała się. Bała się każdego nieostrożnego ruchu, każdego nierozważnego gestu. Za najmniejsze przewinienie mogła spotkać ją kara. Kiedy pomyliła się ostatnim razem, wróciła na dwie doby do Czyścica.

– Wzrastaj, Ewo. Rośnij. Oto twoje nowe życie – rzekła porywaczka.

Trzęsącą się dłonią Weronika nabrała trochę ziemniaków. Za plecami porywaczy widziała metalowe drzwi prowadzące do pokoju tortur. Żyła w permanentnym strachu. Wsadziła widelec do ust, ale kilka okruchów spadło na blat stołu.

– Ja przep-p-praszam – wyjąkała. W panice zaczęła zbierać ziemniaki na talerz. Łzy płynęły jej po twarzy. – Ja nie chciałam, naprawdę... ja się staram... ja...

Porywacz wstał z krzesła.

– Choroby wieku dziecięcego – ocenił.

– Nie, błagam! Nie róbcie mi tego! Ja nie chcę tam wracać!

– Musisz bardziej uważać, gapciu – dodała porywaczka.

– Neeee... nieee! – ryczała ofiara. Dostała ataku drgawek.

Mężczyzna stanął obok i złapał ją za ręce. Ścisnął je wyjątkowo mocno, zbyt mocno. Przysunął się bliżej i objął dziewczynę.

– Spokojnie – powiedział beznamiętnym głosem. Usiadł koło niej. – To nic takiego. Następnym razem będziesz ostrożniejsza.

– Proszę... nie... – szlochała.

– Musisz się uspokoić. Natychmiast – rzekł sugestywnie.

Ofiara z trudem powstrzymała płacz.

– Wieczny powrót – zaczęła porywaczka. – Julia miała rację. „Jeśli każda sekunda naszego życia miałyby się powtarzać w nieskończoność, bylibyśmy przykuci do wieczności jak Chrystus do krzyża”^[19].

– Proszę... proszę... – chlipała dziewczyna.

Porywacz nabrał na widelec trochę mięsa, ziemniaków i surówki.

– Jedz. Musisz mieć siłę na to, co cię spotka. Musisz mieć siłę, by mierzyć się z życiem. Otwórz usta. – Weronika nieznacznie rozwarła szczękę. – Szerzej. Jeszcze bardziej. O, tak dobrze. – Nakarmił ją. – A teraz gryź...

Weronika żuła obiad. Był całkiem smaczny, ale ona tego nie czuła. Myślała jedynie o tym, że nie chce wracać do Czyścica. Widziała puste oczodoły ptasich masek i metalowe drzwi pokoju tortur.

– Czymże byśmy byli bez naszych rodziców? – spytała retorycznie porywaczka. – Zobacz, jak wielka jest miłość twojego ojca.

Porywacz uśmiechnął się, lecz jego diabelski uśmiech pozostał ukryty za beznamietną zasłoną ptasiej maski. Dotknął dłonią policzka Weroniki, pogładził ją czule po włosach.

– Daliśmy ci nowe życie, Ewo – powiedział z namysłem. – Celebryj je, póki możesz.

Porywaczka stanęła za plecami swojego partnera.

– Bo ono także dobiegnie końca.

[19] M. Kundera, *Nieznosna lekkość bytu*, tłum. A. Holland, Kraków 1985.

CZĘŚĆ TRZECIA

VESTIGIUM

ROZDZIAŁ 15 | LISTOPAD

PATRYCJA RADKE

Spółdzielczy pawilon stojący pośród wysokich wieżowców gdańskiej Zaspy. Łuszcząca się farba, stare okna, papa na dachu. Kiedyś mógł tu się mieścić dom kultury, biblioteka albo coś równie niepotrzebnego w nowoczesnych postczasach.

Punkt odbioru paczek, hurtownia żarówek, biuro jakiejś firmy projektującej mobilne aplikacje. Tak zwany start-up. Słowo klucz, słowo wytrych, słowo tak pojemne znaczeniowo, że traciło swój sens. Trzech kumpli z politechniki postanowiło zostać milionerami. Dotacja z Unii, ciekawy projekt, z którego niewiele osób cokolwiek rozumiało. Coś związanego z przesyłem danych. Spokojnie. Za rok przeprowadzą się do Doliny Krzemowej.

Na ścianie z boku budynku dwie zielone tabliczki okraszone wytwornym logotypem. „Patrycja Radke, Adwokat”. Nieco niżej: „Marek Pepisz, Adwokat”.

Eleganckie szyldy trochę nie pasowały do szarej bryły komunistycznego pawilonu. Adwokat bardziej kojarzy się ze szklanym biurowcem albo starą kamienicą. Nic nie zrobisz. Spółdzielnia wynajmowała lokale użytkowe w atrakcyjnej cenie. Patrycja zrzucała się na

czynsz razem z kolegą. Marek potrzebował głównie adresu, w rzeczywistości pracował w dużej firmie, którą dzięki uprzejmości stryjecznej ciotki obsługiwał. Płacił jedną trzecią stawki, w kancelarii pojawiał się od wielkiego dzwonu. Dwa tysiące z opłatami i ogrzewaniem za niewielkie biuro z łazienką.

Patrycja uznała, że w takim miejscu łatwiej o kontakt ze zwykłym człowiekiem. Na trzech kilometrach kwadratowych gdańskiej Zaspy mieszkało prawie trzydzieści tysięcy ludzi. To sporo potencjalnych klientów. Młoda adwokat nie zamierzała ścigać się z wielkimi kancelariami ani starymi prawniczymi wygami. Patrycja Radke, jestem tuż pod twoim nosem, wychodzisz z kościoła, modląc się o pomoc, i wtedy widzisz mój szyld. Patrycja Radke, adwokat codzienności. Patrycja Radke, patronka spraw błahych i nieistotnych. Patrycja Radke, w końcu zacznie się jej jakoś kręcić.

W kancelarii pojawił się Gustaw. Patrycja dobrze zapamiętała jego twarz. Całkiem przystojny, choć nieco zagubiony. Smutne niebieskie oczy, przedziałek na środku. Wyciągnięty golf, zamszowe buty i niezbyt drogi płaszcz z sieciówki. Dziewięćdziesiąt procent poliestru, ale jestem studentem prawa i muszę chodzić w płaszczu.

– Dzień dobry – rzucił, dopychając drzwi łokciem. Nie chciały się zamknąć. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie, proszę wejść – odparła Patrycja, minimalizując okno przeglądarki. Oglądała sukienki w Zarze. Niedługo Black Friday, może uda się coś upolować. Właściwie to nie powinna szaleć: na karcie debet, rodzice trochę pomagali, ale nie miała serca wciąż wisieć im na garnuszku. Dobijali do emerytury, wypadało coś odłożyć na gorsze lata.

– Nie zajmę pani wiele czasu. Chciałem tylko spytać o sprawę...

– Niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś?

Miał ochotę odmówić, ale prawdę powiedziawszy, strasznie zmarzł. Okropnie dziś wiało, a on zapomniał czapki.

– Jeśli to nie będzie kłopot...

Patrycja włączyła czajnik. Z Urzędu Pracy dostała dotację dla osób otwierających własną firmę. Kupiła macbooka, nowego iPhone'a, drukarkę, skaner, skórzaną torbę i właśnie czajnik.

– Zieloną, białą, różaną...?

– Może być różana.

Gustaw rozejrzał się po wnętrzu kancelarii. Przytulnie urządzona. Na podłodze gruba, szarawa wykładzina, jasne ściany, kilka nowoczesnych grafik. Czarno-białe zdjęcia Manhattanu, mostu Brooklińskiego i oczywiście Sądu Najwyższego. Patrycja remontowała wszystko z ojcem. Córeczka tatusia, jego oczko w głowie. Kancelaria Patrysi. Coś wielkiego.

Wygodny fotel z IKEA do kontemplacji, dwa metalowe krzeselka dla klientów. Oprócz tego stolik kawowy, okazałe biurko i wielka roślina. Fikus albo inne cholerstwo. Szafa na akta wypełniona pustymi segregatorami. Kiedyś wszystkie będą pękać w szwach.

– Proszę bardzo. Musi się jeszcze chwilę zaparzyć.

– Dziękuję.

Patrzyli chwilę na siebie. Sześć, góra siedem lat różnicy.

– I cóż...

– Cieszę się, że trafiliśmy na panią – przerwał jej w pół słowa. Niby psychologiczna zagrywka, a naprawdę się cieszył. Odkąd pierwszy raz wszedł do jej kancelarii i opowiedział ze szczegółami całą historię, czuł, że trafił pod odpowiedni adres. Patrycja potrafiła słuchać i nie umiała ukrywać emocji. Uwierzyła mu, a on o tym wiedział.

– Ja też się cieszę – odparła zupełnie bez zastanowienia. Lubiła Gustawa. Taki koleś w jej typie. Ta sama zbyt miękka jak na trudne czasy

głina.

Wytrawny adwokat potrafi oddzielić własne emocje od spraw zawodowych. Patrycja nie posiadała tej umiejętności.

– Jak idą przesłuchania? – spytał bez ogródek.

– Dobrze. Uwinęliśmy się w tydzień. Flarkowska potrafi spiąć cztery litery.

– Bo ich pani pocisnęła. – Uroczy komplement. Gustaw powiedział to prosto z serca.

– Zwyczajnie trafiło na bystrą policjantkę – odparła, jakby rzeczywiście wiedziała cokolwiek o pracy policji.

– Znaleźli Julię? – Mimowolnie zacisnął dłonie na poręczy fotela, wypowiadając imię tajemniczej dziewczyny.

Mecenas zaprzeczyła.

– Nikt nie znał żadnej Julii.

– To niemożliwe! – Gwałtowny sprzeciw, choć wypowiedziany niezwykle spokojnie. – Jej nie da się zapomnieć... – dodał po chwili.

Patrycja wierzyła Gustawowi. Z drugiej strony wiedziała, że nie ma racji. Zapoznała się z aktami sprawy, uczestniczyła we wszystkich przesłuchaniach. Żadnego niezbadanego tropu. Żadnej luźnej wskazówki.

– Weronika Zatorska najprawdopodobniej podjęła udaną próbę samobójczą. Cierpiała na depresję, choć nikt tego u niej nie zdiagnozował. Jej przyjaciele zeznali, że była w kiepskim stanie psychicznym. Nie miała wrogów.

– Jak każdy, kto kiedykolwiek spotkał Julię – podsumował Gustaw.

„Zafiksowany na punkcie swojej wersji wydarzeń” – oceniła Patrycja. Aspirant Flarkowska miała rację. Nie wolno dać się wciągnąć w gierki klientów.

– Wróci pan do prokuratury, Kroon da panu akta... Sam się pan przekona, że to zwyczajne samobójstwo. Bez związku z szalonymi wakacjami...

– Pani też mi nie wierzy? – spytał, łudząc się, że to nieprawda. Potrzebował choć jednej osoby. Jednego otwartego umysłu, by nie zwariować.

– Wierzę... – odparła po chwili. – Wierzę, że poznał pan kogoś wyjątkowego. Może nawet kogoś wyjątkowo złego. Ale Weronika Zatorska nie ma z tym nic wspólnego...

Gustaw wstał z krzesła. Stał pod zdjęciem amerykańskiego Sądu Najwyższego. „Antyczny” budynek wzniesiony jakieś dwa i pół tysiąca lat po wojnie peloponeskiej.

– Nie wrócę do prokuratury. Podziękowali mi – oznajmił z powagą.

– Dlaczego?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Naprawdę pani nie wie? Za to, że chciałem poznać prawdę.

– Przecież nie mogli pana zwolnić z praktyk, bo zainteresował się pan sprawą... – Naiwna niczym dziecko.

– Prokurator Rejonowa wystawiła mi opinię, powiedziała, że mają teraz koniec roku i muszą skupić się na kończeniu spraw. Niby nie ma kto się mną zająć. Między słowami wyczytałem, że lepiej się nie pokazywać. Napisali: „Musi pogłębić swą wiedzę, gdyż nie wykazuje ona korelacji z ukończonym poziomem studiów”. Czy jakoś tak.

– Chyba nadinterpretujesz pewne fakty. – Nieświadomie przeszła na „ty”.

– Napisali, że jestem za głupi do tej roboty. Zawsze marzyłem, żeby zostać prokuratorem.

– Na którym jesteś roku? – Patrycja czuła, jakby to jej dali kosza.

– Na trzecim.

Podeszła do Gustawa. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Spokojnie. Ja na trzecim roku też nie miałam pojęcia o prawie. W gruncie rzeczy dalej niewiele wiem – zażartowała. W każdym dowcipie, podobnie jak w każdym kłamstwie, kryje się ziarenko prawdy. To ziarno było wyjątkowo dorodne.

– Nie mam znajomości, żeby dostać się na praktyki do jakiejś prywatnej kancelarii. Myślałem o sędzie albo prokuraturze. To jedno odpadło.

– Gadasz głupoty. Egzamin do KSSiP-u jest państwowy. Nawet jeśli rzeczywiście podpadłeś, ani Kroon, ani jego szefowa nie mają tu nic do gadania.

Przeszło trzynaście lat temu egzamin na aplikację sędziowską i prokuratorską został scentralizowany. KSSiP, czytaj: Krajowa Szkoła Sądownictwa i Prokuratury. Szkolenie odbywało się tylko w Krakowie, choć o miejsca toczyła się zaciekle walka we wszystkich zakątkach Rzeczypospolitej. Wybierano wyłącznie najlepszych.

– Nawet jeśli się dostanę, to potem będą mi smrodzić...

– Hej, hej! To już są teorie spiskowe! Jedna teoria spiskowa w miesiącu wystarczy!

Gustaw spojrzał na nią spode łba.

– Mówię prawdę o Julii.

– Wyluzuj. Po prostu chciałam ci jakoś poprawić humor.

Usiadł z powrotem na krześle. Mogłaby go spławić, ale i tak nie miała nic do roboty. Patrycji odpowiadało towarzystwo nadgorliwego studenta.

– Może mógłbym pani pomagać?

Dziewczyna omal nie udławiła się herbatą.

– Pomagać mi? – palnęła bez sensu.

– Zostałbym pani praktykantem...

Nie miała zleceń, nie miała doświadczenia, nie miała pieniędzy. Jedyne, czym dysponowała, to nadmiar wolnego czasu i lęk o to, czy za chwilę nie będzie musiała zamykać działalności i ogłaszać bankructwa. Ostatnim, czego potrzebowała, był praktykant.

– Nie mogę mieć aplikanta, mam za krótki staż pracy... – broniła się nieudolnie.

– Ale praktykantów ta reguła przecież nie obowiązuje. Jestem jeszcze na studiach.

Celna uwaga.

– Wiesz, nie mam teraz wystarczająco wielu zleceń, żeby ci płacić. Sorry.

– W prokuraturze też nikt mi nie płacił.

Patrycja szukała drogi ucieczki. *Emergency exit*. W razie pożaru zbić szybę młotkiem.

– Słuchaj, pamiętam, jak sama byłam na studiach i tyrali mnie na praktykach. Powiedziałam sobie wtedy, że ja będę inna. Zapłacę przyzwoitą kasę, będę zwracała się z szacunkiem do studentów...

– Pani mecenas, ja okropnie tego potrzebuję. Pomogę przy sprawie, nauczę się czegoś... Mogę chodzić po ulicy i rozdawać ulotki.

– Adwokatom nie wolno się reklamować...

– Pani mecenas, ja panią błagam!

Miękkie serce, twarda dupa. Ostatecznie nie miała nic do stracenia. Spyta księgową, czy musi to jakoś zgłosić. Darmowy pracownik. Przecież nie zużyje jej więcej prądu.

– No dobra... – odparła zrezygnowana.

*

Siedział w kancelarii z jej laptopem na kolanach. Przeglądał protokoły przesłuchań. Patrycja układała jakieś papiery. Wyglądała, jakby ciężko pracowała nad pozwem, w rzeczywistości porządkowała notatki z aplikacji.

– Musieli coś przeoczyć – szepnął pod nosem.

– Słucham? – spytała Patrycja.

Od dłuższego czasu rzucała mu ukradkowe spojrzenia. Randka z praktykantem. Siedem lat młodszy. Trochę siara. Z drugiej strony... Dwadzieścia osiem lat na karku, prawie wszystkie koleżanki miały już partnerów, niektóre mężów, kilka chodziło z brzuchem. „To teraz, Patrysiu, jak już zdałaś ten egzamin, mogłabyś o jakimś kawalerze pomyśleć” – doradzała życzliwie babcia. „To jest wspaniała rada! Pycha! Wyobrażam sobie jego minę!”^[20].

– Czuję, że coś przeoczyliście. Czuję, że któryś ze świadków nie powiedział wszystkiego.

W serialach kryminalnych doświadczonym śledczym zawsze umyka jeden drobny szczegół. Morderca popełnia oczywisty błąd, policjanci, którzy zjedli zęby na takich sprawach, naturalnie go nie zauważają. Potrzeba przypadkowego studenta prawa, który powie: „Ej, przecież tu jest łuska!”. No tak. Bo podczas dwudziestu godzin badania miejsca zbrodni łatwo przeoczyć kawałek naboju, który miesiąc później znajdzie detektyw amator. W każdej komendzie powinni zatrudnić takiego bystrzaczę. Albo w ogóle zlikwidować dochodzeniówkę.

– Pytaliśmy o wszystko, Gustaw, ale jak chcesz, to kombinuj.

– Ostatni raz widzieli ją na Garnizonie. Jej telefon łączył się ze stacją bazową w rejonie biurowców w Oliwie, później przestał działać.

Gustaw oglądał zdjęcia protokołów. Kiedyś adwokaci robili notatki albo prosili o oficjalne odpisy. Dziś wystarczyło cyknąć fotkę.

– Wyłączyła komórkę. Pewnie ją denerwowała – skwitowała Patrycja. – Jak brzmiała ostatnia wiadomość?

– „Wpadasz do Karo?”

– Napisała to do tego chłopaka. Bardzo się przejmował.

– Karolina mieszkała na Garnizonie. Ona nie widziała w zachowaniu Weroniki niczego dziwnego – ocenił Gustaw. – Też ją przesłuchiwałeś? Nie mogę nigdzie znaleźć protokołu.

– Chyba tak... koleżanka ze studiów. Pokaż mi to. – Wzięła od Gustawa komputer. Przeglądała po kolei pliki. – Pamiętam, jak ją przesłuchiwałem. Taka grubsza dziewczyna, tłuste włosy, tunele w uszach...

– Nie ma – stwierdził Gustaw.

– Czeka, spojrzę na komórkę.

Najnowszy sprzęt. Komputer i telefon z logiem nadgryzionego jabłka, za które płacisz kilka razy więcej, niż rzeczywiście są warte. Fajne, bo zawsze działają. A jednak i one potrafią coś spierdolić.

– Wiktor mieszkał na Garnizonie – przypomniał sobie Gustaw.

– Kto? – spytała Patrycja, wertując zdjęcia na telefonie.

– Chłopak Julii...

– Myślałam, że to wy byliście parą. – Przygryzła wargę, nie mogąc odnaleźć się wśród dziesiątek podobnych plików.

– Bo byliśmy – rzekł chłodno.

Siedzieli w ciszy. Za oknem facet z hurtowni odbierał nową dostawę żarówek. Lokalny producent. Pięć lat gwarancji, fajny design, nie dostaniesz w markecie budowlanym.

– O! – zawołała Patrycja. – Kilka plików się nie przesłało. Cholerny airdrop.

Młoda mecenas otworzyła folder i jeszcze raz przejrzała listę dokumentów. Odpaliła przesyłanie.

– Ma pani ten protokół?

– Mam. – Oddała mu laptopa. – *Si cala fon*[21].

Gustaw zatopił się w lekturze. „Wiem, w jakiej sprawie zostałam wezwana. Znałam pokrzywdzoną od trzech lat. Poznałyśmy się jeszcze w liceum, chodziła do równoległej klasy. Skumałyśmy się w maturalnej”. Dużo nieistotnych faktów. Niczego o próbie samobójczej. Świadek nie przypuszczała, że Weronika mogła chcieć popełnić samobójstwo. Z drugiej strony nie wykluczała kategorycznie tej wersji.

Patrycja dostała SMS-a. Spojrzała na telefon.

– *O fuck...* – zaklęła pod nosem.

– Co się stało? – spytał z zainteresowaniem Gustaw.

– A nic takiego. – Zawstydziała się. Kolega z aplikacji zmatchował ją wczoraj na Tinderze. Prawie nie gadali; myślała, że jest gejem.

Gustaw przelatywał przez ciąg zdań. Był dopiero na trzecim roku, nie umiał wertować protokołów. Czytał wszystko od deski do deski. Wytrawni prawnicy połykali takie kartki za jednym razem jak kieliszki wódki.

– Ja pierdołę! – wykrzyknął Gustaw, najwyraźniej zapominając o dobrych manierach. – Przepraszam...

– Masz coś? – spytała adwokat, odkładając telefon.

– Tak... – Jeszcze raz spojrzął na kilka przypadkowych zdań dokumentu. – W końcu! Znalazłem to!

Patrycja wyskoczyła zza biurka.

– No mów, co odkryłeś!

– Weronika Zatorska odwiedziła swoją koleżankę Karolinę. Przyniosła jej pewną książkę. – Gustaw akcentował wyrazy, jakby ogłaszał, kto w tym

roku został laureatem Pokojowej Nagrody Nobla.

– I...? – Patrycja czekała na wielki finał.

– Wie pani, co to była za książka?

– Neeee? – odparła pytająco, specjalnie przeciągając ostatnią głoskę.

Gustaw spojrzał jej głęboko w oczy.

– *Nieznośna lekkość bytu* Milana Kundery. To była ulubiona książka Julii. Mojej Julii.

GUSTAW

Osiedle Garnizon zawdzięczało swą nazwę pruskim koszarom, które na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku wzniesiono w tej części Gdańska. Niemcy od zawsze uwielbiali armię: w szczytowym okresie w grodzie nad Motławą stacjonowało prawie szesnaście tysięcy żołnierzy; niemal jedna piąta całkowitej liczby ludności miasta. Najbardziej znaną formację stanowili Czarni Huzarzy, elitarna jednostka, której członkowie nosili na czapkach złowrogie trupie czaszki. Po zakończeniu drugiej wojny światowej koszary zajęli żołnierze Ludowego Wojska Polskiego. W latach pięćdziesiątych armia rozpoczęła stopniowy odwrót; na początku nowego millennium tereny te przeszły w ręce prywatnego dewelopera.

Gustaw szedł od strony wrzeszczańskiego dworca. Spojrzał na opuszczony budynek dawnego kasyna oficerskiego. „Zburzą czy odnowią?” – pomyślał chwilę przed tym, zanim wdepnął w wielką kałużę.

– Szlag! – zaklął głośno. Woda wlała mu się do lewego buta.

Skręcił wzdłuż metalowego płotu odgradzającego nowo powstającą część osiedla od placu budowy. Mimo paskudnej pogody robotnicy nie zwalniali tempa. Wylewanie fundamentów nie może czekać. Betoniarki lały

cement przez całą dobę, długa kolejka aut ustawiała się na zatopionym w błocie placu.

– Igor, dawaj tu nazad, dawaj!

Budowlaniec spojrział na studenta, który przechodząc obok, z zainteresowaniem przyglądał się imponującemu przedsięwzięciu. Gustaw szybko odwrócił wzrok. Od czasu wakacji czuł niewytłumaczalny strach przed robotnikami ze wschodu. Jeszcze jedna niechciana pamiątka po Julii.

Kilka minut później znalazł się w najstarszej części osiedla. Czerwonobiałe bloki, najwyżej kilka pięter. Kameralna zabudowa. „Gdzieś tu mieszka Wiktor” – pomyślał. Wyciągnął z kieszeni telefon. Odszukał jedną z ostatnich konwersacji, sprawdził adres.

– Przepraszam! – zagadnął kobietę z psem; wyglądała na tutejszą. – Wie pani, które to drzwi?

Nieznajoma spojrzała na telefon.

– Musi pan wejść od drugiej strony budynku. Tam za rogiem.

– Dziękuję bardzo.

Stał przed domofonem i wybił numer mieszkania.

– Kto tam? – odpowiedział damski, lekko metaliczny głos.

– Gustaw Kolasa. Pisaliśmy na Facebooku...

– Wejdz. Drugie piętro.

Impuls zwolnił blokadę zamka. Gustaw rozejrzył się po klatce schodowej. Eleganckie kafelki, przyjemny zapach. U niego w bloku śmierdziało śmieciami, a z pomalowanych olejną farbą ścian sypał się tynk. Na Garnizonie nie mieszkali zwykli proletariusze.

Karolina stanęła w drzwiach.

– To tutaj! – zawołała z góry.

Gustaw wszedł do środka. Ściągnął buty, lewa skarpeta była całkowicie mokra. Miał olbrzymią ochotę ją zdjąć. W mieszkaniu panowała przyjemna temperatura. Głupio chodzić bosą u obcej osoby.

– Fajnie mieszkaś... – rzucił na wstępie.

– No, może być. To moich starych. Kupili inwestycyjnie, ale do końca studiów mogę tu kiblować.

Inwestycyjne mieszkanie rodziców. Co robią ludzie, których stać na takie luksusy? Mamy za dużo gotówki, więc kupimy kilka dodatkowych nieruchomości. Trochę złota w sejfie, dolary w skarpecie. No bo inflacja, złoty teraz taki słaby.

– Przytulnie – bąknął.

U niego też było całkiem przytulnie. Czterooosobowa rodzina na pięćdziesięciu trzech metrach. Blok z wielkiej płyty. Z kasą zawsze raczej cienko. Nawet nie marzył, by wyprowadzić się na swoje.

– Dzięki. Więc jesteś ziomkiem Weroniki? – przeszła od razu do rzeczy.

Gustaw usiadł na narożnej kanapie. Naprzeciwko stał telewizor z podłączoną konsolą.

– Nie do końca...

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Nie do końca? – powtórzyła.

Napisał do niej na Facebooku, podając się za kolegę zmarłej. Poszperał trochę wśród jej znajomych, przejrzał wszystkie laski o imieniu „Karolina”. Ta odpowiadała rysopisowi przedstawionemu przez młodą mecenas. Trochę przy kości, tunele w uszach.

Protokoły przesłuchań nie zawierały adresów. Wpisywano je do specjalnego załącznika, który był znany jedynie organom prowadzącym postępowanie. Gustaw napisał, zaproponował spotkanie. Dziewczyna podała mu numer mieszkania.

– Trochę cię okłamałem, bo inaczej byś mnie olała. Tak naprawdę w ogóle jej nie znałem...

– Wow! Wypierdalaj stąd, świrze! – Skoczyła na nogi. Nie miała w domu paralizatora. W panice szukała wzrokiem jakiegoś narzędzia. Padło na metalowy wazon.

– Spokojnie! – zawołał Gustaw, unosząc dłonie w pokojowym geście. – Nie jestem żadnym psycholem!

– Serio, sąsiad trenuje judo! Dwumetrowy świniak! Zaraz go zawołam.

– Hej! Nazywam się Gustaw Kolasa, studiuje prawo... – rzucił w nią swoją legitymację. – Moja koleżanka zginęła w ten sam sposób co Weronika! Wydaje mi się, że miały wspólną znajomą! Próbuję jakoś wyjaśnić tę sprawę!

Karolina spojrzała na legitymację. W dalszym ciągu nie odłożyła metalowego wazonu. Drugą ręką sięgnęła po telefon. Wpisała numer sąsiada, choć nie kliknęła ikonki słuchawki.

– Dajesz dalej...

Gustaw usiadł na kanapie.

– Serio, wiem, jak to brzmi. Głupio, że tak do ciebie napisałem, ale inaczej pewnie nie chciałabyś ze mną gadać. Moja przyjaciółka zatrula się dopalaczami. Miała taki sam tatuaż jak Weronika: KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Nie powiesz mi, że to przypadek.

Karolina raz jeszcze zerknęła na legitymację. Dane osobowe się zgadzały. Gustaw Kolasa, prawo stacjonarne. Uniwersytet Gdański.

– Okej...

Nie mógł tego wszystkiego wymyślić. Zwyczajny świr z ulicy nie znałby tak dokładnych szczegółów. Nie wiedziałby o tatuażu.

– Policja prowadzi śledztwo w sprawie śmierci mojej przyjaciółki, ale wszystko partaczą. Postanowiłem samemu się tym zająć. Wtedy trafiłem na

sprawę Weroniki. – W dalszym ciągu blefował, ale przynajmniej trochę mniej niż poprzednio. Najbardziej wiarygodne kłamstwa czerpią pełnymi garściami z faktycznych wydarzeń. Gdyby powiedział całą prawdę, wzięłaby go za czubka.

– Też miała tatuaż?

Gustaw skinął głową.

– Przypuszczam, że dziewczyny miały jakichś wspólnych znajomych. Badam wszystkie tropy. Interesuje mnie każda, pozornie najbardziej błaha wskazówka.

Karolina schowała telefon. Przysiadła obok niego.

– No dobra. Powiedzmy, że ci wierzę.

– Uff – odetchnął teatralnie.

Od czego by tu zacząć? Rozejrzał się po mieszkaniu. Regał z komiksami, za nim niewielka sypialnia. Materac zamiast łóżka.

– Powiesz coś w końcu? – rzuciła po dłuższej chwili ciszy.

– Jesteś ostatnią osobą, która widziała Weronikę. Skąd się znałyście?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Chodziłyśmy razem do ogólniaka, potem poszłyśmy na polibudę i jakoś wtedy się bardziej skumałyśmy.

– Rozumiem. A czy Weronika mówiła ci o jakiejś Julii?

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Policja pytała o to samo... Miałam jedną Julię w klasie, kilka w podstawówce. Nie kojarzę, żeby Weronika też je znała, ale kto wie. – Odpaliła telefon, wpisała coś w wyszukiwarce Facebooka. Pokazała Gustawowi ekran.

Chłopak udał zainteresowanego. W rzeczywistości przeglądał tę listę już kilka razy. Badał wszystkich znajomych i znajomych znajomych, a

także ich znajomych... prawdziwy psychol.

– Niestety.

– Szukasz tej swojej zmarłej koleżanki? – spytała Karolina.

– Taaak. – Znów prawie prawda, półprawda, ćwierćprawda. – Czy możesz mi dokładnie opowiedzieć, co robiłyście?

Karolina dotknęła palcami ust, ale szybko cofnęła rękę. Gustaw zauważył poobgryzane paznokcie.

– Po prostu wpadła do mnie. Gadałyśmy o dupie. Miała poprawkę, ale ją uwalila. Musiała prosić starych o kasę na warunek. Narzekałyśmy na studia. Potem trochę popykałyśmy na playstation.

Gustaw zdziwił się, że dziewczyny też grają na konsoli.

– Serio?

– Daaa. *Cyberpunk* po ostatnich łatkach jest całkiem, całkiem. Nie takie gównio jak w dniu premiery.

– I co potem?

– Nic. Poszła na chatę.

Karolina nie wspomniała o książce. Na policji zeznała, że Weronika zostawiła u niej swoją książkę. *Niežnośna lekkość bytu*. Gustaw nie wiedział, jak pociągnąć ten wątek.

– I tyle? Niczego od ciebie nie brała? Niczego ci nie zostawiła?

– Nie – odparła krótko Karolina, spoglądając na jego mokrą skarpetę. – Może pożyczyć ci moje? – zaproponowała.

– Dzięki. Zaraz wyschnie.

Wyciągnęła z komody kolorowe zawiniątko. Rzuciła je Gustawowi.

– Oddasz przy okazji.

Chłopak się spieszył. Równa babka.

– Dzięki.

Gustaw wpatrywał się w regał z książkami. Same komiksy. Wstał z kanapy i wciąż ściskając w dłoni świeżą parę skarpet, podszedł do biblioteczki. W końcu ją wypatrzył. Błękitna okładka. *Jackpot*.

– Lubisz Kunderę? – spytał niedbale.

– Jeszcze nie czy... To od Weroniki. Zostawiła u mnie.

– Dużo czytasz?

Karolina zrobiła głupią minę.

– Tak w kit. To, co trzeba na studia. Jakoś nudzą mnie książki. Weronika powiedziała, że to mi się powinno spodobać. Czytałeś?

Pewnie, że czytał. Ulubiona książka Julii. Od września Gustaw nie robił niczego innego, tylko podążał śladami dawnych miejsc. Chciał odnaleźć Julię. Powiedzieć jej, że być może popełnił błąd. Że źle ją ocenił. Wtedy trafił na praktyki do prokuratury i zwłoki Weroniki Zatorskiej. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Czarne litery odcisnięte na ciele bezbronnej ofiary niczym pieczętka *made in China*. Tu byłam, Julia.

– Czytałem, trochę dziwna. A Weronika? Mówiła, skąd ją miała?

– Chyba z Empiku. – Karolina wzruszyła ramionami. – W sumie o tym nie gadałyśmy. Od jakiegoś czasu podrzucała mi książki. Niczego nie ruszyłam.

– Co jeszcze ci pożyczała?

– Myślisz, że należały z tą twoją koleżanką do jakiegoś cholernego klubu melancholijnego czytelnika?

Teraz to Gustaw wzruszył ramionami.

– Szukam punktu zaczepienia.

– Jakieś obyczajówki, kryminały. Nie wiem. Serio, nie myślę, żeby to było ważne.

Wszystko mogło być ważne.

– Mogę zobaczyć? – spytał, biorąc książkę z półki.

– Luźno.

Otworzył okładkę. Szukał inicjałów, znaku, jakiejś wskazówki. Spomiędzy kart wypadła zaimprovizowana zakładka. *PIĘKNIEJ. GRAFICY I TWÓRCY*. Eleganckie litery skreślone na kredowym papierze kwadratowej wizytówki.

Gustaw pokazał kartę Karolinie.

– To twoje? – spytał.

– Takich ziomeczków z ASP. Malują obrazy i robią całkiem sporo innych fajnych rzeczy.

Malują obrazy. Dwudziestoletni detektyw poczuł, jak szybciej bije mu serce. Julia studiowała na ASP. Podobno. Kochała sztukę. Malowała.

– Znasz ich?

– Kiedyś na jakiejś imprezie... Wiesz, jak to jest. „Cześć” na ulicy by mi nie powiedzieli, ale piliśmy kiedyś szoty przy barze. Nawet ich nie mam w znajomych. Typ i typiara, dwójka zakręconych hipsterów. Trochę pierdolnięci, ale kto normalny studiuje na ASP?

– Czy Weronika ich znała?

– No chyba...

[20] Cytat z filmu *Miś*, reż. S. Bareja, Polska 1981.

[21] Z francuskiego *si qu'a la font* – jest dobrze.

ROZDZIAŁ 16 | LIPIEC

JULIA

Dawno nie było takiego lata: deszczowe dni liczone na palcach jednej ręki, ciepłe noce i przyjemne dwadzieścia sześć stopni w dzień. W Gdańsku przygotowywano się do Jarmarku Dominikańskiego. Rokrocznie kolorowe kramy opanowywały niemal całe Główne Miasto: od Targu Węglowego aż po Motławę. Od kilku lat stoiska rozstawiano również nieco dalej. Wędrowały Długimi Ogrodami nieśmiało w stronę ulicy Łąkowej.

Święto ustanowiono prawie osiem wieków temu na mocy bulli papieża Aleksandra IV. Czwartego sierpnia odbywała się msza odpustowa z okazji dnia Świętego Dominika; uczestnictwo w niej pozwalało otrzymać sto dni zwolnienia z czyśćca. Kilkusetletnią tradycję przerwała dopiero druga wojna światowa. Na szczęście już w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku inaugurowano pierwszy „współczesny” Jarmark Dominikański.

– No i nie mówcie, mordeczki, że to nie było dobre – zagaiła Sonia tuż po wyjściu z budynku galerii.

Przyjaciele spojrzeli wymownie na siebie.

– Ja nie przepadam za sztuką współczesną – odparł dyplomatycznie Gustaw.

– No bo ty, prawilniak, masz kija w dupie, tylko kodeksy ci w głowie.

– Prawdę powiedziawszy, mnie też to nie poruszyło. – Natalia czuła się w obowiązku zająć stronę swojego chłopaka.

– Ja pierdolę, z kim ja pracuję...? – Sonia westchnęła, machając przy tym ostentacyjnie dłonią. – A ty, Julka? Co sądzisz?

Dziewczyna zerknęła na koleżankę.

– Sztuka konceptualna, rozumiem ideę, ale brakuje mi tu nieco formy.

– Forma jest anachronizmem. Co byś tam chciała zobaczyć? Dokładne fotografie, jak trzaśnięte lustrzanką?

Julka oparła dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Wiesz, Sonia, przede wszystkim chciałabym zobaczyć coś, co by mną wstrząsnęło. Poruszyło. A tutaj? Jak wizyta w markecie. Absolutnie żadnych emocji.

– Bo wy, kurwa, jesteście jebane dzbany – fuknęła dziewczyna.

Kilka dni temu Sonia zaproponowała wspólną wycieczkę do Centrum Sztuki Współczesnej. Natalia przystała na to z chęcią, Gustaw właściwie nie miał nic do gadania. Świeży związek, motyle w brzuchu, boisz się choćby na chwilę zostawić drugą połówkę samą. Wiktor od razu powiedział, że pierdoli takie akcje. „Muzeum i rzygi. Jeśli miałbym wybierać, wybieram zawsze rzygi” – jakoś tak to ujął. Łaga zajął podobne stanowisko.

Zaskoczeniem dla wszystkich okazała się obecność Julii. Nikt jej właściwie nie zapraszał, a i tak przyszła o czasie. Miała taką manierę: pojawiała się i znikwała w najmniej oczekiwanych momentach.

– No to co teraz robimy? – spytała Natalia, przysiadając na stopniach przed wejściem. Galeria sztuki mieściła się w budynku dawnych łaźni miejskich przy ulicy Jaskólczej. Elegancka ceglana budowla, której strzeliste okna nieodparcie nasuwały skojarzenie ze szkołą czarodziei.

– Może klasycznie najebka? – Sonia sięgnęła po szlugi.

- Ja nie mogę, mam jutro pracę – odparł Gustaw.
 - Na ciebie, prawilniak, zawsze można liczyć. – Zerknęła na innych.
 - Mały browarek okej, ale w melanz nie idę – oświadczyła Natalia.
- Julia przysunęła się bliżej Soni.
- Z nami nie ma czegoś takiego jak mały browarek. – Mrugnęła.
- Gustaw poczuł dziwne mrowienie na szyi.
- Zatem marsz do Żabki!

*

Przysiedli na brzegu Motławy na wysokości dawnej fabryki Batyckiego. Po wodzie sunęła para kajaków.

- Zawsze chciałem to zrobić – powiedział Gustaw.
- Popłynąć kajakiem czy popłynąć kajakiem po Motławie? – Natalia próbowała uszczegółowić wypowiedź.
- To drugie.
- Może kiedyś cię zabiorę. – Zawadiacko szturchnęła go łokciem.

Wpatrywali się w zadumie w nowoczesne budynki. Pomarańczowoszare bloki nawiązywały kształtem do dawnych spichlerzy. Te ostatnie były źródłem inspiracji dla różnych architektów, ale nie wszyscy czerpali z niej równie umiejętnie.

- Jak się rozpocznie Jarmark, to ja wypierdalam z miasta – walnęła ni z gruchy, ni z pietruchy Sonia.

- No co ty, nie lubisz Jarmarku? – zdziwił się Gustaw.
- Nie lubię tych wieśniaków, którzy na niego przyjeżdżają.

Natalia wzięła łyk desperadosa.

- Dla mnie spoko. Mam jakieś dobre wspomnienia z dzieciństwa. – Zatonęła w myślach. – Co roku sprzedawali jakieś gówienko, które musiały

mieć wszystkie dzieciaki.

– Jak to latające cacko, które podrzucasz i ono wtedy świeci?

– Albo fidget spinnery...

Każdy miał jakieś wspomnienia z Jarmarku. Jedyne Julia siedziała cicho i z zainteresowaniem przysłuchiwała się dyskusji. Nie mówiła nic o swoim dzieciństwie, przyjaciele nauczyli się, by nie pytać. Jeśli dziewczyna miała ochotę się czymś podzielić, robiła to w czasie, który uznała za stosowny.

– Jest też targ staroci – stwierdził Gustaw.

Od najmłodszych lat jeździł z ojcem, aby pooglądać stare znaczki, monety i ołowiane żołnierzyki. Straganiarze sprzedawali nie tylko przedmioty materialne; nade wszystko handlowali nostalgią zaklętą w winylowych płytach, figurkach czy książkach. Przedwojenne pocztówki, plakaty – na takie dobra mógł sobie pozwolić prawie każdy kupujący. Wystawne meble czy drogą porcelanę nabywali głównie turyści zza Odry. Gustaw zawsze dostawał od ojca jakiś bibelot. Skarb, który chował w pudełku po margarynie i przechowywał niczym magiczny talizman.

– Kurwa, a Gustaw znowu przynudza – palnęła Sonia. – Pewnie podniecasz się ze starymi jeleniem na rykowisku, którego powieszycie w salonie obok meblościanki.

Przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

– Nie mamy meblościanki. Opyliliśmy na Jarmarku...

– I punkt dla prawilniaka! – zawoła Natalia.

Beztroska lata. Kiedy nic nie musisz, a twoje problemy są tak naprawdę nieistotne. Piwo i znajomi. Widok na wodę. Wakacje.

– Tak całkiem serio, to lubię takie obrazy. Przynajmniej wiem, o co w nich chodzi. A ta sztuka współczesna... Sorry, dla mnie to była godzina wyjęta z życia – ocenił Gustaw.

- Byliśmy tam aż godzinę? – Natalia udała, że się dusi.
- Kurwa, lamusy jesteście i tyle.
- Sonia, chodźmy gdzieś, gdzie pokazują prawdziwą sztukę! – zaproponowała Nati.
- W Muzeum Narodowym mają Memlinga... – wtrąciła Julia. Spojrzeli na nią, jakby zobaczyli ducha.
- Ty chyba, Jul, nie mówisz poważnie. – Sonia pobladła.
- Nie jest to Luwr, ale wisi kilka ciekawych staroci. Gustaw przyklasnął temu pomysłowi.
- Nigdy nie byłem w Muzeum Narodowym. No może raz, na wycieczce klasowej, ale jeszcze za dzieciaka, w podstawówce. Nic z tego nie pamiętam.
- Ja też bym z chęcią poszła – przyznała Natalia.
- Sonia odsunęła się od nich o dobry metr.
- Słuchajcie, ziomki, studiuje historię sztuki. Wiem, co mówię: tam jest straszna popelina. Chujnia z pindolnią. Albo z grzybnią. No, kurwa, najgorzej. Jakbyście chodzili po kościele i wączali smród starych ludzi.
- Czyli postanowione – zdecydowała Julia. – Uwielbiam kościoły.

*

Szli Toruńską w stronę Biskupiej Górki. Zniszczona ulica, której jezdnia przypominała wojskowy poligon. Chodniki jak z lat osiemdziesiątych. Po prawej nowe bloki zasiedlone głównie turystami, po lewej miejsce na nowe bloki, które zasiedlą głównie turyści.

– To jest moja jedyna obrona – stęknęła Sonia, podając Natalii blanta. Salińska zawsze miała przy sobie jednego. Leczniczy aromat na każdą okazję.

– Chcesz?

Gustaw się trochę krępował. Raz, że zioło, dwa, że na środku ulicy. Wziął bucha.

– Zrobimy bibę w stylu VHS Hell^[22]. Tandetne filmy, dragi i alko.

– Przecież nie będzie żadnych filmów... – palnął bez namysłu chłopak, któremu kilka piw i trochę trawy zaczęło powoli wpływać na procesy poznawcze.

Czerwone światło. Spójrz w lewo, spójrz w prawo, jeszcze raz w lewo i przechodź. Światła są dla lamusów.

– Zanim wymyślono telewizję, ludzie narkotyzowali się Kościołem – wyjaśniła Sonia. – Serio. Jarali kadzidło, chlali tanie wino i oglądali te wszystkie makabryczne witraże i obrazy.

– Musisz kiedyś pójść do kościoła. Dobrego kościoła – powiedziała Natalia. – Na przykład do dominikanów. Zobaczysz, że nie jest tak źle.

– Po moim, kurwa, trupie.

Monumentalny gmach Muzeum Narodowego tkwił nieco na uboczu miasta. Sześciopasmowe Podwale Przedmiejskie – popularna wylotówka na Elbląg i Warszawę – odgrodziło budynek starego klasztoru od najchętniej uczęszczanych szlaków turystycznych.

– Spoko klimat – stwierdziła Natalia, przechodząc przez średniowieczny portal.

– Trochę wieje chujozą – bąknęła Sonia.

Wewnątrz kręciło się nieco zagranicznych turystów. Na szczęście kolejka do kasy nie była długa. Cztery ulgowe, okrągłe naklejki z logo muzeum zamiast biletów.

– Możecie sobie je tu przyczepić – powiedziała sympatyczna pani w średnim wieku. Wskazała właściwy kierunek zwiedzania i życzyła przyjemnego pobytu.

Przyjaciele stanęli na początku klasztornego krużganka. Długi korytarz otaczał wewnętrzny dziedziniec, na którym mnisi uprawiali różne krzewy i zioła. Cztery ramiona krużganka oznaczające czterech ewangelistów. Średniowieczni budowniczości jarali się symbolami bardziej niż Dan Brown. Cztery cnoty kardynalne, cztery strony świata, cztery rzeki raj.

– Pusto tu – oceniła Natalia.

– Gdańsk wielokrotnie rabowano – wyjaśnił prędko Gustaw Kolasa, pierwszy uczeń w klasie.

Na parterze prezentowano wyroby ze złota i cyny oraz ceramikę. Jeśli ktoś miał szczęście oglądać zbiory zachodnich muzeów, w Narodowym czuł się jak rodzic podczas akademii organizowanej z okazji Dnia Matki w domu dziecka.

– Jecie biedą – powiedziała nieco zbyt głośno Sonia.

– Ciii. – Natalia klepnęła ją w udo.

Mały Refektarz pełnił niegdyś funkcję jadalni. Kiedy po reformacji klasztor przekształcono w gimnazjum, przeprowadzono tu pierwszą w Europie publiczną sekcję zwłok.

– Fajny kieliszek – rzuciła Natalia, spoglądając na wielki złoty kufel. Na jego boku wygrawerowano biblijną scenę przeprawy przez Morze Czerwone.

W rogu refektarza kustosz rozmawiał z jakimś księdzem. Ubrany po cywilnemu, stan duchowny zdradzała jedynie dyskretna koloratka.

– Czy profesor na długo w kraju?

– Trudno powiedzieć, Adasiu. Ostatnio mieszkam głównie w samolocie.

– Nie zazdroścę, nie zazdroścę. A Gdańsk to służbowo czy tak bardziej, żeby zobaczyć się z rodziną? Oj, przepraszam, jeśli uraziłem...

Po księdzu widać było starość. Wysokie czoło ze skąpym owłosieniem, kozia bródka koloru pierwszego śniegu i grube rogowe okulary. Inteligent.

– Nic się nie stało, Adasiu. Mam tu jeszcze siostrzeńca. Na dodatek prokuratora. Nie mniej dociekliwego od ciebie...

– Nie chciałem być wścibski, po prostu tak mi się jakoś wyrwało. Bo profesor dalej przy ONZ-ecie?

– W rzeczy samej.

Przyjaciele rzucili okiem na wystawę i szybko przeszli do kolejnej sali. Ceramika, podobnie jak wyroby z cyny, nie zrobiła na nich wielkiego wrażenia.

– Dajemy dalej? – zaproponowała Sonia.

Na pierwszym piętrze prezentowano kolekcję obrazów. Kilka pokoi, przekrój od średniowiecza do czasów nowożytnych. Żadnej sztuki współczesnej.

Gustaw zachwiał się na schodach. Lekko kręciło mu się w głowie.

– Uważaj, maluszkule – szepnęła Julia, łapiąc go pod rękę. Momentalnie odzyskał równowagę.

Wdrapali się na górę. W sali po prawej prezentowano najbardziej znane gdańskie dzieło: *Sąd ostateczny* Hansa Memlinga. Powiedzieć „gdańskie”, to jakby przyznać, że Wilno historycznie należało wyłącznie do Litwy, a Lwów od zawsze zamieszkiwali jedynie Ukraińcy. Czas legitymizuje wszystko.

Obraz zamówił włoski bankier Angolo di Jacopo Tani. Podczas podróży do Włoch statek padł ofiarą gdańskiego kapra Pawła Benekego. Kapra, czyli legalnego pirata. Miasto płaciło mu kasę, by ten kradł i rabował w jego imieniu. *Seems legit*.

Paweł Beneke był niezłym chujkiem. Jakiś czas wcześniej porwał burmistrza Londynu, kradzież malowidła jedynie wzbogaciła jego awanturnicze portfolio. O obraz upomnieli się król Burgundii i sam papież, ale Gdańsk miał na to wyjebane, wsadził tryptyk do kościoła Mariackiego i

całą sprawę uznał za zamkniętą. Tak to jest gadać z silniejszym; a w tamtych czasach gród nad Motławą należał do grona najpotężniejszych europejskich metropolii.

– On to malował po kwasie – stwierdziła Sonia.

– Piękne... – szepnęła Julia.

Sąd ostateczny. Apokalipsa. Koniec starego świata, rachunek grzechów i win. Początek nowego czasu, stworzenie nowego człowieka.

Chrystus oparty stopami o wielką złotą kulę. To wszechświat. Spod krwistej szaty Jezusa wyłania się tęcza: starotestamentowy symbol przymierza, złączenia nieba i ziemi. Anielscy heroldowie wzywają do poddania się woli Stwórcy, dwunastu apostołów niczym członkowie ławy przysięgłych przysłuchują się najważniejszemu procesowi karnemu w dziejach kosmosu.

Poniżej Zbawcy kroczy ubrany w złotą zbroję archanioł Michał. W dłoni ściska wagę, na której odmierza ciężar ludzkich win. W tym wizerunku jest nadzieja: szala delikatnie przechyla się w stronę prawości. By dać nam znak, że w doczesnym świecie wciąż tli się więcej dobra niż zła.

– Spójrzcie na jego napierśnik. – Julia wskazała dłonią na złocisty kirys. – Odbija się w nim to, czego nie widać na obrazie. Jakbyśmy też stanowili część tego dzieła. Część zmartwychwstania.

– Nie wiedziałam, że jesteś taka religijna – rzuciła lekko znudzona Sonia. Czasem po marihuanie chciało jej się spać.

Gustaw wpatrywał się w obraz. Nie mógł oderwać od niego oczu. Czy to przez alkohol, czy przez narkotyki, miał wrażenie, że postaci na płótnie są jak najbardziej realne. Przerazały go diabły w piekle. Skrzydła ćmy, pysk dzika. Rozpacz i chaos. Siedem grzechów głównych wpisanych w diaboliczny krajobraz.

– W średniowieczu ludzie wiedzieli, czym jest śmierć. Pamiętali o niej – powiedziała Julia, przysuwając się bliżej tryptyku. Gdyby nie szklana szyba, z pewnością dotknęłyby płótna.

Gustaw rzucił okiem na niezwykłą dziewczynę. Mógłby przysiąc, że Julia chce wkroczyć na zieloną łąkę rozciągającą się pod stopami Zbawiciela. Po której jego stronie zajęłaby miejsce?

– Tęcza. Trochę pedalsko – mruknęła autoironicznie Sonia. – „Tęcza, no każdy by się wkurwił. Była niegrzeczna, więc trochę się spaliła”^[23].

Cytat z Masłowskiej. Kawalek sprzed niemal dziesięciu lat wcale nie stracił na aktualności.

Gustaw i Julia zignorowali żart koleżanki. W tej króciutkiej chwili dzieło Memlinga pochłonęło ich w tym samym stopniu. Kryształowe schody prowadzące do Edenu. Na bramie wejściowej płaskorzeźba Adama i Ewy. Pierwsi ludzie; wygnani z raju. Syn marnotrawny powrócił do domu. Czas się dopełnił.

– Stworzyć nowego człowieka... – mruknęła Julia, bardziej do siebie niż kogokolwiek innego. – Przeprowadzić go przez czyściec, wymazać winy i dać odkupienie. Przekroczyć granicę dobra i zła.

*

Obejrzelili wszystkie pozostałe sale. Gustawowi coraz mocniej kręciło się w głowie, Natalia znów musiała się nim zaopiekować.

– Jedyne, co mi się w tym wszystkim podoba, to to, że zajebali obraz Włochom – oceniła Sonia. – Reszta strasznie wymuszona.

– Średniowiecze dało nam tyle inspiracji... – Julka nie chciała wychodzić.

– Ja pierdolę, jakich inspiracji? Mówisz o paleniu na stosie i lęku przed życiem? – oburzyła się Sonia.

Gustaw postanowił wtrącić swoje trzy grosze.

– Procesy czarownic zaczęły się tak naprawdę dopiero w odrodzeniu.

– Bla, bla, bla – kłapnęła Sonia. – Nuda i tyle.

– Mnie to kręci. Musicie zobaczyć moje obrazy – zaproponowała Julia.

Spojrzeli na nią zdziwieni.

– To ty malujesz? – zdziwiła się Natalia.

– Tak! Chodźcie! To jest to, co musimy teraz zrobić! Obejrzyjcie moje obrazy!

*

Wyszli z muzeum. Julka wzbudziła zainteresowanie wszystkich bez wyjątku. Nawet Sonia darowała sobie na chwilę swój zwyczajowy sceptycyzm.

– Gdzie masz pracownię?

– Serio jesteś malarką?

– Czemu nic wcześniej nie mówiłaś?

Prześcigali się w pytaniach, ale Julia milczała. Prowadziła ich szybkim krokiem w stronę Bramy Nizinnej. Minęli Urząd Wojewódzki, na końcu ulicy Rzeźnickiej stała Biała Baszta.

– To tutaj? – Natalia czuła niezwykle podniecenie. – Zaraz zniosę jajo.

– Spokojnie... – uciszyła ją Julia.

Zatrzymali się na kamiennych schodkach nieopodal przystani kajakowej. Jakiś lokals obok łowił w rzece ryby.

– Masz pracownię w wodzie? – Sonia nic nie kumała.

– Siadajcie – poleciła tajemnicza dziewczyna.

Zgromadzili się wokół niej niczym uczniowie. Przykuła ich uwagę, czekali na wielki finał. Julia wyciągnęła telefon i odpaliła aplikację ze

zdjęciami.

– He? – Natalia nie umiała ukryć rozczarowania.

– Myślałam, że zaprowadzisz nas do swojej pracowni. Nie taki był plan? – spytała z niesmakiem Sonia.

Julia nie skomentowała tej uwagi. Przekazała telefon Gustawowi.

– Niezłe... – powiedział całkiem szczerze.

W folderze znajdowało się kilkanaście prac. Ciemne kolory, dużo intensywnych barw. Ludzie o twarzach zwierząt. Bezbronne kobiety, bezwzględni oprawcy. Gra światłem. Dwa wielkie ptaki rozszarpywały brzuch nastoletniej uczennicy. Z jej brzucha kapą posoka, oczy wyrażały najwyższe cierpienie.

– Strasznie to pretensjonalne, Julka – palnęła Sonia.

– Lubię cię, ale to jest okropne – oceniła twardo Natalia.

Gustaw nie mógł oderwać wzroku od makabrycznych malowideł. Wyjęte rodem z horrorów, prezentowały najczystsze formy okrucieństwa. Przemoc podniesiona do rangi sztuki.

Nie wiedzieć czemu obrazy miały w sobie coś wciągającego. Zaproszenie do niebezpiecznej zabawy. Bilet wstępu do świata zła, gdzie wszelkie wartości uległy odwróceniu. Taniec z diabłem w świetle księżyca.

– Widać, że masz jaki taki warsztat, ale mnie to nie kręci – dodała Sonia. – Sorry, mordo, ale nie. Zalatuje kiczem.

Gustaw z trudem oddał dziewczynie telefon. Wiedział, że przez tę krótką chwilę zajrzał do wnętrza jej pokręconego umysłu.

[22] VHS Hell – cykliczne pokazy filmów klasy B.

[23] Mister D. feat. Monsieur Z, *Tęcza* (piosenka), 2014.

ROZDZIAŁ 17 | LISTOPAD

PATRYCJA RADKE

– ...w końcu oddał mamusię do domu opieki. Nie taka była umowa.

– Jak jakiegoś śmiecia. Ludzkiego śmiecia. Zamieszkał na Pilotów, aby się nią zajmować. To nie było jego mieszkanie. Wszystko przepisałyśmy po śmierci tatusia na mamę. Mieszkanie należało wyłącznie do niej.

– Siedział tam od pogrzebu, a gdy przyszłyśmy na Wszystkich Świętych, nawet nas nie wpuścił do środka.

– Przygruchał sobie jakąś babę i z nią żył. W naszym mieszkaniu!

Patrycja od dobrej godziny przysłuchiwała się opowieści dwóch kobiet. Stare panny, obie dobrze po sześćdziesiątce. Uniwersytet trzeciego wieku, parafialny zespół Caritas, aktywne babki. Obie samotne.

– Gdyby mamusia była świadoma, już dawno by go pogoniła.

– Omotał ją.

– Jak można kogoś wyrzucić tak po prostu z domu! Nie wstawiała z łóżka, ale rozum był w pełni sprawny. Gdyby nie zaćma, czytałaby książki. Oglądała telewizję, słuchała radia. Wszystko pamiętała. Jak w Częstochowie byłyśmy, pamiętała. A to przecież siedemdziesiąte lata, pani sobie wyobrazi!

W drzwiach kancelarii pojawił się Gustaw. Przemoczony płaszcz, czerwone od zimna poliki. Nie miał prawa jazdy; zostawała mu komunikacja albo własne nogi.

Z Garnizonu na Zaspę najłatwiej było przejść pieszo. Żadnych sensownych połączeń. Dwudziestominutowy spacer przez listopadowy Gdańsk albo godzina dziesięć w tramwaju i autobusie. Transport zbiorowy, zawsze do usług.

– Zajęte! – rzuciła oschle jedna z kobiet.

– To pan Kolasa. Mój praktykant – wyjaśniła mecenas.

Klientki zmierzyły młodzieńca wzrokiem.

– Fajny kawaler.

– Studiuje pan prawo?

Gustaw przytaknął.

– Nadałby się taki dla naszej Marianki. To siostra kuzynki – szepnęła kobieta.

– Mogę przyjść za chwilę... – powiedział Gustaw.

– Wejdz. Panie potrzebują fachowej pomocy. Będziemy podważać testament – oznajmiła Patrycja.

– Napisze nam pan piękny pozew! – Klientka zwróciła się bezpośrednio do Gustawa. Chłopak od zawsze miał powodzenie u samotnych babek po sześćdziesiątce.

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewnił.

*

Kobiety spędziły w kancelarii jeszcze dwie godziny. Patrycja nie potrafiła zapanować nad ich gadulstwem, lecz rozpaczliwie potrzebowała klientów.

Pół popołudnia poświęconego ustaleniu, czy zmarła dziewięćdziesięcioletnia kobieta kontaktowała, spisując testament. Musiała w jakimś stopniu kojarzyć: wszystkie zdania skreśliła osobiście. Litery były koślawe, ale charakter pisma wskazywał, że potrafiła jeszcze posługiwać się długopisem. Jedna z sióstr przypuszczała, że kochanek dyktował jej każdy wyraz. Patrycję czekała długa batalia przed sądem.

– Półtora tysiąca złotych. Czy to normalna stawka? – spytał Gustaw.

Patrycja zaczęła od dwóch i pół. Biedne kobiety zadziwiająco dobrze potrafiły się targować. Stało na tym, że płacą z góry, ale młoda mecenas zejdzie z ceny. Lepszy gołąb w garści niż wróbel na dachu. Czy jakoś tak.

– Trudne początki. Miałeś już spadki?

Zaprzeczył. Średnio przykładał się do cywila. Od zawsze kręciły go zbrodnie.

– Zaczęliśmy w tym semestrze.

– No to wiesz, kiedy można podważyć testament.

Gustaw zrobił głupią minę.

– Będzie mnie pani teraz odpytywać?

Patrycja się zawstydziała. Chłopak ją peszył. Chyba był jednak trochę zbyt przystojny.

– Żartowałam... – palnęła bez sensu. Mogłaby go przecież odpytać. W końcu umówili się na to, że będzie jej praktykantem. Powinna go czegoś nauczyć. Wymagać od niego.

– Byłem u tej dziewczyny z Garnizonu. Mam wyjście na Julię – rzucił bez ogródek.

Patrycję замуrowało.

– Ty tak na poważnie? – spytała po chwili.

– Mówiłem pani o swoich przeczuciach. Karolina Kąkel była ostatnią osobą, która widziała zmarłą. Weronika zostawiła u niej *Niežność lekkość bytu*. Ulubioną książkę Julii.

– Okej...

Gustaw prawie płonął. Może przeziębził się na dworze, może to przez podniecenie. Raczej to drugie.

– Karolina nie powiedziała mi niczego nowego. Żadnych niezbadanych śladów. Aż wziąłem do ręki książkę. Tę książkę.

– Wspomnienia wróciły? – Patrycja starała się wczuć w jego emocje. Gustaw tego nie podchwycił.

– Proszę nie żartować. Ja naprawdę czuję, że zaraz ją dopadniemy.

Czy rzeczywiście chodziło o to, żeby kogoś dopaść? A może po prostu rozpaczliwie starał się ją odnaleźć?

– Nie żartuję – zmieszana się młoda mecenas. – Wierzę ci.

Spojrzał na grafiki na ścianach.

– W środku znalazłem zakładkę. Wizytówka jakiejś pracowni graficznej.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała Patrycja, nie chcąc otrzymać kolejnej reprimendy. Student ją zdominował.

Gustaw wyciągnął z kieszeni kwadratowy kartonik. Wspaniały sposób na zniszczenie ewentualnych śladów kryminalistycznych. „Kontaminacja” – osądził surowo Perry Mason.

– Proszę na to spojrzeć.

Adwokat przyjrzała się wizytówce. „PIĘKNIEJ. GRAFICY I TWÓRCY” – informowały cienkie litery. Drogi font, raczej nie ze stocka. Wizytówka Patrycji wyglądała jak produkt taniego punktu ksero. Trzeba było na czymś przyciąć koszty.

– Ładne – oceniła.

– Karolina powiedziała mi, że to studio jakiejś pary malarzy. Chłopak i dziewczyna. Oboje po ASP. Czy wie pani, kto jeszcze studiował na ASP?

– Beksiński? – zażartowała. Trochę kulą w płot. Beksiński skończył architekturę. Wykształcenie formalne rzadko kiedy stanowi przeszkodę dla prawdziwego geniuszu.

– Julia – rzekł chłodno Gustaw, puszczając nieudany dowcip mimo uszu.

– No, jest to jakiś trop... – powiedziała Patrycja już znacznie poważniej.

– Wiem, że to Julia. W końcu musi coś robić, gdzieś pracować. Przecież nie żyje w próżni. Trójmiasto jest małe. Kiedyś muszę ją odnaleźć.

Pobożne życzenia. A jeśli dziewczyna nie pochodziła z tego świata? Jej nonszalancja, talenty i urok świadczyły o iście kosmicznej proveniencji. Paszport z odległej galaktyki; trzymiesięczna wiza na planetę Ziemia wygasła z końcem lata.

– Sprawdziłeś ich stronę w necie?

Miała go za amatora? Sprawdził stronę, obczajał wszystkie zdjęcia. Julia nie lubiła się fotografować.

– Niczego nie znalazłem. Musimy tam pójść osobiście.

– Napiszę do Flarkowskiej – odparła.

Gustaw dostał ataku paniki. Jego zdrowie emocjonalne wymagało solidnej opieki. Jakieś tabletki na uregulowanie wahań nastrojów. Terapia, żeby wrócić na normalne tory.

– Serio myśli pani, że coś z tym zrobią?

– To zadanie policji...

– Oni mają mnie w dupie! – krzyknął. – Od samego początku!

Patrycja przez chwilę zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zgadzając się na tę praktykę.

– Gustaw...

Student przysunął się do młodej adwokat. Ochłonął.

– Pani mecenas... – szepnął bezbronny niczym dziecko. Spojrzała w jego oczy. Smutek i nadzieja. Miała ochotę go przytulić. Albo pocałować.

– Masz rację. Zleją nas – przyznała.

– Musimy tam pójść razem. Pani jest adwokatem, w razie czego... Nie zrobią pani krzywdy.

– Dlaczego ktoś miałby mi coś robić? – Zaśmiała się.

– Jeśli ta dziewczyna jest Julią, chłopak może okazać się jej kolejnym narzędziem. Być może to on pociągał za cyngiel.

Gustaw całkowicie zignorował fakt, że na ciele Weroniki nie ujawniono żadnych oznak działania osób trzecich. Żadnych obrażeń, śladów po nożu, kuli czy kastecie. Metafora pistoletu pozostawała środkiem retorycznym. Nieco nieadekwatnym do stanu faktycznego.

– Myślisz, że działali razem?

– Zawsze potrzebowała mieć kogoś obok siebie. Najpierw Wiktora, później mnie. Kto wie, co teraz sobie wymyśliła.

Patrycja spojrzała na Gustawa. Chłopak nie tylko wierzył w swoją opowieść; on był swoją opowieścią. Nie żył niczym innym. O niczym innym nie myślał.

– Przekonałeś mnie – powiedziała poważnie. – Sprawdzimy ten trop.

KONRAD KROON

Sekretariat spraw zawieszonych to w każdej prokuraturze taka stajnia Augiasza. Dochodzenia i śledztwa, których za cholere nie idzie skończyć;

sprawy zbyt słabe na akt oskarżenia i zbyt mocne na umorzenie.

Czasem po prostu nic nie szło tak, jak powinno. Kluczowy świadek poszedł gdzieś w Polskę, podejrzany się ukrywa i żadne listy gończe nie są w stanie sprowadzić go do kraju. Postępowanie się wlecze, statystyka siada, przełożeni z nadzoru wysyłają pismo za pismem, z pytaniem, dlaczego śledztwo jeszcze się toczy. Jak jesteś taki mądry, to sam weź i to poprowadź.

Sprawa pozostawała zawieszona tak długo, dopóki nie pojawiły się okoliczności pozwalające na ponowne jej podjęcie. Ten stan mógł się utrzymywać aż do przedawnienia karalności czynu: po tym okresie każdą sprawę należało podjąć i umorzyć. Pośród grubych woluminów kryły się zbrodnie i występki popełnione kilka, kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt lat temu. Żaden z prokuratorów nie lubi spraw zawieszonych, a już w szczególności nie znosi spraw zawieszonych przez kogoś innego, w których nagle po latach należy coś zrobić. „Słuchaj, masz tu takie śledztwo po Krysi Czerwińskiej. Odeszła z jednostki cztery lata temu. Przyszło jakieś pismo do jej sprawy. Z Hondurasu. Trzeba by to przetłumaczyć i zobaczyć, czy da się to skończyć. Oczywiście pilnie, bo okrąg się burzy. Sprawa jest od dzisiaj twoja”.

Sprawy zawieszane to zgniłe jaja. Odchylasz okładkę i czujesz się jak Epimeteusz i Pandora, którzy nie wiedząc czemu otworzyli tę cholerną puszkę. Nikt o zdrowych zmysłach nie tyka spraw zawieszonych, a już na pewno nie robi tego z własnej, nieprzymuszonej woli.

Kroon szedł do kuchni z brudnym kubkiem po kawie. Czasami zapuszczał go tak bardzo, że nawet najmocniejszy detergent nie był w stanie pokonać brunatnego osadu i dokopać się do gładkiej powierzchni kamionkowego naczynia.

Drzwi do sekretariatu spraw zawieszonych były leciutko uchylone. Kroon zajrzał do środka.

– A co ty tu, do cholery, robisz, Krzysiu?

Prokurator Krzysztof Kielrowski stał na stołku i grzebał w najwyższej półce szafy. Był zamyślony, jego czoło znaczyła głęboka lwia zmarszczka.

– Kurwa, Konrad, aleś mnie wystraszył! – zawołał, nieomal spadając z krzesła. – Tak się nie robi!

Kroon wszedł do środka. Oparł się nonszalancko o biurko sekretarki i odstawiwszy pusty kubek po kawie, założył nogę na nogę.

– Jak to było? Na złodzieju czapka gore? – zażartował.

– Nie czapka, cały łeb mi napierdala – odparł kolega, wyciągając z szafy grubą, pożółkłą teczkę. Stara sygnatura, okładka spięta gumką, żeby nie powypadały luźne kartki.

– Nie mogłeś pani Basi poprosić, żeby ci poszukała? – spytał Kroon.

Pani Basia zajmowała się sprawami zawieszonymi. Stara sekretarka była ostatnią osobą w prokuraturze, która jako tako orientowała się w losie pokrytych grubą warstwą kurzu teczek. Kojarzyła niektóre nazwiska, co jakiś czas donosiła korespondencję, która dotyczyła niepodjętych śledztw i dochodzeń. „*Ad acta, ad acta, ad acta...*”, tak najczęściej wyglądała reakcja prokuratorów na niechcianą pocztę.

– Konrad, wolę, żeby pani Basia tego nie widziała. Mam taki jeden syf... zresztą nie chcesz wiedzieć.

– Oczywiście, że nie chcę wiedzieć – zapewnił Kroon, unosząc dłonie w geście kapitulacji. – Dość mam swoich gówien. Ani jednego więcej.

Sekretarka wyszła z gabinetu zanieść coś dziewczynom z biura podawczego. Kielrowski wykorzystał jej nieobecność, aby w spokoju poprzeglądać akta.

– Mniej zrobisz, mniej spierdolisz – podsumował przyłapany na gorącym uczynku prokurator. Schował teczkę do torby.

– Dokładnie – odparł Kroon i ruszył do kuchni. – I tego się trzymajmy, Krzysiu, tego się trzymajmy.

PATRYCJA RADKE

Zawsze chciała zostać prokuratorem. Typ drobnej dziewczyny, która jara się horrorami i brutalnymi zbrodniami. Klasa o profilu humanistycznym, później studia na prawie. Kiedy wyjechała ze Starogardu, czuła się zagubiona. Gdańsk był takim wielkim miastem. Jechała tu jako zwyciężczyni: że udało jej się wyrwać, dostać do elitarnego grona. Kiedy sprawdziła wyniki rekrutacji na tablicy ogłoszeń, popłakała się ze szczęścia.

Niebiesko-biały budynek Wydziału Prawa i Administracji przypominał terminal lotniska. W ostatnich dniach września poszła na zajęcia organizacyjne. Kurs BHP, spotkanie z ludźmi z grupy. Wtedy złapała pierwszego megastresa. Połowę studentów stanowiły szare myszy. Było kilku kujonów, takich dziwaków, których nikt nigdy nie polubi. No i pojawili się też oni. Dzieciaki z dobrych domów: bogate, bezczelne, piękne. Patrycja czuła się przy nich jak uboga krewna. Ona dziękowała Bogu, że dostała się na prawo. Im się to po prostu należało.

– No gdzie on jest? – Spojrzała na zegarek.

Umówiła się z Gustawem pod budynkiem dawnego LOT-u. Metaliczny pomarańcz kapał brudem i zapomnieniem. Po wojnie przez Gdańsk przetoczyła się ogromna dyskusja: odbudowywać po staremu czy tworzyć nowe. Wygrała miłość do historii – zrujnowane Główne Miasto przybrało formę znaną ze starych szkiców i pocztówek. Nowoczesny budynek LOT-u

stanowił niewielki ukłon w stronę tych, którzy wierzyli, że miasto musi się nieustannie zmieniać, architektura zaś stanowi świadectwo swoich czasów.

– Dzień dobry! – zawołał, wybiegając z tunelu. Lekka zadyszka, tym razem nie zapomniał o czapce. – Chyba trakcja się zerwała, kolejki mają straszne opóźnienia.

– Nic nie szkodzi – odparła.

Gustaw nie należał do aroganckich twardzieli, którzy kazaliby na siebie czekać. Porządny, równy gość. Widziała, że jest mu zwyczajnie głupio.

– Naprawdę okropnie mi wstyd. Planowałem przyjechać przed panią.

– Dobra, chodźmy już, bo zaraz zamarznę – zarządziła Patrycja.

Przeszli pod Złotą Bramą. Wspaniały widok na ulicę Długą, wysoko w górze strzelista wieża ratusza. W listopadzie dało się tędy swobodnie spacerować.

– Skręcamy? – spytał Gustaw, wskazując ręką w prawo.

Mecenas przytaknęła. Garbary i w końcu Ogarna. Szara, dość skromna uliczka. Dwa rzędy kamienic, typowa gdańska architektura w wersji *half-price*. Stonowane kolory elewacji kontrastowały z żywymi barwami, jakimi okraszono popularniejszą część Głównego Miasta. Uboga siostra wielkiej i wspaniałej ulicy Długiej. Hundegasse, ulica Psia. Starym gdańskim zwyczajem prowadzono nią o zmroku psy, aby pilnowały miejskich magazynów położonych na Wyspie Spichrzów.

– To chyba tutaj – stwierdziła Patrycja, spoglądając na nawigację w telefonie.

Faktycznie. Obok domofonu wisiała niewielka tabliczka. „PIĘKNIEJ. GRAFICY I TWÓRCY”.

Gustaw przełknął głośno ślinę. Wyszło teatralnie, a jemu naprawdę zaschło w ustach. Miał mokre dłonie, serce waliło mu jak młotem. Nacisnął guzik domofonu.

Krótki sygnał dźwiękowy, nikt nie spytał: „Kto tam?”. Być może spodziewali się gości.

*

Pracownia mieściła się na ostatnim piętrze. Drzwi były otwarte.

Gustaw złapał się mocniej poręczy. „Czy teraz ją zobaczę?” – pomyślał. Miał jej tyle do powiedzenia. Próbował zebrać myśli, ale one nie chciały dać się złapać. Kłębowisko sprzecznych emocji, pragnień i obaw.

Patrycji udzieliło się podniecenie chłopaka. Była niezwykle empatyczna, z pewnością nieco nadwrażliwa.

– Wchodzimy? – szepnęła. Zapukała lekko we framugę i wparowała do środka.

Skośne stropy, odkryte deski i cegły. Prawdziwy loft. Z sufitu zwisały modne lampy, po ścianach pięły się długie rzędy mięsistych kabli. Wystarczy puścić elektrykę na zewnątrz i od razu robi się jakoś bardziej hipstersko.

Dziewczyna siedziała przy wielkim biurku ze sklejki. Odjechała na fotelu i zwróciła się do gości:

– Hej, w czym mogę wam pomóc?

To nie była Julia.

Gustaw czuł, jak powoli schodzi z niego ciśnienie. Wciąż miał okropnie ciężkie nogi, ale odczuwał ulgę na myśl o tym, że konfrontację odwleczono w czasie. Gonił Julię, lecz lękał się dnia, kiedy ją w końcu spotka.

– Dostaliśmy waszą wizytówkę – zaczęła Patrycja. Urodzony detektyw. – Potrzebuję kogoś, kto pomoże zaprojektować stronę kancelarii.

Nie ustalali takiej taktyki. Patrycja improwizowała.

– W sensie szatę graficzną? Nie stawiamy stron, ale mamy zaprzyjaźnionego informatyka... – Niski, lekko zachrypiały głos.

Tak łatwo można było złapać Patrycję na kłamstwie. Skąd się o nas dowiedzieliście? Kto dał wam wizytówkę? Który nasz projekt was tak zainteresował?

Dziewczyna nie drążyła tematu. Wiedziała, że blefują, czy po prostu traktowała ich jak zwykłych klientów? Pokerowa twarz.

Gustaw postanowił zachować czujność.

– Ja jestem całkiem zielona w tym temacie. W ogóle nie znam się na komputerach. – Patrycja rozłożyła ramiona w geście bezradności.

Serio? Nie kumaszą, czym się różni grafika od programowania? To jakim cudem skończyłaś studia?

– Spoko. Pomożemy – powiedziała dziewczyna. Włosy do ramion, luźna koszula, buty na koturnie. Na rękach kilka modnych tatuaży. Cienka kreska, geometryczne wzory.

– Fajne dziary – wypaliła mecenas.

Masz tam coś w stylu: „Krzycz, jeśli żyjesz”?

– Dzięki. To co was interesuje? Macie jakieś pomysły?

Nawet nie podwinęła rękawów. Mogłaby się pochwalić, co nosi na rękach.

– Chciałabym coś eleganckiego.

„Swoją drogą – pomyślała Patrycja – naprawdę przydałaby mi się strona internetowa. Jak się trochę odkuję...”

Właścicielka pracowni spojrzała na sufit. Szukała inspiracji.

– Mhm, rozumiem. Mam tu parę projektów, które kiedyś robiliśmy. Spojrzysz?

Graficzka nie używała form grzecznościowych. Taka maniera artystów. Więcej luzu, maluszku.

– Chętnie. – Mecenas przysiadła się do biurka. Przeglądała różne witryny z portfolio, starała się wybrzydzać.

– To taki salon kosmetyczny, dla mnie trochę zbyt kolorowe, ale... O. Tu mamy stronę American Burgers. Przaśne, wiem. A tutaj działaliśmy dla grupki architektów... No, odpal się. Jest.

– To ja bym chyba wolała coś bardziej stonowanego właśnie.

– Tak myślałam – podchwyciła dziewczyna.

Gustaw wykorzystał szansę. Postanowił rozejrzeć się po studiu. Szukał jakiegokolwiek śladu, który naprowadziłby go na trop Julii. Spojrzał przez okno. Z jednej strony podwórko, z drugiej widok na Ogarną. Po parapecie skakały gołębie.

– ...co do kolorów, to chyba bardziej zieleń. To się tak jednoznacznie kojarzy z adwokaturą.

Graficzka zrobiła zniesmaczoną minę.

– Serio? Chcesz całą stronę w zieleni? To jakieś lata dziewięćdziesiąte.

– Nie pasuje?

Dziewczyna pokręciła głową.

– No nie. Siara totalna. Kolory muszą być jasne i czyste.

– Dobrze, ale chciałabym, żeby to jednak się jakoś kojarzyło z moją pracą.

– Kumam. Ale zielony... Czy ja wiem. Możemy dać jakiś akcent. Ogólnie to bym jednak proponowała delikatne szarości i beże. Jest masa odcieni...

Gustaw przeglądał rysunki, które walały się po pracowni. Niektóre były oprawione w ramy, inne ustawiono wzdłuż ścian. Taka nowoczesna galeria typu: wygrzeb–sobie–swoje–dzieło–sztuki.

– No to chyba coś takiego by mi odpowiadało. – Patrycja skumała zamysł Gustawa. Improwizacja przerodziła się w sprawną akcję pod przykryciem. Para przygodnych detektywów na tropie. No czy to nie jest historia jak z Netflixa?

Nie jest. Bardziej *Ojciec Mateusz*.

Gustaw powoli zaczynał tracić nadzieję. „Zabrnęliśmy w ślepy zaułek” – pomyślał. „Trzeba ją przycisnąć i spytać, czy zna jakieś Julie. Otwarte karty, mecenas pokazuje swoją legitymację i bang! Czy mówi ci coś nazwisko Weronika Zatorska?! Czy czytałaś *Nieznośną lekkość bytu*?! Gdzie trzymacie kolejne ciała?!”

Czasem go ponosiło. Wyobrażał sobie, że sam jest prokuratorem, ślęczy po nocach nad trudnymi sprawami, chodzi po mieście tropem zbrodni. Może tak nie wygląda prawdziwe życie, ale co z tego. To jego fantazja.

Przeglądał kolejne prace. Wszystkie rysunki na jedno kopyto. Oszczędne w formie, jakby ktoś bał się zużyć za dużo tuszu. Nuda. Wymuszona, pretensjonalna nuda. „Jeśli tak wygląda współczesna sztuka, to dla mnie ta cywilizacja zmierza do swego kresu” – ocenił.

– ...musi pani napisać, jakie tam mają być zakładki. Albo w ogóle co by pani tam chciała mieć. Proszę się zastanowić, a ja postaram się to wszystko jakoś dobrze rozegrać kompozycyjnie.

Gustaw słuchał ich jednym uchem. Systematycznie wertował kolejne prace. Panorama miasta. Szare kolory, kilka niebieskich linii. Przecież tak nie wygląda Gdańsk. Kontury jakiegoś domu. To chyba gdzieś w Gdyni albo Bejrucie...

Prawie upuścił aluminiową ramę. Metalowy kątownik wbił się w sosnową podłogę. „Brawo łajzo!” – zaklął w myślach.

Graficzka sprawdzała coś na komputerze, nie zwróciła uwagi na zamieszanie.

– Miałam tu gdzieś takie fajne animacje...

Patrycja spojrzała na swego przybranego partnera w śledztwie. Gustaw dał jej znak, by do niego podeszła.

– Nawet nie zdawałam sobie sprawy, ile to jest roboty. – Mecenasa wstała z krzesła. Niedbałym krokiem zbliżyła się do Gustawa.

– Prawda? – bąknęła graficzka, w dalszym ciągu przeglądając folder z plikami.

– Myślałam, że tak szybko pójdzie...

Gustaw trzymał okazałą srebrną ramę, odsłaniając ukryty za nią makabryczny pejzaż. Obrazek wyraźnie odstawał od reszty kolekcji.

Adwokat przykucnęła.

– To też wasza praca? – spytała, domyślając się, że oto trafili na jakiś ważny trop.

Niewielki obrazek przypominał pracę szalonego surrealisty. Zachłannego psychopaty, który karmił się każdym odłamkiem bezsensownego cierpienia. Skażonego umysłu. Jeśli sztuka stanowi świątynię piękna, to ten obraz przedstawiał czystą antytezę sztuki.

Na półkolistej szachownicy ułożono młodą, półnągą kobietę. Biała podomka odsłaniała poranione ciało. Niewinność i dobro.

Szyję obwiązano liną; spętano stopy i dłonie. Ciężkie kajdany wpijały się w skórę. Leżała zakrwawiona, zalana rozpaczą i ostatnimi kroplami łez. Łkała, lecz z jej gardła nie wydobywał się żaden głos.

Nad ofiarą nachylały się dwie postacie o głowach jastrzębi. Niemi kaci dzierżący przedziwne narzędzia tortur. Ptaki miały ludzkie ciała i martwe oczy. Makabryczne bestie. Strażnicy piekieł. Rozszarpały dziobami swą zdobycz, brocząc krwią czarno-białą podłogę.

Ten kadr przedstawiał czyste zło. Świat płonął i nikt nie nadchodził mu z pomocą. Ostatni obrońcy odeszli obojętni; ich cień ginał na horyzoncie

ognistego nieboskłonu. Nie ma żadnej nadziei.

Graficzka odwróciła wzrok od komputera. Dostrzegła przerażone twarze swych klientów. Pochylali się nad obrazem, nie bardzo wiedząc, z czym mają do czynienia. Im dłużej wpatrywali się w dzieło, tym większy ogarniał ich strach.

Kobieta westchnęła. Nadużyli jej gościnności. A wystarczyło tylko być nieco mniej wścibskim.

– Nie jest na sprzedaż – oświadczyła chłodnym głosem.

W tym momencie do pracowni wszedł obcy mężczyzna. W dłoni ścisnął sporą, płócienną torbę.

KONRAD KROON

Konrad zaparkował swoje audi TT na wysokości dawnej Sali BHP. To tu podpisano porozumienia sierpniowe. Kolebka wolności, złamane obietnice. W tamtym roku Kroon przyszedł na świat.

Wędrował wzdłuż opuszczonych stoczniowych hal. Listopadowe niebo sprawiało, że budynki wyglądały jeszcze bardziej posępnie. Brudne cegły, powybijane okna.

Spojrzał w stronę Elektryków. Po pustej ulicy hulał wiatr. Prokurator poprawił kołnierz skórzanej kurtki i ruszył przed siebie.

Wizyta w pracowni stanowiła pretekst do wycieczki na miasto. Chciał pogadać z Zuzą, ale jeszcze bardziej chciał odwiedzić to miejsce. Jak w starej zabawie z dzieciństwa: ciepło/zimno. Im jesteś bliżej celu, tym łatwiej ci go znaleźć. Liczył, że wizyta w stoczni pozwoli obudzić jego szósty zmysł. Pies złapie trop, pogoni za sprawcą.

Kroon szalenie pragnął tamtych emocji. Chciał, żeby sprawa Zatorskiej miała drugie dno. Pragnął uwierzyć Gustawowi, odkryć tajemniczą Julię,

rozwiązać zagadkę.

Stanął pod płotem broniącym dostępu do basenu portowego i dźwigów KONE. Kilka miesięcy temu ktoś obserwował z nich wschód słońca. Ktoś namówił przyjaciół, by żyli naprawdę. Konrad też pragnął w końcu zacząć żyć naprawdę. Pragnął coś poczuć.

– Zaginiona przesłanka – powiedział, pozwalając, by echo poniosło pełen nadziei głos.

Nikt nie usłyszał jego wołania.

*

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – oznajmił Zuzie.

– Bo jesteś cholernym pantoflarzem – odparła.

Siedzieli w jej pracowni. Konrad popijał herbatę, strasznie przemarzył na dworze. Tak to jest, gdy się nie nosi czapki.

– No, chyba jestem. Przez ciebie.

– Konrad, kurwa – fuknęła Zuza. – Czy ja ci wyglądam na kure domową? Albo idealną kandydatkę na matkę, żonę, kurwa, niańkę?

Wiadomo, że nie wyglądała.

– A czy ja ci kiedyś obraziłem podobną propozycją?

Nie obraził. Ale rozpaczliwie szukał sobie nowej matki. Chciał mieć kochającą żonę, jebać żonę, nie potrzebował obrączki, ale potrzebował bratniej duszy. Tylko przy Zuzie czuł się bezpieczny. Była jego amuletem.

– Jakbyś mi wyskoczył z pierścionkiem, więcej byśmy się nie spotkali.

Zuza pakowała jakieś materiały do torby. Szkice koncepcyjne, moodboardy, garść luźnych grafik.

Konrad porzucił rozmowę o ich dziwnym związku. W końcu nie po to tu przyszedł. Chciał popatrzeć na stocznię, spróbować obudzić w sobie

znajomy głos. Czekał, aż serce podpowie mu: „Tak, to ta sprawa. Wyciągnij miecz, Arturze”.

Cisza.

– Dużo o niej myślę. Wiem, że nie wyglądam, ale... To śledztwo nie daje mi spokoju. Swoją oczywistością.

– O kim myślisz? – spytała Zuza, pochłonięta własnymi problemami.

– Dziewczyna ze Strzyży, Julia i mój pokręcony praktykant. Pamiętasz?

Zuza wyciągnęła z pudełka karty do aparatu. Trzydzieści dwa giga każda, oszczędzaj klisze na najlepsze ujęcia.

– Jak przez mgłę.

– Wspominałem ci kiedyś. Oczywista sprawa, żadnych dowodów na udział osób trzecich. Jak w śledztwie, które prowadził mój patron na aplikacji.

– Ano mówiłeś. Ta laska, co się powiesiła?

Konrad oparł się o kaloryfer. Za szybą rozciągał się wspaniały stoczniowy pejzaż.

– Tak. Beata Szafrńska. Miałem wtedy dwadzieścia trzy lata, dziewczyna trochę mniej. Czułem, że coś jest nie tak. Gdybym był wówczas prokuratorem, nigdy bym tego nie umorzył. Wszystkie znaki na niebie i ziemi kazały to upierdolić, ale ja wiedziałem. Nie potrafię ci tego wyjaśnić.

Zuza nie do końca przysłuchiwała się jego historii. Znajdowali się w dwóch odmiennych stanach emocjonalnych. Konrada dopadła nostalgia, przestał błaznować, ściągnął znoszoną maskę arogancji. Był prawie taki jak kiedyś. Brakowało mu sygnału do szarży, za-króla-i-kraj, drobnej iskry, która na nowo rozpali dawno wygasły płomień. Zuza po prostu myślała o locie.

– Statyw wezmę z domu...

– Niczego nie czuję, Zuza. Mój instynkt niczego mi nie podpowiada. Mogę jedynie uciec w profesjonalizm. Zgromadzić wszystkie dowody, osądzić je zgodnie z zasadami logiki. Wydaje się, że mam wszystkie przesłanki. Kurwa! Na pewno mam wszystkie przesłanki!

Potrzebował potwierdzenia, poklepania po plecach.

Zuza oderwała się na chwilę od swoich zajęć. Wróciła myślami do Kroona.

– Pamiętam, jak sobie obiecałeś, że nigdy więcej się nie wkręcisz.

– To było wiele lat później. Zupełnie inna sprawa. Polityka.

– Obiecałeś to mnie, sobie i wujkowi. Przede wszystkim wujkowi.

Konrad westchnął.

– Ja nie wiem, czego chcę, Zuza. Jedyne, czego naprawdę pragnę, to być z tobą.

Dziewczyna westchnęła.

– Chyba wolałam cię, gdy miałeś jakiś cel w życiu. Gdy coś cię kręciło, stale popychało do przodu. Od kilku lat gnijesz. Jesz, śpisz, pracujesz, ale jesteś jak jebane zombie. Nie żyjesz naprawdę.

Ktoś kiedyś już użył tych słów. A Zuza? Zuza miała rację. Kroon chciał się obudzić, chciał zacząć żyć naprawdę. Nie wiedział o tym, lecz podświadomie on też szukał Julii.

GUSTAW

Gustaw stał obok młodej pani mecenas i wpatrywał się w makabryczny portret. Tyle razy oglądał podobne szkice. Wiedział, spod czyjej wyszedł ręki.

Adwokat nie miała pojęcia, jak wiele myśli przemyka przez umysł jej praktykanta. Domyśliła się, że natrafił na jakiś ważny trop.

– Nie jest na sprzedaż – powiedziała chłodno właścicielka pracowni. – To nie nasza praca.

W tym momencie do studia wszedł wysoki mężczyzna. Trzymał w ręku płócienną torbę, pożegnał się z plastikiem *before-it-was-cool*. Fryzura na giermka: równiutko przycięta bujna czupryna i gładko wygolone boki. Na policzkach kilka tatuaży. Sąsiadki z kamienicy, bogobojne starsze panie, prawie zeszły na zawał po pierwszym spotkaniu z nowym lokatorem. Zanim przekonały się, że to miły i uczynny chłopak, myślały, że zadźga je nożem.

– Izka, pokazujesz tę chałturę, mówiłem ci, żebyś to schowała do piwnicy. – Ciepły, niski głos.

– Sami to wygrzebali...

Młodzieniec zamknął za sobą drzwi. Postawił torbę na stole obok graficzki i rozpinając płaszcz, podszedł do zaskoczonych klientów.

– Proszę się nie martwić, nie gustujemy w kiczu. To prezent od naszej znajomej, dostaliśmy z okazji parapetówki. Powiedziała, że musi trochę zbecześcić ten minimalizm. – Zamaszystym gestem wskazał na wnętrze pracowni. – Nazywam się Lucjan. Czy zostaliście już odpowiednio zaopiekowani?

Patrycja wpatrywała się w długą brodę. Spleciona na modłę wikingów w drobne warkoczyki, sięgała mu niemal do piersi. Musiał ją zapuszczać przez dobrych kilka lat.

– Zostaliśmy bardzo fachowo obsłużeni – przyznała adwokat.

– Państwo potrzebują projektu strony internetowej – wytłumaczyła Iza. – Ustaliliśmy już główne założenia, mamy wstępną koncepcję.

Grafik spoglądał na nich z góry. Był wyjątkowo wysoki.

– I na co padło?

– Pamiętasz tę stronkę, którą robiliśmy dla Lars & Piers? Chcemy zrobić coś podobnego.

Mężczyzna przyklęknął. Odpoczynek dla nóg czy może po prostu taka maniera?

– Proszę się nie martwić, zapewniam, że wasz projekt będzie unikalny. Przykładamy się do każdej pracy tak samo mocno. Nie chcemy trzaskać masówek.

Mecenas się uśmiechnęła.

– Dlatego zwróciłam się od razu pod właściwy adres.

– Można wiedzieć, jak nas znaleźliście?

Profesjonalny kłamca wymyśliłby odpowiedź w mniej niż sekundę. Patrycji zajęło to równe pięć.

– Z polecenia znajomej. – Pokazała mu wizytówkę.

– O, czyli jednak na coś się przydają. Jak się nazywa koleżanka?

Kolejny *challenge*. Młoda adwokat zaczynała się rozkręcać.

– Maja Ludwikowska.

Mężczyzna szukał czegoś w myślach.

– Nie kojarzę. Co dla niej robiliśmy?

Jeden plus jeden, plus jeden... Neurony pracowały.

– A nie wiem. Gadałyśmy o tym, że muszę zrobić stronę, ona dała mi wizytówkę. „Zatroszczą się o ciebie”. Oto jestem.

– Najs... To ja wam nie będę przeszkadzał, naradzajcie się dalej, jak już będzie wiadomo, w którą stronę mamy mniej więcej podążać, to działamy.

– Dokądś idziesz? – spytała graficzka.

– Jeszcze raz do sklepu. W osiedlowym nie mieli sojowego.

Dziewczyna zajrzała do płóciennej torby. Fajki, płatki owsiane, kiść bananów.

– Weź, Lucuś, się pospiesz, tak bardzo potrzebuję kawki!

– Spoko, zaraz lecę. Zapomniałem telefonu. – iPhone łądował się na ziemi obok szafki z ploterem. Wypasiona drukarka, najdroższy sprzęt w tym biurze.

– Chciałem podpytać o ten obraz – wtrącił Gustaw. Bał się, że za chwilę straci swoją szansę.

– Spokojnie, mamy całkiem odmienne poczucie estetyki.

– Znałem kiedyś jedną dziewczynę, która malowała podobne prace...

Grafik wybuchnął śmiechem.

– To trzymaj się od niej jak najdalej. Coś jeszcze poza sojowym kupić?

Koleżanka pokręciła głową.

– Mógłbym wiedzieć, jak nazywa się autorka tej pracy? – Gustaw nie dawał za wygraną.

– O dżizas, nie pamiętam. Powinna być gdzieś tu podpisana... – Wziął do ręki malunek. Portret namalowano na desce, farby olejne czy coś podobnego. Dość dokładna kreska, kolory mroczne i przygnębiające. – Nie ma. Pamiętasz, Izka, jak ona się nazywa? To znajoma Kopyckich.

– Figa? – rzuciła dziewczyna.

– Nie, jakoś inaczej. Młoda laska, długie włosy, lekko przyjebane oczy... Loona.

– Jak księżyc? – podpytała Patrycja.

– Ale chyba inaczej się to pisze... – Wyciągnął telefon i zaczął szperać w Internecie. – Skasowała Instagram. Pewnie przeżywa kryzys twórczy...

Gustaw znów poczuł, że wszystkie puzzle zaczynają do siebie pasować. Rysopis się zgadzał. Brak Instagrama również. Po wakacjach Julia usunęła swój profil.

– Trochę odklejona – podsumowała Iza.

– No nie pomożemy. Dobra, ja lecę do sklepu, a wy tu sobie pogadajcie. – Grafik narzucił płaszcz.

– Zapraszam – powiedziała Iza, wskazując miejsce przy biurku. Patrycja powoli ruszyła w jej stronę.

Trzy, dwa, jeden, ryba zaraz puści haczyk. Loona. Loona. Loona!

– Słuchajcie, mega mi zależy, żeby ją znaleźć. Poznałem kiedyś typiarę, która malowała takie obrazy, ale przestała się do mnie odzywać... Nie wiecie, jak ją znaleźć?

– Sorry, ziom – odparł właściciel studia.

– Kurczę, a nie dałbyś rady jakoś poszperać w pamięci? – Gustaw balansował na cienkiej żyłce rozwieszanej pomiędzy brzegami basenu pełnego piranii. Za bardzo napierał. Bał się, że wyjdzie na jakiegoś cholernego stalkera, który nie chce dać lasce spokoju.

Lucjan otworzył drzwi.

– A czy ona nie miała pracowni gdzieś na stoczni? – spytała Iza.

– Na stoczni? Na stoczni to Jaśmina działała, ale się przeniosła. Robi razem z Grześkiem na Olszynie.

– No to widzisz. Wszystko mi się pierdoli.

Lucjan zasalutował.

– Lecę. *Adios!*

Trzasnął drzwiami. W mózgu Gustawa wrzało. Czy Loona była w rzeczywistości Julią? Czy może tylko jej koleżanką? Albo siostrą... Wyciągnął telefon, wpisał w wyszukiwarkę pseudonim artystki. Wskoczył mu jakiś grafficiarz. Widział na mieście jego prace, to była zupełnie inna osoba. W dodatku facet.

– Czyli mniej więcej wiemy, na czym stoimy. Będziesz musiała mi napisać, jakie chcesz zakładki, ale to spokojnie doślesz mailem. Ja

skontaktuję się z naszym informatykiem i spytam, ile weźmie za swoją robotę. To będzie coś koło trzech koła. Możemy zejść do dwóch, jeśli zrezygnujesz z animacji, to w sumie niepotrzebny bajer, a strona się wolniej ładuje.

„Trzy tysiące za stronę internetową?” – Patrycja po raz enty w tym roku zaczynała wątpić w swój wybór ścieżki życiowej.

– Trochę dużo... – bąknęła mimochodem.

– No wiesz, to nie jest produkt z katalogu. – Iza wydawała się obruszona tą uwagą. Nie zdążyła jeszcze podać wysokości swojego honorarium.

– Nie chciałam cię urazić – zapewniła mecenas.

– My nie trzaskamy masówek. Każdego klienta traktujemy indywidualnie i chcemy zrobić naprawdę fajny produkt...

„Niczego nie ma” – zaklął w myślach Gustaw. Wertował przeglądarkę, ale nie znalazł żadnego wyniku, który naprowadziłby go na ślad makabrycznych obrazów. Julia zdawała się istnieć jedynie w jego wyobraźni.

– Daj królikowi czas, a znajdzie właściwą odpowiedź! – krzyknął Lucjan, uchylając gwałtownie drzwi do studia. – Loona ma swoją pracownię na Nabrzeżu Zbożowym. To dlatego popierdoliło mi się z tą stoczną!

ROZDZIAŁ 18 | LISTOPAD

KONRAD KROON

Kroon siedział na kanapie, obserwując, jak Zuza nerwowo kręci się po mieszkaniu. Wziął dziś dzień wolnego, żeby odwieźć ją na lotnisko. Bardzo nie lubił, gdy wyjeżdżała. Krótkie wycieczki do Wawy znosił w miarę łagodnie. Zostawał dłużej w pracy, szedł z kolegami na piłkę. Dłuższe delegacje powodowały, że czuł się nieswojo. Potrzebował w domu drugiej osoby, świadomości, że nie wraca do pustych czterech ścian. Włączał na cały głos telewizor, w drugim pokoju odpalał radio. Hałas dawał mu złudne wrażenie, że ktoś jest obok. Oszukiwał podświadomość, choć na swoje nieszczęście był nieco zbyt inteligentny, by nabrać się na własny fortel. Tym razem Zuzy miało nie być przed całe trzy tygodnie.

- Pierdolca dostanę – rzucił ze skwaszoną miną.
- Dramatyzujesz. Widziałeś gdzieś osiemdziesiątkępiątkę?

Obiektyw o stałej ogniskowej idealny do portretów. Zuza była niezłą bałaganiarą. Kroon zwykle zbierał jej sprzęt po całym domu i odkładał na miejsce. Nieraz usłyszał później wyrzut, że przez jego pedantyzm dziewczyna czegoś zapomniała.

- Może tam, gdzie ją położyłaś?

– Kurwa, musisz być taki uszczypliwy? Siedzisz tu z tą swoją miną, a ja za dwie godziny mam samolot! – krzyknęła. Teoria chaosu zazwyczaj dobrze służyła jej samopoczuciu, w newralgicznych momentach potrafiła jednak podnieść poziom kortyzolu we krwi. Tak jak teraz.

– Po prostu grzecznie na ciebie czekam – odparł ze stoickim spokojem.

– No i po chuj? Mówiłam ci, że pojedę taksówką! Nie mogę niczego znaleźć, gdy tak patrzysz mi na ręce!

Dobrze znał te jej wybuchy. Babcia Zuzy miała dokładnie taki sam charakter. Burza w szklance wody, trzy sekundy do wrzenia, a później szampański humor. Kroon dusił wiele rzeczy w sobie.

– Oj, Zuza, Zuza – westchnął, po czym powędrował do łazienki. Na szafce z umywalką leżał czarny, miękki futerał. Podniósł obiektyw i zaniósł go spanikowanej fotografce.

– Gdzie był?! – zawołała.

– Chodziłaś z nim w ręku, jak myłaś zęby.

Oblicze Zuzy momentalnie się rozchmurzyło.

– Dzięki, kocie. Prawdziwy z ciebie śledczy.

– Wiesz, jak nie znoszę tego określenia.

– Ale jesteś takim „śledczym”. Moim śledczym. Urodzony detektyw. Kurewsko bystry, mądry i spostrzegawczy. Kurewsko przystojny. – Pocałowała go w usta. Szybki pocałunek zamienił się w początek czegoś większego.

– Spieszmy się na samolot – przypomniał.

– Będziemy się wyjątkowo spieszyć... – mruknęła.

*

Oczywiście trafili na minikorek. Jakiś debil, zjeżdżając z obwodnicy, przydzwonił w drzewo, zamknęto jeden pas. Kroon prowadził już kilka

spraw o wypadki w tym miejscu. Ludzie zjeżdżali z ekspresówki i myśleli, że w mieście dalej można cisnąć sto na godzinę. Listopad lubił uczyć ich pokory.

– No nie polecę. Nie polecę i chuj – denerwowała się Zuza.

– Za chwilę się trochę rozluźni. Zobaczysz.

– Miałam lecieć z Wawy razem ze wszystkimi. Wtedy na pewno nie zdarzyłby się żaden taki fakap.

To Kroon namówił Zuzę, żeby kupiła bilety na lot z Gdańska. Tym sposobem spędzili ze sobą dwa dni więcej.

– Czy mam włączyć koguta? – zażartował.

W końcu jakoś ruszyło. Za leśnym zakrętem z niewiadomych powodów auta po prostu zaczęły jechać.

– No! – zawołała Zuza.

Wjechali na wiadukt przerzucany nad trójmiejską obwodnicą. Aleja Kazimierza Jagiellończyka. Jakby stary król miał coś wspólnego z drogami ekspresowymi.

Kroon wcisnął pedał gazu. W tym miejscu obowiązywało ograniczenie do siedemdziesięciu, dodatkowo niebiescy często łapali za prędkość. Zrobił to dla Zuzy. W razie czego był gotów przyjąć mandat bez żadnego gadania. Wolał nie chwalić się immunitetem, by uniknąć ewentualnych nieprzyjemności z przełożonymi.

Zajechali pod budynek lotniska. Parking *kiss & fly*, do dziesięciu minut za darmo. Pomógł jej wyciągnąć z bagażnika torby.

– No to pa, kocie...

– Słuchaj, zaparkuję kawałek dalej i przyjdę cię pożegnać.

Zuza przewróciła oczami.

– Ale po co? Jedź na chatę pocziłować. Masz w końcu wolne.

– Złapię cię jeszcze przed odprawą! – zapewnił, wskakując na fotel kierowcy.

*

Kroon potrafił być szybki, nie tylko w pracy. Kiedy wbiegł do budynku, przed Zuzą stało około dziesięciu osób.

Nowoczesny budynek terminala bez wstydu mógł konkurować stylem z najładniejszymi europejskimi lotniskami. Dużo drewna i szkła, sufit w kształcie trójkątów. Hala odlotów była czysta i przestronna, sklepiki przypominały te z Frankfurtu czy Amsterdamu. Brakowało jedynie luksusowych butików, ale jeśli ktoś potrzebował wyłącznie książki, kawy czy szklanki czegoś mocniejszego – bez trudu mógł zaspokoić wszystkie swoje awiacyjne potrzeby.

– No i mam cię – powiedział, dotykając dłonią jej gładkiej szyi.

– Mrauu. – Wygięła głowę do tyłu i ugryzła go delikatnie w górną wargę.

Kobieta z tyłu dała wyraz swojego oburzenia, demonstracyjnie obracając się do nich plecami.

– *Das ist wirklich unglaublich*^[24]! – fuknęła do męża.

W końcu nadeszła ich kolej. Kroon pomógł załadować Patrycji walizki na taśmę. Imię, nazwisko, wszystko się zgadzało. Miała dokupiony dodatkowy bagaż, nie musiała się martwić o to, czy przekroczy surowy limit. Drogi sprzęt fotograficzny, proszę uważać. Wszystko zapakowane w specjalny case, ale i tak lepiej tym nie rzucać. Bo was pozwę, skurwysyny.

– Dziękuję, to wszystko.

Ruszyli w stronę bramek bezpieczeństwa. Kroon stał z nią w kolejce aż do momentu, w którym należało okazać bilet.

– Pa, kocie. Baw się dobrze. – Poglądziła go po policzku.

– Będę tęsknił. – Nie musiał tego mówić. Jego oczy, jego policzki, jego usta... jego całe ciało mówiło, że tak będzie. W kącikach oczu zaszklily się łzy.

– Stary wariat – zaśmiała się Zuza. – Nie bój się, wróć.

PATRYCJA RADKE

Stanęli na chodniku przed kamienicą Izy i Lucjana. Patrycja odczuwała niesmak po rozmowie z graficzką; zmarnowała dziewczynie całkiem sporo czasu tylko po to, by na koniec powiedzieć, że nie stać jej na zapłatę siedmiu tysięcy złotych za stronę internetową. Gdyby nie prywatne śledztwo, nawet nie zaczynałaby podobnej rozmowy. Takie usługi są drogie, fakt. Może za dziesięć lat zamówi sobie wymarzoną witrynę. Dzisiaj musiał jej wystarczyć profil na LinkedIn.

– Czuję, że to może być ona – powiedział z nadzieją w głosie Gustaw.

– Twoja Julia?

Przytaknął.

– Pokazywała mi swoje prace. Ten sam styl. Pokręcony, szalony, niebezpieczny.

Patrycja spojrzała na zegarek. Była dopiero czternasta. I tak nie miała żadnych innych planów. Od jakiegoś czasu pisała z nowym chłopakiem na Tinderze, ale jakoś nie zanosilo się na spotkanie. Trochę fajnych żartów, podobne zainteresowania. A mimo to nie proponował niczego konkretnego. Patrycja biła się z myślami, czy nie wykonać pierwszego kroku. Bała się trochę, że wyjdzie na desperatkę. Z drugiej strony, ile można wracać do pustego mieszkania?

– No dobra, mogę z tobą tam teraz skoczyć – zaproponowała.

Gustaw nie czuł wdzięczności. Dla niego podróż do pracowni Loony wydawała się oczywistą koniecznością. „To była taka opcja, żebyśmy tam teraz nie jechali?” – pomyślał.

– Sprawdzę w aplikacji, jak tam dojechać. – Sięgnął po komórkę. Dziesięć procent baterii, stary telefon z trudem wytrzymał pół dnia. O tej porze roku Gustaw rzadko kiedy włączył się tak długo po mieście. Na uczelnię chodził z ładowarką, później wracał grzecznie do domu.

Szalone wakacje przeminęły. Znów zaszył się w sobie. Koledzy od gier, książki, rodzice. To był jego cały świat. Przynajmniej do momentu, kiedy natknął się na sprawę Weroniki Zatorskiej.

– Spod Bramy Wyżynnej powinno coś odjeżdżać – zasugerowała Patrycja.

Ruszyli w stronę przystanku. Tymczasem Gustaw czekał, aż załaduje mu się strona z rozkładem.

– Najlepiej jechać dziesiątką. – Odcyfrował symbole w aplikacji. – Możemy tu coś złapać i się przesiąść albo przejść jeden przystanek.

– Spacer dobrze nam zrobi.

Minęli pomnik króla Sobieskiego. W wakacje szła tędy Parada Równości, kilka dni temu Marsz Niepodległości. W Trójmieście świętowano na wesoło: bez neofaszystów, niszczenia salonów prasowych i podpalania przypadkowych mieszkań. Ot, ludzie z flagami, uśmiechy na twarzach, przejazdy starych samochodów, rycerze i rekonstruktorzy.

– Za rogiem jest Prokuratura Okręgowa – zauważył Gustaw. – To tutaj powinni prowadzić sprawę zabójstwa Zatorskiej. Może bardziej by się przyłożyli.

Patrycja wierzyła chłopakowi, ale w takich momentach jak ten, kiedy otwarcie mówił o morderstwie, zaczynała nabierać wątpliwości. Kroon miał

rację: z zeznań świadków jasno wynikało, że Weronika miała problemy psychiczne. W jej krwiobiegu znaleziono narkotyki. Żadnych obrażeń.

– Naprawdę sądzisz, że to ta twoja Julia?

– A pani mi nie wierzy? – Od razu przystąpił do ataku.

– Po prostu się zastanawiam, jak mogłaby ją zabić, nie zostawiając żadnych śladów.

Gustaw spojrzał na nią jak na idiotkę.

– Przecież zostawiła tatuaż.

Jedyna poszlaka. Słaba, wątpliwa, bez związku ze sprawą.

– Zapomniałam...

Doszli na przystanek. Dziesiątka odjeżdżała co dziesięć minut. Śmieszny zbieg okoliczności.

Weszli do tramwaju, udało im się nawet jakoś usiąść. Biało-czerwony pojazd, jak wszystkie w taborze. Ruszyli.

– Przystanek Plac Solidarności – obwieścił kobiecy głos. Plac Trzech Krzyży, obok nowoczesny budynek muzeum. – Następny przystanek Stocznia SKM.

Wpatrywali się w industrialny krajobraz. Dźwigi KONE, hale przemysłowe. Dla każdego z przygodnych detektywów ten portowy pejzaż znaczył zupełnie co innego. Patrycja była tu kilka razy na piwie. Gustaw spędził na stoczni całe wakacje. Ulica Elektryków taka pusta i smutna. To lato napełniało ją życiem.

– Pani mecenas, wiem, jak to wszystko brzmi. Moja opowieść, historia Julii... – zaczął po kilku minutach. – Ja naprawdę mam tego świadomość. Nie jestem wariatem.

– Przecież tego nie powiedziałam – zapewniła. Ta melancholia w oczach dodawała chłopakowi uroku.

Taksował ją wzrokiem.

– Wiem, że nikt tak po prostu nie zamordował Zatorskiej.

Starsza kobieta spojrzała na nich z zainteresowaniem. Ciekawy temat. Morderstwo.

– Dowody kategorycznie wykluczają udział osób trzecich. – Patrycja ściszyła głos. – Co nie znaczy, że Weronice ktoś nie pomógł w odebraniu sobie życia.

– Dokładnie! – ucieszył się chłopak. – Julia mogłaby być przywódczynią sekty. Ciągnąć za sobą tłumy... Jak Manson. Przecież on też nigdy nikogo nie zamordował. Nie trzymał w ręku broni. A jednak skazano go za zabójstwo.

Charles Manson po dziś dzień pozostaje jednym z najsłynniejszych antybohaterów kryminologii. Niespełniony muzyk, przywódca grupy religijnej o nazwie Rodzina. Umysł opętany szaleńczymi myślami, w których zbrodnie mieszały się z piosenkami Beatlesów.

Morderstwo w willi wynajętej przez Romana Polańskiego. Linda Kasabian, Patricia Krenwinkel, Susan Atkins i Charles Watson. Cztery wilki wypuszczone w ciepłą sierpniową noc na żer. Zamordowali ciężarną Sharon Tate oraz czwórkę jej gości. „Świnie” – głosił napis sporządzony krwią ofiar na drzwiach rezydencji Polańskich przy Cielo Drive 10050 w Los Angeles. Jak tatuaż, tyle że zostawiony na miejscu zbrodni. Krzycz, jeśli żyjesz. Krzycz, póki żyjesz. Krzycz, bo oto nadszedł twój kres.

– Uważasz, że twoja Julia kazała jej się zabić – stwierdziła mecenas Radke.

– Jestem o tym przekonany. Bawiła się ludźmi. Zmuszała ich do robienia różnych dziwnych rzeczy... – Zawahał się. Sam kilkukrotnie padł ofiarą takich pozornie niewinnych gier. – Na pewno nie działała sama. Musiała mieć jakiegoś naśladowcę. Chłopaka, dziewczynę, a może parkę.

Kogoś w moim wieku. Niepewnych siebie, zagubionych. – Znów przerwał na chwilę. Opowiadał o sobie. Gustaw Kolasa, idealny kandydat na wyznawcę . – Albo wręcz przeciwnie. Bogatych i zepsutych. Jak Wiktor Duchnowski.

Patrycja kiwała ze zrozumieniem głową. Ta wersja kryminalistyczna póki co znajdowała niewielkie oparcie w materiale dowodowym. Dla młodej adwokat nie jawiła się jednak jako całkowicie nieprawdopodobna. Dziewczyna lubiła zagadki.

– Sprawdzimy to.

– Pani mecenas, ja nie wiem, jak to się stało. Nie wiem, z kim działała, jak wybrała ofiarę. Nie wiem. Po prostu nie wiem. Ale dopóki jej nie odnajdziemy, nie ruszymy ze śledztwem.

*

Nowy Port stanowił najbardziej zapomnianą dzielnicę Gdańska. Od wielu lat próbowano tchnąć w niego drugie życie, ale miejsce stawiało opór godny żołnierzy walczących tu we wrześniu 1939 roku. Owo porównanie jest skądinąd wyjątkowo trafne. Od wschodu z Nowym Portem sąsiaduje Martwa Wisła, u ujścia której zlokalizowano strażnicę wojskową na Westerplatte.

Przybrudzona deszczem pesa swing krążyła pomiędzy zaniedbanymi, secesyjnymi kamienicami. W większej części miasta tramwaje miały wydzielone własne torowiska, tutaj musiały dzielić jezdnię razem z samochodami.

– Przystanek Zajezdnia. Tramwaj kończy bieg. Proszę wysiadać.

– To teraz trochę pobłądzimy – stwierdziła Patrycja.

– Była tu pani kiedyś?

Mecenas wzruszyła ramionami.

– Raz czy dwa na studiach. Jeden kolega z grupy mieszkał w Nowym Porcie, ale to było chyba gdzieś indziej. Taki falowiec jak na Przymorzu.

– Bliżej Brzeźna – stwierdził Gustaw.

Zaczęło mocniej padać. Patrycja wyciągnęła parasolkę.

– No chodź, bo zmokniesz.

Jakoś miał opory, żeby się do niej przysunąć. Czuł, że nie wypada. To była parasolka pani mecenas – obcej, poważnej kobiety.

– Dam radę.

– Ja ci nie pożyczę skarpet. Wybij to sobie z głowy – zażartowała.

Gustaw wskoczył pod parasolkę.

– Dziękuję.

W powietrzu unosił się nieprzyjemny smog. Sporą część mieszkań ogrzewano głównie węglem.

– I dokąd teraz?

– Z tego, co kojarzę, Nabrzeże Zbożowe jest tam, na wprost. – Wskazał przed siebie.

– Czy to Wisła? – spytała mecenas.

– Tak.

Morskie wrota do miasta. Na początku Westerplatte, później twierdza Wisłoujście. Portowe grody musiały zapewnić sobie bezpieczeństwo ze wszystkich stron. Rzeka opływała Gdańsk od północy, łączyła się z Motławą i jej dopływami.

Dotarli do bulwarów.

– Telefon pokazuje, że musimy skręcić w prawo – oznajmił student. Bateria jego smartfona zmieniła kolor z żółtego na czerwony.

– A ten zamek przed nami? Co to?

Chcąc studiować prawo, należało przyłożyć się do nauki historii. Matura, na pierwszym roku kilka grubych książek mówiących o początkach jurysprudencji. Na szczęście później nikt już nie wymagał znajomości faktów i dat. Patrycja miała w tym zakresie spore braki. *Historia magistra vitae est*^[25], ale od drugiego roku studiów można pokazać nauczycielce środkowy palec. Jeszcze tylko wpierdol od ojca i wakacje.

– Twierdza Wisłoujście – wyjaśnił Gustaw, który wyjątkowo łatwo chłonał podobne ciekawostki.

Ta twierdza to taki polski Fort Boyard, tyle że tutaj nikt nie zdobywa kluczy do skarbcza, a wściekłe tygrysy nie pilnują komnaty ze złotem. Forteca otoczona jest ze wszystkich stron wodą; z góry przypomina symetryczny kwiat. Bastiony połączone ceglano-ziemnym szańcem, wzdłuż murów pociągnięto fosę. Z samego serca twierdzy wyrasta samotna wieża – najbardziej charakterystyczny element budowli.

– Fajnie wygląda – oceniła Patrycja. – Jak dom Gargamela.

– No fajnie – przyznał student.

Pod koniec sierpnia odbywał się tu spory festiwal muzyki elektronicznej. Gustaw planował wybrać się na niego wraz z przyjaciółmi. W tym czasie ekipa znajdowała się już jednak w stanie stopniowego rozkładu. Pierwszy odpadł Wiktor, Natalia z Sonią zaczęły spędzać czas tylko we dwójkę. Zostali on i Julia.

– Nie wiedziałam, że stocznia jest taka ogromna – zdziwiła się adwokat, spoglądając w stronę centrum.

– Od strony starówki tak tego nie widać.

Ktoś szedł za nimi. Podeszwy butów ciężko szurały po betonie. Odwrócili wzrok.

– Strasznie dziś wieje – zażartowała Patrycja. Nieznajomy ledwo trzymał pion.

– Pełno tu takich. Lepiej już chodźmy.

Ruszyli przed siebie. Na horyzoncie rysowały się ciemne sylwetki elewatorów zbożowych. Lucjan mówił, że gdzieś obok mieści się pracownia Loony.

Szli pod ramię, teraz to Gustaw przejął parasol. Deszcz zacinał coraz mocniej.

– Przepraszam, szukamy pracowni malarskiej. – Mecenas zaczęła przypadkową kobietę. Maszerowała szybko, jakby uciekała przed nienazwanym zagrożeniem. Ulice Nowego Portu służą jedynie zaspokajaniu niezbędnych potrzeb komunikacyjnych. Z pracy do sklepu, z domu do kościoła. Jeśli trzeba wyjść na zewnątrz, należy zachować szczególne środki ostrożności. Nikt normalny nie chodzi tędy w listopadzie dla przyjemności. Zwłaszcza kiedy wieje i pada, a za trzy zdrowaśki zapadnie zmrok.

– Nie wiem – burknęła, po czym przebiegła na drugą stronę ulicy. W powietrzu unosił się trąd.

Metalowa siatka odgradzała tereny przemysłowe od mieszkalnej części dzielnicy. Na płocie stary znak obwieszczający zakaz wstępu, obok całkiem nowa tabliczka firmy ochroniarskiej.

– Szukaj igły w stogu siana – szepnęła Patrycja, przechodząc na drugą stronę bramy.

– Może jest tu jakiś cieć?

– Halo, przepraszam! – zawołała mecenas.

Ani żywej duszy.

– Wejdźmy trochę głębiej.

Podeszli do drzwi betonowego budynku. Gustaw pociągnął za klamkę. Zamknięte.

– Może tam – zaproponowała adwokat.

O tej porze roku słońce zachodziło przed czwartą; przez niskie chmury miało się wrażenie, że noc trwa przez całą dobę. Zmierzchało.

– Też nic.

Błądzili od budynku do budynku. Jeśli ktoś tu w ogóle jeszcze pracował, to albo miał fajrant, albo wyjątkowo mało zleceń.

– O! Otwarte! – ucieszył się Gustaw.

Patrycja zajrzała do środka.

– Ja tam nie wejść.

– Pani mecenas żartuje – zdziwił się chłopak. Nie mógł odpuścić. Nie teraz.

Magazyn wyglądał na opuszczony.

– Tylko rzucimy okiem.

– Gustaw, serio trochę się boję.

Wewnątrz było jeszcze ciemniej niż na dworze.

– Przecież pani tu nie zostawię.

– Wracamy – powiedziała twardo. – To był poroniony pomysł.

– Zgubimy trop!

Patrycja lubiła czasem obejrzyć horror albo przeczytać opowieść z dreszczykiem. Wyprawa do pracowni szalonej malarki też wydała jej się ciekawym sposobem zabicia czasu. W tej chwili miała jednak prawdziwego pietra.

– Wrócimy tu kiedy indziej... Co ja wygaduję... W ogóle tu nie wrócimy!

– To jest zwykła hala magazynowa – tłumaczył Gustaw. – Lucjan mówił, że w czymś takim Loona urządziła sobie studio.

Coś zaszeleściło. Ze szczytu pobliskiego budynku odpadł niewielki kawałek cegły.

– Aaaa! – krzyknęła Patrycja, wskakując do magazynu. Chłopak wszedł spokojnie za nią.

– Widzi pani, nie było tak trudno.

Mecenas włączyła latarkę w telefonie. Gustaw spojrzał z wyrzutem na czarny ekran swojej komórki. Gdyby miał trochę więcej kasy, już dawno kupiłby nowy aparat. Albo przynajmniej wymienił baterię.

– Dochodzimy do tamtych drzwi i zawracamy – powiedziała przez zaciśnięte zęby adwokat.

– Dobrze – odparł dla świętego spokoju. Nie miał zamiaru odpuszczać.

Stanęli pod przeciwległą ścianą. Gustaw pociągnął za klamkę metalowych drzwi. Wyjątkowo ciężkie.

– To jest *megacreepy* – oceniła Patrycja.

Weszli do następnego pomieszczenia.

– Spokojnie – szepnął student.

– Nie będę tu łązić po ciemku!

– Nie ma takiej potrzeby. – Puścił klamkę, a drzwi zamknęły się samoczynnie. Dotknął ręką włącznika. – I Pan powiedział: „Niech stanie się światłość!”.

Halogenowe lampy oświetliły sporą halę. To była z pewnością pracownia artysty.

– Bingo! – ucieszyła się Patrycja. Poczowała, że odwaga znów gości w jej sercu. „Niepotrzebnie panikowałam” – stwierdziła.

Szli przez wielkie, zagracone studio. Na ziemi leżały metalowe skrzynie i beczki. Gdzieś walały się worki z cementem, zwoje drutu i inne pozostałości po dawnym zakładzie pracy. Obok wieszaka na płaszcze stała pordzewiała tokarka.

– A ja narzekałam na swoją kancelarię...

Okna umieszczono pod samym sufitem. Niektóre z nich były zaklejone taśmą; głupio, jak ciągnie zimnem, a szkoda wydawać kasę na szklarza. Na wewnętrznym parapecie, tuż poniżej stropu, przycupnęły gołębie.

– Proszę na to spojrzeć – polecił Gustaw.

W dalszej części pracowni ustawiono ludzkie figury. Nieukończone, pozbawione kończyn rzeźby. Patrycja nie wiedziała, czy taki był pierwotny zamysł artysty, czy może zwyczajnie nie starczyło mu weny.

– Nie kumam dzisiejszej sztuki – oceniła mecenas.

W hali panował nieprzyjemny chłód. Ogrzanie takiego pomieszczenia musiało sporo kosztować, zresztą i tak nie zamontowano tu kaloryferów. Pięćdziesiąt lat temu robotnikowi musiała starczyć waciana kufajka i butelka żołądkowej gorzkiej.

Gustaw stanął przed figurą kobiety. Miała wypalone oczy i obcięte dłonie. Chłopak spojrzął obok. Na poźółkłym materacu ułożono gipsową figurę kilkuletniego dziecka. Dziewczynki, sądząc po budowie anatomicznej. Z jej brzucha wypełzał jadowity wąż, po twarzy spacerował skorpion.

– Nie dość, że maluje, to jeszcze i rzeźbi – szepnął młodzieniec.

– Przecież ona jest nienormalna! – oceniła mecenas.

– To musi być Julia – podsumował Gustaw.

W tym momencie ktoś wyłączył światło. Patrycja krzyknęła.

– Ja stąd spierdalam! – zawołała, drżącymi dłońmi szukając telefonu. To był pierwszy raz, gdy przeklęła w jego towarzystwie. Gustaw chwycił metalowy klucz.

– To na pewno przypadek – powiedział bez przekonania.

Patrycja włączyła latarkę i pobiegła w stronę wyjścia.

– Uciekamy stąd!

– Spokojnie! Proszę uważać na zie...
Potknęła się o leżący na podłodze łańcuch. Rozbiła sobie kolano.
– Gustaw! – krzyknęła, zalewając się łzami.
Chłopak rzucił się na pomoc. Pomógł jej wstać.
– Już, jestem tutaj! – zapewnił.
– Proszę, zabierz mnie stąd – wyszlochała.
Wziął ją pod ramię i ruszył w stronę wyjścia. Stanęli pod drzwiami.
– Korki musiały wybić. Proszę się uspokoić.
– Zabierz mnie stąd... – Trzęsła się jak osika.
Gustaw pociągnął za klamkę. Bez rezultatu.
– No co jest? – mruknął pod nosem.
Zapał się z całej siły. Ani drgnęły.
– Gustaw... – szepnęła Patrycja. – Zabierz mnie stąd...

KONRAD KROON

Kroon kroczył powoli przez halę terminala. Nie miał ochoty wracać do domu, nie miał ochoty w ogóle się stąd ruszać. Zamówił sobie kawę i usiadł na ławce przed wyświetlaczem z tablicą odlotów.

Zuza była wyjątkowo wziętą fotografką. Wiele lat w branży, wspaniałe portfolio, kilkanaście naprawdę ważnych sesji. Kampanie dla największych światowych marek. Od kilku lat przebąkiwała coś o wyprowadzce za granicę. Kroon nie chciał jej puścić.

Niektóre ptaki nie potrafią żyć na uwięzi. Zuza nie znosiła reguł, nie umiała żyć w jednym miejscu, z jedną osobą, zawsze tak samo. Kroon wielokrotnie zastanawiał się, dlaczego musiało paść akurat na nią.

Był przystojnym gościem. Inteligentny, jeden z lepszych mózgów w swojej branży. Gdyby został na uczelni, zapraszaliby go co tydzień do *Faktów po Faktach*, żeby pogadał o praworządności i łamaniu prawa. Gdyby zdecydował się iść w adwokaturę, spałby teraz na furze kasy. Na swoje nieszczęście wybrał karierę w prokuraturze; co gorsza, już po kilku latach stwierdził, że wcale tej kariery nie chce robić. Zasył się nisko, okopał za swoim biurkiem, rękami i nogami bronił przed jakimkolwiek awansem. Mógł zostać szefem, ale kilkakrotnie odmawiał. Koledzy z Warszawy chcieli go ściągnąć do tak zwanych pezetów, ogólnopolskiego wydziału zajmującego się walką z gangami. „Sławuś, ja z gangsterów to tylko *Ojca chrzestnego* toleruję”. Taka była jego odpowiedź. Konrad Kroon – zawsze pod prąd. Z niezrozumiałych pobudek, jeszcze zanim osiągnął wiek chrystusowy, wybrał przeciętność.

Mógłby całkiem wygodnie żyć. Przyzwoita pensja, powodzenie wśród kobiet, sporo kumpli. Dwie przeciwstawne drogi: kochająca żona i gromadka dzieci lub każda noc z inną kochanką. Dwie przeciwstawne drogi, z których Kroon nie wybrał żadnej.

Na swoje nieszczęście zakochał się w Zuzie, niebieskim ptaku, nieumiejącym funkcjonować w typowej rodzinie. Nie wzięli ślubu, ale Kroon żył, jakby złożył jej przysięgę wierności. Zuza takiej obietnicy nie mogła zaoferować. Konrad bolał nad tym, cierpiąc w samotności i ciszy. Był o nią cholernie zazdrosny, lecz wiedział, że gdyby postawił twarde granice, Zuza wybrałaby wolność. I tak tkwił gdzieś pomiędzy szczęściem a smutkiem. Syberyjski husky z przetrąconą przednią łapą.

– Konrad? – spytał nieznajomy mężczyzna, odrywając się od analizy komunikatów wyświetlanych na tablicy odlotów.

Kroon spojrział do góry. Przed prokuratorem przystanął starszy ksiądz, którego stan duchowny zdradzała jedynie niewielka koloratka. Na oko

jakieś siedemdziesiąt lat. Wysokie czoło, sporawa łysina i elegancka kozia bródka. Stylowe rogowe okulary sprawiały, że wyglądał jak pisarz.

– Wujek?

– Kopę lat, synu – odparł profesor, przysiadając się na ławce. – Wybierasz się dokądś?

Konrad się zmieszał. Nie widział wujka od dobrych kilku lat. Z własnej winy urwał z nim kontakt.

– Nie, ja... – Naprawdę było mu głupio. – Odprowadzałem Zuzę na samolot.

Kroon świetnie znał się na kłamstwach, sam potrafił całkiem nieźle blefować. W obecności wujka zachowywał się jak bezbronne szczenię. Wujek miał takie samo przenikliwe spojrzenie jak on i wbudowany w mózgową czaszkę przenośny wariograf.

– Ach, Zuza... Co u niej? – spytał, jakby rozmawiali o czymś zupełnie nieistotnym. Zuza była głównym powodem, dla którego Kroon przestał odzywać się do wujka.

– Ma sesję na Teneryfie. Właściwie to projekt filmowy, załapała się na plan zdjęciowy takiego francuskiego reżysera...

– Wspaniale – uciął krótko wuj. – A jak twoja kariera?

– Całkiem dobrze... – skłamał.

– I dalej mieszkasz w Trójmieście?

Wujka nie dało się łatwo oszukać. Kariera wiązała się z przeprowadzką do Warszawy.

– No tak...

– To piękna wiadomość. Gdańsk jest takim magicznym miejscem. Tyle cudownych zakątków, wspomnienia kryjące się za każdym rogiem... – Jad wstrzyknięty w samo serce. Stary profesor umiał wbijać szpile dyskretnie

jak nikt. Potrafił zniszczyć rozmówcę w obecności pełnego audytorium tak, by jedynie ofiara skumała, co jest grane. Chirurgiczna precyzja ataku. Urodzony asasyn.

Kroon cieszył się, że siedzi. Czuł, jak zapada się w siedzisko lotniskowej ławki.

– A ty, wujku?

– Lecę do Nowego Jorku. Wcześniej jednak mam do załatwienia kilka spraw w Monachium. Wiesz, polityka...

Profesor miał przy sobie skórzany podróżny neseser. Laptop, szczoteczka do zębów, czysta koszula.

– Nadałeś już bagaż?

– Nie, nie brałem ze sobą niczego. W moim wieku należy dbać o plecy – tłumaczył ksiądz, którego forma fizyczna jedynie delikatnie nie nadążała za intelektualną. Typ człowieka, który dożyje setki, a i tak będzie wyglądać na osiemdziesiąt.

Przez głośnik nadano komunikat informujący o zakończeniu odprawy bagażowej na lot do Monachium. Podano numer bramki.

– Odprowadzę cię – zaproponował Konrad, wstając z krzesła.

– To bardzo uprzejme z twojej strony.

Ruszyli w stronę stanowiska kontroli osobistej.

– Na długo lecisz?

Wujek wzruszył ramionami.

– Bóg jeden wie. Jak to mówią na Brooklynie, *if you want to make God laugh, tell him about your plans*^[26]. Powiedz mi, byłeś na grobach rodziców? Nie zdążyłem na Wszystkich Świętych.

– Byłem – odparł smutno Kroon. Półprawda, może łyknie.

– U ojca też? Nie widziałem żadnej świeczki.

Konrad zagryzł wargi.

– Wiesz, że nie...

– Był twoim tatą. *Quorum remisieritis peccata, remittuntur eis, et quorum retinueritis, retenta sunt*[27].

Po tragicznej śmierci matki Konradem zaopiekował się jej starszy brat. Już wtedy miał stopień doktora, kończył pracę nad habilitacją. Wujek był niecodzienną postacią. Ważna persona w środowisku naukowym, silna pozycja w Kościele. Taki 007 w sutannie. Ksiądz do zadań specjalnych.

Wujek przekazał Kroonowi wiele ważnych umiejętności. Twardy nauczyciel, który szlifuje same diamenty. W sferze wartości nie poszło mu tak łatwo. Mieli wyjątkowo trudną relację. To dzięki wujkowi, a może przez niego, nastoletni Konrad zdecydował się na studia na UJ-ocie.

– Kiedy znów wpadniesz do Gdańska? – Idiotyczne pożegnanie. Jakby Konrad kiedykolwiek sam napisał albo zadzwonił. Jakby naprawdę miał ochotę go zobaczyć.

– W najmniej oczekiwanym momencie, kochany. O ile Pan Bóg pozwoli.

ZUZA

Obserwowała z okien samolotu żółto-błękitne światła miasta. Boeing wykonał zwrot, teraz widziała już tylko skrzydło. Spojrzała na telefon. Oczywiście nie przełączyła go w tryb samolotowy. Mimo to i tak powoli traciła zasięg.

Zerknęła na ostatnie wiadomości. Ernst pisał do niej bez przerwy od kilku dni. Ostatni raz widzieli się osiem miesięcy temu. Wciągali koks, słuchali muzyki i kochali się przez trzy dni ciągiem.

Skłamała Konradowi, że sesja rozpoczyna się jeszcze w listopadzie. Tak naprawdę zaaranżowała wszystko tak, by jak najszybciej urwać się z domu. Nie umiała usiedzieć za długo w jednym miejscu.

Wiele razy próbowała od niego odejść, ale jakoś nie potrafiła. Chciała żyć życiem, którego Kroon nigdy by nie zaakceptował. Mogła nie mieć pieniędzy, domu czy mebli. Spać codziennie pod innym adresem, budzić się w objęciach zupełnie obcej osoby. Jediną stałą w jej życiu stanowiła zmiana.

Nie wiedziała, czy wróci. Kupiła bilet w dwie strony, ale przecież z łatwością mogła wrzucić powrotny do kosza. Żyła chwilą, przekonana, że jedyną rzeczą, jaką naprawdę posiada, jest teraźniejszość.

– Przepraszam, kapitan polecił zapiąć pasy – przypomniała jej stewardesa. – Spodziewamy się turbulencji.

– Ach, oczywiście – odparła, szukając pod siedzeniem metalowej klamry.

„Uwielbiam turbulencje” – pomyślała. Uciekła z kraju w ostatniej możliwej chwili.

[24] – To nie do pomyślenia! (niem.).

[25] Historia jest nauczycielką życia (łac.).

[26] Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach (ang.).

[27] Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane (łac.), J 20,23.

ROZDZIAŁ 19 | LISTOPAD

PATRYCJA RADKE

Uwięzili ich w ciemnym magazynie. Drzwi zamknięto z drugiej strony, to nie mógł być przypadek. Ktoś wyłączył prąd.

– POMOCY! – krzyczała Patrycja. Dostała ataku paniki.

– Ciii – uspokajał ją Gustaw, który sam był o krok od utraty zmysłów.

Młoda mecenas lękała się ciemności. Udzieliła jej się atmosfera rzekomej zbrodni, wyobraźnia dorobiła resztę. Z Gustawem rzecz się miała zgoła inaczej.

Julia kilkakrotnie stawiała chłopaka w trudnych sytuacjach. Ściągała na niego zagrożenie, zapraszała do tańca ze śmiercią. Gustaw spodziewał się, że oto padł ofiarą kolejnej piekielnie niebezpiecznej gry.

Postanowił działać.

– Poproszę pani telefon. Poproszę telefon! – Musiał powtórzyć, by jakoś przebić się przez krzyki kobiety.

Podąła mu komórkę.

– Dzwon, dzwon na policję – załkała.

Taki właśnie miał plan.

– Jaki jest kod? Pani mecenas, kod do telefonu!

– Dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć, czterdzieści.

Odblokował urządzenie. Dwie kreski zasięgu, sieć 3G. Powinno się udać. Wybił numer alarmowy.

– Zaraz się połączę...

Cisza. Spojrzał na ekran, trwało łączenie.

– No i co? – Cała się trzęsła.

– Jeszcze chwila...

Telefon w dalszym ciągu usiłował nawiązać połączenie. „Dlaczego nie działa? Przecież jest zasięg!”

– Gustaw... Dlaczego nie odbierają?! – żądała odpowiedzi.

– Spróbujemy jeszcze raz.

Rozłączył się, ponownie wystukał dziewięć, dziewięć, siedem. „Łączę...”

Mogli tak czekać aż do śmierci. Należało zacząć działać. Nie przerywając połączenia, włączył latarkę. Wypatrzył na ziemi metalowy pręt. Ujął go pewnie w dłoń.

– Co robisz?! – dopytywała Patrycja. Była kłębkim nerwów: „Dlaczego się w ogóle na to zgodziłam?!”

– Szukam czegoś, co pozwoli nam otworzyć drzwi. – To była półprawda. W dalszym ciągu zamierzał wydostać się na zewnątrz, ale potrzebował też jakiejś broni. Kto wie, co dla nich przygotowała Julia.

– Dzwonisz na policję?!

– Dzwonię, dzwonię... – Rozejrzał się po hali. Za wysoko do okien, zresztą i tak trudno byłoby przez nie przejść.

Gołębie z zadumą obserwowały całą sytuację. Niczym widzowie w Koloseum wyczekiwały chwili, kiedy do gladiatorów dołączą głodne zwierzęta. Ciche gruchanie ptaków. Nieme oczy, bezgłośnie zainteresowanie.

– POMOCY! – krzyczała Patrycja. – NIECH NAS KTOŚ WYPUŚCI!

Uważaj, o co prosisz. Za drzwiami rozległy się czyjeś kroki.

– Ciii – poleciał Gustaw.

– RATUNKU! – Mecenas nie zważała na ostrzeżenia.

– Nie tak głośno! – poleciał chłopak. Złapał ją za usta.

– Co ty robisz?! – Wyrwała się. Sama w ciemnym magazynie, uwięziona z obcym facetem, o którym wiedziała tyle co nic. Świr, którego wywalili z prokuratury. Opętany jakąś dziwną obsesją, smutne spojrzenie kryjące Bóg–wie–jakie myśli.

– Jeszcze nas usłyszą – wyjaśnił.

– Przecież o to właśnie chodzi! POMOCY! – wrzasnęła.

Ktoś szarpnął z drugiej strony. Szczęk klucza, trzaśnięcie drzwi o ścianę.

– Na ziemię! – warknął surowy głos.

Światło latarki błysnęło im po twarzach.

– RATUNKU! – Patrycja wrzeszczała ile sił w płucach.

– Zostaw tę lagę! – krzyknął mężczyzna, dostrzegając uzbrojonego w metalowy pręt Gustawa. – Rzuć to na ziemię.

Chłopak nic nie widział. Oślepił go jasny blask halogenu. Czternaście tysięcy lumenów, wojskowy sprzęt, zasięg ośmiuset metrów. Światło tak jasne, że wypalało oczy.

– Odsuń się! – ostrzegł Gustaw. Wtedy też poczuł, że dostał gazem.

Wypuścił broń, metalowy pręt uderzył z trzaskiem o ziemię. Ostra woń pieprzu dostała mu się do nozdrzy, drapało go w gardle, oczy piekły jak cholera. W tym momencie dostał drugi raz.

– A masz, skurwielu!

Gustaw padł na kolana, dłońmi złapał się za głowę. Próbował się jakoś bronić, ale chmura dymu odbierała mu oddech. Dusił się.

– Gustaw! – krzyknęła Patrycja.

– Leżeć, kurwo! – warknął mężczyzna.

Mecenas zorientowała się, że komenda nie jest skierowana do niej. Nieznajomy miał na sobie czarny polar i ciemne materiałowe spodnie. Na ramieniu widniała trójkątna plakietka w kształcie tarczy.

– Aaa... – zawodził zwinięty w kłębek chłopak.

– Nic pani nie jest? Nic pani nie zrobił? – spytał ochroniarz.

Patrycja odzyskała zmysły.

– Proszę go zostawić, to pomyłka! – zawołała.

– Skurwiel przez całe życie będzie pamiętał, że to pomyłka! – fuknął mężczyzna, kopiąc Gustawa mocno w brzuch. Skórzany but. Dobrze, że nie włożył gланów.

– Niech go pan zostawi, do cholery jasnej! – wrzasnęła mecenas. Złapała napastnika za barki, starając się odciągnąć go jakoś od leżącego na ziemi studenta.

Ochroniarz oprzytomniał. Odszedł kilka kroków, poświecił latarką najpierw na Patrycję, później na chłopaka.

– Co to ma być, do kurwy nędzy?!

– Rzucił się pan na niego jak furia! – wrzasnęła dziewczyna.

– Bo panią gwałcił!

Patrycja wciągnęła głęboko powietrze. *Calm down, calm down.*

– To jakieś cholerne nieporozumienie – wyjaśniła. – Utknęliśmy w tym magazynie, ktoś wyłączył światło.

– A po chuja się tu włóczyliście?! – Ochroniarz wciąż miał bojowy nastrój, choć powoli i z niego uchodziło powietrze.

– Szukamy pracowni malarskiej. Dziewczyna nazywa się Loona.

Mężczyzna splunął na ziemię. Plemienny gest pojednania.

– To przecież zupełnie inny budynek. Tutaj pracuje taki pedzio, który lepi w glinie.

„Dodzwoniłeś się na numer alarmowy policji. Proszę czekać...” – Gustaw podniósł z ziemi telefon. Nacisnął czerwoną ikonkę.

– Ma pan jakąś wodę? Cholernie pieką mnie oczy.

*

Siedzieli w kanciapie ochroniarza. Stare szkolne krzesło przykryte poduszką i kocem, niewielki czarno-biały telewizorek. Takie coś musiało mieć teraz lepsze ceny na Allegro niż zwykły plazmowy wyświetlacz. Zabytek jeszcze z czasów świetności Unimoru.

Gustaw opłukiwał sobie twarz. Miał czerwone poliki, podrażnioną śluzówkę, przekrwione białka oczu.

– Tyle się tu kręci różnych złodziei... – podsumował mężczyzna. W średnim wieku, brak kilku przednich zębów, włosy na jeża.

– Ale musiał pan od razu gazem w niego ładować? – Patrycja pokręciła głową.

– Pani mecenas, to był stan wyższej konieczności. Nowy Port nie jest bezpieczną okolicą.

„Chyba raczej obrona konieczna” – pomyślał Gustaw. „I to nietrafiona”. Zachował tę uwagę dla siebie.

– Żyjesz jakoś? – spytała studenta.

– Jakoś...

Mężczyzna napił się kawy.

– Za kilka dni nie będzie śladu. Swoją drogą, po kiego grzyba trzymałeś tego dragala?

– Próbowałem otworzyć jakoś drzwi. Światło zgasło, nic nie widzieliśmy...

Ochroniarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ten cały Ptasznik ma licznik na kartę prepaidową. Jak nie zapłaci, to nie ma prądu.

– Po prostu mieliśmy cholernego pecha. Ja spanikowałam... – przyznała Patrycja. Wiedziała, że w przyszłości będzie opowiadać tę historię znajomym jako śmieszna anegdotkę.

– Wiadomo. Każdy by się zesrał w gacie.

GUSTAW

– Na pewno nie chce pani ze mną iść? Jesteśmy tak blisko.

– Na pewno. Na dzisiaj mam dość.

Stali przed taksówką. Pięcioletni volkswagen, czerwono-niebieskie logo korporacji, podłużny kogut na dachu. Patrycja trzęsła się z zimna. Cztery stopnie Celsjusza, odczuwalna minus trzy. Może to stres dawał jeszcze o sobie znać?

– Ja pójdę do tej Loony. Skrobnę pani SMS-a.

– Okej. To był ciekawy wieczór, Gustaw – przyznała młoda mecenas. – Ale chyba jednak wolę pracować z za biurka.

Chłopak się zaśmiał.

– Pani przynajmniej nie wygląda jak ofiara napalmu.

Żarcik rodem z filmów Coppoli. „Uwielbiam zapach napalmu o poranku”^[28]. *Sąd ostateczny* w Narodowym, *Czas apokalipsy* w kinie studyjnym. Cały świat zmierzał w stronę końca historii.

– Napisz mi potem, czy coś z tego wyszło.

– Oczywiście.

Trzasnęła drzwiami. Kierowca potwierdził właściwy adres w nawigacji i ruszył. Koła zakreśliły się w błocie, po czym wyjechały na dziurawą, żwirową drogę.

Gustaw stał tak jeszcze przez chwilę, obserwując znikające światła pojazdu. Później poszedł w stronę pracowni.

*

Naturalnie nikogo nie spotkał. Próbował przez dwa dni z rzędu, dopiero trzeciego dnia zastał dziewczynę na miejscu. Loona nie była Julią. Krótkie włosy obcięte na chłopaka, hinduska biżuteria, mocny, właściwie to zbyt mocny makijaż.

– Nawet nie wiesz, jak trudno cię znaleźć.

– Nie istniejesz w necie, nie istniejesz w realu – odparła artystka. – A ja bardzo kocham to, co nierealne.

Pokoik był niewielki, za to miał duże okno z widokiem na Martwą Wisłę. Dziewczyna zasłoniła szybę półprzezroczystą czarną kotarą. W powietrzu pachniało kadzidłem.

– Gadałem z twoimi znajomymi: Lucjanem i Izą.

Szperała w pamięci.

– Tacy hipsterzy ze starówki?

– Z Głównego Miasta – doprecyzował Gustaw. – Mają pracownię na Ogarnej.

Loona skinęła głową.

– Kojarzę. Robili parapetówkę, na której częstowano haszem. Spoko opcja. – Zaciągnęła się dymem z waporyzatora. Olejek CBD. Dzieciaki

kupują to gównem, bo myślą, że jarają legalne zioło. CBD, suplement diety bez żadnych właściwości psychoaktywnych. Podobno lekko uspokaja.

– No właśnie. Więc przeglądałem ich prace...

– Straszna nuda, co? – Dziewczyna oglądała jego buty. Zamszowe, lekko przetarte, półeleganckie. Podobno kobiety zawsze patrzą na buty.

– Ja się tam nie znam na takiej sztuce – odparł asekuracyjnie.

Loona usiadła po turecku. Jak jakaś buddyjska mniszka.

– To nie jest żadna sztuka. Wypruta z idei czysta forma, gwałt na energii, która krąży w kosmosie. Jak tylko tam weszłam, miałam ochotę nasrać na środku podłogi.

Ciekawa propozycja.

– Trochę chłodno.

– W chuj chłodno. Tak zimno, że można odmrozić sobie jaja. Albo pizdę. Chcesz? – Podała mu waporyzator. CBD, THC, jeden pies.

– Nie, dzięki. – Po wakacjach Gustaw postanowił skończyć z narkotykami. I z podróbkami narkotyków.

– Masz dobrą aurę – podsumowała Loona. – Poszukiwacz. Jesteś na tropie, pędzisz śladem białego króliczka niczym gończy pies.

Gustaw się zaśmiał.

– Rozgryzłaś mnie.

Malarka wstała z podłogi. Siedzieli na poduszkach; jak się nawalisz i spadniesz na ziemię, to nie boli tak bardzo, jakbyś się spierdolił z krzesła.

Na eklektycznej komodzie wyszperanej na jakimś śmietniku stał srebrny gramofon. Loona zdjęła z półki kwadratową kopertę trzysta dwadzieścia na trzysta dwadzieścia milimetrów. Wyciągnęła z niej czarną płytę, odpaliła sprzęt. Igła dotknęła winylowej powierzchni.

– Lubisz takie klimaty? – spytała.

Z głośnika popłynęła psychodeliczna muzyka. „One pill makes you larger, and one pill makes you small”^[29].

– To z jakiegoś filmu – ocenił Gustaw, który choć lubił stare piosenki, to nie kojarzył tego kawałka. Wstyd, wstyd, wstyd.

Marszowa perkusja, uwodzący dźwięk gitary.

– Pewnie z niejednego – odparła dziewczyna.

„Go ask Alice, when she’s ten feet tall”.

– Jakiś Tarantino?

Loona wzruszyła ramionami. Zaczęła powoli kołysać się w rytm melodii.

„And if you go chasing rabbits, and you know you’re going to fall...”

– Jesteś błędnym rycerzem, prawda?

– Słucham?

Czuł się cokolwiek dziwnie. Laska była zdrowo odklejona.

– Gonisz błękitny promień światła ginący na mrocznym horyzoncie płonącego świata...

Gustaw chrząknął.

– Coś w ten deseń.

Loona obróciła się do okna. Tańczyła, spoglądając na stoczniowy krajobraz.

– Czeka na ciebie po drugiej stronie lustra.

Nie wiedział, czy to ten olejek, kadzidło, czy naprawdę kręciło mu się w głowie.

– Kto czeka? – spytał zdezorientowany.

„When logic and proportion, have fallen sloppy dead...”

Malarka dotknęła dłonią twarzy. Odprawiała jakiś egzotyczny rytuał.

– Ten eon, który stale ci umyka.

– Eon? – powtarzał wyrazy, poruszając bezgłośnie ustami.

„And the White Knight is talking backwards, and the Red Queen’s off with her head!”

Piosenka zbliżała się do szczytowego momentu.

– Eon, a może tylko sekunda. Ty wiesz, za kim gonisz, a kto ci stale ucieka.

Cholerna wróżka.

– Ja... – Zadrapało go w gardle. Przez gaz pieprzowy stale dokuczała mu krtań.

„Remember what the dormouse said: Feed your head!”

Muzyka ucichła. Loona wyłączyła gramofon.

– Jak mogę ci pomóc? – spytała, wypuszczając z ust obfity obłok pary.

Gustaw sięgnął po komórkę. Odszukał w folderze zdjęcie obrazu, który znalazł w pracowni na Ogarnej.

– To twoja praca?

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Poznają ten tryptyk. Śmierć o trzech obliczach.

Kompozycja obrazu nie przypominała tryptyku. Może była to jedynie część większego dzieła?

– Podobno dałaś to Lucjanowi i Izie z okazji parapetówki – przypomniał student.

– Tak. Wspaniały twór. Turpizm, umiłowanie zła, dharmy piekielnego świata.

Bredziła od rzeczy, a jednak chciało jej się słuchać.

– Czy to ty go namalowałaś?

Loona pokręciła głową.

– Dostałam w prezencie od przyjaciółki. Prowadzi studio tatuażu w Sopocie.

– Masz może jej adres czy jakiegoś linka do strony...

Malarka ściągnęła ze sztalugi pokryty grubą warstwą fioletowej farby blejtram. Szukała pędzli, jakby nagle spłynęły na nią niespodziane podkłady natchnienia.

– Oczekiwanie na koniec... – mruknęła.

– Słucham?

– Kres sztuki jako początek nowego życia. Masz rację.

Zdrowo szurnięta babka.

– Pytałem o tę twoją koleżankę od obrazu – przypomniał się Gustaw. – Powiedziałaś, że ma studio tatuażu.

Dziewczyna ustawiła nowe płótno. Wzięła ołówek i prędko naniosła kontury geometrycznego wzoru.

– Tatuaż jest tak trwały jak życie – rzekła natchnionym głosem.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest to studio? Masz może jakiś adres?

Zdawała się nie słyszeć.

– Poczekaj chwilę, zaraz ci pokażę.

Głęboko westchnął. Potem oparł się plecami o brzeg szafy. Wiedział, że musi dać dziewczynie trochę czasu.

Naszkiecowanie zarysu nowego obrazu zajęło jej niecałe dwadzieścia minut. Tak się tworzy w transie. Przychodzi wena i nie możesz przestać. Potem padasz na łóżko jak po dobrym seksie. Papieroska?

– O co pytałeś? – rzuciła, jakby w ogóle wymazała z pamięci ich konwersację.

– Pytałem, czy mi pomożesz znaleźć to studio tatuażu w Sopocie.

Loona wyciągnęła telefon.

– Zaraz poszukam.

– Myślałem, że nie używasz komórki... – wypunktował Gustaw.

– Za kogo mnie masz, człowieku? Za jakąś nawiedzoną lunaticzkę?

Chłopak dyplomatycznie milczał.

– O, mam! – wykrzyknęła Loona, znajdując stronę studia. – Gdzieś tam jest adres. Laska ma na imię Julia.

KONRAD KROON

Prawdopodobnie siedziałyby na lotnisku aż do wieczoru, ignorując głód, niewygodę metalowej ławki i rozkręconą klimatyzację, od której piekły spojówki. Nie chciał wracać do pustego domu. Nie chciał rozstawać się z Zużą. „A co, jeśli nie wróci?” – dźwięczało mu gdzieś w tyle głowy.

Ślęczenie na lotnisku stanowiło naturalne przedłużenie pożegnania. Ciągle jesteśmy razem, nasz świat dalej określa wspólny mianownik. My.

Nieoczekiwane spotkanie z wujkiem zakłóciło działanie rytuału. Terminal przestał być bezpiecznym miejscem i należało jak najszybciej go opuścić.

Kroon wybiegł na zewnątrz, zapominając o zapięciu skórzanej kurtki. Nie znalazł na to czasu. Roślinożerne zwierzę przyłapanie przez drapieżnika rzuca się zawsze do ucieczki. Bezwarunkowa dezercja; może tak gonić, aż padnie na zawał.

Konrad opłacił bilecik, wsiadł do swojej czarnej fury. Chwila oddechu. Odpalił silnik, rozkręcił na maksa ogrzewanie. Minie kilka minut, zanim klimatyzacja wypełniabinę strumieniem gorącego powietrza. Nie ma na co czekać.

Wyjechał, nieomal wpadając w poślizg. Przymrozek w listopadzie? Normalna rzecz. Zaczynało zmierzchać, za miastem zawsze było nieco chłodniej. Szlaban wypuścił go na trasę. „Powodzenia, chłopaku”.

Grzał nie wolniej od innych, jeśli suszą, to najpierw będą musieli go złapać. *Wanted dead or alive*^[30]. Żywego go nie dopadną.

Tak naprawdę nie miał dokąd jechać. Złamany, zniszczony, bez jakiegokolwiek polisy na życie. Jeśli umykamy przed zagrożeniem, nogi niosą nas zazwyczaj do domu. No chyba że to z niego właśnie uciekamy.

Konrad nigdy nie miał prawdziwego domu; próbował stworzyć jego namiastkę, lecz kiepsko mu to wyszło. Źle ulokowane uczucia, szereg beznadziejnych decyzji życiowych. Mimo to pojechał prosto do Brzeźna. Strzeżone osiedle. Zaparkował w podziemnej hali, windą wjechał na trzecie piętro. Jeden plus jeden równa się trzy, jeśli dobrze to wszystko rozegramy. Czasem nawet i cztery. Synergia. W wypadku Kroona i Zuzy jeden plus jeden dalej równało się jeden i jeden.

Wszedł do mieszkania. Przerażliwa cisza nowoczesnego apartamentu. Estetycznie urządzone, bez kwiatów, dzieci i innych zbędnych dodatków. Nie trzeba wycierać tyle kurzy.

Włączył telewizor, odpalił radio i przenośny głośnik. Uruchomił czajnik, załadował pralkę. Wrzucił same czyste rzeczy, bo w koszu na pranie leżało jedynie kilka par skarpet i majtek. Hałas. Sztuczne życie, zabawa w dom.

Konrad cały czas widział wuja; za jego plecami przerażona twarz matki i rozwścieczony ojciec. Czyste zło. Jeśli krzywdzimy dzieci, nie znajdziemy łaski. Chrystus z obrazu Memlinga wskaże dłonią na swą lewą stronę, Święty Piotr z bocznego skrzydła nawet na nas nie spojrzy. Czyściec? Nie, proszę pana, tego się nie da doprać.

Kroon wszedł cichutko do sypialni, stąpał ostrożnie, niemal na palcach, jakby nie chciał nikogo obudzić. Ściągnął z łóżka wielką kołdrę w świeżo wykrochmalonej poszewce. Zarzucił ją na plecy i schował się pod biurkiem. Nakrył głowę puchową pościelą, zamknął oczy. „Tu mnie nie znajdzie” – pomyślał.

PATRYCJA RADKE

Patrycja wróciła do domu. Zamknęła starannie drzwi, podwójna gerda strzeże lepiej niż Anioł Stróż. Zatkąła odpływ w wannie, odkręciła ciepłą wodę. Wrzuciła do środka jakieś kolorowe kulki, piana zawsze pomaga wyssać z człowieka stres.

Otworzyła wino. Nie dla nagrody, nie dla uczczenia wielkiego sukcesu. Żadnych sukcesów na koncie. Musiała napić się wina. Kropka. Koniec przemyśleń.

Ściągnęła ubranie, jeansowe spodnie opadły na mięciutki łazienkowy dywan. Sweter, koszulka, skarpetki, stanik i majtki.

Dotknęła stopą wody: odrobinę za gorąca, idealna. Patrycja lubiła balansować na cienkiej granicy, po przekroczeniu której ciepło zamieniało się we wrzątek. Zsunęła się miękko do środka, mruknęła jak kot wygrzewający się na parapecie. Napiła się wina.

Świat powoli wracał na właściwe tory. Leżała tak, nie dopuszczając do głowy żadnych myśli. Uczyła się tego na jodze. Jeszcze nigdy nie udało jej się całkowicie oczyścić umysłu; tego wieczoru była czystą kartą. Pięć minut medytacji. Idealny błogostan.

Dopiero po pięciu minutach wyciszenia pozwoliła sobie na chwilę delikatnej refleksji.

– Czy mnie pojebało? Czy, do kurwy nędzy, mnie dziś pojebało?

Spoko oglądać seriale na Netflixie, fajnie czytać wydumane polskie kryminały. Żaden adwokat nie gania po mieście z klientem. Wyciągnąć go z ciupy, spoko, jechać na przesłuchanie na psiarnię – chleb powszedni. Chodzić po mieście i prowadzić prywatne śledztwo? Nie, nie, nie. *Bullshit*. Nikt tak nie robi.

Jak widzisz w telewizji, że adwokat, prokurator czy sędzia zapierdala po klubach, szukając zaginionego świadka widmo, to lepiej przełącz na kanał sportowy i idź sobie zrobić kanapkę. Takie rzeczy się nie zdarzają.

W gruncie rzeczy młoda mecenas poświęciła Gustawowi jedynie jedno popołudnie. Pojechali razem w dwa miejsca, niczego nie znaleźli.

Klienci zawsze próbują wciągnąć adwokatów w swoje gierki. Przede wszystkim na pierwszym spotkaniu ich okłamują. Jeśli papuga łyknie, to i prokurator łyknie. Po drugie namaszczają ich bierzmem sakramentu spowiedzi świętej. Jebać godzinówkę, jebać stawki i moją sprawę o oszustwo, żona mnie zdradza, co zrobić, żeby do mnie wróciła? Bo ja naprawdę ją kocham!

A do chuja wafla, panie, skąd mam wiedzieć, co zrobić? Mnie też stary dyma na każdy możliwy sposób, pięćdziesiąt lat, nie młodnieję, a skurwiel woli młode.

Patrycja Radke, od pół roku adwokat, od dwóch miesięcy właścicielka prywatnej kancelarii. Patrycja Radke, świeża jak awokado na barcelońskiej La Boquerii.

– Kurwa, zrobił ze mnie oślicę – szepnęła pod nosem. – Zakochał się w dziewczynie, na każdej ulicy czuje zapach jej perfum, a ja biegam po mieście jak debilka.

„Nic dziwnego, że tak mi nie idzie na Tinderze. Łykam wszystko jak młody pelikan” – pomyślała z niesmakiem.

Konrad Kroon miał rację. Prokurator Rejonowa miała rację. Starsza aspirant Justyna Flarkowska miała rację. Dziewczyna z depresją się zaćpała, wpadła do rzeki, *end of story*. Żadnych śladów zbrodni, motywu czy poszlak. No, jedna poszlaka. Tatuaż. Radke nie miała żadnego tatuazu. Zrobi sobie, jak znajdzie faceta. Albo nie zrobi. Chuj jeden wie.

GUSTAW

Gustaw stał przed wejściem do studia. Nie mógł poruszyć nogami.

– To tutaj – wycedził.

Po wyjściu od Loony wsiadł do tramwaju i pojechał do Wrzeszcza, tam przesiadł się na pociąg do Sopotu. Z kolejki ledwo co wyczłapał na peron; gdyby nie potok podróżnych, pewnie pojechałby dalej, w stronę Gdyni.

Julia. Jego miłość życia. Jego nemezis.

Studio tatuazu. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Ile mogło być takich miejsc w Trójmieście? Góra kilkadziesiąt. Mógł ją odnaleźć znacznie wcześniej. Porozmawiać, zaopiekować się, powstrzymać. Czy gdyby byli razem, Julia targnęłaby się na życie innej osoby? Czy nie chciała uciec?

Stał przed beżową kamienicą i w myślach analizował to wszystko raz jeszcze. Mógł tak czekać w nieskończoność.

„Teraz albo nigdy” – postanowił.

Zbiegł schodami, nacisnął na klamkę. Zadzwęczał dzwonek. Był w środku.

Studio urządzone w niewielkiej suterenie, kilkadziesiąt metrów od Monciaka. Na ścianach zdjęcia wydzieranych osób, w gablocie kolorowe kolczyki i akcesoria do piercingu.

Z drugiego pokoju wyszedł starszy koleś. Wąsy, druciane okulary, dużo biżuterii. Cztery dychy na karku. Jak nic.

– Co dla ciebie? – spytał familiarnie.

– Czy jest Julia? – Gustaw ledwo wydukał jej imię.

Mężczyzna zmierzył klienta wzrokiem. Przestraszony student, golf pod szyją, nie wyglądał na takiego, co nosi tatuaże. „Cicha woda brzegi rwie” – pomyślał.

– Jest zajęta, ma teraz kogoś. A co, byliście umówieni?

– Tak jakby...

Tatuator zastukał palcami o szklaną ladę. Na każdym z paliczków miał narysowany inny symbol. Karo, kier, pik i trefl. Na kciuku wielkie nic.

– Usiądź i poczekaj chwilę. Powiem, że jesteś. Jak masz na imię?

Co tu odpowiedzieć? Prawdę? A jak się przestraszy i ucieknie? Może z tyłu jest jakieś inne wyjście?

– Maciek. – Zupełnie bez polotu. Maciuś z *Klanu*, co się, co się, co się stało. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Spoko. Klepnij sobie. Chcesz coś do picia?

– Nie, dzięki.

Usiadł na sofie. Wąskie siedzisko, twarde oparcie, za to fajny design. Na szklanym stoliku leżały katalogi wzorów. Otworzył jeden z nich, chwilę poprzeglądał, później odłożył na miejsce. Nie chciał tracić czujności.

Czekał tak ledwie kwadrans, znaczy pół dekady. Długo czekał. Zjadał go stres, układał sobie w głowie, co jej powie. „Złapałem cię, teraz już się nie wywiniesz. Policja jest na twoim tropie”. Serio? Czy o to mu chodziło? Zabawa w porucznika Columbo? Przecież tak naprawdę chciał ją tylko pocałować. Przytulić i już nigdy nie wypuścić.

– Co tam? – spytała dziewczyna, która wyszła z sąsiedniego pokoju. Anorektycznie szczupła, wysoka, duże zielone oczy. Nic się nie zgadzało.

– Ty jesteś Julia? – nie dowierzał.

– Nom. W czym mogę ci pomóc?

Kolejny ślepy zaułek. Gonił króliczka, ale trafiał wciąż nie do tej nory, co trzeba. Alicja miała więcej szczęścia.

Podwinął rękaw koszuli.

– Co sądzisz o tym tatuażu?

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Spoko czcionka. No a powiedzonko? Ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Milion znaczeń.

– Taki żarcik z wakacji – wyjaśnił.

– Chciałbyś go czymś pokryć? Raczej nie robię takich rzeczy...

Cały szkopał z tatuażami, że zostają na zawsze. Znaczą aż do śmierci. W dwudziestym pierwszym wieku, w czasach tak wielu ulotnych relacji, ludzie z niewiadomych powodów decydują się na oznaczenie swych ciał znakiem trwalszym niż jakakolwiek przysięga. Nie znoszę zobowiązań, ale z chęcią się wydziaram.

– Robiłaś kiedyś coś podobnego? Albo znasz kogoś, kto robi takie rzeczy?

– Kogoś, kto pokrywa tatuaje? – dopytywała dziewczyna.

Gustaw pokręcił głową.

– Kogoś, kto robił taki tatuaż. Kto dziarał taki napis?

Wzruszyła ramionami.

– Nie przypominam sobie. Nie, na pewno nie. Śmieszne powiedzonko, na bank bym zapamiętała.

– Kumam – odparł student. – W takim razie mam jeszcze jedno pytanko. – Wyciągnął telefon, włączył zdjęcie obrazu znalezionej w pracowni Izy i Lucjana. – Wiesz, kto to namalował?

– No – odparła tatuatorka. – Ja. A co?

Dziewczyna znajdowała się w połowie drogi między zainteresowaniem a irytacją. Gustaw zachowywał się jak domorosły detektyw, ona właściwie była zajęta.

– Dlaczego to namalowałaś? – Palnął. To było najgłupsze pytanie na świecie.

Julia zrobiła zniesmaczoną minę.

– Co to w ogóle za pytanie? Koleś, czego ty właściwie chcesz?

Należało prędko zmienić taktykę albo pożegnać się z ostatnim, szybko blaknącym śladem.

– Znałem kiedyś jedną laskę, która malowała takie same obrazy jak ty. To znaczy bardzo podobne. Też miała na imię Julia.

– No i? – Zastanawiała się, czy nie iść po kolegę, żeby wyprosił upierdliwego klienta.

– Czy jakimś cudem nie znasz innej Julii, która tworzy takie obrazy?

Pokręciła głową.

– Odklejony jesteś, co?

Złożył dłonie jak do modlitwy. Błagalny gest, nic więcej mu nie zostało.

– Powiedz, proszę, dlaczego to namalowałaś? Czy chodzi o Memlinga?

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Gustaw zachowywał się jak opętany niebezpieczną obsesją stalker.

– Ziomuś, odpowiem ci na to jedno pytanie, a potem spierdalasz. Zgoda?

Oczywiście przystał na jej propozycję bez wahania.

– Pewnie...

Dziewczyna wyciągnęła komórkę. Teraz to ona wpisała coś w wyszukiwarce. Pokazała Gustawowi telefon.

– Jest taki japoński malarz Asahi Sato. Inspiruje się starymi horrorami, mega w klimacie. To jego obraz.

– Znaczy? – Gustaw czuł się cholernie zagubiony.

– Pół internetu maluje ten motyw. Oczywiście jak ktoś lubi horrory. To jak *Słoneczniki* van Gogha, każdy pierwszy lepszy student ASP je kiedyś namalował.

– Czyli po prostu namalowałaś coś, co zobaczyłaś w internecie?

Skinęła głową.

– Dokładnie tak, mistrzu.

– I nie inspirowałaś się Memlingiem?

Zaprzeczyła. Schowała telefon do kieszeni, wymownie spoglądała na drzwi.

– Ni chuja.

Gustaw szukał dobrego pytania. Czuł, że czas mu się kończy, a on dalej nic nie wiedział. Czyżby dotykał właśnie ściany? Ślepy zaułek, ot tak? Niewłaściwy trop, żadnego związku z morderstwem, żadnego powiązania z jego Julią?

– A czy myślisz, że jest szansa, że ktoś jeszcze inspirowane pracami tego Sato?

– Typie, przecież tłumaczę ci to jak chłop krowie na miedzy: pół internetu to maluje. Asahi Sato to guru undergroundowego horroru. Pewnie parę tysięcy ludzi dziennie przerysowuje z sieci ten obrazek. Megaznany motyw.

Vestigium to średniowieczna instytucja prawna nakładająca na całą wieś obowiązek schwytania zabójcy lub rabusia złapanego na gorącym uczynku. Mieszkańcy Opola byli zobligowani do „gonienia śladem” przestępcy, aż do granic sąsiedniej wsi. Jeśli tego nie zrobili, ponosili zbiorową

odpowiedzialność za jego czyny. Z czasem instytucja „śladu” przeszła na władze publiczne: kasztelanów, justycjariuszy czy wojewodów.

Gustaw Kolasa, student trzeciego roku prawa, stał u bram sąsiedniej wsi, widząc, jak sprawczyni właśnie przekracza graniczną rzekę. Julia odwróciła się do Gustawa i pomachała z oddali. Widział jej wielkie, wypełnione kosmosem, lekko skośne oczy. Czuł zapach jej perfum. „Spierdoliła do Kanady, szeryfie. To już nie nasza jurysdykcja”.

[28] Cytat z filmu *Czas apokalipsy*, reż. F.F. Coppola, USA 1979.

[29] Jefferson Airplane, *White Rabbit* (piosenka), *Surrealistic Pillow*, 1967.

[30] Poszukiwany żywy lub martwy (ang.).

CZĘŚĆ CZWARTA

KRZYCZ, JEŚLI ŻYJESZ

ROZDZIAŁ 20 | LISTOPAD

PATRYCJA RADKE

Patrycja szła z przystanku autobusowego w stronę kompleksu trzech betonowych budynków. Podróż komunikacją miejską zajęła jej prawie godzinę. Paradoksalnie do Sądu Gdańsk-Północ najłatwiej było dotrzeć z dzielnic południowych. Idziesz pieszo na tramwaj, potem przesiadasz się na kolejkę, dziesięć minut czekania na skład, autobus właśnie uciekł, chwila na przystanku, potem kolejny kwadrans i już po chwili od celu dzielą cię cztery przejścia dla pieszych. Czego nie rozumiesz?

Przebiegła przez zebre, minęła myjnię samochodów i chwilę później skręciła w prawo. Droga wewnętrzna, wąskie gardło w podróży po sprawiedliwość. Trzy bliźniacze budynki, dwa należące do sądu i trzeci mieszczący siedziby prokuratur rejonowych.

Mecenas Radke dostała swoją pierwszą urzędówkę. Czy to fartem, czy dzięki uprzejmości znajomej asystentki, której poskarżyła się na swoją kiepską sytuację finansową, mniejsza o to. Miała robotę. Czteryście dwadzieścia złotych za to, że pokaże się w sądzie, zapozna z aktami. Osiemdziesiąt cztery złote za każdy kolejny termin rozprawy. Niby niedużo, ale grosz do grosza... Kwa, kwa, kwa. Odkładaj dziennie dziesięć złotych, a za dwieście lat kupisz własne mieszkanie.

– Pani mecenas, dzień dobry! – Miły, głęboki głos.

Kroon stał oparty o stolik do sporządzania pism procesowych. Niedbale narzucona na plecy toga odkrywała elegancki garnitur. Wysokie skórzane sztyblety, kobiety zawsze oceniają facetów po butach. Czyste, lśniące, wypastowane. Buty za tysiąka.

– Dzień dobry – odparła zmieszana Patrycja. Przystojny prokurator onieśmiał ją swoją pewnością siebie. Metr osiemdziesiąt pięć, żadnego zbędnego grama tłuszczu. Trzy ligi wyżej od niej.

– Jak się pani słuchało z Flarkowską? Słyszałem, że nie odpuściła pani ani jednego świadka.

Delikatnie uniosła kąciki ust.

– Rodzina jest wyjątkowo zaangażowana w tę sprawę. Zależało jej na mojej obecności.

Półprawda. Rodzice powoli godzili się ze śmiercią córki. Zrozumieli, że miała problemy, których oni w porę nie dostrzegli. Nie mogli sobie tego wybaczyć, ale winą obarczali głównie siebie. Pogrzeb wiele pomógł w tym zakresie. *Sicut in caelo, et in terra*^[31]. Nikt zdrowy nie odbiera sobie dobrowolnie życia.

– Rodzina i mój były praktykant – zauważył Kroon.

Skurczybyka nie oszukasz.

Patrycja spoglądała w oczy prokuratora i zastanawiała się, czy istnieje jakaś tajemnica, którą mogłaby przed nim ukryć. Ciemne tęczęwki, przenikliwe spojrzenie. Wyjątkowo mało mrugał.

– Tak, pan Kolasa mówił mi o swojej teorii. Należałoby zgłębić wątek Julii... – Chciała brzmieć profesjonalnie. Próbowwała z nim gadać jak równy z równym, ale gdzieś tam w głębi skóry czuła, że nie ma do Kroona żadnego podjazdu.

– Pani mecenas, akta zdążyły już do mnie wrócić. Czytałem protokoły. Dostałem dokumentację medyczną. Wątek Julii to plamy na Księżycu.

Kroon zgrywał twardziela. Maską arogancji tak mocno przywarła do jego twarzy, że nikt nie był w stanie dostrzec, co kryło się pod kilkucentymetrową warstwą udawanej pewności siebie. Przystojny, bezczelny, inteligentny. Trafnie dobierał argumenty, bezlitośnie wytykał nieścisłości. Trudno z kimś takim prowadzić skuteczną polemikę.

W rzeczywistości prokurator wielokrotnie wracał myślami do sprawy Weroniki Zatorskiej. Przeglądał zdjęcia, raz po raz czytał te same protokoły. Gdyby tylko coś poczuł... Gdyby znajomy głos podsunął mu jakiś, najmniejszy nawet, ślad...

Kroon miał analityczny umysł i niesamowity szósty zmysł. Ten pierwszy nie widział w samobójstwie Zatorskiej niczego nadzwyczajnego, ten drugi uparcie milczał. To była zwyczajna sprawa. Żadnego drugiego dna. Julia nie chciała nikogo obudzić. Nie miała związku z samobójstwem dwudziestoletniej Weroniki. Kroon musiał uciec w profesjonalizm. Zebrał wszystkie dowody, poddał je surowej, logicznej ocenie. Z prawidłowych przesłanek zawsze wyciągał prawdziwe wnioski. Prosty stan faktyczny. Żadnych niedopowiedzeń. Żadnego związku ze sprawą młodego Kolasy.

Ucieczka w profesjonalizm. Tylko tyle mu pozostało.

– Plamy na Księżycu – powtórzył Kroon.

– No niby tak... – jęknęła.

Gustaw przyszedł do jej kancelarii od razu po wyjściu z salonu tatuażu. Opowiedział jej o japońskim malarzu, wizycie u Loony, o tym, że chyba pomylili nieco trop.

Pomylić trop, a przez kilka dni biegać po mieście i przesłuchiwać przypadkowych ludzi, to dwie zupełnie inne sprawy. Patrycja była na niego trochę wkurzona, przede wszystkim miała jednak żal do samej siebie. Dała

się wciągnąć w jakąś głupią gierkę, zrobiła z siebie idiotkę. Na szczęście jedyną rzeczą, jaką straciła, był czas, a tego akurat jej nie brakowało.

– Dzisiaj albo jutro umarzam sprawę. Wszystko zostało wyjaśnione, mam nadzieję, że to pani rozumie.

Konrad musiał podjąć tę decyzję. Nie mógł ciągnąć śledztwa w nieskończoność. Uparcie szukał w swoim sercu Julii, lecz jej nie znalazł. Wzywał wrodzone supermoce, ale szósty zmysł nie dawał żadnego znaku. Została mu jedynie logika.

– Tak, rozumiem – przyznała Radke.

Kroon podszedł bliżej. Nachylił się nad nią, czuła na policzku jego ciepły oddech.

– Pani mecenas, naprawdę pani rozumie? Czy może za kilka dni zobaczę na biurku cierpkie, kwaśne zażalenie?

Próbowała coś odpowiedzieć, ale nagle zaschło jej w gardle. Obiecała Gustawowi wyjaśnić wątek Julii, zrobiła z siebie idiotkę. Teraz stała sam na sam przed ostrym jak brzytwa prokuratorem i miała mu się przeciwstawić.

Gustaw zaszył się u siebie w domu. Często tak miał, że w chwilach kryzysu po prostu zapadał się pod ziemię. Nie wstawał z łóżka, rodzicom nakłamał, że jest przeziębiony. Po każdej manii przychodzi moment załamania. Im wyższa górką, tym głębszy dołek. Gustaw Kolasa leżał na samym dnie emocjonalnego wąwozu.

– Panie prokuratorze, rozumiem. Wątek Julii jest ciekawy, ale skoro nic się nie da zrobić...

– Pani mecenas. – Prawie ją objął. Myślała, że chce się przytulić, ale Kroon po prostu zakładał tokę. – Zawsze można dalej drążyć. Kopać głębiej, wykonać kilka dodatkowych czynności. Można by na przykład przesłuchać te dzieciaki od Kolasy. Wtedy wiedzielibyśmy, czy tylko on miał fioła na jej punkcie, czy naprawdę dziewczyna ryła ludziom berety.

Ale szansa, że znajdziemy jakiś ślad, jest jedna na milion. Albo mniejsza. Zatorska miała myśli samobójcze i odebrałaby sobie życie bez względu na to, czy istniała jakaś mityczna Julia. A proszę mi wierzyć, wiem coś o niebezpiecznych kobietach. – Szturchnął ją lekko w bok. – Pani mecenas, lecę na salę. Pomyślności!

GUSTAW

Gustaw zaszył się w swojej norze. Nie podnosił rolety, odczuwał silny światłowstręt. W zeszłe wakacje nieopatrznie spojrzął w gwiazdy. Skąpany w pysze odważył się lecieć zbyt blisko słońca. Nie należał do rodu herosów, bogów ani tytanów. Spadał z wysoka, poobijał się niemiłosiernie.

Julia go pokonała. Położyła na macie, znokautowała. Ale zamiast odejść bez słowa, rzuciła niedbale za siebie: „Tylko na tyle cię stać?”.

Gdzieś tam czaił się samotny, przeoczony ślad. Drobnny szczegół, przemycony przez podstępного narratora. Niewielka wskazówka, która powinna zapalić czerwone światło. No bo jeśli wieszka się na ścianie strzelbę, to przecież trzeba nią w końcu kogoś zastrzelić.

PATRYCJA RADKE

Sprawa Weroniki Zatorskiej przyciągała niepokornego studenta trzeciego roku prawa niczym magnes. Patrycja ledwie godzinę temu otworzyła list z sądu zawierający postanowienie o umorzeniu śledztwa, a Gustaw już wieszkał w kancelarii swój poliestrowy płaszcz z sieciówki.

– Zapadłeś się jak kamień w wodę.

– Bardzo przepraszam, pani mecenas, to jakaś silna infekcja. – Blef. – Nie chciałem pani zarazić.

Patrycja włączyła czajnik.

– Dobrze, dobrze. Ja nie mam chorobowego, wolałabym nie leżeć w łóżku.

Luksusy własnej działalności. Kilkadziesiąt złotych z ZUS-u za tydzień z grypą.

– Jak tam nasze sprawy?

Nasze sprawy. Nasza Klasa, *Nasza szkapa*, nasze sprawy. Patrycja prowadziła kilka postępowań, Gustaw interesował się wyłącznie jednym. „Jak tam sprawa Zatorskiej?” – należało spytać. „Jak sprawa Julii?” – grało mu w sercu. „Czy w końcu ją znaleźli?”

– Wyznaczono termin w alimentach Malickiej...

– A coś w śledztwie Weroniki? – Nie owijał w bawełnę. Silny atak manii.

– Dostałam dzisiaj umorzenie.

Gustaw niemal wyrwał jej dokument z ręki. Najpierw przeczytał go na stojąco, szepcząc coś pod nosem, później opadł na fotel.

„Nie przeszkadzaj sobie” – pomyślała. Usiadła przy komputerze, negocjowała coś ze specem od reklam internetowych. Adwokatom nie wolno korzystać z tej formy promocji, ale samorząd zawodowy póki co ignorował zupełnie zjawisko wirtualnego marketingu. Patrycja pilnie potrzebowała klientów.

– Przeoczyli coś – oświadczył Gustaw.

Spojrzała na niego. Jak młody Mickiewicz. „Młodości! dodaj mi skrzydła! Niech nad martwym wzlecę światem W rajska dziedzinę ułudy: Kędy zapał tworzy cudy, Nowości potrząsa kwiatem I obleka w nadziei złote malowidła”^[32].

– Co przeoczyli?

– Nie wiem! – wykrzyknął z dość nieadekwatną do tego wyznania ekscytacją.

– Okej... – Każda normalna dziewczyna uznałaby, że ma do czynienia ze świrem. Patrycja nie umiała tego wytłumaczyć, ale chciała zrozumieć świat Gustawa. Dzielić ten szaleńczy entuzjizm, ogrzewać się tym samym żarem.

– Rozumie pani? Ani ja nie wiem, co przeoczyli, ani pani tego nie wie!
Zaśmiała się serdecznie.

– Mów trochę jaśniej. Co ci chodzi po głowie?

Przysunął się do niej. Znowu płonął.

– Ten teatr ma wielu bohaterów. Jak idiota myślałem, że przedstawienie rozpisano tylko dla jednego aktora... Są szczegóły. Niezauważalne, przemycone pomiędzy wierszami...

– Gustaw. – Złapała go za dłonie. Miękkie, delikatne dłonie młodego mężczyzny. – No gadaj, co tam wykombinowałeś!

– Obrazy, tatuaż, książka... musiało zdarzyć się coś więcej! Umknął nam jakiś symbol, jakieś miejsce! Jestem przekonany, że rozwiązanie zagadki kryje się gdzieś na kartach tego umorzenia. – Przejechał dłonią po powierzchni dokumentu. – Nie musimy szukać nowych tropów, a jedynie zbadać stare. Tak działa Julia. Już dawno podrzuciła nam wskazówki, ale my ich nie dostrzegliśmy. Nikt ich nie dostrzegł.

Patrycja miała ochotę go przytulić. Wtulić się w jego zmechacony golf, wejść do tego pokręconego świata, który szalał mu w głowie.

– No ale jak chcesz dostrzec coś, czego nikt nie może zauważyć?

Czekał na to pytanie.

– Julia, Wiktor, Sonia, Natalia i ja. Pięć tatuaży. Pięć osób połączonych jednym znakiem. Może nie widzę szczegółów, bo sam stanowią część układanki?

– No to pogadaj z nimi...

– Gadałem. Wtedy we wrześniu, kiedy szukałem Julii. Ale rozmowę musi poprowadzić ktoś inny. Ktoś spoza naszej grupy.

– Gustaw, nie będę już więcej biegać po mieście.

– Niech zrobi to Kroon. Albo ta policjantka. Proszę napisać zażalenie!

Młoda mecenas poczuła lekki dyskomfort. Pamiętała swoją rozmowę z prokuratorem, przesłuchania Flarkowskiej. Wtedy wiedziała, że racja leży po ich stronie.

– Gustaw, ja nie mogę...

Złapał ją za dłonie. Teraz to on przejął pałeczkę. Patrycja poczuła dreszcze.

– Perspektywa. Tego nam cały czas brakowało. Ktoś musi zebrać nas razem: Wiktora, Sonię, Natalię i mnie. Spojrzeć na nas z góry. Jak na rysunki z Nazca.

Tajemnicze linie namalowane na pustyni Sechura w Peru. Dwadzieścia centymetrów głębokości, metr szerokości. Dzieło kosmitów lub Indian. Jedna z niewyjaśnionych zagadek ludzkości.

– Oni na to nie pójda. Gadałam z Kroonem...

– Pani mecenas. – Spojrzał jej w oczy. Wzrok pełen nadziei, zaufania i zrozumienia. Gustaw czuł, że Patrycja znajduje się po tej samej stronie. – Musimy poruszyć niebo i ziemię. Rozmawiałem z nimi wszystkimi, kiedy szukałem Julii. Wtedy nie wiedziałem o morderstwie Weroniki. Dopiero w październiku otworzyła się ta zapadka. Proszę mi obiecać, że da mi pani jeszcze jedną szansę!

– Gustaw, to się nie uda. – Chciała pobiec za Gustawem na przekór wszystkiemu, co szeptał jej rozum. Wbrew prawom logiki. Zdrowy rozsądek wciąż krzyczał: *retreat, retreat!*^[33]

– To musi się udać!

– Boże, chłopaku...

[31] Jako w niebie, tak i na ziemi (łac.), fragm. *Modlitwy Pańskiej*.

[32] A. Mickiewicz, *Oda do młodości*, w: tegoż, *Wybór poezji*, Wrocław 2016.

[33] Odwrót, ucieczka (ang.).

ROZDZIAŁ 21 | LISTOPAD

SZYMON

Zielona piłka przelatywała z ogromną prędkością nad pokrytym sztuczną trawą kortem. Szymon przykładał się do każdego uderzenia: grał praktycznie od dziecka, miał niezłą technikę, do tego był całkiem wysportowany. Trzysta lat temu każdy dobrze urodzony młodzieniec musiał umieć posługiwać się szpadą lub szablą; dziś miejsce szermierki zajęły tenis i squash.

Szymon wyglądał na niezwykle skupionego. Jego beznamiętne oczy nie zdradzały żadnych emocji, tak w grze, jak i prywatnym życiu. Urodzony introwertyk.

Od wygranej dzielił go ostatni punkt. Jedna celna piłka, nieodebrany serwis, drobny błąd przeciwnika. Zamachnął się rakieta i uderzył z całej siły. Gumowy pocisk przeleciał tuż nad siatką, trafił pole ledwie kilka centymetrów od linii i pognał dalej, gwałtownie zmieniając trajektorię lotu.

– Szlag! – Oponent nie zdążył odebrać piłki.

– Pozamiatane! Szach-mat, panie Kielrowski! – podsumował starszy mężczyzna siedzący na plastikowej ławeczce.

Grali amatorsko, prywatne zawody zorganizowane na potrzeby małego sportowego klubu. Mimo to wszyscy uczestnicy niezwykle przeżywali

turniej.

– Ja pierdolę, jak się zmęczyłem – zaklął Kielrowski i sięgnął po butelkę z napojem izotonicznym.

– Mówiłem ci, Krzysiu, starość nie radość. Młody jest dobry, a poza tym ma, kurwa, dwadzieścia lat. Ale zobaczysz. W moim wieku nawet nie stanąłbyś z kimś takim na korcie.

W międzyczasie do zawodników dołączył zwycięzca turnieju. Wysoki, przystojny, pewny siebie. Mokre od potu kręcone włosy trzymała w ryzach markowa opaska frotte. Odłożył raketę na stół i podał przeciwnikowi dłoń. *Fair play*. A przecież nie zawsze grał czysto.

– Gratuluję, Szymuś. Walczyłeś jak lew – powiedział Kielrowski, niezbyt wprawnie kryjąc swoje niezadowolenie z przegranej.

– Dziękuję, panie prokuratorze – odparł młodzieniec.

– A już skończcie wy wszyscy z tym panem prokuratorem! – mruknął Kielrowski.

– Po prostu młody cię szanuje – powiedział ze śmiechem trzeci z zawodników. – Ojciec nauczył go kindersztuby. Krukowscy to porządna rodzina. Mecenasi kultury, odcytani, światowi... Widziałeś, Krzysiu, tę wystawę w Łażni, którą zorganizował tata Szymka? No pierwsza klasa! Rzeźba nowoczesna. Dla mnie trochę zbyt pokręcona, takie, wiesz, fiki-miki, ale... no, no... Wprawdzie moja Helenka była nieco zniesmaczona, jak zobaczyła gipsowe dziecko z głową ropuchy albo ciężarną z rozkrojonym brzuchem...

– Heniu, ja, kurwa, nie mam czasu ganiać po galeriach. Jak będę na emeryturze tak jak ty, to może się skuszę.

Mężczyzna mlasnął z niesmakiem.

– Przecież twój ojciec był architektem.

– Twój był, kurwa, wędliniarzem. I co z tego?

Nastała niezręczna cisza. Starszy zawodnik wstał z ławki, zarzucił na siebie kurtkę i chwycił torbę na rakiety.

– Puściły ci nerwy, Krzysiu, bo przegrałeś. Ale takie wycieczki osobiste to ja sobie wypraszam. – Ostentacyjnie obrócił się na pięcie i poszedł.

Kieltrowski nie odpowiedział. Został sam na sam z młodym Szymonem Krukowskim.

– Słuchaj... – zaczął czterdziestoletni prokurator. Sięgnął do plecaka, z którego wygrzebał grubą, poźółkłą teczkę. – Mam to, o co mnie prosiłeś.

Szymon przejął tajemniczą przesyłkę.

– Będę panu dłużny.

– Oczywiście, że będziesz – przyznał Kieltrowski. – Ale nie bój się, nie zapomnę.

– „Lannisterowie zawsze spłacają swoje długi”^[34]. – Choć młodzieniec żartował, na jego twarzy nie pojawił się żaden, nawet najmniejszy grymas.

Prokurator spojrział mu głęboko w oczy.

– To będzie pokaźna wierzytelność, Szymuś.

KONRAD KROON

– Co za dwulicowa żmija! – warknął Kroon, zapoznając się z grubym plikiem dokumentów.

– Są coraz gorsi. Im młodszy, tym gorsi. Stary adwokat by ci tego nie zrobił – oznajmiła Magdalena Rzeplińska, szefowa wrzeszczańskiego rejonu. – Dajmy na to taki mecenas Wykopkowski. Przedwojenna kindersztuba.

Siedzieli w gabinecie Rzeplińskiej. Oprócz Kroona w rozmowie uczestniczyła prokurator Barbara Nowicka. Trzech doświadczonych

śledczych, jeden parszywy zbuk. Śmierdzące zgniłe jajo, którego odór za chwilę rozejdzie się po wszystkich korytarzach.

Do sprawy Weroniki Zatorskiej wpłynęło zażalenie na postanowienie o umorzeniu śledztwa i skarga na prokuratora Kroona. Wyjaśnijmy, w czym rzecz.

Niemal na każdą decyzję wydawaną przez prokuraturę przysługuje zażalenie do sądu. Normalna sprawa. Prokurator wydaje postanowienie, strona się z nim nie zgadza, sąd rozstrzyga, kto ma rację. *Nothing personal*.

Postępowanie skargowe to zupełnie inna para kaloszy. Pisząc skargę, nie chodzi nam o to, żeby zmienić decyzję i postawić na swoim. Chodzi o to, by zrobić jak najwięcej smrodu. Osobiście dopieć prokuratorowi. Przeczłołgać go po ziemi, zawlec przed oblicze przełożonych. Niech się tłumaczy. Niech poczuje ten ból.

Skarga nie koncentruje się na tym, by wpłynąć na sposób prowadzonego postępowania, inaczej ocenić materiał dowodowy. Skarga to szrapnel, który rani na oślep.

Adwokaci właściwie nigdy nie składają skarg na prokuratorów; to działanie niegrzeczne, niekulturalne, niehonorowe. Prawdziwi rycerze tak nie postępują. Pojedynkujemy się na szpady, jedynie barbarzyńca wyciągnie w tej sytuacji maczetę. Na skargę naprawdę należy sobie zasłużyć: arogancją, złośliwym naruszaniem praw klienta, ignorowaniem swoich obowiązków.

Obiektywnie Kroon nie zasłużył na skargę. Zrobił wszystko jak należy; jeśli młoda mecenas miała inne zdanie, mogła skierować do sądu zażalenie. Patrycja wiedziała, że siłę jej argumentów charakteryzuje wyjątkowa leciwość intelektualna. Każdy sąd przyznałby rację doświadczonemu prokuratorowi. *Roma locuta, causa finita*^[35]. „Sąd Rejonowy Gdańsk-Północ w Gdańsku postanowił utrzymać w mocy zaskarżone

postanowienie” – brzmiała fraza, której tak bardzo lękała się młoda mecenas. Patrycja nie chciała jej usłyszeć. Musiała grać nieczysto.

– Ja pierdolę, Magda, to jest tyle pisania...

– Coś ty jej zrobił, Konrad? Nie chciałeś umówić się na kawę? – zażartowała prokurator Nowicka.

– Baśka, za chwilę grudzień, ty masz ten swój zabieg, zostawisz mnie z całym syfem i jeszcze skarga od jakiejś pieprzonej papugi...

Prokurator Rejonowa spojrzała w pismo. Zmarszczyła czoło.

– Serio powiedziałeś jej w sądzie, co należy jeszcze zrobić w sprawie? A potem umorzyłeś postępowanie?

– Kurde, Magda! Ja gdybałem! Mówiłem retorycznie!

Prokurator Nowicka dopiła kawę.

– Konrad, nasz gaduła... – Zachichotała.

Kroonowi nie było do śmiechu.

– Tak tu napisała – zauważyła szefowa.

– Jak ja nie znoszę takich dwulicowych gadów! Serio. To chyba Hoffman powiedział, że tylko jednego nie toleruje: dobrowolnego skurwysyństwa.

Obecne w pokoju kobiety wybuchły śmiechem.

– A to nie Maklakiewicz? – dopytała Nowicka.

– Mniejsza o to, Baśka, Konrad musi z tym coś zrobić – postanowiła szefowa.

– Nic nie muszę – zaparł się Kroon.

– A jak cię nagrywała? – Magdalena Rzeplińska herbu Zajęcze Serce.

Kroon spoglądał przez duże okno na pobliski staw. Dziki, zarośnięty, zupełnie niepasujący do okolicznych blokowisk. Kawalek natury wydarty wsi i rzucony w samo serce wielkiego miasta.

– Mam to gdzieś – fuknął śledczy.

Prokurator Rejonowa pokręciła głową. Codziennie rozwiązywała kilka nieoczekiwanych problemów, nie potrzebowała kolejnych. Lepiej zdusić ogień w zarodku. Jeśli młoda mecenas była na tyle bezczelna, by oprócz zażalenia składać personalną skargę na Kroona, mogła posunąć się jeszcze dalej.

Magdalena Rzeplińska kalkulowała wszystko na chłodno.

Tak czy siak, należało wykonać czynności w postępowaniu skargowym. Pytanie: ile poświęcić na nie czasu? Spisywać wszystkie notatki i wyjaśnienia rzetelnie, a przede wszystkim obszernie – tak jak tego wymagały reguły sztuki? Czy może skrobnąć kilka okrągłych zdań i wrzucić teczkę do szafy?

Młodej adwokat zależało na prowadzeniu śledztwa w sprawie śmierci Weroniki Zatorskiej. Pewnie chciała się wykazać przed klientami, bo chyba nie była tak głupia, by wierzyć w brednie o tajemniczej Julii. Wątpliwe, by chciała zaszkodzić Kroonowi dla własnego widzimisię. W takim wypadku wystarczyłoby po prostu przesłuchać kilka dodatkowych osób. Żadna praca.

Można też było iść na zwarcie. Bronić decyzji Kroona i czekać, kiedy mecenas Radke znów zaatakuje. Najpewniej uderzyłaby do mediów lub, co bardziej prawdopodobne, bezpośrednio do prokuratury okręgowej.

Szefowa wiedziała, że Kroon poprowadził postępowanie modelowo. Był jej najlepszym prokuratorem i choć ostentacyjnie wzbraniał się przed pracą, to w rzeczywistości przykładał się do każdej nadzorowanej sprawy. Głośno krzyczał, że ma wyjebane, a później dłubał jak mrówka. Bezczelny i piekielnie inteligentny. Zabójcze połączenie.

W śledztwie Zatorskiej Konrad zrobił więcej, niż musiał. Akta postępowania można było wysłać do Krajowej Szkoły Sądownictwa i

Prokuratury jako przykład idealnie obrobionej sprawy. Prokuratorski wzorzec metra z Sèvres. Na czym polegał więc problem szefowej?

Relacje Magdaleny Rzeplińskiej z przełożonymi od dłuższego czasu układały się (mówiąc ogólnie) tak sobie. Niezadowolenie z kiepskich statystyk, kilka bolesnych uniewinnień. Na ostatniej naradzie Rzeplińska pokłóciła się z zastępczynią prokuratora okręgowego Moniką Ladecką, trzasnęła drzwiami i opuściła zebranie. Padły takie serdeczne sformułowania, jak „idiotka”, „biurowa mątna” czy „do cholery, nie pamiętasz już, jak się prowadzi postępowania, może chciałabyś na chwilę przyjść do rejonu i przypomnieć sobie, czym jest prawdziwa praca?”.

Trochę złej krwi, wzajemnych pretensji, lekka nuta zazdrości. Ladecka tylko czekała na okazję, by dopiec swojej koleżance. Faceci biją się po mordach, kobiety sączą jad.

– Konrad, przesłuchamy jeszcze te dzieciaki od Kolasy.

Kroon zrobił wielkie oczy.

– Ty chyba nie mówisz serio...

Rzeplińska odłożyła papiery na biurko.

– To jest raptem czterech świadków.

Prokurator czuł się oszukany. Gniew bezsilny jak morze.

– Magda, serio dasz sobą tak pogrywać? Dasz mną tak pogrywać?

– Konrad, po prostu przewiduję, jak to się może skończyć. Przesłuchamy z pięć osób, babka się odczepi.

– Ja pierdziele! – krzyknął poirytowany. – Przecież to jest prokuratura, a nie cyrk! PROKURATURA! To my wydajemy decyzje, mamy być twardzi i nieustępliwi! Naprawdę uważasz, że jak ktoś głośniej krzyknie, to należy podkulić ogon i potulnie robić, co nam każe?!

– Nie unoś się tak – pouczyła go szefowa.

– Przecież byle wariat mocniej tupnie, a my zaraz biegamy jak kot z pęcherzem! W tej firmie się nie da pracować!

Rzeplińska spojrzała na zegarek. Za kilka minut miała telekonferencję.

– Pracujesz tu wystarczająco długo, by wiedzieć, że od wariatów najlepiej trzymać się z daleka.

– Magda, serio uważasz, że spierdoliłem? – zacietrzewił się.

W tej chwili cieszył się, że uciekł w profesjonalizm. Że szósty zmysł nie kazał mu drążyć głębiej w sprawie Zatorskiej. Wtedy dopiero by się wkurwił. Nic tak nie boli, jak opierdol za darmo. Miej wyjebane, a będzie ci dane.

Prokurator Nowicka z zainteresowaniem przysłuchiwała się ich kłótni.

– Spierdoliłeś, że się wdałeś z tą Radke w jakieś głupie gadki! Było ją zaprosić na kawę, jak ci się spodobała!

Miało zabołeć, ale Konrada takie uwagi nie ruszały. Gdyby chciał, zaprosiłby ją nie tylko na kawę.

– Słuchajcie, spuśćcie trochę z tonu – zaproponowała pojednawczo Nowicka.

– Baśka, ale ty słyszysz to samo co ja?! – warknął Kroon.

Szefowa przewróciła oczami.

– Słyszę i uważam, że Magda ma rację – odparła Nowicka. – Przesłuchasz te pięć osób i masz z głowy. A inaczej Radke ci będzie smrodzić wokół tyłka.

Kroon złapał się za czoło.

– I to są rzeczy, których w tej firmie nigdy nie zrozumiem.

– Nie musisz zrozumieć, masz tylko przesłuchać – bąknęła szefowa.

– Serio? W listopadzie? Koniec roku na karku, a ja mam tracić cały dzień na pogawędki z jakimiś dzieciakami?

Rzeplińska włączyła program do telekonferencji. Zebrania w erze post-COVID. Wyciszyła głos, zasłoniła kamerkę.

– A czy ja ci to każę robić osobiście? Niech Flarkowska ich słuchnie.

– Magda, przecież ona robi bokami tak samo jak my!

Szefowa szykowała się już do rozmowy.

– No to sam ich słuchaj, jak ci szkoda Flary.

Podszedł do niej z aktami.

– Naprawdę mam to podejmować?

– Po co masz podejmować? Przesłuchuj na umorzonych. Potem pošlesz z zażaleniem do sądu z wykonanymi czynnościami. Utrzymają ci w mocy, Radke się odczepi.

Kroon stanął zrezygnowany w drzwiach. Nowicka także szykowała się do wyjścia.

– Zrobię to, Magda. Ale w tej firmie nigdy nie będzie normalnie.

Nowicka zaśmiała się i poklepała go serdecznie po plecach.

– Ja się, Konradku, już dawno przestałam łudzić. Czas, byś i ty przejrzał na oczy.

FLARA

Starsza aspirant Justyna Flarkowska ze zrozumieniem przyjęła wiadomość o potrzebie przesłuchania kolejnych osób. Była sumienną i doświadczoną policjantką. Miała w sobie mniej niezgody niż Kroon, łatwiej godziła się z bezsenssem i niesprawiedliwością. Ta pokora stanowiła niezawodny środek uspokajający; skuteczny lek w walce z absurdami skostniałego systemu. Gdyby nie dystans do własnej pracy, Flara już dawno skończyłaby w psychiatryku u doktora Maciejewskiego.

– Jakiś świadek do ciebie – mruknął dyżurny, nie przestając żuć kanapki. Trzy opasłe kromki z pasztetową, grubo masła, wytrawny przekładaniec. – Kolasa Gustaw, mlask.

– Dzięki, Grzesiu.

Odłożyła słuchawkę, przystawiła krzesło dla świadka. Jednego świadka.

– A ta fajna papuga nie wpada? – spytał kolega z wydziału, zaglądając przez otwarte drzwi gabinetu.

– Niestety, Marek. Musisz wzdychać do kogoś innego.

W tym akcie przedstawienia nie występuje osoba adwokat Patrycji Radke. Aktorka zwinęła się po antrakcie, w pośpiechu zmyty makijaż, kostium wrócił do garderoby. Koledzy z teatru mieli już jej dość.

Po złożonej skardze i zażaleniu młoda mecenas wstydziła się uczestniczyć osobiście w przesłuchaniach. Papier jest cierpliwy, ale chyba zapadłaby się pod ziemię, musząc w cztery oczy tłumaczyć funkcjonariuszce, dlaczego postąpiła tak bezczelnie. Lojalność procesowa ważna rzecz.

Flara uważała ją dotychczas za równą babkę. Rozumną adwokat, z którą można było normalnie pogadać. Tak po ludzku, bez spinki. Pogadać, wytłumaczyć. Przekonać.

Radke okazała się wściekłą osą. Niech to szlag.

– Nawet sobie człowiek nie popatrzy. Oczu nie nacieszy... – rzucił kolega policjantki, wciąż opierając się o drzwi do jej pokoju. Seksistowski dowcip, Flara dziennie słyszała takich kilkadziesiąt.

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – mruknęła, przemykając pod jego ramieniem. Wyszła na korytarz.

– Dalej słuchasz do sprawy Zatorskiej? Wznowiliście to? – dopytywał ciekawski dochodzeniowiec. Nie miał własnej roboty?

– Dłubiemy na umorzonych...

Artykuł trzysta dwadzieścia siedem Kodeksu postępowania karnego stanowi, że umorzone postępowanie przygotowawcze może być w każdym czasie podjęte na nowo na mocy postanowienia prokuratora. Przed wydaniem postanowienia o podjęciu lub wznowieniu prokurator może przedsięwziąć osobiście lub zlecić policji dokonanie niezbędnych czynności dowodowych w celu sprawdzenia okoliczności uzasadniających wydanie postanowienia.

Sprawa Weroniki Zatorskiej nie została podjęta z umorzenia. Kroon, zgodnie z tym, co ustalił ze swoją szefową, postanowił przesłuchiwać świadków, korzystając z instytucji czynności sprawdzających. Oszczędzał czas.

Świeżo zakończona sprawa trafiła znów na biurko Flarkowskiej. Policjantka przesłuchiwała pięciu świadków, zwracała akta prokuratorowi. Ten nie musiał nic więcej robić, tylko przesłać akta bezpośrednio do sądu.

Jako pierwszego wezwała Gustawa Kolasę. To z tego wąskiego korzenia wyrastała opowieść o nikczemnej kobiecie, która bawiła się życiem innych. „Druga zwrotka, bo zawsze chciałem zacząć od środka”^[36]. Zacznijmy od początku.

– Proszę powiedzieć, czy wie pan, dlaczego został tu wezwany?

Oczywiście, że wiedział. Został wezwany, bo walczył o prawdę. Bo w końcu ktoś uwierzył w jego opowieść.

– Chodzi o sprawę Weroniki Zatorskiej. I Julię. Uważam, że miała związek z jej śmiercią.

Pięknie. Przeszli od razu do sedna.

– Zamieniam się w słuch – odparła policjantka.

Kolasa po raz kolejny opowiedział wszystko od początku do końca. Od *Genesis* aż po *Apokalipsę*. Siedemdziesiąt trzy tomy historii ludzkości.

Pierwszym słuchaczem natchnionego studenta był Kroon, drugim mecenas Radke. Teraz trafiło na Flarę.

Starsza aspirant znała pobieżnie gawędę o tajemniczej Julii, dwudziestopierwszowieczny epos rycerski porównywany przez znawców gatunku do pieśni o Rolandzie. Policjantka potrzebowała jedynie zaprotokołować najważniejsze fragmenty. Nie chciała słuchać historii miłosnej, ocierać łez, oferować paczki chusteczek. Szybkie przesłuchanko.

– Same fakty, panie Kolasa – powiedziała, nie przestając pisać.

Siedzieli w pokoju przez dobre dwie godziny. Po odczytaniu protokołu Gustaw przeraził się, jak sucho i niewiarygodnie brzmi jego relacja. Policjantka odsiała z zeznań wszystkie domysły, pozostawiając wyłącznie suche fakty. Zbiór zdarzeń i dat. Ogołocona z bajdurzeń synteza nie zawierała żadnych związków przyczynowo-skutkowych. Żadnych stycznych ze sprawą Weroniki Zatorskiej.

– Wiem, jak to brzmi, ale naprawdę uważam, że Julia... – wychrypiął, robiąc głupią minę.

– Panie Kolasa, zaprotokołowałam wszystko to, co pan zeznał. Czy te informacje przedstawiają jakąkolwiek wartość dla naszego śledztwa? Jakąkolwiek wartość dowodową? Ocenę pozostawię prokuratorowi Kroonowi.

– Jak się to tak wszystko spisze na kartce, to historia brzmi dość niewiarygodnie. Jak opowieść jakiegoś nakręconego foliarza, ale...

– Panie Kolasa, wszystko brzmi dokładnie tak, jak mi to pan opowiedział.

Świadek spłonął rumieńcem.

– I co dalej?

– Wezwę na komisariat pańskich kolegów i koleżanki. – Wyciągnęła długopis. – Poproszę o ich dane.

– Adresów nie pamiętam, ale mogę podać telefony. Chce pani?

– Byłoby miło.

Gustaw przedyktował Flarze numery do przyjaciół z wakacyjnej ekipy. Zadzwoiła od razu.

– Dzień dobry, z tej strony starsza aspirant Justyna Flarkowska z Komisariatu Policji III w Gdańsku. Czy rozmawiam z panią Sonią Salińską?

Zdziwiony głos odbiorcy, chwila konsternacji. Ktoś mnie wkręca czy to prawdziwy telefon z policji?

Flara mogła wysłać wezwania pocztą, sprawdzić adresy w bazie PESEL. Z doświadczenia wiedziała, że taka epistolografia może przedłużyć czynności o dobrych kilka tygodni. Dwudziestolatki pewnie mieszkały bez zameldowania, w systemie wciąż figurowały adresy rodziców.

– Dobrze, będę – odparła zdziwiona dziewczyna.

Policjantka od razu zaprosiła wszystkich na ten sam dzień; spytała, czy mogą przyjść pojutrze. Sonia Salińska, Natalia Rosik, Wiktor Duchnowski. Trzy razy tak. Jedyne niejaki Marek Łagocki nie mógł stawić się na komisariat: od kilku miesięcy przebywał w Niemczech na Erasmusie.

– No i pięknie – powiedziała Flara, spoglądając na przestraszonego Gustawa. – Wszyscy pańscy przyjaciele potwierdzili swoje stawiennictwo. Poza panem Łagockim. Mówił, że wróci z Reichu dopiero na święta.

Flara odłożyła pieczętkę do szuflady.

– No a co dalej? – dopytywał Gustaw.

– Obawiam się, że to już nie pańska sprawa.

*

Wiktor Duchnowski pojawił się w komisariacie bez żadnej obstawy. Kiedyś zapewne przyszedłby z nim mecenas Wykopkowski, stary prawniczy wyga,

zaufana papuga jego taty. Ostatnio jednak sprawy z ojcem się znacznie pokomplikowały. Wiktor musiał radzić sobie sam.

Stanął przed szybą dyżurnego, pokazał wezwanie.

– Dowodzik proszę. Dobra, tam pan sobie usiądzie i poczeka. – Dyżurny zadzwonił na górę. – Flara, klient do ciebie.

Po niecałych pięciu minutach w poczekalni pojawiła się policjantka. Miała około czterdziestu lat, niebrzydka, włosy spięte w koński ogon, na twarzy płytkie blizny po trądziku.

– Pan Duchnowski?

Wiktor przytaknął.

– To ja.

– Poproszę ze mną na górę – powiedziała kobieta.

Wnętrze komisariatu wyglądało dokładnie tak jak na filmach. Tym razem jednak nie chodzi o amerykańskie kino akcji, lecz o smutną, szarą, polską kinematografię. Pasikowski, kręcąc *Psy*, musiał być kiedyś na Białej.

Zaprosiła go do pokoju, wskazała ręką na wolne krzesło. Od razu siadła do komputera. Miała wezwanych na dziś jeszcze kilka innych osób.

– Dobrze, oto załącznik adresowy... Dane w protokole będą zanonimizowane.

– W porządku – odparł bez większego entuzjazmu.

– Czy wie pan, w jakiej sprawie został pan wezwany?

Wiedział, choć nie rozumiał związku. Gustaw uprzedził go, że dał jego numer jakiejś policjantce. Że chodzi o Julię.

Wiktor nie lubił wracać pamięcią do zeszłych wakacji. Zostały mu po nich jedynie problemy rodzinne i mocny kac moralny.

– W sprawie Julki? – spytał.

Funkcjonariusz potwierdziła.

– Czy znał pan Weronikę Zatorską? – padło pierwsze pytanie. Zaprzeczył. – Proszę się dobrze zastanowić.

– Poznałem wiele dziewczyn. Jakież Weroniki też tam były.

Policjantka okazała mu pierwsze zdjęcie. Fotografia portretowa, z rodzinnych zbiorów, na niej sympatyczna, uśmiechnięta dziewczyna.

– Znał ją pan?

Duchnowski musiał dłużej pomyśleć.

– Raczej nie w moim typie, ale różne rzeczy się robi po pijaku...

Nie gadał z Gustawem od wakacji. Nie wiedział nic o rzekomym morderstwie, nie wiedział, czego dotyczy sprawa.

– Wygląda znajomo?

Znów chwila ciszy.

– Nie. Nic mi nie przychodzi do głowy.

Flarkowska okazała drugie zdjęcie. Tym razem było to zbliżenie wykonane podczas zewnętrznych oględzin ciała. Charakterystyczny tatuaż na przedramieniu. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ.

– Czy mówi panu coś ten napis? – Wiktor zaniemówił. Długo wpatrywał się w fotografię. – Panie Duchnowski? Panie Duchnowski!

– Tak, jak... – wyszeptał.

– Czy mówi panu coś ten napis?

Odruchowo złapał się za rękę.

– Tak... mówi.

– Co on oznacza? – spytała funkcjonariuszka.

Duchnowski podwinął rękaw koszuli. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Zgrabne litery, elegancka czcionka.

– Właściwie to nic. To takie powiedzonko, które kiedyś przez przypadek wymyśliłem.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

Wiktor wrócił pamięcią do lata na Elektryków. Do Łagi, Gustawa, Soni, Natalii i... Julii.

– Nic wielkiego. Byliśmy na imprezie, koleżankę porwał tłum na młynie, zawołałem: „Krzycz, jeśli żyjesz”. Potem się tak to do nas przykleiło.

– Czy niejaka Julia też używała tego hasła?

Julia. Czy używała tego hasła? Używała. Robiła znacznie więcej. To hasło idealnie do niej pasowało.

– Tak – zeznał.

– Czy mógłby mi pan podać dokładne dane osobowe tejże Julii? Imię, nazwisko, adres, numer telefonu?

Kurwa. Julia była po prostu Julią. Nigdy w życiu nie przyszło mu do głowy spytać o nazwisko. Nie miał jej numeru telefonu, pisali zawsze na Insta. Odpalił telefon. Julia jakiś czas temu skasowała konto. Chyba we wrześniu. Nie został mu po niej żaden ślad.

– Niestety nie znam.

Flarkowska zrobiła wielkie oczy.

– Czy nie byliście czasem parą?

Czy byli parą? Byli. Poznali się na Elektryków, Wiktor naprawdę się w niej zabujał. Potem jednak ich drogi się rozeszły. Ciężko to przeżył. Potem życie dojechało go jeszcze bardziej.

– Byliśmy – wyszeptał.

Policjantka wzięła do ust długopis. Przeszła z Wiktorem na „ty”.

– Wyjaśnijmy coś sobie, bo nie bardzo kumam. Chodziliście ze sobą, pewnie się bzykaliście, a ty nawet nie wiesz, jak miała na nazwisko? Taki z ciebie podrywacz?

Był podrywaczem, ale z Julią wszystko wyglądało zupełnie inaczej. To ona rozgrywała tę znajomość. Namieszała mu w głowie, trochę go poturbowała.

– Wiem, że to głupie, ale nie. To była po prostu Julka.

– I nic więcej?

– Pisaliśmy na Insta, skasowała konto. Facebooka nigdy nie miała. Aspirant Flarkowska napierała coraz mocniej.

– Coś w ogóle o niej pan wie?

– W sumie to... niewiele. Mieszkała w Sopocie, studiowała na ASP. Policjantka odpaliła edytor tekstu.

– Proszę mi powiedzieć wszystko jeszcze raz od początku. Kim była Julia?

[34] G.R.R. Martin, *Gra o tron*, tłum. P. Król, Warszawa 2011.

[35] Rzym przemówił, sprawa skończona (łac.).

[36] Abradab, *Rapowe ziarno* (piosenka), *Czerwony album*, 2004.

ROZDZIAŁ 22 | LISTOPAD

PATRYCJA RADKE

Internetowa reklama od dwóch dni śmigała po Facebooku, zachęcając do odwiedzin w najbardziej przyjaznej kancelarii adwokackiej w Gdańsku. Patrycja nie mogła pochwalić się doświadczeniem ani profesjonalnym zespołem; jej atutem było ludzkie podejście do klienta. Może za piętnaście lat dopadnie ją znieczulica, straci wiarę w ludzi, poczucie ważnej życiowej misji. Dziś jednak była tym, kim chciała być: adwokatem, rzeczniczką ludzkich interesów, problemów i spraw. Tą zawziętą prawniczką z książek Grishama, która stawiała czoło wielkim korporacjom, Big Pharmie i pokretnym interesom ze styku świata biznesu i polityki. Nie miała pieniędzy, nie miała zbyt wielu klientów, ale tym kilku, którzy zdecydowali się powierzyć jej swoje losy, oferowała pasję, zaangażowanie i walkę aż do samego końca.

– Dzień dobry, pani mecenas – powiedział Gustaw, wchodząc do kancelarii.

Walka do samego końca. Nigdy wcześniej Patrycja nie sądziła, że zaangażuje się tak bardzo w jakąś sprawę. Samobójstwo Weroniki Zatorskiej stanowiło jej osobisty thriller prawniczy. Niewiarygodna historia opowiedziana przez studenta. Szalone wakacje, niebezpieczna dziewczyna i

niewinny tatuaż. Drobna poszlaka, pozornie niemająca żadnego związku ze sprawą, zignorowana przez organy ścigania. Podczas tego miesiąca Patrycja kilkakrotnie traciła wiarę w opowieść o Julii, a jednak jakimś cudem Gustawowi za każdym razem udawało się zasiać w niej ziarno niepokoju.

– Cześć, Gustaw. No i jak przesłuchanie?

Wzruszył ramionami. Tak naprawdę przyszedł tylko po to, by jej się wypowiedzieć. Nie miał nikogo innego. Żadnego powiernika, przyjaciela.

– Całkiem miła ta Flarkowska.

– No tak. Pytała coś o mnie? – Patrycja czuła, jakby rozmawiali o jej byłej dziewczynie. Głupia sytuacja.

Gustaw zaprzeczył.

– Od razu przeszła do rzeczy. Konkretna babka. – Ściągnął płaszcz, włączył czajnik. W kancelarii czuł się jak u siebie w domu. Przychodził do niej po zajęciach, nieraz urywał się z wykładów, żeby choć trochę porozmawiać o sprawie. O SPRAWIE.

Patrycja czekała z niecierpliwością na jego opowieść. Składając skargę na Kroona, wypowiedziała wojnę prokuraturze. Postawiła wszystko na jedną kartę. Choć nie była nawet w połowie tak ładna jak Julia Roberts, dzięki Gustawowi czuła się niczym Erin Brockovich oskarżająca wielki koncern o zanieczyszczanie wody.

– No mów! Mam cię tak ciągnąć za język?

Ofiarował jej swój uśmiech. Romantyczny, niewinny, lekko zakłopotany.

– Zacząłem od tego, jak pierwszy raz ją zobaczyłem na Ulicy Elektryków. Powiedziałem o Ładze, Wiktorze, Soni i Natalii. Nie chciałem ominąć żadnego szczegółu, ale Flarkowska sama kazała mi płynąć do brzegu.

– Tak to powinno wyglądać – zauważyła Patrycja, która jeszcze z aplikacji pamiętała, jak często świadkowie lubią odbiegać od tematu.

– Wiem. Tyle że w tej sprawie... Dysponujemy jedynie poszlakami. Jeśli ominiemy szczegóły, ryzykujemy utratę dowodów.

Patrycja przytaknęła.

– No ale pozwoliła ci wszystko powiedzieć?

Gustaw zalał sobie herbatę. Półprzezroczysta torebka wypłynęła na powierzchnię, barwiąc wodę na ciemnożółty kolor.

– Właściwie tak. Gdzie poznałem Julię, co mówiła o śmierci. Odnotowała wszystkie pokręcone akcje, ale nie chciała znać szczegółów. Tego, co myślałem, czułem...

– Gustaw, przesłuchanie to nie konkurs poetycki. – Zaśmiała się. – Nie dostaniesz nagrody za piękną recytację. Liczą się fakty.

Stała rozkraczona na niekonsekwencji własnej argumentacji. W rozmowach ze studentem prawa to ona była tą rozważną. Sprowadzała go na ziemię, wątpiła, wsadzała palec w jego rany.

W starciu ze światem przyjmowała rolę błędnego rycerza, jedynej adwokat dawno przegranej sprawy. To dla Gustawa naraziła się Kroonowi, to w jego imieniu obciążyła Flarkowską dodatkową pracą. Zdecyduj się, dziewczyno, do której grasz bramki.

– Pani mecenas, nie jestem dzieckiem. – Nagły przyptyw powagi. – Rozumiem, że ważne są fakty, a nie emocje. Proszę mi tylko powiedzieć, które fakty? O jakiej części historii zapomnieliśmy?

Nie odniosła się do tego pytania.

– No dobrze, w takim razie na czym stanęło?

Gustaw usiadł na krześle przed jej biurkiem. Oparł dłonie o gorącą powierzchnię kubka.

– Spisała protokół. Właściwie wydobyła dużo informacji. Twarde dane.

– Idealnie...

– Obawiam się jednak, że coś mogła pominąć – wszedł jej w słowo. – Tak jak mówiłem, w tej sprawie istnieje przeoczona poszlaka.

Patrycja odchyliła się na fotelu. Rozkładane oparcie; im jesteś grubszą rybą, tym głębiej się odchylasz, aż w końcu pracujesz na leżąco.

Patrycja odchyliła się raptem o kilka stopni.

– A pytała o tych twoich przyjaciół? O Wiktora, Sonię i tę Nataszę?

– Natalię – poprawił ją Gustaw. – Natasza była koleżanką Agi, ekslaską Soni. Tiktokerką. Nie należała do naszej paczki.

Kilkunastu dwudziestolatków, można pogubić się w tym gąszczu imion, nazwisk i ksyw. Czy ta opowieść nie może być prostsza? Zrobmy jednego głównego bohatera, który pozna góra dwie osoby. Zabójcę i ofiarę. No i jeszcze jakiegoś wabika. Nie piszmy o zwykłym życiu, nikogo to nie interesuje. Każdy z nas ma zwykłe życie na co dzień. Tu chcemy krwi, a nie dziesiątek nieistotnych twarzy.

Synu, przecież każdy prawdziwy kryminal, każdy występek wpisany jest w normalne życie! Zbrodnia to niesłychana, pani zabija pana, ale wcześniej ktoś musiał gotować, jeść i tańczyć. Rzeźnik sprzedał wołowinę, podczaszy nalał wina, kowal wykuł narzędzie zbrodni.

– *Pardon*, Natalię oczywiście. Twoją była dziewczynę.

Powiedziała to, jakby była zazdrosna.

– Moją była dziewczynę – powtórzył.

Otoczają nas ludzie, świat każdego z nas wypełniają dziesiątki adresów. Drobnе szczegóły, szarady, ukryte znaki. Pod którym numerem mieszka morderca?

– Nie chciałam cię urazić.

– Nic nie szkodzi – zapewnił. – Zostawiłem policjantce numery telefonów, umówiła przesłuchania na pojutrze.

Patrycja zrobiła wielkie oczy.

– Tak szybko? – zdziwiła się. – Wezwania dojdą?

– Umówiła się przez telefon.

Mecenas ze zrozumieniem skinęła głową.

– No i pięknie. Widzisz? Postawiłeś na swoim.

Gustaw przygryzł wargę. Szybko zmienił temat.

– Wyświetliła mi się pani reklama na Fejsie.

Patrycja schowała twarz w kubku z herbatą. Nie mieli się w znajomych, ale ona już kilka razy odwiedzała jego profil. Czyżby algorytm to wyczuł?

– Muszę jakoś walczyć o klienta.

– Myślałem, że adwokatom nie wolno się reklamować.

Przyłapaną na gorącym uczynku. Reklama jest dla adwokatów czymś tak nieczystym jak teatr w czasach Szekspira. Won na drugą stronę Tamizy z tą hucpą!

Kiedyś jeden aplikant dorabiał w knajpie, bo nie było go stać na czynsz. Prawdziwa historia. Biedaczek prawie wyleciał z aplikacji za naruszenie godności zawodu. Żadna praca nie hańbi, ale podawać ludziom jedzenie? To już chyba lepiej sprzedawać własne ciało.

– Mam nadzieję, że mnie nie wsypiesz – szepnęła konfidentycznie. Pełna konspira.

– No pewnie. Swoją drogą nie rozumiem, o co to całe zamieszanie. Co tu jest niby nieetycznego?

Paragraf dwudziesty trzeci Kodeksu etyki adwokackiej stanowi, że adwokata obowiązuje zakaz korzystania z reklamy, jak również zakaz pozyskiwania klientów w sposób sprzeczny z godnością zawodu oraz

współpracy z podmiotami pozyskującymi klientów z naruszeniem prawa lub zasad współżycia społecznego. Przynajmniej w Polsce.

James McGill wykupił czas reklamowy w telewizji i własne billboardy. Jeśli potrzebujesz skutecznego prawnika, lepiej zadzwoń do Saula.

– Też nie wiem, Gustaw, ale jeśli w następnym miesiącu nie wpadnie tu kilku przestraszonych alimenciarzy, to zbankrutuję.

Pół żartem, pół serio. Tak bardziej serio.

– Aż tak źle?

Widział, ilu ma klientów. Zawracał jej gitarę z Julią, zamiast biegać po Zaspie i naganiać starsze panie wracające z różańca.

– No nie jest kolorowo. Ciebie też to czeka.

Wypadałoby okazać odrobinę empatii. Ofiarować Patrycji to, co sam od niej dostał. Zainteresowanie. Troskę.

Gustaw wpatrzył się w ścianę. Siedzieli w ciszy.

– Nie wiem, o co chodzi z tą całą sprawą Zatorskiej. Boję się, że z przesłuchań nic nie wyjdzie. Chcą ukręcić sprawie łeb i tyle.

A więc tyle z wczuwaniem się w emocje innych. Fiksacja podniesiona do potęgi entej.

– Przecież zażalenie i skarga zadziałały. Robią, co im kazaliśmy. Czego byś więcej chciał?

Lekko zirytował ją ten brak zainteresowania. Przez chwilę poczuła się wykorzystana.

– Żeby oni się naprawdę do tego przyłożyli. Poprowadzili prawdziwe śledztwo. Szukali sprawcy.

– Konia do wodopoju zaprowadzisz, ale się za niego nie napijesz – mruknęła młoda mecenas, wciąż czując sporo żalu. Mądrości Indian. Zawsze na czasie.

– Nie wiem, o co chodzi – gdybał Gustaw. – Zupełnie jakby ktoś w prokuraturze miał interes w niewyjaśnieniu tej sprawy. Kroon albo jakiś jego znajomy.

Patrycja pozwoliła wewnętrznej irytacji swobodnie się rozwijać.

– Gustaw, jaki znowu interes?! – wykrzyknęła.

Zaaferowany własną teorią student nie zwrócił uwagi na ten niespodziewany wybuch.

– Może zamiatają to pod dywan, bo ktoś maści w śledztwie? Niszczy dowody, myli ślady? A jeśli Julia trafiła w jakiś sposób do któregoś z policjantów? Omotała go, tak jak wcześniej omotała Wiktora i mnie? A co, jeśli mamy do czynienia z uśpionym agentem?

GUSTAW

Dzień był szary i smutny. Gustaw stał przy starym murze oporowym nasypu kolejowego i obserwował wrzeszczański rynek. Kiedyś w tym miejscu można było kupić prawie wszystko. Narzędzia, dziwne radzieckie pamiątki, artykuły gospodarstwa domowego, ubrania... W latach dziewięćdziesiątych targowiska i bazy były w Polsce prawdziwą potęgą. Jeśli ktoś chciał posłuchać nowej muzyki, przeglądał katalog setek stłoczonych w piwnicy płyt. Jeśli ktoś potrzebował podróbek markowych jeansów – przymierzał je, stojąc na kawałku kartonu, schowany za ceratową zasłonką prowizorycznej przymierzalni. Wtedy piractwo nikogo nie bulwersowało: dziewięćdziesiąt pięć procent społeczeństwa żyło w biedzie, dobra luksusowe należało wyszarpywać brutalnej rzeczywistości, żeby choć przez chwilę poczuć się lepszym, innym. Żeby choć przez chwilę mieć wrażenie, że jest się takim samym człowiekiem, jak Kevin Arnold z *Cudownych lat* czy Donna Martin z *Beverly Hills, 90210*.

Telewizja kablowa pokazywała nowy, wspaniały świat. Ceny w sklepach, pensje, bezrobocie, brak perspektyw – brutalnie przypominały, że amerykański sen to jedynie Disney dla dorosłych. Miło popatrzeć, przyjemnie pomarzyć. Ale to nie my. To nie dla nas.

Trzydzieści lat później wszystko wyglądało inaczej. Rynek dalej miał swoich stałych bywalców, ale przestał być przedprożem rajów. Konsumenci mogli buszować po galeriach handlowych, kupując dokładnie ten sam szajs, co ich sąsiedzi z zachodnich krajów. Nielegal przeniósł się do darknetu. Targowiska stały się kolejnym, obok tazosów i karteczek z Królem Lwem, zbędnym szpargałem w zagraconym pudle nostalgii.

Gustaw co jakiś czas zerkał na stojący po lewej budynek policji. Po godzinie czy dwóch dojrzał w końcu przystojnego młodzieńca, który pojawił się na schodach komisariatu. Spotkali się na parkingu.

– Wiktor, hej... – zaczął nieco speszony.

– Gustaw? Co ty tu robisz? – Wiktor wyglądał, jakby ktoś wyrwał go właśnie z głębokiego snu. Jego pewność siebie, jego arogancja i bezpardonowe poczucie wyższości zniknęły wraz z ostatnimi promieniami wrześnieowego słońca. Dalej był niezwykle przystojny, lecz brakowało mu tej ikry, która sprawiała, że ludzie brali go za kogoś lepszego.

– Byłeś na przesłuchaniu w sprawie Julii, tak?

– Tak... – odparł Duchnowski. – Ciebie też przesłuchiwali? Dlaczego dałeś im mój numer?

Gustaw wziął głęboki oddech.

– Słuchaj. Może się przejdziemy? – zaproponował. – Masz sekundę? Wszystko ci wytłumaczę.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Spoko.

Od końca wakacji Gustaw nie miał nikogo, z kim mógłby szczerze porozmawiać o tym, co zdarzyło się minionego lata. Pierwszą osobą, której opowiedział tę historię od początku do końca, był prokurator Kroon. Śledczy, mimo szczerych chęci, nie zrozumiał. Bo przecież nie mógł zrozumieć.

Konrad Kroon nie znał Julii. Nigdy jej nie spotkał.

Pojąć, kim była niezwykła dziewczyna, potrafił jedynie ktoś, kto zamieniłby z nią choć jedno zdanie. Kto choć przez chwilę przebywałby w tym samym pokoju co ona, oddychał tym samym co ona powietrzem. Ktoś, kto dojrzałby jej uśmiech. Kto zajrzałby w jej ciemne, lekko skośne oczy, dostrzegając, że gdzieś tam w ich głębi kryje się rozwiązanie zagadki kosmosu.

Szli alejkami dolnego Wrzeszcza: najpierw Białą, potem Waryńskiego. Przystanęli na początku ulicy Aldony, tuż obok metalowej kratki, odgradzającej kamienny chodnik od koryta Strzyży.

– Serio myślisz, że Julia ją zamordowała? – spytał Wiktor, spoglądając na mętną strugę.

Gustaw przełknął ślinę.

– A kto inny?

Duchnowski nie odpowiedział. Trawił to wszystko w myślach.

– Ale kim była ta laska? Jakaś Weronika, przecież my jej nawet nie znaliśmy – wydukał po dłuższej chwili.

– Widocznie Julia ją znała.

Wiktor kopnął leżący na ulicy kapsel. Metalowy krążek wpadł do Strzyży.

– Ja pierdołę, Kolasa, to jest jakiś pojebany sen! Czemu miałyby to zrobić?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Gustaw. – Ale czy możesz z czystym sumieniem powiedzieć, że to nie ona?

– Kurwa... Tylko chyba potrzeba jakichś dowodów? Są dowody? – Nabrał dziwnej, szaleńczej energii. Złapał Gustawa mocno za ramiona. – Kolasa! Czy są jakieś dowody?!

– Właściwie... właściwie to nie ma. Uważają, że ta dziewczyna się zaćpała. Sekcja niczego nie wykazała. Brak śladów działania osób trzecich.

Duchnowski go puścił. Ruszyli w stronę pobliskiego parku.

– Skoro nie ma żadnych dowodów, to skąd ta cała szopka? Po co szukają Julii?

– Uważam, że to była ona. Powiedziałem o tym podczas przesłuchania. W prokuraturze chcą mieć pewność – zablefował Gustaw.

– No dobra... ale czy jest chociaż jakiś ślad? Jakaś poszlaka? Albo chociaż motyw?

Gustaw czuł, że znowu ktoś zamyka go w klatce. Duchnowski mówił dokładnie to samo co prokurator Kroon i jego szefowa. To samo co policjantka na komisariacie. Nikt mu nie wierzył.

– Wiktor – Gustaw spojrzał koledze głęboko w oczy – powiedz mi, czy ty uważasz, że Julia była zdolna do tego, by kogoś zamordować?

Duchnowskiemu przeleciało przed oczyma kilkanaście obrazów. Pięknych i strasznych. Takich, o których chciałby już móc zapomnieć.

– Boże, przecież my jej nawet nie znaliśmy – dodał po dobrych kilku minutach. Zaśmiał się. – Czy ty w ogóle wiesz, jak ona miała na nazwisko? Gdzie mieszkała, co robiła?

Kiedyś myślał, że są ze sobą blisko. Obaj tak myśleli.

– Wiktor, tak naprawdę nie wiem nic – odparł Kolasa. – Nic nie umiałem im powiedzieć. Zostało mi tylko jej imię.

– Może je też zmyśliła...

– Szukałem jej. Wtedy we wrześniu, pamiętasz? Przyszedłem do ciebie.

Duchnowski oparł się o barierkę kolejnego mostku. Znów zawędrowali nad Strzyżę.

– Czaisz, że ja nawet nie mam jej numeru telefonu? Pisaliśmy tylko na Insta. Ta policjantka patrzyła na mnie jak na debila. – Wiktor splunął do wody. – No bo kto normalny by w to uwierzył? Spotykasz się z laską dwa miesiące, śpicie ze sobą, spędzacie razem każdą wolną chwilę... A ty nawet nie znasz jej numeru. Nie znasz nazwiska. Brzmi jak jakiś słaby *plot hole*.

Gustaw rozumiał. Inaczej niż Kroon, niż aspirant Flarkowska... Rozumiał dokładnie, co czuł Wiktor Duchnowski. Tak samo kochali Julię, tak samo była im bliska i obca zarazem. Tak samo starali się o niej zapomnieć.

– To nie mógł być przypadek. – Gustaw raz jeszcze podjął wątek domniemanego morderstwa. – Julia musi mieć jakiś związek z tą martwą dziewczyną. „Krzycz, jeśli żyjesz”. Pamiętasz?

Duchnowski odruchowo złapał się za rękę z tatuażem.

– Nasze głupie powiedzonko.

– Kto inny by je znał? Kto inny przypisałby mu takie znaczenie?

Wiktor znów trawił wszystko w myślach.

– Przecież te tatuaże to była jedynie pijacka beka.

– Dla ciebie i dla mnie. Dla Soni i dla Natalii – wyliczył Gustaw.

Zawrócili w stronę wyjścia z parku.

– Kolasa, nie zdążyłem jeszcze stanąć dobrze na nogach, a ty mi wpierdalasz taką bombę. – Wyciągnął fajki i zapalił. Zaczęło mżyć. Schowali się pod drewnianą altanką. – Próbowałem jakoś dojść do siebie.

Odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Nawet trochę zaczęło mi się udawać. I wtedy, kurwa, pojawiaasz się ty i wyciągasz Julię!

– Nie szukałem jej, Wiktor – zapewnił. – Przestałem jej szukać wtedy we wrześniu. Chciałem wymazać ją z pamięci. Ale kiedy zobaczyłem to ciało...

Duchnowski zaciągnął się dymem.

– Ja pierdołę... Julia.

– Będą przesłuchiwać każdego po kolei – wytłumaczył Gustaw.

– Oj, prawilniak, prawilniak! – zawołał Wiktor, na krótką chwilę zamieniając się znów w obcesowego, bananowego dzieciaka. – Tylko po co? Przecież tak naprawdę nikt z nas jej nie znał. Nikt nie znał Julii.

ROZDZIAŁ 23 | LIPIEC

JULIA

Szanowany trójmiejski biznesmen Jan Duchnowski inwestował we wszystko: papiery wartościowe, kryptowaluty, kruszce, nieruchomości. Był właścicielem kilkunastu mieszkań w najbardziej prestiżowych dzielnicach Gdańska. Kiedy jakiś deweloper planował nową inwestycję, najpierw dzwonił do Duchnowskiego i pytał, czy ten nie jest może czymś zainteresowany. Dopiero kilka miesięcy później oferty sprzedaży nowo projektowanych mieszkań trafiały na wolny rynek.

Wiktor Duchnowski dostał od taty przestronny apartament w samym sercu wrzeszczańskiego Garnizonu. Formalnie mieszkanie było własnością jakiejś egzotycznej spółki, ale klucze do przeszło stumetrowej pakamery trzymał krnąbrny dwudziestolatek. Wiktor Duchnowski nie przejmował się tak błahymi sprawami jak czynsz, rachunki za wodę czy nawet sprzątanie. Wszystkie bieżące sprawy załatwiała jedna z pracownic ojca, pani Judka, złota kobieta.

Wiktor obudził się koło jedenastej. Julka leżała naga na pościeli i czytała książkę.

– Cześć, kicia. Co tam? Znowu męczysz tego czeskiego nudziarza?

– Romansujemy ze sobą już od dłuższego czasu – odparła dziewczyna, przewracając kolejną kartkę.

Duchnowski spojrział na błękitną okładkę.

– *Nieznośna lekkość bytu* – przeczytał. – Brzmi jak jakieś filozoficzne gówno.

Julia spojrzała na niego z góry.

– Raczej byś nie zrozumiał, bejbe. Jesteś tylko pięknym opakowaniem, czystą, pozbawioną treści formą.

Wiktor przeniósł wzrok na jej nagie piersi. Miała idealne ciało. Chociaż kochali się całą zeszłą noc, miał ochotę na więcej.

– Traktuję to jako komplement – powiedział i pocałował ją w brzuch. Nosila kolczyk w pępku.

– Wiesz, że tak naprawdę nic dla mnie nie znaczysz? Że ta chwila, to nasze lato nie ma żadnego znaczenia? – spytała. Dotknęła wargami jego ucha.

– Mam to w dupie. Chce się po prostu z tobą pierdolić. – Złapał ją za udo.

– Bawimy się, kochamy, ale to wszystko przeminie. – Zniżyła głos do szeptu. Wiktor właśnie w nią wszedł. – To wszystko nie waży więcej niż powietrze. Twoje życie, moje życie... – Znów głośno jęknęła. – Odejdą wraz z ostatnim uśmiechem lata.

*

Wstali na śniadanie. Wiktor wziął szybki prysznic, Julia stała naga przy oknie i spoglądała na ulicę.

– Lubisz być podglądana? – spytał Duchnowski, wychodząc z łazienki.

– Jak manekin w sex shopie. Albo antyczna rzeźba – odparła. Wiktor obwiązał się ręcznikiem i do niej podszedł. – Lubię ten widok.

– A ja lubię twój widok – powiedział, całując ją po ramieniu.

– Każdy z tych ludzi... dwunożne mrówki. Zaprzątnięci swoimi własnymi sprawami, myślą, że ich życie jest najważniejsze. Miliony problemów, miliony myśli. Mikrokosmos nic nieznaczących istot.

Wiktor milczał, w dalszym ciągu obcałowując jej plecy. Przyzwyczał się już, że Julia ciągle wygłaszała podobne monologi. Nie starał się ich zrozumieć. Nigdy nie był specjalnie bystry, maturę z polskiego zdał dzięki uprzejmości nauczycielki, która bardzo potrzebowała nowego samochodu.

– Idziemy zjeść? – spytał w końcu. – Marmolada? Czy do Całego Gawła?

– Nie mam ochoty wychodzić. Zamów na wynos.

Wiktor poszedł do salonu.

– Widziałaś gdzie mój telefon?

– Moglibyśmy strzelać do nich z wiatrówki jak do kaczek – kontynuowała swój wywód dziewczyna. – Albo z karabinu snajperskiego odebrać życie jednej przypadkowej osobie. Myślisz, że coś by się stało?

– O, jest! Kurwa, rozładowany!

Julia dotknęła dłonią szyby.

– Życie toczyłoby się dalej. Świat byłby takim samym miejscem.

– Ja pierdolę, czy oni nie mogą robić lepszych baterii? – Duchnowski zerknął pod łóżko w poszukiwaniu ładowarki.

– Jeśli umieramy, to nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Po prostu przestajemy istnieć. Czy to coś kosztuje? Nas samych albo kogokolwiek innego?

Wiktor wygrzebał w końcu zasilacz. Podłączył kabel do urządzenia. Po chwili na ekranie pojawiło się białawe światło z czarnym znaczkiem jabłka.

– Chcesz to, co ostatnio?

– Chcę znacznie więcej... – szepnęła, odchodząc od okna.

*

Siedzieli przy stole, wcinając bajgle z awokado. Świeżo wyciskany sok z pomarańczy, frytki z batata.

– Będę musiał dziś na chwilę skoczyć do rodziców. Chcesz iść ze mną?

– Po co? – spytała, miętoląc w ustach papierową słomkę.

– No, mogłabyś ich w końcu poznać...

– Po co mam ich poznawać, skoro oni nigdy nie poznają mnie? – rzuciła retorycznie.

Wiktor tego nie skomentował.

– Zostawię ci klucze. Mam drugi komplet.

– Często spoglądasz na ulicę?

– He? – Ugryzł bułkę. Dobrze wypieczona, odrobina ziaren sezamu.

– Lubisz to miejsce? – zagaiła dziewczyna.

– Jest spoko – odparł. – Wszędzie blisko. A ty w tym Sopocie to gdzie właściwie mieszkasz? – Pytał ją o to już kilkakrotnie, ale ona zawsze go zbywała. Nie chciał napierać. Całe życie grał przed laskami twardziela. Wtedy zawsze mu wychodziło.

– W Sopocie – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Na Julii zależało mu najbardziej ze wszystkich. Zależało mu kurewsko mocno. Bał się, że gdy tylko okaże jej zbyt duże zainteresowanie, dziewczyna go zostawi. Ich związek był niezobowiązującą relacją dwójki pięknych ludzi, którzy wszystko i wszystkich mieli za nic. Wiktor czuł, że Julii podoba się ten brak przywiązania i oczekiwań. Brak jakichkolwiek reguł.

– Ano przecież – odparł, serwując swój uwodzicielski uśmiech.

– Ludzie czują się tu tacy bezpieczni. Tacy ważni – wróciła do przerwanej myśli. – Spójrz za okno.

Wiktor popatrzył przez wielką balkonową szybę. Po Garnizonie kręciło się kilkadziesiąt osób.

– No? – mruknął.

– Moglibyśmy któregoś z nich złapać w biały dzień, związać, uprowadzić i nikt by się nie zorientował. Wszyscy mieliby to w dupie.

– I czego to dowodzi? – spytał Wiktor, wyrzucając kartonowe opakowanie do śmietnika.

– Że ich życie i nasze decyzje nie mają absolutnie żadnego znaczenia.

WIKTOR

Rodzina Duchnowskich mieszkała w nowoczesnej willi na gdyńskiej Kamiennej Górze. Klasyczne modernistyczne wzorce mieszały się w niej z odrobiną nowobogackiej fantazji. Każdy, kto przejeżdżał obok, widział, że jest to posiadłość kogoś obrzydliwie bogatego. I o to chodziło.

Wiktor zaparkował na podjeździe. Liczył, że uda mu się spotkać z matką.

– Panicz Wiktor, co za niespodzianka! – powiedziała gosposia, autentycznie ciesząc się na widok dawnego wychowanka.

– Stasiu, skończ z tym paniczem. Przecież to brzmi jak z jakiejś biedackiej telenoweli. Jebany *Klan* albo *Trudne sprawy*.

Rodzice Wiktora bardzo dbali o to, by nie spoufalać się z ludźmi, którzy dla nich pracują. Pani Stanisława, choć zajmowała się ich domem od dobrych dwudziestu lat, musiała zwracać się do każdego z członków rodziny per pan lub pani.

– Panicz wie, co na ten temat sądzi pan Duchnowski.

Wiktor podszedł do gosposi.

– Stasiu, jeszcze raz powiesz do mnie „paniczu”, to... – złapał ją w pasie i lekko uniósł – wpięprzę cię do basenu!

– Oj, Wikuśku, zostaw mnie, bo mi kręgi poprzestawiasz! – Kobieta zachichotała.

Wiktor postawił ją na podłodze.

– Co tam w domu?

– A, po staremu... Pani Duchnowska pojechała gdzieś z koleżankami. Do jakiegoś spa czy coś w tym stylu.

– Serio? – spytał rozczarowany. Pisał mamie, że dziś ją odwiedzi.

– Przed godzinką przyleciała pani Wiolka i ją wyciągnęła.

– No nic. A jest coś do żarcia?

– Do jedzenia, Wikuśku! – poprawiła go gosposia.

– Jest czy muszę coś zamówić?

– No chyba żartujesz! – Udała oburzoną. – Żebyś w tym domu musiał dzwonić po jakichś Wietnamczyków...

– Przecież nie umiesz gotować nic orientального, Stasiu. Jak ci raz ojciec kazał zrobić pad thai, to prawie się zrzygał.

Ze stojącego na stole kosza z owocami wyciągnął jabłko. Wgryzł się w nie, po czym odstawił je z powrotem na blat. Otworzył lodówkę. Podwójne drzwi skrywały solidny zapas składników.

– Może i nie umiem. Ale czekaj no, jak ci zaraz usmażę omleta! Albo placki z konfiturą!

– Trochę gorąco. – Trzasnął lodówką. – Ale może być. I zrób mi jeszcze jakiegoś shake'a. Będę u siebie. Tylko nie dodawaj żadnych gównianych pianek ani takiego syfu. Lody, mleko, trochę cukru waniliowego, chyba że dasz radę to zastąpić słodzikiem. Albo daj z cukrem. Jebać biedę.

– Wikuś, trochę uważaj na słowa – upomniała go gosposia.

– Spoko, Stasiu, czil. Nie mów, że twój stary nie rzucił czasem jakąś „kurwą”.

Pani Stanisława poczuła lekkie ukłucie w sercu. Jej zmarły przed laty mąż był alkoholikiem. Niekiedy zdarzało mu się ją uderzyć. Później przeproszał i błagał na kolanach o wybaczenie. Kiedy jednak znów wpadał w cug, potrafił być prawdziwym diabłem.

– Oj, Wikuśku, ja bym po prostu chciała, żebyś ty wyrósł na porządnego człowieka.

– Luźna guma. Zrób mi te placki.

Wszedł do swojego pokoju. Wszystko wyglądało tu tak samo jak zawsze. Walnął się na kanapę, odpalił konsolę. Szybki login na konto, download z chmury. Wcisnął guzik na padzie i położył nogi na stole.

Pani Stanisława przygotowała wszystko w niecały kwadrans. Wdrapała się na górę, niosąc Wiktorowi talerz posypanych cukrem pudrem placków. W drugiej ręce trzymała shake’a.

Pograł trochę na konsoli, aż w końcu zrobił się strasznie senny. Zeszłej nocy nie spał zbyt długo: najpierw impreza, a potem długi seks z Julią.

„Co za laska” – pomyślał.

*

Obudził się koło dziewiętnastej. Spojrzał na zegarek.

– O kurwa, już tak późno? – Na wyświetlaczu migiała wiadomość od trenera: „Gdzie jesteś, pało?”. – Zajebicie...

Zszedł na dół. Z tarasu dochodziły odgłosy rozmowy. Przeszedł przez salon i wyjrzał na zewnątrz. Na wiklinowych fotelach siedziało kilku kolegów ojca. Palili cygara i pili szkocką na lodzie.

– Dzień dobry! Cześć, tato – przywitał się, stając w drzwiach.

– O proszę! Mój pierworodny! Nadzieja i chluba rodu Duchnowskich! – zawołał ojciec.

– No, wyrósł ten twój Wikuś – powiedział jeden z mężczyzn. – A pamiętam, jak biegał z gołym pisiorem po domu i straszył moją Alusię!

Mężczyźni zarechotali.

– W tym temacie nic się nie zmieniło, Jaruś. Młody dalej ciągle gania z fujarą na wierzchu. To jego prawdziwa pasja.

– Kurwa, każdy z nas lubi trochę pobiegać z gołym kutasem – dodał inny biznesmen. – Natury nie oszukasz!

Znowu salwa śmiechu.

– Nie oszukasz, Andrzejku, ale ten tu nie robi nic ponadto. Jego jedyne osiągnięcie to to, że do tej pory nie zrobił żadnej bachora!

– Tego nie wiesz! – zadudnił Jaruś.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Jak którejś strzeli gola, to musi ją wyskrobać. Mózg ma po matce, ale nie jest chyba tak tępy, żeby dać się złapać na dziecko! – podsumował ojciec.

Wiktor czuł się niekomfortowo. Lubił sprośne żarty, ale ojciec traktował go zawsze jak chłopca do bicia.

– Daj już młodemu spokój. Wszyscy byliśmy kiedyś w jego wieku...

– Ja w jego wieku miałem firmę i zapierdalałem na granicy, żeby coś sprzedać. – Duchnowski, jak większość nowobogackich biznesmenów, dorobił się na transformacji. Gazety pisały później, że to przez jego kontakty ze służbami. Nigdy mu niczego nie udowodniono.

– Ach, były inne czasy – dodał Jaruś.

– Były czasy, które hartowały. A dzisiaj? No spójrz na niego i jego wymoczkowatych kolegów. – Ojciec zrobił zniesmaczoną minę. – Same bananowe pizdy...

– Będę już leciał. Życzę dobrego wieczoru – wydukał Wiktor. Nikt nie peszył go tak jak ojciec.

– Czekaaj, czekaaj! – zawołał stary Duchnowski. – Wpadasz tu raz na ruski rok, pieniądze na konczie się zgadzają, ciepłe gniazdko dla tych swoich kurewek masz, posiedziałyś chwilę z tatą i poudawał!

Wiktor zatrzymał się w pół kroku.

– Puść go, Jasiu, młody spieszy się pewnie do jakiejś panienki – powiedział ugodowo Jaruś.

– Chodź tu i siadaj – rozkazał Duchnowski.

Wiktor posłusznie przysiadł na wolnym krześle.

– Słuchaj, co ty tam właściwie studiujesz? Na AWF w końcu poszedłeś? Ciśniesz w ręczną?

– Na finanse i rachunkowość... – odpowiedział zmieszany.

– Wydział Gier i Zabaw – zaśmiał się Jaruś. – Moja Elka tam wykłada!

– Kurwa, ja zawsze myślałem, że ty tylko za piłką biegasz – zgasił go ojciec. – No ale pięknie. Będziesz drugim Berniem Madoffem! Trzaśniesz jakąś zajebistą piramidę i wypierdolisz do Panamy! Panowie, rośnie nam geniusz!

– Jasiu, odpuść mu!

– Tato... – wyszeptał Wiktor.

– Ale o co wam chodzi? Czy ojciec nie może być dumny? Czy, kurwa, ojciec nie może być dumny z pierworodnego?! Krew z krwi, neuron z neuronu, plemnik z plemnika?!

– Napij się, chłopcze – polecił Jaruś, polewając młodemu Duchnowskiemu szkockiej.

– Słuchaj, Wikuś. Sprawa jest. Właśnie się tu z chłopakami zastanawialiśmy, że potrzebujemy mądrej głowy. Andrzejek ma taki jeden

interesik. Kupuje jakieś podzespoły u Ukraińców, potem pcha to do Niemiec, tam wali naklejki „Made in Germany” i dawaj nazad na wschód. Zresztą jak chcesz dokładnie wiedzieć, o co chodzi, to ci to zaraz Andrzejek dokładnie wytłumaczy. No i jest taka mała społeczka, która tym wszystkim kręci. Ale wiesz. Nasz rząd... pierdoleni jakobini. Trzeba to wyjechać za granicę. Offshorować. I nasz Andrzejek potrzebuje cwaniaka, który mu to przeprowadzi. A ja zaraz pomyślałem o tobie!

Wiktor zdębiał.

– Jasiu, weź chłopaka puść już do tej jego laseczki. – Wujek Jarek zawsze był tym najbardziej wporzo. Teraz też jako jedyny wyraźnie trzymał stronę dwudziestolatka.

– Ale Jaruś, ja chcę go wdroić! Przecież to ma być dziedzic rodowej fortuny! Drugi, kurwa, Kulczyk, pierwszy milion od ojca, a potem z górki!

– Tato, proszę... – rzekł Wiktor tak cicho, że ledwo dało się go usłyszeć.

– Co, proszę? To jest twoja szansa! To jest twoja chwila prawdy, kurwa, jebany teleturniej Polsatu! Powiedz Andrzejkowi krok po kroku, co ma zrobić, żeby spierdolić przed fiskusem, CBA, ABC i innymi kutasożercami!

– Ja mogę poczytać, jak chcesz... Jeśli to serio...

– Serio! Kurwa, nie, to nie serio! Gówniarz dwadzieścia koła wydaje co miesiąc, ale dalej myśli, że pieniądze spadają z nieba! Jak jakaś pierdolona izraelska manna! Kurwa mać!

– Jasiu, weź się napij! – Jarek podał mu szklanę. – A ty, Wiktor, leć już. My tu mamy swoje sprawy...

Wiktor nie mógł się ruszyć. Czuł się, jakby ktoś włożył mu betonowe buty i miał zaraz wrzucić do Wisły.

– Niby podobny do mnie, ale tępe to po matce! Serio nie wiem, czy go z jakimś listonoszem nie strzeliła. Człowiek pracuje po nocach, a ta się kurwi

z kim popadnie.

Koledzy milczeli. W tej chwili nawet im było głupio za starego Duchnowskiego.

– Leć już, Wikuś – powiedział Jarek.

Młody Duchnowski spojrzał na ojca.

– No leć, słuchaj wuja. Po chuj masz tu siedzieć?!

Wiktor stanął na nogach.

– Do widzenia, cześć, tato...

– No cześć, cześć. Dzięki Bogu masz siostrę, bo inaczej bym musiał jakiegoś Murzynka chyba, kurwa, adoptować i jemu to wszystko zapisać.

Jarek postanowił szybko zmienić temat.

– A ta twoja to dalej w Anglii?

– Oxford, mój drogi, Oxford! Kopia mózgu ojca, tylko na sterydach. – Wziął łyk szkockiej i machnął ręką. – Dlatego ten tu może robić, co chce. W czepku urodzony. Korzysta z życia, niczym się nie przejmuje. Może sobie być takim jebanym tępakiem. Paulinka potem przejmie firmę, bratu zrobi jakiś fundusz, żeby wszystkiego nie przejechał... Inaczej, koledzy, nie spałbym spokojnie. A tak... tylko wstyd, jak toto czasem gębę otworzy. Ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz?

ZUZA

Kroon wrócił do mieszkania w okolicach północy. Wskoczył z kumplami na kilka piwek do pubu, był lekko zrobiony. Przekręcił klucz w drzwiach. Zamknięte tylko na jeden zamek.

„Zuza?” – pomyślał. „Przecież miała spać dzisiaj w Toruniu”.

Wszedł do środka. Na korytarzu stało kilka par butów. Skórzane mokasyny Zuzy, obok czyjeś białe trampki. „Mamy gości?”

– Zuza? – zawołał. Nikt mu nie odpowiedział. Zerknął do salonu. Kuchenny kinkiet dawał trochę światła. Wstąpił do sypialni. Otworzył drzwi i zaniemówił.

Zuza leżała w łóżku z jakimś nagim facetem. Właściwie to on leżał, a ona siedziała na nim. Chłopak miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Chudy jak patyk gówniarz, pewnie niedawno odebrał dowód osobisty.

– Konrad? – zdziwiła się Zuza. – A ty nie miałeś dziś iść na imprezę?

To było tyle. Nawet nie bardzo się zmieszała. Co innego jej kochanek. Ten chciał się niezwłocznie ewakuować z mieszkania, ale wciąż leżał przygniety rozgrzanym ciałem Zuzy.

Kroon wiedział, że go zdradza, ale nigdy nie myślał, że zrobi to w ich mieszkaniu. Lubiała seks, już dawno temu ustalili wspólne reguły półotwartego związku. Jak w amerykańskim wojsku: nie pytaj, nie mów. Konrad nie chciał o niczym wiedzieć. Zuza była nimfomanką, nie zamierzała rezygnować z seksu, a on nie mógł zrezygnować z niej. Kochał ją.

– Ja pierdołę, Zuza... – wyszeptał po chwili.

– Konrad, sorry!

Obrócił się i ruszył w stronę korytarza. Z oddali dobiegło go jeszcze wołanie Zuzki. Nie odpowiedział. Wyszedł z mieszkania i trzasnął drzwiami. Miał dziś ochotę rzucić się pod pociąg.

SONIA

Pierwsze tego lata burzowe chmury przyniosły ze sobą nie tylko załamanie pogody, ale i kilka dość dramatycznych zdarzeń. Sonia Salińska próbowała wrócić do swojej byłej dziewczyny, ale dostała kosza. Z głębokiego doła wyciągnęła ją Natalia, która praktycznie przeprowadziła się do

niewielkiego mieszkanca na Głównym Mieście. Całymi dniami leżały w łóżku i oglądając romantyczne komedie, analizowały swoje życie. W trudnych chwilach przeżywanie miłosnych perypetii innych zawsze poprawia nam humor. Ładni ludzie, problemy podobne do naszych, tylko że zawsze zakończone happy endem. Może i nam się to kiedyś przytrafi.

– No a jak tam z tym twoim sztywniakiem z prawa?

– Spoko.

– Tylko spoko? – zdziwiła się Sonia.

– No miły chłopak, ale...

– Miły chłopak. To brzmi jak pięć minut do rozstania.

Natalia westchnęła.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Jest przystojny, inteligentny, ma dobrze poukładane w głowie. Fajnie spędzamy razem czas...

– A jednak to nie to – spuentowała Sonia.

– No nie... – Natalia schowała głowę w pościeli.

– Bzykaliście się?

– Nie mam ochoty. A on też nie jest jakiś specjalnie wyrywny, chyba boi się wykonać pierwszy krok.

Sonia nałożyła sobie jeszcze jedną porcję lodów. Uniwersalne lekarstwo na sercowe problemy.

– Czyli po prostu nie ma chemii.

– No nie. Cały czas dawałam nam szansę, bo myślałam, że pyknie. Ale to nie to. Całowaliśmy się i nic nie czułam. Żadnej iskierki, żadnego żaru.

W tle leciał film. Bohaterka komedii właśnie zrozumiała, że kocha właściwą osobę. Przewidywalne zakończenie niezbyt ambitnego dzieła.

– To wiesz, co musisz zrobić.

NATALIA

Spotkali się w Sopocie, skąd brzegiem morza doszli aż do granicy miasta. Tu ścieżka się urywała i należało wejść na piasek, by wąskim odcinkiem plaży dostać się do Orłowa. Z oddali spozierała charakterystyczna sylwetka klifu. Każdego roku morze zabierało kawałek tej cudownej, piaszczystej ściany. Widok z pocztówki. Gdynia pozdrawia.

Choć trzymali się za ręce, Gustaw od początku randki czuł, że coś jest nie tak. Cisza, która przeszkadza, milczenie, które sieje niepokój.

– Fajny z ciebie facet – zaczęła sztampowo. Tak jak zaczynają wszyscy, którzy nie chcą, ale muszą. No bo co innego miała powiedzieć?

To było naprawdę gładkie rozstanie. Kulturalne, filmowe... jak milion innych. Z takich nieudanych związków rodziły się prawdziwe, trwałe przyjaźnie. Za dwadzieścia lat Gustaw będzie miał żonę i dzieci, a i tak z każdą pierdołą będzie dzwonić do Natalii. Wpadnie do nich na święta, będą razem wyjeżdżać na wakacje. Każde ze swoją drugą połówką.

– Myślisz, że coś może z tego wyjść? – spytał, jak zawsze grzeczny. Brakowało mu zawziętości, ale może to i dobrze? Może ludziom, którzy potrafią odpuszczać, łatwiej jest przejść przez życie? Może porażki nie boją ich tak bardzo jak nas, niereformowalnych zatwardziałców?

– Myślę, że tak – odparła Natalia, przytulając go po przyjacielsku.

„Całkiem luźno poszło” – pomyślała, wpatrując się w morze.

JULIA

Wiktor wrócił do domu koło dwudziestej pierwszej. Już na klatce usłyszał dobiegającą zza drzwi głośną muzykę. Po wizycie u rodziców był rozbity. Nie miał ochoty na żadną imprezę.

Wszedł do środka. Głośniki rozkręcono na maksa. Sąsiedzi dzwonili, ale przed dwudziestą drugą nie mogli nic zrobić. Zresztą młody Duchnowski przyzwyczał ich już do regularnych testów akustycznych betonowego bloku.

W salonie walały się puste butelki, trochę kiepów.

– Julka? – zawołał.

Wszedł do sypialni. Na podłodze leżały rozrzucone ubrania. Rozejrzał się po mieszkaniu, zajrzał do łazienki.

Julia siedziała w wannie z jakąś szczupłą blondynką. Piły prosecco, paliły fajki.

– Myślałam, że się nie doczekam.

– O kurwa – zaklął na głos.

– To moja przyjaciółka, Klara.

Klara. Typowe imię laski z dobrego domu. Grzecznej dziewczyny z porządnej, bogobojnej rodziny. Klara nie wyglądała na anioła.

– Siema, jestem Wiktor. – Wciąż jeszcze myślał, że śni. Wracasz do domu, a tam twoja typiara zabawia się z inną kicią. Typowa scena z taniego pornola. Marzenie każdego faceta.

– Cześć, Wiktor. – Głos nieznajomej nie świadczył na jej korzyść. Tępa jak drut.

– Nie kumam, co to za akcja, Julka – wydukał zmieszany.

– Poznałyśmy się dziś na drinku – wyjaśniła dziewczyna. – Klarze bardzo podoba się twoje mieszkanie.

– Spoko... – Gadał od rzeczy. Nie tak zachowują się bohaterowie filmów erotycznych.

– Julka mówiła, że jesteś bogaty i przystojny – przypomniała blondynka. – Widzę, że nie kłamała...

Wiktor poczuł nagły przyływ podniecenia. Podniósł z podłogi butelkę i napił się z gwinta.

– No, pokaż jej, Wik – poleciła Julka. – Pokaż jej, że mówiłam prawdę.

Duchnowski zdjął koszulkę. Zaimponował nieznajomej wysportowaną sylwetką.

– Uuu – pisnęła dziewczyna. – To teraz poproszę o część drugą!

Wiktor ściągnął spodnie. Stał tak w samej bieliźnie, nie wiedząc, czy to bajka, czy kolejna pokręcona gra Julii. Czy znowu go testowała?

– No, Wikuś, my nie mamy ubrań. – Julia wzięła na dłoń trochę piany. Zdmuchnęła ją w stronę blondynki. – Nie uczyli cię w domu zasad etykiety? Kiedy kobieta wstaje, mężczyzna robi to samo. Kiedy dama nie ma majtek, facet...

Wiktor rozebrał się do naga, po czym wskoczył do wanny. Blondynka się zaśmiała. Julia pocałowała ją w usta. To była noc pełna grzechu. Podobnie jak całe lato.

ROZDZIAŁ 24 | LISTOPAD

KONRAD KROON

Kroon siedział za biurkiem i czytał jakieś grube akta. „Umorzyć czy dalej to ciągnąć?” – brzmiało podstawowe pytanie, zadawane kilka razy każdego dnia w zaciszu niewielkiego gabinetu. Wbrew obiegu opinii prokuratorzy kierowali do sądu akty oskarżenia jedynie wtedy, kiedy byli święcie przekonani o winie sprawcy i mieli na nią mocne dowody. Nikt nie lubił dostawać gola: trzeba było się z tego rozliczać, pisać jakieś idiotyczne notatki, czytać raz jeszcze całe akta i smarować apelację. Słaba sprawa, czyli wrzód na dupie każdego śledczego.

Zadzwoił telefon.

– Kroon. Słucham. – zaczął niezbyt przyjemnym tonem. Nie lubił, gdy się go odrywało od pracy.

– Starsza aspirant Justyna Flarkowska, Komisariat Policji III w Gdańsku. – Formalne przywitanie.

– Cześć, Flara. Mogłabyś wreszcie zacząć gadać jak ludzie. – Kroon rzadko kiedy przechodził z policjantami na „ty”. Dochodzeniowcy lubili skracać dystans z prokuratorami. Łatwiej im było wówczas wybaczać drobne niedopatrzenia czy notoryczne przegapienie terminu nadesłania akt.

Z Flarą było zupełnie inaczej. Choć Kroon zawsze posługiwał się jej ksywką, stara policjantka uparcie tytułowała go „panem prokuratorem”.

– Panie prokuratorze, dzwonię w sprawie tej Zatorskiej – zaczęła starsza aspirant.

– No...

– Przesłuchałam dwójkę dzieciaków: Kolasę i młodego Duchnowskiego. Syn zupełnie niepodobny do ojca. Przystojny, ale jakiś taki cichy, przestraszony...

– Może stary go leje – wypalił Kroon. Jak zwykle w punkt.

– Niezła historia z tą całą Julką, ale ja tam nie widzę żadnego związku z naszą sprawą. Pokręcona dziewczyna tylko, nie ma nic do Zatorskiej.

Kroon westchnął.

– Mnie tego nie musisz mówić...

– Mam wezwane jeszcze te panienki, słuchnę je, ale jak nic nie wyjdzie, to co my z tym robimy?

Wziął łyk kawy. Poprawił kabel słuchawki.

– Nic z tym nie robimy. Przesłuchasz je, akta wracają do mnie, szybka wysyłka do sądu. Utrzymają mi to w mocy. Sprawa od początku była na umorzenie.

– To po co właściwie ją ciągniemy?

Prokurator mimowolnie wzruszył ramionami. Kilkanaście lat temu Konrad lubił ciągnąć sprawy. Po nitce do kłębka, zawsze potrafił dociec prawdy. Po tym, jak się sparzył w 2007, prowadząc polityczne śledztwo, nabył umiejętności odpuszczania. „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić. Odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić. I mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego!”^[37]

Kroon dalej podejmował trafne decyzje, ale nie angażował się emocjonalnie. Oceniał dowody, wykorzystując niezwykłą moc swojego analitycznego umysłu. A jeśli rozum zawodził, zawsze do pomocy miał swój wyjątkowy szósty zmysł.

W sprawie Zatorskiej łudził się, że szósty zmysł podpowie mu właściwe rozwiązanie. W głębi serca liczył też na coś więcej. Chciał się w końcu obudzić. Poznać Julię, podążyć jej śladem, odzyskać dawnego siebie. Czuł, że kilkanaście lat temu dał się zakląć w kamień. Pogodził się z tym stanem, zdusił żar, który kiedyś rozpalał jego wnętrze. Życie przeciekało mu przez palce. Miał pozycję, pieniądze, miał Zuzę. Był względnie bezpieczny. Odzyskał spokój ducha. A jednak... płacił wysoką cenę za ten spokój. Wegetował, rzadko kiedy dając się naprawdę poruszyć.

„Po co właściwie to ciągniemy?” – spytała Flarkowska. Jeszcze niedawno ciągnęli to, bo Kroon chciał poznać prawdę. Czuł, że gdzieś tam w ciemności czai się zaginiona przesłanka. Szukał natchnienia, ale go nie znalazł. Gdyby w samobójstwie Weroniki Zatorskiej kryło się drugie dno, Konrad by je odkrył. Nie mógł się mylić. To była zwykła sprawa. Podjął decyzję. Odpuścił.

„Po co właściwie to ciągniemy?” Bo tak kazała mu szefowa. Lecz czy na pewno? Czy gdyby Konrad Kroon, jej najlepszy prokurator, tupnął nogą, to nie dopiąłby swego? A może podświadomie chciał dać śledztwu jeszcze jedną szansę? Dać sobie samemu jeszcze jedną szansę? Odnaleźć Julię?

– Magda się uparła – odpowiedział nie do końca szczerze. W tej chwili próbował oszukać samego siebie. – Ma spinę z zastępczynią okręgowego, trzęsie portkami o wszystko.

– Ech, oni serio tam u góry myślą, że my nie mamy co robić. Pan wie, ile ja mam teraz spraw w prowadzeniu?

– Wiem, Flara.

Wydziały dochodzeniowo-śledcze były najmniej doinwestowanymi jednostkami policji. Kryminalni nabijali statystyki. Prewencja świeciła oczami, rozbijając się radiowozami po mieście. Ludzie widzieli umundurowanych funkcjonariuszy i myśleli, że jest bezpieczniej. Politycy wycierali sobie usta starym, wyświechtanym hasłem: „policjanci na ulice”. Nikt nie wiedział, z czym to się dokładnie je, ale brzmiało zajebiście.

– No nic, za godzinę ma do mnie przyjść ta cała Salińska. Lesbijka. – Na podstawie dwóch poprzednich przesłuchań policjantka wyrobiła sobie oględny obraz tego, kim była Sonia.

– Tylko się nie zakochaj, Flara – polecił jej Kroon.

– W miłości nie mam wielkiego szczęścia, panie prokuratorze.

*

Miłość. Mogłaby stanowić tytuł tej książki. Bo jeśli dobrze na to spojrzeć, wszystko w życiu sprowadza się do miłości. Albo do jej braku.

Konrad odłożył słuchawkę. Na biurku wciąż leżała spora sarta dokumentów. Starał się nigdy nie zostawiać niczego na potem; jutro stosik powiększy się dwukrotnie, pojutrze trzykrotnie, w końcu zaległość będzie nie do nadrobienia. Westchnął ciężko.

– Sam jesteś sobie winien, idioto – szepnął, wyciągając z kieszeni komórkę.

Włączył Instagram, odszukał konto Zuzy. Kroon miał profil widmo; nie wrzucał zdjęć, nie nagrywał żadnych relacji. Głupio jednak zrezygnować z dobrodziejstw cyfrowego świata. W dzisiejszych czasach media społecznościowe są tym, czym przed stu laty były gazety: nie czytasz, nie wiesz.

Pierwsze zdjęcie dodała od razu po zameldowaniu się w hotelu. Wspaniały widok z okna, trochę palm i wulkanicznego piasku. Idealne

dwadzieścia pięć stopni.

„Jak tam sesja?” – wystukał krótką wiadomość. Zuza odpisywała mu od niechcienia, tłumaczył to jej roztargnieniem, brakiem czasu. Dobrze sobie. Konrad pracował cztery razy ciężiej od niej i zawsze umiał wygospodarować wolną chwilę.

„Szukamy plenerów, skaut dał dupy, masakra” – niespodziewany SMS, zwrot akcji godny Hitchcocka. Zuza odpisała jak normalny człowiek.

„To beka. Czyli po prostu rozbijasz się po wyspie i sączysz driny?” – żart w stylu Kroona.

„Masz mnie” – dwa wyrazy, na końcu śmieszna emotikonka. Po chwili do wiadomości dołączyło zdjęcie opalonych nóg. Zuza miała fajne ciało, ale to nie dlatego z nią był. Chuj wie, dlaczego z nią był.

Zrobił zdjęcie swojego zawalonego papierzyskami biurka. Odesłał jej w odpowiedzi.

„Pierdolnij to wszystko i wyjedź w Bieszczady” – odpisała.

„Czekam na jedno twoje słowo” – wystukał niemal bezmyślnie.

Długo czekał. Konwersacja najwidoczniej dobiegła już końca. Po kwadransie odświeżania strony głównej wrócił do swoich zajęć.

Akta dochodzenia w sprawie kradzieży z włamaniem. Nadesłane po terminie. Policja powinna je przysłać trzy tygodnie temu.

– Marek-Niezdarek – mruknął Kroon, komentując karaibską etykę pracy funkcjonariusza. – Sierżant Marek Łopiejko wnosi o przedłużenie terminu dochodzenia...

Powinien zabrać się do pracy, ale jego myśli znów zaczęły błądzić wokół Zuzy. Dlaczego z nią był?

Konrad zawsze cieszył się powodzeniem u kobiet. Wysoki, przystojny, inteligentny. Do tego ta pewność siebie. Nikt nie wiedział, że jest nieco na

pokaz. Że nauczył się nosić maskę arogancji, jego pierwszą tarczę chroniącą go przed światem.

Zuzę poznał zupełnym przypadkiem podczas studiów w Krakowie. Czy się zakochał? Konrad nie wiedział, czym jest prawdziwa miłość. Po prostu mu się spodobała. Szalona studentka Akademii Sztuk Pięknych, nieco nieobliczalna, głowa pełna egzotycznych pomysłów. Malowała wtedy piękne obrazy. Nie na tym jednak polegał jej czar.

Pewnego dnia Kroon odkrył, że Zuza posiada magiczną moc. Dziewczyna chroniła go przed demonami przeszłości. Jedynie przy niej czuł, że jest w pełni bezpieczny. Pozwalała mu zapomnieć o gnębiących go upiorach, uwolnić się od czarnoksiężskiej mocy despotycznego wuja. Jeśli Zuza była koło niego, Kroonowi nie mogło stać się nic złego. Miał spokojny umysł, nie potrzebował prochów ani anksjolityków.

Zuza nie nadawała się do stworzenia normalnej relacji. Stale potrzebowała nowych bodźców, nie umiała żyć w monogamicznym związku. Kilka razy próbowała z nim zerwać, ale Konrad nigdy nie chciał jej puścić. Zuza niszczyła go od środka, ale jednocześnie pomagała zachować poczucie bezpieczeństwa. Dziwne połączenie. Kroon traktował dziewczynę jak amulet. Ilekroć chciał odejść, przytrafiało mu się coś złego. Trzymał się jej więc kurczowo niczym rozbitek. Jak narkoman, który nie potrafi zrezygnować z ulubionego narkotyku.

– Dość już tego – mruknął, zły na siebie. – Zajmij się w końcu czymś konstruktywnym...

Odblokował komputer, wybrał odpowiednie okno edytora tekstu. Wystukał kilka ciepłych słów; tak zwane wytyczne dla policji. Pismo przewodnie zawierające dokładne instrukcje, co należy wykonać w dalszym toku postępowania. Trochę wskazówek i garść opierdolu. Dwie minuty, zrobione.

Wyszedł na korytarz. W ramach oszczędności papieru, tonera, prądu i drzew puszczy amazońskiej wszyscy prokuratorzy korzystali z jednej potężnej drukarki.

Kroon zbliżył plastikowy dynks do terminala za–cholere–nie–wiem–jak–się–nazywa–to–cudo, logując się na swoje konto. Drukarka posłusznie rozpoczęła realizację zleconych zadań.

Zza drzwi gabinetu szefowej dobiegały podniesione głosy.

„Madzia znów wiesz na kimś psy” – pomyślał, zabierając kopie postanowień i wytycznych.

Staął na środku holu i spojrzał w stronę pokoju Prokurator Rejonowej. Sekretarka udała, że komuś podcinają gardło. Jej popisowy numer. W tym momencie drzwi gabinetu opuścił prokurator Kielrowski.

– Co ty tu jeszcze robisz, Krzysiu? Nie miałeś już siedzieć w okręgu?

– A daj spokój. – Machnął ręką. – Idziesz ze mną na fajkę?

– Przecież wiesz, że nie palę.

– A czy ja pytam, czy palisz? Weź płaszcz i chodź, kurwa, na dół.

*

Stanęli za płotem tuż pod ciężkimi filarami estakady. Betonowa trasa pozwalała przejechać przez dzielnicę potocznie zwaną Moreną i dotrzeć na Siedlce, Ujeścisko, Orunię, a nawet samą Giedi Prime. Ulica Franciszka Rakoczego, nazwana tak na cześć słynnego węgierskiego wygnańca, który przez przeszło rok bawił w grodzie nad Motławą.

– Czym tak rozsierdziłeś Magdę? – spytał Kroon, spoglądając na zmęczoną twarz kolegi. Dużo zmartwień, wyrzuty sumienia upchnięte starannie między mankiety koszuli.

– Ladecką. A czym innym? – Odpalił papierosa. Gęsty dym zawisł ciężko w wilgotnym powietrzu. Kroon stanął krok dalej.

– Dziewczynki się nie lubią.

Kieltrowski przytaknął.

– Zarzuciła mi, że jej donoszę. Kabluję, co dzieje się we Wrzeszczu.

– A donosisz? – spytał z uśmiechem na ustach Konrad.

Kolega zgniótł obcasem leżącą na ziemi puszkę.

– Noż kurwa. Pewnie, że tak. Wiesz, jak w okręgu kochają plotki.

Zaśmiali się obaj.

– Biedna Madzia zaraz nam się zawinie na Srebrzysko – ocenił chłodno Kroon.

– Jak jest taka miękka, to niech nie fika Monice. Wiesz, jakie ona ma chody u okręgowego.

– Dziadek lubi blondynki.

– Każdy lubi blondynki – podsumował Kieltrowski. – Jebane baby. Co one nam robią z życiem? Ciągłe prośby, przysługi. Wiesz, jest taka jedna... A zresztą nieważne. To tylko jakaś przelotna znajomość. Mów lepiej, co tam z Zuzą.

Kroon wsadził skostniałe ręce do kieszeni. Było zimno.

– Wyjechała na Teneryfę.

– Skubana! – zawołał Kieltrowski.

– Do pracy pojechała. Sesje trzaska – wyjaśnił Konrad, zerkając w stronę szarego budynku. Miał ochotę wrócić do ciepłego pokoju i napić się kawy.

– Kota nie ma, myszy harcują... To może jakiś browarek spijemy wieczorkiem?

– Mówisz serio? – zdziwił się Kroon.

Kieltrowski nigdy nie proponował wspólnych wyjść.

– Czemu nie. Ale muszę domknąć jedną sprawę. Właściwie po to tu wpadłem. Myślałem, że nie ma Magdy.

Kroon zachichotał.

– Cały ty, koleżko. Najpierw kusisz, potem rejterujesz.

– Konrad, tam w tym okręgu to lepszy zapierdół niż tu. Niby mniej pracy, ale sprawy po kilkadziesiąt tomów. Tego nie idzie czytać.

– Dlatego już wolę swój ciepły kurwidolek we Wrzeszczu.

Kieltrowski odpalił kolejnego papierosa. Cienkie mentole, podobno tylko hipsterzy takie kupują.

– Z twoim mózgiem już dawno powinienesz siedzieć w krajówce – zauważył mężczyzna.

– Oj, Krzysiu, Krzysiu... – Kroon tylko westchnął.

– Zobaczysz, brachu, że w końcu cię ściągną wyżej. Potrzebują ludzi do roboty.

Konrad nasunął na uszy kołnierz płaszcza.

– *No way* – bąknął.

– Jak oni tego nie zrobią, to sam cię kiedyś ściągnę. Obiecuję.

FLARA

Starsza aspirant Justyna Flarkowska była jedną z lepszych policjantek gdańskiej dochodzeniówki. Mądra, po studiach, wiele lat temu miała iść na szkołę i dostać oficera, ale na drodze do kariery stanął jej romans z komendantem.

O przelotnej miłości dowiedziała się żona przełożonego. Zazdrosna kobieta rozpętała prawdziwą aferę, obilo się nawet o jakiegoś wiceministra. Małżonek poszedł na wcześniejszą emeryturę, a do Flarkowskiej na zawsze

przykleiła się łątka „tej, co spała z Danielakiem”. Stała się wiecznym aspirantem: harujesz do śmierci i więcej nie awansujesz.

Na biurku stało zdjęcie jej jedenastoletniego syna. Inna wspaniała historia. Gdyby chciała napisać kiedyś książkę, zdecydowałaby się pewnie na poradnik: „Jakich facetów unikać”.

Zadzwonił telefon. Dyżurny.

– Flara, jakaś pani do ciebie. Sonia Salińska.

– Już schodzę.

Zaprosiła świadka na górę. Ładna dziewczyna, trochę dziwnie ubrana. Dużo tatuaży. „Myślałam, że wszystkie lesby wyglądają jak faceci” – stwierdziła w myślach policjantka.

Wręczyła protokół pouczenia, poprosiła o podpis. Załącznik adresowy, krótka rozmowa o niczym. Taka gra wstępna dobrego przesłuchującego. Nie była to metoda z *Quantico*, ale Flarkowska umiała robić swoją robotę.

– Wiesz, w jakiej sprawie zostałeś wezwany? – Od razu przeszła na ty. Prokuratorom to się nie zdarzało.

– Nie mam bladego pojęcia.

Sonia siedziała ze skrzyżowanymi rękami. Typowa postawa obronna. Była zamknięta w sobie, nie chciała niczego mówić.

– Byłaś już kiedyś przesłuchiwana? – spytała policjantka.

Dziewczyna przytaknęła.

– Raz czy dwa.

– Kiepskie doświadczenia? Trafiłaś na jakiegoś chuja?

Sonię zdziwiła otwartość funkcjonariuszki. Z kobietami zazwyczaj łatwiej się dogadać. Nawet jak robią w psiarni.

– Powiedzmy.

– Słuchaj, to będzie krótkie przesłuchanie. Nic ci nie grozi, sprawa nie dotyczy ciebie, ale musisz mówić prawdę. Chodzi o niejaką Julię. Poznałyście się w zeszłe wakacje.

Julia. Pokręcona laska Wiktora. Złamała mu serce, potem odwalila kilka dziwnych akcji. Seksowna i piękna, Sonia miała na nią ochotę. Trzymały się razem w ekipie, aż wszystko się zjechało.

– Tak – potwierdziła krótko.

– Chciałabym się czegoś o niej dowiedzieć. Kim jest, jak się nazywa, gdzie mieszka...

Sonia nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań.

– To była po prostu Julia. Dziewczyna Wiktora. Wiktora Duchnowskiego – dodała.

– Już go przesłuchiwałam. Niewiele wiedział.

Sonia wzruszyła ramionami.

– Ja pani więcej nie powiem.

– Czy to nie dziwne, że chłopak chodzi z dziewczyną i nawet nie zna jej nazwiska? Nie ma jej numeru telefonu?

„Dziwne w chuj” – pomyślała Sonia. To była cała Julia.

– Julia żyła w innym świecie.

– Zdążyłam się już o tym przekonać – przyznała policjantka. Wystukała coś na komputerze. – Jak się domyślam, nazwisko Weroniki Zatorskiej też ci nic nie mówi.

Sonia nie miała bladego pojęcia, o kogo chodzi.

– Nie.

– Opowiesz mi coś o waszych wakacjach? O tym, co mówiła Julia?

Musiała się chwilę zastanowić. To był piękny czas, zakończony naprawdę mocnym kacem. Najlepiej wymazałaby go z pamięci.

– Lato jak lato. Trochę imprez, trochę alkoholu.

– I narkotyków – dodała policjantka. – Nie bój się, wasze jaramie nic mnie nie obchodzi. Sama lubię wziąć bucha – blefowała. Gdy była studentką, zaciągnęła się kilka razy. Zero przyjemności.

– Nic nie wiem o żadnych dragach – zeznała Sonia, która nie ufała ani jednemu stróżowi prawa. Nawet takiemu bez kutasa.

– Serio nie o to pytam. A czy możesz powiedzieć mi coś o hasle: „Krzycz, jeśli żyjesz”? Czy mogę zobaczyć twoje ramię?

Sonia wygładziła rękaw kurtki. Nie chciała niczego pokazywać.

– Czy muszę?

– W zasadzie to tak. Ale nie bój się. Jeśli się krępujesz, uwierzę ci na słowo.

Po dłuższym momencie Sonia odsłoniła ramię. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Lekko rozlany tatuaż; zgrabne litery otoczone brudną obwódką.

– Jak mniemam, wiąże się z nim jakaś historia – zaczęła Flara.

Jak zwykle miała rację. Zabawne powiedzonko stanowiło motto wspaniałych, szalonych wakacji. To było naprawdę grzeszne lato.

[37] R. Nieburh, *Modlitwa o spokój ducha*, online: <http://www.spokoj-ducha.pl/> (dostęp: 1.08.2022).

ROZDZIAŁ 25 | LIPIEC

GUSTAW

Cały dzień przeleżał w łóżku. Od kilku dni albo pracował na meleksach, albo zamykał się w pokoju i nie wychodził z pościeli. Kliniczny przypadek depresji frajera. Kobiety mojego życia: babcia, mama, siostra. Zbiór nie zawiera dalszych rekordów.

Zawibrował telefon. Ostatnio rzadko ktoś do niego pisał. Spojrzał na ekran. Natalia.

„wbijamy dziś na ele, idziesz z nami?”

Spodziewał się, że Natalia napisze. Analizował ten scenariusz od kilku dni. Chciał jej wyrzucić wszystko, sprawić, by ją zabolalo, by zrozumiała, jak wielki błąd popełniła. „Może i mam wady, może nie jestem taki odpięty jak Łaga, ale mam też całkiem sporo zalet. No i dobrze wyglądam” – myślał.

Co by to dało? Do czego doprowadziłby taki demonstracyjny gest? Natalii zrobiłoby się trochę przykro. Potem poszłaby na imprezę, kogoś poznała, zapomniała. Żyłaby dalej. W końcu spotykali się niecałe pół miesiąca. Tyle co nic. A Gustaw?

Gustaw miał do stracenia znacznie więcej. Odkąd Łaga wyjechał na wakacje, Natalia była jego ostatnim łącznikiem z ekipą. Paczką fajnych,

wyluzowanych ludzi. Kiedy szli razem na Ele, wszyscy spoglądali na nich z zazdrością. Bananowe dzieciaki, popatrzcie na nich! Królowie życia!

Nie miał zbyt wielu znajomych, nie chodził na imprezy. Mógł zamknąć się w skorupie, zgnić i zdziwaczeć. Albo zagryźć zęby, przyjąć kosza na klatę i walczyć o swoje miejsce w lepszym świecie. Wybrał drugą opcję.

„O której ustawka?” – wystukał.

JULIA

Spotkali się dość wcześnie, tym razem bez Marka. Łagocki znudził się Bałtykiem i czasowo przeniósł na Seszele. Skromnie, ale godnie.

Przyjaciele rzadko kiedy imprezowali bez bifora, dziś był właśnie ten dzień. Jeszcze przed bramkami rozpętała się dyskusja na temat niecodziennego wyglądu panny Salińskiej. Kilka dni temu Sonia wraz z Natalią uczestniczyły w trójmiejskiej Paradzie Równości. Wracając, dziewczyny natknęły się na brunatnych panów walczących o tradycyjny model rodziny. Edukacja poprzez rękoczyn. Bóg, honor, ojczyzna.

– Słuchaj. Jakbyś chciała im dopierdolić, to mogę dać ci namiary do kogoś, kto to robi – powiedział z nieudawaną troską Wiktor. – U mnie w domu rzadko kiedy załatwia się takie sprawy przez psiarnię. Znam jednego emerytowanego policjanta. Robił w kryminalnych, teraz jest detektywem. Jak z filmów Vegi. Niezły pojebaniec z niego.

Sonia wspięła się na palce i ucałowała młodego Duchnowskiego w czoło.

– Kochany jesteś, brachu. Ale wrzucam na luz. *Let bygones be bygones.*

Weszli na teren imprezy. Na stoczni trwał właśnie jakiś festiwal. Po obiekcie kręciło się sporo dziwnie ubranych ludzi, sprzedawano ciuchy, można było sobie zrobić tatuaż w pop-upowym studiu.

Zamówili po kolejce. Gustawowi wrócił dobry humor. Nie był z Natalią, ale cieszył się ze swojego miejsca w ekipie. Uważali go za jednego ze swoich. Przynależność do takiej grupy zawsze nobilituje. Zwłaszcza gdy ma się dwadzieścia kilka lat i gówno w głowie.

– Wiesz co... – zaczęła Julia, podchodząc do Soni. – A mi się podoba to twoje limo. Mega mnie to kręci.

– No bo ty jesteś pojebana – ucięła krótko Sonia. Zdążyła już zauważyć, że Julia ma dziwne zainteresowania.

Napiły się aperola.

– Oj, nie wiesz nawet, jak bardzo.

Podeszła do nich Natalia.

– O czym tam plotkujecie?

– Julka mówi, że jara ją moja śliwa na ryju – wyjaśniła Sonia.

– *Weird...* – Natalia uniosła wysoko brwi.

– Jeśli boli, to przynajmniej wiesz, że żyjesz – odparła dziewczyna. – Poza tym gorąca z ciebie laska. I żadna szrama tego nie zmieni.

– Ha, ha, dzięki – zarechotała Sonia. Opróżniła kolejny kieliszek. – Czyli klasyczne: „krzycz, jeśli żyjesz”?

– Krzycz, jeśli żyjesz! – zawołały we trójkę.

*

Bawili się na parkiecie. Sonia wyciągnęła jointa, tym razem nawet poprawny student prawa nie odmówił. Postanowił, że będzie bardziej wyluzowany.

W pewnym momencie do Gustawa podbiła jakaś dziewczyna. Nie najbrzydsza, białe superstary, lekko pokręcone włosy. Podrygiwała koło niego, usilnie próbując nawiązać kontakt wzrokowy. Gustaw spojrzął na Natalię. Przyjaciółka uniosła kciuk w górę.

– Napieraj! – poleciała.

Gustaw obrócił się w stronę nieznajomej. Od razu zaczęli razem tańczyć.

– No i popatrzcie, jak świetnie sobie radzi – skomentowała go Sonia.

– Chłopak ma duży potencjał – oceniła Julia. – Aż strach pomyśleć, co będzie robił pod koniec wakacji. Może kogoś zabije.

– Ej! Krzycz, jeśli żyjesz! – zawołał do niego Wiktor.

Gustaw i nowo poznana dziewczyna obrócili się do przystojnego młodzieńca. Ten pokazał im ułożone z dłoni serce. Dostała akcept ekipy.

– To jest zajebisty tekst. – Julia wyglądała na zamyśloną.

– No raczej... bo ja go wymyśliłem – cieszył się młody Duchnowski, popijając jägera z red bullem.

– Też to czujecie? Tę energię? – dopytywała dziewczyna.

– No pewnie, że tak. To seks! – zawołał Wiktor.

– Ja pierdołę, mam zajebisty pomysł. Chodźcie! – krzyknęła Julia.

– Ale dokąd?

Chwyciła Wiktora, skinęła głową na Sonię i Natalię. Drugą ręką wyrwała Gustawa z tłumy.

– Za chwilę go oddam – powiedziała do laski w superstarach.

Odeszli kawałek dalej.

– O co ci chodzi? – spytała Sonia.

– Dobrze mi szło... – speszył się Gustaw.

– Spokojnie, typiara jest na ciebie nagrzana, za chwilę rozłoży nogi i ją przekłujesz – palnęła Julia. Gustaw się zmieszał. – „Krzycz, jeśli żyjesz”.
Nasz tekst. Kumacie to?!

– No kumamy... – mruknął Wiktor.

– To jest nasze lato! To są te grzeszne wakacje, bez konwenansów, bez strachu i konsekwencji. To jest nasze jebanie zasad, pierdolenie wszystkiego i wszystkich. Krzycz, jeśli żyjesz. Krzycz albo jesteś trup!

– Czy ona się czegoś naćpała? Jaraliśmy zioło, a ona gada, jakby brała kwas – zdziwiła się Sonia.

– Niczego nie ćpałam! – zawołała rozradowana Julia. – Krzycz, jeśli żyjesz! To my, to o nas! To o tym, czego dokonamy, czego nikt nam nie zabierze!

– Kurwa, Julka...

– Robimy tatuaż! Dziaramy się w tym momencie!

Nie wiedzieli, czy mówi serio, czy ich wkręca.

– Tatuaż? – powtórzył Gustaw. Nie miał na ciele ani jednej dziaby.

– Sonia, jesteś cała wydziarana – przypomniała Julia. – KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Pasuje na tatuaż?

– No pasuje...

– Właśnie.

Julia zawsze działała według tego samego schematu. Najpierw miała jakiś pomysł, kaprys, zachciankę. Później go realizowała. *Just like that*. Między pragnieniem a spełnieniem nie pozostawiono zbyt wiele przestrzeni. Jeśli coś postanowiła, wszyscy się z nią zgadzali. To było to coś, czego kilka miesięcy później nie mogli zrozumieć prokurator Kroon, aspirant Flarkowska ani nikt inny. To coś, co rozumieli jedynie Natalia, Sonia, Wiktor i Gustaw. To była po prostu Julia.

Weszli do tymczasowego salonu tatuażu. Z fotela schodziła właśnie jakaś laska, w kolejce czekał opalony koleś.

– Będziemy się dziabac – powiedział Wiktor. – Cała piątka.

– Sorry, ale nie mam już miejsc.

– Ej, ty. – Duchnowski zwrócił się wprost do klienta, który właśnie miał usiąść na krześle. – Co będziesz robił?

– Taką mandalę... – Pokazał mu kartkę ze wzorem.

– Zajebisty pomysł – podsumował Wiktor. – A teraz bierz kasę i spierdalaj. – To powiedziawszy, wręczył mu pięć stów. Tata stawiał.

Pięćset złotych. Tyle zyskał niedoszły klient, odwołując zrobienie tatuażu o kilkanaście godzin. Niezłe odsetki. Taką kwotę zarabiał normalnie w tydzień. Dziś był jego szczęśliwy dzień.

– Spoko, nie ma sprawy – odparł, biorąc gotówkę.

– Wychodzi na to, że masz okienko – powiedziała Julia, uśmiechając się do tatuatora.

– Jestem Lenis – przedstawił się mężczyzna, patrząc pożądliwie na Julię. – To co dziaramy?

– Lenis-penis – szepnęła Natalia.

– Zamknij się, jeszcze nam coś zjebie! – mruknęła do niej Sonia.

– Napis: KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Proste litery, jakaś hipsterska czcionka.

– Spoko hasło. Wszystkim to samo?

Przytaknęli całą ekipą.

– To chyba będzie trzeba trzasnąć kalkę. – Wyciągnął laptopa, skrobął napis w programie graficznym.

– Trochę za kanciasta – oceniła Julia.

Lenis zmienił na Helweticę.

– No nie, *too obvious!* – rzuciła Sonia, która znała się na tatuażach.

– To może taka?

– Pokaż mi to. – Julia przejęła laptopa. Przeleciała przez kilkanaście czcionek. – Może to?

– Spoczko... – powiedziała Natalia.

– Luźno. Dla mnie może być. – Wiktorowi było wszystko jedno. Napił się drinka.

– Tylko od razu mówię, jak pijecie, to was nie dziabię – ostrzegł artysta. – Może się rozlać.

– Mamy w to wyjebane! – oznajmiła Sonia. Kilka dni później najbardziej ze wszystkich żałowała tego śmiałego postanowienia.

– Cztery stówki od łebka i drukuję kalkę – powiedział Lenis.

– Ej, ziom, dziaramy się w piątkę. Dałbyś jakiś bonus – targował się Gustaw. Przyjaciele zdziwili się, skąd u niego nagle taki luz.

– Może być trzysta pięćdziesiąt.

– No i pięknie, stawiam wszystkim. Znaczy Jan Duchnowski wam stawia – oznajmił ze śmiechem Wiktor.

– Sama płacę za swoje dziaby – powiedziała ostro Sonia.

– Ja też zapłacę... – odparła honorowo Natalia.

Wiktor wyciągnął telefon. To Jan Duchnowski miał za wszystko zapłacić.

– Nabijaj dwa koła, Lenis – rozkazał, stukając iPhone'em w terminal.

– Nie no, luz, Wik. – Gustaw szukał już karty.

– Nabijaj, nabijaj, bo się rozmyślę! – ponaglił go Duchnowski.

Na terminalu pojawiła się suma dwóch tysięcy złotych. Płatność zbliżeniowa, przy tej kwocie należało podać również kod PIN.

– Wiktor lubi mieć kontrolę. – Julia się zaśmiała, gładząc chłopaka po udzie. Delikatnie zahaczyła o jego krocze.

– No dobra, to kto pierwszy?

– Ja! – zawołał Gustaw, ładując się na fotel.

– Prawilniak, ale ogier z ciebie! – skomentował Wiktor.

– Krzycz, jeśli żyjesz! – zawył student prawa.

Artysta przykleił kalkę, potem wziął do ręki maszynkę. Gustaw poczuł lekkie pieczenie. Szybko poszło.

– Tu masz taki specjalny plaster. Odklej go po trzech dniach, potem delikatnie myj i smaruj wazeliną albo jakąś *fancy* maścią. Wycieraj ręcznikiem papierowym, poczekaj, aż się zagoi. No i nie pij. – Wypowiadając ostatnie zdanie, popatrzył na Sonię, która właśnie opróżniła kolejny kieliszek.

KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Wydziałali się wszyscy. Przypadkowe powiedzonko stało się mottem ich najwspanialszych wakacji. Szalonego lata pełnego miłości, muzyki i narkotyków.

ROZDZIAŁ 26 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Kiedy w 1973 roku w Sztokholmie dokonano napadu na Kreditbanken, przestępcy potrzebowali jedynie sześciu dni, by stać się najlepszymi przyjaciółmi swych zakładników. Po złapaniu napastników i uwolnieniu jeńców ofiary broniły rabusi przed policją, organizowały dla nich zbiórki pieniędzy, odmawiały współpracy z organami ścigania. W wiktymologii ta dziwna więź psychiczna doczekała się nazwy „syndrom sztokholmski”.

Weronika zadomowiła się w swym podziemnym mieszkanku. Pojęła podstawowe reguły gry, zrozumiała, że od wyjścia z Czyścica stała się nową osobą. Stała się kolejną Ewą.

Porywacze zdjęli swe ptasie maski. Wyglądali tak samo jak kilka dni temu na Garnizonie. Zielonooka blondynka o włosach do ramion, z kolczykiem w nosie. Wysoki chłopak, modnie ostrzyżony, o lekko kręconej czuprynie. Dwójka znudzonych życiem dwudziestolatków. Dalej nie znała ich imion, ale stali się bardziej ludzcy, zwyczajni. Karmili ją, przynosili książki, rozmawiali.

Były to niecodzienne konwersacje. Każdy, kto kiedykolwiek oglądał wywiady z Charlesem Mansonem, wie, jak wygląda prawdziwy

psychopata. Dziewczyna i chłopak mieli w oczach ten sam błysk szaleństwa.

Siedzieli na wersalce, oglądali coś w telewizji. W pewnym momencie chłopak spojrział na swoją dziewczynę. Potem złapał Weronikę za szyję, drugą ręką zaś zdzielił ją po twarzy. Weronika spadła z kanapy.

– Ale ja... ja nic przecież nie zrobiłam. Jestem Ewa! – Rozpłakała się.

– Nie. To prawda. Nic nie zrobiłaś – przyznał młodzieniec.

Porywaczka powoli wstała z sofy. Stała za Weroniką.

– Co się stało? Zrobię wszystko, co chcecie! O co chodzi?! – krzyczała w panice. Czuła, jakby naprawdę wyrządziła jakąś krzywdę. Postanowiła wszystko szybko im wytłumaczyć. Naprawić. Przecież musieli zrozumieć.

– Rzecz w tym, że nic nie zrobiłaś, Weroniko... – powiedziała dziewczyna z kolczykiem w nosie.

– Nie jestem żadną Weroniką. Mam na imię Ewa! Wy tak daliście mi na imię! – jękała się.

– Właściwie to nie ma żadnego znaczenia – przyznał porywacz. – Nic nas to nie obchodzi.

– Ale dlaczego? Co ja zrobiłam? Proszę! Powiedzcie! – płakała.

Zielonooka blondynka złapała ją za włosy i pociągnęła w stronę stalowych drzwi. Weronika zaczęła wierzgać.

– Nic nie zrobiłaś. Nie rozumiesz? Twoje wybory nie mają żadnego znaczenia. Jesteś nikim.

– Nie, nie! Tylko nie to! Ja nie chcę do Czyścica! – wrzeszczała w spazmach.

Porywacz zdzielił ją pięścią po brzuchu. Zwymiotowała.

– Będziemy cię niszczyć. Systematycznie, dzień po dniu – oznajmiła beznamiętnym głosem dziewczyna.

– A ty będziesz krzycheć. Dopóki nie umrzesz.

CZEŚĆ PIĄTA

LANGFUHR

ROZDZIAŁ 27 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Od rana w Prokuraturze Rejonowej Gdańsk-Oliwa wrzało. Szef wisiał na łączach z Prokuratorem Okręgowym, co chwila wzywał do siebie prokuratorkę z działu śledztw.

Marta Sieczkowska swoją nominację odebrała niecały rok temu. Doskonała prawniczka, absolwentka Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, egzamin zawodowy zdany na ocenę celującą. Ambitna dziewczyna, która kochała swoją robotę i zamierzała poświęcić się służbie w wymiarze sprawiedliwości. Bystra, odcytana, piekielnie pracowita. Przepisy, komentarze i aktualne orzecznictwo miała w małym palcu.

Zjeżdżała do prokuratury chwilę po siódmej, omijając korki tworzące się na wysokości węzła Karczemki. Wychodziła tuż po wieczornym szczycie komunikacyjnym. Dieta pudełkowa, brak chłopaka, życie osobiste równie żyzne jak ziemia na Marsie.

Pracownik idealny. Chciała awansować, nie bała się trudnych spraw. Prokurator rejonowy wiedział, że mimo krótkiego stażu może powierzyć dziewczynie najbardziej skomplikowane postępowania.

Kroon wychodził właśnie z budynku. Na parkingu roiło się od policyjnych samochodów.

– A co to, panie Edziu, El Chapo znowu nawiał z pierdla? – zażartował do ochroniarza.

– Panie prokuratorze, jakaś grubsza akcja – odparł mężczyzna, spoglądając na biegnącą z papierami policjantkę.

Minęli się w drzwiach wejściowych.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – rzuciła pospiesznie kobieta.

– Dzień dobry. *Busy day*, hmm? – odpowiedział Kroon.

Funkcjonariuszka pobiegła prosto do windy. Znał ją z dochodzeniówki, robiła w Komendzie Miejskiej. Znaczy coś poważnego.

– Zaraz się zleci telewizja – oznajmił ochroniarz.

– Serio?

– Tak przeczuwam. Medialna sprawa jak nic – rzekł mężczyzna z miną znawcy. Poprawił wąsa.

Kroon zapiął płaszcz.

– Bardzo dobrze, panie Edziu. To pan się tu wszystkiego wywie, ja za chwilę wracam, to mi pan opowiesz, co i jak.

Właściwie nigdzie w okolicy nie można było kupić świeżego chleba. Dużo nowych bloków, żadnej przyzwoitej budki z pieczywem.

Kroon przeszedł przez światła i umykając przed pierwszymi kroplami późnojesiennego deszczu, wskoczył na zadaszone schody centrum handlowego. Pięć minut pieszo od prokuratury i sądu. Jedyne sklepy z jedzeniem.

Błądził korytarzem, przystanął na chwilę przy szybie marketu z elektroniką. Faceci lubią gadżety. Konsola, telewizor, komputer, ekspres do kawy. Niczego nie potrzebował, ale fajnie popatrzeć. *Window shopping*. Dotarł do piekarni.

– Dwie żytnie bułeczki poproszę i pół razowego.

– Pokroić?

Odrobina refleksji.

– A niech pani pokroi.

– Będzie osiem złotych.

Osiem złotych za dwie bułki i pół chleba. „Pojawiające się opinie o grożącej nam inflacji są mocno przesadzone” – ocenił prezes NBP. „Niebezpieczeństwa przyspieszonego spadku siły nabywczej polskiej waluty nie uzasadniają ani perspektywy rozwoju gospodarczego, ani kształtowanie się cen światowych, ani dynamika płac. Wskaźnik inflacji kształtuje się poniżej celu wyznaczonego przez NBP. Także i siła nabywcza Polaków rośnie w tempie szybszym niż inflacja”.

– Karta. – Kroon przyłożył telefon do okienka terminala.

Przeciągły sygnał dźwiękowy. Piiiiik.

– Potwierdzenie?

– Nie, dziękuję.

Spakował zakupy do materiałowej torby i ruszył w drogę powrotną. Odkąd Zuza wyjechała, śniadania jadał w pracy. I tak głodniał dopiero koło godziny dziesiątej.

– Jak tam, panie Edziu? Dowiedział się pan czegoś?

Ochroniarz stał na zewnątrz, wypalając drugą tego dnia paczkę fajek. Zawsze capię od niego tanim tytoniem i mocną wodą kolońską.

– Zabójstwo. Jakiegoś dzieciaka zamordowali.

– No proszę. A gdzie? Na Śródmieściu?

– W Oliwie – odparł mężczyzna.

Kroon wszedł do budynku. Na parterze spotkał znajomego policjanta.

– Coście tam, Andrzejku, nakręcili w tej Oliwie? Arcybiskupa zamordowali?

Funkcjonariusz podniósł wzrok znad telefonu. Zszedł na dół, by mieć chwilę prywatności. Córka właśnie trafiła na porodówkę.

– Szkoda gadać, panie prokuratorze. Gorzej niż biskupa. Geja.

Uprzedzenia. Lata rozwoju cywilizacji, a uprzedzenia wciąż trzymają się mocno jak Chińczyki u Wyspiańskiego.

Kroon puścił tę niestosowną uwagę mimo uszu.

– I co? Macie sprawcę?

Hryniewicki przytaknął. Stary dochodzeniowiec, robił w tej branży trzy razy dłużej niż Kroon. Zaczynał jeszcze za gówniarza w milicji. Już dawno mógłby siedzieć na emeryturze. Wieczny aspirant, podobnie jak Flarkowska. Na początku lat dwutysięcznych odwalił jedną głupią akcję. Przełożeni zamietli wszystko pod dywan, ale powiedzieli mu, że oficera już nie dostanie. No i tak się zasiedział na tym aspirancie.

– Kryminalni pocisnęli i w trzy dni go złowili. Dostaną od komendanta złote kalesony.

– Pięknie. A pan co dostanie? – spytał retorycznie Kroon. Wiedział, że dochodzeniowiec może liczyć co najwyżej na ciepłe słowo. Oczywiście przy dobrych wiatrach.

– Uścisk dłoni prezesa – stęknął. Łupało go w krzyżu.

Kroon wcisnął przycisk windy.

– Jedzie pan na górę?

– Właśnie uciekłem na chwilę na dół. Podejrzany tyle co wszedł na przesłuchanie.

Srebrne drzwi dźwigu rozsunęły się na boki.

– A to jak pan nie jedzie, to ja też nie. – Ruszył w stronę klatki schodowej. – Powodzenia!

– Dzięki. Trochę sportu nigdy nie zaszkodzi – rzucił na odchodne policjant, komentując zdrowe nawyki prokuratora. Hryniewicki zawsze korzystał z windy. Czemuś w końcu zawdzięczał swój pokaźny brzuch.

Kroon przystanął na pierwszym piętrze. Tu mieściły się działy śledztw wszystkich trzech prokuratur: Śródmieścia, Wrzeszcza i Oliwy. Na korytarzu spotkał kolejnego policjanta, tym razem z kryminalnych.

– Dzień dobry. Słyszałem, że upolowaliście jakiegoś grubego zwierza?

– Dzień dobry, panie prokuratorze. Ano trafiło się jak ślepej kurze ziarno.

Prokuratorzy rzadko kiedy rozmawiali z kryminalnymi. O pracy operacyjnej nie miał prawa wiedzieć nikt poza funkcjonariuszami z wydziału; adwokaci, prokuratorzy i sędziowie zajmowali się jedynie materiałami, które w sposób formalny wprowadzono do procesu karnego. Jeśli informacje uzyskane od policyjnego szpicla miały się na coś przydać w postępowaniu, należało go formalnie przesłuchać jako świadka. To, o czym sprawca raczył powiedzieć w niezobowiązującej konwersacji, tak zwanym rozpytaniu, należało powtórzyć do protokołu. Jeśli kryminalni namierzili podejrzanego telefon, procedura wymagała ponownego wystąpienia o dane do operatora *und so weiter*[38].

– W Oliwie jakiegoś faceta zamordowali? Co to było? Domyślam się, że coś grubszego niż harda biba na melinie.

Policjant przytaknął. Typowe morderstwo w Polsce to czyn dokonany pod wpływem alkoholu podczas libacji alkoholowej. Dziewięćdziesiąt procent spraw z artykułu sto czterdzieści osiem.

– Dwóch kochanków pedałów. Przestało im się układać i jeden drugiego zaciukał.

– Miłość boli – podsumował Kroon.

– I to bardzo. Na moje psychiczny jakiś. Odklejony artysta. Robił rzeźby, makabryczny syf, za cholerę nie wiem, kto to kupuje. Takie satanistyczne maskarony. No i tego naszego biednego chłopaczka udusił, a później zakopał w gipsie.

Konrad uniósł wysoko brwi. Opowieść zrobiła na nim wrażenie.

– Proszę, proszę – odparł. Miał ochotę jeszcze o coś dopytać, ale nie znał nazwiska policjanta. Kojarzył go tylko z wyglądu.

– Kręcił strasznie na przesłuchaniu. Najpierw oczywiście zarzekał się, że to nie on. No ale chwilę nad nim popracowaliśmy i wszystko wyśpiewał.

– A gdzie to było? W Oliwie gdzieś?

Policjant ugryzł kawałek batona. Zawsze na wycieczki do prokuratury zabierał całą kieszeń słodczy. *Nie jesteś sobą, kiedy jesteś głodny.*

– W Nowym Porcie. Miał tam pracownię w starym magazynie koło Nabrzeża Zbożowego. Dziwak taki. Lubił zabawy sadomaso. Miał jakąś dziewczynę, w ogóle pojechała para. Żyli w trójkącie, ona była chyba zazdrosna o tego całego geja. Nie wiem, kto tam komu wkładał. Zboczenie. Mówię panu, te dzisiejsze dzieciaki to mają zryte berety.

– I na nią też coś macie?

Kryminalny zaprzeczył.

– Na razie nic nie wychodzi. Laska się ulotniła. Ale spokojna głowa. Ją też dorwiemy.

PATRYCJA RADKE

Kolejna rozprawa karna, tym razem z wyboru. Reklama chwyciła, klient wyhaczył ją dzień przed wyznaczonym terminem posiedzenia.

„Wyrok dostałem, ale ja jestem niewinny”. Wiadoma rzecz, niewinność. „Precz z głowy myśli żeną. Jak dziecko, gdzieś przed laty, Oczyma myślę

jeno: ...Niebiosa, słońce, kwiaty...”[39]

– Zrobimy, co w naszej mocy – zapewniła młoda mecenas, opuszczając salę rozpraw.

Na korytarzu pojawił się następny adwokat. Dość wysoki. Młoda twarz i wczesna siwizna. Właśnie wkładał togę.

– Cześć, Patrycja! – zawołał z oddali.

– Hej – odparła prawniczka.

Znali się jeszcze z roboty w poprzedniej kancelarii. Tadeusz pracował tam dłużej od niej, po zdanym egzaminie zaproponowano mu przystąpienie do spółki. Patrycji złożono serdeczne gratulacje i życzenia wielu sukcesów na nowej drodze życia.

– No proszę, proszę, jaka pani mecenas! – oświadczył całkiem serdecznie. Lubili się i zawsze w kuchni obgadywali dziewczyny z sekretariatu.

– Ha, ha, dzięki, Tadziu.

– Czekasz na coś? – spytał kolega.

Patrycja wygładziła togę. Nieco zbyt nerwowo.

– Skończyłam na dzisiaj.

– Jakaś gruba ryba?

Zaprzeczyła.

– Drobnica. Alimenciarz.

Nie spytał, jaka kategoria sprawy. Na tym piętrze ulokowano wyłącznie wydział karny, wiadomo, o co toczyła się gra.

– Każdy od tego zaczynał, Pati.

Tak do niej mówili w starej kancelarii. Nie przepadała za tym zdrobnieniem.

– Wiem. A ty co?

Podszedł bliżej.

– No ja to mam pojechaną sprawę. Obrona z wyboru, zabójstwo.

– Zabójstwo w rejonie? – W głowie od razu zabrzmiał jej dzwonek alarmowy. Sprawy o zabójstwo rozpatrywał zawsze w pierwszej instancji sąd okręgowy.

– Wniosek o areszt idzie. Świeża sprawa – wyjaśnił adwokat.

Bez względu na rodzaj przestępstwa tymczasowe aresztowanie w postępowaniu przygotowawczym stosuje ten sąd rejonowy, w którego okręgu prowadzi się postępowanie. W wypadkach niecierpiących zwłoki także inny sąd rejonowy. Artykuł dwieście pięćdziesiąty paragraf drugi Kodeksu postępowania karnego.

– Aaa, racja – odparła Patrycja, spoglądając na drzwi do sali rozpraw.

Tadeusz nachylił się nad jej uchem.

– Medialna sprawa. Zaraz zleci się tu telewizja. Obejrzysz mnie w wieczornych *Faktach*.

Kiwnęła głową z podziwem. Tadeusz miał szansę zrobić naprawdę niezłą karierę. Nie to co ona.

– Będę oglądać – zapewniła.

– Koleś zaciukał swojego chłopaka – szepnął, niemalże muskając ustami jej policzek. Czowała zapach gumy miętowej i dobrych perfum. – Artysta, wołali na niego Ptasznik. Żył w trójkącie ze swoją dziewczyną i tym całym biednym Kubsonem.

– Myślałam, że to laska go zamordowała – zdziwiła się Patrycja.

Zazdrość. „Są chwile, gdy wolałabym martwym widzieć cię. Nie musiałabym się tobą dzielić, nie, nie”.[40]

– Laska się ulotniła. Policja dalej jej szuka. Ale słuchaj tego. Koleś jest rzeźbiarzem. Bawił się ze swoim chłopakiem w jakieś dziwne sadomaso. W

końcu go udusił, a ciało ukrył w gipsie.

– Nie lepiej zalać betonem? – Gangsterzy zawsze chowają ciała w betonie. *Ciao, Tony Soprano.*

– Oblepił go gipsem i zrobił z niego rzeźbę – powiedział Tadeusz, robiąc wymowną pauzę.

– W sensie, że jakiś posąg?

– Coś w tym stylu. Ludzką figurę, ale taką makabryczną. Jak z jakiegoś piekielnego obrazu, Boscha czy innego Memlinga.

– To miało coś znaczyć? – Patrycja żałowała, że sama nie może bronić Ptasznika. Takie historie zdarzały się raz na kilka lat. Z pewnością będzie tym żyła cała Polska. Gębę Tadeusza pokażą wszystkie telewizje, portale i gazety.

– Mówił mi, że nie. Podobno tworzył same takie dziwne rzeźby. Nie umiał inaczej. Poddusił chłopaka w zabawie, przestraszył się tego, co zrobił, i ukrył ciało najlepiej, jak potrafił.

– No nieźle. Kiedy go znaleźli?

– Po kilku dniach od zgłoszenia zaginięcia. Kryminalni prowadzili akcję poszukiwawczą, sprawdzili miejsce, gdzie ostatnio logował się telefon pokrzywdzonego. Weszli do magazynu, tam zobaczyli figury. Na nieszczęście Ptasznika spod powierzchni ostatniej rzeźby przebijała ludzka skóra. Robił wszystko w panice, źle rozmieszał gips... No i się zaczęło.

Patrycja rozejrzała się po korytarzu. Na górę wszedł właśnie pierwszy dziennikarz. Szukał właściwej sali rozpraw.

– Ale serio chciał go zamordować?

– Dostał zarzut zabójstwa. Nasza linia obrony skieruje się w stronę nieumyślnego spowodowania śmierci. Bawili się w podduszanie, coś poszło nie tak.

– No a ciało? I gips?

Tadeusz wzruszył ramionami.

– Zbezczeszczenie zwłok musi być intencjonalne. On działał w panice, chciał ukryć ciało.

– Myślisz, że sąd to łyknie?

Kolega się uśmiechnął.

– Między nami... nie wiem. Obstawiam pół na pół. Typ jest wyjątkowo dziwny. Ma nierówno pod sufitem.

Jak wszyscy artyści. Żeby tworzyć sztukę, trzeba żyć choćby częścią duszy na granicy światów. Grunt, by jej nie przekraczać. Albo w porę wrócić do ojczyzny.

– Kto płaci za obronę?

– Rodzice.

Na korytarzu pojawiła się sędzia Grążela. Starsza kobieta, taka babuleńka do przytulenia. *Dziś sama jestem babcią, więc coś mogłabym dać swojemu wnuczkiowi, jeśli nie moje Werther's Original.*

Patrycja i Tadeusz od razu jej się uklonili.

– A dzień dobry, dzień dobry – odparła serdecznie. Utykała na lewą nogę. Przez ramię miała przerzucone togi i łańcuch. Adwokaci zielony, prokuratorzy czerwony, radcy niebieski, sędziowie fioletowy. Zapamiętamy?

– Ptasznik... fajna ksywa. To od ptaków?

– Coś ty miała z biologii, Pati? – prychnął kolega, szturchając ją z łokcia. – Przecież to taki pająk!

– Nigdy nie słyszałam – odparła.

Na korytarzu pojawili się kolejni dziennikarze. Patrycja rozpoznała logo najbardziej znanych stacji telewizyjnych. Ustawili kamery tuż pod drzwiami sali rozpraw.

– No dobra, Pati, zaraz się zacznie. Chyba go wprowadzają. Życz mi powodzenia!

– Kopa na szczęście!

Mecenas poprawił togę i stanął pod salą rozpraw. Patrycja wycofała się w kierunku okna. Chciała zobaczyć wschodzącą gwiazdę kroniki kryminalnej. W telewizji na pewno zblurują mu twarz.

Pojawił się skuty z tyłu, kajdanki założono również na nogi. Prowadzony przez dwóch muskularnych mężczyzn odzianych w kamizelki z napisem POLICJA. Funkcjonariusze mieli zamaskowane twarze: wiedzieli, że w sądzie będą kamery, chcieli wyglądać bardziej filmowo. Skąd dziennikarze dowiedzieli się o morderstwie? Oczywiście od kryminalnych. Ogromny sukces, sprawa gorętsza niż lato w Tunisie. Posypią się za to nagrody.

Ptasznik wyglądał raczej jak ofiara niż kat. Wychudzony, w za dużych spodniach i butach bez sznurówek. Krótkie włosy, wiek chrystusowy, na lewej skroni spory siniak. „Uderzył głową w drzwi radiowożu”. Według Rzecznika Praw Obywatelskich do najpopularniejszych, potwierdzonych sądownie policyjnych tortur należą: bicie pałką w pięty, rażenie paralizatorem miejsc intymnych, zakładanie worka foliowego na głowę, duszenie czy ściskanie jąder.

– Dlaczego zamordował pan tego chłopaka?

– Czy ofiar było więcej?

– Co skłoniło cię do zbrodni?

– Czy to prawda, że ukryłeś ciało pokrzywdzonego w gipsowej rzeźbie?

Grad pytań pod adresem osoby w świetle prawa uznawanej za niewinną. Artykuł piąty paragraf pierwszy Kodeksu postępowania karnego: „oskarżonego uważa się za niewinnego, dopóki wina jego nie zostanie udowodniona i stwierdzona prawomocnym wyrokiem”.

Tymczasowe aresztowanie stosuje się, aby zabezpieczyć prawidłowy przebieg postępowania. Areszt nie jest karą, lecz środkiem zapobiegawczym. Stosujemy go wobec osób formalnie niewinnych, jeśli istnieje duże prawdopodobieństwo popełnienia przez nich czynu zabronionego.

Opinia publiczna osądziła Ptasznika szybciej niż jakikolwiek sąd. Wyrok ogłoszono tuż po wieczornym wydaniu dzienników informacyjnych: dewiant, psychopata, morderca. Należy mu się krzesło. Przywrócić karę śmierci!

Mecenas podszedł do klienta, obracając się do dziennikarzy plecami niczym profesjonalny ochroniarz. Sekretarka poprosiła wszystkich zainteresowanych do środka. Kamery zostały na zewnątrz.

– Proszę o uszanowanie prywatności mojego klienta – powiedział teatralnym głosem adwokat. To było jego pięć minut sławy. – Przypominam, że do czasu prawomocnego wyroku cieszy się on domniemaniem niewinności.

– Czy Ptasznik działał sam?

– Czy były w to zamieszanie jeszcze jakieś inne osoby?

– Jakie były motywy tej straszliwej zbrodni? Czy miał to być jakiś rodzaj szaleńczej sztuki? Diabelskiego performance’u?

Mecenas stanął przy na wpół domkniętych drzwiach. *No pasarán!* Nie przejdziecie.

– Proszę państwa, na tym etapie postępowania nie odpowiemy na żadne dalsze pytania. Radzę zachować wstrzemięźliwość i wstrzymać się od pochopnych sądów. Dziękuję za uwagę.

KUBSON

Zgodnie z przewidywaniami sprawa Ptasznika rozgrzała wszystkie media, zarówno te tradycyjne, jak i nowoczesne. Wieczorne *Fakty*, rozmowa z Brunonem Hołystem w *Kropce nad i*. Monika Olejnik, która żąda od sędziwego profesora, by ten wniknął w umysł sprawcy. Długie dysputy w komentarzach na Facebooku: o motywach zbrodni, granicach sztuki, orientacji seksualnej sprawcy i ofiary. Dziś wszyscy jesteśmy kryminologami.

Jak to jest, że kręci nas zbrodnia? Horror, thriller, dystopijne filmy science fiction, które trzymają w napięciu aż do ostatniej minuty seansu. Czysta rozrywka, baśnie braci Grimm ubrane w nowoczesne szaty.

Da się to wszystko jakoś zracjonalizować. Potrzebujemy w końcu odrobiny bezpiecznej adrenaliny. Ale dlaczego tak bardzo interesujemy się prawdziwymi ludzkimi nieszczęściami? Namacalnymi, bliskimi, z sąsiedniej okolicy? Reportażami o zbrodniach, tragediach, drastycznych wypadkach? Skąd bierze się owa sadystyczna pasja do przeżywania cudzych porażek i dramatów?

Co kilka miesięcy dowiadujemy się z telewizji o jakiejś brutalnej zbrodni. To był dobry chłopak, trochę pił, ale nie mógłby nigdy nikogo zabić. Potępiamy sprawcę, pochylamy się nad cierpieniem ofiary. Cieszymy się, że to nie my. Nasze chujowe życie jest jednak całkiem wporzo. Niespłacalny kredyt, od tygodnia nie gadam ze starym, dzieciak znowu wyłapał lachę z matmy, ale jednak nikt nikomu noża w plecy nie władował. Oglądamy reportaż o mordercy i czujemy się lepsi. Normalniejsi. Bezpieczniejsi.

W gdańskiej Prokuraturze Okręgowej właśnie odbywała się konferencja prasowa w sprawie Ptasznika. Sprawę zabrano z oliwskiego rejonu i z uwagi na medialny charakter czynu przekazano do jednostki wyższego szczebla.

Rzecznik stanął przed rzędem mikrofonów. Nie miał niczego specjalnego do powiedzenia, ale i tak jego wystąpienie transmitowały na żywo wszystkie kanały tematyczne. Rozrywka informacyjna. *Panem et circenses*^[41] Ery Wodnika.

– W związku z ostatnimi wydarzeniami Prokuratura Okręgowa w Gdańsku wyda krótkie oświadczenie: Kilka dni temu doszło do ujawnienia zwłok dwudziestoletniego Jakuba S. Jak państwo zapewne wiedzą, ciało zostało ukryte w gipsowej rzeźbie. Prokuratura zdecydowała o przedstawieniu zarzutu z artykułu sto czterdzieści osiem, to jest zarzutu zabójstwa, Pawłowi P., pseudonim „Ptasznik”. W dniu wczorajszym skierowano wniosek do Sądu Rejonowego Gdańsk-Północ w Gdańsku o zastosowanie wobec podejrzanego środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania, który to wniosek został uwzględniony.

– Czy sprawca działał sam?

– Czy znane są inne ofiary Ptasznika?

Rzecznik chrząknął. Prokurator Otrębiński miał przewlekłe zapalenie zatok, które powodowało uciążliwą chrypkę. Mimo to jego tubalny głos brzmiał zawsze przyjemnie i doniośle. Aktor ze spalonego teatru.

– Na obecnym etapie postępowania nic nie wskazuje na to, abyśmy mieli do czynienia z celowym działaniem. Zbrodnia została popełniona najprawdopodobniej w afekcie.

Dziennikarze zadawali wszystkie najbardziej oczywiste pytania.

– Czy motyw zbrodni stanowiła sztuka?

– Co grozi sprawcy?

Otrębiński raz jeszcze odkaszlnął.

– Proszę państwa, jak państwo zapewne rozumieją, z uwagi na dobro śledztwa na obecnym etapie nie możemy ujawniać żadnych dalszych

informacji. Tak jak wspomniałem, wszystkie zebrane dowody wykluczają, póki co, tezę o istnieniu jakiegokolwiek motywu.

– A czy...

Prokurator przerwał dziennikarzowi w pół słowa. Ze spokojem dokończył myśl.

– Co do odpowiedzi na drugie pytanie, przestępstwo z artykułu sto czterdzieści osiem zagrożone jest karą pozbawienia wolności od lat ośmiu, karą dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności oraz karą dożywocia.

Dziennikarz z lokalnej gazety okazał się najbardziej dociekliwy.

– Czy będziecie wnioskować o dożywocie?

Otrębiński się tylko uśmiechnął.

– Mamy do czynienia z początkowym etapem śledztwa. Wnioski co do ewentualnej kary to melodia przyszłości.

– A coś więcej o pokrzywdzonym? Kim była ofiara? Czy Jakub S. rzeczywiście żył w związku konkubenckim z Ptasznikiem?

Prokurator postanowił zakończyć ten spektakl.

– Proszę państwa, troska o dobro rodziny zmarłego nie pozwala ujawniać takiej informacji.

– Czyli pan nie zaprzecza! – wychwycił celnie reporter.

Otrębiński spojrzał na niego spode łba.

– W ogóle nie odniosę się do tej kwestii – powiedział rzecznik, unikając popularnej, ezopowej frazy: „nie potwierdzam, nie zaprzeczam”. Podziękował za spotkanie i wyszedł z sali.

[38] I tak dalej (niem.).

[39] L. Staff, *Niewinność*, w: tegoż, *Wybór poezji*, wyb. M. Jastrun, oprac. M. Bojarska, Wrocław–Warszawa–Kraków 1970.

[40] Hey, *Zazdrość* (piosenka), *Fire*, 1993.

[41] Chleba i igrzysk (łac.).

ROZDZIAŁ 28 | LIPIEC

WIKTOR

Wiktor szedł na siłownię. Jak zwykle był spóźniony.

– Już lecę, Piotr. Za minutę jestem – powiedział przez telefon do swojego trenera.

Olivia Business Center stanowiło jeden z największych kompleksów biurowych północnej Polski. Wzniesiono go koło hali Olivia, której charakterystyczna bryła stanowi po dziś dzień prawdziwą perełkę nadmorskiej architektury postmodernistycznej.

Najwyższy ze szklanych budynków wyrósł znacznie ponad pierwotne plany i, co często się w Gdańsku zdarza, ponad pozwolenie na budowę. W internecie ruszyła akcja protestacyjna; wskazywano, że tak nie wolno robić, część mieszkańców była wyraźnie niezadowolona. Panorama starej Oliwy została bezpowrotnie zniszczona. Złośliwi powtarzali później, że ta samotna wieża to tak naprawdę środkowy palec wyciągnięty przez chciwego dewelopera w kierunku historii miasta, zasad dobrego sąsiedztwa i nowoczesnej urbanistyki.

Na szczycie kontrowersyjnej budowli urządzono luksusową restaurację. Mało kogo stać było na posiłki sygnowane gwiazdką Michelin. Znany trójmiejski biznesmen Jan Duchnowski wpadał tam jak do siebie.

Wiktor zobaczył ojca, gdy ten szedł za rękę z jakąś młodą dziewczyną. Wyglądali jak zakochana para.

– Tata... – wyszeptał. Nie wiedział, czy ma w jakiś sposób zareagować, czy raczej się gdzieś szybko schować.

Wpadli na siebie. Ten sam wąski chodnik, krok, dwa... Ojciec z kochanką, on z torbą na siłownię.

– O, Wiktor. To ty jesteś w kraju? – powiedział z nonszalancją ojciec. Jego twarz nie drgnęła nawet o milimetr. Nie zawstydził się, nie speszył.

– Na trening idę... – wydukał.

– No to rób ładnie te pajacyki. – Klepnął go po plecach i wskoczył do limuzyny.

JULIA

Wiktor wrócił do domu w wyjątkowo podłym humorze. Pogadał z Piotrem o życiu, zawsze zwierzał mu się ze swoich kłopotów, ale o ojcu nie wspomniał ani słowem. Jan Duchnowski, znany trójmiejski biznesmen, z kochanką! Ale by z tego była afera. Czy matka wiedziała? Czy tolerowała ten stan? Czy mieli intercyzę? Czy może się rozwodzą?

Wziął szybki prysznic, wskoczył do łóżka. Był załamany. Bał się, że tata do niego zadzwoni. Jak ma się zachować? Udawać czy jednak stanąć po stronie matki?

Jan Duchnowski, jak to mówi młodzież, miał wyjebane. Latało mu to wszystko koło pizdy.

Wiktor leżał w łóżku, przestraszony, samotny, bezbronny. Potrzebował, żeby ktoś go przytulił. Potrzebował prawdziwej miłości.

Około północy ktoś przekręcił klucz w drzwiach. Do mieszkania weszła Julia.

Wiktor i tak nie spał. Miał zrytą banię, potrzebowałyby chyba końskiej dawki leków uspokajających, żeby usnąć.

– Julka, to ty?

Dziewczyna pojawiła się w towarzystwie pięknej parki młodych ludzi. Wszyscy we trójkę trzymali się za ręce.

– Cześć, Wik. Mamy gości – powiedziała tym swoim uwodzicielskim tonem. – Podaj prosecco.

Wiktor nie wiedział, dlaczego jej posłuchał. Miał ochotę się rozplakać, a zamiast tego poszedł do lodówki. Wyciągnął wino, nalał do czterech kieliszków.

– Chyba nie jestem w nastroju na imprezę – wydukał.

Julka pocałowała go w usta. Na końcu języka miała jakąś tabletkę. Połknął ją.

– GHB – wyszeptała.

Duchnowski kojarzył skądś tę nazwę, ale w tej chwili był zamroczony. Napił się wina.

– Fajna chata – powiedział nieznajomy chłopak. Dotykał jego drogich rzeźb, przejechał dłonią po figurze z kości. Stary Duchnowski często jeździł na safari. Lubił lutować kule do jebanych słońi.

– Spoko ten twój kotek – oceniła nieznajoma dziewczyna, głaszcząc Wiktora po policzku.

Napili się wina. Julia włączyła muzykę. Booka Shade, *In White Rooms*.

– Co jesteś taki przyjebany? – spytała Julia. – Myślałam, że zrobię ci niespodziankę.

– Problemy ze starym – wyjaśnił lakonicznie. Nie chciał zwierzać się przy obcych. – Czy serio musimy to robić? Nie możemy chwilę posiedzieć sami?

– Sam to poleżysz w kostnicy. – Uszczypnęła go w rękę. – Czujesz? To znaczy, że jeszcze żyjesz.

Coś było nie tak. Alkohol zadziałał za szybko. Pił dopiero trzeci kieliszek, a już kręciło mu się w głowie.

Julia usiadła obok nowo poznanej dziewczyny. Mówiła, że ma na imię Marysia. Marysia i Helena. Idealna parka dla każdego narkomana. Maria i Helena. Wyciągnęła prochy.

Wiktor odpływał. Światło migało w przedpokoju.

– Strasznie *hot* ten twój kociak – mruknęła Marysia. Wiktor mógłby przysiąc, że chodziła na czworakach i miała długi ogon.

– Daj mu jeszcze chwilę – powiedziała Julia. Potem pocałowała Mikołaja w ucho. Polizała go po twarzy. Usiadła mu na kolanach.

– Julka, co ty odpierdalasz... – jęknął Wiktor. Marysia nie pozwoliła mu się nudzić. Tej nocy nikt nie mógł być sam. – Ja nie chcę...

Siedział bez spodni. Nie był w nastroju na imprezę, ale koleżanka Julii mu pomogła. Jak to się mówi, wzięła sprawy w swoje ręce. W ręce i usta.

Przenieśli się do sypialni. A nie. Tylko mu się wydawało. Skończyli na podłodze. W pokoju paliło się jasne światło, mieszkańcy Garnizonu widzieli wszystko jak w kinie. Wielkie dwumetrowe okna nie miały zasłon ani firan. Julia, Marysia i Mikołaj nie mieli zahamowań. Wiktor nie wiedział, co się dzieje.

Pewien dziennikarz znanego lokalnego portalu internetowego wyszedł właśnie na spacer z psem. Skubana bestia gryzła wszystko jak się patrzy.

– Bagietka! – zawołał swoje zwierzę, które nigdy go nie słuchało. Westchnął do siebie, przeklinając dzień, w którym odwiedził schronisko w Ciapkowie. Spojrzał do góry i zaniemówił.

Dwa nagie ciała opierały się właśnie o szybę wielkiego okna. Dwa inne ciała balansowały gdzieś obok.

Julia nadawała ton całej imprezie. To ona poznała dwójkę napalonych nastolatków, pozwoliła postawić sobie drinka, zaprosiła ich do Wiktora. Chemia pulsowała w żyłach. Syntetyczna, nielegalna, groźna.

Z głośników leciała *Sira Prospery*. Dzikie, pokręcone dźwięki na noc pełną grzechu. To było szalone lato. Wiktor właśnie stracił przytomność.

GUSTAW

Równy tydzień później Wiktor dostał zaproszenie na domówkę do swoich przyjaciół z liceum. Luksusowa impreza w willi na Jaśkowej Dolinie.

Nie chciał iść w pojedynkę, bał się zabierać samą Julię. Od ostatniego incydentu lękał się swojej dziewczyny. Julia była niebezpieczna. Nieprzewidywalna. W chuj groźna.

Od zerwania z Natalią Gustaw stał się innym człowiekiem. Wyluzował, przestał liczyć się z konsekwencjami własnych działań. Tak żyli bogaci ludzie: mieli wyjebane na to, co będzie potem. Wszystko i tak zawsze uchodziło im na sucho.

KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Ekipa wydzieranych osób stawiała się w pełnym składzie: Natalia, Sonia, Wiktor, Gustaw, no i oczywiście Julia. Pojebana Julia.

Marek Łagocki w dalszym ciągu grzał dupę na Seszelach. Ominęło go kilka imprez, nie załapał się na plemienny tatuaż. Kiedy kilka miesięcy później próbowano rozwikłać zagadkę porwania Weroniki Zatorskiej, znowu nie było go w kraju. Typowy bohater drugoplanowy.

Wiktor zbierał się na szczerą rozmowę z Julią o dziwnej imprezie i niebezpiecznym seksie w jego mieszkaniu. Szukał odwagi, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć. Póki co postanowił udawać, że nic się nie stało.

Wejścia do willi strzegły dwa marmurowe lwy. Symbole Gdańska, ulubione zwierzęta bogatych ludzi. Jan Duchnowski na safari w Mozambiku odstrzelił takich kilkanaście.

Weszli do środka. Wszyscy w dobrym humorze, jedynie Wiktor robił dobrą minę do złej gry. Coś zżerało go od środka. Trucizna w śmiertelnej dawce. *Sayonara*.

– O kurwa, na bogato! – oceniła Sonia, biorąc od hostessy powitalnego drinka.

Półnagie dziewczyny stały w korytarzu ze srebrnymi tacami, informując gości, że ta impreza będzie naprawdę wyjątkowa.

Gustaw zmierzył kelnerkę wzrokiem. Planował dzisiaj zaliczyć.

Wychylili szklaneczkę czegoś mocniejszego. Potem jeszcze jedna seria, jak zwykle zaczęli od kuchni. Po domu kręciło się kilkudziesięciu gości, może nawet równa setka. Muzykę serwował prawdziwy didżej.

– Widziałem coś takiego na filmach, ale nie sądziłem, że tak się bawią ludzie w Polsce – oznajmił Gustaw, któremu autentycznie zabrakło języka w gębie.

Typowy Wiktor powiedziałby coś w stylu: „ty się, prawilniak, musisz jeszcze wiele nauczyć”. Młody Duchnowski został jednak ostatnio dojechany psychicznie. Przyszedł na imprezę, ale tak naprawdę miał ochotę uciec od tego wszystkiego. Zaszyć się w domu pod kocem, wyemigrować do bezpiecznej krainy ciepła i troski.

– Ludzie w Polsce są szarzy i mają mordy jak kartofle – pierdolnęła Sonia. – A tu jest Los Angeles!

Pili szybko, pili na umór. Gustaw zagadywał obce dziewczyny; to nie był ten sam chłopak, który półtora miesiąca temu zdał ostatni egzamin na drugim roku prawa i zapomniał zadzwonić do babci.

Natalia tańczyła na parkiecie, Sonia szukała kogoś otwartego na niezobowiązujący seks.

– Ja pierdołę, czyja to chata? – spytał Gustaw.

– Znajomych Wiktora. Ich rodzice się przyjaźnią – wyjaśniła Julia.

W tym momencie przed przyjaciółmi pojawił się kelner. Metr trzydzieści wzrostu, pomarszczona twarz, proporcje dziecka. Trzymał tacę pełną białego proszku.

– Kurwa, karły z koksem – szepnęła Sonia. Takie imprezy urządzał podobno tylko Freddie Mercury.

Gustaw wciągnął dwie kreski. Nigdy wcześniej nie zażywał kokainy. To były naprawdę jego grzeszne lata.

– Sonia, ja chyba nie chcę – jęknęła Natalia. Przyjaciółka schylała się jednak w tej chwili po zaoferowaną porcję narkotyku.

Jebs. Strzeliło ją po nosie. Nagły dopływ energii, turbodopalenie.

Rozeszli się po wielkim domu.

WIKTOR

Szukał wszędzie Julii, ale dziewczyna gdzieś przepadła. Spotkał w końcu znajomego z ogólniaka.

– Ej, nie widziałeś gdzieś mojej laski?

– Tej *hot* brunetki? Wielkie oczy, długie włosy, talia osy? – zarymował.

– Nom...

– Kręciła się gdzieś z Elizą i Szymonem. Chyba poszli na górę – stwierdził ziomek i zaciągnął się mocno blantem.

– Luz – odparł Wiktor.

Przeczuwał, że Julia robi coś złego. Szymon miał nierówno pod sufitem. Jeszcze w liceum odwalał ciągle jakieś pojebane akcje. Jego laska, Eliza, też nie była do końca normalna. Julia idealnie pasowała do tego wykręconego klubu. Może właśnie kogoś razem mordowali? W tej konfiguracji wszystko było możliwe.

NATALIA

Pochodząca z dobrego domu dziewczyna nie mogła się nadziwić, że ludzie w jej wieku bawią się tak ostro. Narkotyki na talerzach, seks w miejscach publicznych. Tu nikt się z niczym nie krępował.

– Ej, lubię ostre rejwy, ale to dla mnie trochę za dużo – zwierzyła się Soni. – Czy ich starzy mają w to wszystko wyjebane?

– Wiktor mówił mi, że od kilku lat siedzą w Stanach. Dzieciaki mają chatę dla siebie...

– A myślałam, że mam szczęście, gdy rodzice zostawili mi na weekend klucze do mieszkania w bloku z wielkiej płyty...

GUSTAW

Poruszał się jak we mgle. Miks narkotyków i alkoholu uczynił z niego młodego boga. Przynajmniej tego wieczoru.

Zabłądził do ogrodu. Noc była ciepła, jak to w końcówce lipca. Podobno wiało z Sahary. W powietrzu dwadzieścia dwa stopnie mimo późnej godziny. Nie dało się spać. Pod tym adresem nikt jednak nie miał takich planów.

W podświetlanym basenie bawiło się kilka osób. Gustaw od razu wyhaczył ładną dziewczynę. Śmiała się do niego już w kuchni.

Wskoczył do wody w samych majtkach. Jego koleżanka zapomniała założyć bielizny.

– Gustaw jestem... – stęknął jak zwykle bez większego polotu. Dziewczynie to najwyraźniej nie przeszkadzało. Od razu zaczęli się całować.

SONIA

W życiu nie była na takiej dzikiej bibie. Jakby bogacze z Wrzeszcza postanowili udowodnić swoim zamożnym przyjaciółom z Hollywood, że w smutnej Polsce też można odpiąć wrotki.

– Jak się bawisz? – spytała Natalię. Dziewczyna miała nieobecny wzrok.

– Jest zajebiście – odparła przyjaciółka.

– No to super. A wiesz, czego mi tu brakuje?

– *No idea.* – Natalia wzruszyła ramionami. Miała w sobie tyle wdzięku.

– Ciebie. – To powiedziawszy, pocałowała ją w usta.

– *O fuck!* – zaklęła Natalia.

– Zjebałam? – spytała przestraszona Sonia. Zależało jej na tej relacji.

Natalia potrzebowała chwili, by się zastanowić. Dokładnie pięciu sekund. Potem przywarła do Soni. Całowały się długo i namiętnie. Później znalazły jakąś samotną sypialnię i obudziły się dopiero koło południa. Grzeszne lata pachniały w tej chwili damskimi perfumami.

ROZDZIAŁ 29 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Obudziła się cała zlaną potem. Zwykle po przebudzeniu z koszmaru czujemy niewypowiedzianą ulgę na myśl o tym, że przecież „to był tylko sen”. Na Weronikę również spłynęło owo uczucie. Musiała uciekać, błagać o pomoc, lecz nikt jej nie słyszał. Waliła w szybę radiowozu, stukała do drzwi rodzinnego domu. Przechodnie na ulicy mijali ją bez słowa. Policjantka, której wykrzyczała w twarz, że padła ofiarą porwania. Ekspedientka w sklepie, sprzedawca kwiatów, kontroler w tramwaju – ci wszyscy ludzie traktowali ją tak, jak gdyby nie istniała.

Gdzieś tam czaiło się zagrożenie. Niewidzialna zjawa o ptasiej głowie, która krążyła nad Wrzeszczem. Złowrogi obłok rzucający cień na to, co piękne, zwyczajne, bezpieczne.

Wyczuła pod palcami miękkie skrawek dzianinowego koca. Musnęła go dłonią, zdając sobie z wolna sprawę, że śniła. „Koszmar” – pomyślała. „To tylko zwykły koszmar”.

Lecz jeśli makabryczna wizja stanowiła jedynie wytwór zmęczonego umysłu, to gdzie Weronika właściwie była? Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Żadnego światła z ulicy, żadnej nocnej lampki.

Księżyc nie wyglądał zza sypialnianej kotary, z kuchni nie dobiegał znajomy pomruk koreańskiej lodówki.

Dziewczyna dostała nagłego ataku paniki. Gwałtownie zacisnęła dłonie na pledzie. Jej ciało znów powlekała lepka warstwa zimnego potu. Już wiedziała, gdzie jest.

Usiadła na łóżku. Oddychała płytko, ogólnie rzecz biorąc, prawie się dusiła. Świat zawirował.

– Nie... nie... – wychlipała szeptem. Nie mogła zebrać myśli.

Drgawki wprawiły mięśnie w niekontrolowany epileptyczny ruch, jak gdyby ktoś poraził je taserem. Nie, to nie był paralizator. Weronika dobrze wiedziała, jak zachowuje się układ nerwowy po spotkaniu z dwudziestoma tysiącami woltów.

Po dłuższym czasie nieco się uspokoiła. Funkcjonowała tak od wielu dni. Tortury, fałszywe miłosierdzie, załamanie, później chwile otrzeźwienia. Dlaczego nie mogła umrzeć? Dlaczego nie mogli jej po prostu zabić?

Mówi się, że to nadzieja zawsze umiera ostatnia. Kurczowo trzymamy się życia. Bo przecież w końcu musi być lepiej. Bo przecież każdy koszmar, wojna czy zbrodnia się kiedyś skończą. Weronika nie chciała cierpieć, lecz jeszcze bardziej niż bólu lękała się śmierci.

Siedziała na wąskim piankowym materacu. Jej oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności. Dziewczyna obserwowała kontury mebli. Krzesła, stół, szafka RTV. Delikatna smuga na ziemi. Błada, zimna, prawie niewidoczna.

Weronika wpatrywała się w kawałek ściany, na którym załamywało się światło. Nie, to nie było możliwe. Pomieszczenie nie miało żadnych okien. Porywacze gasili na noc lampę, dziewczynie nie wolno jej było samodzielnie włączać.

A jednak. Pomiedzy gresowym kaflem a gładkim tynkiem ściany rozciągał się ledwie widzialny promień.

Nie uszczypnęła się. Nie wiem, czy kiedykolwiek w historii ktoś naprawdę poprosił, by go uszczypnąć.

Stalową krawędź drzwi otaczała cieniutka, jasna obwódka. Na co dzień pancerna brama piekieł nie dopuszczała do pokoju kaźni jakiegokolwiek śladu zewnętrznego świata. Żadnego dźwięku, koloru, zapachu. Żadnego światła.

Weronika zaczęła obgryzać paznokcie. Uświadomiła sobie, co to znaczy. Drzwi nie zostały zamknięte.

– Aniele Boży, stróżu mój... – Modlitwa dzieciństwa. Nauczyła się jej jeszcze jako trzylatka. Odmawiana niczym mantra, proste wyrazy połączone w pojedyncze zdanie. Wypowiadane na jednym wydechu.

Nie wiedziała, czy to zwykła nieuwaga, czy może kolejny podstęp. Śmiertelna pułapka, bolesne rozczarowanie. W tej grze nie miała szans na zwycięstwo.

– Ty zawsze przy mnie stój... – Pospieszne słowa, dłonie przyciśnięte do splekanych ust. Błagała o szansę. Skomlała o pomoc. Płakała do Boga, wzywała na ratunek dusze zmarłych przodków.

„A jeśli to zasadzka? Jeśli czekają tam, by zadać mi jeszcze więcej bólu?”

I tak go zadadzą. Powiedzieli to jasno. Krzycz, jeśli żyjesz. Krzycz, dopóki nie zginiesz. Bo w końcu i tak cię zabijemy.

Nie mogła dłużej czekać. Jeżeli porywacze popełnili błąd, należało działać natychmiast.

Stała na podłodze. Nigdy jeszcze nie miała tak miękkich nóg. Nawet wtedy, gdy wbijali w nie igły. Gdy uwiązaną do ściany polewali lodowatą wodą, chłostali.

– ...rano, wieczór, we dnie, w nocy... – szeptała. Czasem lepiej jest nie mieć żadnego wyboru. Nie myśleć. Nie czuć ciężaru decyzji.

Podeszła do drzwi. Delikatnie dotknęła stalowej płyty. Blacha nawet nie drgnęła.

– ...broń mnie od wszystkiego złego i doprowadź do... – Spróbowała pchnąć mocniej. Rzeczywiście, ktoś ich nie zamknął. Otworzyły się.

Weronika wyjrzała na zewnątrz. Przed nią ciągnął się długi, ciemny korytarz. Jedyne źródło światła stanowiły listwy przypodłogowe LED.

Znów chwila decyzji. Strach zapukał do drzwi, otworzyła mu odwaga. Nikogo nie było.

– Aniele Boży... – powtórzyła Weronika.

Stała na czerwonej wykładzinie. Nie wiedziała, dokąd iść, więc po prostu maszerowała przed siebie. Na ścianach wisiały stare grafiki. Każdą z nich oświetlała punktowa lampka z wbudowanym czujnikiem ruchu. Weronika szła upiorną galerią, a jej drogę znaczyło światło. Laura Palmer krocząca przez mroczny las wśród majestatycznych dźwięków pianina.

Obrazy nawiązywały do twórczości średniowiecznych artystów. Sceny piekielnych kaźni, przedstawienia inkubów nawiedzających młode kobiety, rogatych jeźdźców Apokalipsy. Inspirowane Hieronimem Boschem, Henrym Fuselim, Hansem Memlingiem.

Jasna twarz Weroniki odcinała się od skąpanych w czerni i brązie malunków. Była barankiem, uprowadzonym i umęczonym, któremu Siły Niebieskie pozwoliły wyjść poza Wrota Piekieł. Żegnała swych katów, przemykała wśród ciemności niczym niewinny anioł.

– ...rano, wieczór, we dnie, w nocy...

Dotarła do końca korytarza. Kręte schody prowadziły wyłącznie w jedną stronę. Ruszyła w górę.

Willa Monberga przypominała prawdziwy labirynt. Tajemnicze drzwiczki, nieoczekiwane rozwidlenia, amfiladowe pokoje. Weronice kręciło się delikatnie w głowie; co wieczór przed snem faszerowano ją różnymi narkotykami.

Dom zdawał się ją obserwować. Gdzieś tam czaili się porywacze. Czy popełnili błąd? Czy może działali zupełnie świadomie? Niczym bogowie Hadesu pozwalający Eurydyce na próbę opuszczenia podziemnego królestwa, wiedzący, że ucieczka jest z góry skazana na przegraną?

Niewielki sześciokątny pokój. Sto lat temu elegancy panowie palili w nim cygara i pili whiskey. Dziś służył za miejsce spoczynku makabrycznych figur. Krzyżówki ludzi i zwierząt, pozbawione kończyn torsy, skalane gipsowe ciała.

Weronika podeszła do okna. Wysokie pierwsze piętro, za szybą ciemne sylwetki drzew. Złowroga cisza lasu.

Podniecenie mieszało się ze strachem. Zawroty głowy przybrały na sile. Szukała dłonią klamki... jest!

– ...bądź mi zawsze ku pomocy! – powtórzyła, ciągnąc z całej siły dębową ramę.

W pomieszczeniu rozległ się głośny trzask. Jeśli spowity we śnie dom miał tego nie usłyszeć, jeśli jego domownicy mieli nie stracić czujności... „daremne żale, próżny trud”^[42].

– Nie! – zapłakała Weronika. Wskoczyła na parapet, gotowa do ucieczki. Mogła skręcić nogę, mogła złamać rękę, ale musiała uciec. Poczowała na twarzy przyjemny chłód wrześnie nocy. Powietrze pachniało wolnością.

– Nie! Nie! Nie! – załkała.

Żeliwne kraty zabezpieczały okna pokoju. Koronkowa robota przedwojennych rzemieślników.

Musiała uciekać. Nie tędy. Gdziekolwiek, jak najdalej, byle nie zostać złapaną. Nie trafić znowu do klatki.

Pędziła przed siebie. Biegła na oślep, przewracała meble, ślizgała się na perskim dywanie.

– Aniele Boży, stróžu mój... – nie ustawała w modlitwie. Ktoś musiał jej pomóc.

„Boże! Mimo tylu modlitw do Ciebie ciągle przegrywamy nasze wojny. Jutro znowu będziemy walczyć w bitwie, która jest naprawdę wielka. Ze wszystkich sił potrzebujemy Twojej pomocy i dlatego muszę Ci coś powiedzieć. Ta jutrzejsza bitwa to będzie ciężka sprawa. Nie będzie w niej miejsca dla dzieci. Dlatego proszę Cię, nie przysyłaj nam na pomoc Twojego Syna. Przybądź sam”^[43].

Wpadła do ogromnego pokoju, którego wystrój przypominał dżunglę. Pomieszczenie wypełniały figury egzotycznych zwierząt. Pośrodku, w ciężkich marmurowych donicach, rosły rozłożyste palmy.

– ...rano, wieczór, we dnie, w nocy... – powtarzała jak mantrę.

Na przeciwległej ścianie dostrzegła wysokie okna, za nimi podświetlony ogród. A więc była gdzieś w mieście. Dzielnica willowa. Górny Sopot, Stara Oliwa, Aniołki, być może Wrzeszcz.

Zakręciło jej się w głowie. Zwierzęta zdawały się wcale nie być martwe. Tygrysy i lamparty, nosorożce i wilki. Ostatnia przeszkoda dzieląca ją od okien, tarasu, wolności. Widziała to wyraźnie. Zewnętrzne lampy oświetlały wszystko bardzo dokładnie. Żadnych krat. Żadnego więzienia.

– Czekałam na ciebie – obwieścił znajomy głos.

– Nie, nie, nie teraz! – wrzasnęła Weronika, rzucając się momentalnie w stronę okien. Musiało się udać. – Aniele Boży, stróžu mój...

Aligator. Wypchany, długi, martwy. Nie spojrzała pod nogi. Potknęła się o eksponat.

– Nie... – zapłakała dziewczyna, której sweter zaplątał się w ostre zęby gada. Sekunda nieuwagi.

Próbowała się oswobodzić, ale panika zmieszana z narkotykami i strachem skutecznie paraliżowała wszystkie jej ruchy. Weronika leżała na ziemi, bezbronna, zalana łzami, przegrana.

Nad nią pojawiła się znajoma sylwetka porywaczki. Zielonooka blondynka o włosach do ramion i z kolczykiem w nosie. Beznamiętny wyraz skąpanej w księżycowej poświacie twarzy.

– Witaj, dzieciно. Cieszę się, że mnie w końcu znalazłaś.

[42] A. Asnyk, *Daremne żale*, w: tegoż, *Poezye*, t. 3, Warszawa 1898.

[43] Modlitwa Koqa, wodza plemienia Grikuasów przed bitwą z Afrykanerami w 1876 roku.

ROZDZIAŁ 30 | LIPIEC

WIKTOR

Wiktor wyszedł z imprezy w willi jakoś po północy. Właściwie to był prawie trzeźwy. Od dłuższego czasu nie mógł poradzić sobie ze swoimi emocjami, rzeczywistość go przytłaczała i przerastała.

Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają, ale lepiej płakać w porsche niż w tramwaju. Niby tak, ale nie mów tego nigdy wkurwionemu bogaczowi.

Szedł jakiś kawałek Jaśkową, potem skręcił w lewo w Sobieskiego. Mijał stare, przedwojenne domy, spojrzał na nieforemny budynek remizy. Pod lasem mieściło się III Liceum Ogólnokształcące, szkoła Gustawa i Łagockiego. Słynna gdańska Topolówka. Mimo licznych kontaktów ojca Wiktor się do niej nie dostał. Podobnie jak kilkadziesiąt innych niezbyt rozgarniętych bananowych dzieciaków musiał skorzystać z oferty prywatnej szkoły: wysokie chesne, niski poziom, fajna sala do kosza.

Wiktor regularnie wpadał do Łagockiego jarać jointy pod lasem, do Topolówki chodziło sporo fajnych lasek, trochę odpalonych ziomeczków. Gustawa nigdy tam nie spotkał. A zresztą... gdyby nawet go spotkał, i tak by go nie zauważył.

Młodemu Duchnowskiemu całe życie wszyscy zazdrościli. Pozycji, urody, pieniędzy. Był pewny siebie, nie zwracał uwagi na innych. Prawdziwy król życia.

Często miał różne rozkminy, ale raczej nie dzielił się nimi z nikim. Wiedział, że nie jest nawet w połowie tak inteligentny jak jego siostra, nie ma smykałki do biznesu, nauka po prostu mu nie wchodziła. Ojciec brał go za pajaca, matka nigdy nie miała czasu. Ciepłą, kochającą rodzinę widział tylko w Cartoon Network. Bardzo chciał dokonać czegoś wielkiego w życiu, pozbyć się łatki zepsutego dzieciaka, który wszystko zawdzięcza tacie. Osiągnięcie sukcesu, gdy nie ma się żadnych talentów, nie jest jednak łatwe. Wiktor całkiem nieźle radził sobie w sporcie, ale nie na tyle dobrze, by zostać zawodowcem. Mógłby być modelem, ale nigdy go to nie kręciło. Szastał pieniędzmi, laski na niego leciały. Kiedy pojawiały się gorsze chwile, odpalał butelkę burbona, dzwonił po jakąś koleżankę albo szedł na imprezę.

Z biegiem lat problemy z emocjami coraz bardziej dawały o sobie znać. Wiktor starał się je usilnie zagłuszyć. Impreza, narkotyki, alkohol. Bilard z kolegami, ostry trening na siłowni. Zawsze szukał towarzystwa. Ciągle wisiał na telefonie. Nie znosił ciszy. Nie potrafił być sam ze sobą.

– Ja pierdolę... – zaklął, wchodząc na Garnizon. – Moje życie to jakiś, kurwa, żart.

Miał łzy w oczach. Spojrzał na ulicę Słowackiego, ulicę widmo, żadnej żywej duszy, kiedyś jedną z głównych ulic miasta. Była martwa. Taka jak on.

Złapał się za szyję. Nie bolała wcale tak mocno. A jednak gdzieś pod skórą poczuł strach.

Julia. Cudowna dziewczyna, która miała go uratować. Wyciągnąć z tego wszystkiego, odmienić życie. Wiedział to, kiedy tylko zobaczył ją przy

barze na Elektryków. „To jest ta jedyna”. Miłość matki, miłość przyjaciela, miłość kochanki – wszystkie oblicza miłości skupione w jednym magicznym stanie. Złączone w jednej niebiańskiej osobie.

Nie mógł jej nigdy do końca rozgryźć, ale tylko przy niej czuł się w pełni sobą. Prawdziwym Wiktorem: kochanym, fajnym, znaczącym coś dla kogoś. Zachowywał się tak jak zawsze, udawał, że mu nie zależy. Wiedział, że jedynie jako luźny, wylansowany koleś ma u niej szansę. Ta arogancka postawa, ta maska stanowiły jego spiżową tarczę; polisę ubezpieczeniową od doła, depresji i innych, znacznie gorszych problemów. Wielu ludzi przywdziewa takie maski. Wielu bohaterów.

Julia wzniosła go na wyżyny. Dała to, czego całe życie szukał. I wtedy dopiero zaczął ją poznawać.

Heroina wprowadza użytkownika w stan natychmiastowego upojenia; euforia i rozluźnienie pojawiają się od razu po zażyciu. Efekt narkotyczny trwa stosunkowo długo: od czterech do ośmiu godzin. Opioid uzależnia od pierwszej dawki.

Odstawienie heroiny wiąże się z wystąpieniem silnego zespołu abstynencyjnego: drżenie mięśni, bóle kości i stawów, dreszcze, zaburzenia snu. Objawy te są wyjątkowo silne i bolesne, trwają ponad tydzień i wymagają nadzoru lekarza nad osobą uzależnioną.

Julia/heroina/Julia.

JULIA

Nie odzywała się do niego przez dobry tydzień. Rzadko kiedy sama pisała, tym razem on też postanowił milczeć. Sprawdzał skrzynkę na Instagramie jakieś kilkaset razy dziennie, ale sam nie wystukał ani zdania.

Porozumiewali się tylko przez Insta. „Po chuj ci mój numer, psychopato?” – spytała, kiedy za bardzo napierał.

Widział, że jest aktywna. Że była aktywna piętnaście minut temu, dwie godziny temu, wczoraj. Nie wrzucała żadnych stories, ale logowała się do aplikacji.

Na profilu miała tylko kilkanaście zdjęć: trochę przyrody, żadnych portretów. Kilkuset obserwatorów, kilkudziesięciu obserwowanych. Poza ludźmi z ekipy Wiktor nie znał nikogo z nich.

Weszła jak do siebie, jak gdyby nigdy nic przekręciła klucz w drzwiach, zdjęła buty, stanęła bosymi stopami na dywanie w salonie i rzuciła torebkę na kanapę. Wiktor wyglądał jak narkoman na głodzie.

– Chory jesteś? – spytała.

– Julka, co ty tu robisz? – wyjąkał.

Otworzyła lodówkę, naląła sobie prosecco.

– Chcesz? – zaproponowała.

– Nie, nie piję...

Usiadła obok.

– W ciąży jesteś? – Przygryzła wargę. Często to robiła. – Czy może złapałeś jakąś wenerę? Mam się przebadać?

– Nie żartuj – szepnął, z trudem siadając na wersalce.

– Wyglądasz jak gówno, Wik. Ćpałeś z jakimiś sukami cały tydzień i teraz zgonujesz?

Nie był przygotowany na tę rozmowę. Wiedział, że będzie musiał to kiedyś zrobić, ale myślał, że ma jeszcze trochę czasu. Wzięła go z zaskoczenia. Zawsze, kurwa, robiła wszystko z zaskoczenia.

– Musimy pogadać... – zaczął poważnie.

– A więc jednak jesteś w ciąży? Chcesz mnie złapać na dziecko? – zażartowała. – Dam ci na skrobankę, luźno.

– Julka, mówię serio.

Napiła się wina. Wyglądała ślicznie jak zawsze.

– No to dawaj, panie poważny.

Milczał. Zbierał słowa w głowie, układał wszystko po kolei, tak by wypowiedź miała ręce i nogi. Nie chciał się zbyt rozwódzić, pragnął, by zrozumiała sens.

Julia patrzyła na niego w skupieniu.

– Wiesz... kiedy cię poznałem... – Zrobił pauzę. Nie, nie tak. Zły początek. A zły początek to kiepski koniec.

Wzniosła przemowa zamieniła się w interludium.

– To już? To wszystko, co zamierzałeś mi powiedzieć? – rzuciła z ironią. Wiktor dalej bił się z myślami.

– Czekał. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała – wyjaśnił.

Wzięła kolejny łyk wina.

– Jak będziesz się bawił w mima, to mogę tak w kit skumać. – Poruszała rękami, udając, że wykonuje jakąś pantomimę. Byłaby całkiem niezłym mimem.

– Słuchaj, ja cię kocham – palnął prosto z mostu.

– O stary, grubo. – Uśmiechnęła się. – Czy teraz wyciągniesz pierścionek?

Wiktor przełknął ślinę.

– Nie mam pierścionka. Ale mógłbym ci się oświadczyć. Jeśli kiedykolwiek to zrobię, to tylko z tobą.

– Brzmi całkiem jak zaręczyny.

– Słuchaj, Julka. – Złapał ją za rękę. – Ja nigdy z nikim nie byłem taki szczęśliwy. Wiem, że wyglądam na takiego, co ma wywalone, ale naprawdę cię kocham.

– Sweet. – Pogłaskała go po policzku.

– Mam zjebane życie. Mój stary to skurwiel, nienawidzę go, matka ma mnie w dupie. Mam w chuj kompleksów, problemów; mam naprawdę zrytą banię...

– Szajbus – powiedziała teatralnym szeptem, wymownie otwierając usta. – SZAJBUS.

– Julka, ja dziś megaserio. Nigdy tak poważnie nie rozmawialiśmy. Muszę ci to wszystko powiedzieć. Całe życie udawałem, że wszystko gra, że jest si, ale tak naprawdę nie byłem szczęśliwy. Narkotyki, imprezy, seks z kim popadnie...

– Same fajne rzeczy – podchwyciła.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

– Próbowałem zakrzyczeć własne myśli. Nie dopuszczałem do siebie tego, że mogę mieć jakieś gorsze chwile, że coś może być nie tak. Przecież zawsze byłem młodym Duchnowskim; tak, kurwa, tym młodym Duchnowskim! Dopiero terapeuta uświadomił mi...

– Chodzisz na terapię? – zdziwiła się.

– Chodzę i ty chyba też powinnaś – wypalił. „Kurwa, nie miałem tego mówić. Spierdoliłem”.

Julka się tylko zaśmiała.

– Serio chcesz mnie wysłać do shrinka?

– Sorry, to nie tak miało zabrzmieć. Chujowo wyszło.

Dziewczyna puściła jego rękę i podeszła do lodówki. Otworzyła butelkę, naląła sobie ginu z tonikiem. Dwie kostki lodu, pomarańczka.

– No dawaj dalej, panie piękny. Zdobyłeś moją uwagę – powiedziała zalotnie.

– Przepraszam. Chodzi o to, że terapia to żaden wstyd...

– Brzmi jak zajebista siara, ale kontynuuj. – Stała w oknie.

– Julka. Ja jestem dopiero na początku tej drogi, ale wierzę, że mogę odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Wiem, że ty też luźno panujesz nad sytuacją...

– Stary. Ja, kurwa, zajebiście nad wszystkim panuję. – Spojrzała na zewnątrz. Dziesiątki ludzi, setki problemów. Garnizon, mekka szczęśliwych ludzi. Miała ochotę to wszystko wyjechać w kosmos.

– Kocham cię, Julka, ale nie mogę wiecznie uciekać. To mnie niszczy. Ten związek. To życie. Mam pierdolniętą rodzinę, która zjeła mi psychę. Muszę się w końcu ogarnąć albo któregoś dnia skończę naćpany w Strzyży, sztywny i zimny.

– Zajebiste plany na nadchodzący sezon – skwitowała.

– Julka, ja muszę znaleźć kogoś, z kim stworzę normalny związek. I to jesteś ty.

Opluła się ginem.

– Czy ciebie popierdoliło? Ja i normalny związek?

– Julka, ja cię kocham. Nigdy nie czułem się lepiej. Ale te odjechane akcje... te trójkąty, czworokąty, dziwne rzeczy, które mi dajesz... To nas niszczy. Ciebie i mnie.

– Serio narzekasz, że ci przyprowadzam fajne kocice do łóżka? – oburzyła się.

– Kurwa, tak! Julka, przecież to jest pojebane! Jaka laska tak robi?!

– Fajna laska? – spytała.

Wiktor wstał z kanapy. Podeszedł do niej.

– Przecież to jest wszystko chore. A to, co odpierdoliłaś na Jaśkowej...

– Kurwa, ty to jesteś sztywny... – Zrobiła smutną minę. Odsunęła się o krok.

– Julka. – Objął ją. – Ja chcę być z tobą. Tylko z tobą. Niczego innego nie chcę. Ale ty nas niszczysz. Każdego dnia. Siebie i mnie. Jak, kurwa, ciężkie dragi. Myślałem o tym od dłuższego czasu, na terapii zrozumiałem, jaka jest prawda. Musimy pójść tą drogą razem, bo z tobą się tylko coraz bardziej staczam...

– Staczasz się? – Nawet nie krzyknęła. Po prostu powtórzyła to, co powiedział.

„Ja pierdolę, znowu zjechałem. Jeden zły wyraz. Kurwa!” – pomyślał.

– Przejęzyczyłem się. Przepraszam. – Upadł na kolana. – Julka, ja cię kocham, ale te prochy, ten seks, te pojebane akcje... To nas tylko ciągnie w dół. W najlepszym wypadku skończymy gdzieś w przytułku, zaćpamy się albo powiesimy na kłamce od kibla.

– To jest mój jebany plan na życie – podsumowała. – Nie podoba ci się?

– Julka, ale ja serio!

– Ja też całkiem serio. Myślisz, że chcę się zestarzeć, mieć obwisłe cycki, trójkę dzieciaków i fajny domek pod miastem? – Odstawiła szklanę. – Kiciu, ja tu wpadłam tylko na chwilę. Trochę porozrabiam i znikam.

– Julka – zaczął jeszcze raz. – Przepraszam za wszystko. Chcę być z tobą. Tylko to się liczy.

– Zaraz się popłaczę – rzuciła z pogardą. Wydawała mu się teraz całkiem obca. Nie znał jej ani trochę.

– Proszę, przystopujmy z tym wszystkim. Nie piję od tygodnia. Chcę o nas walczyć.

Wychyliła do końca kieliszek.

– Dobra, robi się grubo. Fajny z ciebie chłopak, miło było, ale już chyba zaczynam się przy tobie dusić.

– Julka, popracujmy nad tym.

– Nie będę nad niczym pracować, rozumiesz? – Podeszła do niego. – Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. Pierdolę reguły, zasady i pojebańców, którzy myślą, że wiedzą lepiej. Kumasz? Nie, nie kumasz. Nigdy nie kumałeś, bo jesteś za tępy. Zawsze wiedziałam, że to tylko przelotna znajomość...

Wiktor nie wierzył własnym uszom.

– Ty chyba nie mówisz tego serio...

– Stary, masz fajne ciało, spoko chatę, ale jesteś płytki jak kałuża. Kurwa, ani śladu myśli, refleksji. Jakichś większych pragnień!

Duchnowski próbował się do niej przytulić. Odsunęła się.

– Julka, po prostu chcę, żebyśmy byli szczęśliwi.

– Ale ja, kurwa, nie chcę być szczęśliwa! Chcę rozpierdolić ci życie, kumasz? Chcę znaleźć niewinną owieczkę i ją zaszlachtować na oczach tłumu. Mordować życie po życiu. Jak wirus, jak plaga, jak jebane tsunami!

Wiktor nie chciał z nią zrywać. Zakładał taki scenariusz, na terapii doszedł do wniosku, że nie jest w stanie pomóc i sobie, i Julii. Szli na dno jak zardzewiała kotwica. Jeśli nie udałooby się jej przekonać, musiał odciąć linę. Gorąco wierzył jednak, że dziewczyna zrozumie. Przecież byli sobie przeznaczeni.

– Julka, ja nie chcę z tobą zrywać! – zapłakał. Autentycznie zalał się łzami.

– Zrywać... ze mną? – Zaśmiała się. – Chłopaku, przecież ja nie jestem twoją własnością. Spotkaliśmy się parę razy i tyle. Za chwilę muszę spadać, jestem już nieźle spóźniona...

– Dokąd musisz spadać? Może cię podwiozę? – bredził od rzeczy.

– Muszę skosztować jeszcze trochę życia, wyssać odrobinę energii z tego pojebanego świata i spierdolić na drugą stronę. Tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

– Chcesz się zabić? – wydukał.

Julia założyła torebkę.

– Ty serio nic nie rozumiesz. Jesteś jak puste pudełko po drogich butach. – Wsunęła klapki. – Ładny karton, aksamitny worek... Czy ja chcę się zabić? Debil! Chcę żyć, ale żyć naprawdę.

– Julia, daj nam szansę – błagał. Nigdy w życiu nie podjął tak trudnej decyzji. Bał się powiedzieć „żegnaj”. Tymczasem to ona machała na pożegnanie.

– Nara, mordo – mruknęła i trzasnęła drzwiami.

Mogła powiedzieć coś więcej, zdobyć się na jakąś bardziej filmową frazę. „Nara, mordo” – banalne słowa rzucone w pośpiechu, jakby od niechcenia. Już nigdy nie usłyszał jej głosu.

ROZDZIAŁ 31 | LISTOPAD

NATALIA

Na przesłuchanie przyjechała kolejką, jeden przystanek z Zaspy do Wrzeszcza i była na miejscu. Przeszła przez galerię handlową, wyszła na uroczy plac przed parkiem Kuźniczki. Miała jeszcze trochę czasu.

– Możemy się przejść, jest dopiero wpół do – zaproponowała.

– Nie boisz się spóźnić? – spytał Michał. Był zawsze bardzo troskliwy.

– Wolę się spóźnić, niż siedzieć tam choćby minutę za długo – odparła Natalia. Nie znosiła policji.

Spacerowali, trzymając się za ręce. Stanęli nad korytem rzeki i spojrzeli na Strzyżę. Ostatnie zagubione liście kąpały się w zimnej wodzie.

Michał przytulił dziewczynę. Poczciwy, dobry chłopak. Prawdziwy „Misiu”; tak wołali na niego już w podstawówce.

– Serio to jest kawałek stąd – powiedział, spoglądając na zegarek.

– No dooobra – odparła. Wcale nie miała ochoty tam iść, ale Michał przekonał ją, że powinna. „Dostałaś wezwanie. Jak się nie stawisz, to jeszcze cię ściągną z chaty”. Zawsze myślał o wszystkim. Troskliwy, opiekuńczy, a z drugiej strony nieoceniający.

Szli ulicą Białą wzdłuż nasypu kolejowego. Kiedy dotarli na miejsce, wskazówka zegara nieznacznie minęła godzinę drugą.

– Usiądę z tobą w poczekalni – zaproponował Michał.

– Serio nie musisz. Idź się gdzieś przejść. Zadzwoń, jak będzie po wszystkim.

W tym momencie na schodach komisariatu pojawiła się Sonia. Była nieco zamyślona, ale nieoczekiwane spotkanie z eks od razu ściągnęło ją na ziemię. Twarde lądowanie.

– O... – wydukała Sonia.

– Cześć... – odparła Natalia.

Stały tak chwilę w milczeniu. No bo co właściwie miały zrobić? Wszystko, co było do powiedzenia, zostało już powiedziane, napisane, wykrzyczane. Sonia w dalszym ciągu próbowała pozbierać się do kupy. Wielka miłość. Uczucie, które rozkwitło nagle, całkiem nieoczekiwanie. Sonia nie mogła uwierzyć w bezmiar swojego szczęścia. Bo oto ją znalazła: zaginioną drugą połówkę, bratnią duszę. Takie właśnie było to lato: jedyne, wyjątkowe, najpiękniejsze.

W połowie września Natalia poznała Michała. Przypadkowe spotkanie, ale od razu wiedziała, że to jest to. Oświadczył jej się miesiąc później.

Oczywiście zaproponowała Soni, by zostały przyjaciółkami. Mówiła całkiem serio, ale to nie mogło się udać. Sonia miała złamane serce; nigdy wcześniej ani później nikogo tak nie kochała. Odmówiła.

– A więc to jest ten cały Michał – palnęła.

– Cześć. – Chłopak uśmiechnął się jak zawsze szczerze i serdecznie. Nie podała mu ręki.

– Sonia, my... – Natalia najpierw chciała się tłumaczyć, ale ostatecznie zrejterowała. Takie trudne rozmowy kosztowały ją wiele energii. Jej także nie było łatwo stanąć na nogi po tamtym rozstaniu. Kochała Sonię, ale Michała... jego kochała po prostu bardziej. – Też byłaś na przesłuchaniu w sprawie Julii?

- Tak – odparła krótko. – Zdaje się, że Gustaw to wszystko nakręcił.
- Wiem, napisał mi esa. Podobno coś z Julią.
- Sorry, Nati, ale nie wiem, o co tu chodzi. Nie widzę związku między Julią a tą ich sprawą. Chyba po prostu wszyscy mamy zajebistego kaca po tych wakacjach.

FLARA

Aspirant Justyna Flarkowska była naprawdę sumienną funkcjonariuszką. Mimo nawału zadań nigdy nie odkładała niczego na później. Pracowała szybko, często zostawała po godzinach.

– Lecisz już na chatę? – spytał kolega z naprzeciwka. Wkrótce zaczynał drugą zmianę.

– Wezwałam sobie jeszcze jednego świadka. Jak nie przyjdzie, będę się zwijać.

– Flara, a ty nie musisz czasem dzieciaka odebrać ze szkoły, ugotować mu obiadu czy coś?

Policjantka załała kubek z kawą. Kawa instant, jedzenie instant, życie *later. Work and life balance* w wykonaniu aspirant Flarkowskiej mocno kulało w temacie *life*.

– Ja się, Jacek, po prostu nie wyrabiam.

– Nikt się nie wyrabia. Robimy na trzy etaty, ale jakoś pensję dostajemy jedną...

Zadzwoił telefon. Dyżurny.

– Flara, pani Rosik do ciebie.

– Już schodzę...

Zaprosiła Natalię do pokoju. Załącznik adresowy, krótka informacja, czego dotyczy sprawa. Dziewczyna wiedziała, że chodzi o Julię. Nie

kojarzyła żadnej Weroniki Zatorskiej.

Ten sam standardowy zestaw pytań. Jak to możliwe, że nie znali jej nazwiska? Czy Natalia ma jej numer telefonu, jakieś bliższe dane? Czy Julia mówiła o tym, że chce odebrać komuś życie?

– Wie pani, to była naprawdę pokręcona laska. Robiła dużo dziwnych rzeczy. – Natalii przypomniało się to, co kilka dni po zerwaniu opowiedział jej Wiktor. Szczegóły imprezy w willi na Jaśkowej.

To była szalona noc. Gustaw zaczął ćpać, wyrwał jakąś laskę i zrobił jej dobrze w basenie. Julia zgubiła się gdzieś z Szymonem i Elizą – właścicielami domu. Wiktor długo jej szukał. „Tylko proszę cię, nie mów tego nikomu. Nawet Soni” – błagał ją, zdradzając szczegóły tamtej imprezy. „Dobrze, umiem dochować tajemnicy” – zapewniła Natalia. Nie miała zamiaru łamać tej obietnicy, tym bardziej dla jakiejś obcej policjantki.

– Zdążyłam się o tym przekonać – odparła aspirant Flarkowska. – Ale czy pamięta pani jakieś konkretne wydarzenia wskazujące na to, że Julia próbowała bądź też mówiła o zabijaniu kogoś, nakłanianiu go do samobójstwa?

W głowie stanęły jej słowa młodego Duchnowskiego: „Tylko błagam, nie możesz tego nikomu powiedzieć. Nie mówiłem tego nawet swojemu terapeutcie”. Chłopak był wystraszony.

„Nie powiem, Wik, możesz być spokojny”. Złapała go wtedy za rękę.

„Szukałeś kiedyś śmierci? Czuleś, że jest już blisko? Jakie to uczucie dusić się własną śliną, nie móc oddychać, tracić czucie w palcach? Myśleć, że oto zbliża się kres?” – Natalia niemal słyszała, jak Julia mówi do niego te słowa.

– Nie, nie pamiętam – zeznała.

Policjantka zapisała wszystko w protokole.

ROZDZIAŁ 32 | SIERPIEŃ

WIKTOR

Wiktor zaproponował Natalii, że podrzuci ją do domu.

Jechali koło dawnego Grodziska. Po lewej PKS, po prawej dworzec kolejowy. Kawałek dalej panorama stoczni. Wiktor spojrzął na dźwigi i znów siadł mu humor.

– Musi być ci cholernie ciężko – przyznała Natalia, klepiąc go przyjacielsko po kolanie.

– W chuj ciężko.

Miał ochotę mówić jeszcze. Potrzebował spowiedzi, świeckiego sakramentu oczyszczenia duszy. Podzielenia się tym ciężarem, odkupienia win. Miał ochotę powiedzieć jej to, czego nie wiedział zupełnie nikt. Nikt poza Julią, Elizą i Szymonem.

Spotkali się z Nati przypadkowo w galerii. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, jak bardzo zmienił się Wiktor. Odarty z bezczelności i nonszalancji zupełnie nie przypominał starego siebie.

– Nie będę zalewała, że ci szybko przejdzie. – Ściszyła muzykę. – Ale w końcu ci przejdzie.

– Wiem... – wyszeptał.

Skręcili koło opery.

– Przyszła na chatę i po prostu powiedziała, że to koniec?

Wiktor westchnął. Nie opowiedział nikomu całej historii. Jedynie wybrane, bezpieczne fragmenty. Napisał, że zerwali, *but life goes on*. Tylko że ono wcale nie chciało iść naprzód.

– Ja potrzebowałem uczucia, ona zabawy – odparł po chwili.

Wjechali na Zaspę.

– Za ostrej zabawy – domyśliła się Natalia. Czuła, że Wiktor coś ukrywa.

Zajechał na przypadkowy parking. Zatrzymał samochód, zgasił silnik. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał Natalii głęboko w oczy.

– Obiecasz, że nikomu nie powiesz?

– Obiecam.

Złapał ją za ramiona.

– Nikomu, nikomu – podkreślił.

– Nikomu – powtórzyła.

Wciągnął ciężko powietrze. Wrócił pamięcią do nocy w willi na Jaśkowej. Bezwiednie dotknął dłonią szyi.

NATALIA

Kilka dni później młody Duchnowski siedział już w samolocie do Alicante. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Za namową Natalii kupił pierwsze lepsze bilety i zniknął. Właściwie to nieco nadinterpretował jej radę. Poleciła mu wyskoczyć na weekend na Kaszuby. On stwierdził, że ma dosyć Polski, i zabukował lot do słonecznej Iberii. W Hiszpanii było wiele wspaniałych rzeczy. O wiele ważniejsze jednak okazało się to, kogo tam nie było: Julii ani jego rodziców.

Natalia ustawiła się na imprezę.

Przyjaciele stali przy barze, sącząc drinki. Sonia, Gustaw, Łaga i ona. Z Julią kontaktował się zwykle tylko Wiktor, zresztą od ich rozstania i tak głupio by było do niej pisać.

– Nie nudziło ci się na tych Seszelach? – spytała od niechcienia Sonia.

– No było w chuj nudno – odparł ironicznie Łagocki. Każdy z członków ekipy marzył o takich egzotycznych wakacjach.

– Ale opaleniznę to masz ładną – przyznała Natalia.

– Zdecyduj się, kicia, czy chcesz mnie robić, czy jesteś lesbą. – Łaga klepnął Natalię w pośladek.

– Ej, mordo! – zaprotestowała dziewczyna.

– Zaliczyłeś tam jakieś kicie? – spytał Gustaw, który od ich zerwania postanowił stać się nowym człowiekiem. Pogrzebał starego, sztywnego Kolasę i zaczął cieszyć się życiem.

– Eee, lipa była. Wpadła mi w oko taka jedna laska z Manchesteru, odpaliłem bajerę, ale coś nie pykło.

– Nie martw się, odbijemy sobie dzisiaj. – Poklepał go po ramieniu.

Sonia zagwizdała.

– Jak tak dalej pójdzie, Gustaw, to zrobi się z ciebie grubszy kozak niż z Duchnowskiego.

Natalia momentalnie przypomniała sobie historię, którą kilka dni temu opowiedział jej Wiktor.

– Skoro nie wrywałeś, to co tam całymi dniami robiłeś? – dopytywał Gustaw.

– No ziomuś, surfowałem.

– Głupie pytanie, Kolasa – zbesztła go Sonia. – Co innego może robić taki bananowy dzieciak jak Łagocki?

Zaśmiali się.

– Stary dobry półwysep nie wystarcza? – spytała Natalia.

– No Nati, co to za lans na Solarze? – prychnęła Sonia.

– Zdrowie tych, co pierdolą półwysep! Jebać biedę! – krzyknął Łaga, machając kieliszkiem.

Wznieśli toast, wypili wszystko duszkiem. Barman już serwował kolejną rundkę.

– Swoją drogą, można by tam kiedyś uderzyć – rozmarzyła się Natalia.

– W sumie...

Łagocki podrapał się po głowie. Objął dziewczyny i Kolasę. Stanęli w kółeczku.

– Przecież to jest zajebisty pomysł! Ciśniemy na półwysep całą ekipą!

– Tam jest w chuj ludzi, nie będzie gdzie się zatrzymać – zauważyła Sonia.

– No co ty, mordo, przecież mam przyczepę na Solarze! – wrzasnął Łagocki. – Krzycz, jeśli żyjesz!

GUSTAW

Włączył mu się tryb imprezowicza. Około jedenastej poziom alkoholu we krwi obdarzył go nieśmiertelnością: szalał na parkiecie, zamawiał następne kolejki, zagadywał obce laski.

– Jak masz na imię? – podbił. Głupio nie znać imienia typiary, ale była to cokolwiek chujowa bajera.

– Słucham?

Stali dość blisko głośnika.

– Jak masz na imię?! – zawołał, niemal dotykając jej twarzy.

– Marianna – powiedziała, przysuwając się do koleżanki. Szepnęła jej coś na ucho. Dziewczyna zaasekurowała przyjaciółkę. Obróciła się do niego plecami.

Gustaw musiał salwować się ucieczką. Dostał kosza, kilka osób to widziało, należało zmienić rewir. Najtrudniej wycofać się z klasą.

– Chujowo ci poszło – podsumował ktoś z tyłu. Znajomy, lekko zachrypnięty głos. Julia.

*

Gustaw spojrzał za siebie. Nie widział Julii od czasu imprezy na Jaśkowej. Kiedyś dziewczyna strasznie ryła mu banię. Marzył o niej i jednocześnie mega się bał. Odkąd zaczął spotykać się z Natalią, trochę mu przeszło. Julia nie zwracała na niego uwagi, nie prowokowała swoim zachowaniem. Co z oczu, to z serca.

– Musisz bardziej wyluzować – dodała po chwili.

Wyglądała zjawiskowo. Szerokie spodnie, płaski brzuch, idealna figura. Laska jedna na milion. Długie brązowe włosy, jak u jakiejś cholernej Azjatki. Lekko skośne, wielkie oczy.

– Racja – palnął bez polotu. W tej chwili znów wskoczył w buty drętowego studenta prawa.

– Chcesz, to pokażę ci, jak to się robi.

Dopiła drinka i pewnym krokiem podeszła do tamtych lasek. Szepnęła im coś na ucho. Nieznajome spojrzały na Gustawa, zaśmiały się, zaczęły tańczyć. Zostały oczarowane.

Julia skinęła na Gustawa. Ten nieśmiało podszedł do grupki dziewczyn. Marianna i jej koleżanka natychmiast do niego przywarły. Teraz to one go podrywały.

Kolasa nie wiedział, co się dzieje. Podrygiwał na parkiecie, co i raz spoglądając na Julię. Ta tylko się uśmiechała. „No zabaw się, maluszk. Zaskocz mnie” – głosił wyraz jej twarzy.

– Idziemy się napić? – zaproponowała Marianna.

– No spoko... – odparł Gustaw. „Kurde, czyli będę musiał im stawiać” – pomyślał.

Stanęli w kolejce do baru.

– Przyjechałyśmy tu z Tych – powiedziała druga z dziewczyn. – Jestem Zosia. – Wyciągnęła rękę do Gustawa. Wymienili uścisk dłoni. „Trzeba było ją pocałować” – stwierdził po czasie.

Czekali na zamówienie.

– Z tych Tych? – Po kilku dłuższych sekundach Kolasa wysmarował w końcu jakiś żart.

Dziewczyny nie zrozumiały.

Barman był gotowy ich obsłużyć.

– Co dla was?

– Na co macie ochotę? – zagaił Kolasa nowo poznane towarzyski.

– Zaskocz nas...

– Może... trzy piweczka? – Najtańsza opcja. Słabo, słabo, słabo.

Kelner nalał prosto z kija. Gustaw podał kubeczki dziewczynom. Fajnie dostać za darmo piwko, ale lepiej napić się gratisowego aperolka.

Stuknęli się „na zdrowie”, Kolasa zaczął je znowu bajerować. Poszli razem na parkiet. Miał wrażenie, że Marianna i Zosia coraz bardziej go olewają. Jakby cudowny czar Julii tracił z czasem swą moc. Mikstura przestawała działać.

Najpierw tańczył bardziej z Zosią, później bardziej z nikim. Laski coś bąknęły, zniknęły w tłumie.

– Krzycz, jeśli żyjesz – szepnęła mu na ucho Julia.

– Hej... – Znów palnął coś bez sensu.

Złapała go za ramię z tatuażem.

– To hasło do czegoś zobowiązuje. To ty powinieneś je spławić. – Reprimenda nie była bolesna. Julia traktowała go z pobłażliwością ukochanej przedszkolanki.

– Dopiero się uczę. – Gustaw na chwilę odzyskał rezon.

– Zdradzę ci kilka sztuczek, maluszk.

ROZDZIAŁ 33 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Weronika leżała pośrodku egzotycznej komnaty. Wokół palmy, domowa dżungla, kilkadziesiąt wypchanych martwych zwierząt. Stado drapieżników i jedna zbłąkana owieczka. Tygrysy, lamparty i wilk w ludzkiej skórze. Bestia ukryta w ciele zielonookiej blondynki.

– Nie, błagam, nie rób mi krzywdy – załkała Weronika. – Ja nie chciałam zrobić nic złego, ja, ja, ja...

Oprawczyni nachyliła się nad swą ofiarą. Delikatnie dotknęła jej policzka.

– Nie chciałaś zrobić nic złego? – powtórzyła beznamiętnym głosem.

– Ja naprawdę, te drzwi były otwarte, ja...

Dziewczyna nie zdejmowała dłoni z twarzy Weroniki. W tym dotyku znalazło się sporo czułości; gładziła zapłakaną dwudziestolatkę jak matka czy wyrozumiała starsza siostra.

– On cię zabije, wiesz o tym? – spytała.

Ofiara znów załapała się łzami.

– Błagam... Myślałam, że mam wyjść, że drzwi, że...

– To ja je otworzyłam – oznajmiła porywaczka.

– Puść mnie, ja nic nie powiem, nic nikomu nie powiem...

Blondynka spojrzała w stronę martwego tygrysa. Podrapała go po pysku, po czym usiadła na podłodze.

– Wiem, że to nieprawda. Jeśli cię puszcze, pobiegiesz na policję, oni staną na rzesach i w końcu nas znajdą. Zagadka zbrodni idealnej zostanie rozwikłana, my dostaniemy dożywocie.

– Naprawdę, będę milczeć jak grób – zapewniła Weronika. Trzęsącymi się dłońmi próbowała odgarnąć włosy z oczu.

– Będziesz milczeć jak grób tylko wtedy, jeśli tu zostaniesz. Jeśli wpakujemy cię do cementowej trumny, ukryjemy zwłoki pięć stóp pod ziemią, zasadzimy na nich trujący bluszcz i zapomnimy. Kolejna nastolatka uciekła z domu, pewnie kurwi się gdzieś w Dubaju.

– Błagam, błagam! – Weronika rzuciła się na kolana. Złożyła ręce do modlitwy i znów zaczęła powtarzać dobrze znane słowa. – Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...

Porywaczka pokręciła głową.

– Anioł Stróż ci nie pomoże. Bóg umarł. Nie wiesz o tym?

– ...rano, wieczór, we dnie, w nocy...

Zielonooka dziewczyna się zaśmiała.

– Bóg umarł i ci nie pomoże. Ale ja ci pomogę.

Do Weroniki nie dotarły słowa oprawczyni. Wciąż klęczała na ziemi i recytowała wersy pacierza.

– ...Aniele Boży...

Porywaczka się wyprostowała. Podała ofierze rękę.

– Wstawaj! Nie mamy wiele czasu!

– Ale jak? – jęknęła Weronika.

To był kolejny podstęp. Nieczysta zagrywka, wymyślna tortura. Najpierw okazujemy narzędzie zbrodni, tłumaczymy, jak zostanie użyte, i

dopiero na samym końcu przystępujemy do kaźni.

– Pomogę ci stąd uciec. To ja otworzyłam drzwi, ale... straciłam odwagę. – Porywaczce zaszklily się oczy. – To nie tak miało wyglądać. Kochaliśmy się. Byliśmy jednością. A on mnie zdradził. Znalazł inną.

Weronika w dalszym ciągu klęczała na podłodze.

– ...Aniele Boży... – Słowa modlitwy wplatała w normalną konwersację. Nie potrafiła inaczej.

– Zawiozę cię do domu. Zamkniesz się w nim bezpiecznie, poprosisz o pomoc chłopaka, brata albo ojca i zadzwonisz na policję. Zanim on się dowie. Zanim cię dopadnie.

– Ja nic nie rozumiem... – szepnęła dwudziestolatka.

– Mieliśmy to zrobić razem. Jak jedna osoba. Żyć i umrzeć razem. Otworzyć twój umysł, pokazać, jak nieistotne są nasze wybory. Nieznośnie lekkie.

Weronika spoglądała na nią ufnie niczym baranek. Bo w końcu cóż innego poza rozpaczliwą nadzieją jej zostało?

Porywaczka pomogła jej wstać.

Przemierzały kręte korytarze Willi Monberga, kierując się prosto do podziemnego garażu. W pomieszczeniu zaparkowano kilka pojazdów. Porsche 356A, toyota 2000GT, obok czarny van i parę „zwykleszych” aut.

– Wsiadaj – poleciała blondynka, otwierając tylne drzwi pokaźnego SUV-a.

– Tutaj?

– No przecież nie do bagażnika! Uwalniam cię, nie kumasz?! – krzyknęła poirytowana dziewczyna.

Na podstawie zewnętrznych obserwacji jej stan emocjonalny można było określić jako mało stabilny. Rozchwiana, chimeryczna, nieobliczalna.

Jeśli ktoś miał uwolnić Weronikę od tego szaleństwa, to mogła to być jedynie ona. Skrzywdzona kochanka z urażoną ambicją i zszarganą dumą.

Wyjechały stromym podjazdem. Weronika spojrzała na piękną willę; widziała ją wiele razy, jadąc autobusem 168 spod Galerii Bałtyckiej na Morenę. „A więc Wrzeszcz” – pomyślała.

Porwali ją w biały dzień z centrum Gdańska. Na oczach kilkunastu gapiów wladowali do ciemnej furgonetki, wozili kilkadziesiąt minut po mieście, by w końcu zajechać do willi położonej ledwie półtora kilometra dalej.

– Nie bój się, oni mnie nie złapią – oznajmiła porywaczka. – Zawiozę cię do domu i zniknę. Z tego świata. Mam tylko jedną prośbę.

– Zrobię wszystko – wyszeptała Weronika.

– Jeszcze dziś zadzwoń na psiarnię. Jedźcie do Willi Monberga, zróbcie tam kipisz, złapcie tego skurwysyna i jego nową zabawkę. Rozpierzdolcie mu marzenia, pokażcie, że beze mnie jest niczym. Rozumiesz? Wykrzycz mu to! – zawołała nerwowo dziewczyna.

– Tak jest – potwierdziła niepewnie Weronika. Przez okno widziała uśpioną Grunwaldzką, główną arterię miasta. Musiała być druga albo trzecia w nocy. Puste ulice, zgaszone światła w oknach. Bezpieczny, nieświadomy świat.

– Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz... – stwierdziła blondynka. – Głucha jesteś? Jaki adres?!

Wyraźnie rozchwiana. Osobowość nieprawidłowa. Zdolna do wszystkiego. Również do miłosierdzia.

– Pomorska 94B – odparła karnie Weronika.

Dojechały do Oliwy. Po lewej McDonald, kawałek dalej szklane biurowce. Skręciły w prawo tuż za parkiem. Gdańska Żabianka. Wysokie

bloki, wielka płyta, dom Weroniki Zatorskiej. Widziała swój balkon. Ósme piętro, okna wychodzące na dawny staw. Mama i tata.

– Pamiętasz, co masz zrobić?

– Zadzwoń na policję, powiedz im wszystko...

– Willa Monberga! – krzyknęła porywaczka. – Wyryj to sobie w mózgu. Musicie tam pojechać jeszcze dziś. Dorwać skurwiela, zanim będzie za późno. Zanim spierdoli za granicę! Jasne?!

– Tak jest...

Zjechały na przystanek autobusowy. Na ławce spał jakiś bezdomny. Ciemna, zakapturzona postać skulona w pozycji embrionalnej. Bo wszyscy pragniemy wrócić do łona matki.

– No to spierdalaj. I pamiętaj, opowiedz im wszystko. Każdy szczegół!

– Zrobię to... – zapewniła Weronika.

– Willa Monberga, kurwo!

Dziewczyna nieśmiało otworzyła drzwi SUV-a. Stała na ulicy.

– D-d-dziękuję... – wyszeptała na odchodne.

Porywaczka nie odpowiedziała. Spoglądała gdzieś przed siebie, w stronę Jelitkowa i morza. Jakby widziała stąd Hel i wszystkie przygody, które wydarzyły się na nim zeszłego lata.

– Ma pani jakieś drobne? – wychrypiał bezdomny.

– Ja? – Weronika zgłupiała. Oto wróciła do zwykłego życia, z jego codziennymi problemami i troskami.

– Dwa złote może być.

Spojrzała w kierunku mężczyzny. Gruba warstwa łachmanów, zimowy płaszcz okrywał dziurawe spodnie. Pachniał drogimi perfumami.

Weronika odruchowo sięgnęła do torebki. Zawsze rozdawała drobne. Miała miękkie serce. Wtedy dojrzała jego twarz.

Bezdomny nie nosił wąsów ani brody. Spod ciemnego kaptura wystawał jedynie upiorny, ptasi dziób.

– Nie... – szepnęła Weronika.

– Myślałaś, że tak łatwo z ciebie zrezygnuję? Że tak łatwo MY z ciebie zrezygnujemy?

– Nie! – powiedziała już znacznie głośniej.

SUV w dalszym ciągu stał zaparkowany w autobusowej zatoczce. Kierowczyni nie wyłączyła silnika, nie zamknęła drzwi.

– Zapraszam do środka – polecił młodzieniec skryty za demoniczną maską.

– Nie! To nie może się tak skończyć! – krzyknęła Weronika.

– Oj, nie. TO jeszcze nie koniec – zapewnił porywacz.

*

I tak oto w ciągu jednego krótkiego miesiąca Weronika Zatorska dwukrotnie została porwana przez dwójkę znudzonych życiem dwudziestolatków. Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia. Piekielna para postanowiła nieco zmienić tę prawidłowość. Ciało należało zachować przy życiu, by najpierw zamordować umysł.

Odurzili ją chloroformem, władowali na tylną kanapę SUV-a i wrócili do Willi Monberga. Obudzili ją jeszcze w garażu. Chcieli, by widziała całą drogę, którą musi przemierzyć z powrotem do swojej kwatery. Droga krzyżowa Weroniki Zatorskiej. Chcieli odrzeć ją z resztek zmysłów, zabić jej duszę, rozerwać serce, odebrać jaźń.

Weronika krzyczała, ciągnięta przez ozdobiony mrocznymi malowidłami piwniczny korytarz. Tym razem nie wyglądała jak anioł. Od szaleństwa dzieliła ją cienka niczym pajęczna sieć nić. Darła się wniebogłosy.

Zatargali ją do Czyścica, przywiązali pasami do stołu. Oprawczyni wyjęła maszynkę do tatuażu. Podała narzędzie swemu mistrzowi.

– A teraz przedostatni akt naszego dramatu – obwieścił młodzieniec. Zbliżył igłę do ciała ofiary. – Słowa, które usłyszałem od kogoś bardzo bliskiego mojemu sercu. Naszemu sercu. To takie motto.

Zatopił igłę w skórze Weroniki i złożył na niej swój podpis. Cyrograf spisany krwią. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ.

– Julia otworzyła nam oczy na wiele nowych spraw – dodała blondynka. – Niech ten tatuaż stanowi prezent od niej. W końcu gdyby nie ona...

– Być może w ogóle by cię tu z nami nie było.

ROZDZIAŁ 34 | SIERPIEŃ

SONIA

Jechała kolejką w stronę Żabianki. Stary, wysłużony skład. Na szczęście o tej godzinie dało się w nim jeszcze jakoś usiedzieć. Około południa metalowy wagon robił się tak gorący, że można w nim było smażyć hot dogi. Jednego z kabanosem poproszę. Jaki sos? Keczup i musztarda. Tylko nie za dużo. Nie lubię, jak wypływa na zewnątrz. Tak będzie dobrze. Ile płacę?

Na Zaspie dosiadła się do niej Natalia.

– Siemka.

Pocałowały się. Starsza pani z naprzeciwka spojrzała na dziewczyny z niesmakiem. Podróżowała z wielkim, brezentowym wózkiem na zakupy. Gdyby miała kamień, rzuciłaby jako pierwsza.

– Kurwa, jak ja nie znoszę tak wcześnie wstawać – jęknęła Sonia.

– Nie przesadzaj, za chwilę dziewiąta.

– To chyba przez to, że znów zgubiłam niedzielę. Nieźle odpięłyśmy wrotki.

– Gdyby nie jaranie, byłoby nie najgorzej – stwierdziła Sonia.

Dojechały na Żabiankę. Komunistyczne osiedle znakomicie przetrwało próbę czasu. Mieszkania były wprawdzie ciasne i kiepsko wygłuszone, ale

z każdego roztaczał się wspaniały widok: na Bałtyk lub okoliczne wzgórza morenowe. Żyło się tu wyjątkowo przyjemnie. Dużo zieleni, przestrzeń, świeże powietrze. Ogólnodostępne place zabaw, kolejka, tramwaj, autobus, przychodnia, szkoła, basen, mnóstwo sklepów. Prawdziwe miasto w mieście.

Kiedy cała Polska przeżywała zachwyty styropianem i malowała elewacje na wszystkie kolory tęczy, zarządcy osiedla postanowili pokazać kolegom po fachu serdecznego faka. Pewnie byli naćpani albo zjarani, bo odnowili bloki w sposób estetyczny i przyjemny dla oka. Każdy wyglądał tak samo; forma dopasowana do treści: nienachalnie, delikatnie, z poszanowaniem architektonicznego kontekstu.

– Która to była klatka? – spytała Sonia

– Czekał, sprawdzę w wiadomości. 2B.

Dotarli na miejsce. Gustaw czekał już pod blokiem.

– Siemanko!

Przywitali się buziaczkiem.

– No i gdzie ten Łagocki? – Natalia spojrzała na zegarek.

– Pewnie odpala kolejną drzemkę na budziku. – Surowa ocena, raczej zasłużona.

Zadzwonili do niego, ale miał zajęte.

– Co za pała! – zaklęła Sonia.

Chwilę później usłyszeli głośny warkot silnika. Mocno stuningowana C-klasa wjechała na osiedlową uliczkę. Kierowca opuścił szybę.

– Zgadnijcie, kogo zgarnąłem po drodze – powiedział, szczerząc zęby. Na fotelu pasażera siedziała Julia.

– *O fuck*. Myślałam, że nie żyjesz – palnęła Sonia.

– Daj mi jeszcze chwilę, skarbie – odparła Julia.

Zapakowali torby do bagażnika i wcisnęli się do środka. Klimatyzacja utrzymywała przyjemną temperaturę, z głośników leciały świeże polskie rapsy. Chyba Malik Montana.

– Przepraszam, tu jest wjazd tylko dla mieszkańców! – krzyknął jakiś starszy pan. Samozwańczy dzielnicowy. Żabiankowy strażnik Teksasu: kijek do zbierania śmieci zamiast winchestera, czapeczka z daszkiem zamiast kapelusza. Prawdziwy kowboj nigdy nie zapomina o kapeluszu.

– Spokojnie, maluszku, zaraz znikamy – rzucił bezczelnie Łaga. Przełączył tryb na „sport” i wcisnął pedał gazu. Silnik zaryczał.

– Tu jest ograniczenie do dwudziestu kilometrów na godzinę! – wrzeszczał na odchodne sympatyczny społeczniak. – Strefa zamieszkania, gamonie! Za chwilę zadzwonię na straż miejską!

Pięć minut później Łaga grzał już Spacerową w stronę obwodnicy. Osiemdziesiąt na godzinę, na ekspresówce lewy pas i prosta noga w kolanie. Głośna muzyka, uradowane twarze. To lato miało w zanadrzu jeszcze kilka ciekawych historii do opowiedzenia.

GUSTAW

W Redzie skręcili w prawo, w drogę na Puck. W sezonie nieraz już tu zaczynał się zator. Co mają w głowie ludzie, którzy co wakacje stoją w czterogodzinnym korku na Hel? Pewnie to samo co ci, którzy koczują pół dnia na zakopiance, chcąc polansować się w nowych laczkach na Krupówkach.

Gustaw dawno nie był na wakacjach, ze znajomymi ostatni raz wyjeżdżał w liceum. Klasowa wycieczka, dzieciaki z Topolówki szturmują Mazury. Po maturze zaczął sezonową pracę – odpowiedzialne zajęcie dla młodego, pracowitego człowieka. Roznoszenie ulotek, później meleksy.

W tej chwili jechał na Hel autem wartym ze trzysta koła, siedząc pomiędzy dwiema ładnymi dziewczynami. Za kierownicą bananowy dzieciak, na fotelu pasażera miss galaktyki, plus milion do charyzmy. Ekipa marzeń.

– Ładnie urządziłaś naszego Wikusia – palnął znieczeka Łagocki. Do tego momentu nikt z przyjaciół nie ośmielił się poruszyć niewygodnego tematu.

– Raz na wozie, raz pod wozem – odparła bezczelnie dziewczyna.

– Kurwa, Julka, on się prawie przez ciebie powiesił! – wypunktowała Sonia. – Nie odważa się takich akcji!

– Wiesz co... Rozmawialiśmy w cztery oczy, zgodnie stwierdziliśmy, że nasze oczekiwania się nieco rozmiągają. Czy nie tak zrywają dorośli ludzie?

Obiektywnie rzecz ujmując, Julia nie zrobiła niczego złego. Byli młodzi i szaleni, nie składali sobie żadnych obietnic ani przyrzeczeń. Jedynym wspólnym planem była beztroska zabawa, jedynym zobowiązaniem przyjemność. Spośród obecnych w samochodzie przyjaciół wyłącznie Natalia wiedziała, w jak pokręcony sposób Julka zaspokaja swoje żądze. Znów przeszły ją dreszcze.

– Słuchajcie, nie ma co mulić pizdy – skonstatował jak zwykle elokwentnie Łagocki. Urodzony dyplomata, Kissinger mógłby się od niego wiele nauczyć. – Jedziemy na półwysep, będziemy ćpać, chlać i się fantastycznie bawić. – Objął Julię. – Nie płaczemy po Notre Dame, nie płaczemy za Wiktorem. Naszą Juleczką z chęcią sam się zaopiekuję. Wszystko zostaje w rodzinie!

SONIA

Zajechali do Chałup koło jedenastej, poszli prosto na plażę. Siedzieli na piasku i obserwując zatokę, leniwie sączyli browarki. Chałupy, mekka polskich surferów. Kilkadziesiąt kolorowych żagli tańczyło na lekko wzburzonej wodzie.

– Kiedyś próbowałam, ale za chuj mi nie wychodziło – wyznała Sonia.

– Jak chcesz, mogę ci pokazać – zaproponował Marek. – Jest dobry wiatr.

– W sumie...

Sonia od zawsze miała dryg do sportu. Jeździła na desce, w liceum grała w szkolnej reprezentacji. Prawdziwa chłopczyca. „Mogłabyś w końcu znaleźć sobie jakieś babskie zajęcie!”

– No a my? Co mamy robić? – spytała z wyrzutem Natalia.

Łagocki szedł właśnie wypożyczyć dla koleżanki piankę. Swoją miał w przyczepie.

– Zostawiam was w towarzystwie Kolasy. Pogadajcie sobie o jakichś paragrafach czy marszach równości...

GUSTAW

Leżał na kocu, obserwując poczynania Soni. Łagocki sprawdzał się jako nauczyciel. Dobrze tłumaczył, zachowywał spokój, robił wszystko po kolei.

Zatoka była jednym z lepszych miejsc w Polsce do uprawiania sportów wodnych. Płytkie dno, eleganckie fale, korzystny wiatr. Nie były to oczywiście Hawaje, ale umówmy się: *kurica nie ptica, Polska nie zagranica*.

– Serio zazdro – zwierzył się Gustaw. Alkohol rozwiązał mu język. – Tyle kasy, do tego przystojny, wysportowany. Mnie nigdy nie było stać na deskę, zresztą nawet gdybym miał hajs, to i tak bym się połamał.

– Chyba utopił – zauważyła Julia.

– Kurde, najpierw połamał, a potem utopił – odparł Kolasa.

Parsknęli śmiechem.

– Nie martw się, ja też zawsze byłam totalną nogą w sporcie – przyznała Natalia. – A ty, Julka?

– Łowiectwo.

– Co, kurwa?! – zawołała Nati.

– Zalewasz – dodał Gustaw.

Julka napiła się piwa.

– Mój dziadek był myśliwym. Kiedy byłam małą dziewczynką, jeździliśmy razem na polowania. Pozwalał mi trzymać broń, pokazywał, jak się celuje i trafia.

– No ale nie gadaj, że dał ci strzelać. – Gustaw nie wierzył, by w tych czasach ktoś mógł z taką dumą opowiadać o ładowaniu ołowiu do zwierząt. Fakt, sam jadał mięso, może i wiało to odrobinę hipokryzją, ale nie mordowałyby innych stworzeń jedynie dla czystej przyjemności.

– Jak inaczej nauczyłyby mnie polować, głuptasie? – spytała z rozbijającą szczerością.

– No i serio zabijałaś zwierzęta? – Natalia również czuła pewną odrazę.

– Dziki, kaczkę, kilka sarenek – wymieniała bez większych emocji Julia. – Jebany krąg życia, Mufasa.

KONRAD KROON

Konrad od dziecka czuł dziwny pociąg do starych kościołów. Muzeum Narodowe zajmowało budynek po dawnym klasztorze franciszkańskim. Monumentalny gmach był świadkiem burzliwej historii miasta, ceglane

ściany pamiętały tysiące ludzkich istnień, które kiedykolwiek przestąpiły jego próg.

Po wyprowadzce z domu Kroon wynajął pokój w okolicznym hotelu. Zawsze lubił tę część Gdańska: nieco zapomnianą, tajemniczą, wolną od tłumów turystów.

Błąkał się wśród wiekowych krużganków, rozpaczliwie usiłując odzyskać spokój ducha. Dobrowolnie wyrzekł się Zuzy, porzucił swój magiczny amulet. Nie czuł się bezpiecznie. Słyszał w głowie pełne niepokoju głosy, pierwsze oznaki czającego się za rogiem szaleństwa. Modlitwy i recytacje, którymi niegdyś próbował odpędzić goniące go demony.

– *Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae...*[44] – wyszeptał.

Tak często uciekamy się do modlitwy, gdy ścigają nas potwory. Upiory kroczące śladem Kroona były nie mniej realne od tych, które niespełna dwa miesiące później miały porwać niewinną, niczego niespodziewającą się ofiarę. *Visibillum omnium et invisibillum*. Widzialne i niewidzialne.

Wkroczył na schody. Każdy stopień rezonował echem przeszłości.

– *Et in unum Dominum Iesum Christum* – zadeklarował Konrad. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa.

– *Filium Dei unigenitum, et ex Patre natum ante omnia saecula* – odpowiedział budynek. Syna Bożego Jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami.

Skręcił w prawo. W niewielkiej sali umieszczono jeden tylko obraz. Najważniejszy obraz. *Sąd ostateczny* Hansa Memlinga.

Kroon usiadł na ławce. Drżące dłonie złożyły się jak do modlitwy. Spojrzał na tryptyk.

Tak naprawdę wyglądał krąg życia. Jedyny prawdziwy krąg życia.

Pośrodku obrazu oparty o wielką, złotą kulę wszechświata Chrystus. *Deum de Deo, Lumen de Lumine, Deum verum de Deo vero*. Bóg z Boga, Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego.

– *Genitum non factum* – przypomniał Kroon. Zrodzony, a nie stworzony.

Najważniejszy proces karny w historii kosmosu nakazywał poddać się woli Stwórcy. Choć Konrad był prokuratorem, czuł, że to jego życie zasiada na ławie oskarżonych. Czy wystawiono go na próbę? Czy uległ wszystkim trzem kuszeniom na pustyni?

Zuza miała ocalić go przed złem. Uwolnić od strachu i lęków. Lecz czy rzeczywiście była aniołem?

Konrad upadł na kolana.

– *Et iterum venturus est cum gloria, iudicare vivos et mortuos: cuius regni non erit finis*. – I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca.

A jeśli Zuza nie była aniołem? Jeśli tak naprawdę to ona nie pozwalała mu zwrócić się ku światłości? Bo czy prawdziwa miłość może tak mocno ranić?

Archanioł Michał ważył ciężar ludzkich win. Szala delikatnie przechylała się w stronę prawości. A więc była nadzieja.

Po korytarzu przemknęła para dwudziestokilkulatków. Chłopak i dziewczyna. Hipsterzy. On wysoki, dobrze uczesany. Ona metr sześćdziesiąt osiem, blond włosy, zielone oczy, kolczyk w nosie. Spojrzeli na obraz.

Pod tryptykiem klęczał mężczyzna koło czterdziestki. Nie widział ich, jego myśli pochłaniała modlitwa. Szymon i Eliza uwielbiali sztukę. Całkiem niedawno odkryli swoją nową muzę, która miała zaprowadzić ich poza granice niemożliwego.

Przyglądali się obrazowi Memlinga, kojarząc go z makabrycznymi pracami, które pokazała im zagadkowa dziewczyna o lekko skośnych oczach. Ich prorokini. Stanęli kilka kroków za mężczyzną, przysłuchując się jego cichej recytacji.

– *Qui locutus est per prophetas* – wyszeptał Kroon. Który mówił przez proroków.

Prorok, czyli hebrajski *nabi*. Osoba przemawiająca w imieniu Boga. Czy Konrad kiedykolwiek miał spotkać w swoim życiu takiego posłańca? Bo jeśli to nie Zuza miała go uratować, czy mogła to uczynić jakakolwiek inna kobieta? Dziewczyna utkana z materii kosmicznej, wszechwiedząca, właściwie niewidzialna?

A przecież tylu było fałszywych proroków. *Unum baptisma in remissionem peccatorum*. Jeden chrzest na odpuszczenie grzechów. Wodzących na pokuszenie. Ciągących do zła. Czy w opowieści Kroona miał się pojawić w końcu jakiś anioł? Czy może wszystkie anioły zniknęły, by te upadłe mogły dalej zniewalać dusze zagubionych młodzieńców?

– *Et exspecto resurrectionem mortuorum, et vitam venturi saeculi. Amen*. I oczekuję wskrzeszenia umarłych i życia wiecznego w przyszłym świecie. Niech tak się stanie. – powtórzył za Kroonem Szymon, po czym zniknął z Elizą gdzieś w głębi muzealnego gmachu.

GUSTAW

Wieczorem zamierzali iść na rejwy.

Na dyskotekę zjechało mnóstwo turystów z okolicznych kempingów. Przyjaciele byli już dobrze zrobieni, idealny stan upojenia alkoholowego, który należało jedynie delikatnie podsycać. Jedna szklaneczka za dużo i kończyłeś, całując się z kiblem.

- Dajemy jeszcze raz do baru! – zawołała Natalia.
- Nie, już wystarczy – powstrzymała ją Sonia.
- Serio? Chcesz mulić pizdę? – zdziwił się Łagocki.

Sonia wyciągnęła coś z kieszeni. Woreczek; w nim kilka białych grudek.

– Trzeba ostro dojechać – powiedziała, spoglądając wymownie na wszystkich.

– Kryształ? – spytała Natalia.

– A jak!

Podzieliła narkotyk na siedem porcji: po jednej dla każdego i trzy dokładki dla największych łakomczuchów. MDMA przypominało odrobinę grudki soli; bezpieczniejsza opcja niż dropsy, ale i tu mógł się zawsze trafić jakiś syf. Narkotyki to nie przelewki, pod żadnym pozorem nie próbujcie tego w domu.

– Czy to jest bezpieczne? – spytał Kolasa.

– Kurwa, oczywiście, że nie jest – prychnęła Sonia. – Ale widziałam, jak na Jaśkowej ciągnąłeś kokę. Jebany smerf. Więc teraz nie zgrywaj świętoszka!

Faktycznie. Na imprezie w willi Szymona i Elizy Kolasa przeżył prawdziwą przemianę. Noc pełna eksperymentów, grzechu i nowych doznań. Noc diabła.

Julia zgarnęła od razu trzy porcje. Zwróciła się bezpośrednio do Gustawa:

– Miesiąc temu zapraszałam cię do wspólnej podróży, ale wtedy nie byłeś gotowy. Dziś może być twoja ostatnia szansa, pielgrzymie. Oto jest kryształ, w którym przeglądają się wszystkie twoje pragnienia. Oto jest klucz do kosmosu, poznania swych lęków i możliwości.

– Co ty pierdolisz, Julka, po prostu łykajcie to gównno! – zawołał Łagocki i popił narkotyk wodą.

Gustaw wciąż jednak znajdował się w świecie Julii. Jakby to wszystko, co było obok, nie miało żadnego znaczenia. Jakby czas zatrzymał się tylko dla nich.

– Ten kryształ to klucz do Narnii. Do naszej prywatnej Nibylandii, w której wszystko jest możliwe i nawet taka drewniana lalka jak ty – złapała go za rękę – może stać się na chwilę prawdziwym chłopcem. Czy chcesz zostać prawdziwym chłopcem, Gustawie?

– Chcę... – wyszeptał.

JULIA

Narkotyk zaczął działać dopiero po półgodzinie. Początkowo wszystko wyglądało normalnie. Gustaw myślał, że połknął zwykłą morską sól. „Pewnie to tylko placebo” – stwierdził. A potem nieoczekiwanie zyskał całkiem nowe supermoce. Jak bohater komiksu, który właśnie dowiaduje się, że umie chodzić po ścianach i ciskać laserem z oczu.

Mógł tańczyć całą noc. Nie odczuwał zmęczenia, nie potrzebował więcej alkoholu. Czuł się częścią ekipy, w tej chwili był tak samo odpięty jak Łaga, Natalia, Sonia czy nawet Julia. Podświadomie wiedział, że wszyscy na parkiecie dzielą ten sam wspaniały *vibe*. Stanowili jedną wielką, szczęśliwą rodzinę. Uśmiechnięci ludzie, złączeni muzyką i miłością.

Na parkiecie zagadywał przypadkowe osoby. Tańczył z ładnymi dziewczynami, obcy ludzie stawiali mu drinki. O czym gadali? Dosłownie o wszystkim.

Bajerował właśnie jakąś laskę. Majka. Kolczyk w języku, opalone ciało, wysmagane słońcem włosy. Mieszkała tu od początku lipca, całymi dniami pływała na kajcie.

– Serio tak pierdolnęłaś robotę i po prostu wyjechałaś na półwysep?

– No tak – odparła. Rzucić wszystko, wyjechać nad morze, *no regrets*.

– Dobrze, że nie spierdoliłaś i przez pomyłkę nie pocisnęłaś do Sosnowca. – Gustaw zarzucił żartem ze starego mema.

Dziewczyna skumała bekę. W końcu warszawianka.

– Zabawny jesteś – powiedziała. – I do tego całkiem gorący.

Zaczęli się całować.

– Cieszę się, że postanowiłeś wsiąść do tego pociągu – szepnął mu ktoś na ucho. To była Julia.

– Siema, Majka jestem. – Dziewczyna z Warszawy była nad wyraz serdeczna. Pewnie też coś brała.

– O, hej – bąknął Gustaw, odurzony miłością, zabawą i narkotykami.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiła Julia.

– Dawaj... – odparł, wciąż nie wypuszczając dłoni Majki.

– Krzycz, jeśli żyjesz! – zawołała Julka i pocałowała go w usta.

Julia. Najpiękniejsza dziewczyna na świecie, bogini, która zeszła na ziemię, by wskazać drogę śmiertelnym do źródła wiecznej młodości. Ścisnęła w rękach Święty Graal, kielich wypełniony po brzegi ciekłą nieśmiertelnością. To ona trzymała klucz do tajemnic kosmosu. To była obiecana Narnia, zaproszenie do Krainy Czarów i Nibylandii.

Pocałowała go. Gustaw czuł, jak odrywa się od ziemi i chwyta ją za rękę, by razem polecieć poza granice czasu.

Spacerowali po plaży, całując się namiętnie i łapczywie, a każda chwila była wiecznością. Z oddali dobiegała rytmiczna muzyka, tuż obok szumiało

morze.

Rzuciła go na piasek. Pozwoliła się dotykać i pieścić. Zdjęła mu koszulę.

Gustaw nigdy wcześniej nie spał z dziewczyną. Na imprezie w Willi Monberga zaliczył coś, co amerykańskie dzieciaki nazywają trzecią bazą, ale teraz to był klasyczny *home run*.

Jego pierwszy raz.

Wszyscy pamiętają swój pierwszy raz. Pragniemy, by był magiczny, filmowy. Szukamy wyjątkowej osoby; jeśli nie takiej na całe życie, to przynajmniej kogoś, kogo warto będzie wspominać.

Fetyszyzujemy pierwszy raz, bo właściwie czymże zazwyczaj on jest? Szybki numerek w kiblu, dymanko na dyskotece, figle-migle w sypialni rodziców. Dwie minuty zabawy, ogromne oczekiwania, potem spore rozczarowanie.

Pierwszy raz Gustawa był dokładnie taki, jaki powinien być. Ciepła sierpniowa noc. Szelest piasku, łagodne kołysanie fal. I Julia.

Julia. Najbardziej zjawiskowa laska na całym świecie. Dziewczyna lata, szalona, piękna i niebezpieczna. Julia, która mogła mieć dowolnego typu: samotnego, żonatego czy rozwodnika. Julia, do której wzdychali wszyscy. Julia, która wybrała właśnie jego.

[44] Modlitwa Wierzę w Boga (*Credo*).

ROZDZIAŁ 35 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Telefon zawibrował mu w spodniach. Właśnie wracał z sądu, niosąc kilka świeżych wyroków. Krótki spacer na przewietrzenie głowy, słuchawki w uszach: mocna gitara i stare, dobre Cool Kids of Death. Inni ludzie biegali na fajkę, on po prostu inhalował się świeżym powietrzem. Zdrowo i nowocześnie.

– O, cześć, Krzysiu – powiedział, poprawiając airpoda w uchu. – Czemu zawdzięczam?

– Jesteś w firmie? – spytał Kielrowski.

– No prawie. Stoję na parkingu.

– A Magda siedzi w robocie?

Kroon wszedł do wnętrza budynku i machnął ochroniarzowi.

– A skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć? Nie możesz po prostu do niej zadzwonić?

Kielrowski zrobił wymowną pauzę. Zbierał myśli czy może chciał dać Konradowi coś do zrozumienia?

– Jak wejdiesz na górę, rzuć, proszę, okiem do sekretariatu. Muszę na chwilę wpaść, a nie chciałbym się na nią natknąć.

– Jakież mroczne sprawy?

- Serio mam ci to wszystko teraz tłumaczyć?
- W żadnym, kurwa, wypadku – odparł Kroon. – Skrobnę ci esa.

*

Aspirant Flarkowska zadzwoniła, kiedy powoli zbierał się do wyjścia. I tak miała szczęście, że go w ogóle jeszcze zastała. Wyjątkowo siedział dziś w robocie chwilę dłużej. Prosto z pracy jechał do Multikina, film zaczynał się o szesnastej czterdzieści, nie opłacało mu się zajeżdżać na chatę. Popołudniowy seans, zero kolejek, tańsze bilety, wybierasz takie siedzenie, jakie chcesz, i jeszcze masz miejsce na nogi.

– Dzień dobry, panie prokuratorze, to jeszcze raz ja – przedstawiła się funkcjonariuszka.

– No hej, Flara, naprawdę ci się dziś nudzi, co? – odparł Kroon. Spojrzał na zegarek. Chyba zepsuł mu się datownik.

– Dostał pan akta Zatorskiej?

– Tak. Poleżały chwilę w sekretariacie, nasza narwana mecenas cyknęła foty protokołów, później całość poszła do sądu.

– No chyba nam tego nie uwalą – przestraszyła się policjantka. – Bo serio nie wiem, co możemy więcej zrobić.

Kroon przytrzymał słuchawkę policzkiem. Potrzebował obu rąk do zawiązania buta.

– Zrobiliśmy wszystko, co chciała Radke. Mamy komplet: Kolasa, Duchnowski, Salińska i Rosik. No i oczywiście żadnego związku z naszą sprawą.

Na ekranie komputera pojawiła się informacja, że system za chwilę samoczynnie się zamknie. Z centrali będą wgrywać kolejną aktualizację oprogramowania. „Po chuj to robią, skoro i tak nic nigdy nie działa?” – pomyślał.

Na wszelki wypadek zapisał ostatni dokument. Wyciągnął z portu plastikową kartę, będącą zarazem jego legitymacją. Mogliby dać coś bardziej bajeranckiego, na przykład blachę z emblematem orła albo od razu gwiazdę szeryfa. Policjanci mieli fajne odznaki, można nimi było zaszpanować. Legitymacja prokuratorska? Wyglądała jak biedniejsza wersja dowodu osobistego.

– Swoją drogą, pokręcone dzieciaki – podsumowała policjantka.

– To znaczy?

– Żadne z nich nie mówiło całej prawdy, ale ostro dali w palnik. Narkotyki, seks, jakieś dziwne akcje. Ta Julia musiała być zdrowo rąbnięta.

Kroon tylko westchnął.

– Julia, o której nikt nic nie wie. Nawet gdybyśmy chcieli ją przesłuchać, to nie mamy jak.

Przytaknęła.

– Ani adresu, ani telefonu, ani danych osobowych. No ale na szczęście, jak pan słusznie zauważył, żadnego związku z naszą pokrzywdzoną. Po prostu szajbnięta laska, która lubiła się bzykać i miała nierówno pod sufitem. Jakbyśmy pisali kryminał, to można by go nazwać „Lato nimfomanki”.

Lato nimfomanki. Śmieszny tytuł. Kroon wrócił pamięcią do końcówki lipca. To wtedy wyniósł się z domu. Planował zerwać z Zuzą. Tamtej ciepłej nocy myślał, że skoczy z mostu. Wyprowadził się do hotelu, na kilkanaście dni urwali ze sobą kontakt. Potem zrozumiał, że nie umie bez niej żyć. Wrócił jak kot z podkulonym ogonem, ona nawet nie przeprosiła.

„To jest moja prywatna Julia” – pomyślał.

GUSTAW

Wspomnienie wakacji wciąż nie mogło ostatecznie wybrzmieć. Koncert już dawno dobiegł końca, lecz rozgrzane trzymiesięcznym tournée instrumenty w dalszym ciągu delikatnie rezonowały, jakby nie chcąc pogodzić się z myślą, że już nikt więcej nie zagra bisu. Prawdziwe gwiazdy wychodziły na scenę jeszcze kilka razy po głównym występie. Czy niemal niezauważalny pomruk basu sugerował niespodziewany *encore*?

Gustaw spacerował po szarym, grudniowym mieście. Nie chodziło tylko o słońce, które właściwie nigdy nie wyłaniało się zza chmur. Światło, barwy i dźwięki. Późnojesienna fizyka gubiła swój przedrostek „meta”; to, co magiczne, na powrót stawało się normalne. Te same miejsca wyglądały teraz zupełnie inaczej.

Po raz dziesiąty odwiedzał zakątki, które tak naprawdę pierwszy raz zobaczył dopiero dzięki jej obecności. Julia narzucała nową perspektywę. Jak soczewka, przez którą przepuszczasz promień białego światła, by odkryć inny, nieznaną krajobraz.

Zaczął jej szukać właściwie od razu. Po tym, jak się rozstali, po tym, jak okazał dziewczynie niezrozumiałą obojętność, już nigdy więcej jej nie zobaczył.

Szedł teraz tymi samymi ulicami, którymi wędrowali wspólnie; tą samą trasą, którą przemierzał we wrześniu, chcąc natrafić na jakikolwiek jej ślad. Wraz z końcem lata Julia rozplynęła się w powietrzu. Gustaw wiedział, że pojawienie się ciała Weroniki Zatorskiej u brzegu rzeki Strzyży musi mieć jakiś związek z zagadką jego utraconej miłości. Wiedział, że Julia powróci.

Po stoczniowych klubach na świeżym powietrzu pozostało jedynie kilka pustych kontenerów. Neon Ulicy Elektryków, zimny i śpiący, już nie zapraszał do wspólnej zabawy. Tam, gdzie kiedyś tańczyli uśmiechnięci ludzie, dziś rozlewały się tylko głębokie kałuże. Pomiędzy ceglanymi

budynkami hulał wiatr; dźwigi KONE, posępne i nieme, nie wyglądały, jakby jeszcze kiedyś miały się przebudzić.

Wędrował wzdłuż Motławy, błędził uliczkami Głównego Miasta. Zaszedł na Targ Rybny, to tu zbliżył się do niej po raz pierwszy. Przejazdźka meleksami, Julia siedziała tuż za fotelem kierowcy. Za jego fotelem.

Wsiadł do kolejki jadącej w stronę Wrzeszcza. Tam przecież też czuł jej zapach. Wprawdzie nigdy w te wakacje nie zaszli do parku Kuźniczki, nie spacerowali wzdłuż kanału Strzyży, ale... Skoro nad rzeką pojawiło się ciało z tatuażem, pojawić musiała się i Julia. Jego Julia.

Stanął na ceglanym mostku łączącym ulicę Kilińskiego z nowym osiedlem. Kuty płot, przedwojenna metaloplastyka. Wpatrywał się w mętny nurt wody.

W aktach sprawy wyczytał, że to tu ujawniono ciało Weroniki Zatorskiej, rzekomej samobójczyni. Gustaw nie wierzył w tę wersję wydarzeń. Choć śledztwo nie wykazało, aby sprawa miała jakikolwiek związek z Julią, wiedział, że tamtego październikowego ranka ona tu była. Czuł jej energię, cząstkę kosmicznej karmy, której nakazano powrócić.

– Tu ją zamordowali – szepnął jakiś mężczyzna, wyrывая Gustawa z zamyślenia.

Spojrzał na nieznajomego. Siwe włosy, niedogolony, dość rzadkie brwi. Na oko coś koło pięćdziesiątki. Szczupły, by nie powiedzieć wychudzony. Za mała czapka, ortalionowa kurtka, szalik zawiązany jak u siedmiolatka. Jakby ktoś wziął dorosłego mężczyznę i ubrał go w ciuchy małego dziecka.

– Przepraszam? – spytał student, nie bardzo rozumiejąc, czy to do niego kierowane są owe słowa.

– Odebrali życie niewinnej istocie. Anioły zemsty, dwa bicze diabła.

– Czy pan mówi do mnie? – ponowił pytanie.

Nieznajomy nie odpowiedział. Mówił dużo, ale wypowiedziane wyrazy nie posiadały żadnego konkretnego adresata. Wiadomość w butelce, rzucona przez rozbitka w bezkres oceanu.

– Dziewczyna ze Strzyży... Widziałem, jak ją mordowali. Jak wywlekli ją z piekła, rzucili niczym niewinnego baranka.

Gustaw w dalszym ciągu nie do końca pojmował, o co chodzi.

– Czy mówi pan o tej zabitej dziewczynie, której ciało wyłowiono z rzeki?

– Była policja i lekarz. Wpakowali ją do worka, zakryli folią. Taką czystą, taką piękną.

To nie mogła być prawda. Czyżby oto przypadkiem trafił na naocznego świadka?

– Przepraszam, czy pan... Czy chce pan powiedzieć, że widział tego, kto odebrał jej życie?

Mężczyzna wpatrywał się w toń wody. Uniósł ramię i wskazawszy ku Strzyży, przybrał surowy, oskarżycielski ton.

– Biały kwiat, zerwany przedwcześnie. Śmiali się z tego i żartowali.

Facet wydawał się nieco szalony. Z drugiej strony może dlatego nikt go nie słuchał.

– Przepraszam. – Kolasa chwycił nieznajomego za ramię. – Jak się pan nazywa?

Poczuwszy na sobie dotyk innej osoby, mężczyzna aż podskoczył. Wydał z siebie jakiś dziwny, przeraźliwie wysoki okrzyk.

– Nie chciałem zrobić panu krzywdy – wytłumaczył Gustaw. – Ja tylko...

– Nie wolno nikogo tak dotykać! Nie wolno robić innym krzywdy! Nie wolno krzywdzić!

Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Spokojnie – szepnął młodzieniec, dość wystraszony gwałtowną reakcją rozmówcy. Uniósł otwarte dłonie, manifestując pokojowe zamiary.

– Nie krzywdźcie jej! Nie wolno robić innym krzywdy! Nie wolno krzywdzić! – ryczał nieznajomy.

Musiał być obłąkany. Choć czy opętany manią odnalezienia Julii student momentami także nie ocierał się o szaleństwo?

– Przepraszam! Ja tylko chciałem poznać pana imię! – palnął Gustaw, starając się jakoś udobruchać mężczyznę.

Nieznajomy przestępował z nogi na nogę. Miał silny atak paniki, nie panował nad swoimi nerwami. Raz po raz zaciskał i otwierał dłonie. Równoniecznym zegar wybijał palcami regularny rytm.

Przechodząca obok kobieta z psem spojrzała na nich z zainteresowaniem. Gustaw czuł się winny spowodowania tego całego zamieszania.

– Nie wolno krzywdzić! Nie wolno krzywdzić! Nie wolno krzywdzić! – powtarzał nadpobudliwy jegomość.

– Proszę pana, już dobrze – zapewnił Gustaw, nieopatrznie skracając dzielący ich dystans.

Mężczyzna odskoczył na bok, wpychając studenta na metalową barierkę mostu. Gustaw nieomal stracił równowagę. Zupełnym farterem nie skończył w Strzyży.

– Nie wolno krzywdzić! Nie wolno krzywdzić! – Paniczne okrzyki. Ta sama uparcie powtarzana fraza.

Nieznajomy ruszył przed siebie.

– Szlag... – zaklął pod nosem detektyw amator, opierając się o żeliwną poręcz.

To był jego potencjalny ślad. Wskazówka, której być może cały czas szukał. Musiał opowiedzieć o tym wszystkimi mecenas Radke. Niech Patrycja zadzwoni do Flarkowskiej, zaalarmuje Kroona, poruszy niebo i ziemię!

Mężczyzna biegł w stronę Lelewela. Za chwilę zniknie mu z oczu. Gustaw rzucił się w pogoń.

– Nie wolno krzywdzić, nie wolno krzywdzić... – mruzczał uciekinier. Choć recytował tę mantrę coraz szybciej, przynajmniej przestał krzyżeć. Mówił bardziej do siebie niż kogokolwiek innego.

Na osiedlowej drodze pojawił się samochód dostawczy. Kurier był w niedoczasie, rozwożenie paczek w grudniu to większy kocioł niż bitwa o crocysy w Lidlu. Gustaw miał pierwszeństwo, kierowca wpatrywał się w nawigację. W ogóle go nie zauważył.

– Kurwa!!! – zaklął student, w ostatniej chwili przytulając się do wyłożonej klinkierem ściany nowoczesnego budynku.

Furgonetka przejechała dalej.

– Więcej tych klatek tu nawpierdalajcie – fuknął kurier, wciąż zapatrzonego w ciekłokrystaliczny wyświetlacz.

Nieznajomy zniknął Gustawowi z oczu. „Cholera, zaraz mi spierdoli!”

Wybiegł na plac z fontanną. Wtedy go dostrzegł. Uciekinier poruszał się skwerkiem w stronę przystanku tramwajowego.

– Proszę pana! – zawołał.

Czy on się w ogóle nie uczy na błędach? Spanikowany mężczyzna dostał turbodopalanania. Zaczął biec jeszcze szybciej. Pokraczny trucht stanowił krzyżówkę żabich skoków i cwału dromadera. Wrzeszczański maraton kumaka.

Nieznajomy wbiegł na przystanek. Od strony centrum nadjeżdżała właśnie dwójka.

– Nie wolno krzywdzić, nie wolno krzywdzić... – mówił niemal bezgłośnie.

– Proszę się zatrzymać! – wrzeszczał Gustaw, widząc, jak jego jedyny trop wskakuje swym osobliwym krokiem do wagonu.

Jeszcze tylko dwadzieścia metrów. Czerwone światło. Zdąży.

– Pokurwiło cię do reszty?! – fuknął facet w skodzie, któremu student prawie wpadł na maskę. – Zielone mam, debilu!

Gustaw dobiegł na przystanek. Nacisnął przycisk służący do otwierania drzwi. Nic się nie stało.

– Pani otworzy! – zawołał do motorniczej.

Za późno, synu.

Pozioma kreska sygnalizacji świetlnej zmieniła się w pionową. Tramwaj ruszył.

– Nie wolno krzywdzić, nie wolno krzywdzić... – powtarzał siedzący przy oknie nieznajomy. Bujał się w przód i w tył. Nieorganiczny zespół opóźnienia rozwoju; choroba sieroca.

Pojazd zwiększył prędkość, by pognać w stronę następnego skrzyżowania. Gustaw nie miał szans go dogonić. *Adios el silencio loco...*
[45]

PATRYCJA RADKE

Siedziała za biurkiem kancelarii. Krótka przerwa w pisaniu apelacji, ostatni klient przyszedł do niej tuż po wyroku skazującym. Raczej nie dawała sobie większych szans, ale *pecunia non olet*[46], petunia nie omlet, podjęła się obrony.

W trosce o zdrowie oczu odpoczywała od pracy, siedząc z nosem w telefonie. O sprawie Ptasznika informowały nawet portale plotkarskie.

Podobno na posiedzeniu aresztowym podejrzany wystraszył się i wbrew radzie mecenasa przyznał do winy. KOCHAŁEM GO ZBYT MOCNO – głosił nagłówek „Faktu”; GEJ UDUSIŁ Z MIŁOŚCI – błyszcząły czerwone litery „Super Expressu”.

Paweł P., pseudonim Ptasznik, był obiecującym młodym artystą. W internecie roiło się od zdjęć jego prac. Rzeźby inspirowane scenami z horrorów, ludzkie ciała odarte z godności i czci.

Mimo obowiązującej tajemnicy postępowania przygotowawczego media znały zaskakująco wiele szczegółów dotyczących życia prywatnego ofiary i sprawcy. Ptasznik był osobą panseksualną. Żył w stałym związku ze swoją konkubiną Joanną K., z którą uprawiał miłość sadomaso. Do łóżka zapraszali głównie nastolatków.

Gustaw wszedł do kancelarii w momencie, w którym Patrycja oglądała nieudolnie zanonimizowane zdjęcia dziewczyny Ptasznika.

– Dzień dobry.

– Cześć, Gustaw – odparła mecenas.

Zdjął płaszcz i przysiadł po drugiej stronie biurka.

– Jakaś pilna robota?

Patrycja obróciła do niego ekran komputera.

– Zrobiłam sobie krótką przerwę na sprawę Ptasznika. Słyszałeś o tym?

Młodzieniec zerknął na fotografię Joanny K.

– Coś mi się obilo o uszy.

– Cała Polska tym żyje! – pisnęła Patrycja. – Podobno wcale nie chciał go zabić. Wiesz, wypadek przy pracy. Bawili się linami i...

– Jakoś nie mam do tego teraz głowy. Pani mecenas, znalazłem nowy ślad w sprawie Weroniki!

Kilka dni temu Patrycja zaszła do prokuratury, aby zapoznać się z aktami umorzonej sprawy. Dzięki Bogu, nie natknęła się na Kroona. Akta leżały w sekretariacie, zrobiła grzecznie zdjęcia nowych protokołów i opuściła budynek. Zgodnie z przewidywaniami świadkowie nie zeznali niczego, co miałoby związek ze sprawą śmierci Weroniki Zatorskiej. Kilka ciekawych historii o Julii, żadnych stycznych, które łączyłyby obie opowieści. Nic, czego nie wiedziałyby od Gustawa.

– Słuchaj, akta opuściły już prokuraturę. Sąd oceni zasadność umorzenia, zbada wszystko jeszcze raz.

– Dobrze, a gdy dowie się, że...

– Nie przerywaj mi! – Patrycja pierwszy raz podniosła głos. Nie licząc feralnego wieczoru, kiedy gonili razem po mieście widmo Julii, zawsze zachowywała stoicki spokój. W końcu jednak miarka się przebrała. – Przeczytałam wszystkie protokoły. Nie ma w nich niczego nowego. Kroon zrobił wszystko, o co prosiliśmy. Więcej, niż powinien. Sąd utrzyma umorzenie w mocy.

Gustawowi płonęły oczy. Nie mógł się doczekać, by podzielić się z adwokat swoją nową opowieścią.

– Pani mecenas, ja mam nowy ślad!

Patrycja uderzyła pięścią w stół. Chłopak był obłąkany. Wkręcił jej swoją niewiarygodną historyjkę, a ona mu uwierzyła jak małe dziecko.

– Gustaw, dosyć! Mam tego po dziurki w nosie! Serio zachowywałam się jak totalna frajerka! Przyszedłeś do mnie z jakąś totalnie odjechaną bajeczką, a ja to łyknęłam jak młody pelikan. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale słuchaj: uczę się na błędach. Może lepiej przejechać się na czymś takim na początku kariery niż później na poważnej sprawie za grube miliony.

– Pani mecenas, proszę posłuchać...

– To ty mnie posłuchaj! Zabujałeś się w jakiejś dziewczynie i wpadłeś w manię. To się leczy! Słyszysz? Idź do specjalisty, zapisz się na terapię, łyknij jakieś tabletki...

Gustaw nie mógł uwierzyć. Przecież była po jego stronie.

– Mam dowody... – szepnął.

– Jakie znowu dowody?! – wrzasnęła. – Przeczytałam akta od deski do deski, i to kilka razy. Posłuchałam historii twoich znajomych. I wiesz co? Weronika się zaćpała. Miała depresję, nałykała się dopalaczy i *game over*. Nie ma tu nic więcej do dodania. Na świecie dużo jest pokręconych babek, Julia nie jest jedyna. Tysiące odklejonych lasek, tysiące odklejonych facetów. A jak chcesz zobaczyć totalnego odklejeńca, to proszę! Tam na lewo jest łazienka, nad zlewem wisi lustro. Zobacz, jak wygląda rasowy czubek!

Nastała cisza. Patrycja wylała z siebie żale, Gustaw nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie interesowało go nic poza sprawą Weroniki. Poza Julią. Życie toczyło się dalej, świat żył zupełnie czym innym. Gustaw miał wylane na Patrycję, Ptasznika, na studia, rodzinę... Liczyła się wyłącznie Julia.

– Proszę mi dać tylko opowiedzieć, co się wczoraj stało. Nie zajmę pani więcej niż pięć minut. Pięć minut, a potem zniknę.

Patrycja obserwowała jego twarz. Powoli się uspokajała.

– Masz cztery minuty.

*

Gustaw się streszczał. Mówił krótko, omijał zbędne szczegóły. Podzielił się historią tajemniczego mężczyzny.

„Co za bełkot” – pomyślała Patrycja. „Wymyślił to naprędce. Nie chce się poddać”. Wzięła go za wariata.

Ze śmiercią Weroniki pogodzili się już nawet rodzice zmarłej. Nie chcieli więcej zeznawać na policji, biegać po sądach i prokuraturach. Patrycja wytłumaczyła im, dlaczego składa zażalenie, później poinformowała telefonicznie o wyniku przesłuchań. „Tak myślałem” – odparł ojciec pokrzywdzonej. „Dziękuję pani mecenas za troskę. Dziękuję za walkę, ale my to chcemy wszystko skończyć. Znamy prawdę”.

Prawda nie leży pośrodku, nie wiedzie bliżej lewej ani prawej krawędzi rzeczywistości. Jest tam, gdzie ktoś ją położył. Dokładnie w tym samym miejscu.

Prawdę znali Flarkowska i Kroon. Później poznali ją państwo Zatorscy, na końcu sama mecenas Radke. Wyłącznie jedna osoba nie chciała zaakceptować faktów. Gustaw Kolasa, oszalały z miłości.

– W życiu nie słyszałam większych bredni – wycedziła chłodno. – Naszą współpracę uważam za zakończoną. Wyjdź, proszę, i nie pokazuj mi się więcej na oczy.

KONRAD KROON

Patrycja nie przyniosła kwiatów. W torebce schowała buteleczkę. Zapukała do pokoju, weszła po szorstkim „proszę”. Kroon siedział za biurkiem, zdziwił się na jej widok.

– Pani mecenas...

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

Poprawił marynarkę. Jego myśli wciąż krążyły wokół sprawy skomplikowanego oszustwa gospodarczego, które właśnie prowadził. *Hard case.*

– Przyszła pani złożyć na mnie jakąś nową skargę? Czy mam się bać? – powiedział przekornie.

– Wręcz przeciwnie. Panie prokuratorze, czy mogę? – Wskazała dłonią na krzesło.

– Proszę bardzo.

Przystawiła krzesło bliżej biurka i usiadła.

– Panie prokuratorze, popełniłam błąd. Wykazałam się wyjątkowym brakiem profesjonalizmu, dałam się wciągnąć w jakąś pokręconą gierkę Gustawa Kolasy.

Kroon słuchał z uwagą.

– Ten się nie myli, co nic nie robi...

– Wycofałam zażalenie z sądu. Chciałam zrobić to samo ze skargą, ale poinformowano mnie, że ta sprawa została już zakończona.

Postępowanie skargowe naturalnie nie wykazało żadnych nieprawidłowości.

– Proszę, proszę... – odparł Kroon. Rzadko kiedy strony przyznawały się do błędu.

– Chciałam pana szczerze przeprosić i błagać o puszczenie w niepamięć tego przykrego incydentu.

Konrad wziął z biurka jakiś kawałek papieru i symbolicznie przedarł go na pół.

– Skazanie uległo zatarciu. Pani karta karna jest czysta – zażartował.

Patrycja obdarowała go swoim najserdeczniejszym uśmiechem. Wyciągnęła z torebki prezent. Niewielka butelka dobrego prosecco.

– Szybko się uczę.

Kroon się zaśmiał.

– Pojętni alumni są dziś na wagę złota. – Wziął do ręki butelkę. Kiwając z uznaniem głową, przeczytał etykietę. Potem oddał jej prezent. – Oczywiście nie mogę tego przyjąć, ale doceniam gest.

– Panie prokuratorze, to nic takiego...

Konrad poczuł ulgę. Zanim umorzył sprawę Zatorskiej, analizował ją w myślach dziesiątki razy. Dowody i logika podpowiadały, że to jedyne słuszne rozwiązanie. Ucieczka w profesjonalizm. Kroon rozpaczliwie czekał, aż obudzi się w nim szósty zmysł. Tajemniczy głos z tyłu głowy, który podpowie, że sprawa nie została jeszcze zakończona. Że gdzieś tam czai się nierozwikłana zagadka. Bo czyż nie istniał choć promil szansy, że za samobójstwem kryło się coś więcej?

Instynkt prokuratora został oszukany i zagłuszony. Konrad nie mógł wiedzieć, że oto trafił na silniejszego przeciwnika. Kogoś, kto sięga poza granice niemożliwego.

Kroon nie znał Julii. Podobnie jak Gustaw przez chwilę jej szukał. Bez skutku. Jeśli Julia nie chciała dać się znaleźć, daremny płacz i błagania. To ona decydowała, komu postanowi się ukazać. Niezwykła dziewczyna sprawiła, że nadnaturalne moce Konrada przestały działać. Bo jeśli tego pragnęła, wszyscy bez wyjątku gubili jej trop. Nawet Kroon.

Prokurator wstał zza biurka. Radke utwierdziła go w poczuciu, że dobrze zrobił. Że nie nawalił. Analityczny umysł go nie oszukał, instynkt nie zawiódł. Postąpił właściwie.

Dotknął dłonią jej ramienia.

– Pani mecenas, proszę wypić tego szampana z jakąś życzliwą duszą. Dziękuję za wizytę i przeprosiny. Odzyskałem wiarę w ludzką przyzwoitość. Wszystkiego dobrego!

[45] Żegnaj, szalona ciszo (hiszp.).

[46] Pieniądze nie śmierdzą (łac.).

ROZDZIAŁ 36 | SIERPIEŃ

GUSTAW

Właściwie nikt nie wie, jak to się stało, że Gustaw zaczął chodzić z Julią. Dziewczyna należała do zupełnie innej ligi: on grzał ławkę rezerwowych w Piaście Gliwice, ona walczyła na ataku w Realu Madryt.

Spotykali się co kilka dni. Gustaw musiał zrezygnować z pracy na meleksach, nie nadążał za szybkim tempem życia. Pieniądze błyskawicznie się skończyły, musiał pożyczać od babci. „Tylko nie mów rodzicom” – przestrzegala staruszka, wyciągając z kredensu stary portfel. „Zasługujesz na lepsze życie”.

Miał trochę wyrzutów sumienia, wydając jej oszczędności na zabawę, alkohol i narkotyki. Babcia wierzyła, że wnuk jest porządnym, grzecznym chłopcem. Pewnie myślała, że to na książki czy teatr. Zdziwiłaby się, co robi w wolnym czasie.

Leżał na łóżku, dochodząc do siebie po kolejnej nieprzespanej nocy, i bił się z myślami. Tak wyglądał teraz jego kalendarz: wizyta u babci, niewinne kłamstewko, szybka pożyczka, impreza, spotkanie z dilerem, noc z Julką, jakaś pojechana akcja, zgon w łóżku i mocny kac, głównie moralny. Co jakiś czas nachodziła go myśl, że chce z tym wszystkim

zerwać. Stara, bezpieczna przeszłość wołała gdzieś z głębin podświadomości.

Gustaw czuł się uzależniony. Od Julii, od niebezpiecznego trybu życia, używek, ciągłego gonienia za adrenaliną.

Wciąż wiedział o dziewczynie tyle co nic. Kochał ją, tęsknił za nią, ale czuł, że nigdy tak naprawdę jej nie pozna. Jakiś cichutki głos z tyłu głowy podpowiadał mu: „Uciekaj! Uciekaj, póki jeszcze nie jest za późno! Zobacz, jak skończył Wiktor!”. Później jednak nadchodził w końcu ten dzień, kiedy w skrzyneczce aplikacji pojawiała się kolejna wiadomość od Julki. „O piętnastej na Żabim Kruku”.

Ciało zalewały mu pokłady serotoniny, merdał ogonem niczym mały terier i biegł na tramwaj.

*

Spotkali się na przystani kajaków.

– Czy to jest stabilne? – spytał właściciela wypożyczalni.

– Trzeba się naprawdę postarać, żeby je zatopić – wyjaśnił z uśmiechem na twarzy mężczyzna. – To bardziej bojki niż łódki.

Płynęli Motławą w stronę Wyspy Spichrzów. Woda trochę śmierdziała ściekami, ale i tak było cudownie. Julia siedziała na przedzie, od czasu do czasu machając wiosłem.

– Popatrz na te potwory – powiedziała, wskazując na rząd nowoczesnych budynków.

Architekt Grzybkowski cieszył się opinią jednego z bardziej wziętych projektantów w mieście. Jego największą zaletą była cudowna umiejętność uzyskiwania pozwoleń na budowę niemal od ręki. W każdej inwestycji potrafił zmieścić dodatkową, nieprzewidzianą na planie zagospodarowania

przestrzennego kondygnację. Inwestor dostawał dużo gratisowych metrów kwadratowych, a każdy z nich sprzedawał za cenę złota.

Grzybkowski projektował tanio, brzydził się detalem architektonicznym czy szlachetnym wykończeniem. Z materiałów najbardziej cenił sobie klinkier. Znawczy temat załamywali ręce, zwykli ludzie nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Ładne, bo nowe. I tak zniszczone w wojennej zawierusze tysiącletnie miasto bezpowrotnie straciło swoją szansę na udaną architekturę. *Nec temere, nec timide*^[47].

– Faktycznie, koszmarne – przyznał Gustaw.

Julia mówiła mu, że studiowała coś na gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Chłopak nigdy specjalnie nie interesował się kulturą, miesiąc temu podczas randki z Natalią zaliczył spektakularną porażkę w tym temacie. Postanowił nie wdawać się w zbyt głębokie dyskusje. Po prostu przytakiwał.

– Moglibyśmy wysadzić to wszystko w powietrze. Dwójka kochanków, która ratuje świat przed brzydotą. Myślisz, że dałbyś radę skądś wytrzasnąć trotyl?

– Chyba tylko w *Counter Strike'u* – zażartował.

– Nie masz jakichś kumpli nerdów? – spytała. – Nagrzanych psycholi, którzy nienawidzą świata i wszystko hejtują?

Gustaw zarechotał. Właściwie miał tylko takich kolegów.

– Obawiam się, że żaden z nich nie trzyma na chacie trotylu.

– Ale może mogą go zamówić w darknecie. Ja jestem słaba w takich tematach, ale chętnie bym coś rozpierdoliła. Jak Howard Roark.

– Kto? – Nie miał pojęcia, o czym mówi.

– Serio, Gustaw, czy ludzie nie czytają już dziś żadnych książek?

Przepłynęli pod mostem Zielonym. Duże jednostki zostawiały na wodzie całkiem spore fale. Kajakiem zarzuciło.

– Ej, łapią mnie ciary, jak ciśniemy tak po wodzie przez centrum miasta, a wokół tyle dużych statków.

– No spoko opcja – odparła nieco zamyślona. Znow krążyła gdzieś po świecie własnych wyobrażeń.

Zapuscili się za Ołowiankę. Z okazji tysięcznych urodzin Gdańska budynek dawnej elektrociepłowni przekształcono w filharmonię. Przed wojną fasada gmachu przypominała średniowieczny zamek albo fabrykę czekolady Willy’ego Wonki.

– Zawracamy? – spytał Gustaw. Na wodzie bujało coraz mocniej.

– Czemu?

– No boję się, że wpadniemy do wody.

Julka poprawiła okulary. Dotknęła bosą stopą rzeki.

– Jestem gotowa na kąpiel w ściekach.

Trochę było tak, jak gdyby własnymi myślami przyciągnęła tę katastrofę. Motławą sunął wielki, biały statek, w drugą stronę pędziła motorówka. Fale przybrały na sile.

Kajak charakteryzował się dość dobrą wypornością, ale summa summarum był jedynie niewielkim czółenkiem.

– CO MY MIELIŚMY ROBIĆ?! – krzyknął Gustaw, w panice machając wiosłem. – BOKIEM DO FALI?

Czy on nigdy nie był w harcerstwie? Przecież wygląda na skauta. Bokiem do fali? Nawet dziecko wie, że to prosta droga na dno. Oj, Kolasa, Kolasa.

Wywróciło ich.

JULIA

Leżeli w samej bieliźnie, grzejąc się w słońcu. Obok na trawie suszyły się ich ubrania. Kajak uderzył w jakiś kamień, pękł lekko na dziobie. Należało go zanieść z powrotem do bazy.

– Serio widziałem śmierć – powiedział całkiem szczerze.

Julka przysunęła się do niego bliżej.

– Naprawdę?

– Bez kitu, w jedną sekundę stanęło mi przed oczami całe moje życie.

Zobaczyłem mordę kostuchy.

Niemalże dotykała go ustami.

– I jak wyglądała?

Zaczęli się całować. Leżeli w dość odludnym miejscu, obok budowano wprawdzie nowe bloki, ale w dalszym ciągu ta część miasta wciąż pozostawała dzika.

Nieopodal przechodzili jacyś robotnicy.

– Ej, Władziu, patrz na tych tu...

Julia dojrzała grupkę mężczyzn. Skończyli pracę, pili właśnie po trzecim piwku.

– Ratunku, on mnie gwałci! – wrzasnęła. Zaczęła się wyrywać.

– O co ci chodzi? – szepnął zdezorientowany Gustaw.

– POMOCY, POMOCY!!! – wrzeszczała w stronę nieznajomych.

– O kurwa, Władziu, dawaj!

Robotnicy rzucili się dziewczynie na pomoc.

– Julka, co ty robisz? – jęknął Gustaw.

– Spierdalaj albo obtłukaj ci ryj. Tacy najpierw biją, potem pytają.

Gustaw rzucił się do ucieczki. Julka w dalszym ciągu krzyczała, po jej policzkach spływały prawdziwe łzy. Urodzona aktorka.

– Julka... – pisnął na odchodne Kolasa.

Faceci byli nagrzeni, alkohol nieco zmącił ich osąd, autorytatywny ton Julii nakazywał pomoc skrzywdzonej niewieście. Jeden z mężczyzn trzymał w ręku metalową pałkę.

Gustaw gnał przed siebie na złamanie karku. Julia szybko wciągnęła na wpeł wyschnięte ubranie, zwinęła w kłębek rzeczy Kolasy i rozbawiona pobiegła za nim.

Dopadli go na wysokości dawnych zakładów mięsnych. Spalony budynek straszył brakiem dachu i poszczerbioną elewacją. Uciekinier przywarł do płotu.

– Mamy cię, zbrojeńcu! Najpierw ci chuja urwiemy, a później dzwoniemy na suki – zagroził wysoki dryblas nieudolnie walczący z trądzikiem.

– *Ty bałamucisz niewiastu, my zrobim ci sterwo z dupy!* – rzekł krępy budowlaniec.

– To jakaś pomyłka! – zawołał przerażony chłopak.

Pierwszy z mężczyzn podszedł do Gustawa i uderzył go z całej siły w twarz. Młodzieniec przewrócił się na ziemię, zobaczył mroczki przed oczami.

– A teraz, kurwo, będziesz błagał o litość! – zawołał inny robotnik.

W tym czasie na miejsce dobiegła Julia. Wciąż chichrając się, rzuciła Gustawowi ubrania.

– Wciągaj to, łajzo – poleciła.

Obrońcy zdębieli. Rozumieli, że nie tak zachowuje się typowa ofiara przemocy.

– Co do chuja? – zdziwił się rosły dryblas.

– No ubieraj się, szybko! – krzyknęła do Gustawa. Przerażony chłopak właśnie wciągał buty.

– Dlaczego mu pomagasz? – spytał najstarszy z mężczyzn. – Nic ci nie jest?

– Dawno nie miałam takiej beki. – Julia się śmiała.

Stanęli jak wryci. Skumali, że ktoś właśnie zrobił ich w konia.

– *Szczo ce maje buty?* – dopytywał obywatel Ukrainy.

– Co wy odpierdalacie? – warknął dryblas.

– Sorry, mordy. Mój chłopak powiedział, że takie z was pizdy, że nawet jakby mnie gwałcił metalowym prętem, to spierdolicie sprawę i nie pomożecie. – Julia spojrzała na nich z pogardą. Ostentacyjnie splunęła im pod nogi. – I w sumie trochę miał rację. Banda pedałów.

Robotnicy złapali wkurwa.

– Nie bijemy kobiet, ale jak nie zamkniesz ryja, to serio ci wpierdolimy! – fuknął osiłek.

Julia uniosła ręce. Wskazała głową na Gustawa.

– To jego pomysł! To on kazał mi to zrobić!

Kolasa znów nie wiedział, co się dzieje. Czuł, że sprawy przyjmują dość niekorzystny dla niego obrót.

– No czyli jednak dostaniesz wpierdol, gnoju! – zaklął dryblas.

– SPIERDALAMY! – krzyknęła Julia, chwytając Gustawa za rękę.

Rzucili się do ucieczki. Najstarszy z robotników odpuścił, ale trzech najbardziej nagranych zamierzało dać im nauczkę.

Wbiegli na niewielki mostek, lecieli prosto na Ołowiankę. Po lewej ciągnęła się kolejka po bilety na diabelskie koło. Takie rozrywki mają wszystkie największe europejskie miasta. Turystom oczekującym na przejazd zaserwowano właśnie dodatkową, całkowicie darmową atrakcję. Dwójka dzieciaków uciekała przed bandą wściekłych facetów. Pogoń siedziała im na ogonie.

– Zaraz nas dorwą! – panikował Kolasa.

– I wtedy rozpiardolą ci łeb! – zaśmiała się Julia. – Dajemy na kładkę!

Biegli w stronę mostu zwodzonego. Niestety, sygnał dźwiękowy obwieszczał, że obiekt zostanie wkrótce podniesiony. Zamknięto bramki wstępu.

– No to jesteśmy w dupie! – wrzasnął Gustaw.

– Nie panikuj! – krzyknęła Julia, nie przerywając biegu.

Dobiegli do metalowego płotku. Bariera nie była trudna do pokonania. Przeskoczyli na drugą stronę.

– Ej, tu nie wolno wchodzić! Zawracać! – zawołał strażnik, szykując się do uruchomienia hamulca bezpieczeństwa.

Julia pędziła jak zwariowana. Szczelina miała może z metr szerokości. Wbiegli na unoszący się most i trzymając za ręce, przeskoczyli na drugą stronę. Dyspozytor właśnie dzwonił na policję.

– Udało się, Gusti. – Julia wciąż się śmiała, spoglądając na stojących po drugiej stronie Motławy zdezorientowanych robotników. – Jesteśmy bezpieczni. A teraz spierdalały. Zaraz ściągną tu pały!

WIKTOR

Od kilku lat czwartkowe oliwskie wieczory stanowiły prawdziwe święto miłośników drogich samochodów i szybkiej jazdy. Nielegalne wyścigi startowały na wysokości hali Olivia. Co tydzień przed pobliskim McDonaldem gromadziły się tłumy gapiów spragnionych darmowej rozrywki. O wyścigach pisały lokalne gazety, policja zapewniała, że wie o całej sprawie i reaguje. Od czasu do czasu sypały się mandaty, niekiedy kogoś zatrzymywano, a nocne rajdy trwały w najlepsze.

Wiktor stał właśnie na światłach. Wycieczka do Hiszpanii wcale mu nie pomogła, wciąż miał sporo problemów z banią. Zachowywał się irracjonalnie.

Zerknął na sygnalizator. Ściganie się na automacie nie jest tak profesjonalne jak jazda na kiju, ale mając porsche carrerę, nie można przecież narzekać. Niecałe cztery sekundy do setki, maksymalna prędkość trzysta na godzinę. Do następnych świateł było nie więcej niż pięćset metrów.

Czerwone. Duchnowski co i raz spoglądał na koleśia po lewej. Ciemne audi, silnik warczał jak wiertarka udarowa. Czerwone. Młody, łyśy koleś za kierownicą. Czerwone. Kilka aut przecięło skrzyżowanie. Czerwone. Pomarańczowe. Zielone...

Wcisnął pedał gazu. Oczywiście nie z całej siły, chciał wygrać, a nie wyłożyć się na samym starcie. Powoli docisnął do końca. Jechali łeb w łeb. Skrzyżowanie z kolejnymi światłami zbliżało się z ogromną prędkością. Wtedy też usłyszał syrenę.

Wyjechali ze wszystkich stron. Dwa radiowozy zablokowały drogę w szerz, jeden wyjechał z boku. Koleś w audi nie chciał dać się złapać. Zjechał na chodnik i ominął blokadę. Jeden z radiowozów ruszył prędko za nim.

„Co robić?” Szybka decyzja. Byłby w stanie im uciec. Z drugiej strony teraz groził mu co najwyżej mandat. Porsche carrera, kurwa, kto mógłby go dogonić? Ale gdzie tu spierdalać? Całe Trójmiasto to na dobrą sprawę samotna, dość długa ulica. Z jednej strony morze, z drugiej las. Jak, kurwa, w klatce.

– Proszę wysiąść z samochodu! – krzyknął policjant, trzymając dłoń na kaburze z pistoletem.

– No i w pizdu, i wylądował – prychnął młody Duchnowski.

*

Przesłuchali go stosunkowo szybko. Mecenas Wykopkowski pojawił się na komisariacie w ciągu dwóch godzin. Widać, że wyciągnęli go z łóżka. Zaspany wzrok, nieświeży oddech. Był średnio zadowolony z tej sytuacji, ale rodzinie Duchnowskich się nie odmawiało.

– Oj, Wiktor, co ty masz w głowie – powiedział, wychodząc na zewnątrz. – Ojciec nie będzie kontent.

Ojciec. To było gorsze niż najsurowsza z kar. Mógł dostać sankcję, cztery lata ciężkich robót w łagrze, ale nie chciał rozmawiać z ojcem. Nienawidził go.

– Gdzie moje auto? – spytał poważnie.

– Co ty, gówno w głowie masz?! – zawołał wściekły adwokat. – Gdzie auto?! Na policyjnym parkingu! Póki co straciłeś prawko na trzy miesiące, durniu! Dziesięć punktów karnych i mandat. Ech – westchnął. – Taki to się w życiu niczego nie nauczy. Zawsze spada na cztery łapy.

SONIA

Siedzieli na rampie pod Ergo Areną. Halę widowiskową wybudowano na granicy dwóch miast – Gdańska i Sopotu. Poza garstką urzędników i tak nikt nie wiedział, gdzie przebiega dokładna linia demarkacyjna. Mieszkańcy Trójmiasta zgodnie uważali, że wszyscy są obywatelami tej samej metropolii. Dom w Gdyni, praca w Gdańsku, niedzielny obiad w Sopocie. Albo w innej konfiguracji.

Sonia śmigała na desce po betonowej wylewce. Na placu kręciło się sporo skejtów, Natalia, Gustaw i Julia siedzieli na murku, obserwując wszystko z góry.

– No i co zrobiliście potem z tym kajakiem? – spytała Nati.

Kolasa nerwowo tupął nogą.

– Namawiałam Gustawa, żeby zabrał go do domu na pamiątkę, ale wymiękł – przypomniała Julia.

– Jak miałbym przytargać kajak z Głównego na Żabę? – fuknął.

Julia podała Natalii blanta. Popołudniowy czil. Proszę nie przeszkadzać, pan ma relaks.

– Za chuja nie wiem, ale mógłbyś przez chwilę nie być Gustawem – odparła i zaciągnęła się dymem.

– A więc jak to się skończyło? – dopytywała dziewczyna.

– Dzwonili do mnie, ale bałem się odebrać. Następnego dnia pojechałem do wypożyczalni, powiedziałem, że mieliśmy wypadek i musieliśmy jechać do szpitala. Jak zobaczył pęknięcie na kadłubie i mój obity ryj, to uwierzył.

Gustawa wciąż bolała twarz po spotkaniu z grupką robotników. Po kilku dniach limo nabrało intensywniejszej barwy.

– Spoko, że was nie policzyli.

Sonia skończyła jeździć. Wróciła do przyjaciół w towarzystwie jakiegoś starszego skejta. Dobrze po trzydziestce. Miał żonę i pięcioletnią córeczkę, a mimo to sam wciąż był ciągle dzieciakiem.

– To Hose – przedstawiła go dziewczyna. – A oto moje ziomeczki.

Zbili piątki.

– Wszyscy macie takie same tatuaże? – podjarał się chłopak. – *Cool*.

KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Pięć dziar na pięciu przedramionach. W ekipie zostały już tylko cztery. Najśłabsze ogniwo odpadło. *You are the weakest link. Goodbye*^[48].

– Lolka? – spytała Natalia, podając nowo poznanemu skręta.

– A pewka.

Zaczęli gadać. Trochę o deskach, trochę o muzyce, trochę o graffiti. Hose od dobrych dwudziestu lat malował po ścianach. Czasem legalnie i za pieniądze, czasem całkiem na odwrót.

– Idziemy dziś wieczorem na Ele, jakbyś miał ochotę, to wpadaj. – Julka podjarała się nowym kolegą. Stary i niegrzeczny. Czyli tak się dało.

– Mordo... – odparł, puszczając dym z płuc. – Dziś w nocy robimy coś znacznie lepszego.

– Orgietka? – mruknęła Sonia.

– Coś ZNACZNIE lepszego. Bombimy pociągi...

[47] Ani tchórzliwie, ani zuchwale (łac.) – dewiza Gdańska.

[48] Jesteś najsłabszym ogniwem. Do widzenia (ang.).

ROZDZIAŁ 37 | WRZESIEŃ

WERONIKA

Kilka lat temu opuściła swoje ciało, dołączając do nieskończonej wędrówki poza granice kosmosu. Obserwowała wszystko z góry, zawieszona pomiędzy srebrnymi latarniami gwiazd. Tam daleko migotała konstelacja Wężownika. Nowe powrotne. Biały karzeł pożerał czerwonego olbrzyma, by w końcu rozbłysnąć przeraźliwie jasnym światłem. Astralny kanibalizm.

Chwilę później wisiała znacznie niżej. Znów widziała Ziemię, jej lądy i oceany. Powietrze wypełniał rój motyli, skrzydlate anioły o twarzach morskich płaszczyk. Stała na sawannie. Przywitał ją samotny lew: gęsta grzywa, ludzkie oczy, ogon skorpiona. Użądlił boleśnie.

Weronika zawyla z bólu. Chciała stąd uciec, ale jej dusza wciąż jeszcze trzymała się niewielkiego kawałka kości i mięsa.

Znów była w Czyścicu. Wisiała pod sufitem, spoglądając na swoje nagie, przywiązane do stołu ciało. Pragnęła śmierci, błagała ich, by to wszystko zakończyć, ale z niemych ust kapiała jedynie ślina.

Chłopak i dziewczyna. W końcu poznała ich imiona. Szymon i Eliza.

Sprawdzili jej temperaturę i puls. O mały włos by ją zabili. Nie o to chodziło. Musiała cierpieć. Przeżywać te same nieskończone męki dzień po dniu. Wieczny powrót. Szalony pomysł obłąkanego filozofa.

Eliza odłożyła na bok strzykawkę. Przyszykowała jeszcze kilka ciekawych substancji, ale bała się, że przesadzi. Musieli zostawić ją na chwilę w spokoju. Podłączyła kroplówkę i okryła Weronikę kocem. Śpij słodko, maluszk. Mamusia cię kocha.

ROZDZIAŁ 38 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Grudzień i czerwiec to najgorsze miesiące w prokuraturze. Koniec okresu rozliczeniowego, masa spraw do zakończenia. W grudniu i czerwcu w każdej jednostce liczą się jedynie trzy rzeczy: statystyka, statystyka i statystyka.

Konrad otworzył szafę z aktami. Gruby stos popielatych teczek. U góry pieczętka z nazwą jednostki, nieco niżej sygnatura. Numerki ustawione w kolejności rosnącej, bo Kroon cenił porządek. Do pedanta brakowało mu całkiem sporo, ale nie potrafił funkcjonować w chaosie. Przynajmniej jeśli chodzi o życie zawodowe.

Przeszło dwieście spraw. Akta podręczne ułożone jedne na drugich miały nieco ponad metr wysokości; gdyby nie leżały na trzech oddzielnych półkach, misterna konstrukcja już dawno runęłaby na ziemię. Wieża Babel.

– Ja pierdołę... – mruknął prokurator, zaglądając do środka.

Ściągnął z półki gruby plik akt i zaczął prywatną kwerendę. Zbliżał się koniec roku, należało zakończyć jak najwięcej spraw. Wertował podręczne w poszukiwaniu „przeciągów”. Kiedy zaczynał pracę, robił tak raz na tydzień. Teraz udawało mu się to raptem raz na kwartał.

– Dzień dobry, panie Sławku – powiedział, gdy wybił na komórcę numer do naczelnika dochodzeniówki. – Dlaczego nic jeszcze nie sływa?

– Panie prokuratorze, no kibel mam. Dwóch ludzi na zwolnieniu, wakaty...

Kroon spojrzał na wpółopróżnioną szafę. Materiał nie do przerobienia.

– Panie Sławku, wiem, że jest ciężko; „osiemnaście filmów mi było ciężko”^[49]. Ale w listopadzie kicha, grudzień na razie też nie zapowiada się jakoś kolorowo. Chcę trzydziestego pierwszego chlusnąć jak ludzie szampana, a nie siedzieć do północy w robocie.

– Panie prokuratorze, no robimy, co możemy...

Przejął narrację. Nie miał teraz ochoty słuchać cudzych żali, własne dawały mu dostatecznie mocno w kość. W tym momencie był przede wszystkim tym cynicznym, zawalonym biurokratyczną robotą urzędnikiem, który wiele lat temu pogrzebał dawnego siebie. Praca jako wypełniacz czasu. Maską arogancji wciśnięta mocno na twarz. Czy Konrad Kroon miał się jeszcze kiedykolwiek przebudzić?

– Kochany panie Sławku, zrobimy tak. Ja pojutrze sobie do was wpadnę do Wrzeszcza, zobaczę, jakie tam trupy macie w szafie. Jak ktoś się czegoś wstydzi, ma jeszcze srode, żeby podorabiać, posłuchać ludzi, wysłać pisma. Nie może być tak, że cały komisariat stoi na Flarze i Bobrowskim. Niech się inni policjanci też wezmą do pracy.

Naczelnikowi było to w sumie na rękę. Wiedział, że funkcjonariusze boją się trochę Kroona. Prokurator miał posłuch, umiał utrzymać dyscyplinę.

– Zapraszamy serdecznie, panie prokuratorze. Zawsze mówię, że prokuratura i policja powinny mieścić się w tym samym budynku. Bo przecież my bez was, a wy bez nas...

– Panie Sławku, widzimy się pojutrze. Pan powie ludziom.

*

– Konrad, gdzie ty, do cholery, jesteś?! – wściekała się szefowa do słuchawki.

– Przecież mówiłem ci, że dzisiaj jadę na komisariat.

Wymowne westchnięcie.

– Nie możesz tego przełożyć na inny dzień? – spytała prokurator Rzeplińska.

– Magda, siedzę w aucie na parkingu pod komisariatem. Serio wali się, pali, kogoś zabili czy co?

– Doprowadzonego mamy mieć do rozboju, wszyscy dziś w sądzie...

– Asesorce daj... – zaproponował Kroon, przecierając rękawiczką ledowy wyświetlacz samochodu.

Rejonowa znów wydała z siebie bliżej nieokreślony odgłos.

– Przecież ona nic nie umie, a tutaj trzeba iść z wnioskiem na areszt, w południe mija termin...

– Magda, jak chcesz, to mogę przyjechać. Ale jak się młoda nie nauczy, to nigdy nie będzie z niej żadnego pożytku. Przyjechałem do Wrzeszcza przetrzepać im szafy, właściwie to ty powinnaś to zrobić – wywalił jej Kroon.

– Dobra już, dam jej. Ale do prowadzenia przepiszę tobie.

Konrad przemył szyby. Brakowało płynu do wycieraczek. W sportowym audi detergent kończy się tak samo szybko jak w starej skodzie. Równość wobec prawa.

– Wiesz, że jak zamęczysz konia, to już ci więcej pola nie będzie orał? Fuknęła.

– Wrócisz dziś? – Szybka zmiana tematu.

– Zobaczę, ile mi zejdzie. Dwieście spraw, Magda.

– Wiem, Konrad. Pamiętaj, że to wszystko najpierw trafia na moje biurko.

Mówiła prawdę. Szefowie jednostek odpowiadali za obieg dokumentów. Całymi dniami robili tak zwaną pocztę: dekretowali nowe pisma, przydzielali sprawy, decydowali, do jakiego repertorium ma trafić dany dokument.

– *Ciao, bella.*

– *Ciao.*

Kroon wyszedł z auta. Po pracy pojedzie na myjnię, czarny lakier przyciąga brud jak magnes.

– *Salut!* – rzucił dyżurnemu, nawet nie musiał migać legitymacją. Policjant od razu wpuścił go na górę.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – zawołał naczelnik, wychodząc na korytarz. – Czym chata bogata! Co mogę panu zaproponować?

– Trzydzieści aktów oskarżenia, siedemdziesiąt odmów i sto umorzeń. Może być?

Weszli do gabinetu. Funkcjonariusz zarechotał.

– Łatwiej będzie jednak o koniaczek. Czegoś mocniejszego? – zaproponował, otwierając szafkę. Herbata i kawa. Czasy regularnych popijaw odeszły w niepamięć wraz z końcem lat dziewięćdziesiątych. Jeśli umawiał się na wódeczkę, szedł z kolegami do knajpy.

– Może być mocna kawa.

– Też sobie trzasnę. Takie dziś ciśnienie podłe...

Usiedli przy okrągłym stoliku.

– Co tam dobrego słyhać? Jakies trzęsienia ziemi?

– Na szczęście spokojnie. Złapaliśmy przedwczoraj tego chujka, co pobił dziewczynę koło Bałtyckiej.

- Rozbój? – zgadł Kroon.
- Ano. Już powinien zresztą być u was.
- Kto go obrabiał?

Naczelnik zalał kawę. Mówią, że sypana to nie jest prawdziwa kawa. Ale jak nie masz ekspresu w pracy, to umiesz znaleźć radość w niewielkich rzeczach.

– No Niezdarek... – mruknął naczelnik. Sierżant Marek Łopiejko cieszył się powszechną opinią pracownika o niezbyt wielkim potencjale. Nie groził mu szybki awans. – Kazałem Bobrowskiemu na niego patrzeć.

– Jak Przemek odejdzie na emeryturę, to zostanie tylko Flara. Jedna kumata.

Policjant zwiesił głowę.

– Wiemy, jak jest. Może mi kogoś rzucą, ale zanim to się nauczy...

– Jak się nauczy, to zabiorą wyżej – podsumował Kroon. – I w koło Macieju.

– I o to chodzi. – Szybka zmiana tematu. – Słyszał pan o sprawie Ptasznika?

Kroon przytaknął i stwierdził:

– Fajna historia. Jak z Netflixa. Moja koleżanka z okręgu to prowadzi.

– To w końcu zabrali do okręgu? – spytał naczelnik.

– No oczywiście. Zabłąsnać w świetle kamer, powiedzieć z grobową miną, że żąda się dożywocia... Judyta lubi takie klimaty.

Stuknęli się filiżankami, jakby naprawdę pili alkohol. Zdrowie tych, co poświęcili życie służbie. Cześć i chwała bohaterom!

– Gadałem z kumplem z miejskiej. Koncepcja zabójstwa sypie im się jak choinka po Trzech Króli.

– Hmm? – Kawa była wciąż zbyt gorąca, Konrad musiał ją delikatnie siorbać. Nie uczyła cię mama, że się tak nie robi? Nie. Nie zdążyła.

– Znaleźli laskę tego całego Ptasznika. Joanna Kluczkowska, Kluczborska... jakoś tak. Słuchnęli ją, potwierdziła wersję podejrzanego. Podobno widziała całe zdarzenie.

Imiona damskie na literę „Jot”. Jadwiga, Jaśmina, Joanna, Jolanta, Judyta, Julia. Wszystkie takie do siebie podobne.

– O proszę! – zawołał Kroon.

– Zboczeńcy. W tej jego pracowni w Nowym Porcie mieli jakieś zabawki do sadomaso. Ptasznik się zabawiał z chłopaczką, a ona się przyglądała. No i tak coraz lepiej, lepiej, aż w końcu młody odjechał. Zaczęli go cucić, ale chuja... Nic nie wyszło. Przegięli. Byli trochę naćpani, laska się przestraszyła, rzeźbiarz powiedział, że to załatwi.

– I go pięknie w gipsie wykąpał... – dopowiedział Konrad.

– No tak. Ino był na dragach i spartolił.

Konradowi zawibrował telefon. Czekał na wiadomość od Zuzy, ale ta uparcie milczała. SMS od operatora. Przypominał, że zbliża się termin płatności rachunku, prosił o zapewnienie środków na koncie.

– Przyjacielu, pamiętaj, by nigdy nie podduszać się po narkotykach.

Naczelnik ryknął śmiechem.

– Ptasznik wrócił na chatę i zrobili naradę. Podobno przez jakiś czas rozważali wezwanie karetki, ale potem stwierdzili, że gipsu z płuc się tak łatwo nie wyciągnie.

– Miał gips w płucach? – zdziwił się Konrad.

– No nie miał, ale oni się tam jakichś grzybów najedli. Serio, gruba faza.

– Zeznała, że nie chcieli zabić. On też tak wyjaśnił. Słabe dowodowo – ocenił prokurator, rachując szanse na skazanie. Zarzut zabójstwa mógł się nie utrzymać, zawsze jednak pozostawało nieumyślne spowodowanie śmierci.

– Chłopaki z miejskiej i tak zaliczą premię. Raz, że medialna sprawa, dwa, że ujęty sprawca. Po tym, jak ten cały pedałek odjechał, a dzieciaki wytrzeźwiały, Ptasznik kazał swojej lasce zwać z miasta. Joasia ukryła się u babci na wsi, gdzieś pod Szczecinkiem. Szukaj igły w stogu siana. No ale na Instagram musiała się logować. Kryminalni zawzięli się, podłubali operacyjnie i tadam! Aśkę zawlekli na komendę.

– Z tego, co wiem, zarzutu nie dostała.

– W złoty osiemdziesiąt trzy ją przesłuchali.

Przesłuchanie w trybie artykułu sto osiemdziesiątego trzeciego Kodeksu postępowania karnego: „świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić jego osobę lub osobę dla niego najbliższą na odpowiedzialność za przestępstwo lub przestępstwo skarbowe”. Sto osiemdziesiąt trzy, czyli jedną nogą świadek, a drugą podejrzany.

– I co? – spytał Kroon, który sprawę znał właściwie tylko z przekazu medialnego. Dość miał własnej roboty.

– Laska się rozkleiła, płakała, niezłe cyrki tam odchodziły. Nawet nie musieli nad nią pracować...

– Panie Sławku!

– Przecież nie biliby kobiety! – uniósł się naczelnik. – Zresztą podobno była tak prawdomówna, że bez wariografu wiedzieli, że nie kituje. Nieumyślne spowodowanie śmierci. Nie chcieli go zabić, po prostu zboczenie byli i narkomani.

– A ona w czym wieku?

– No bardziej tego całego Ptasznika. Trzydzieści kilka. Taka gotka czy metalowa. Tunele w uszach, kolczyki w nosie, policzkach, nawet piśkę sobie podobno przebiła.

– A to skąd pan wie?

Zaśmiał się.

– Policja już ma swoje sposoby...

Kroon złapał się ciężko za czoło.

– Zabieram się do sprzątnia. Flary nie ruszam...

– Justynki i tak nie ma. Z synem jakieś problemy – wyjaśnił policjant.

– I tak nie miałbym u niej czego szukać. Ale reszta niech ma się na baczności!

*

Siedział na komisariacie do południa. Trzepanie szaf, grudniowe porządki, jakby jutro miał przyjechać sam pierwszy sekretarz. Zaglądał w każde akta, porównywał zawartość policyjnych półek z listą, którą wydrukował sobie na komputerze w prokuraturze.

– Pani Dominiko, tutaj od października nic nie jest zrobione. Przecież wystarczy przesłuchać Kowalczukową, walimy zarzuty i a/o^[50]!

– Nie stawiała mi się na przesłuchanie...

– Dzwoni pani do niej, że jak nie przyjdzie, to taksówka po nią wpadnie! Pani Dominiko! Przecież to jest stara oszustka, ona po dobroci nigdy nie przyjdzie!

– Mówiła, że matka chora... – tłumaczyła policjantka.

– „Matka siedzi z tyłu!”^[51] – Konrad zamknął teczkę. – Dzwoni pani do niej i kończyć mi to w tym tygodniu!

*

– Panie sierżancie. Trzyma pan tego Nowickiego i się nad nim modli, zamiast to szybciotko kończyć!

Policjant coś mruknął pod nosem. Nawet nie znał sprawy. Zerknął Kroonowi przez ramię.

– Bo tu się właśnie zastanawiam, co zrobić...

– No jak to co zrobić?! Spór cywilno-prawny, a nie żadne oszustwo!

Funkcjonariusz stęknął. Kiedy się zbytnio denerwował, na jego nosie pojawiały się drobne kropelki potu.

– Sprawdzające mi przeleciały. Odmowę powinno się zrobić w trzydzieści dni, a to jakoś przeleżało... Myślałem, żeby wszcząć i szybko umorzyć.

Kroon zaklął, na czym świat stoi.

– Po co wszczynać dochodzenie w sprawie, w której na pierwszy rzut oka widać, że nie popełniono przestępstwa? Facet źle im wyremontował mieszkanie, farby nie takie, ale gdzie tu jest z góry powzięty zamiar oszustwa? Przychodził prawie codziennie, robił... A że partacz? To niech go pozwą do sądu cywilnego.

Policjant przewrócił oczami.

– Niby tak...

– Jakie niby?! Panie Jarku, przecież my ludziom mieszkań nie będziemy remontować! To nie walne zebranie spółdzielni, tylko postępowanie karne!

*

Po kilku godzinach takiego nalotu czuł, jak paruje mu łeb. Szefowa powinna być jednak zadowolona. Zmotywował niechętnych, wytłumaczył nieumiejącym, wyszperał sprawy, w których nikt nic nie robił.

„Proszę się zabrać do pracy! Dochodzenie wszczęte w lipcu, a w aktach co? Plaża!” – krzyknął na odchodne do Niezdarka, który na swoje

nieszczęście zjechał na fajrant do komisariatu.

Mógłby właściwie jechać jeszcze do prokuratury, ale był cholernie głodny. Na Wajdeloty mieli kilka fajnych knajpek z szamą. Ulica od ponad dekady przeżywała swój renesans. I tak wyrobił dziś trzysta procent normy. Sprawdził, czy na pewno zamknął samochód, i ruszył pieszo w stronę centrum Dolnego Wrzeszcza. *Langfuhr*. Tam, gdzie płynęła Strzyża. Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

PATRYCJA RADKE

Skończyła robić przedświąteczne sprawunki w galerii i postanowiła wrzucić coś na ząb. Nie lubiła kupować prezentów na ostatnią chwilę. Za dużo stresu, ludzi, niechcianych emocji. Patrycja od lat już w listopadzie planowała, co komu podarować. W połowie grudnia miała już zawsze skompletowane wszystkie podarki.

Właściwie powinna jechać prosto do domu; z wielkimi papierowymi torbami dość niewygodnie spacerowało się po mieście. Z drugiej strony miała ochotę zjeść coś porządnego. Skoro i tak puściła z dymem tyle pieniędzy, to parę dyszek więcej na szamę nie stanowiło wielkiej różnicy.

Przeszła tunelem na drugą stronę torów. Przecięła park Kuźniczki, minęła rzekę Strzyżę i skręciwszy w prawo, wyszła wprost na ulicę Wajdeloty. Żeliwne latarnie, dwa rzędy ozdobionych lampkami drzew, szerokie chodniki i odnowione elewacje secesyjnych kamienic. Prawdziwy miejski salon. Brukowana jezdnia, spowolniony ruch, mnóstwo kawiarni, barów i knajp.

Weszła do jednej z nowo otwartych restauracji. Niektóre lokale utrzymywały się tu od początku rewitalizacji dzielnicy, inne nie miały zbytniego szczęścia do najemców. Mimo to ulica tętniła życiem; można tu

było wpaść pogadać, zjeść, spotkać się ze znajomymi, obciąć włosy, poczytać książki, kupić jakieś wymyślne bibeloty, napić się kawy, piwa, słowem, zrobić wszystko to, co powinno robić się w mieście, co sprawia, że życie jest nieco mniej szare.

Otworzyła drzwi, wewnątrz ani jednego stolika. A nie! Jest! Jeden pod oknem!

– Przepraszam – szepnęła, przeciskając się za plecami grupki nastoletnich hipsterów. Brak obsługi kelnerskiej, po prostu położyła płaszcz na krześle, obok torebkę, usiadła plecami do ściany. Znakomity punkt obserwacyjny.

Na podłodze betonowa wylewka, w pomieszczeniu dużo kwiatów, wykończenie z płyty OSB. Industrial modny jakieś dziesięć lat temu, w Warszawie nikt nie otworzyłby teraz takiego lokalu, ale nie jesteśmy w stolicy, żyjemy nad morzem, oddychamy pełną piersią, chodzimy wolniej, nie musimy zmieniać wystroju co pół roku, robić wszystkiego ćwierć kroku przed innymi, nosić masek, zgrywać bywalców, udawać, że się już wszystko widziało, jadło, czuło, przeżyło.

Czekała, aż ktoś poda jej kartę, zapomniała, że obowiązuje samoobsługa. Podeszła do baru, wzięła menu i wróciła na swoje miejsce. Całkiem spory wybór dań, kuchnia wegańska i mięsna, dla każdego coś dobrego. Zamiast pepsi naturalnie fritz-kola, zamiast ziemniaków bataty. Na co się zdecydować? Powolny proces myślowy, wokół gwar rozmów. Ktoś otworzył drzwi, zawieszony u brzegu framugi dzwonek powiedział „zapraszam”. Patrycja wciąż wpatrywała się w grubą czarną czcionkę współtworzącą tekturowy jadłospis. Przy niektórych pozycjach monochromatyczne szkice dań, na tylnej stronie zabawna krzyżówka. Wszystkie hasła związane z przedwojennym Wrzeszczem. Przy Lelewela 13, na równoległej ulicy, jakieś trzysta metrów stąd, mieszkał Günter Grass.

Langfuhr war so groß und so klein, daß alles, was sich auf dieser Welt ereignet oder ereignen könnte, sich auch in Langfuhr ereignete oder hätte ereignen können. „Wrzeszcz był tak duży i tak mały, że wszystko, co na tym świecie wydarza się lub mogłoby się wydarzyć, wydarzyło się też lub mogłoby się wydarzyć we Wrzeszczu”^[52].

– Dzień dobry, pani mecenas – rzekł znajomy, męski głos.

KONRAD KROON

Właściwie nie wiedział, na co ma ochotę, ograniczał mięso, ale nie uważał się za radykała. Raz w miesiącu jadł hamburgera z wołowiną, nie wyobrażał sobie pizzy bez prosciutto. Nie kupował szynki, parówek i kielbas, w markecie wybierał raczej zdrowe rzeczy. Umiarkowana troska o planetę, i tak jest już za późno. Flexitarianizm. Czy w latach dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku istnieją jeszcze jacyś prawdziwi denialiści klimatyczni, czy wszyscy przeciwnicy radykalnych reform, zielonej energii i dbania o Matkę Ziemię są po prostu skurwiałymi cynikami? Konrad obstawiał to drugie.

Minął Avocado, słynną wegańską knajpkę, w której pierwszy raz w życiu skosztował jaglanego hamburgera, i ruszył w górę ulicy. Pizzeria, kawiarnia... O, jest! Ten nowy lokal, o którym czytał w necie.

Otworzył drzwi. „Chyba jednak nie mam dziś szczęścia” – pomyślał. Pełno dzieciarni, trochę typowych–lewackich–julek, zgraja hipsterów. Konrad, starzejesz się, chłopie.

Gdyby nosił okulary, zaparowałyby mu w mgnieniu oka od różnicy temperatur. Na szczęście cieszył się piekielnie dobrym wzrokiem. Nigdy nie nosił minusów, do kupna plusów brakowało mu jakichś dwudziestu lat. Konrad Kroon, rocznik osiemdziesiąty.

Spojrzał w głąb lokalu. Przy stoliku pod ścianą siedziała znajoma osoba. Kroon miał pamięć do twarzy, do wszystkiego miał pamięć.

Ruszył przed siebie.

– Dzień dobry, pani mecenas – powiedział, spoglądając z nadzieją na zajęte przez jasnoszary płaszcz i lakierowaną torebkę krzesło.

PATRYCJA RADKE

Uniosła wzrok znad karty. Prokurator Kroon, ubrany w skórzaną kurtkę, dobrze dopasowane jeansy, koszulę i nienagannie wypastowane sztyblety nachylał się nad jej stolikiem, składając dłonie jak do modlitwy.

– Pani mecenas, potrzebuję na gwałt adwokata, obrońcy zgłodniałych i spragnionych, który poratuje mnie w to zimne, grudniowe popołudnie, otoczy troską, zaopiekuje się i zaprosi do stolika.

Szybka wiązanka, puścił to jakby od niechcienia, a przecież musiał się chociaż zastanowić, by to wszystko tak ładnie koło siebie poukładać. Patrycja nie miała takiej lekkości w przemowach.

– Dzień dobry, panie prokuratorze. Oba miejsca są wolne, może pan sobie wybrać – odparła z uśmiechem, zabierając z krzesła swoje klamoty.

– Ratuje mi dziś pani nie tylko życie, ratuje pani mą wiarę w karmę. – Przysiadł się, ściągnął rękawiczki i szalik. – Nigdy tu jeszcze nie byłem. Czy tu kelnerują?

Patrycja zaprzeczyła.

– Zdaje się, że obowiązuje samoobsługa. Też jestem tu pierwszy raz.

Do lokalu wszedł jakiś starszy mężczyzna. Stanął u progu, nie zamknąwszy drzwi. Zimne powietrze uderzyło po plecach odzianą w wypłowiały sweter typową julkę, której stolik mieścił się tuż obok wejścia.

– Przepraszam, w tramwaju pan mieszka? – Wrażliwość godna prawdziwego lewicowca.

Mężczyzna nie zareagował.

– Zamknie pan? Zimno leci! – dodała druga z dziewczyn.

Ktoś wyszedł z łazienki. Minął swój stolik i w geście solidarności z przewianą niewiastą domknął drzwi.

– Dziękowa – mruknęła typowa julka.

Konrad spojrział na kartę.

– Czy coś już pani wybrała?

– Nie. Jakoś nie mogę się skoncentrować.

Patrycja, menu to nie ustawa o VAT. Dasz sobie radę. Z mięsem czy bez? Na słodko czy na wytrawnie?

– Okej, to pomyślimy wspólnie. W końcu dobrze nam się razem prowadzi sprawy...

SONIA

Pracę w pizzerii porzuciła tuż po zerwaniu z Natalią. Kiedy dowiedziała się o tragicznej śmierci Kubsona, wróciła do matki. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Wiedziała, że jej współlokator żył niebezpiecznie. Spodziewała się informacji o jakiejś chorobie wenerycznej, odwyku, ale... śmierć? Morderstwo? To nie mieściło jej się w głowie.

Informacje czerpała z mediów i tego, co przekazali jej rodzice Kuby. Mieszkali daleko, o synu nie wiedzieli prawie nic. Sonię poznali, kiedy rok temu przeprowadzali go do Trójmiasta. „Miła ta dziewczyna, Kubuś, mógłbyś sobie w końcu jakąś znaleźć. Trochę za dużo tatuaży, ale ładna i grzeczna”. Nie wiedzieli, że Kubson jest gejem. Homoseksualizm w małych miejscowościach odbiera się jak piętno.

Po zabójstwie Sonia stała się ich jedynym łącznikiem z dalekim Gdańskiem. Razem płakali, analizowali przebieg zdarzeń, pomogła im zorganizować pogrzeb. Szczegóły śledztwa objęto tajemnicą. Mimo to informację o romansie znał każdy.

Gazety rozpisywały się na temat życia seksualnego ofiary i sprawcy. „Jakby normalnie chodził do kościoła, to Pan Bóg by do tego nie dopuścił” – komentowała Janina z Chojnic. „Dostał, na co zasłużył” – stwierdził anonimowy komentator.

Ptasznik, niszowy, trójmiejski artysta. Kubson przebąkiwał coś, że ma dziewczynę, szukają trzeciego do trójkąta. Lubią brzydkie zabawy.

Sonia nie miała nic do sadomaso, wolność, Tomku, w swoim domku, ale sama nie zdecydowałaby się na zabawy w podwieszanie. Czy chcieli go zabić? Cholera wie. Nie dzieliła z Kubą zbyt wielu znajomych, o romansie z Ptasznikiem nie wiedział chyba nikt poza nią. Po mieście krążyła fama, że jest wykręcony.

– Sonia, on znowu tu przylazł – rzucił manager knajpy. – Straszy ludzi, weź zadzwoń na policję.

– Sam zadzwoń. Nie gadam z psami.

Od kilku tygodni miała nową pracę. Modny lokal na Wajdeloty, dużo klientów. Pizzeria na starówce nieco zamierała po sezonie, praktycznie żadnych napiwków, a podstawa była śmieszna. Tutaj nie tipowano tak chętnie, ale za to właściciel płacił całkiem godną godzinówkę. Wzięła kilka dni wolnego, ale wiedziała, że nie może teraz siedzieć sama w pustym mieszkaniu. Praca pozwalała jej choć przez chwilę nie myśleć o tym całym koszmarze.

– Ja pierdolę... – zaklął manager, chwytając za słuchawkę. Długa chwila oczekiwania, w końcu połączył się z dyspozytorem. – Dzień dobry, dzwonię z restauracji Gierki i Obierki. Znowu ten wariat tu biega po lokalu

i straszy klientów... Proszę pana, wiem... Wiem... Trzy razy już go dziś wyrzucałem. Czy chcę zgłosić? No tak, po to dzwonię. Proszę tu przyjechać. Tak, proszę o interwencję patrolu! – Trzasnął słuchawką. – Jebane leniwe psy...

PATRYCJA RADKE

Konrad podszedł do baru i wziął kartę. Wrócił do Patrycji i zaczął wertować menu.

– Jada pani mięso?

– Tak. Nie. Nie wiem.

Zaśmiali się w tym samym momencie.

– U mnie podobnie. To może jakąś zupkę na początek? – Jechał palcem w dół. – Cebulowa!

Patrycja zrobiła kwaśną minę.

– Wiem, jak to brzmi, ale... Jadła pani kiedyś cebulową?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, czy lubię zupy...

– Zupy i zupa cebulowa to dwie osobne ligi. Jak NHL i NBA.

Znowu delikatny uśmiezek.

– Francuski specjał. To może zrobimy tak: ja biorę na siebie wybór zup, a pani zajmie się tematem drugiego dania. Zjem w ciemno. Odpowiedzialność zbiorowa – zażartował. – Zgoda?

– Niech będzie – odparła, delikatnie chichocząc.

Po zakończeniu sprawy Zatorskiej już się go tak nie bała. Podali sobie ręce. Sojusz widelca z łyżką do zupy. Porozumienie grudniowe zawarte nad kartą dań. Solidarność!

– Nie jesteśmy zainteresowani, przepraszam, nie mamy czasu... – fuknął hipster, do którego podszedł nieznajomy mężczyzna. Od kilku minut błądził wśród stolików, zagadując kolejnych klientów. Co jakiś czas przystawał przed oknem i wpatrując się w jakiś bliżej nieokreślony punkt, zamierał. Manager próbował skierować go do wyjścia, ale ten stawiał bierny opór.

– Pani mecenas, nie chcę wywierać zbytnej presji, ale robię się cholernie głodny – powiedział Kroon.

Patrycja nie mogła dokonać wyboru. Zazwyczaj brała tylko jedno danie. Drobną dziewczyną, drobnym brzuszkiem. Jeśli miała zjeść zupę, musiała zdecydować się na coś lekkiego.

– W takim razie może bowl z ryżem?

Kroon wzruszył ramionami.

– Zawarliśmy pakt. Prawo kontraktów nakazuje, by umów dotrzymywać. Jeśli zarządzi pani bowl z ryżem, zjem go, choćby był serwowany z krowimi wymionami.

Opluła się wodą. Szybko sięgnęła do torebki. Riposty w niej nie znalazła, wyszperała za to paczkę chusteczek. Wycierała właśnie żakiet, kiedy przed stolikiem zatrzymał się nieproszony gość.

Siwe włosy, nieogolony, zapomniał zabrać z domu kurtki. Flanelowa koszula okrywała cherlawe ciało. Błada skóra, nieobecne oczy, dłonie zaciśnięte w pięści. Pachniał wilgocią, stęchlizną wiecznie niedogrzanego mieszkania.

– Tam ją zabili. Niewinną owieczkę, złożoną na ołtarzu grzechu... – wyszeptał.

Kroon i Patrycja jednocześnie odwrócili wzrok w stronę nieznajomego.

– W czymś może pomóc? – spytała Patrycja.

Mężczyzna spoglądał na ścianę, nawet nie próbował nawiązać z nimi kontaktu. Po prostu dalej recytował swoją formułkę.

– Kolejna ofiara Strzyży. Przeklęta rzeka.

Wiedzieli już, że mają do czynienia z szaleńcem.

– Proszę pana, ma pan może numer telefonu do kogoś z rodziny? – zagała Patrycja.

Nieznajomy nie odpowiedział. Jego umysł zaprzętały zupełnie inne sprawy.

– Bezbronna niewiasta. Mówiłem, lecz nikt nie słuchał.

Kroon zerknął w stronę obsługi. Kelnerka automatycznie odwróciła wzrok, zupełnie jakby to nie był jej problem. Zastanawiał się, czy dzwonić na policję, czy ktoś jednak zareaguje. Mężczyzna ewidentnie potrzebował pomocy.

– Jaka niewiasta? – spytał swoim stanowczym głosem Kroon.

Wydawało się, że nieznajomy tylko czekał na tę chwilę. Jakby dopiero słowa prokuratora wybudziły go z transu i sprowadziły na powrót na ziemię. Powstań, kamienny rycerzu!

– Dziewczyna z Wrzeszcza. Była taka dobra. Troskliwa.

– I co z nią? – Kroon nawiązał kontakt wzrokowy z mężczyzną. Oczy pokryte mgłą, mętne, zaspane.

– Zamordowali ją dzisiaj rano.

Patrycja wiedziała, że nieznajomy bredzi. Czekala tylko, aż Kroon zawoła kelnera i zasugeruje mu wyproszenie intruza.

Konrad zachował się całkiem inaczej. Nie wiedzieć czemu okazał mężczyźnie wyjątkową uwagę. Burzyło to w młodej mecenas obraz naznaczonego znieczulicą prokuratora.

– Widział pan, jak kogoś zamordowano? – dopytał.

– Klęczałem nad ciałem...

Głos Kroona stał się jeszcze bardziej władczy.

– Proszę się skupić. Kiedy to było?

– Gdy dzwony biły na sumę... – szepnął szaleniec.

– Dzisiaj? Czy dzisiaj widział pan jakieś ciało?

– Była taka dobra...

Oczywiście nie odpowiedział wprost. Sny i majaki mieszały się mu z rzeczywistością, dni zlewały w jeden wartki strumień. Uporczywe zaburzenia urojeniowe. Objawy wytwórcze, tak zwane omamy.

Dzwonek nad drzwiami znów zapowiedział nowych gości. Do lokalu wkroczyła dwójka policjantów z patrolu. Rzucili okiem na bar, manager skinął głową w stronę narożnego stolika.

– Gdzie to było? – drażył Kroon.

– Tutaj nad Strzyżą. Koło sklepu pani Łuszczewskiej...

Policjanci podeszli do intruza. Chwycili mężczyznę pod ramię.

– No wystarczy, Władziu. Chodź, zawieziemy cię do domu.

– Znacie się? – zdziwiła się Patrycja.

Funkcjonariuszka przytaknęła.

– To nasz stary znajomy. No chodź, Władziu, kurtki z domu zapomniałeś.

– Ona była taka dobra... – W oczach nieznanego zaszklily się łzy. Rozluźnił ciało, napięcie mięśniowe na chwilę ustąpiło. Odrobina spokoju dla wymęczonego chorobą mężczyzny.

Policjantka objęła go, wyprowadziła powoli z lokalu. Szeptala coś czule na ucho. Pan Władziu spotulniał. Wyszli na zewnątrz, zadzwonił dzwonek, znów wszystko było po staremu. Klienci wrócili do swoich spraw, w lokalu ponownie zapanował gwar.

– Biedny człowiek – podsumowała Patrycja, która zupełnie nie skojarzyła opowieści Gustawa. A przecież... to samo miejsce, ten sam człowiek, ta sama zbrodnia. Patrycjo Radke, ty nigdy nie mogłabyś być detektywem. – Dobrze, że ktoś się nim zaopiekował.

– Taak – odparł wciąż zamyślony Kroon.

– To co zamawiamy? Dwie cebulowe i dwa bowle z ryżem?

Konrad zerknął za okno. Poczłł dziwne mrowienie na plecach. Wyciągnął telefon, wybił numer komórki dyżurnego.

– Policja Wrzeszcz, słucham?

– Tu prokurator Kroon. Przysłaliście przed chwilą patrol na Wajdeloty...

– Ano tak. Władziu Śmielichowski, nasz lokalny wariat – wytłumaczył policjant.

– Jakoś o nim nie słyzałem.

Dyżurny wysmarkał nos. Obudził się rano z lekkim katarem.

– Bo on taki niegroźny. Nie pisze żadnych donosów, siedzi grzecznie w domu, spaceruje po dzielnicy i opowiada bajki, ale krzywdy nigdy nikomu nie zrobił. Mieszka sam z ojcem, ten porusza się na wózku, właściwie nie wychodzi z domu. Władziu robi mu wszystkie zakupy.

– Rozumiem – odrzekł Kroon. – Przebąkiwał coś, że widział jakieś ciało...

Policjant się zaśmiał.

– Władzio bez gawędy żyć nie umie. Kuku na muniu, ciągle mu tam wibruje pod czachą. Ale to nic groźnego.

– Wie pan co... – szybka analiza. Szansa jedna na tysiąc, ale... Coś z tyłu głowy podpowiadało mu takie rozwiązanie. Czy to był jego słynny szósty zmysł? Chyba jeszcze nie. Po prostu miał zwyczajnego czuja. –

Powie pan tym z patrolu, żeby przejechali z Władziem przez to miejsce, gdzie niby widział ciało.

Dyżurny stęknął.

– Prokuratorze, on zawsze takie głupoty gada...

– Dryndnie pan do nich – oznajmił Kroon i nacisnął czerwony przycisk słuchawki.

KONRAD KROON

Kończyli właśnie jeść. Cebulowa okazała się strzałem w dziesiątkę, młoda mecenas przyznała, że nie spodziewała się takiej mieszanki smaków. Bowl też był niczego sobie, choć zdaniem Konrada można by go lepiej doprawić.

– To gdzie umawiamy się na następny obiad?

Patrycja nie wiedziała, czy żartuje, czy chce ją zaprosić na randkę. „Chyba mnie nie podrywa?” – pomyślała. Nie miała nic przeciwko, choć wydawało jej się, że prokurator jest dla niej nieco zbyt przystojny. Ładny facet to zwykle same problemy. Szukała kogoś z własnej kategorii wagowej. Miłego chłopaka, który nie wykręciłby żadnego niespodziewanego numeru. Nie musiał być piękny, wystarczy, żeby nie był brzydki.

– Chce mnie pan zaprosić na obiad? – zaryzykowała.

Kroon puścił do niej oczko.

– Żona by mnie z domu pogoniła. – Blef. Po pierwsze nie miał żony, po drugie Zuza za nic miała, z kim Konrad się spotykał i sypiał. Sypiał tylko z nią.

– Nie widziałam obrączki, przepraszam – spieszyła się.

– A bo my tak na kartę rowerową – zażartował. – Pani mecenas, przypuszczam, że jeszcze nieraz się spotkamy. Trójmiasto jest małe, a jeśli

chce pani robić w karnych...

– Najbardziej lubię karne. Ale biorę, co dają.

Wstał od stolika jako pierwszy. Patrycja wciąż grzała swoje krzesło.

– I bardzo mądrze. Początki są trudne, ale jak pójdzie fama... Za kilka lat będzie pani broniła prawdziwych gangsterów. Pamięta pani pewnie Skotarczyka, Krakowiaka, Pershinga...

Chciała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie prokuratorowi zadzwonił telefon. Dał jej ręką znak, by zaczekała.

– No co tam, Madzia?

– Jesteś dalej we Wrzeszczu? – spytała szefowa.

– Skoczyłem na szybką szamkę... – Magda nigdy nie patrzyła mu na ręce. Robił, co chciał, wiedziała, że może na niego liczyć. Konrad ani razu jej nie zawiódł.

– Trupa mamy. Pojedziesz na zdarzenie...

Dzwonek z tyłu głowy.

– Przecież nie mam dziś dyżuru. Za chwilę fajrant... – Maską arogancji. Silne postanowienie, by nigdy nie angażować się w pracę.

– Konrad, proszę cię. Monika chora, Marek w okręgowym... Nie mam kogo posłać. Pojedziesz z lekarzem, podobno jakaś pijaczka się zachlęła. Storek już w drodze, zrobicie oględziny. Kwadrans i możesz zawijać do domu.

Puste mieszkanie. Głuche, chłodne i smutne. Klamoty Zuzy, resztki jej zapachu w niepranej pościeli. Nie miał czego tam szukać.

– Zawsze mnie tak tyrasz...

– Gdzie jesteś? W Galerii?

– Na Wajdeloty – wytłumaczył.

– To pójdiesz spacerkiem. To gdzieś koło parku Nad Strzyżą.

*

Opuszczony dom teoretycznie nie nadawał się do rozbiórki. Jeszcze kilka lat temu działał tu dobrze prosperujący warzywniak, na piętrze mieszkali lokatorzy komunalni. Po śmierci pani Jadwigi Łuszczewskiej sklep zamknięto, kolejnym rodzinom oferowano lokale zastępcze. Terenem zainteresował się jeden z deweloperów, działkę wystawiono na sprzedaż, posesję ogrodzono metalowym płotem. Kamienica szybko podupadła.

Kroon skierował się w stronę bramy. Szedł pieszo, skóra i jeansy; nie przypominał urzędnika państwowego. Przed budynkiem zaparkowana srebrna kia.

– Przejścia nie ma – poinformował policjant.

Konrad wyciągnął legitymację.

– Lekarz dojechał? – spytał, przechodząc od razu do rzeczy.

– Najmocniej przepraszam, panie prokuratorze. Doktor Storek zjeżdża z Niedźwiednika, za chwilę powinien tu być.

Weszli do środka. Teoretycznie drzwi zabezpieczono przed niechcianymi odwiedzinami postronnych osób. W rzeczywistości obecnego właściciela nieruchomości cieszyły wizyty lokalnych pijaczków, którzy urządzili w kamienicy regularną melinę. Puszczą chałupę z dymem, nie trzeba się będzie bawić w jakieś jebane rewitalizacje.

– Odwieźliście Władzia do domu? – zagaił Kroon, wchodząc ostrożnie po zewnętrznych schodach.

– Tak, bezpiecznie siedzi w swoim śpiulkolocie. Zapomniał wziąć dziś leki.

Młody prewencjusz, ledwie kilka miesięcy temu opuścił szkołę w Słupsku. Nad Bałtykiem większość policjantów przechodziła kurs w tamtym ośrodku. Daleko jej było do takich placówek jak Szczytno i

Legionowo, ale niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż w Pomorskiem nie gęsi, swoją szkołę policji mają.

– A tutaj co? – rzucił prokurator.

Obskurne wnętrze. Niegdyś w tym miejscu mieścił się sklep pani Łuszczewskiej. Na podłodze pełno potłuczonego szkła, jakieś szmaty, sporo śmieci.

– Zwykła pijaczka. Moja koleżanka mówi, że kilka razy wiozła ją na wytrzeźwiałkę. Wali od niej jak z gorzelni. Musieli tu popić, kobieta wykitowała.

– Jakież ślady działania osób trzecich?

Policjant zaprzeczył.

– Niczego nie widać. Zimna jest, ale to pewnie dlatego, że leży tu od rana.

– Ciała nie ruszaliście?

– Oczywiście, że nie – zapewnił funkcjonariusz i chuchnął w zziębnięte dłonie. – Czekaliśmy na pana prokuratora. Proszę uważać na głowę.

Z sufitu zwisała jakaś samotna belka stropowa. Kroon się schylił.

– O której Władziu ją widział?

– Podobno koło południa. Babeczka często przychodziła tu chlać. Mieszka w sąsiedniej kamienicy, ale wie pan... melina to melina. Jak sąsiedzi narzekali na hałas, to się z konkubentem przeprowadzała do tego pustostanu. Oni mieli spokój, sąsiedzi mieli spokój, my mieliśmy spokój, wszyscy zadowoleni.

Zajrzeli do sąsiedniego pomieszczenia. Okna zabite deskami, pod ścianą policjantka z długą latarką.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – powiedziała funkcjonariuszka. – Przeprowadzamy czynności czy odpuszczamy? Kobieta się zapiła, nikt nie

będzie żądał sekcji...

Konrad wyciągnął telefon. Włączył latarkę. Jasny snop ledowego światła; skierował go najpierw na podłogę, później na denatkę. Wyglądała na dobre siedemdziesiąt lat, pewnie miała z dwadzieścia mniej. Ubrana w gruby płaszcz, blada jak papier.

– Capi denaturatem – osądził drugi policjant.

Kroon podniósł komórkę, oświetlając przeciwległą ścianę, i zaniemówił. Odrapana z tynku, na gołych ceglach świeże, starannie namalowane graffiti. KRZYCZ, JEŚLI ŻYJESZ.

[49] Cytat z filmu *Miś*, reż. S. Bareja, 1980.

[50] a/o – akt oskarżenia.

[51] Cytat z filmu *Miś*, reż. S. Bareja, Polska 1981.

[52] G. Grass, *Psie lata*, tłum. S. Błaut, Warszawa 2007.

ROZDZIAŁ 39 | SIERPIEŃ

GUSTAW

To całkiem zabawne: podróżować pociągiem do Gdyni jako względnie kulturalny pasażer, by chwilę później bezczelnie zakraść się do kolejowej bazy i siać zniszczenie. Tępy, bulwersujący wandalizm. „Ręce bym poucinał skurwielom, którzy babrają wszystko szprejem”.

Przygotowali torby z farbami. Natalia zamierzała jedynie patrzeć, Sonia i Julia chciały same coś skrobnąć, Gustaw najlepiej w ogóle by nie jechał.

Mijali kolejne stacje. Grabówek, Leszczynki, Chylonia, Cisowa. Tu należało wysiąść.

– Zajebicie się jaram – powiedziała Sonia.

Elektrowozownia to taki domek dla pociągów. Sprzątanie, mycie, sprawdzanie stanu technicznego. Jest też hala do napraw wagonowych, używana niemal non stop, bo trójmiejski tabor już dawno powinien przejść na emeryturę.

– Kawalek dalej jest taka dziura w płocie. – Hose wiedział, co robił. Mógł rzucić to wszystko osiem lat temu, gdy jego dziewczyna zaszła w ciążę. Większość starych kolegów wyrosła z graffiti jeszcze w tamtej dekadzie. Rodziny, praca w korpo, duże brzuchy. Jemu w dalszym ciągu brakowało tych emocji.

Robił jako grafik w największej polskiej firmie odzieżowej. Rysował różne fajne rzeczy, oprócz tego sporo dodatkowych projektów. Typ człowieka, który zawsze jest zajęty. Od czasu do czasu zgarniał nie najgorsze pieniądze za namalowanie jakiegoś muralu. Po co więc niszczył pociągi? No właśnie.

– Tu są puszki z farbą, tu macie *capy*. Różne średnice dziurek to różne kształty.

– Ej, ja nie chcę tego robić – stęknął Gustaw.

– No i nie będziesz. Natalia i ty stoicie na czilówce, my bombimy.

– Na czilówce? – powtórzył Kolasa.

– Obczajacie, czy nikt nie idzie – wyjaśnił Hose. – Ogólnie z ochroną jest kiepsko ostatnio, nie mają kasy i zatrudniają samych borowych dziadów. Nie będziecie mieć dużo roboty.

Przystąpili do dzieła.

Hose działał szybko i sprawnie. Sonia próbowała napaćkać jakiś śmieszny wzorek, Julka tworzyła głównie zacieki. Pozornie bezmyślne smugi tworzyły coś na kształt średniowiecznej mandali. Ciekawe połączenie. Ascetyczne motywy i orientalna kolorystyka. Z chaosu barw wyłaniał się nieco makabryczny ptasi dziób, stanowiący centrum obrazu.

– Jara mnie to w chuj! – rzuciła elokwentnie Sonia.

Najwcześniejsze malowidła naskalne powstały dobre czterdzieści tysięcy lat przed Chrystusem. Jaskiniowcy najbardziej lubili malować konie. Zwierzęce motywy łączono z geometryczną ornamentyką. Obrazy z Jaskini Chauveta wyglądają o niebo lepiej niż jakiegokolwiek średniowieczne bohomy. Do dziś zachwycają swym realizmem i szczegółowością. Mamuty, niedźwiedzie i nosorożce; pożółkłe grafiki wyjęte z zagubionego szkicownika jakiegoś roztargnionego studenta.

– Ej, Nati, chyba kogoś słyszałem – szepnął Gustaw.

– Gdzie?

Wpatrywali się w ciemność. Pustka. Niczego nie dostrzegli.

– Może mi się tylko zdawało.

Przygodni artyści kończyli tworzyć swoje prace.

– Słyszałaś? – jęknął Gustaw.

– Chyba tak... – przyznała Natalia. – Ej, zawijamy!

– Jeszcze chwila! – mruknęła Sonia, poprawiając końcowe litery.

Hose wyciągnął telefon i sfotografował swoje dzieło. Błysnął flash.

– STAĆ! – zawołał strażnik. W kilka minut zgadał się z kolegami.

Właśnie kończyli okrążyć grupę wandalii.

– W nogi! – krzyknął Hose. – Rozdzielamy się!

Julka pospiesznie zgarnęła plecak. Ruszyli w stronę płotu.

– Ręce do góry! – krzyknął ochroniarz. Nie był policjantem, miał gaz zamiast spluwy. Czuł się jednak jak prawdziwy antyterrorysta.

– W lewo! – pisnęła Julia.

Sonia pobiegła z Natalią w przeciwną stronę. Dopadły do metalowej siatki.

– Dawaj na górę!

– Nie mogę!

– Szybko, szybko!

Ochroniarz był tuż-tuż. Strzelił gazem przez płot.

– Aaaa! – zawyła Natalia. Dostała po oczach.

– Spierdalaj, skurwielu! – zaklęła Sonia. Złapała Natalię pod ramię. – Dawaj!

Gustaw z Julką przelazili na drugą stronę. Pogoń była jednak zaraz za nimi.

– Dawaj, Jarek! – krzyczał ochroniarz.

Mieli pecha. Za Sonią i Natalią pobiegł najstarszy ze strażników; ich goniła dwójka młodych, dość wysportowanych.

Pędzili ulicą koło jakichś magazynów. Przed nimi droga krajowa numer sześć, można by nią uciekać aż do Berlina.

Wbiegli prawie przed maskę jakiejś starej skody. Kierowca cudem odbił w lewo. Skończył na poboczu. Tu często ginęli ludzie.

– Zajeździemy was, kurwy! – pnił się wściekły ochroniarz.

Walczyli o honor. Pojedynek na śmierć i życie.

Przed nimi las. Czarna ściana drzew jak z tego horroru z Wieniawą. Wejść tam i zginąć. Dziś nie zaśnie nikt, mordo.

ROZDZIAŁ 40 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Stał pośrodku zabitego deskami, zaśmieconego pomieszczenia. Na podłodze walało się pełno potłuczonego szkła, dziurawa, komunistyczna kanapa i zdezelowany stolik służyły za jedyne elementy umeblowania.

Na ziemi leżało ciało kobiety. Zawinięta w gruby płaszcz, skóra jak z wosku, tuż koło niej pusta butelka po denaturacie. Nałogowa alkoholiczka, beneficjentka MOPS-u, częsty gość izby wytrzeźwień.

Grażyna Stolz, rocznik siedemdziesiąty, równo dziesięć lat starsza od Kroona, wyglądała jak jego prababka.

– To co robimy, panie prokuratorze? – powtórzyła funkcjonariuszka z patrolu.

Konrad spoglądał na ogołoconą z tynku ścianę. Świeża farba, białe litery. KRZYCZ, JEŚLI ŻYJESZ. Czarne tło przypominające kolejowe tory. Staranny malunek, nie jakieś pijackie bohomy. Ktoś włożył w to dzieło całkiem sporo pracy.

– Widzieliście ten napis? – spytał Kroon, świecąc po ścianie latarką.

– A przychodzą tu tacy grafficiarze – odparł policjant. – Na moje lepiej, żeby malowali coś takiego, niż bazrali świeżo odnowione elewacje. Przynajmniej nikomu nie szkodzą...

Konrad potrzebował pomocy kogoś kompetentnego. Naczelnik Sławek czy może od razu uderzać do kryminalnych?

– To chyba tutaj... – powiedział doktor Storek, wchodząc w towarzystwie technika i dochodzeniowca do wnętrza budynku. – Dzień dobry, panie prokuratorze, co my tutaj mamy?

Kroon analizował wszystko w myślach. W wypadku zbrodni należało dbać o to, by zniszczyć jak najmniej śladów. Czy mieli do czynienia z morderstwem? Nic na to nie wskazywało. Nałogowa alkoholiczka, brak śladów krwi, zapach denaturatu i puste butelki.

Konrad poczuł coś dziwnego. Po jego plecach przeszły delikatne dreszcze.

„O kurwa” – pomyślał, lokalizując gdzieś z tyłu głowy znajome mrowienie. Szósty zmysł. Jego wrodzona intuicja, która zawsze pomagała mu dotrzeć do prawdy. Nawet jeśli nie było dowodów.

Zuza bawiła w tej chwili tysiące kilometrów stąd, nie miała żadnego wpływu na Konrada. Opuściła go, uwolniła spod działania swojego czaru. Kroonowi powróciły jego pierwotne moce. „Witaj, stary przyjacielu...”

– Stolzowa się zapła – osądziła nonszalancko funkcjonariuszka. – Tacy jak ona zawsze kończą w ten sam sposób. Niech jej ziemia lekką będzie.

– No to szybko nam pójdzie – podsumował doktor Storek, nakładając na rękę silikonową rękawiczkę.

„Krzycz, jeśli żyjesz”. Zbyt wiele przypadków. Analityczny umysł Konrada wspaniale współdziałał z niespotykanym instynktem śledczego. Serce i rozum, jak dwóch tancerzy, połączonych w jednym, cudownym balecie. Tandem idealny. To nie był Prokofiew ani Czajkowski. To był Konrad Kroon.

– Pani i pan wyjdziecie na zewnątrz. Pilnujcie, żeby nikt się tu nie szwendał – rozkazał policjantom z prewencji. – My przystąpimy do

ogłędzin ciała, ale najpierw wszyscy włożą rękawiczki i worki na buty.

Technik spojrzał oburzony na prokuratora. „Co on, kurwa, odpierdala?”

– Po co te cyrki?

– Przyniesie pan jakąś lampę z auta, a my staniemy sobie tu przy drzwiach i grzecznie poczekamy – obwieścił śledczy.

Zamurowało ich. Wszyscy bez wyjątku gdybali, co chodzi po głowie prokuratora. Czy to jakaś wkrętka? Kroon słynął z osobliwego poczucia humoru. Rękawiczki i osłonki na buty? A po cholere?! Przecież to zwykły zgon po alkoholu. Takie sprawy załatwiała się rutynowo, kwadrans ogłędzin, przesłuchać konkubenta, ciało do piachu, numerek trzaśnięty.

– Mamy wyjść z budynku? – spytała funkcjonariuszka z patrolu.

– Tak jak powiedziałem.

Mówił tym swoim nieznośnym sprzeciwu tonem. Nawet naczelnik miał miłą barwę głosu, kiedy opieprzał ich na odprawie.

– Serio przynieść lampę? – zdziwił się technik.

– Lampę, rękawiczki i osłonki na buty.

*

Nikt już nie wdawał się w dalsze dyskusje. Policjanci z patrolu zajęli miejsca na zewnątrz. Doktor Storek, dochodzeniowiec, technik i Kroon włożyli odzież ochronną.

– To rozbieramy? – spytał lekarz.

– Najpierw pan Czarek tu wszystko dokładnie sfotografuje – polecił prokurator. – Tylko proszę niczego nie zdeptać.

Zachowywał się, jak gdyby nagle dostał silnego ataku paranoi. Jakby urojenia Władzia Śmielichowskiego zarażały drogą kropelkową.

Policjant ustawił aparat. Podkreślił czułość. Musiał użyć lampy błyskowej, bo wysłużony nikon D7200 nie dawał rady w tak słabym świetle. Przystąpił do dzieła. Plan ogólny, zbliżenia na każdy kąt. Zdjęcia leżącego ciała.

– Zadowolony? – mruknął z przekąsem. Sam rzadko kiedy był zadowolony.

Kroon zwrócił się bezpośrednio do Storka.

– Panie doktorze, możemy zaczynać.

Lekarz podszedł do ciała. Dotknął ręką szyi, nie trzeba było studiów na akademii, by stwierdzić, że babka dawno kopnęła w kalendarz.

– Najpierw obejrzymy, a potem podyktuję do protokołu? – powiedział pytająco Stork, poszukując aprobaty Kroona. Prokurator skinął głową.

Doktor rozpiął guziki płaszcza. Gruba wełna, w lumpeksie płaciło się od kilograma, nowy z sieciówki kosztował koło tysiąka. Przesiąknięty stęchlizną i zapachem denaturatu.

Pod spodem czarna podomka. Kobiety na melinach zawsze chodzą w podomkach, faceci w żonobijkach. Zestaw obowiązkowy.

– Zniszczona życiem – ocenił dochodzeniowiec.

– Brudna, ale nic tu... – Stork zamarł.

Kroon podszedł bliżej, technik cyknął fotkę. Światło latarki odbiło się od srebrzystej taśmy naprawczej przyklejonej do brzucha kobiety. Kilka grubych pasków, prowizoryczny opatrunek. Ostatni z plastrów znaczył nikły, brunatny ślad.

– O kurwa – zaklął Paweł Dycz, policjant z dochodzeniówki. Ominął go poranny magiel Kroona, bo w czasie nalotu fartem kogoś przesłuchiwał. No to teraz dostał sprawę życia.

Biegły delikatnie odkleił taśmę. Świeża rana kłuta, długości około dwóch centymetrów. Podbrzusze bez widocznych resztek krwi.

- Nóż – ocenił technik. – Ale dlaczego nie ma więcej śladów?
- Bo ktoś wyczyścił ciało – stwierdził sucho Kroon.

ROZDZIAŁ 41 | SIERPIEŃ

JULIA

Podróż z Wrzeszcza do Gdyni-Cisowej zajmowała około czterdziestu minut. Otwarte okna służyły za klimatyzację, plastikowe fotele za wygodne kanapy.

Hose miał jechać z dwoma kumplami, ale ci wystawili go na pięć minut przed spotkaniem. „Mordo, nie damy rady, melo u Szczyla” – lakoniczna wiadomość, rób, co chcesz, nas nie będzie. Tak to jest polegać na ludziach, którzy nie rozstają się z bongiem.

Na peronie spotkał czwórkę nowych znajomków: trzy laski i jednego dość sztywnego typu. Widzieli się chwilę wcześniej na skateparku przed Ergo Areną. Sonię znał już od pewnego czasu, uczyła się jeździć, całkiem dobrze jej szło. Druga laska i student właściwie go nie obchodzili, taki nieciekawny dodatek, który obowiązkowo lądował na talerzu wraz z daniem głównym.

Prawdziwy rarytas odzywał się najmniej ze wszystkich. Zjawiskowa dziewczyna, towar najwyższej klasy, niezła sucz, ziomo–ja–pierdole–jaka–dobra. Białe top, skórzane dzwony, buty na grubej podeszwie. Mógłby dla niej zabić.

Wsiedli do przedziału, już w Sopocie odpalili browary. Zwykle za wagon restauracyjny służyła końcowa część składu przeznaczona do przewożenia rowerów. To tam zbierali się amatorzy taniego trunku i ciężkich papierosów, którzy nie mogli poczekać dwudziestu minut, aż dotrą do celu.

Grupa uderzeniowa siedziała po pańsku w normalnym przedziale. Lekko wstawieni, gdyby wpadła kontrola, browary wskoczyłyby do plecaka. Wszyscy poza Hosem skasowali bilety.

Emerytowany skejt potrzebował tej dodatkowej adrenaliny. Jak go złapia, wkręci im jakiś głodny kawałek, a na pierwszej możliwej stacji spierdoli. Dobrze biegał, praktycznie zawsze udawało mu się uciec.

Miarowe kołysanie wagonu wprawiało go w delikatny trans. Myślał o swoim życiu, dlaczego skończył z Paulą, a nie taką dżagą jak ta tutaj? Na chuj dał jej zaciążyć?

Nie, nie mógł tak myśleć. Kochał je obie. Amelka była jego największym skarbem, oczkiem w głowie tatusia. Z Pauliną niejedno przeszedł.

No ale co miał na to poradzić, że tak kręciła go ta skośnooka laska? Jej babka na pewno musiała się puścić z jakimś ciapatym, inaczej nie wyglądałaby tak egzotycznie. Wkręciła dziadkowi, że orientalne rysy dziecka to spadek po jakichś dalekich przodkach.

– Julka, powiedz szczerze, kto wymyślił te dziaby? – rzucił niby od niechcienia. Musiał ją jakoś w końcu zagadać.

– To wyszło przypadkiem, na jednej z imprez – wytłumaczył Gustaw.

„A ciebie, kurwo, kto pytał o zdanie?”

– To musiała być gruba bibka. – Znów spojrzał w stronę gorącej szatynki.

– Z nami wszystkie biby są grube – palnęła Sonia.

„Ja jebie, teraz lesba mi się wtrąca w bajerę. No nie porucham dziś!”

Mijali kolejne stacje. Wzgórze Świętego Maksymiliana, Stocznia, tym razem gdyńska. Grudzień siedemdziesiątego. Tyle chujowych akcji działało się zawsze w grudniu. Stan wojenny, masakra robotników na Wybrzeżu.

Miesiąc, w którym według tradycji miał narodzić się Chrystus. Jakby nieskończone dobro wymagało pojawienia się nieprzeliczalnego zła. Kosmiczna równowaga. Oto wasz zbawca, ale najpierw...

„Jeden zraniony, drugi zabity, krwi się zachciało słupskim bandytom”^[53]. Podczas strajków zginęło czterdzieści jeden osób, kolejne tysiąc sto sześćdziesiąt cztery zostały ranne. „Idźcie do domu, skończona walka. Świat się dowiedział, nic nie powiedział, Janek Wiśniewski padł!”

Grudzień żąda ofiar. Tak było i jest.

[53] *Ballada o Janku Wiśniewskim*, muz. M. Cholewa, tekst K. Dowgiałło, 1980.

ROZDZIAŁ 42 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Kłęczeli nad ciałem zamordowanej kobiety. Storek ściągał kolejne elementy garderoby, technik wszystko dokładnie fotografował. Dochodzeniowiec nie bardzo wiedział, co ma robić, to było jego pierwsze zabójstwo.

Kroon wybrał numer do naczelnika dochodzeniówki.

– No co tam, panie prokuratorze? – Właśnie jechał do domu. A właściwie stał na światłach.

– Panie Sławku, mamy zabójstwo.

– Co?! – zdziwił się policjant. – Na tej melinie?

– Na melinie – powiedział ze stoickim spokojem Kroon. – Pan mi tu pilnie nagoni jakichś kryminalnych, najlepiej od razu z miejskiej. I tak oni to będą prowadzić.

Policjant zaklął.

– Jasne, panie Konradku...

– Zależy mi na czasie. Dzwoni pan do Hołury.

*

Nie pozwolił kryminalnym wejść do środka. Sam wycofał się w kąt, pomieszczenie należało zabezpieczyć i spokojnie przeszukać. Nie zatrzeć

żadnych śladów.

Kryminalny przypominał chłopaka z siłowni. Krótka fryzura, szerokie bary, cywilne ubranie. Drugi z policjantów wyglądał podobnie.

Prokuratorzy właściwie nie rozmawiali z kryminalnymi, każdy z nich orał swoje poletko, do spotkań dochodziło okazyjnie, głównie przy realizacji jakiegoś doprowadzenia. Zabójstwo stanowiło sytuację wyjątkową.

W tego typu sprawach najwięcej materiału dowodowego gromadziło się w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Jeśli coś przeoczono, olano – później trudno już było to naprawić.

– Słuchajcie – powiedział Kroon. – W tym momencie interesuje mnie tylko jedno. Ogarniecie monitoringi, obczajcie wszystkie nagrania z ostatnich dwóch dni. Wytypujecie podejrzane osoby, które przewijały się w tej okolicy. Chcę mieć dokładną listę ze stop-klatkami. Szukamy najpewniej młodej osoby, może dziewczyny, chociaż niekoniecznie. – Przerwał na chwilę. Dwudziestolatka nie uniosłaby sama takiego ciała, potrzebowała pomocy współsprawcy. Jeśli to w ogóle była ona. – I teraz najważniejsze. Jeśli znajdziecie kogoś, kto niósł jakiś worek, podejrzaną torbę... nie przestawajcie dalej kopać. Sprawców mogło być kilku. Wyszperajcie wszystkie charakterystyczne twarze. Dokładną listę osób, które się tu przewijały. Jesteśmy na łączach.

ROZDZIAŁ 43 | SIERPIEŃ

JULIA

Baza postojowa Szybkiej Kolei Miejskiej. Gdynia-Cisowa, tuż na granicy z Rumią.

– Nati? – szepnął Gustaw.

– Co?

Student rozejrzał się wokoło.

– A chyba nic. Coś mi się przywidziało.

Stali przed niebiesko-żółtym wagonem. Trójczłonowy, niskopodłogowy elektryczny zespół trakcyjny EN57. Produkowany jeszcze w latach sześćdziesiątych. Solidna wrocławska konstrukcja.

Hose przyglądał się pracy swoich tymczasowych partnerów w zbrodni. Właściwie nie tworzyli niczego ciekawego, po prostu niszczyli czyjąś własność. Fajnie, że czuli *vibe*, ale nie mieli prawdziwej zajawki. Z Julią sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Dziewczyna dobrze wiedziała, co robi. Umiała trzymać puszkę z farbą, odpowiednio dobierała kolory. Jej dzieło nawiązywało kompozycją do średniowiecznego malarstwa; z drugiej strony obficie czerpało ze sztuki Dalekiego Wschodu.

– Kurde, mała, masz nieźle zrytą banię – stwierdził z uznaniem Hose. Przerwał na chwilę swoją pracę, by popodziwiać graffiti nowej koleżanki.

– Julka to znana pojebuska – podsumowała Sonia.

Tajemnicza dwudziestolatka puściła tę uwagę mimo uszu. Skupiła się na farbie, pociągu i wizji, która niespodziewanie zrodziła się w jej głowie.

Rysunek żył własnym życiem. Jak świat stworzony z jednego boskiego słowa. *Logos* jako ontologiczna zasada kosmosu. Kolejne warstwy narzucały porządek swoim następcom. Graffiti ewoluowało, tworząc wciąż nowe figury. Początkowo proste wzory nabierały złożoności. Wieczne dążenie do doskonałości. Poszukiwanie formy idealnej. Bytu ostatecznego.

Z tego chaosu mogło powstać wszystko: i dobro, i zło. Kiedy praca przybierała jedną z ostatecznych postaci, trudno było mieć wątpliwości, jakie wartości ją konstytuują. Ciemność i mrok, występki i grzech. Gołąb pokoju, który zwiastował wojnę. Nie dawał nadziei, lecz ją odbierał. Wielokrotnie obiecywał odkupienie, by w końcu zgasić w swej ofierze wszelkie życie.

ROZDZIAŁ 44 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Przeszukanie miejsca ujawnienia ciała ciągnęło się w nieskończoność. Do Wrzeszcza zjechała specjalna ekipa techników z komendy wojewódzkiej. Profesjonaliści, Kroon nie miał zamiaru wtrącać się w ich pracę. Wyszedł na zewnątrz.

Tymczasem pod opuszczoną kamienicą pojawiały się kolejne radiowozy. Sprawę przejęła do prowadzenia komenda miejska. Naczelnik dochodzeniówki, naczelnik kryminalnych, niebieski wiec zaafierowanych mundurowych. Trójmiasto wciąż żyło sprawą Ptasznika, a tu kolejna zbrodnia.

Stali w czwórkę przed budynkiem: Kroon, Jasiak, Hołura i Hryniewicki. Prokurator, dwóch naczelników oraz dochodzeniowiec, któremu najpewniej przydzielił śledztwo do referatu.

– Zabójstwo na melinie – ocenił Jasiak. Szef dochodzeniówki widział dziesiątki takich spraw. Typowe morderstwo, zorany alkoholem mózg zapomina, do czego prowadzi gwałtowny kontakt noża z otrzewną. Dzisiaj pijem, jutro gnijem.

– Dziewczyna przedobrzyła. Tylko martwi mnie ten brak krwi – dodał Hołura z kryminalnych.

– Wiele rzeczy mnie tu martwi. – Kroon nie ubrał się odpowiednio do pogody. Skórzana bomberka wystarczała na krótką trasę do auta i z powrotem. Kilka godzin stania na zimnie? Niekoniecznie. – Chłopaki ogarnęli te monitoringi?

– Działają – rzucił zdawkowo Hołura.

Przed budynek zajechał czarny karawan firmy pogrzebowej. Technicy pobrali już z ciała wszelkie możliwe do zabezpieczenia wymazy, odzież zabezpieczono i spakowano do papierowych kopert. Należało przeprowadzić sekcję zwłok.

– Tam, na parterze – powiedział policjant z patrolu, prowadząc ubranych w eleganckie garnitury mężczyzn. „Spokój grabarza, wszystko będzie dobrze”^[54].

Po pięciu minutach znów się pojawili, dźwigając nosze. Dwa metalowe drągi, pomiędzy nimi parciane legowisko. Czarny worek z ładunkiem ważył około pięćdziesięciu kilogramów. Stolzowa była drobną kobietą.

– Do ZMS-u, rozumiem? – spytał grabarz. Chciał po prostu zagadać. Chwilę temu jeden z policjantów przekazał mu wypisane przez Kroona zlecenie przewozu zwłok. Wiedział, jaki kurs zamówiono. „Joe le taxi, Y va pas partout”^[55].

– Ta jest – wykrztusił z siebie Jasiak.

Grażyna Stolz zniknęła we wnętrzu karawanu. Przedostatnia droga.

– Potrzebuję ekipy, która przeszuka jej mieszkanie – oznajmił Kroon.

– Spokojnie, wojewódzcy skończą i się zrobi... – mruknął naczelnik dochodzeniówki, Jasiak Andrzej, lat pięćdziesiąt jeden.

– Weźmiemy chłopaków z miejskiej i jedziemy – poleciał Kroon, zupełnie ignorując opór policjanta. Po rozwiązaniu sprawy Ptasznika funkcjonariusze mieli widocznie mniej zapału do pracy. Skoro udało im się zaliczyć głośne, medialne śledztwo, mogli teraz trochę odpocząć. Po co

przykładać się do zwykłego zabójstwa na melinie? I tak pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje.

– Panie prokuratorze, na spokojnie – rzekł pojednawczo Hołura.

Kroon nie potrzebował się z nikim jednać. Artykuł piętnasty paragraf pierwszy *in principio* Kodeksu postępowania karnego: w zakresie postępowania karnego policja wykonuje polecenia prokuratora. Kropka.

– Na spokojnie? Zbiera pan ludzi i jedziemy – odparł chłodno Konrad. – Teraz.

*

Grażyna Stolz mieszkała w pobliskiej kamienicy. Olejna lamperia, drewniane, wysłużone schody, których stopnie zapadały się wydatnie do środka. Źle zaizolowane fundamenty, smród z piwnicy.

Technicy z wojewódzkiej przeszukiwali właśnie sklep pani Łuszczewskiej, niewielka trzyosobowa ekipa pojechała razem z Kroonem do domu zamordowanej kobiety. Oddział zwiadowców odłączony od głównego trzonu policyjnej armii. Rozpoznanie terenu. Fanaberia szalonego generała.

Mieszkanie wyglądało do bólu zwyczajnie. Meblościanka, tapeta w kwiaty, linoleum na podłodze.

– No i co mam tu robić? – spytał technik Czarek, ten sam, który ledwie kilka godzin temu podważał decyzje Kroona. Nie uczył się na błędach.

Konradowi tłoczyły się w głowie dziesiątki złośliwych odpowiedzi. Zamiast sarkazmu wybrał spokój.

– Zakładamy kombinezony, pan robi zdjęcia, my czekamy w korytarzu.

Policjant stęknął, ale wykonał polecenie. Bądź co bądź prowadzili czynności w sprawie o zabójstwo.

Sfotografował wszystko tak, jak tego wymagają reguły sztuki. Plan pełny, zdjęcia kolejnych pomieszczeń, zbliżenia na detale. Żadnych podejrzanych śladów, mieszkanie ogarnięte, wysprzątane, czyste.

– Nic tu nie ma – stwierdził jeden z młodych policjantów.

– No właśnie – dodał Kroon. – Trochę zbyt czysto jak na kwatere alkoholiczki.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Zajrzał do kosza, śmieci wyniesione. Pojemnik na pranie właściwie pusty.

Stanął w dużym pokoju koło telewizora.

– Psiknie pan tu luminolem – wskazał dłonią na podłogę pod kaloryferem.

Technik otworzył torbę, wyciągnął butelkę ze sprayem. Nacisnął kilka razy na rączkę. Oczekali chwilę.

– Pusto – stwierdził policjant.

Kroon krążył po pokoju. Biały kombinezon i maska chirurgiczna gwarantowały, że nie zanieczyszczą potencjalnego miejsca zbrodni własnym materiałem biologicznym.

– Jeszcze tu. – Pokazał na stół.

Moment niepewności, znów pudło.

– Mówię panu, dziabnął ją w tamtym opuszczonym sklepie.

Pozostali policjanci przyglądali się wszystkiemu z uwagą. Z jednej strony doświadczony technik, z drugiej nieustępliwy prokurator. Którego konia obstawić?

– Wszystkie drogi prowadzą do sklepu Łuszczewskiej – mruknął dochodzeniowiec.

Droga. Przejście. Korytarz.

Kroon ruszył w stronę przedpokoju. Wciągnął powietrze. Swąd starego mieszkania i jeszcze coś. Delikatnie gryzący zapach. Chlor.

– Spryska pan podłogę.

Pozbawiony okien korytarz był najciemniejszym obok łazienki pomieszczeniem w całym domu. Technik stanął na progu i od niechcienia nacisnął kilka razy na spust dozownika. Tylko odrobinka, substancja należała do rakotwórczych.

Na podłodze zatańczyło niebieskie światło. Zawarte w hemoglobinie żelazo weszło w reakcję z nadtlenkiem wodoru. Fluorescencyjna poświata, za trzydzieści sekund wszystko zniknie. Fosforyzujący ślad buta.

– O kurwa... – zaklął technik.

– Nie kurwa, tylko zdjęcia – ponaglił Kroon.

*

Po odkryciu pozostałości krwi ekipa kryminalistyczna uległa znaczącemu powiększeniu. Technicy zabezpieczyli kilkadziesiąt różnych śladów. Nie można było wszystkiego spryskiwać luminolem, gdyż substancja niszczyła wykrywane DNA. Plusy dodatnie, plusy ujemne.

Kroon siedział na klatce schodowej kamienicy z papierowym kubkiem kawy z Żabki i myślał. Poleciał policjantom rozpytać sąsiadów, ponoć dzień wcześniej słyszeli jakieś odgłosy kłótni. Konkubent Stolzowej często się awanturował. Ostatni raz widzieli go wczoraj rano, później zapadł się pod ziemię. Kryminalni pociągnęli za sznurki.

Na korytarzu pojawił się komisarz Hołura.

– W sklepie Łuszczewskiej raczej czysto. Praktycznie żadnych świeżych śladów. Musiał ją dziabnąć tutaj – oznajmił naczelnik.

– Znaleźliście jej faceta?

– Szukamy. Janusz Podgajny, zbieracz złomu, karany za kradzieże.

Kryminalni uderzyli do wszystkich najpopularniejszych miejscówek. Należało pogadać z kolegami, odwiedzić meliny, budki z jednorękami bandytami. Badając sprawę Ptasznika, spalili wprawdzie kilka kontaktów, ale teraz mieli do czynienia z zupełnie inną grupą społeczną. Ptasznik był trzydziestoletnim artystą, obracał się wśród bohemy. Podgajny i Stolzowa należeli do marginesu. Dwa zabójstwa popełnione w ciągu jednego miesiąca. Dwa odebrane życia, dwa ludzkie dramaty. Na tym kończyły się podobieństwa. Chyba.

– A zdjęcia z monitoringu?

– Na trasie z kamienicy Stolzmanowej do sklepu Łuszewskiej nie ma żadnych kamer. Jeśli ktoś niósł ciało prostą drogą, możemy niczego nie ujawnić.

– Nie przestawajcie drążyć – rzekł wciąż zamyślony prokurator.

*

Już dawno powinien położyć się spać. Policjanci kończyli trzepać mieszkanie, ciało czekało w kostnicy na jutrzejszą sekcję.

– To by było na tyle, panie prokuratorze. Chyba już nic więcej stąd nie wyciśniemy.

– Znaleźliście narzędzie zbrodni? – spytał nieco zaspany.

Funkcjonariusz wzruszył ramionami.

– W kuchni leżało kilka noży, wzięliśmy wszystkie, które mogłyby się nadać.

Wyczyścić mieszkanie chlorem, zakleić ranę taśmą, obmyć ciało ofiary, włożyć jej nowe ubranie, zabrać i zniszczyć wszystko, co miało na sobie plamy krwi. Znieść zwłoki do pobliskiej meliny. Sprawca nie chciał zostać złapany. Noża pozbyłby się w pierwszym momencie.

– Pokażcie mi je.

Policjant wrócił do środka. Po chwili znów wyszedł na klatkę schodową, niosąc karton z dowodami.

– Taki do chleba, mięsa, jeden prążkowany...

– To nie one – stwierdził Kroon. Podniósł się na nogi, wszedł do mieszkania.

Raz jeszcze obszedł każde z pomieszczeń. Duży pokój, sypialnia, niewielka kuchnia, łazienka. Zajrzał do toalety. Otworzył zbiornik spłuczki. Zakamieniona.

– Jacuś, podaj mi tamtą torbę! – krzyknął jeden z policjantów.

Zbierali manatki. Oni też mieli dom, rodziny, własne życie. Czas wracać na chatę.

Kroon odkręcił kran. Przysłuchał się dźwiękowi spływającej wody.

– Panie Michale, rozkręci pan to kolanko! – zawołał.

*

– No, kurwa, nóż! Nóż jak nic.

– Skubany!

– Pan to ma nosa, panie prokuratorze!

Kroon czuł, że wciąż mu czegoś brakuje. Jest nóż, jest ciało, wytypowano potencjalnego sprawcę. Noc przed morderstwem sąsiedzi słyszeli odgłosy kłótni, konkubent zmarłej ulotnił się z mieszkania. Wystarczy zbadać ślady biologiczne, porównać odciski palców. Motyw nasuwał się sam.

„Krzycz, jeśli żyjesz”.

Zabawne powiedzonko, wymyślone przez bandę naćpanych dwudziestolatków. Tatuaż na ręce przygodnej samobójczynie. Świeże graffiti na ścianie, pod którą złożono ciało zamordowanej kobiety. Urodzony w Gdańsku niemiecki filozof Arthur Schopenhauer zwykł mawiać, że nawet

to, co najbardziej przypadkowe, jest w ostatecznym rachunku koniecznością.

Czy istniał związek pomiędzy tymi dwiema sprawami? Czy popełnił błąd w sprawie Weroniki Zatorskiej?

Kroon analizował w myślach wszystkie szczegóły niedawno umorzonych sprawy. To niemożliwe, żeby coś przeoczył. Jednoznaczna opinia z sekcji zwłok, wyniki badań krwi, zeznania świadków. Głębokie zaburzenia psychiczne zmarłej, śmierć z przedawkowania. Żadnego związku z tajemniczą Julią.

Zebrał kompletny materiał dowodowy, poddał go rzetelnej analizie, wydał jedyną możliwą decyzję. Lecz co, jeśli istniała jeszcze jakaś poszlaka, o której po prostu nie miał prawa wiedzieć?

Na zajęciach z logiki uczono go, że o ile nie zachodzi błąd w rozumowaniu, prawdziwe przesłanki zawsze prowadzą do prawdziwych wniosków. Na tym polegała dedukcja. Do faktów można było naturalnie dotrzeć także naokoło, prawdziwe wnioski bowiem dało się uzyskać i z błędnych przesłanek. Co jednak, jeśli Kroon nie dysponował pełnym zbiorem przesłanek w sprawie śmierci Weroniki Zatorskiej? Wprowadził do komputera obliczeniowego niekompletne dane?

Schodził na dół, kiedy nagle na schodach pojawił się jeden z kryminalnych przysłanych przez naczelnika Hołurę. W trakcie tego ciągnącego się w nieskończoność wieczoru Konrad dzwonił do niego kilka razy z ponagleniem.

– Panie prokuratorze, mam te zdjęcia, o które pan prosił.

Kroon ledwo widział na oczy. Był na nogach od siódmej.

– I co?

– W okolicach sklepu przewinęło się kilka osób, które być może weszły do środka. Niestety żadnych babek. Ze znanych nam postaci jest ten tu

Czarek Podgórski, lokalny menel, Mirek Kowal, notowany za włamy, taki jeden chuligan, co sprejuje pociągi, Jarek Piotrowski, znęcał się nad żoną, Przemysław Łącki, na koncie rozbój i...

Konradowi zadzwieczało w uszach.

– Co pan powiedział?

– Karany za rozbój w dwa tysiące piątym. Stara recydywa, teraz od kilku lat jeździ na taksówce...

– Nie, nie ten. – Kroon wziął od niego listę. – Chodzi mi o grafficiarza.

– Emerytowany skejt – wytłumaczył kryminalny. – Ubabrał kiedyś ścianę pod urzędem miejskim... Dzisiaj pracuje jako grafik, żona i dziecko, ale nie może się powstrzymać, by czasem czegoś nie ujechać farbą. Pół roku temu wsypał nam takich gnojków, co pomalowali niemiecki konsulat barwami Lechii.

– Znajdźcie mi go.

[54] Elektryczne Gitary, *Spokój grabarza* (piosenka), *A ty co*, 1993.

[55] V. Paradis, *Joe le taxi* (piosenka), *M&J*, 1987.

ROZDZIAŁ 45 | SIERPIEŃ

JULIA

– Dawaj, Gustaw! – wrzeszczała Julia. Czuła adrenalinę, podniecie, czuła, że żyje. Krzycz, jeśli żyjesz. Krzyczała głośno. Krzyczała najgłośniej.

Wbiegli między drzewa. Wypadało zwolnić, ale wciąż ich ścigali. Gustaw dostał w łeb jakąś gałęzią. Wspinali się na górę. Stare buki i świerki wyglądały jak zaklęte w kamień upiory. Każdy Kaszub wie, że w nocy las budzi się do życia. Duchy zamordowanych tu bestialsko osób, ofiary Krzyżaków, Polaków, Niemców i Ruskich. Te wzgórza sływały niegdyś krwią.

Zgubili pogoń, ale nie odpuszczali. Pędzili na oślep. Gustaw tracił oddech, Julka była niepokonana.

– Tutaj! – Wskazała palcem na prawo. Przystanęli. Oczy przyzwyczały się nieco do mroku. Noc była przeraźliwie cicha.

– Chyba wrzucili na luz – ocenił Kolasa.

Julia odpaliła latarkę w telefonie. Kawałek dalej, na resztkach niewielkiego schronu, ktoś wznosił prowizoryczny szałas. Dotarli do schroniska.

– To tutaj, kolego. Nasz prywatny *panic room*.

– Przecież tam nie wejdziemy – odparł Gustaw.

– Dlaczego nie?

Jak zwykle postawiła na swoim. W pomieszczeniu walało się pełno butelek i plastikowych toreb. Jeśli idziesz do lasu, pamiętaj, by zabrać z domu swoje śmieci. Zwierzątka będą ci wdzięczne.

Usiedli na plecakach. Kolasa czuł, jak opuszcza go adrenalina. Udało im się uciec.

– Co to była za akcja! – Zaśmiał się. Będzie miał co opowiadać wnukom.

– Nabiegasz się ze mną – podsumowała Julia. – Dwa sprinty w ciągu jednego tygodnia.

– Niezły rezultat. Tym razem przynajmniej nikt nie obił mi ryja.

– Szczęściarz.

Siedzieli chwilę w ciszy. Nagle coś poruszyło się w przeciwległym kącie pomieszczenia.

– Co to było?! – Kolasa aż podskoczył. Nie trzeba oglądać dużo thrillerów, żeby bać się nocnego lasu. Gdy zapada zmrok, trudno zachować zdrowe zmysły, siedząc w ciemnej kniei.

– Nie wiem, sprawdź! – poleciała dziewczyna.

Gustaw miał pietra. Podniósł z ziemi gałąź i dotknął nią czegoś, co początkowo wziął za kupę szmat.

– To jakiś człowiek... – wyszeptał.

Julia podeszła bliżej. W schronie spał bezdomny. Waliło od niego wódą, był mocno napruty.

– Zaprosiłeś kolegów? – spytała, świecąc na Gustawa latarką.

– Zostaw to! – Zasłonił się dłonią przed światłem. – Zwiewamy!

Julka usadowiła się na ziemi.

– Boisz się ludzi? Czy boisz się jego biedy? A może trzeba mu pomóc?

Zawstydziła go. W domu zawsze wpajano mu szacunek do drugiego człowieka. Rodzice dawali na Caritas, Gustaw zbierał do puszki WOŚP-u. Kiedy ktoś prosił na ulicy o pieniądze, proponował wspólne zakupy. Dlaczego teraz zachował się jak dzikus? Chyba chodziło o strach.

– Przepraszam... – wyszeptał.

Julka nigdy nie manifestowała jakichś przesadnych pokładów empatii. Gustaw podejrzewał, że raczej gardziła innymi ludźmi, niż jakkolwiek im współczuła. Tym bardziej poczuł się zawstydzony jej twardym osądem.

– Jak chcesz mu pomóc?

– No nie wiem... Może poczekamy, aż się obudzi, albo zadzwonimy po karetkę? – Tak naprawdę nie wiedział, co powinien zrobić. Mężczyzna żył, był pijany w sztok, temperatura powietrza oscylowała wokół piętnastu stopni, spokojnie mógł spać tak do rana.

– I co wtedy? Co wtedy powiesz? – spytała z wyrzutem. – Tu jest samotny, niekochany człowiek, pomóżcie mu, bo ja mam go w dupie? Jeden telefon, problem z głowy i znów czyste sumienie? Naprawdę tak łatwo ci to zrobić?

Gustaw się zmieszał.

– Myślisz, że powinienem z nim porozmawiać? – zagaił.

– O czym? Dzieli was przepaść. Wszechświat doświadczeń, wieku i bólu. Jak chcesz przerwać cierpienie, o którym nie masz bladego pojęcia?

To było całkiem nowe oblicze Julii. Ciepłej, empatycznej, troskliwej. Nie znał jej takiej.

– Julka, powiedz, proszę... – wyszeptał. – Co mam zrobić?

– Uciec. Tak jak całe życie uciekasz. Albo wziąć raz w życiu sprawy w swoje ręce. Stać się odpowiedzialnym za czyjeś życie.

A więc jednak była aniołem. Nie tylko zewnątrz. Bawiła się z nimi przez całe lato, obserwowała ich poczynania, nie oceniała. W decydującej chwili zrzuciła swe przebranie, ukazując się Gustawowi w całej okazałości. Objawienie. Apokalipsa Świętej Julii. Światło z nieba, nadzieja dla potrzebujących. Julia. Kosmiczna istota, przewodnik zagubionych dusz.

– Powiedz mi jak.

– Tamtej nocy, kiedy dałam ci kryształ. – Wróciła pamięcią do dnia, kiedy wzięła go pod swe skrzydła. – To było zaproszenie. Wyzwanie rzucone zagubionemu dziecku. W kryształ odbijają się wszystkie nasze pragnienia i słabości. To pokarm bogów. Zaprosiłam cię do tego świata. Gustawie, czy pragniesz stać się jednym z bogów?

– Tak – oświadczył niemal bezgłośnie.

Julka otworzyła plecak. Szukała czegoś w środku. Jakieś klucze, podpaski, kilka puszek z farbą. Rozpuszczalnik.

Po co zabierać rozpuszczalnik na malowanie pociągów?

– A więc stanie się – rzekła uroczyście.

Otworzyła butelkę. Gustaw od razu poczuł silną woń alkoholu etylowego. Co chciała zrobić? Wręczyć mu truciznę, by sprawdzić, czy jest jej w stanie skosztować? Czy jest w stanie zrobić dla niej wszystko?

Julia podeszła do leżącego mężczyzny i wylała na niego całą zawartość butelki. Nawet się nie poruszył. Mamrotał coś przez sen.

– Co ty robisz?! – krzyknął Kolasa.

– To, co trzeba zrobić. To, czego nikt nie miał do tej pory odwagi zrobić. – Wyciągnęła zapalniczkę. – Proszę, Gustaw. Oto twoje zadanie.

– Przestań, Julka! – zawołał, niemal płacząc.

– Jego życie już dawno temu umarło. Jest jak żywy trup, porusza się po tym świecie i cierpi. Tkwi uwięziony w pułapce wiecznego powrotu. Czeka, aż ktoś zakończy jego męki.

– Chyba nie mówisz poważnie?! – Zaklinał rzeczywistość. Wiedział, że Julia nie żartuje.

– Miej odwagę. Miej odwagę wziąć na barki odpowiedzialność za jego życie. Odebrać mu cierpienie i bezsens istnienia. – Zapaliła płomień.

– Przecież nie spalisz go żywcem!

– Nie, to twoje zadanie – szepnęła.

– Jesteś nienormalna.

– Ten człowiek już dawno umarł! – podniosła głos. W bladym świetle płomienia przypominała demona. – Nie odbierzesz mu życia, bo dawno już je utracił. Zabierzesz tylko ból.

– NIEEEE! – wrzasnął, wybiegając na zewnątrz.

Biegł prosto przed siebie, złękniiony, zagubiony. Przystanął po chwili, by sprawdzić, czy z oddali dostrzeże jakiś płomień. By sprawdzić, czy Julia odbierze życie niewinnej osobie.

Żadnego ognia. Żadnego krzyku. Jedynie mrok lasu.

„Nie zrobiła tego. Po prostu ryje mi banię. Cały czas ryje mi banię” – pomyślał.

Julia zgasila zapalniczkę. Powoli wyszła na zewnątrz. Gustaw stał kilkadziesiąt metrów dalej. Zamachał do niej latarką. Miała łzy w oczach, ale on ich nie dostrzegł. Nie wiedział, co teraz dzieje się w jej głowie. Nikt nie wiedział.

ROZDZIAŁ 46 | GRUDZIEŃ

KONRAD KROON

Hose i tak chadzał spać dość późno. Siedział z blantem przed komputerem i dłubał coś przy nowym zleceniu. Takie granie do kotleta: porządna kasa, ale wstyd to komukolwiek pokazać.

Zapukali grzecznie, weszli jak do siebie. Kilka razy wcześniej prowadzili kulturalną pogawędkę. Wstyd się tak skurwić i sypać psom, ale Hose nie miał wyboru. Pierwszy raz złapali go kilka lat temu, właściwie przypadkiem, kiedy miał trochę za dużo dragów i walił farbą po InterCity. Tak został ich informatorem.

– Cześć, Misiu, co tam smacznego zajadasz? – rzucił kryminalny.

Hose prawie spadł z krzesła. Jego żona spała w drugim pokoju, rano musiała wstać do pracy. Córeczka też już dawno leżała zwinięta w kłębuszek. Mały aniołek z długimi loczkami.

– Ja pierdolę, co wy tu robicie?! – szepnął. – Dziecko mi obudzicie!

Przysiedli się do niego.

– Wiesz, że to nielegalne? – spytał policjant, wskazując dłonią na skręta.

– Czego chcesz?

Funkcjonariusz westchnął.

– Babrałeś coś w sklepie Łuszczewskiej? Taka melina na Dolnym Wrzeszczu.

Przyznać się czy zaprzeczyć? Chłopaki nie lubili kłamców. Poza tym nie zrobił nic złego. Trochę farby na budynku przeznaczonym do rozbiórki. Zerowa społeczna szkodliwość czynu. Wybieram bramkę numer trzy: szczerłość.

– Graffiti tam przedwczoraj namalowałem. A o co chodzi?

– Prokurator się tobą zainteresował. Pojedziesz z nami.

*

Hose skreślił krótką wiadomość do żony, napisał, że ma pilną sprawę na mieście. Przyczepił jej kartkę do lodówki. Pamiątkowy magnes ze wspólnej wycieczki do Bratysławy.

Jeździli z nim po mieście i rozmawiali. Konwersacja nie należała do przyjemnych, takie ciągnięcie za język, trochę gróźb, bluzgów i przyjacielskich kuksańców. Na koniec wrzucili go na dołek za posiadanie.

Nad ranem telefon do Kroona.

– Panie prokuratorze, mamy tego grafficiarza. Zatrzymany za narkotyki. Cztery gramy zioła. Co z tym robimy?

– Powiedział coś ciekawego?

– Przyznał się, że to on nabazgrał ten napis. Dzień przed morderstwem. W czasie, w którym zabito Stolzową, siedział u starych pod Słupskiem. Jeszcze z nimi nie gadaliśmy, ale logowania telefonu to potwierdzają. Mamy go cisnąć?

Kroon jeszcze nie zajechał do pracy. Zarwał poprzednią noc, postanowił się chwilę spóźnić.

– Przywieźcie go na Piekarniczą.

*

Rzadko kiedy osobiście służył świadków, sprawa o zabójstwo wiadomo – inna para kaloszy. Szefowa obiecała mu, że śledztwo dostanie ktoś z pierwszego DS-u.

Nie napierał na zamiankę. Chciał prowadzić to postępowanie.

Konrad czuł, że powróciły dawne emocje. Przyjaciół z dzieciństwa, lata–niewidziany–brat. Zaginiona część jego duszy.

Rozpaczliwie pragnął dotrzeć do prawdy. Wiedział, kogo goni. Spodziewał się, kto zerka tuż zza zakrętu.

Julia. Tajemnicza dziewczyna Gustawa Kolasy. Julia, która odcisnęła swe transcendentne piętno na czasoprzestrzeni. Julia, która miała w końcu obudzić Kroona.

– Podłubię przy tym chwilę, Magda, wkręciłem się.

– Dawno cię takiego nie widziałam – zdziwiła się Rejonowa. – Jednak polubiłeś tę robotę?

– Po prostu mnie pojechało.

Hose przyjechał w kajdankach, choć tak naprawdę nie bardzo wiadomo, czemu mu je założyli. Nie dostał żadnych zarzutów, Kroon chciał go słuchać jako świadka. Gdyby nie te narkotyki, musieliby go potem przeproszać.

– Rozkujcie pana – polecił kryminalnym.

Formalnie służył do śledztwa dotyczącego zabójstwa Stolzowej. Sprawa miała oczywiście szerszy kontekst, znany jedynie Kroonowi. „Krzyż, jeśli żyjesz”. O co, do kurwy nędzy, chodzi z tym powiedzonkiem?

Jak zawsze zaczął od przedstawienia się. Szybkie pouczenie o prawach i obowiązkach. Wreszcie przystąpił do czynności.

– Wie pan, w jakiej sprawie został tu... doprowadzony?

Hose wciągnął powietrze przez na wpół zatkany kanał nosowy. Kolumbijski katar.

– Tego graffiti, które namalowałem. Zniszczenie mienia?

– Dlaczego pan to zrobił?

Uliczny artysta nie wiedział, co odpowiedzieć. Kochał malować.

– Po prostu... potrzebowałem. Taką mam zajawkę, jeszcze od dzieciaka.

Kroon obserwował każdy ruch jego ciała.

– Skąd pomysł? Skąd wzięło się to zdanie?

Hose wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem... – Chciał na tym poprzestać, ale widział, że prokurator nie odpuści. Powiedz mi wszystko, co wiesz, albo tak cię dojadę, że będziesz błagał o areszt. – Usłyszałem kiedyś od takich ziomeczków w wakacje.

Krzycz, jeśli żyjesz.

– Zamieniam się w słuch – oznajmił Kroon, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

Jeden sierpniowy wieczór. Wycieczka do Gdyni, malowanie pociągów, ucieczka przed ochroniarzami. Hose pokrótce streścił szczegóły tamtej eskapady.

– Zrobili sobie takie fajne dziary: KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Spodobało mi się to hasło.

– Z przecinkiem czy bez? – dopytał prokurator. Liczył się każdy szczegół.

Hose wrócił pamięcią do zeszłych wakacji. Tatuaż z przecinkiem? Raczej nie.

– Chyba bez – zeznał.

– Chyba czy na pewno?

Kroon, chłodny jak syberyjski mróz.

– N-na pewno – wyjąkał Hose.

Kolejne pytanie:

– Kto był w tej ekipie?

– Boże, nie pamiętam... – Serio nie wiedział. Poznawał mnóstwo nowych ludzi, sporo ćpał, miał regularne luki w głowie. – Kilku typów, nie... jeden typ. Taki raczej sztywny. I dwie typiary.

Konrad przygotował sobie wcześniej akta w sprawie samobójstwa Zatorskiej. Prawomocnie umorzone śledztwo. Gdyby pojawiły się nowe okoliczności, mógł je w każdej chwili podjąć. Nie chciał popełnić błędu.

– Kojarzy pan tę dziewczynę? – Pokazał grafficiarzowi zdjęcie Weroniki. Fotografia z rodzinnego albumu, na niej uśmiechnięta, nieco zamyślona dziewczyna.

Hose zaprzeczył.

– Nie znam.

– Proszę się dobrze zastanowić – polecił prokurator. W tej chwili poddawał świadka autorskiemu badaniu nieświadomych reakcji organizmu. Wariograf był w Polsce zakazany, ale Kroon nie potrzebował żadnego elektronicznego wykrywacza kłamstw. Zawsze nosił przy sobie własny. Cudowny szósty zmysł.

– Nie, nie kojarzę. Na pewno nie było jej wtedy z nami.

A więc nie Weronika. Brak związku ze sprawą. Uff.

– Proszę się teraz skupić. Kto z tamtego grona przyjaciół najbardziej zapadł panu w pamięć?

Hose uśmiechnął się.

– Była taka jedna laska...

– Jak miała na imię?

Naprawdę nie mógł sobie przypomnieć. Dziury w pamięci, codziennie przed snem blancik albo dwa.

– Kurczę... ładna taka. Lekko skośne oczy, długie włosy... No top klasa. Spoko malowała, widać, że wiedziała, co robi.

– Justyna? – Konrad specjalnie podsunął podobne imię.

– Może...

– Judyta?

Hose przymrużył oczy.

– Nie...

– Julita? – Prokurator podrzucił kolejną wskazówkę. Ciepło, ciepłej, gorąco, parzy!

– Już wiem! – ucieszył się grafficiarz. – Laska miała na imię Julia!

*

Konrad przesłuchiwał świadka przez dobrą godzinę, pytał po kilka razy o te same rzeczy. Uszczegóławiał pytania, prosił, by Hose opowiedział wszystko w odwrotnej kolejności. Żadnego kłamstwa.

Nie zgadzały się jedynie drobne detale, ale to normalne po tak długim czasie. Każdy z nas nieco odmiennie postrzega rzeczywistość, zapamiętuje to, co uważa za istotne, jeśli informacja nie jest potrzebna, umysł zaczyna powolne kasowanie danych.

Hose poznał Julię. Dziewczyna bez wątplenia istniała, potwierdzały to zeznania Kolasy, Salińskiej, Rosikowej i Duchnowskiego. Tylko co z tego?

Grafficiarz pamiętał, że była ładna. Gorąca laska. Nigdy więcej jej nie widział. Zapamiętał hasło z tatuażu, pół roku później namalował je na

ścianie zrujnowanego budynku. Następnej doby ktoś podrzucił w to miejsce ciało Grażyny Stolz. Przypadek?

Zwolnili go do domu, za narkotyki miał dostać najwyżej grzywnę. Hose wrócił do żony, przeprosił za swoje nagłe zniknięcie. Oczywiście nie powiedział jej prawdy.

Kroon siedział w robocie do późna. Sporo zaległości, jak to w grudniu. Trzeba było kończyć sprawy. Około piętnastej telefon.

– Panie prokuratorze, mamy Podgajnego. Przyznał się do wszystkiego.

*

Kryminalni z komendy miejskiej zaliczyli swój drugi w tym miesiącu spektakularny sukces. Dwa zabójstwa, dwóch ujętych sprawców.

Mężczyzna wyjaśnił, że czynu dokonał pod wpływem impulsu. Konkubina wróciła pijana do domu, on miał wypite tylko kilka piw. Właściwie to był trzeźwy.

Motyw przestępstwa stanowiła zazdrość. Grażyna potajemnie spotykała się z kolegą Janusza Podgajnego, niejakim Leszkiem Malotką. Przyłapał ich *in flagranti*, obił Malotce ryj i wyrzucił za drzwi. Później pokłócił się z Grażą.

Burzliwa wymiana zdań, rzucanie przedmiotami, kilka policzków. Nie zasługiwał na takie upokorzenie.

Kuchenny nóż władowany w podbrzusze, gwałtowny upływ krwi. Szybka śmierć.

„Boże, co ja zrobiłem?!”

Podgajny usiadł nad ciałem i ochłonął. Najpierw zapłakał nad utraconym życiem, później nad swoim marnym losem. Nie chciał trafić za kratki. Dostałby pewnie dożywocie.

Nigdy więcej nie oddychać świeżym powietrzem? Nie spacerować brzegiem morza, nie pić taniego wina na brzeźnieńskim bulwarze? Może i stoczył się odrobinę, ale kiedyś był przecież szalonym młodzieńcem, gonił za marzeniami, uciekał na wagary, podrywał dziewczyny, chodził na dyskoteki, miał zostać kimś wielkim. Wciąż widział siebie jako zbuntowanego dwudziestolatka i tylko kiedy spoglądał w lustro, nie bardzo rozumiał, dlaczego wygląda tak jakoś staro.

Najpierw rozpytanie na komendzie. Tu nie ma miękkiej gry. Później wycieczka do Kroona.

Konrad przedstawił mężczyźnie zarzut z artykułu sto czterdziestego ósmego paragraf pierwszy. Zarzut zabójstwa.

Podgajny przyznał się do popełnienia przestępstwa. Złożył obszerne wyjaśnienia. Dużo płakał, okazywał skruchę, błagał o litość.

Kroon zadawał celne pytania. Poszukiwał nieprawidłowości, jakiegoś odstępstwa od schematu, ale na jego nieszczęście wszystkie puzzle idealnie do siebie pasowały. Podgajnemu nikt nie pomagał. Wyczyścił mieszkanie, zakleił ranę taśmą, obmył ciało, poplamione krwią ubrania wrzucił do kontenera PCK. Nad ranem, trzy godziny przed wschodem słońca, kiedy niemal całe miasto spało, zniósł konkubinę do ich ulubionej kanciapy. Na ścianie faktycznie ktoś namalował jakieś nowe graffiti. Dla Podgajnego nie miało ono żadnego znaczenia.

– Skieruję teraz do sądu wnioski o pańskie tymczasowe aresztowanie – oznajmił Kroon. – Rozumie pan, że tu właściwie nie ma innej możliwości.

– Rozumiem – szepnął, wciąż ocierając łzy z twarzy.

– Chciałbym jeszcze zadać panu takie jedno pytanko. Poza protokołem.

W rogu pokoju siedział sędziwy adwokat. Już dawno powinien przejść na emeryturę, ale zbyt mocno kochał swoją pracę, by dać się zamknąć w domu starców.

Zgodnie z artykułem osiemdziesiątym Kodeksu postępowania karnego oskarżony musi mieć obrońcę w postępowaniu przed sądem okręgowym, jeżeli zarzucono mu zbrodnię. Podgajny nie miał adwokata z wyboru, na wniosek Kroona sąd od ręki wyznaczył mu obrońcę z urzędu.

Stary mecenas spojrział na prokuratora. „Poza protokołem?” Nie lubimy takich akcji.

– Pytanko? – powtórzył podejrzany mężczyzna.

– Czy powiedzenie „krzycz, jeśli żyjesz” brzmi jakoś znajomo?

Sprawca wzruszył ramionami. Znosząc ciało do sklepu Łuszczewskiej, myślał jedynie o tym, by jak najszybciej uciec. Nie miał czasu na odcyfrowywanie artystycznych liter graffiti.

– Nie...

– A czy... – Ostatnia szansa. – Znał pan taką dziewczynę, na oko dwadzieścia lat, lekko skośne oczy, wyjątkowo ładna... Miała na imię Julia?

Brzmiało jak opis anioła. Podgajny uśmiechnął się do Kroona. Tymczasowy areszt miał zamienić się dla niego w dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. Zmarł na raka sześć lat przed końcem kary.

– Nie znam. I chyba nigdy już nie poznam.

*

Szefowa spytała Kroona, czy chce prowadzić tę sprawę do końca. Miała wakat na dziale śledztw, wiedziała, że Konrad nie jest zainteresowany awansem, ale nagle zaangażowanie w zabójstwo Stolzowej zrodziło w niej iskierkę nadziei.

Prawdę powiedziawszy, Kroon rozważał taką opcję. W normalnych okolicznościach zapewne by odmówił. Grudzień, koniec roku, masa własnych niezamkniętych postępowań. Chciał mieć przestrzeń na życie

prywatne, *work and life balance*, cholera jasna, przecież nie był pierdolonym boomerem! Rocznikowo generacja X, lecz mentalnie rasowy Igrek.

Przedłużająca się nieobecność Zuzy sprawiała, że Konrad musiał zająć czymś umysł. A ten pracował na zwiększonych obrotach. Szósty zmysł połączony z siłą analitycznego rozumowania. Kroon, który przez chwilę znów robił to, co umiał najlepiej. Potrzeba transcendencji, o której pisał Erich Fromm, została w końcu zaspokojona. Mimo że Julia okazała się jedynie efemerydą, Konrad czuł, jak jego życie w końcu wraca na właściwe tory.

Mógł zostać najlepszym prokuratorem w kraju. Pierdolić kolegów, którzy nigdy nie wychodzili z biurka. Będzie prowadził śledztwa tak, jak lubi, osobiście przesłuchiwał, samodzielnie przeprowadzał przeszukania i zatrzymania. Wtedy, na studiach, wiedział, jak ma wyglądać jego życie. Pokazał środkowi palec wujowi, olał asystenturę na UJ-ocie, zdecydował o swoim losie.

Kiedy dwanaście lat temu odebrał nominację prokuratorską, miał z tyłu głowy obietnicę złożoną chwilę wcześniej wujowi. „Nigdy się w nic nie zaangażuję. Nie zrobię kariery. Nie dam ci tej satysfakcji”. Dotrzymał słowa. Pięć talentów zakopanych głęboko w ziemi. Sługa zły i gnuśny.

Teraz bił się z myślami. Tak wiele czasu zmarnował.

– To jak, zostawić to na ciebie? – spytała Magda.

Rejonowa potrzebowała pomocy. Jej okręt szedł na dno, Kielrowski w okręgu, Nowicka na zwolnieniu lekarskim, przecież nie pociągnie całego rejonu kilkoma asesarami i nieudacznikiem Boruckim.

Prawie się zgodził. Wtedy jednak, ledwie kilka dni przed Gwiazdką, dostał niespodziewaną wiadomość: „Czekam na lotnisku, kocie, kiedy po mnie przyjedziesz?”.

CZEŚĆ SZÓSTA

CZŁOWIEK ZBRODNIARZ

ROZDZIAŁ 47 | SIERPIEŃ

ZUZA

Nie widziała Konrada przez dobre dziesięć dni. W pewnym momencie myślała, że to koniec. Nigdy jej na tak długo nie zostawiał.

Podobne akcje zdarzały się już w przeszłości. Kilka gwałtowniejszych kłótni, parę razy otarło się prawie o rozstanie. Byli razem ponad dziesięć lat. Taki typowy przechodzony związek. Konrad chciał ślubu, Zuza uważała go za jakąś patriarchalną bzdurę. On nie napierał. Chciał to dalej ciągnąć, nawet na kocią łapę.

Na kocią łapę. Tak zawsze mawiała jej babcia. Jak wy życie? Bez ślubu, bez Boga?! Na kartę rowerową! „Konradku, weź ty jej lepiej kup jakiś pierścionek, oświadczyć się” – prosiła. „Dziewczyna nie może tak czekać!” Miała do niego wyraźną słabość. Zresztą on do niej także.

Konrad nigdy nie zdecydował się na zaręczyny. Znał się na ludziach jak nikt, wiedział, że taka akcja tylko wystraszyłaby Zuzkę. „Zrobimy to po swojemu, babciu” – mówił, całując ją w głowę. Porządny kawaler.

Babcia dociągnęła prawie do setki. Umarła, nie doczekawszy się ślubu. Ze wszystkich żałobników Kroon płakał najgłośniej. Babcia Zuzki była ciepłą kobietą, taką, która umiała zamienić zwykłe mieszkanie w prawdziwy, kochający dom. Coś, czego Konrad nigdy nie miał.

Zuza szła brzegiem morza, fale obmywały jej bosc stopy. Fioletowawe niebo – zapowiedź silnych wiatrów. Spacerowała z Sopotu do Brzeźna. Za plecami miała molo, przed sobą wejście do portu. Lubiła samotne wędrówki. Intymne spotkanie z własnymi myślami, szczerą rozmowa o pragnieniach, planach, celach. Taki rodzaj niezobowiązującej medytacji.

O tej godzinie na plaży było znacznie mniej ludzi niż w ciągu dnia. Turyści, spieczeni do barwy pantone 16-1546, niedojrzała malina, odpoczywali w kwaterach przed telewizorem; rodziny z dziećmi zasiadały do kolacji; studenci szykowali się do wieczornej imprezy. Przyjemny czas dla lokalsów: Zatoka Gdańska chwilę przed ósmą.

Myślała o Konradzie. Poznali się w Krakowie na koncercie Cool Kids of Death. Przystojny, wysoki brunet w rurkach; pasiasta koszulka, trampki. Garnitur buntownika. Dłuższe, lekko opadające na czoło włosy i uwodzicielski uśmiech. Wokół niego kilku kumpli i grupka dziewczyn. Zawsze kręciły się obok niego jakieś laski.

Piosenki o miłości są takie banalne, a oni niemal od razu poszli ze sobą do łóżka. Nigdy nie miała tak dobrego seksu. Nad ranem pocałował ją w usta i po angielsku wyszedł. „Everybody wants to be a cat, because a cat’s the only cat, who knows where it’s at”^[56].

Kilka dni później wpadli na siebie na Plantach. To był 2001 czy 2002 rok. Konrad szedł z jakąś dziewczyną, palili jointa. Mówił, że studiuje prawo, a tu cyk, cyk, zioło w biały dzień, totalna wyjebka na przepisy. Wieczorem melanzowali już we trójkę.

Zaimponował jej. Był cholernie inteligentny, a przy tym miał w sobie sporo luzu. Nie grał twardziela, po prostu chyba nie dorósł do związku. Początkowo to Zuzie bardziej zależało niż jemu. Konrada zajmowały jego własne plany, fascynował go świat, wyjechał do Ameryki; kto w tamtych czasach miał hajs na bilet za Atlantyck?

Później wrócił do Gdańska. Dalej wędrował własnymi ścieżkami, lecz coraz częściej odzywał się do Zuzy. W końcu zostali parą.

Kilka lat później role się odwróciły. Z każdym rokiem przyklejał się do Zuzy coraz mocniej. Nie chciał jej puścić, oddać, uwolnić. Kochał go najbardziej na świecie, ale czuła, że jednak coś traci. Nie potrafiła żyć w klatce.

Konrad uciekał przed demonami przeszłości, które teraz silniej niż kiedyś zaczynały dawać o sobie znać. Mówił, że go uratowała. Od upiornego wuja, duchów zmarłych rodziców, lęków i niepokojów. „Jesteś moim talizmanem” – zapewniał.

Zuza zeszła z piasku. Usiadła na murku przy wejściu na plażę numer pięćdziesiąt dwa. Otrzepała stopy, wciągnęła buty. Krótka przechadzka deptakiem, koło smażalni ryb skręciła w prawo. Po pięciu minutach wstukała kod na domofonie.

Strzeżone, grodzone osiedle. Twierdza gdańskich patrycjuszy, dobra inwestycja dla bogaczy ze stolicy. My tu mieszkamy, spójrz na te białe mury, to jest właśnie ten inny, lepszy świat. Nasz Avalon. Pijemy moëta, kiedy ty bawisz się w igristoje; wcinamy krewetki, kiedy ty smarujesz bułkę metką.

Weszła na klatkę schodową, wjechała windą na trzecie piętro. Otworzyła drzwi do mieszkania.

– O, hej. – Naprawdę się zdziwiła.

Konrad siedział na kanapie w salonie, obok niego leżała niewielka torba. Miał łzy w oczach.

– Cześć – wyszeptał.

Przysiadła się do niego. Niczego nie zamierzała prostować, omawiać, wyjaśniać. Wrócił, a więc jej przebaczył. Zawsze wracał. Zuzka na swój

pokręcony sposób kochała Konrada, ale nie potrafiła się dla niego zmienić. Jego kumple mówili, że jest pierdoloną egoistką.

Egoista to ktoś, kto w życiu kieruje się wyłącznie własnym interesem. Potrzeby i oczekiwania innych mają dla niego drugorzędne znaczenie. Realizując własne cele, nie zwraca uwagi na dobro innych, na to, czy ich rani, krzywdzi. Czy Zuzka była egoistką? Oczywiście, że tak.

Pocałowała go. Długo, namiętnie, gorąco. Konrad trząśł się z nerwów. Czy zamierzał jej coś powiedzieć? Czy chciał uwolnić się w końcu z tej toksycznej relacji, lecz w ostatniej chwili, jak zwykły mięczak, po prostu stchórzył? Nie zamierzała pytać.

Kochali się w salonie, sypialni, kuchni. Później wzięła jego torbę, rozpakowała ją, ułożyła wszystko w szafie. Temat zamknięty. Dobranoc.

[56] Każdy chciałby być kotem, bo kot jest jedynym kotem, który wie, o co biega (ang.). P. Harris, *Ev'rybody Wants to Be a Cat* (piosenka), *The Aristocats*, 1970.

ROZDZIAŁ 48 | WRZESIEŃ

GUSTAW

Od kilku tygodni nie mógł znaleźć nigdzie Julii. Zerwała z nim kontakt. Najpierw wysyłał jej po kilkanaście wiadomości dziennie. Parę razy je odczytała, ale nic nie odpisała. W końcu skasowała konto.

We współczesnym świecie, w dobie społeczeństwa informacyjnego, usunięcie profilu w necie przypomina nieco karę śmierci. Nowoczesna dekapitacja; niech żyje gilotyna, *vive la révolution*^[57]!

Na dobrą sprawę Gustaw wiedział o Julii tyle co nic. Nie znał jej nazwiska, nie miał numeru telefonu. Kontaktowali się jedynie przez Instagram. Kiedy dziewczyna skasowała konto, właściwie umarła dla świata.

Szukał jej wszędzie. Odwiedzał wspólne miejsca, jeździł rowerem po mieście, licząc, że jakimś cudownym trafem gdzieś ją po prostu znajdzie. Bez skutku.

Nie spał po nocach. Zdał sobie sprawę, że być może popełnił straszliwy błąd. Największy błąd jego życia.

Julia zaprosiła Gustawa do wyprawy w nieznane. Na długą wędrówkę poza granice strachu i ludzkich słabości. Stchórzył. Zawahał się.

Od tamtego razu po prostu przestała się do niego odzywać. Tak jak obiecała. „Chodź ze mną teraz albo już nigdy mnie nie znajdziesz”. Już nigdy jej nie znalazł.

Kiedy kilkadziesiąt lat później leżał pogrążony w demencji na przeciwoleżynowym materacu w domu spokojnej starości, wciąż pamiętał jej imię. Julia. Z całego długiego życia żałował jedynie jednej rzeczy. Że tamtego sierpniowego dnia nie powiedział jej: „tak”.

SONIA

Siedziały z Natalią u niej w mieszkaniu. Od jakiegoś czasu właściwie mieszkwały razem. Sonia nigdy nie była tak szczęśliwa.

– Dalej będziesz robić w Salsicci? – spytała Natalia.

Sama zamierzała zrezygnować wkrótce z pracy. Jej szef wiedział, że to jedynie fucha na wakacje. Po sezonie ruch w lokalu zamierał, większość pracowników wracała na studia.

– Nie wiem. Z czegoś muszę przecież żyć.

– I chcesz tak kelnerzyć do śmierci?

Sonia obróciła się na bok.

– Może otworzę kiedyś coś swojego...

– Każdy tak mówi – oceniła surowo Natalia. W wieku dwudziestu kilku lat wszyscy myślą, że zostaną królami świata. Życie weryfikuje te plany wyjątkowo skrupulatnie.

– Najchętniej wypierdoliłabym gdzieś za granicę. Nie chcesz jechać ze mną? Może Hiszpania albo nawet ta twoja Francja.

Natalia zatoneła w marzeniach.

– O tak. Małe mieszkanko w piątej dzielnicy, tanie wino nad Sekwaną, darmowe wycieczki do Luwru...

Sonia usiadła na łóżku. Zrobiła poważną minę.

– Wiesz, że dla ciebie pojechałabym choćby dziś. Że nie kituję.

Natalia się zaśmiała.

– Wiem, kocie.

Złapała ją za rękę.

– To nie jest beka. Kocham cię, Nati. Chcę być z tobą aż do śmierci. Chcę umrzeć razem z tobą, w tej samej sekundzie, aby już nigdy więcej nie żyć w pojedynkę. Jesteś dla mnie wszystkim.

Pocałowały się.

Coś zawibrowało pod poduszką. Natalia wygrzebała telefon. Uśmiechnęła się do ekranu.

– Heh – zachichotała. Szybko skrobnęła odpowiedź.

– Kto to? – spytała Sonia.

– Ta ciamajda, co wczoraj przyszła do Salsicci. Michał.

– Dałaś mu swój numer? – zdziwiła się dziewczyna.

– No właśnie nie. Wyhaczył mnie na Fejsie.

– Psychol.

Natalia odłożyła telefon.

– Sorry, kochasiu, ale nic z tego nie będzie. Ja już znalazłam miłość. – To powiedziawszy, przytuliła się do Soni. Znów zaczęły się kochać.

*

Chwilę po zachodzie słońca ktoś zadzwonił do drzwi. Kubson gotował coś w kuchni, poszedł szybko otworzyć. Na szyi zawiązał sobie apaszkę. Po ostatniej zabawie z Ptasznikiem miał kilka nieciekawych zasinień. Wolał się z nimi nie obnosić.

– O, cześć, Gustaw.

– Hej, Kuba. Jest może Sonia?

– U siebie w pokoju. Wchodź.

Dziewczyny oglądały serial.

Zdziwiły je te odwiedziny. Wciśnięty w pośpiechu klawisz spacji przerwał wieczorny seans.

– Gustaw, co ty tu robisz?! – mruknęła Natalia.

– Zgubiłeś się w drodze na odwyk? – spytała Sonia. Chłopak był blady i wychudzony. Jakby nie jadł i nie spał od kilku tygodni. *Touché!*

– Cześć – odparł grobowym głosem. – Ja tylko na chwilę.

Natalia zrobiła mu miejsce na łóżku.

– No siadaj! Co tam?

Stał dalej w drzwiach do pokoju.

– Szukam Julki – oświadczył.

– No to, mordo, trafiłeś pod zły adres – ucięła Sonia. – Nie widziałyśmy jej od kilku tygodni.

Natalia podeszła do Gustawa. Spojrzała mu w oczy.

– Ale ty blady jesteś! Chcesz coś do picia? Masz zimne dłonie!

– Nie, ja tylko chciałem spytać...

– Sonia, zrób mu herbaty! Przecież on zaraz zamarźnie!

Posadziła go na kanapie, Sonia skoczyła do kuchni.

– Źle wyglądasz, Gustaw. Co się dzieje?

Gdzieś pod skórą znała odpowiedź na to pytanie. Co ci jest? Choruję na Julię. Diagnoza przedstawia dość jednoznaczny obraz kliniczny. Przewlekły stan zapalny duszy. Niestety nie mamy na to lekarstwa, ale postaramy się podzielać objawowo. Bardzo mi przykro. Nigdy już o niej pan nie zapomni. Zapiszę xanax.

– Julka. Odzywała się do was? Macie z nią jakiś kontakt? – spytał, lecz w jego głosie nie było słycać żadnej nadziei. Wszedł na chwilę do świata Julii. *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*^[58]. Nie trzeba było otwierać tych drzwi, panie Kolasa.

– Nie, Gustaw. Nie pisałyśmy nigdy za dużo ze sobą. Poza tym chyba skasowała konto na Insta.

– A na stoczni? Imprezujecie dalej?

Natalia skinęła głową.

– Imprezujemy, ale dawno już jej tam nie widziałam. Sorry, Gusti. Po prostu urwał nam się kontakt.

Sonia wróciła do pokoju. Postawiła herbatę na stoliku.

– Uważaj, w opór gorąca.

– Dzięki – mruknął.

– Co z tobą, prawilniak? Spalili ci wszystkie kodeksy? – Lekki żarcik na rozluźnienie atmosfery. Nie pomogło.

– Szukam Julii. Wiesz coś o niej?

Sonia przewróciła oczami.

– Ja pierdołę. Najpierw Wiktor, a teraz ten! Co ta laska wyprawia z ludźmi?!

– Pisała może do ciebie? – Czemu ciągle się łudził?

Zaprzeczyła.

– Nie, Gustaw. Zniknęła z naszego życia.

Podwinęła rękaw koszuli. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Elegancka czcionka, lekko rozmazane litery. Ostatnia pamiątka szalonych wakacji.

WIKTOR

Gdyby napisał do niego kilka tygodni wcześniej, pewnie dostałby wpierdol. Wiktor wkurwił się, gdy Łaga powiedział mu, że Gustaw chodzi z Julią. Najpierw chciał połamać mu nogi, nasłać na niego ludzi ojca, utopić w Motławie. Pracował jednak nad tym, by zapomnieć. Porzucić swoje fałszywe życie, wyprostować pokręcone jak droga ze Spondigny do Stelvio ścieżki. Odzyskać równowagę psychiczną.

Terapia przynosiła pierwsze efekty. Wiktor przestał pić, nie kupował już alkoholu. Podjął też najodważniejszą decyzję swojego życia. Uwolnić się od toksycznej relacji z ojcem. Musiał odciąć kroplówkę. Pomachać dawnemu życiu, pożegnać się z Afryką.

– Cześć, Wiktor – powiedział Gustaw na przywitanie.

Duchnowski wpuścił go do środka. W mieszkaniu stało kilka kartonów, zamierzał opuścić lokum do końca tygodnia. Wynajął pokój z kolegą z roku, miał trochę oszczędności, trudno tak całkiem zrezygnować z cudzych pieniędzy.

– Chcesz coś do picia?

Dawniej po prostu nalałby mu whiskey.

– Nie, dzięki.

Podszedł do okna. Na Żabiance też miał niezły widok, ale o takim mieszkaniu mógł jedynie pomarzyć. Spojrzał na ulicę. Po Garnizonie kręciło się całkiem sporo osób. Jakaś młoda dziewczyna szła właśnie odwiedzić przyjaciółkę. Wpadła tylko na chwilkę. Gdyby zdecydowała się posiedzieć dłużej, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót. Zabawna rzecz ten cały przypadek.

– No dawaj, z czym przyłazisz? – rzucił chłodno Duchnowski.

– Ja w sprawie Julii. Odzywała się może do ciebie? – spytał Gustaw nie bez oporów. Cholernie bał się Wiktora. Każdy debil wie, że nie podrywa się siostry ani laski kumpla.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie widziałem jej od miesiąca.

– Pisała coś do ciebie? – Ostatnia szansa.

Duchnowski zbliżył się do Gustawa. Miał ochotę po prostu przywalić mu w ryj. Zamiast tego ścisnął chłopaka mocno za bark.

– Skasowała konto. A ja próbuję o niej zapomnieć.

– Sorry – wyszeptał Kolasa.

Wiktor zwolnił uścisk.

– Zryła ci banię, tak jak mnie – powiedział całkiem szczerze. – Spierdoliła życie. Myślałeś, że jesteś tym jedynym. Że to twój anioł. Wybawicielka, która zabierze cię prosto do raju. Też tam byłem, mordo. I uwierz mi, choć bardzo tęsknię, za nic na świecie nie odważyłbym się wrócić.

[57] Niech żyje rewolucja (fr.).

[58] Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie (wł.). D. Alighieri, *Boska komedia*, tłum. E. Porębowicz, Warszawa–Kraków 1909, s. 39.

ROZDZIAŁ 49 | STYCZEŃ

KONRAD KROON

Telefon zerwał go z łóżka o szóstej czterdzieści. Chociaż planował spać jedynie godzinę dłużej, i tak miał wrażenie, jakby ktoś obudził go w środku nocy. Takie uroki początku roku – słońce wstaje o ósmej, zachodzi o piętnastej.

– Halo?

– Dzień dobry, panie prokuratorze, z tej strony Jacek Sierosławski, dyżurny trzeciego komisariatu policji w Gdańsku.

Dyżur zdarzeniowy. Najbardziej nieprzyjemna część pracy prokuratora. Nie ma jednego z góry narzuconego systemu, różne jednostki, w zależności od wielkości, rozwiązują tę kwestię w odmienny sposób. Czasem śledczy zmieniają się codziennie, niekiedy siedzą pod telefonem przez równiutki tydzień. We Wrzeszczu dyżurowano od siódmej do siódmej. Dwadzieścia jeden minut i sprawa trafiłaby do kogo innego.

– No dzień dobry – wychrypiał Konrad, obracając się na drugi bok. Nie chciał obudzić Zuzy.

– Panie prokuratorze, mamy taką ciekawą sprawę...

Ciekawa sprawa. Boże, broń nas od ciekawych spraw. Zsyłaj z nieba jedynie proste stany faktyczne, nie jesteśmy godni, by nasze tępe umysły

zagłębiały się w meandry skomplikowanych, wielowątkowych śledztw.

– Pan mówi.

Wstał z łóżka, wciągnął szlafrok. Wyszedł do salonu, zamykając za sobą drzwi do sypialni. Zuza spała w najlepsze. Późno wróciła do domu.

– Mamy zgon, i to bardzo nietypowy. Podwójne samobójstwo – wytłumaczył dyżurny.

Kroon włączył ekspres z kawą. Szybka dawka kofeiny, by powrócić na dobre do świata żywych. Świat żywych, a tu ktoś umarł. Śmiesznie wyszło.

– No słucham – odparł prokurator, nalewając sobie do szklanki brązowej cieczy. Było mu zimno. O tej porze roku zawsze rano jest zimno. Choćbyś nie oszczędzał na ogrzewaniu i hajcował jak w typowym polskim mieszkaniu: zamknięte okna, dwadzieścia pięć stopni w dużym pokoju, to o siódmej rano w styczniu i tak zawsze cię będzie trzęsło.

– Zna pan Marcina Krukowskiego?

– Ten biznesmen? – odparł Kroon. Nazwisko obilo mu się o uszy.

– Dokładnie. Duchnowski, Krukowski, ta sama klika – wyjaśnił dyżurny.

Konrad usiadł na kanapie. Nad parkiem unosiła się mgła.

– Co z nim? Serce?

– Staruszek w porządku. Siedzi od pół roku w Stanach.

– To kto w takim razie? – Kroon powoli dochodził do siebie.

– Jego dzieciak z narzeczoną – odparł funkcjonariusz. – Sprzątaczką przyszła dzisiaj do nich rano, a tam taka niespodzianka. Dwa dodatkowe żyrandole.

– Powiesili się – podsumował prawnik. W tej branży należało mieć nieco dystansu do śmierci. Inaczej od razu można było wyrabiać sobie żółte papiery.

– Na miejscu jest już patrol, za chwilę wysyłam dochodzeniowca. Rozumiem, że działamy?

– No działamy, działamy – mruknął z niechęcią Kroon.

Wszedł na palcach do sypialni. Nie chciało mu się jechać. Piętnaście lat temu biegał na każde zdarzenie jak pies z wywieszonym jęczorem. Nowa sprawa to nowe emocje. Potencjalna zagadka, wyzwanie dla analitycznego umysłu. Dziś starał się przede wszystkim nie angażować. Wróciła Zuza, a wraz z nią wszystkie złożone przed laty obietnice. Żadnych emocji.

Wyciągnął z garderoby ubranie, zamknął za sobą drzwi i poszedł do łazienki. Poranna toaleta, telefon od dyżurnego.

– Doktor już jest na nogach. Mówi, że zaraz może wyjeżdżać.

– Dobrze. Poda mi pan adres....

Konrad nie jadał w domu śniadań. Głodny robił się zazwyczaj dopiero koło dziesiątej, kupował wtedy coś od Pana Kanapki. Święto lasu w każdym biurze, zastanawianie się, czy będą jeszcze z jajkiem i tuńczykiem. „Przepraszam, na piętrze niżej ktoś wziął ostatnią...”

Zjechał do garażu, odpalił swoje bajeranckie audi, sprawdził na Google Maps adres. Jaškowa Dolina, willa pod lasem. Wyjechał na miasto.

W radiu puścili *All I Want for Christmas Is You*. Didżej musiał zachlać albo komuś włączyła się zła playlista. Tę piosenkę gra się w grudniu, listopadzie, czasem październiku, ale – na Boga! – nigdy w styczniu!

Młody Krukowski nie doczekał powrotu ojca na święta. Nie przełamali się opłatkami, nie wymienili podarkami. W tym roku papko Krukowski dostanie pod choinkę spóźniony prezent. Trumnę z kokardą. Ciekawe, czy ktoś go zdążył już poinformować?

Od razu poznał, że jest blisko. Przed bramą czekał radiowóz, kawałek dalej stało auto technika i srebrne subaru doktora Storka.

– Niezła chata – mruknął pod nosem Kroon.

Pracą pojedynczego człowieka nie dało się zarobić na taki dom. Jedna para rąk, choćby najbardziej zdolnych, nie była w stanie przerobić tylu godzin, wykuć takiej ilości produktów, wyświadczyć tylu usług, by zgromadzić tak obrzydliwie wielki majątek. Na Marcina Krukowskiego całe życie pracowali inni. Oszukani koledzy, kiepsko opłacani sprzedawcy, wyzyskiwani robotnicy. Chciwość jak z książek Dickensa. Karma wróciła, skurwysynu.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – powiedział lekarz.

– Dzień dobry, doktorze – odparł Konrad, niechętnie podając mu dłoń. Choć biegły pracował zawsze w rękawiczkach, Kroon był przeświadczony, że trupie mikrodrobiny zostają mu jednak na skórze. Irracjonalna fobia.

– Niezła scena. Jak z horroru – przyznał doktor Storek.

Weszli do holu. Czarno-biała podłoga, łukowe schody po obu stronach pomieszczenia. Piękny, złocony żyrandol.

– Niemiecka robota – ocenił dochodzeniowiec. – Dzisiejsze haki nie utrzymałyby takiego ciężaru.

Kroon spojrzał do góry. Na ramionach lampy wisiały za szyję dwie martwe osoby. Sine twarze, wyciągnięte ręce. Lekki garb na plecach.

– No takiej miłości więc nam życzyć^[59] – zażartował lekarz. – Razem aż do śmierci.

Chłopak i dziewczyna. On przystojny brunet, ona urodziwa blondynka z kolczykiem w nosie. Dzieciaki lepszego sortu. Przez ostatnie dwadzieścia trzy lata żyli lepiej od innych. A jednak wszyscy umieramy tak samo.

– Sprzątaczką weszła tu chwilę po szóstej – wyjaśnił policjant z patrolu. – Wtedy o mało nie dostała zawału. Pokrzywdzeni mieli założone ptasie maski.

Technik odebrał od kolegi dwie foliowe torebki z dowodami rzeczowymi.

– Mam nadzieję, że nikt tego nie dotykał? – spytał prokurator.

– Oczywiście, że nie. Założyliśmy rękawiczki, sprzątaczką bała się podejść do ciała. Mamy tu wszystkie potencjalne ślady.

– Świetnie. Zrobimy biologię, gdyby coś wyszło.

Na ziemi leżała przewrócona drabina. Elegancka, przedwojenna robota. Pewnie stary Krukowski wchodził na nią, aby dostać się do najwyższych półek swojej biblioteczki. Drogocenny księgozbiór, Biblia Gutenberga, *Dziewięć wrót Królestwa Cieni*. Ten typ człowieka, Corso.

– Kobieta dostała wezwanie na jutro – powiedział dochodzeniowiec. – Chyba że chciałby pan ją słuchać już teraz.

– Na razie nie ma takiej potrzeby. Zrobił pan już zdjęcia, panie Jarku? – spytał technika.

Mężczyzna przytaknął. Koniec z grą wstępną. Należało przejść do głównej części imprezy.

– To co? Odcinamy? – spytał doktor Storek.

Kroon skinął głową.

Policjanci z patrolu złapali pierwsze z ciał za nogi. Technik wszedł na drabinkę i przeciął sznur.

Martwe ciało ma subiektywnie znacznie większy ciężar, niż wynikałoby to z prostego wskazania wagi. Odczuli to na własnej skórze Szymon i Eliza, kiedy trzy miesiące temu ładowali Weronikę na pakę vana. Odczuli to na własnej skórze policjanci z patrolu, kiedy układali na czarno-białej terakocie najpierw Szymona, a później Elizę.

– Ja pierdołę, chyba coś strzeliło mi w krzyżu – zaklął funkcjonariusz.

Technik wykonał kilka dodatkowych zdjęć.

– Przejdźcie się po chałupie, poszperajcie – polecił Kroon.

– Tak jest – odparł posłusznie policjant.

Zaczęli od chłopaka. Zdjęli mu ubranie, obejrzelili dokładnie ciało. Żadnych śladów, bruzda na szyi. Lekarz dyktował treść protokołu, dochodzeniowiec wszystko posłusznie zapisywał. Oględzinami kierował formalnie Kroon, ale nie śmiał wchodzić w kompetencje lekarza.

– To co? Przewracamy? – spytał technik.

Wzięli go we dwójkę, ułożyli na brzuchu. Ulubiona zwrotka Kroona. Moment, na który wszyscy czekali. Lekarz otworzył swoją torbę, wyciągnął z niej coś, co przypominało wkład długopisu. Termometr doodbytniczy. Dochodzeniowiec zaśmiał się pod nosem. Wszyscy zawsze z tego brechtali.

– Przy temperaturze otoczenia oscylującej wokół dwudziestu jeden stopni szacowany czas zgonu...

Zmarli tej nocy. Sprzątaczką przychodziła codziennie, jeszcze wczoraj z nimi gadała. Nic nie świadczyło o tym, że planują odebrać sobie życie.

– No to teraz panienska – powiedział technik.

Wszystko wyglądało niemal identycznie. Nie ujawniono śladów działania osób trzecich, brak jakichkolwiek obrażeń o charakterze przyżyciowym. Zakochani samobójcy.

Policjant skończył wypełniać protokół. Podpisali się wszyscy: dochodzeniowiec, technik, lekarz i oczywiście prokurator. Kroon przystawił pieczętkę. Niby nie musiał, ale zabierał ją ze sobą, gdy miał dyżur.

– To chyba możemy dzwonić do zakładu – ocenił dochodzeniowiec.

– Taa... – odparł Kroon. Zbliżała się dziewiąta. Zdaży jeszcze przed sądem wypić kawę.

Z piwnicy nadbiegł zziębnięty policjant. Wyglądał na naprawdę zaaferowanego.

– Panie prokuratorze – wydukał. – Lepiej, żeby pan na to rzucił okiem.

Zeszli do piwnicy. „Nie była to szkaradna, brudna, wilgotna nora, rojąca się od robaków i cuchnąca błotem, ani też sucha, naga, piaszczysta nora bez stołka, na którym by można usiąść, i bez dobrze zaopatrzonej spiżarni; była to piwnica bogacza, a to znaczy: piwnica z wygodami”^[60].

Na ścianach lamperia, na podłodze spieki kwarcowe. Sala do bilarda, sauna, pokój kinowy, jakaś graciarnia. Na końcu korytarza stalowe drzwi, przy nich policjantka. Trzymała się za usta, próbowała nie zwymiotować.

– To tutaj – powiedział funkcjonariusz.

Safe room. Schronienie bogatych ludzi, którzy lękali się, że ktoś wiecznie dybie na ich życie. Krukowski zaczynał swoją karierę jeszcze za komuny, w latach pięćdziesiątych porwali mu pierwszą żonę. Biedaczka nie przeżyła. To były zupełnie inne czasy: dzika gangsterka, Wołomin, koledzy Pershinga. Teraz przestępcy robili w Vacie i kryptowalutach.

Marcinowi Krukowskiemu uraz pozostał na całe życie. Szymon nie pamiętał matki, wychowywała go babcia. Kobieta miała nierówno pod sufitem. Kiedy chłopak skończył piąte urodziny, zamknęli ją w psychiatryku. Ciągłe krzyczała coś o szatanie i końcu świata. Potem trafił pod opiekę guwernantki. Miała być jak Mary Poppins, Szymek bawił się z nią w lekarza. Ojciec nie skumał, ale kobieta w pewnym momencie przestała przychodzić. Nikt nie zauważył, że z dzieckiem coś jest nie tak.

„*Safe Room.* Tam nikt nam nic nie robi. Tam jesteśmy naprawdę bezpieczni. Gdyby coś, Szymusiu, czekaj tu na tatusia”. Kiedy dorastał, a ojciec coraz rzadziej bywał w domu, Szymon Krukowski urządził sobie w pokoju prywatną salę zabaw. Kolekcjonował motyle, przynosił do domu martwe zwierzęta. Później takie rozrywki już mu nie wystarczały.

– Proszę przodem, panie prokuratorze. – Dochodzeniowiec przytrzymał drzwi Kroonowi.

– O ja pierdołę – zaklął śledczy.

Niewielki, przytulny pokój z kanapą, stołem i telewizorem. Biurko, drzwi do łazienki i jeszcze jedno dodatkowe pomieszczenie. Ściany upstrzone dziesiątkami zdjęć. Na stole strzykawki, paralizator i spora kolekcja butelek po różnych lekarstwach. Komputer, niestety zablokowany hasłem.

– Czy to nie jest ta dziewczyna ze Strzyży? – spytał lekarz, patrząc na fotografie.

– Tak, to ona – stwierdził Kroon, w dalszym ciągu nie mogąc uwierzyć w ten nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Jego szósty zmysł w dalszym ciągu milczał.

Weronika Zatorska. „Ja pierdołę. Moja zaginiona przesłanka...”

[59] M. Grechuta, *Takiej miłości nam życzę* (piosenka), *Krajobraz pełen nadziei*, 1988.

[60] Parafraza cytatu z: J.R.R. Tolkien, *Hobbit, czyli tam i z powrotem*, tłum. M. Skibniewska, Warszawa 1960, s. 3.

ROZDZIAŁ 50 | LIPIEC

JULIA

Dawno nie była na tak odpalonej imprezie. Prywatny didżej, eskortki w basenie, darmowe narkotyki. Wszyscy kelnerzy charakteryzowali się wrodzonym niedoborem wzrostu. Telefony należało zostawić przy wejściu.

Kręciła się chwilę z Wiktorem i resztą ekipy. Szybki drineczek na powitanie, kreska koksu na doładowanie sił. Jak śpiewała Peszkowa, do kreski kreska i będziesz niebieska, dziewczyno.

Trochę potańczyli, Natalia z Sonią zniknęły gdzieś w dalszej części domu. Wiktor spotkał jakiegoś kolegę z liceum. Gadali o sporcie i samochodach. Nuda.

Nuda była stanem, który najczęściej dopadał Julię. Dwudziestolatka miała wyjątkowo wysokie zapotrzebowanie na bodźce. Wiedziała, że nie może się zatrzymać. Ktoś popsuł hamulec bezpieczeństwa.

Przemykała pomiędzy ludźmi, obserwując nowe twarze. Ludzie spoglądali na nią z podziwem i strachem. Tak było przez całe jej życie. Zdążyła się już do tego przyzwyczaić.

Tłumy nastolatków, kilka starszych osób. Wszyscy wyglądali tak samo. Wszyscy zawsze wyglądali tak samo.

Świat tonął w odcieniach szarości. Siwy, popielaty, mysi, gołębi. Srebrny, stalowy, grafitowy. Antracyt i feldgrau. Julia codziennie starała się nadać tym jednakowym dniom odrobinę barwy. Kapkę błękitu, kropelkę czerwieni.

– Hej, chcesz się pobujać? – spytał jakiś obcy typ. Przystojny, bogaty, nudny. Taki drugi Wiktor, ale bez porsche i apartamentu na Garnizonie.

Nawet nie powiedziała mu „spierdalaj”. Po prostu odeszła kawałek dalej. Ostatnio czuła, że jej potrzeby są coraz większe, a ona nie nadąża z wymyślaniem sposobów, jak je zaspokoić.

Weszła na piętro. Dom był ogromny, urządzony z przepychem. Goście zupełnie tego nie szanowali. Laski deptały w szpilkach po delikatnym parkiecie, kolesie palili fajki koło zabytkowych obrazów. Właścicielom musiało zupełnie nie zależeć.

Wyszła na balkon. W basenie także trwała impreza. Dostrzegła Gustawa, który właśnie bajerował jakąś kicię. Laska jak z katalogu bielizny. „Przecież to nie jego liga” – pomyślała. Kolasa był niczym chłopiec z bajki: niewinny, prawdomówny, zagubiony. Tak łatwo dało się go zniszczyć.

– Fajny tatuaż – powiedział ktoś z tyłu.

Na balkonie pojawił się jakiś chłopak z dziewczyną. Ona nieznacznie wyższa od Julii, blond włosy do ramion, kolczyk w nosie. On wysoki, przystojny, pachniał pieniędzmi i zepsuciem.

Zazwyczaj to Julia wybierała swoje ofiary. Wszyscy ludzie, którzy na krótko gościli w jej życiu, pojawiali się w nim wyłącznie na zaproszenie dziewczyny. Na tę imprezę nie dało się przyjść z ulicy.

– Dzięki – odparła.

Pierwszy raz od dnia narodzin Julia poczuła, że role się odwróciły. Nieznajomy miał coś dziwnego w oczach. To było takie martwe spojrzenie jak u rekina. Wzrok kogoś, kto cały czas delikatnie spoglądał na świat

astralny, mówił, że wpadł tu tylko na chwilę. Jestem przelotem, nie ściągam butów.

Poczuła się zagubiona. Trafiła na wojownika o mocy przekraczającej jej wyobrażenia. Nie mogła się z nim mierzyć. Jeśli Julia wiodła życie jedynie prostej wiejskiej czarownicy uprawiającej gusła za kawałek stawy, ten chłopak był prawdziwym księciem wampirów. Pierdolonym Lestatem.

Podeszli bliżej.

– KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ – przeczytał. – Czy jeśli teraz milczysz, to znaczy, że już umarłaś?

– Wszyscy jesteśmy martwi – odpowiedziała bez chwili wahania.

Nieznajoma dziewczyna uśmiechnęła się porozumiewawczo do swego towarzysza. Od dawna szukali takiej osoby.

– To fakt – odparł chłopak. – Przyszłaś tu z Wiktorem, prawda?

– Przyszłam sama. Po prostu maszerowaliśmy obok siebie – oświadczyła.

Zaśmiał się.

– Mam na imię Szymon, a to jest Eliza. Cieszę się, że zawędrowałaś do tej ciemnej chaty pod lasem. *Black Lodge, White Lodge*. Obawiałem się, że tej nocy już nic ciekawego nas nie spotka. – Ujął swoją partnerkę za rękę.

– Poczęstujesz się? – Eliza wyciągnęła jakąś tabletkę. Julia natychmiast ją połknęła. Nawet nie spytała co to.

– To wasz dom?

Szymon odwrócił głowę. Rzucił okiem na willę ojca. Przeprowadzili się tu jakieś piętnaście lat temu.

– Chyba tak. Ale przecież niczego nie mamy naprawdę. Poza wspomnieniami. A i je można z łatwością utracić.

– Pielgrzymi – podsumowała Julia.

– W rzeczy samej.

To była dziwna rozmowa. Sączyli pojedyncze wyrazy, tocząc coś w rodzaju pokręconego pojedynku na najbardziej odklejone zdanie. Bawili się jednak świetnie. Aura tajemniczości, dużo niedopowiedzeń. Poczucie wyjątkowości. Eliza grzecznie słuchała. To Szymon grał w ich związku pierwsze skrzypce, a ona godziła się na taki układ. Często mówił o niej „moja niewolnica”. Eliza lubiła być zniewolona.

Julia spojrzała w dół. Seksowna dziewczyna siedziała na brzegu basenu, Gustaw całował ją po udzie. Zdziwiła się. Kolasa w życiu nie wyrwał żadnej laski.

– Spójrzcie na tego biedaka – powiedział Szymon, wskazując kieliszkiem na Gustawa. – Gustuje w second handach.

– Duży przebieg? – podchwyciła Julia.

– To dziwka – wyjaśniła Eliza. – Szymon wynajął ją dla swoich gości. Nie musisz się o nic martwić. Sprawdziliśmy ją przed imprezą. Jest czysta.

Julka zaśmiała się w duchu. Pierwszy raz z prostytutką. Gdyby tylko Gustaw wiedział... przez tydzień nie wyszedłby spod prysznic.

– Bawiliście się z nią? – spytała zniechceni.

Szymon zerknął na Elizę. Nieznacznie uniósł lewy kącik ust. To chyba był uśmiech.

– Tak, wielokrotnie. Za każdym razem coraz dłużej dochodziła do siebie, ale zawsze wracała.

Julka zerknęła na Gustawa. Chłopak schował głowę pomiędzy nogami eskortki, ona wiała się na kafelkach. Miała zrobione cycki.

– Ciekawe, czy udaje? – rzuciła od niechcienia.

– Udaje. Prawdziwy orgazm ma tylko z karłem. – Eliza przejęła od kelnera kieliszek z winem. Pogłaskała go za uchem. Dobry piesek.

*

Krążyli po dżungli pełnej dzikich drapieżnych zwierząt. Tygrysy i lamparty, nosorożce i wilki. Dziesiątki martwych ssaków, ganiających po okrągłym, wysokim pokoju.

Narkotyki zaczęły działać.

Julia skradała się zza wielkiej palmy. Nie miała na sobie nic oprócz majtek. Eliza chodziła z ogromnym oszczepem. Polowała na rdzennych mieszkańców tego pokoju. Duchy dawnych właścicieli; widmo pokojówki, którą na tym perskim dywanie zgwałcił sam pan domu.

Szymon siedział na wysokim regale i czytał na głos jakąś książkę. Przedwojenny, niemiecki pamiętnik. W latach dwudziestych ubiegłego wieku ludzie interesowali się ezoteryką. Młody Krukowski podzielał tę pasję.

Ezoteryka w wykonaniu Szymona nie była zwykłą szmirą w stylu targów „Od wahadełka do gwiazd”. Chłopak naprawdę szukał diabła. Często wpadali na siebie na ulicy.

Ktoś wszedł do pokoju. Światło było zgaszone, w żyrandolu brakowało żarówek. Na podłodze paliły się świece.

– Julka? – zawołał Wiktor. Szukał jej od dłuższego czasu. Zagadał się z kolegami, nie był w nastroju na imprezę. Chciał pogadać z Julką. O ojcu, o narkotykach, o przypadkowym seksie. Niedawno zrozumiał, że nie takiego życia pragnie. Że taka dieta prowadzi go prosto do grobu.

– Tutaj – szepnęła Julia, spoglądając na Szymona; potrzebowała jego aprobaty. Chłopak cichutko zeskoczył na podłogę. Zakradł się do biurka.

– Julka! – krzyknął głośno Wiktor. – Nie podobała mu się ta impreza. Szymon Krukowski zawsze był nieco odpalony, ale teraz najwyraźniej całkiem odleciał. Powinien trafić prosto na Srebrzysko.

– Pomóż mi – powiedziała Julia. – Ja chyba umieram...

Wiktor włączył latarkę w telefonie. W pokoju było cholernie ciemno. Wysoki sufit, zasłonięte okna, sześćdziesiąt metrów kwadratowych ekspozycji. Wszędzie wypchane zwierzęta. Ojciec Wiktora też jeździł na safari, ale kolekcja starego Krukowskiego była o wiele pokaźniejsza.

– Julka, gdzie jesteś? – Przestraszył się. Pewnie przesadziła z narkotykami.

– Tutaj... tak mi zimno... – wyszeptała.

Julia leżała w objęciach wielkiego niedźwiedzia. Była półnaga, z ust leciała jej piana.

– Julia! – krzyknął ile sił w płucach. Wtedy nagle stracił równowagę. Zamroczyło go.

Szymon Krukowski wybiegł z za martwego nosorożca i zarzucił mu na szyję łańcuch. Ciągnął najmocniej, jak potrafił. Zupełnie jakby chciał go udusić.

– Witaj w naszej grze – mruknął mu na ucho. – Z rzutów kości wynika, że jeszcze dziś będziesz ze mną w piekle.

– Puść mnie, debilu – wycharczał. Posiniał na twarzy. Autentycznie się dusił.

Julia stanęła na nogach. Wytarła usta i podeszła do Wiktora.

– Tego walca tańczą wyłącznie umarli – oświadczyła. – Za chwilę będziesz mógł dołączyć do naszego balu.

Wiktor odpływał.

– Julka... pomocy... – Tracił oddech.

Eliza pogładziła Duchnowskiego po koszuli. Wsadziła mu rękę w spodnie.

– Jeszcze chwila i przejdziesz na drugą stronę. – Polizała go po uchu. – Śpij słodko, książę.

Julia ucałowała Wiktora. Zemdlał.

*

Wiktor obudził się na podłodze. W kręgu wokół niego siedzieli Julia, Eliza i Szymon. Nie wiedział, co się dzieje.

– Prawie ci się udało – wyjaśniła Julia. – Jeszcze chwila, a zrozumiesz, po co tu jesteśmy.

Duchnowski prędko odtworzył w myślach przebieg ostatnich wydarzeń. „Te pojechańce chciały mnie zabić”.

– Zapłacisz mi za to, popierdoleńcu!

Skoczył na Szymona. Szamotali się chwilę na ziemi. Wiktor był znacznie silniejszy. Rzucił Krukowskim o ścianę. Chłopak odbił się od starej biblioteczki, na podłogę spadło kilka zakurzonych książek.

Eliza wyciągnęła coś z szafki. Jej ulubiona zabawka. Młot Thora.

– Mój pan nie lubi takich przepychanek – oświadczyła, podchodząc do Wiktora. Przyłożyła mu do ciała paralizator i nacisnęła spust.

Duchnowskim zarzuciło. Nigdy wcześniej nie czuł takiego bólu. Zobaczył Julkę. Nachylała się nad nim i uśmiechała.

– Krzycz, jeśli żyjesz – powiedziała i pocałowała Szymona.

ROZDZIAŁ 51 | STYCZEŃ

KONRAD KROON

Siedzieli w gabinecie szefowej: Prokurator Rejonowa, jej zastępczyni, no i Kroon. Wszyscy mieli grobowe, *nomen omen*, miny.

– Czyli ten durny student miał rację.

– Nie do końca, Magda – bronił się Kroon. – Kolasa mówił o jakiejś Julii, a dziewczyna Krukowskiego to Eliza. Blondynka, nie brunetka, nie miała tatuażu, zupełnie nie pasuje do rysopisu.

– Musisz okazać mu zdjęcie zmarłej – stwierdziła szefowa.

– Pewnie.

Ktoś zapukał do gabinetu.

– Chciałam rozliczyć wokandę, dzisiaj mija mi termin...

– Nie teraz, Dorota! – wrzasnęła szefowa. Rzadko traciła panowanie nad sobą, aktualnie była kłębkim nerwów.

– Mówiłam pani, że nie wolno wchodzić! – zawołała sekretarka, która na chwilę tylko skoczyła do toalety. Zawsze wlewała fusy do ubikacji.

Prokuratorka zamknęła za sobą drzwi.

– Wznawiasz śledztwo i prowadzimy to w stronę sto czterdzieści osiem. Będę musiała zawiadomić Okręgowego – westchnęła Prokurator Rejonowa.

– Wiadomo – zgodził się Kroon. – Szczęście w nieszczęściu, przynajmniej wiemy, z jakiej podstawy to później umorzemy. Artykuł siedemnaście, paragraf jeden, punkt pięć: oskarżony zmarł.

– Konrad! – wydarła się szefowa. – Możesz choć raz być poważny? Przecież polecą za to głowy!

– Spokojnie, Magda. Nie krzycz. Wiesz, że tak będzie – odparł ze stoickim spokojem. Oczywiście miał rację.

Maska arogancji raz jeszcze ratowała jego wątłą *psyche*. Na zewnątrz zgrywał twardego, chłodnego profesjonalistę. Wewnątrz aż buzowało od emocji.

Konrad analizował sprawę Zatorskiej dziesiątki razy. Dokonywał starannych kalkulacji, rozważał wszystkie scenariusze. Nie widział żadnego wyjścia na sprawcę; co więcej, nie miał cienia podejrzeń, by taki kiedykolwiek istniał. Zwykle samobójstwo. Brak oznak działania osób trzecich.

Ucieczka w profesjonalizm. Kroon poprowadził tamto śledztwo jak prawdziwy zawodowiec. Przyzywał swój szósty zmysł, łaknął sprawy niezwyklej i skomplikowanej. Pragnął obudzić dawnego siebie. Nic z tego. Pozostawał mu jedynie chłodny osąd analitycznego umysłu. Umorzył postępowanie. Nie mógł inaczej.

A jednak. Za sprawą pozornego samobójstwa stało porwanie, tortury i w końcu zabójstwo. Zbrodnia doskonała. Konrad bił się z myślami, czy miał możliwość zrobić coś więcej.

Na zdrowy rozum: nie. Ale dlaczego nie pomógł mu wtedy instynkt? Dlaczego jego szósty zmysł uparcie milczał?

Prokurator Rejonowa złapała się za czoło. Chyba dostała lekkiej gorączki.

– Ci z nadzoru nie zostawię na nas suchej nitki! – panikowała. Ktoś powiedział kiedyś, że kobiety gorzej radzą sobie ze stresem. Magda radziła sobie dziś całkiem średnio.

– Sprawa jest do obronienia. – Kroon stał twardo na swoim stanowisku. Bronił swojej decyzji nie tyle przed przełożoną, ile bardziej przed własnym poczuciem winy. – W tamtym stanie faktycznym zrobiliśmy wszystko, co było do zrobienia. Zrobiliśmy nawet znacznie więcej. Dziś pojawiły się nowe okoliczności, podejmujemy śledztwo, *omnis lege artis*.

– Konrad, ja nie mam na to siły. Serio zaraz zwariuję. – Magda była bliska płaczu.

– Czy coś zrobiłem źle? – spytał z rozbijającą szczerością.

Desperacko pragnął, by mu powiedziała, że spierdolił. „Bohater znów się spocił. W poszukiwaniu mocy, zapuszcza siwe włosy, już nie wychodzi w nocy”^[61]. By pokazała mu dokładny punkt na mapie, w którym zboczył z drogi.

– Nie wiem... – Znów złapała się za głowę.

– W takim razie przekaz sprawę na śledztwa, oni mają mniej roboty.

W każdej większej jednostce prokuratur rejonowych wyodrębniano specjalny dział śledczy, oznaczany cyfrą jeden. Prokuratorzy, którzy w nich pracowali, mieli skupić się na prowadzeniu najtrudniejszych postępowań. Po awansie Kielrowskiego do okręgu naturalnym kandydatem na „jedynekę” stał się właśnie Kroon.

Konrad nie zamierzał przechodzić do innego działu; jego aktualna życiowa postawa wykluczała angażowanie się w pracę. Obietnica złożona przed laty wciąż go wiązała. „Nigdy nie awansuję”. Nie planował robić kariery w prokuraturze, parafrazując Nikosia, wolał przeżyć dwadzieścia lat życiem żółwia niż rok życiem tygrysa.

Sprawa Zatorskiej nie dawała mu jednak spokoju. Stał na rozdrożu. Czyżby pierwszy raz w życiu został oszukany przez swoją niezawodną intuicję? Czy rzeczywiście czegoś nie dopatrywał? Wiedział, że dla własnego spokoju ducha musi to wyjaśnić.

– Konrad! – krzyknęła szefowa. – Nie denerwuj mnie!

– Jeśli uważasz, że schrzaniłem, oddaj to na śledztwa – powiedział stanowczo. Grał *va banque*. Chciał dalej nadzorować to postępowanie. Wyjaśnić zagadkę. Odkryć, gdzie popełnił błąd.

– Konrad. – Powoli odzyskiwała normalny tembr głosu. – Niczego nie schrzaniłeś. Nikt tego lepiej nie poprowadzi. Po prostu zrób tak, żebyśmy nie mieli problemów.

GUSTAW

Został wezwany w trybie pilnym na komendę. Aspirant Hryniewicki zaprosił go na przesłuchanie w sprawie Weroniki Zatorskiej. Policjant brzmiał wyjątkowo groźnie.

„Dostanę zarzuty” – pomyślał Gustaw, czując, jak jego nogi stają się coraz bardziej miękkie.

Od czasu niesławnej przygody, kiedy wyciągnął z akt załącznik adresowy i skontaktował się z rodzicami zmarłej, wiedział, że w prokuraturze nie ma już czego szukać. Nikt nie lubi szcurków. Nigdy nie zostanie prokuratorem.

Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał. Chciał odkryć drugie dno pozornie oczywistej śmierci, naprowadzić policję na trop tajemniczej Julii. Jego starania spełzły na niczym. Kroon mu nie uwierzył, Flarkowska powątpiewała w forsowaną wersję wydarzeń. Nawet Patrycja, obiecująca młoda mecenas, ostatecznie uznała go za wariata.

A co, jeżeli rzeczywiście mieli rację? Jeśli jedna osoba mówi ci, że jesteś pijany, możesz to zignorować. Jeśli powtarza ci to każdy napotkany przechodzień, możesz zacząć się niepokoić.

Gustaw poszedł na terapię, psycholog skierował go na *cito* do znajomej psychiatry. Dostał silne leki. One postawiły go na nogi.

Zapomniał o Julii, uwolnił umysł od jej widmowego obrazu. Przestał myśleć o dziewczynie, której ciało pewnego jesiennego poranka wyłowiono z rzeki Strzyży. Weronika Zatorska, Wiktor, Sonia, Natalia, Kubson i Julia... bezpowrotnie odeszli. Zniknęli jak łyż w deszczu. Gustaw nie widział już gwiazd, płonących statków przy Pasie Oriona. Pozostał wyłącznie spokój i chłodna obojętność.

Styczeń, kiedy zakuwał do sesji. Telefon z komendy wyrwał go z nad książek. Surowy głos policjanta, donośny niczym alarm zegara budzący zubożniałego studenta ze sztucznego snu, wywołanego silnym działaniem leków uspokajających.

Wtedy wszystko powróciło. Wezwanie. Komenda miejska, znaczy coś poważnego. „Proszę pilnie się stawić na przesłuchanie. Inaczej wyślemy radiowóz”.

Podejrzewał, że postanowiono wyciągnąć w stosunku do niego konsekwencje karne za naruszenie tajemnicy postępowania. Wtedy w listopadzie, kiedy wykradł numer z akt, liczył, że posypią się na niego gromy. Nic takiego nie nastąpiło.

Żarna sprawiedliwości miałą powoli, ale w końcu nawet najgrubsze nasiono zostanie zgniecione. Wszczęli postępowanie, dowalała mu zarzuty. No bo o cóż innego mogłoby chodzić?

– Siadaj – rozkazał policjant. – Czy dane osobowe uległy zmianie?

Pokręcił głową.

– Okażę ci jedną fotografię. Powiedz, czy rozpoznajesz osobę ze zdjęcia.

W pokoju poza aspirantem Hryniewickim siedział jeszcze jakiś policjant z pionu kryminalnego. Nie przedstawił się, ale widać było, że pracuje głównie na ulicy.

Gustaw spojrzął na zdjęcie. Fotografia ściągnięta z jakiegoś portalu społecznościowego, pewnie Facebooka. Blondynka, kolczyk w nosie. Bardzo ładna.

– Czy poznajesz tę osobę?

– Nie – powiedział całkiem szczerze.

– Dobrze się zastanów.

Chwila namysłu. Podczas wakacji poznał wiele dziewczyn, ale ta nie rzuciła mu się w oczy. Na pewno zapamiętałby taką twarz.

– Nie. Nie wiem, kto to – zeznał.

Hryniewicki spojrzął na kolegę z kryminalnych.

– Czy jesteś pewien, że to nie jest osoba, o której mówiłeś we wcześniejszych zeznaniach? Czy to nie jest Julia? – spytał.

Gustaw kaszlnął. Chwilę później zorientował się, że policjant pyta poważnie. A więc coś było na rzeczy.

– Nie, to nie Julia.

– Dlaczego tak sądzisz? Spójrz jeszcze raz.

Napierał. Bardzo chciał poznać odpowiedź.

– No nie. To nie Julia. Poznałbym swoją dziewczynę... Inne oczy, włosy, kości policzkowe. Zupełnie inna osoba.

Zanotował.

– Czy byłeś kiedyś w willi na ulicy Jaškowa Dolina? – Podał mu dokładny adres.

– Yyy, no tak. – Znów wrócił pamięcią do tamtej lipcowej imprezy. Nieźle się wtedy odpiął.

– Czyj to był dom?

Musiał się chwilę zastanowić.

– Jakiegoś kolegi Wiktora Duchnowskiego. W końcu go nie poznałem.

– Szymona Krukowskiego? – spytał policjant.

– Chyba tak – odpowiedział po czasie. Faktycznie przyjaciele z ekipy mówili coś o jakimś Szymonie. Musieli się minąć na imprezie.

Siedzący obok kryminalny obserwował każdy ruch Gustawa. Uczestniczył w setkach takich pogawędek. Wiedział, że świadek mówi prawdę.

FLARA

Po ujawnieniu materiałów zgromadzonych w Willi Monberga śledztwo w sprawie śmierci Weroniki Zatorskiej zostało podjęte na nowo. Postępowanie trafiło do Komendy Miejskiej, ale funkcjonariusze z tamtejszej dochodzeniówki i tak ciągle wisieli na telefonie z Flarą.

– Dzieciak nie kłamie – powiedział Hryniewicki, gdy tylko zakończyli przesłuchanie.

– Gustaw Kolasa – powtórzyła do słuchawki aspirant Flarkowska. – A co, jeśli studenciak ma z tym zabójstwem jakiś związek?

– Słuchaj, Flara. Nakręcił się na tę całą Julię, zrobił taką aferę, że Kroon zwyzywał wszystkich od najgorszych. Gdyby miał coś do ukrycia, raczej nie pakowałby się w takie bagno. Nie znał Szymona Krukowskiego, nie znał Elizy Górskiej.

– A Julia? – dopytała policjantka. Kolekcja zgromadzona przez młodego Krukowskiego stanowiła niemal kompletny materiał dowodowy.

Psychopatyczny zabójca ułatwił pracę śledczym, dokładnie dokumentując wszystkie swoje poczynania. Spisywał swe przemyślenia, rejestrował rozmowy, nagrywał zbrodnie.

W żadnym z filmów ani plików tekstowych nie ujawniono póki co śladu dziewczyny o imieniu Julia. Mimo to Kroon nalegał, aby kopać dalej.

– Nie mamy nawet jak jej szukać – wyjaśnił Hryniewicki. – Wiem, że prokuratorowi zależy, ale na razie to martwy trop. Krukowski i Górska działali sami.

KONRAD KROON

W prokuraturze styczeń od zawsze był miesiącem, który pozwalał złapać chwilę wytchnienia. Po kampanii grudniowej żołnierze wracali do koszar, zmęczeni dowódcy zalegali w kasynie oficerskim.

Kroon nie nacieszył się zbyt długo noworoczną kanikulą. Siedział po nocach i dłuwał w sprawie Zatorskiej. Nadzór prokuratury okręgowej, codzienne telefony z góry.

To śledztwo traktował niezwykle ambicjonalnie. Jeśli rzeczywiście istniała jakaś tajemnicza Julia, jeżeli Kolasa mówił prawdę...

Policjanci robili wszystko na *cito*. W Polsce lubimy robić rzeczy specjalnie z okazji jakiejś akcji. Akcja „Znicz”, Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom. Zgniłe jajo w aktach, które należy błyskawicznie zutylizować.

– Kroon, słucham – powiedział do słuchawki.

– Dzień dobry, Hryniewicki. Chłopaki odpaliły ten komputer. Przejrzałem wszystko pobieżnie, ale mniej więcej wiemy, na czym stoimy.

– Dawaj – odparł zmęczonym głosem. Robił resztkami sił.

– Dzieciaki były zdrowo porypane. Na nasze szczęście prowadziły coś w rodzaju pamiętnika. Wszystko dokładnie dokumentowały. Setki filmów,

notatki, zdjęcia. Mówią o swoich powodach i celach.

Kroon chrząknął.

– Jakież wyjście na Julię?

– Niczego. Jeśli istniała, nie miała z tym morderstwem żadnego związku. Dzieciaki postanowiły porwać przypadkową osobę, trafiło na Zatorską. Miała pecha – wyjaśnił policjant. – Fascynacja śmiercią, książkami, filozofią. Uprawdzili ją, uwięzili, torturowali. Później odebrali życie, bo należało do nich.

– Skurwiele bawili się w bogów – zaklął prokurator.

– Robię w tej branży dwadzieścia lat, a w życiu nie widziałem takiego kurewstwa. Pojebańcy. – Hryniewicki rzadko kiedy pozwalał sobie na podobne emocje.

– A potem się powiesili – dokończył Kroon. – Samobójstwo rozszerzone.

– Życie nie przedstawiało dla nich żadnej wartości. Własne ani cudze. Mówili coś o przekleństwie wiecznego powrotu. To chyba z jakiejś książki.

– A te prochy? – dopytywał śledczy.

– Eliza Górską studiowała farmację. Zaćpali Zatorską.

Kroon spojrzał na sufit. Morderstwo idealne. Żadnych obrażeń, żadnego wyjścia na sprawcę.

– Muszę mieć to wszystko w aktach.

– Zrobię wydruki i protokoły, ale to chwilę potrwa. Mamy dziesiątki godzin nagrań – ocenił policjant. – Dobra wiadomość jest taka, że póki co nie wychodzą nam w sprawie żadne nowe osoby. Krukowski i Górską działali w pojedynkę. Popełnili samobójstwo, więc i tak to trzeba ponownie umorzyć.

– Będę chciał obejrzeć te filmy. Jak tylko zgracie je na płytki, chcę to mieć u siebie na biurku.

[61] Dick4Dick, *Ballada o bohaterze* (piosenka), *Summer Remains*, 2009.

ROZDZIAŁ 52 | SIERPIEŃ

SZYMON I ELIZA

Mówili o niej „nasza niegrzeczna Chilijeczka”. Szymon i Julia tak samo mocno kochali literaturę, poznali się latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego w Miraflores. To nie była do końca partnerska relacja: młody Krukowski odgrywał rolę kogoś w rodzaju przewodnika. Julia i Eliza świetnie go rozumiały, ale znały też swoje miejsce w szeregu.

Szymon nigdy nie miał wielu przyjaciół. Jego magnetyzm przyciągał ludzi, do których bardziej pasowało określenie „wyznawcy”. Każda sekta potrzebuje swojego guru. *Kill your idols.*

Siedzieli w ogrodzie, na ziemi walało się mnóstwo szczytanych książek.

– Wiktor ze mną zerwał – oznajmiła Julia. Choć stało się to już kilka dni temu, po prostu zapomniała.

– Przecież to nieprawda – odpowiedział Szymon, nie przerywając lektury. – To ty z niego zrezygnowałaś.

– Nie możesz tak kłamać – zganiała ją Eliza.

– Żyjemy tu w absolutnej szczerości – wyjaśnił młody Krukowski. – Jeśli chcesz iść z nami przez świat, musisz porzucić wszelki fałsz.

Zmieszała się.

– Macie rację.

JULIA

Była ciepła sierpniowa noc na Ulicy Elektryków. Tłumy imprezowiczów, mordo, mamy reset, dwudzionek na horyzoncie. Julia przyszła całkiem sama. Taką miała fanaberię.

Założyła coś w rodzaju peleryny niewidki. Przyjaciele z ekipy kręcili się po stoczni, ale żaden z nich jej nie widział. Sonia z Natalią, Łaga wyrywający jakieś laski. Bezradny Gustaw.

Młody Kolasa postanowił wrzucić na luz. Chciał dorównać swym nowym ziomkom: pić, ćpać i biegać na rejwy. Nie bardzo mu to wychodziło.

Julia stała przy barze i obserwowała, jak Gustaw podrywa rudowłosą, średnio urodziwą dziewczynę. Przyjezdne laski ze Śląska, moda spóźniona o dziesięć lat, wytarte buty. Kociaki, które wyrywasz, gdy chcesz, żeby ktoś zrobił ci szybko loda. Takie cztery na dziesięć: do knajpy byś nie zaprosił, idealne na *blowjob* w kiblu. Gustawowi w ogóle nie wychodziło.

Wyszła z cienia.

– Chujowo ci poszło – podsumowała.

Student spojrzął za siebie. Nie widzieli się od czasu imprezy na Jaśkowej. Julia wiedziała, że Gustaw ją kocha. Każdy ją kochał. Chłopak wstydził się podejść, zagadać. Kiedy była obok, plątał mu się język.

– Musisz bardziej wyluzować – dodała po chwili.

– Racja – palnął w swoim stylu. Był taki biedny. Życie przelatowało mu koło nosa.

– Chcesz, to pokażę ci, jak to się robi – zaproponowała.

Każdy guru potrzebuje grona wyznawców. Każdy mesjasz szuka sobie ucznia. Julia postanowiła zaprosić przestraszonego studenta do swojego świata. To było pierwsze zwiastowanie.

Dopiła drinka, podeszła do tamtych lasek, kazała im wziąć się za Gustawa. Rzuciła urok. Kolasa nieśmiało podbił do dwójki dziewczyn. Marianna i Zosia przystąpiły do dzieła. Potańczyli, stanęli w kolejce do baru. Krótka gadka. Czar robił się coraz słabszy. Dziewczyny zniknęły w tłumie.

– Krzycz, jeśli żyjesz – przypomniała Julia. Gustaw rzadko kiedy krzyczał. Tak bardzo nie potrafił żyć.

– Hej... – Uśmiechnął się. Bezradnie i szczerze niczym czteroletni przedszkolak.

Złapała go za ramię z tatuażem.

– To hasło do czegoś zobowiązuje – powtórzyła. – To ty powinieneś je spławić.

– Dopiero się uczę.

– Zdradzę ci kilka sztuczek, maluszku. – Postanowiła się nim zaopiekować.

SZYMON I ELIZA

Jaśkowa Dolina zawdzięczała swą nazwę rodzinie Köhne-Jaskich. Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku stała się modną dzielnicą mieszkaniową, takim Garnizonem *à la fin de siècle*. Właściwie tamtym czasem zamiłowanie do dekadencji podzielał pierwszy właściciel willi Krukowskich. Alfred Monberg wierzył w numerologię, odprawiał dziwne rytuały i wywoływał duchy. U zmierzchu swego życia, podobnie jak Witkacy, eksperymentował z narkotykami; pod ich wpływem malował pokręcone obrazy. W końcu kogoś zamordował, dokonał żywota skazany na karę zasadniczą. Dom sprzedano, następny właściciel zdecydował się na

gruntowną przebudowę, powiększył salon, dorobił jeszcze dwa skrzydła. Zmarł bezdzietnie.

Podczas wojny Willa Monberga służyła za miejsce schadzek oficerów gestapo. W czterdziestym szóstym przejęła ją bezpieka, później trafiła się jakiemuś partyjnemu działaczowi. Marcin Krukowski nabył ją okazji od Skarbu Państwa, przysługa za przysługę, dawne znajomości zobowiązywały. On też lubił pomagać.

Szymon wychowywał się w willi od najmłodszych lat. Przesiąkł duchem tego miejsca, w liceum zainteresował się jego historią. Wtedy też odkrył ukryty w biblioteczkce ojca pamiętnik pierwszego właściciela. Znał niemiecki, ale czytanie odręcznego pisma przychodziło mu z trudem. Uwielbiał za to oglądać narysowane w dzienniku makabryczne szkice. Rysunki rozczłonkowanych ciał, kobiety pożerane przez upiorne bestie. Sceny gwałtów, wyuzdanego seksu. Lovecraft mógłby się nimi zainspirować.

Książka Alfreda Monberga stała się amuletem młodego Krukowskiego, ale pewnego dnia po prostu zniknęła. Szymon dostał ataku szału, zwyzywał służbę, zbił gospodynię. Ojciec poradził mu, by sam zaczął spisywać swój pamiętnik.

Początkowo notował w zeszycie, naiwne bazgroły zbuntowanego nastolatka. Z czasem wyrobił sobie nawyk dokumentowania wszystkiego na komputerze. Nie umiał rysować, dlatego robił zdjęcia. Mnóstwo zdjęć. Fotografie ludzi złapanych w niezręcznych sytuacjach, smutne twarze, dużo cierpienia. Później spotkał swą pierwszą mużę. Eliza Górską, studentka farmacji.

Połączyła ich miłość do narkotyków i zła. Celebrowali śmierć, badali granice doczesności. Kiedy poznali Julię, przygotowywali się powoli do wykonania następnego kroku. Jeszcze tamtego wieczoru w willi, gdy

wyprawili dziką, poświęconą dawnym bóstwom ucztę, zapragnęli włączyć ją do swej rodziny. Szymon od razu pobiegł po aparat, ale Julia nie pozwoliła mu zrobić zdjęcia. Eliza nie wiedziała, czemu odpuścił.

Młody Krukowski wydawał polecenia, Julia je wykonywała. Darzył ją jednak pewnym niezrozumiałym szacunkiem i w tej jednej kwestii postanowił ulec. Rdzenni mieszkańcy Ameryki wierzyli, że zdjęcia pozbawiały ich duszy. Julka miała w sobie coś z Indianki, podobno jej prababcia pochodziła z plemienia Nawaho. Julia nie chciała żadnych zdjęć.

Szymon stwierdził, że będzie to osoba pozbawiona historii. Istota, która nigdy nie istniała. Nie tylko nie nagrał jej telefonem, nie zrobił zdjęcia, ale co więcej, nie wspomniał o niej w ani jednej ze swoich notatek. Postanowił traktować ją jak ducha. Czy kiedykolwiek komuś udało się zrobić zdjęcie ducha?

JULIA

Zegarki wskazywały godzinę piątą rano. Słońce właśnie wynurzało się z wody. Julia pływała w morzu, była całkiem naga. Wyszła na brzeg, jej ciało momentalnie pokryła gęsia skórka. Nie czuła zimna. Albo czuła i chciała się nim cieszyć. Przeszywający chłód, drobne szklane igły wbijane głęboko w skórę.

Usiadła na ręczniku, spojrzała na zatokę. Po drugiej stronie dało się dostrzec niewielki zarys Półwyspu Helskiego. W linii prostej niecałe dwadzieścia kilometrów. Podczas zimy stulecia na przełomie siedemdziesiątego ósmego i siedemdziesiątego dziewiątego, kiedy zamarzną Bałtyk, niektórzy decydowali się na takie wędrówki. Wprawny piechur mógł przecież przejść dwa razy tyle.

Wyciągnęła telefon, odpaliła Instagram. Marek Łagocki, w sieci i życiu znany powszechnie jako „Łaga”. Wystukała wiadomość.

Gustaw powiedział jej, że planują krótki wypad do Chałup. Postanowiła jechać z nimi. Musiała zaopiekować się pewnym drewnianym chłopcem.

Napisała do Łagockiego. Leciał na nią od początku wakacji, ale Julia nie była nim zainteresowana. Biedniejsza wersja Wiktora Duchnowskiego, po co jej podróbka, skoro wzgardziła oryginałem.

„Odbierz mnie z plaży, Jelitkowo, koło Parkowej. Bądź o dziewiątej”.

Położyła się na piasku. Obok miała przygotowaną torbę z rzeczami.

*

Widziała te zdziwione twarze. Sonia i Natalia czuły solidarność z Duchnowskim. Urażony kochanek. Baran. Debil.

Gustaw próbował ukryć podjarękę. Kochał ją, wielbił myślą, słowem, gestem; jak w podstawówce. Wsiadła do tego mercedesa tylko dla niego. Musiała stworzyć z niego nowego człowieka. Rozmawiała o tym z Elizą i Szymonem. Perspektywa ukształtowania nowego człowieka wydawała się kusząca. Podekscytowali się jej pomysłem. Oto jest Ewa, oto jest Adam. Sąd ostateczny, jak u Memlinga. Nadchodzi nowy człowiek. Bez ciąży, porodu, dorastania. Czy da się tak po prostu wymazać wszystko to, co mamy w głowie? Narodzić na nowo w wieku dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu lat?

– O *fuck*. Myślałam, że nie żyjesz – palnęła Sonia.

– Daj mi jeszcze chwilę, skarbie – odparła Julia.

Zapakowali torby do bagażnika, wcisnęli się do środka. Dzika, głośna muzyka. Rapowy *new school*. Malik, Bedoes, Deemz ma ten sos. Wszystkie dzieciaki dziś tego słuchają.

– Przepraszam, tu jest wjazd tylko dla mieszkańców! – awanturował się jakiś facet.

– Spokojnie, maluszk, zaraz znikamy – fuknął Łaga. Myślał, że jest królem świata. Niczego nie wiedział o życiu. Był martwy, jak wszyscy wokół.

Obwodnicą do Gdyni, potem Rumia, Reda, Puck. W końcu sakramentalne pytanie. Co z Wiktorem?

– Raz na wozie, raz pod wozem – podsumowała Julia. Intonowała bez emocji.

– Kurwa, Julka, on się prawie przez ciebie powiesił! – Sonia żądliła jak osa. – Nie odwała się takich akcji!

– Wiesz co... Rozmawialiśmy w cztery oczy, zgodnie stwierdziliśmy, że nasze oczekiwania się nieco rozmiągają. Czy nie tak zrywają dorośli ludzie?

*

Zajechali do Chałup koło jedenastej, po drodze zrobili małe zakupy. Przyczepa Łagockiego pachniała nowoczesnością.

Rozpakowali się, Marek próbował ją podrywać. Piwko na plaży. Sonia z Łagockim poszli na deskę. Julka przysnęła, choć wciąż miała otwarte oczy. Często tak odpływała. Katalepsja.

– Nie martw się, ja też zawsze byłam totalną nogą w sporcie. – Natalia chichotała. Porządna, grzeczna dziewczyna. Przedstawiłbyś rodzicom. – A ty, Julka?

– Julka? – Gustaw bardzo chciał znać odpowiedź. Jakby od tego pytania zależała wygrana w PowerBallu. Wolisz bierki czy scrabble? Milion u Urbańskiego, gratuluję.

– Julka!

Julka. Julka. Julka. Znowu musiała wrócić.

- Chyba tylko łowiectwo – odpowiedziała po chwili.
- Co, kurwa?! – Oburzona Natalia. Świętoszka. Patronka zwierząt i kociej karmy.
- Zalewasz. – Gustaw myślał, że to kolejny żart.
- Julka napiła się piwa. Trochę zaschło jej w ustach.
- Mój dziadek był myśliwym. Za dzieciaka jeździliśmy razem na polowania. Pozwalał mi trzymać broń, pokazywał, jak się celuje i trafia.
- No ale nie gadaj, że dał ci strzelać!
- Jak inaczej nauczyłby mnie polować, głuptasie? – spytała z rozbrajającą szczerością. Kolasa naprawdę był małym, drewnianym chłopcem. Potrzebował przewodniczki.
- No i serio zabijałaś zwierzęta? – Natalia zrobiła zniesmaczoną minę.
- Dziki, kaczki, kilka sarenek. – Kiedy to było. Dziadek już dawno temu przekręcił nogi. – Jebany krąg życia, Mufasa.

SZYMON I ELIZA

Szymon z Elizą wybrali się do Muzeum Narodowego. Od zawsze czuli pociąg do starych kościołów. Podobno wielu ludzi tak ma.

Dawny franciszkański klasztor chronił przed skwarem dnia. Zmęczeni miastem turyści błądzili wśród gotyckich krużganków, podziwiając muzealne zbiory.

– Spójrz na nich – polecił Szymon. – Są jak mrówki. Jak ślepe mrówki. Wędrują wśród żywej historii, poją się jej aromatem, niemal dotykają świadectw minionych dni i... nic nie widzą.

- Robaki – skwitowała Eliza.
- Żyjemy na tym samym świecie, lecz obserwujemy zupełnie odmienną rzeczywistość. Inne kolory i kształty. Inne zapachy i barwy. Niewielu ludzi

postrzega kosmos z tej samej perspektywy co my.

– Ona postrzega.

Julia. Wrócili myślami do swojej najnowszej zdobyczy. Nie do zdobyczy. Julii nie dało się zdobyć. Była niezależna i wolna. Żyła naprawdę.

To za jej sprawą zawędrowali do Narodowego. Julia pokazywała im swoje obrazy inspirowane średniowieczną sztuką sakralną. Makabryczne prace, *danse macabre*, korowód wszystkich stanów, wędrówka na skraj śmierci. Ludzie o zwierzęcych twarzach, szkice katów noszących ptasie maski.

Przystanęli przed najważniejszym gdańskim obrazem. Zdziwiło ich to, co zastali na miejscu.

Na środku niewielkiej nawy klęczał mężczyzna w średnim wieku. Przystojny, na oko jakieś czterdzieści lat, twarz przyprószona kilkudniowym zarostem.

To nie była świątynia, a jednak ów pielgrzym pasował tu jak nigdzie indziej. Zbłąkany podróżny, który desperacko pragnął ratunku. Zagubiony pośród dzikiego kręgu życia.

W centralnym punkcie obrazu oparty o wielką, złotą kulę wszechświata siedział Zbawiciel. *Deum de Deo, Lumen de Lumine, Deum verum de Deo vero*. Bóg z Boga, Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego.

Nieznajomy ich nie dostrzegł. Choć dzieliło ich ledwie kilka kroków, jego myśli nie pozwalały oderwać się od modlitwy.

– *Qui locutus est per prophetas* – wyszeptał Kroon. Który mówił przez proroków.

„*Et unam, sanctam, catholicam et apostolicam Ecclesiam*” – przypomniał sobie Szymon. W jeden, święty, powszechny i apostołski

Kościół.

Cóż za piękna scena. Młodzieniec nie widział oczu nieznajomego, ale mógł przysiąc, że spoglądają w tę samą stronę. Że tylko oni dwaj widzą, co naprawdę kryje się na malunku.

Sąd ostateczny. Apokalipsa. Koniec starego świata, rachunek grzechów i win. Początek nowego czasu, stworzenie nowego człowieka.

Szymon wpatrywał się w tryptyk jak zahipnotyzowany. Oglądał go dziesiątki razy, lecz dopiero teraz dostrzegł kryjący się za nim sens.

Spod krwistej szaty Chrystusa wyłaniała się tęcza: starotestamentowy symbol przymierza, złączenie nieba i ziemi. Przymierze wymaga krwi. Tego żądał Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba. Żywy czy martwy, pragnął ofiary.

– *Unum baptisma in remissionem peccatorum* – wyszeptał Szymon. Jeden chrzest na odpuszczenie grzechów. Cokolwiek by powiedzieć o bycie Boga, był czy umarł, odszedł czy nigdy nie istniał, jego przesłanie nie budziło wątpliwości. Przemiana wymagała krwi.

Sąd ostateczny. Niebo, piekło i czyściec.

– Stworzyć nowego człowieka... – Eliza przypomniała słowa Julii, które tajemnicza dziewczyna rzuciła podczas jednego z ich pierwszych spotkań. – Przeprowadzić go przez czyściec, wymazać winy i dać odkupienie. Przekroczyć granicę dobra i zła.

– *Et exspecto resurrectionem mortuorum, et vitam venturi saeculi* – powtórzył za nieznajomym Szymon. Chwycił Elizę, pociągnął ją gdzieś za sobą. I oczekuję wskrzeszenia umarłych, i życia wiecznego w przyszłym świecie. Amen.

JULIA

Dyskoteka na Solarze. Pili na umór.

– Dajemy jeszcze raz do baru! – zawołała Natalia.

– Nie, już wystarczy. – Sonia najwyraźniej miała inny plan.

– Serio? Chcesz mulić pizdę? – zdziwił się Łagocki.

Sonia wyciągnęła coś z kieszeni. Woreczek. W nim kilka białych grudek. W końcu. Julka nie zabrała ze sobą żadnych narkotyków. Była znudzona, potrzebowała otworzyć szerzej zmysły. Samotna wycieczka na pustynię Mojave; wygłodniałe kojoty i duchy przodków.

– Trzeba ostro dojechać – stwierdziła Sonia.

– Kryształ? – spytała Natalia.

– A jak!

MDMA, czyli 3,4-metylenodioksymetamfetamina, to organiczny związek chemiczny, pochodna fenyloetyloaminy. Wykazuje działanie euforyczne, empatogenne i psychodeliczne. W latach osiemdziesiątych niektórzy psychiatrzy podawali je swoim pacjentom, uważając, że może ono ułatwić poznanie własnego ja oraz zredukować przewlekły strach wywołany minionymi traumatycznymi doświadczeniami. W roku 1985 MDMA trafiło na listę nielegalnych substancji, stając się ulubionym narkotykiem podczas rejsów i imprez techno. To typowa używka tak zwanych „niedzielných narkomanów”; nie uzależnia fizycznie; idealny stosunek jakości doznań do syndromu dnia następnego.

Sonia podzieliła narkotyk na siedem porcji: po jednej dla każdego, trzy dla tych o największej tolerancji. Z czasem porcje musiały być coraz większe.

– Czy to jest bezpieczne? – Cały Gustaw.

Tak, to bezpieczne. Jak skok na bungee albo lot samolotem. Prawdopodobieństwo śmierci w wypadku lotniczym wynosi jeden do dwudziestu dziewięciu milionów. Nic, tylko podróżować.

– Kurwa, oczywiście, że nie jest – prychnęła Sonia. – Ale widziałam, jak na Jaśkowej ciągnąłeś kokę. Jebany smerf. Więc teraz nie zgrywaj świętoszka!

Na imprezie w Willi Monberga Julia odkryła tkwiący w Gustawie potencjał. Zgodnie z filozofią Szymona i Elizy postanowiła uczynić go nowym Adamem.

Zgarnęła od razu trzy porcje. Zwróciła się bezpośrednio do swego ucznia.

– Miesiąc temu zapraszałam cię do wspólnej podróży, ale wtedy nie byłeś gotowy. Dziś może być twoja ostatnia szansa, pielgrzymie. Oto jest kryształ, w którym przeglądamy się wszystkie twoje pragnienia. Oto jest klucz do kosmosu, poznania swych lęków i możliwości.

– Co ty pierdolisz, Julka? Po prostu łykajcie to gówno! – wrzasnęła Łagocki. Książkowy troglodyta. Nigdy niczego nie rozumiał.

Gustaw czuł powagę chwili. Wiedział, że stoi właśnie u progu wrót do cudownej krainy baśni i czarów. Czas się zatrzymał.

– Ten kryształ to klucz do Narnii. Do naszej prywatnej Nibylandii, w której wszystko jest możliwe i nawet taka drewniana lalka jak ty – złapała go za dłoń – może stać się na chwilę prawdziwym chłopcem. Czy chcesz zostać prawdziwym chłopcem, Gustawie?

– Chcę... – wyszeptał.

Tamtej sierpniowej nocy Gustaw Kolasa stał się mężczyzną. Bogini porzuciła dla niego swe wieczne życie, postanawiając związać się ze zwykłym śmiertelnikiem. Mezalians.

Szelest piasku, łagodne kołysanie fal. Dwoje kochanków: mistrzyni i uczeń. Prowadziła go za rękę, jak w tańcu, on posłusznie wykonywał każde jej polecenie. Trzydzieści taktów na minutę. Krok w przód, krok w bok. Lewa noga w tył, prawa noga w bok. Obrót w prawo.

Długo szukała kogoś, kogo pociągnie za sobą na granicę życia i śmierci. Niewinnej, czystej jak śnieg ofiary. Spośród wszystkich spotykanych tego lata ludzi wybrała właśnie jego.

SZYMON I ELIZA

Julka darzyła Szymona i Elizę miłością, o której zapomniała już bardzo dawno temu. Nie pamiętała, że w ogóle potrafi tak kochać.

Spacerowali po mieście, rozmawiali. Siadali w kawiarniach i obserwowali przechodniów. Mieli te same nieme wyrazy twarzy. Bogowie, którzy na chwilę wmieszali się w tłum śmiertelników.

Któregoś dnia zawędrowali na Garnizon. Bezpieczne, luksusowe osiedle. Zadowoleni ludzie, tacy zadbani, dopieszczeni.

– To też są tylko mrówki – powiedziała Julia. – Myślą, że są lepsi od innych, ale wszyscy należą do tej samej rasy insektów.

– Ich życie wypełnia smutek – stwierdziła Eliza.

– Grzeczny, ułożony świat. Każdy z nich ma swoje problemy, myśli, że jest wyjątkowy, unikalny. – Julia często wracała do tego wątku. To był jeden z ulubionych tematów Szymona Krukowskiego. Co czyniło nas unikalnymi?

Kelnerka podała napoje.

– Państwa zamówienie już się przygotowuje – obwieściła średnio gramatycznie.

Do stolika podszedł bezdomny. Chwilę wcześniej szukał czegoś w śmietniku.

– Dzień dobry, czy poratują państwo jakimś groszem... – Błagalny ton.

– Idź sobie stąd! – krzyknęła kelnerka, wybiegając z za baru. – Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie straszył mi klientów!

– Po prostu umieram z głodu... – wychrypiał.

– Zaraz zadzwonię po straż miejską! Won mi stąd! – ryknęła. – Bardzo przepraszam państwa za te niedogodności.

Szymon nawet się nie poruszył. Eliza wzięła łyk kawy.

– Nie pasuje do ich bańki. Burzy idealny obraz świata – oceniła Julia.

– I co byś z tym zrobiła? – spytał z zainteresowaniem Szymon.

Julka przygryzła dolną wargę.

– Pokazała im, że to wszystko nic nie znaczy. Że ich cudowne życie to jedynie ułuda. Mogłabym teraz, w tej chwili, porwać któregokolwiek z nich – wskazała dłonią na spacerujących deptakiem ludzi – i absolutnie nic by się nie stało. Spójrzcie na tego chłopaka.

Szymon i Eliza skierowali wzrok w stronę nastoletniego młodzieńca wędrującego przez osiedle z telefonem w rękę. Polowanie na pokemony.

– Ładny – ocenił Szymon.

– Moglibyśmy go teraz porwać. Wstać z miejsca, zapłacić za niezjedzony obiad, wrzucić do auta i odjechać. Czy myślicie, że ktoś by mu pomógł?

– Ciekawa koncepcja – przyznała Eliza. – A co z policją?

– Zainteresowaliby się po dwóch dniach – gdybała Julka. – Nastolatek zwał z domu, przecież często to się zdarza. Wyrzucilibyście w krzaki jego telefon, nie mogliby niczego namierzyć. Przecież tu nie ma żadnych kamer. Zresztą rodzice i tak pomyśleliby, że spierdolił. Są pewnie w trakcie rozwodu, dzieciak ma tego wszystkiego dość.

Szymon rozejrzał się wokół. Faktycznie. Brak monitoringu.

– Nagrania kasują po kilku dniach – zauważyła Eliza.

– Właśnie o to mi chodzi. Nikt by się nie zainteresował. Ludzie mają wszystko w dupie. Spójrzcie na tę babuszkę. – Julka wskazała na starszą

kobiecinę, która mocowała się z wypchaną po brzegi siatką zakupów. Młody chłopak przeszedł obok niej, nawet nie zauważył, że nieznajoma potrzebuje pomocy.

– A wyrzuty sumienia? – zagaił Szymon. Jego pytanie miało wydźwięk czysto retoryczny, mimo to Julka zdecydowała się odpowiedzieć.

– Nasze wybory nie mają absolutnie żadnego znaczenia – oznajmiła. – Wszystko w życiu robimy przecież po raz pierwszy. Nikt nie pozwala nam przeżywać swych dni na próbę. Wystawiacie przedstawienie, ale nie ma żadnych przygotowań. Od razu premiera spektaklu.

– I co z tego wynika?

– Że nie ponosimy odpowiedzialności za błędy. Bo przecież nawet jeśli zrobimy coś źle, to stanie się to tylko raz. Każde wydarzenie zdarza się w liczbie pojedynczej. Jezus raz umarł na krzyżu.

– Podobno – powiedziała ze śmiechem Eliza.

– Podobno – przyznała Julka. – Jak pisze Kundera, gdybyśmy musieli przeżywać wszystko w nieskończoność, życie byłoby piekłem. Pułapka wiecznego powrotu. Tymczasem każda radość i każde nieszczęście zdarzają się tylko raz. Nasze wybory więc...

– ...są nieznośnie lekkie – dokończył Szymon, który kiedyś także czytał tamtą książkę.

*

Każdego dnia Julia pragnęła coraz więcej. Spędzała z Szymonem i Elizą mnóstwo czasu, właściwie nie widywała się już z nikim poza nimi. Zażywali różne dziwne narkotyki, uprawiali dużo seksu. Kochali się w najróżniejszych konfiguracjach. Czasami delikatnie, czasami ostro. Nieraz zbyt ostro.

Eliza Górska studiowała farmację. Od zawsze interesowała się chemią, mieszała różne substancje, eksperymentowała. W kościele Szymona odpowiadała za przygotowywanie pokarmów. Chleb i wino, ciało i krew. Tajemnica transsubstancjacji.

Marcin Krukowski wybudował w swoim domu *safe room*. Bał się porywaczy, potrzebował niezawodnej polisy ubezpieczeniowej. Z czasem biznesmen stanął na nogi, odzyskał spokój ducha. Zresztą i tak mieszkał głównie za oceanem.

Prywatny schron stał się pokojem uciech Szymona. Schodzili tam z Elizą, by badać granice własnego człowieczeństwa. Gdyby pierwszy właściciel willi, Alfred Monberg, miał taką skrytkę, nikt by go nigdy nie złapał.

– Czujemy, że jesteś jedną z nas – powiedział Szymon, kiedy leżeli nago w łóżku. – Ale nie weszłaś jeszcze do rodziny.

– Czarny ślub – wyszeptała Eliza.

Julka się uśmiechnęła.

– Czy będziemy pić krew? – spytała z przekąsem.

Eliza podała Szymonowi niewielkie zawiniątko. Aksamitny woreczek, w środku dwie tabletki. Młodzieniec ułożył pigułki na dłoni. Czarna i biała.

– Musisz wybrać – powiedział nie do końca poważnie. Nigdy nie był do końca poważny. W jego oczach zawsze gościły uśmiech i łzy.

– Pierdolony Morfeusz – zażartowała.

– To *yang* i *yin* – obwieścił chłopak. Światłość i mrok. Słońce i księżyc. – Wybierając białą tabletkę, decydujesz się na życie. To pożegnanie. Czarna kapsułka oznacza śmierć.

– I zaproszenie – dopowiedziała Eliza, która samodzielnie przygotowała oba narkotyki.

– Mam to zjeść? – spytała Julia, wyciągając rękę po czarną tabletkę.

Szymon pogładził ją po twarzy. Była o wiele ładniejsza od jego pierwszej dziewczyny.

– Pamiętaj, że wybierając życie, i tak w końcu umrzesz. Jeśli zdecydujesz się na śmierć, ofiaruję ci nowe życie.

Młody Krukowski naprawdę wierzył w to, co mówił. Nie bawił się w proroka, lecz święcie wyznawał swą wyjątkowość. Uważał, że otwiera przed Julią wrota do innego świata. Jego myśli wciąż krążyły po mrocznej stronie rzeczywistości.

Julia połknęła czarną tabletkę.

– Witaj – rzekła Eliza. Pocałowała dziewczynę w usta. Szymon do nich dołączył.

*

Nie wiedziała, co się dzieje. Świat wirował jej w głowie, nigdy wcześniej nie brała czegoś tak mocnego. Jakby ktoś zsyntetyzował ayahuascę i podkreślił jej moc.

Eliza z Szymonem trzymali ją za ręce. Zeszli do piwnicy, otworzyli drzwi do *safe roomu*.

– Z tej drogi nie ma powrotu – szepnął chłopak.

Pomieszczenie wyglądało całkiem przytulnie. Kanapa, stolik, biurko i telewizor. Obok łazienka.

– Czy chcecie mnie zabić? – mruknęła, chwiejąc się na nogach. *Too much love will kill you*^[62].

– Milcz – rozkazała Eliza.

Podeszli do metalowych drzwi. W środku błękitne światło świetlówek, na ścianach haki i liny. Dziwne maszyny służące zaspokajaniu najbardziej wyuzdanych fantazji.

Położyli ją na ławce.

– Będziemy się pieprzyć? – stęknęła. Ledwo kontaktowała.

Eliza zaczęła owijać ofiarę folią. Najpierw związała ręce i nogi, później resztę ciała. Przezroczysty strecz trzymał mocniej niż kajdanki. Julia leżała uwięziona w plastikowym kokonie.

– Być może nadszedł właśnie czas pożegnania – obwieścił Szymon.

– Pamiętaj, że każdy koniec stanowi nowy początek – dodała Eliza.

Owinęli jej głowę. Natychmiast zaczęła się dusić. Moc narkotyku jakby osłabła. Zdała sobie sprawę z tego, że umiera. Próbowwała się wyrwać, ale nie mogła ruszyć żadną kończyną. Zaklęta w kamień.

Ile możemy wytrzymać bez oddechu? Dwadzieścia sekund? Trzydzieści? Przy dobrych wiatrach minutę. Rekord świata wynosił podobno jedenaście minut.

U zwykłego człowieka po minucie bezdechu układ obronny automatycznie stara się zaczerpnąć tchu. Julia przypominała wyciągniętego z wanny wigilijnego karpia. Otworzyła usta, strecz nieznacznie zapadł się do środka. Próbowwała przebić go językiem, ale nie miała wystarczająco dużo siły.

W ostatniej chwili, tuż przed tym, jak zemdlą, Szymon wbił palec w folię. Gwałtownie zaciągnęła się tlenem. Później straciła przytomność.

*

Obudziła się po kilku godzinach uwięziona we własnym ciele. Szymon z Elizą zgasili światło, zostawili ją w *safe roomie* zawiniętą w plastikową taśmę. Straciła rachubę czasu. Odchodziła od zmysłów, piekło ją w gardle, w ustach czuła smak pustyni. Znow odpłynęła.

*

Szymon rozciął więzy. Uwolnił dziewczynę z plastikowego kokonu, wziął na ręce i zaniósł na górę. Umył ją w wannie, напоił, ułożył w łóżku.

– Do tej pory nie wiedziałaś, czym jest prawdziwe życie – oznajmiła Eliza. – Aby zrozumieć życie, trzeba najpierw poznać śmierć.

– Dziękuję – wyszeptała. Nie czuła strachu. Nawet wtedy w piwnicy, kiedy myślała, że zejdzie, tak naprawdę wcale się nie bała. Jej ciało reagowało mimowolnie, umysł był fantastycznie wyzwolony.

Od tamtej pory wielokrotnie rozmawiali o śmierci. Dyskusja nabrała nowego wymiaru. Przestała być pretensjonalną konwersacją znudzonych, naćpanych dzieciaków. Stała się poważnym tematem trzech osób, z których każda swego czasu skosztowała jej smaku.

– Pamiętaj, z tej drogi nie ma powrotu – rzekł Szymon. – Będziemy razem aż do końca.

[62] Za dużo miłości cię zabije (ang.).

ROZDZIAŁ 53 | SIERPIEŃ

JULIA

Wybiła godzina próby. Rozmawiała o niej z Szymonem i Elizą; dyskutowali długimi nocami, pijąc czerwone wino, słuchając ciężkiej, psychodelicznej muzyki. Sqürl. Prawdziwe wampiry, stęsknione za światłem, spragnione krwi. Piękniejsze niż Tom Hiddleston, smutniejsze niż Tilda Swinton.

Okazja nadarzyła się całkiem przypadkowo. Jechali malować pociągi. Julka kochała sztukę, planowali złamać kilka reguł. Walka z nudą. Wojna z systemem.

Julka miała to wszystko w dupie. Usłyszała kiedyś od jednego poety, że w żadnej konstytucji nie ma niczego o nas. To prawda. Zbiorowość była ułudą. Liczyliśmy się tylko my. Indywidualne przeżycia, pojedyncze cierpienia.

Otworzyła plecak. Nawet nie wiedziała, że zabrała ze sobą rozpuszczalnik. Po prostu wsadziła go do środka. Szli malować pociąg, więc pomyślała, że butelka z alkoholem etylowym zawsze może się przydać. To nie mógł być przypadek. Los zdecydował za nią.

– A więc stanie się – oznajmiła uroczyście niczym pogańska kapłanka.

Otworzyła rozpuszczalnik. Podeszła do leżącego nieopodal mężczyzny i wylała na niego całą zawartość butelki. Nawet się nie poruszył. Mamrotał

coś przez sen.

– Co ty robisz?! – krzyknął Kolasa.

– To, co trzeba zrobić. To, czego nikt nie miał do tej pory odwagi zrobić. – Wyciągnęła zapalniczkę. – Proszę, Gustaw. Oto jest twoje zadanie.

– Przestań, Julka! – zawołał, niemal płacząc.

– Jego życie już dawno temu umarło. Jest jak żywy trup, porusza się po tym świecie i cierpi. Uwięziony w pułapce wiecznego powrotu. Czeka, aż ktoś zakończy jego męki.

– Chyba nie mówisz poważnie?! – Zaklinał rzeczywistość. Wiedział, że Julia nie żartuje.

– Miej odwagę. Miej odwagę wziąć na barki odpowiedzialność za jego życie. Odebrać mu cierpienie i bezsens istnienia. – Wznieciła płomień w zapalniczce.

– Przecież nie spalisz go żywcem!

– Nie, to twoje zadanie – szepnęła.

– Jesteś nienormalna.

– Ten człowiek już dawno umarł! – podniosła głos. W bladym świetle płomienia przypominała demona. – Nie odbierzesz mu życia, bo dawno już je utracił. Zabierzesz tylko ból.

– NIEEEE! – wrzasnął Gustaw, wybiegając na zewnątrz.

Julka została sama w szalasi. „A więc to moje zadanie” – pomyślała. Podeszła do mężczyzny. Wszystko, o czym opowiadała Szymonowi i Elizie, wszystkie rozważania i dyskusje doprowadziły ją do tego momentu. Nie można było dłużej tego ciągnąć.

Musiała stać się prawdziwym człowiekiem. Kierowanym wolą: pradawną, pierwotną siłą i mocą. Całe życie czerpała z tej studni. Teraz

krwawy bóg żądał ofiary. Zapłaty za te wszystkie lata, kiedy pozwalał jej sterować losami innych, obdarowując częścią swej potęgi.

Za wszystko musimy w końcu zapłacić.

– To dla twojego dobra – wyszeptała, zbliżając dłoń do ciała mężczyzny. Pierwszy raz od długiego czasu zatrzęsła się jej ręka. Dziwne, zapomniane uczucie. Nieproszony gość z dalekiej przeszłości. Poczula strach.

Dawno się nie bała. Chyba ostatnio wtedy, gdy zostawił ją Alex. Długo nie mogła poradzić sobie z odrzuceniem. Wtedy postanowiła, że już nigdy nie będzie się lękać. Wypłynęła na głębię własnego nadczłowieczeństwa. *Duc in altum*^[63] mrocznego świata, w którym umarł Bóg i królowały demony. Upiory egoizmu, brak granic, nieskończony bal grzesznych żądy.

Prawie to zrobiła. Płomień nieomal dotykał ciała mężczyzny. Prawie przeskoczył na jego ubranie. Jeszcze tylko kilka centymetrów.

– Naprawdę, poczujesz się lepiej – powiedziała bardziej do siebie niż bezdomnego. – Koniec męki, bólu, głodu. Kojąca pustka. Nicość. Twoja nirwana.

Rozpłakała się. Jednak nie była taka silna. Nie mogła tego zrobić.

– Przepraszam – szepnęła.

Julia zgasila zapalniczkę. Powoli wyszła na zewnątrz. Gustaw stał kilkadziesiąt metrów dalej. Zamachał do niej latarką. Miała łzy w oczach, ale on ich nie dostrzegł. Nie wiedział, co teraz dzieje się w jej głowie. Nikt nie wiedział.

SZYMON I ELIZA

Następnego dnia Julka spotkała się z Szymonem i Elizą. Opowiedziała im o przygodzie w bunkrze, o tym, że nie dała rady.

– To mógł być moment twojego prawdziwego wyzwolenia – stwierdził poważnie Szymon.

– Wiem – wyszeptała. – A jednak...

Młodzieniec objął Julię. Ciepło niczym brat, serdecznie niczym przyjaciel. Był w końcu jej przewodnikiem.

– Wiesz, że nasza droga nieuchronnie do tego prowadzi – rzekł z powagą.

Julka spuściła głowę. Wiele razy układała to sobie w głowie; widziała oczyma wyobraźni, jak odbiera komuś życie, decyduje o czyimś losie. Wyzwolenie z wszelkich reguł. Wybór tak lekki, że aż nieistotny.

– Ja chyba nie mogę. Jestem za słaba – odparła.

Eliza podeszła do Szymona. Stała u jego boku.

– Zaoferowaliśmy ci wybór. Światłość lub mrok. Pokazaliśmy, co kryje się po drugiej stronie – przypomniała dziewczyna.

– Z tej drogi nie ma odwrotu – przypomniał młodzieniec. – Na jej końcu czeka tylko śmierć. Żadne z nas jej nie ucieknie.

JULIA

Julia nie była sobą. Błąkała się bez sensu po mieście; czuła, że nie ma dokąd uciec. Zapędzona w kozi róg. Goniła za śmiercią, myślała, że może wszystko. W ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że tak naprawdę zawsze pragnęła życia.

Zupełnie nie wiedziała, co począć. Zamknięta w klatce: ludzkich oczekiwań, niewypowiedzianych nadziei. Tu nie było dla niej miejsca. Nigdy nie mogła znaleźć swojego kawałka kosmosu. Świat doczesny ją dusił; wizja śmierci przerażała.

Kilka dni później znów zawędrowała do Willi Monberga. Została na noc. Kochali się do świtu.

Nad ranem Szymon nagle gdzieś zniknął. Wrócił około południa w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Usiadł z nim w ogrodzie, poczęstował obiadem. Później wrócił na górę.

– Kto to jest? – spytała Eliza.

– To nasz gość – odparł krótko. – Strudzony wędrowiec.

Siedzieli w sypialni, Julia miała na sobie jedwabny szlafrok. Szymon szukał czegoś w szafie.

– Proszę – powiedział, kładąc na stole skórzany futerał.

– Co to jest? – spytała Julka.

Młodzieniec rozpiął zamek. W środku znajdowała się myśliwska strzelba.

– To broń mojego ojca. Podobno kiedyś polowałaś – przypomniał.

Julka wzięła do ręki sztucer. Karabin myśliwski Christensen Arms Summit.

– Jest piękny.

Czuła tę lekkość. Włókno węglowe, eleganckie wykończenie, pistoletowy chwyt. Aż chciało się zabijać.

Wyszli na balkon. W ogrodzie rozgościł się nieznanomy. Od kilku dni nie jadł niczego porządnego, a teraz siedział na leżaku z pełnym brzuchem i pił trzecią butelkę wina. Trochę zaczął przysypiać.

Dlaczego nie zastanowił się dwa razy, zanim tu wszedł? Sto lat temu Alfred Monberg odebrał życie niewinnej osobie, ale to nie wystarczyło. Dom z Jaśkowej Doliny był ciągle nienasycony.

– Tak będzie ci znacznie łatwiej – wytłumaczył Szymon.

– Z tej drogi nie ma odwrotu – przypomniała Eliza.

Julia czuła narastające podniecenie. Jakaś cząstka niej wciąż pragnęła skosztować smaku krwi. Poczuć, że przerywa czyjeś życie.

– Zrobię to – postanowiła.

Przyłożyła lunetę do twarzy. Obserwowała brudne dłonie, które sięgały po drogie wino. Mężczyzna był mocno zarośnięty, mimo upału nie ściągnął swetra ani kurtki. Czy czuł, że pije Borgo Scopeto Chianti, pięć stów za butelkę? Zapach Toskanii; bogaty, pełny bukiet. Rubinowa barwa koloru gęstej krwi.

Nie potrafiła nacisnąć spustu. Coś wciąż ją powstrzymywało.

– No dalej – zachęcała Eliza.

Mężczyzna nie mógł wymarzyć sobie piękniejszej śmierci. Zabytkowa willa, basen, wygodny leżak. Miał pełny brzuch, pił drogie wino. Co innego mogło go spotkać? Zgon w przytułku albo na zimnej ulicy. *Ars moriendi*^[64]. To był jego szczęśliwy dzień.

– Nawet tego nie poczuje – stwierdził Szymon. – Po prostu odejdziesz błogo ze świata, który nigdy go nie kochał. Odbierzesz mu nie życie, a troski i problemy.

Julia czuła zimno cyngla. Szybka decyzja, jeden strzał.

Spojrzała na unoszącą się w rytm oddechu klatkę piersiową. Gdzieś tam pod skórą, kośćmi i tłuszczem biło serce. Gdzieś tam pod brudem i wszami krył się prawdziwy człowiek.

Nie mogła tego zrobić. Od tamtej nocy w bunkrze wiedziała, że nie jest w stanie zabić. Początkowa ekscytacja minęła. Odłożyła broń.

– Przepraszam – wyszeptała i wbiegła z powrotem do pokoju.

Rzuciła się na łóżko. Eliza usiadła tuż obok niej.

– Musisz to zrobić – przypomniała. – Najpierw on, a potem my.

Julka płakała.

– Przepraszam, ja nie mogę.

Szymon odłożył sztucer do torby. Nie zapiął zamka. Planował dziś jeszcze posłużyć się tą bronią.

– Niestety, nie masz wyboru. Wybrałaś śmierć – powiedział poważnym tonem. Przybrał minę zawiedzionego nauczyciela.

Takiego, który nieomal został zdradzony.

– Błagam was. Nie kaźcie mi tego robić! – chlipała. – Ja naprawdę nie potrafię!

– Śmierć czeka na każdego z nas. W końcu dopada wszystkich: bogatych i biednych. Smutnych i wesołych. Różnica pomiędzy nami a resztą świata jest taka, że dołączamy do nielicznego grona śmiazków, którzy rzucili jej wyzwanie – tłumaczył chłopak.

– Jeśli nie pójdziesz z nami, i tak cię zabijemy – ostrzegła Eliza.

Julia wstała z łóżka. Wiedziała, że mówią śmiertelnie poważnie.

– Pomyśl tylko: najpierw on, a później my. Piękna, nieznośnie lekka decyzja.

– Nie. – Zalała się łzami. – Wybaczcie.

SZYMON I ELIZA

Julka uciekła bez pożegnania.

– Jednak nie była gotowa – oceniła Eliza.

Szymon czuł się poważnie zawiedziony. Siedział na brzegu łóżka i rozmyślał. Przez całe życie zainspirował swoimi ideami kilka ciekawych osób. Żadna nie wytrwała przy nim zbyt długo. Wszyscy odwracali się plecami i znikali.

Spojrzał na Elizę. „Czy ona też stanie się w końcu moim rozczarowaniem?”

Trwali tak w ciszy. Nieznajomy zapadł w poobiednią drzemkę. Z ogrodu dochodziło jego głośne chrapanie. Uszkodzona przegroda nosowa.

Eliza domyśliła się, co chodzi po głowie Szymona. Kolejna zdrada. Smutek i rozczarowanie.

Podeszła do stołu i złapała karabin. Stanęła w oknie. Wycelowała.

– Zostaw to – szepnął Szymon.

– Jestem gotowa – odparła Eliza. – Udowodnię ci, że na mnie jedną możesz liczyć.

– Wiem. – Chwycił dłonią za kolbę broni. Opuścił ją na ziemię.

Wrócili do pokoju. Szymon długo o czymś myślał. Eliza cierpliwie czekała.

– Pójdę za tobą, gdziekolwiek wskażesz – przypomniała po chwili.

Przytaknął. Jego myśli dotyczyły w tym momencie zupełnie innych zagadnień.

– Życie tego człowieka i tak zmierza prosto ku śmierci – stwierdził tonem kaznodziei. – Jego ofiara przedstawiałaby wyjątkowo niską wartość.

– To prawda – przyznała Eliza.

– Powinniśmy poświęcić temu więcej czasu. Zaplanować wszystko dokładnie. Sztuką nie jest napisać powieść, lecz stworzyć wiekopomny tekst. Musimy dokonać czegoś wyjątkowego.

Eliza zbliżyła się do niego. Przemawiał pełen pasji. Wyciągnęła telefon i zaczęła to wszystko nagrywać.

– Stworzymy nową Ewę. Zabierzemy życie, by ofiarować je na nowo, a później... uśmiercimy własne dziecko.

Elizę wzruszyła podniosłość chwili.

– To nie będzie on. – Wskazała na ogród. – Chcesz zabić Julię, prawda? Naszą piękną, szaloną Julię.

– Nie – powiedział stanowczo. – Zbyt dużo nas ze sobą łączy. Taka śmierć byłaby aż nadto oczekiwana. Zbyt banalna.

Dziewczyna wszystko nagrywała.

– A więc kto? – spytała, niemalże padając na kolana.

– Zdecyduje przypadek. Tylu ludzi spaceruje codziennie po mieście: szczęśliwych, zatroskanych, bezpiecznych. Wyjdziemy na ulicę i tam poznamy nową Ewę lub nowego Adama. To los postawi ich na naszej drodze. Ale najpierw... – Złapał się za głowę. Poczł silny ból w skroni. – Musimy być gotowi.

Przysiadł na łóżku. Szaleńcza wizja kosztowała go sporo sił.

JULIA

Nigdy więcej nie spotkała Szymona i Elizy. Julia posiadała wiele talentów, a umiejętność błyskawicznej ucieczki była jednym z nich. Bała się tego, do czego byli zdolni, lękała się o swoje życie.

Wiedziała, że tu, w Gdańsku, nie ma już dla niej miejsca. Musiała zniknąć.

Stała na wiadukcie kolejowym, obserwując panoramę miasta. Stoczniowe dźwigi delikatnie drzemały, w każdej chwili gotowe odpowiedzieć na wezwanie wołającego. Wystarczyło odgadnąć właściwe hasło, by śpiący, stalowi rycerze stanęli w obronie uciśnionych.

Umówiła się z Gustawem właśnie tu, gdzie wszystko się zaczęło. Przyszedł idealnie o czasie.

– Hej – rzekł chłodnym tonem. Od wydarzeń w bunkrze postanowił zerwać z nią wszelki kontakt, a mimo to był tu teraz, gotowy wysłuchać, co ma do powiedzenia. Liczył na przeprosiny.

– Pamiętasz, jak wtedy w Chałupach obiecałeś mi, że pójdziesz ze mną poza granice kosmosu? – spytała. – Teraz jest właśnie ten moment.

„Kolejna pokręcona gra” – pomyślał.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł chłodno.

Złapała go za rękę. Gustaw był normalnym, porządnym chłopakiem. Miał dobrze poukładane w głowie. Potrzebowała jego pomocy. Obecności kogoś opanowanego, przewidywalnego, pewnego.

– Proszę cię, byś zostawił wszystko i ze mną poszedł.

– Julka, dokąd mam z tobą iść? Chcesz znowu, żeby ktoś mnie pobił? Albo znowu spróbujesz zmusić mnie do morderstwa?

Do bólu zwyczajny.

– Potrzebuję pomocy. Kogoś, kto rzuci to przeklęte miasto, zaopiekuje się mną i sprawi, że będę bezpieczna.

– Wpadłeś w jakieś tarapaty? – Zaśmiał się. – Julka, przy twoim trybie życia aż dziw, że jeszcze nie siedzisz w pierdłu. Albo nie pływasz w Strzyży.

Na horyzoncie pojawiła się kolejka. Niebiesko-żółty elektrowóz, kilka poniszczonych wagonów.

– Wiem, że nie jestem do końca normalna. Ale zrozumiałam, że muszę coś zmienić.

Gustaw pierwszy raz w życiu był górą. Podobała mu się ta rola. Jakaś część jego jaźni pragnęła pójść za dziewczyną. Z drugiej strony bardzo chciał jej pokazać, że nie wolno nim bezkarnie pomiatać. Prawdziwy facet. Mogli być razem, ale musiał ją chociaż ukarać. Rozstaną się; ona wróci do niego z płaczem. *Ubi crimen, ibi poena*, gdzie przestępstwo, tam i kara. Za te wszystkie krzywdy? Należało jej się.

– Nie, Julka. Nie możesz wiecznie wszystkim rozkazywać.

Pociąg powoli hamował.

– Proszę cię, Gustaw! – W jej oczach zaszklily się łzy.

Kolasa grał twardziela.

– Nie jestem twoją zabawką.

Na peron wysypały się tłumy imprezowiczów. Od strony Śródmieścia nadjeżdżał właśnie kolejny skład.

Zeszła kilka schodków niżej. Rozdzielili ich ludzie. Ciągnęli na imprezę: pijani, głośni, weseli. Julia zamierzała odejść, ale z niewiadomego powodu w ostatniej chwili odwróciła się i zawołała:

– Chodź ze mną teraz albo już nigdy mnie nie znajdziesz.

Gustaw stał jak słup soli. Tłum pociągnął go w stronę stoczni, Julia zniknęła mu z oczu. Już nigdy jej nie znalazł.

[63] Wypłyn na głębię (łac.) – Łk 5,4.

[64] Sztuka umierania (łac.).

ROZDZIAŁ 54 | STYCZEŃ

KONRAD KROON

Konrad zajechał do prokuratury, kiedy słońce wciąż było schowane za widnokrzem. I tak nie mógł spać.

Jego myśli nieustannie błędziły wokół sprawy Weroniki Zatorskiej.

– O stary, wyglądasz jak pierdolone zombie – powiedział prokurator Kielrowski, wyrywając Kroona z gęstwiny myśli.

– Długo tak tu stoisz? – spytał Konrad, spoglądając w stronę kolegi. Nawet nie usłyszał dźwięku otwieranych drzwi.

– Z dobrą minutę.

Kroon zamknął akta. Na dworze zrobiło się już całkiem jasno. Stracił poczucie czasu.

– Sorry, mam kupę roboty.

Kielrowski przysiadł na biurku. Z trudem znalazł miejsce pomiędzy wysokimi stosami dokumentów.

– W okręgu nie gadają o niczym innym, tylko o tej twojej Zatorskiej. Ja jebię, co za pojechana akcja.

– I co gadają? – zagadnął Konrad, sięgając po kubek z kawą. Zimna.

– Bez kitu, nie pamiętam, kiedy u nas trafiło się takie zabójstwo. Jak, kurwa, z filmu. Przecież przy tym gównie nawet sprawa Ptasznika to jakaś

amatorszczyzna! Czekam tylko, aż informacja dotrze do mediów...

– Serio na to czekasz? – Kroon zrobił zniesmaczoną minę.

Dobrze prowadzone śledztwa, podobnie jak pieniądze, nie lubiły rozgłosu.

– A ty wiesz, że ja znałem sprawcę? – odparł Kielrowski. – Chodziliśmy na tenisa do tego samego klubu.

– I co? Dobrze grał?

Krzysiek zagryzł wargi.

– No... Skurwiel miał mocny serwis. Ale że taki pojebaniec z niego... Zobacz, kręcisz się wokół ludzi i nawet nie wiesz, co każdy z nich ma w głowie. A przecież statystycznie jeden procent społeczeństwa to psychopaci. Czyli, kurwa, na każde sto osób, które mijasz na ulicy, jedna może wpierdolić ci nóż w plecy i przy tym nie mrugnąć.

– Młody Krukowski nikomu sztychu nie władował. Miał lepsze pomysły – skwitował Kroon.

Siedzieli chwilę w ciszy.

– Pożyczyłem mu kiedyś pewną książkę – rzucił po dobrej minucie Kielrowski. – Nigdy nie oddał.

– Niech zgadnę: *Mein Kampf*? Czy może *Tako rzecze Zaratustra*?

Krzysiek zarechotał.

– Doktorat mojego ojca. Papko pisał pracę o architekturze Jaśkowej Doliny, sporo miejsca poświęcił Willi Monberga.

– Domu Krukowskich – dodał Kroon.

– Młody Szymuś interesował się pierwszym właścicielem. To też był jakiś świr.

– Podobno kogoś zamordował.

– Ja pierdolę. Dom widmo. Wybudowany na starym indiańskim cmentarzu czy co? Aż ciary mnie przeszły – skwitował Kieltrowski.

*

Tego dnia nie wypił niczego poza zimną kawą. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był w takim stanie. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

– Konrad, zapal sobie lepsze światło – szepnęła szefowa, zerkając do gabinetu Kroona.

Prokurator siedział w półmroku, jego biurko oświetlała jedynie niewielka metalowa lampka. Na dworze już dawno zapadł zmierzch.

– Jest spoko – mruknął Kroon, nie zwracając na Magdę większej uwagi. Budynek opustoszał, zostali tu tylko we dwójkę.

– Jak tam chcesz – odparła kobieta. – Ja muszę lecieć. Wiesz, mam męża i dzieci...

Konrad tego nie skomentował. Prawdopodobnie w ogóle jej nie usłyszał.

Rzeplińska zniknęła na schodach. Wiedziała, że sprawa Weroniki Zatorskiej trafiła w dobre ręce.

– Julia... – powtórzył cicho Kroon. – Krzycz, jeśli żyjesz...

W materiałach ujawnionych w domu rodziny Krukowskich znalazł wszystko, czego potrzebował do wyjaśnienia śmierci Weroniki Zatorskiej. Sprawcy wytłumaczyli, jak dokonano wyboru ofiary. Udokumentowali jej uprowadzenie, tortury, stworzyli listę podawanych dziewczynie substancji narkotycznych.

Bezpośrednią przyczynę zgonu stanowiło, jak słusznie stwierdził trzy i pół miesiąca temu doktor Jaworski, zatrzymanie akcji krążeniowo-oddechowej na skutek przedawkowania nowych substancji psychoaktywnych.

Tym, czego badania nie mogły stwierdzić, był sposób przyjęcia substancji psychoaktywnych przez zmarłą.

– Ja pierdołę... – zaklął Kroon, kolejny raz wertując akta. Nie mógł uwierzyć w bestialstwo sprawców. Takiej zbrodni nie powstydziliby się nawet Hannibal Lecter.

Przeglądał zabezpieczone nagrania. Porywacze rzekomo działali we dwójkę. Tak twierdziła policja, z materiałów nie wynikało nic innego.

„A jeśli kryje się za tym ktoś jeszcze?” – dźwięczała natrętna myśl.

Kroon nie mógł przeboleć, że trzy miesiące temu prawda przeszła mu koło nosa. Obiektywnie tej zbrodni nie dało się wtedy wyjaśnić. Wszystkie dowody potwierdzały wersję o samobójstwie, Krukowscy nie zostawili żadnych śladów. Nic nie łączyło ich z ofiarą. Morderstwo doskonałe.

– Ale dlaczego zrobili jej ten tatuaż? – szemrał pod nosem. – Zupełnie inny wzór niż u Kolasy, Salińskiej, Rosikowej i Duchnowskiego.

To samo powiedzonko, odmienne wykonanie.

Na nagraniach widział, jak Szymon Krukowski w dość nieudolny sposób znaczył ciało żywej jeszcze Weroniki Zatorskiej. KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ. Często posługiwał się tym zwrotem w rozmowach z Elizą Górską, ale go nie tłumaczył.

Zabójcy słowem nie wspomnieli o żadnej Julii; o reszcie dwudziestolatków zresztą też nie.

„Krzycz, jeśli żyjesz” – powtarzany do znudzenia wers; sonet pochłoniętego śledztwem prokuratora. Pierwszy raz w historii to Konrad zmieniał się w Gustawa, a nie odwrotnie.

Miłość. Każda historia to tak naprawdę opowieść o miłości. Miłość Kroona do Zuzy chroniła go przed upiorami przeszłości i jednocześnie niszczyła od środka. Miłość Gustawa do Julii wznosiła młodzieńca na wyżyny człowieczeństwa i równolegle doprowadzała do szaleństwa. Czy

obie kobiety utkano z tego samego kawałka astralnej przędzy? Bo jeśli miłość nie jest wytworem naszego świata, jeśli dusze kochanków spotkały się już wcześniej w innym miejscu i czasie, to w imię jakich prawideł owo boskie uczucie odbiera szczęście, nie pozwalając zaznać spełnienia w czymkolwiek innym? Czy taka miłość jest transcendentnym darem, czy może jednak klątwą rzuconą na niepokornego żeglarza? Zobacysz na horyzoncie dom, lecz nigdy nie postawisz stopy na ojczyściej ziemi. Tęsknota nie da ci zapomnieć. Rozum nie pozwoli zostać.

*

Kroon siedział do późna w nocy przed komputerem, tropiąc niewidzialną dziewczynę o lekko skośnych oczach. Żadne poszlaki, żadne dowody nie prowadziły do tajemniczej dwudziestolatki. A jednak gdzieś pod skórą prokurator czuł jej obecność.

– Julia... Czy ty w ogóle istniałaś?

PATRYCJA RADKE

Patrycję zaskoczyła informacja z prokuratury. Śledztwo w sprawie Weroniki Zatorskiej podjęto na nowo.

– Czy zastałam prokuratora Kroona? – spytała w sekretariacie.

– Akurat jest w okręgu. Narada z szefem – wytłumaczyła jedna z pracownic. – A pani w jakiej sprawie?

– Jestem pełnomocniczką rodziny Zatorskich – odparła.

– A to lepiej tu pani zaczeka.

Patrycja została zaproszona na spotkanie przez samą Prokurator Rejonową. Kobieta wytłumaczyła, jakie są powody podjęcia śledztwa na

nowo, poprosiła o poinformowanie rodziny. Patrycja nie mogła się otrząsnąć.

– Naturalnie w stosownym czasie zapozna się pani z aktami – wyjaśniła Magdalena Rzeplińska. – Na razie jednak proszę uzbroić się w cierpliwość. Mamy tu prawdziwe oberwanie chmury.

W rodzinie Zatorskich trauma odżyła na nowo. „Ale jak to zamordowana?!” – płakała przerażona matka. „Wiedziałem. Wiedziałem!!!” – wrzeszczał wściekły ojciec.

Patrycja przeczytała akta od deski do deski. Kroon zostawił je dla niej w sekretariacie. Brak snu i praca po kilkanaście godzin na dobę zrobiły swoje. Konrad dostał wysokiej gorączki, musiał iść na zwolnienie.

Młoda adwokat przychodziła do prokuratury przez trzy dni z rzędu, żeby zapoznawać się z materiałami śledztwa. Dopiero po weekendzie zastała go w gabinecie.

– Dzień dobry, pani mecenas.

Kroon wyglądał jak żywy trup. Podkrążone oczy, blada cera. Zmizerniał.

– Dzień dobry – odparła Patrycja.

– Proszę się do mnie nie zbliżać. Myślę, że wciąż zarażam.

Nie powinien w tym stanie przychodzić do roboty. Jest jednak takie stare branżowe powiedzonko: Kiedy prokurator pracuje jedynie przez osiem godzin dziennie? Podczas urlopu i na zwolnieniu lekarskim.

– Czytałam akta. To straszne.

– Wiem – przyznał zachrypniętym głosem.

Rozmawiali przez bite dwie godziny. Patrycja wiedziała, jak zakończy się ta sprawa. Sprawcy zmarli, nie było kogo oskarżać. Nie miała do nikogo pretensji. Po prostu łączyła się w bólu z ofiarą i jej rodziną.

– Zrobił pan wszystko, co było w pana mocy. Nie dało się wtedy tego inaczej poprowadzić. Nie mieliśmy dowodów, porywacze nie zostawili żadnych śladów – skonstatowała młoda mecenas. Uczyła się na błędach.

Tym razem to Kroon wydawał się nieprzekonany.

– Z fałszywych przesłanek również da się wyprowadzić prawdziwe wnioski. A gdybym uwierzył wówczas panu Kolasie? – spytał wyraźnie zatroskany.

Patrycja sama się nad tym zastanawiała.

– Gustaw Kolasa mówił jedynie o swojej eksdziewczynie – powiedziała po dłuższej chwili namysłu. – Nie wiedział niczego o Szymonie Krukowskim ani o Elizie Górskiej.

– A jeśli ta cała Julia...

Adwokat przejęła pałeczkę. Teraz to ona musiała naprostować Kroona.

– Julia stanowiła groźną fiksjację oszalałego z miłości dwudziestolatka. Żadne materiały ze śledztwa, żadne nagrania z Willi Monberga nie świadczą o jej związku ze sprawą.

Kroon spojrział w oczy Patrycji. Czternaście lat młodsza od niego. Dopiero zaczynała, nie miała praktycznie żadnego doświadczenia. A jednak w tej chwili jak nigdy potrzebował jej aprobaty.

– Pani mecenas. Czy popełniłem błąd?

Patrycja podniosła się z krzesła. Podeszła do Kroona, ignorując ryzyko złapania jakiegoś paskudnego wirusa.

– Wszyscy popełniamy błędy. Nawet pan. – Zabrała swoją teczkę i ruszyła w stronę drzwi. – Tej sprawy nie dało się jednak inaczej poprowadzić. Proszę wracać do domu.

EPILOG | KWIECIEŃ

Sprawę morderstwa Weroniki Zatorskiej obejrzeli wszyscy święci. Prokurator Rejonowa, jej zastępczyni, przełożeni z nadzoru. Akta trafiły podobno nawet na biurko samego Prokuratora Regionalnego. O dziwo, tematem nie zainteresowały się media.

Trójmiasto wciąż żyło sprawą Ptasznika, przeciwko któremu kilka dni temu skierowano do sądu akt oskarżenia. Śledztwo potwierdziło wersję forsowaną przez obrońców: trzydziestotrzyletni rzeźbiarz nie miał zamiaru zabić. Zarzucono mu nieumyślne spowodowanie śmierci, zwolniono z aresztu. Odpowiadał z wolnej stopy.

Kryminalni nie poinformowali gazet o morderstwie w Willi Monberga ani o psychopatycznych skłonnościach Szymona Krukowskiego. Opinia publiczna nie poznała prawdziwych powodów śmierci Weroniki Zatorskiej, której ciało w pewien chłodny październikowy poranek znaleziono przy brzegu Strzyży.

Rodzina zmarłej przeżywała swą tragedię w ciszy. Nie chcieli rozgłosu.

*

Postępowanie przeciwko Januszowi Podgajnemu w dalszym ciągu trwało. Prowadziła je prokurator Renata Malicka, która zajęła zwolnione przez

Kieltrowskiego miejsce w dziale śledztw. Zgodnie z zapowiedzią Kroon nie przeszedł na „jedynekę”.

Podgajny podtrzymywał swoje wyjaśnienia w zakresie zabójstwa Grażyny Stolz. W trakcie śledztwa wyznaczono mu nowego obrońcę z urzędu, poprzedni zakończył służbę, przechodząc w stan wiecznego spoczynku.

W toku postępowania pojawiły się wątpliwości co do stanu poczytalności sprawcy. Ostatecznie biegli orzekli, że w inkryminowanym czasie Podgajny nie miał zniesionej ani ograniczonej zdolności pokierowania postępowaniem ani rozpoznania znaczenia swoich czynów. Mógł brać udział w toczącym się przeciwko niemu śledztwie.

Półtora roku później Sąd Okręgowy w Gdańsku uznał go winnym zabójstwa Grażyny Stolz. Wymierzył mężczyźnie karę dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Podgajny zmarł na nowotwór złośliwy trzustki sześć lat przed końcem kary.

*

Gustaw Kolasa nie został poinformowany o wynikach podjętego śledztwa w sprawie Weroniki Zatorskiej. Nie był stroną w sprawie, nikt mu niczego nie wyjaśnił. Po przesłuchaniu na komendzie miejskiej doznał lekkiego załamania. Zamknął się w sobie, nie przystąpił do sesji egzaminacyjnej. Nie znalazł w sobie odwagi, by po raz ostatni zapukać do drzwi kancelarii mecenasa Radke.

Terapeuta stwierdził, że chłopak potrzebuje pilnej interwencji lekarskiej. Za namową rodziców Gustaw zgodził się na leczenie w Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym im. Bilikiewicza w Gdańsku. Postawiono go na nogi, dobrano odpowiednie leki.

Zrezygnował z wymarzonych studiów na prawie, złożył papiery na wydział historyczny. Kilka lat później został asystentem w jednym z gdańskich muzeów. Nigdy nie zapomniał Julii.

*

Wiktor Duchnowski uporał się z bagażem doświadczeń, usamodzielniał, uwolnił od tyranii ojca. Po skończonych studiach wyjechał do siostry do Anglii. Na Wyspach założył własny biznes.

Natalia Rosik wzięła ślub z Michałem Karpińskim, doczekali się trójki dzieci. Wiedli szczęśliwe, ustabilizowane życie.

Sonia Salińska aż do śmierci poszukiwała siebie. Dużo podróżowała po świecie, lecz nigdzie nie potrafiła zagrzać miejsca. Pragnęła prawdziwej miłości. Zginęła w wypadku motocyklowym w wieku dwudziestu siedmiu lat.

Świat każdego z wytatuowanych dwudziestolatków poszedł swoją drogą.

*

Patrycja Radke każdego dnia walczyła o przetrwanie swojej kancelarii. Nabrała doświadczenia, wyrobiła sobie nazwisko. Nigdy do końca nie pozbyła się tej niewielkiej części naiwności, która pewnej jesieni kazała jej uwierzyć w fantastyczną opowieść zagubionego studenta prawa.

Z biegiem lat interes się rozkręcił. Nie musiała już dłużej siedzieć na garnuszku rodziców, od czasu do czasu mogła wyjechać na egzotyczne wakacje.

Lubiła swoją pracę i choć nie zdecydowała się na ścisłą specjalizację, prowadziła głównie sprawy karne. Życiowe drogi młodej mecenas i prokuratora Kroona miały się jeszcze wielokrotnie ze sobą skrzyżować.

*

Zabójstwo Weroniki Zatorskiej mogłoby stać się jedną z ciekawszych spraw w historii polskiej kryminalistyki, kryminologii i wiktymologii. Oczywiście, jeśli ktokolwiek by się o niej dowiedział.

Zazwyczaj to policja informowała dziennikarzy o wszystkich wtopach śledczych, chwaliła się swoimi sukcesami. W tym wypadku funkcjonariusze siedzieli cicho. Bali się, że tak naprawdę to oni dali wcześniej dupy. Prokuratura również zachowała dyplomatyczne milczenie.

Komputer Szymona Krukowskiego stanowił prawdziwą skarbnicę wiedzy. Makabryczny ekshibicjonizm. Zabójca pragnął, by ktoś poznał w końcu prawdę. Jego dziedzictwo.

Szymon Krukowski i Eliza Górska cierpieli na ciężki przypadek psychopatii. Nikt ich nigdy nie zdiagnozował, ale byli ludźmi, których dziewiętnastowieczny włoski psychiatra Cesare Lombroso określiłby mianem urodzonych przestępców. Człowiek zbrodniarz w idealnej, książkowej postaci.

Porwali Weronikę Zatorską z czystego kaprysu. Ofiara musiała być przypadkowa. Zgodnie z obietnicą uprowadzili ją, torturowali fizycznie i psychicznie, kilka razy zgwałcili, a na końcu zamordowali. Tak, by nikt się nie domyślił.

Interesowali się śmiercią, filozofią Nietzschego, czytali wiele książek. Biedny weimarski uczony. Tylu wariatów kochało jego prace. Tylu psychopatów nigdy nie zrozumiało, co miał na myśli.

Wyjaśniono wszystkie wątki. Jedynie kwestia tatuażu pozostała nieodgadniona. Dlaczego przestępcy zdecydowali się wydziarać ofierze taki właśnie dziwny napis?

KRZYCZ JEŚLI ŻYJESZ.

Tego nikomu nie powiedzieli.

*

Prokurator Kroon umorzył śledztwo po raz drugi; tym razem w sprawie o czyn z artykułu sto czterdziestego ósmego. Uzasadnienie postanowienia liczyło dobrych trzydzieści siedem stron. Podpisał się pod nim w Wielki Piątek. O ironio losu.

Konrad Kroon posłużył się tą samą podstawą prawną, o której cztery miesiące wcześniej mówił w gabinecie Prokurator Rejonowej. Artykuł siedemnasty, paragraf pierwszy, punkt piąty Kodeksu postępowania karnego: nie wszczyna się postępowania, a wszczęte umarza, jeśli podejrzany zmarł.

Nikt nie złożył zażalenia. W tej sytuacji nie można było podjąć innej decyzji. Postanowienie uprawomocniło się piętnastego kwietnia.

Kroon zamknął sprawę i nigdy już do niej wrócił. Dopiero półtora miesiąca później, u progu lata, kiedy pojechał z Zuzą na otwarcie Ulicy Elektryków, przypomniał sobie o szalonej dziewczynie, która ciągle goniła za śmiercią. Spojrzał na stoczniove dźwigi i pomyślał: „Kim, do cholery, była ta cała Julia?”.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Lista osób, bez których ta książka nie miałaby szansy powstać, jest niemal tak pokaźna jak liczba stron, przez które, o zgrozo, snuje się moja opowieść. Nigdy nie lubiłem tworzyć długich form literackich, niecierpliwych czytelników proszę o wybaczenie; doprawdy nie wiem, jak to się stało. Koleżanki z pracy celnie zauważyły, że skoro w życiu zawodowym piszę zwięźle, to gdzieś przecież te wszystkie wyrazy musiały się podziąć.

Debiut literacki to poważna sprawa. Od dziecka marzyłem, aby zostać pisarzem, dlatego też, jak przystało na człowieka rozsądnego, nie robiłem absolutnie nic w tym kierunku, żeby owo marzenie urzeczywistnić. Na samym początku muszę więc podziękować swojej siostrze Ani, która od wielu lat uparcie namawiała mnie, żebym usiadł za biurkiem i stworzył coś swojego. Dziękuję tacie za to, że nauczył mnie pisać (kiedy masz dziesięć lat, ostatnią rzeczą, o jakiej myślisz, jest szlifowanie szkolnych wypracowań) i zaraził miłością do muzyki oraz popkultury; mamie za pasję do literatury i za to, że nigdy mi nie odpuszczała. Wyprodukowanie ponad pięciuset stron tekstu wymaga sporo samozaparć, ja swoje wyssałem z mlekiem matki. Dziękuję mojej drugiej połówce, którą poznałem tysiące lat temu w innym kosmosie, a teraz znaleźliśmy się tu na Ziemi i razem kroczyliśmy różnie przez życie. Sylwia nigdy nie przeczytała książki, bo woli bajki z happy endem, a przemoc, którą z racji wymogów konwencji gatunkowej musiałem opisać, wyzwala w niej olbrzymie pokłady złości i niezgody. Syl wypełnia esencją moją bezbarwną osobę, pozwala mi być najlepszą wersją samego siebie (jakież to banalne i prawdziwe zarazem), otacza mnie ciepłem, pcha do sięgania po to, co najlepsze. Dzięki niej zrealizowałem niejedno marzenie, teraz odhaczamy wspólnie kolejne i

serio, przez te trzynaście lat razem dalej nie wiem, czy to sen, czy my wydarzyliśmy się naprawdę. Kocham Cię.

Skoro prosta formuła podziękowań zamieniła się w nieco rzewną wyliczankę życiowych wychowawców, to korzystając z okazji, wspomnieć muszę swoich ukochanych dziadków, którzy nauczyli mnie, czym jest prawdziwa rodzina (Kroon \neq Sone). Fechmistrzowi Pagińskiemu ślę szermierczy salut, dziękując za wpojenie woli walki, Krzyśkowi – za umiejętność eleganckiego wywijania się z problemów.

Do pisania książki zasiadłem w pewien chłodny wrześnieowy ranek; co roku pojawia się ten dzień, kiedy gwałtownie kończy się lato, wiatr otrzeźwia umysł, jesień puka w okna. Nostalgia za wakacjami 2021 prosiła o jakąś formę utrwalenia, moja przybrała formę powieści. Dziękuję więc ekipie Panter za lato na stoczni: Lelci, Piotrkowi i Kondziowi. Więcej luzu, maluszk!

Dziękuję swoim pierwszy recenzentom, tym wspomnianym wyżej, jak i kolejnym: Pałce, Loli i Savie. Piotrkowi Pacynce za rzetelny feedback (z niecierpliwością czekam na grę!). Kasi i Kamilowi za rodzinne ciepło. Dziękuję ekipie Marpressu za pierwszy kontakt z prawdziwym wydawnictwem; dopiero wtedy tak naprawdę zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z czymś poważnym. Dziękuję Monice Mielke za krytyczne spojrzenie na tekst; zasiała ziarno, które obrodziło w większą liczbę zbrodni. Dziękuję mojemu agentowi Piotrkowi Wawrzeńczykowi. Czaicie, jaki to lans mieć własnego agenta wydawniczego? Nigdy nie myślałem, że będę miał agenta, dzięki niemu czuję się jak Hank Moody z *Californication*. W dodatku Piotr naprawdę ogarnia, a ja mogę zająć się po prostu pisaniem.

Zachowując porządek chronologiczny, dochodzimy w końcu do ekipy Znak Conceptu. Wydanie książki w Znaku to marzenie każdego polskiego

pisarza; ja mam to szczęście, że nie tylko u nich debiutuję, ale chyba i zawieram coś w rodzaju związku partnerskiego na dłuższy czas (tak mówi umowa, mam to na piśmie, cyrograf spisany krwią). Serdeczna piona dla Oskara, Roberta, Sylwii, Pauliny oraz mojej redaktorki Magdy; Adrianowi wielkie dzięki za fachowe spojrzenie okiem specja od kryminałów; Wojtkowi za okładkę. Wydawanie książki z Wami to naprawdę świetna zabawa. Mam nadzieję, że książka się sprzeda i wszyscy wyjedziecie na drogie, egzotyczne wakajki! ;)

Namaste wszystkim widzom kanału mojej żony, którzy dali mi szansę, kibicowali mi oraz zdecydowali się zamienić rozrywkę internetową na literacką. Mam nadzieję, że książka Was nie zawiodła. Jeśli jednak czujecie pewien niedosyt po lekturze, obiecuję, że kolejna część będzie jeszcze lepsza. Ta miała być początkowo głównie opowieścią o miłości, los zdecydował, że stała się bardziej kryminałem niż historią zakochanych dwudziestolatków. Nie zmienia to jednak istoty sprawy: to miłość jest w życiu najważniejsza. To ona nadaje koloru szarym dniom, pozwala pokonywać niewyobrażalnie trudne problemy, zamienia marzenia w dotyk, zapach i smak. Każda historia to tak naprawdę opowieść o miłości. Teżę Wam życzę.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

CZEŚĆ PIERWSZA. Dwudziestolatki

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

CZEŚĆ DRUGA. Przesłuchanie

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

CZEŚĆ TRZECIA. Vestigium

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

CZĘŚĆ CZWARTA. Krzycz, jeśli żyjesz

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

CZĘŚĆ PIĄTA. Langfuhr

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

CZĘŚĆ SZÓSTA. CZŁOWIEK ZBRODNIARZ

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Epilog

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Copyright © 2022, by Sylwia Zaręba-Gierz

All Rights Reserved.

Published by the Agreement with Book/lab Literary Agency, Poland

www.literatura.com.pl

Projekt okładki

Wojciech Krosnowski

Fotografia na okładce

© Cyryl Sone

Redaktor nabywający

Robert Medina

Redaktorka prowadząca

Sylwia Tusz

Redakcja

Magdalena Świerczek-Gryboś

Adrian Tomczyk

Adiustacja

Aurelia Hołubowska

Korekta

Patrycjusz Pilawski

Opieka redakcyjna

Natalia Hipnarowicz

ISBN 978-83-240-9408-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek